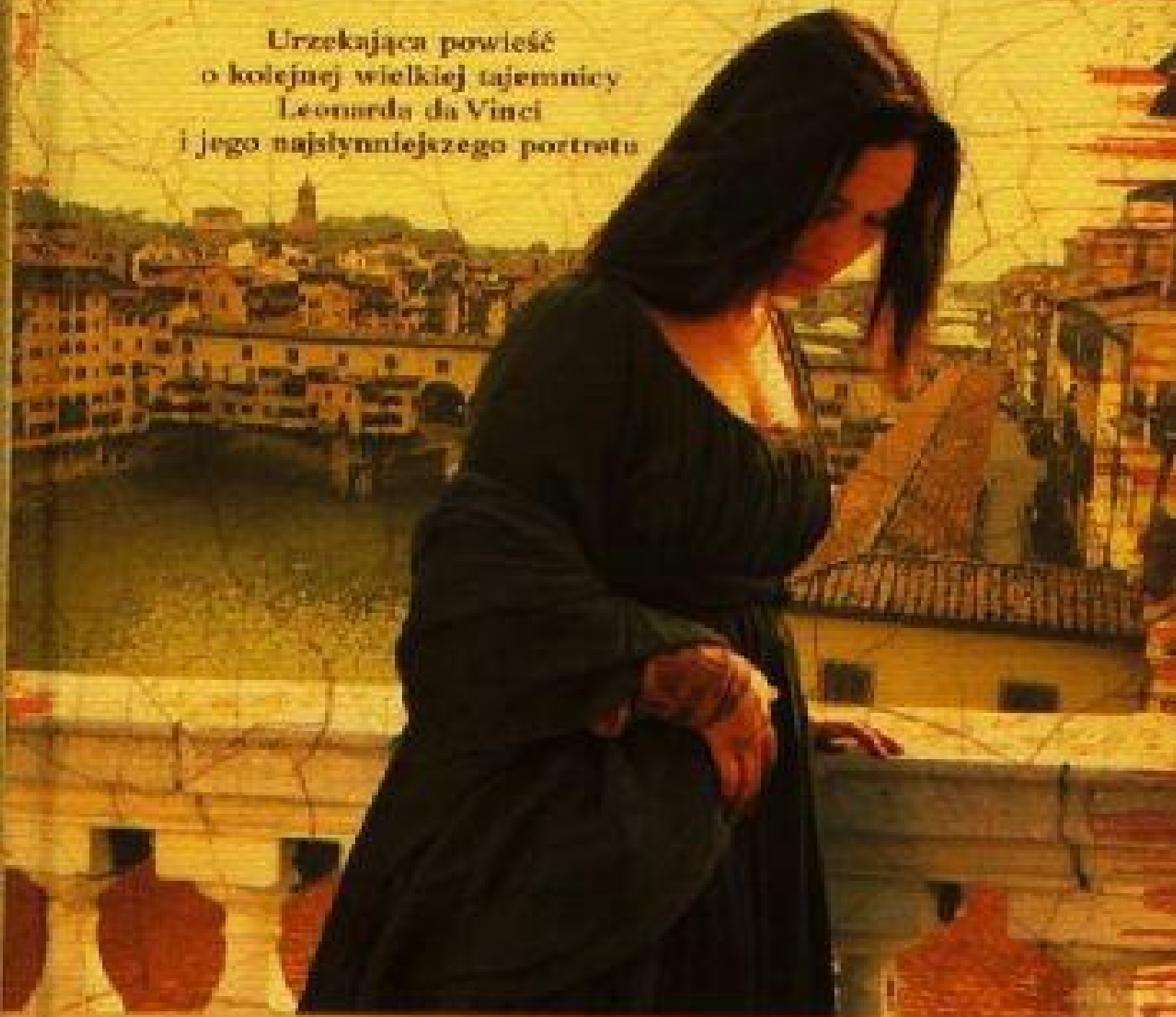


# Ja, Mona Liza

Urzekająca powieść  
o kolejnej wielkiej tajemnicy  
Leonarda da Vinci  
i jego najsłynniejszego portretu



JEANNE KALOGRIDIS



**JEANNE KALOGRIDIS**

**Ja, Mona Liza**

*lipiec 1490 roku*

Nazywam się Liza di Antonio Gherardini Giocondo, choć znajomi mówią na mnie Madonna Liza, a ludzie z gminu po prostu Mona Liza.

Moją podobiznę uwieczniono na desce farbami z gotowanego oleju lnianego zmieszanego z mineralnymi barwnikami lub półszlachetnymi kamieniami roztartymi na proszek, które nakłada się pędzelkami z ptasich piór lub z aksamitnego zwierzęcego włosa.

Widziałam obraz. Nie przypomina mnie. Patrząc na niego i widzę twarze matki i ojca. Wyteżam słuch i słyszę ich głosy. Czuję ich miłość i cierpienie i staję się znów świadkiem zbrodni, która związała ich ze sobą - a mnie z nimi.

Bowiem moja historia nie zaczyna się od narodzin, lecz od morderstwa popełnionego na rok przedtem, nim przyszłam na świat.

Rąbek tajemnicy uchylił przede mną astrolog dwa tygodnie przed moimi urodzinami, obchodzonymi piętnastego czerwca. Matka oświadczyła, że będę mogła wybrać sobie prezent.

Przypuszczała, że poproszę o nową suknię; nigdzie tak nie dbano o elegancję stroju jak w mej ojczystej Florencji. Ojciec był jednym z najzamożniejszych handlarzy wełną i jego kupieckie kontakty pozwalały mi wybierać spośród najwspanialszych jedwabi, brokatów, aksamitów i futer.

Lecz ja nie chciałam sukni. Niedawno na ślubie wuja Lauro i jego młodej wybranki Giovanny Marii moja babka zauważyła kwaśno:

- Nie zaznają szczęścia. Ona jest Koziorożcem z Bykiem w ascendensie, a Lauro jest Baranem. Ciągłe będą się bodli.

- Matko - upomniała ją łagodnie moja mama.

- Gdybyście z Antoniem zważali na takie sprawy... - Babka urwała, widząc ostre spojrzenie matki.

Zaintrygowało mnie to. Rodzice kochali się, lecz nigdy nie byli szczęśliwi. I zdałam nagle sobie sprawę, że nigdy nie rozmawiali ze mną o moich gwiazdach.

Kiedy spytałam o to matkę, dowiedziałam się, że w ogóle nie sporządzono mi horoskopu. Byłam zaskoczona: zamożne florenckie rody często zasięgały rady astrologów w ważnych kwestiach, a nowo narodzone dzieci zawsze miały horoskopy. A przecież ja byłam wyjątkowa: jako jedyne dziecko, w którym pokładano rodzinne nadzieje.

I jako jedynaczka dobrze zdawałam sobie sprawę z mojej władzy: płakałam i błagałam tak długo, aż matka niechętnie uległa.

Gdybym wiedziała, do czego to doprowadzi, nie należałabym tak bardzo.

Matka rzadko opuszczała dom - nie było to bezpieczne - nie pojechałyśmy więc do astrologa, lecz wezwaliśmy go do pałacu.

Z okna w korytarzu przy mojej sypialni widziałam, jak połączana karoca, z wymalowanym na drzwiczkach herbem, wjeżdża na dziedziniec. Dwaj strojni służący pomogli astrologowi wysiąść. Człowiek ów był ubrany *wfar-setto*, obcisły kaftan noszony przez niektórych zamiast tuniki, z pikowanego fioletowego aksamitu, na plecy narzucił

ciemniejszą brokatową opończę. Choć chudy i o zapadłej piersi, miał władcą posturę i stanowcze ruchy.

Zalumma, niewolnica matki, wyszła mu na spotkanie. Owego dnia w strojnej sukni służyła przy boku mej łagodnej matki. Moja matka traktowała ją jak ukochaną towarzyszkę, czym zaskarbiła sobie jej przywiązanie i wierność. Zalumma była Czerkieską, z wysokich gór tajemniczego Wschodu; lud, z którego pochodziła, ceniono za urodę, zaś Zalumma - wysoka jak mężczyzna, z kruczoczarnymi włosami i brwiami, i twarzą bielszą niżli marmur - nie była wyjątkiem. Sploty czarnych włosów, uformowane nie za pomocą rozgrzanego pogrzebacza, lecz ręką Boga, stanowiły przedmiot zazdrości wszystkich Florentynek. Czasami mruczała coś do siebie w ojczystym języku, niepodobnym do żadnego, jaki słyszałam; nazywała go *adygabza*.

Zalumma złożyła ukłon i zaprowadziła gościa do domu na spotkanie ze swą panią.

Tego ranka matka była zdenerwowana, bez wątpienia dlatego, że astrolog cieszył się w mieście ogromnym szacunkiem: gdy zachorował papieski wróżbita, sam Jego Świątobliwość zasięgnął u niego rady. Miałam trzymać się z dala, gdyż pierwsze spotkanie dotyczyło honorarium, ja zaś tylko bym przeszkadzała.

Po cichu podkrađłam się do schodów. Chciałam sprawdzić, czy zdołam podsłuchać coś z tego, co działo się dwa piętra niżej. Mury były jednak grube, a matka kazała zamknąć drzwi do głównej komnaty. Nie dobiegały do mnie nawet stłumione glosy.

Spotkanie nie trwało długo. Matka otworzyła drzwi i zawołała Zalummę. Usłyszałam odgłos szybkich kroków na marmurze, a potem męski głos.

Umknęłam ze schodów i pośpiesznie wróciłam do okna z widokiem na karocę astrologa.

Zalumma wyprowadziła go z domu i rozejrzawszy się wokół, wręczyła mu mały przedmiot, może sakiewkę. Z początku odmówił przyjęcia, ale Zalumma jęła coś z przejęciem i pośpiesznie wyjaśniać. Po chwili wahania schował przedmiot do kieszeni, wsiadł do karocy i odjechał.

Pewnie płaciła mu za wróżbę, choć zaskoczyło mnie, że człek tak znaczny zgodził się postawić horoskop niewolnicy. A może po prostu matka zapomniała mu zapłacić.

Wracając do domu, Zalumma spojrzała w górę i zobaczyła mnie. Zmieszana, że przyłapano mnie na podglądaniu, cofnęłam się od okna.

Zalumma uwielbiała wytykać mi niewłaściwe zachowanie, spodziewałam się więc, że będzie

zrzedzić, lecz nie wspomniała o tym ani słowem.

Trzy dni później astrolog powrócił. I znów z okna najwyższego piętra patrzyłam, jak wysiadał z powozu i jak wita go Zalumma. Byłam podniecona: matka zgodziła się posłać po mnie, gdy nadejdzie pora. Uznałam, że chce mieć trochę czasu, by w razie czego złagodzić złe wieści i znaleźć w nich coś pomyślnego.

Tym razem astrolog podkreślił swe bogactwo jaskrawożółtą tuniką z jedwabistego adamaszku, obszytą brązowym futrem kuny. Przed wejściem do domu zatrzymał się i powiedział coś ukradkiem do Zalumy; zakryła dłonią usta, jakby zdumiona tym, co powiedział. Zadał jej jakieś pytanie. Pokręciła głową i położyła mu dłoń na rękę, najwyraźniej domagając się czegoś. Wręczył jej zwój papierów, po czym odsunął się poirytowany i wkroczył do pałacu. Wzburzona wsunęła zwój do kieszeni ukrytej w fałdach spódnicy, a potem ruszyła w ślad za nim.

Odeszłam od okna i znów nasłuchując, stałam u szczytu schodów, zdumiona spotkaniem na dziedzińcu. Z niecierpliwością czekałam na wezwanie.

Niecały kwadrans później drzwi na dole otwarły się z taką siłą, że uderzyły o mur.

Podbiegłam do okna: astrolog szedł z powrotem do powozu i nikt go nie odprowadzał.

Zadarłam spódnice i puściłam się pędem po schodach, wdzięczna losowi, że nie spotkałam po drodze ani Zalumy, ani matki. Bez tchu dobiegłam do karocy w chwili, gdy astrolog dał woźnicy sygnał do odjazdu.

Położyłam dłoń na wypolerowanych drewnianych drzwiczkach i uniosłam oczy na mężczyznę siedzącego w środku.

- Zatrzymaj się, panie - powiedziałam.

Gestem ręki dał woźnicy znak, żeby wstrzymał konie, a potem z kwaśną miną popatrzył na mnie z góry. A jednak jego spojrzenie wyrażało dziwne współczucie.

- Więc to ty jesteś córką. - Tak.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Nie będę brał udziału w oszustwie. Rozumiesz?

- Nie.

- No tak, widzę. - Umilkł na moment, ostrożnie dobierając słowa. - Twoja matka, Madonna Lukrecja, powiedziała, że to ty zażyczyłaś sobie moich usług. Czy to prawda?

- Tak. - Zarumieniłam się, bo nie wiedziałam, czy moja odpowiedź nie zdenerwuje go jeszcze bardziej.

- W takim razie zasługujesz na poznanie choć części prawdy, gdyż nigdy nie usłyszysz jej w tym domu. - Nie był już rozdrażniony, stał się ponury i szczerzy. - Twój horoskop jest niezwykle, niektórzy powiedzieliby, że niepokojący. Traktuję swą sztukę bardzo poważnie i ufam swej intuicji, obie zaś podpowiadają mi, że jesteś uwięziona w błędnym kole przemocy, krwi i oszustwa. Co inni zaczęli, ty musisz dokończyć.

Wzdrygnęłam się. Gdy odzyskałam mowę, zapewniłam z całą mocą:

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Twój temperament po czterokroć skojarzony jest z ogniem - rzekł. - To gorący piec, w którym musi się wykuć miecz sprawiedliwości. W twoich gwiazdach widziałem akt przemocy, jeden w twojej przeszłości, drugi w przyszłości.

- Nigdy nikogo nie skrzywdzę!

- Bóg tak zrządził. Ma powody, dla których przeznaczył ci ten los. Chciałam dowiedzieć się więcej, lecz astrolog krzyknął na woźnicę i dorodne karę konie ruszyły z kopyta.

Zakłopotana i zdumiona wróciłam do domu. Podniosłam wzrok i zobaczyłam Zalummę; spoglądała na mnie z okna na najwyższym piętrze.

Kiedy wróciłam do siebie, już jej nie było. Przez pół godziny czekałam w mej komnacie, aż matka wezwie mnie do siebie.

Wciąż siedziała w głównej sali, tam gdzie przyjmowała astrologa. Uśmiechnęła się, gdy weszłam, najwidoczniej nieświadoma mojego spotkania z wróżbitą. W dłoni trzymała plik papierów.

- Chodź, usiądź przy mnie - powiedziała radośnie. - Opowiem ci o twoich gwiazdach.

Powinniśmy zamówić dla ciebie horoskop już dawno temu, uznałam więc, że nadal należy ci się nowa suknia. Ojciec zabierze cię dziś do miasta, żebyś mogła wybrać materiał, ale nie wolno ci mówić o horoskopie. W przeciwnym razie uzna nas za rozrzutne.

Usiadłam sztywno, wyprostowana, z dłońmi złożonymi na podołku.

- Popatrz. - Matka położyła papiery na kolanach i wskazała na piękne pismo astrologa.

- Jesteś spod znaku Bliźniąt, twoim żywiołem jest powietrze. Masz Ryby w ascendensie, co oznacza wodę. Twój księżyc stoi w znaku Barana, to ogień. Wiele innych aspektów w horoskopie symbolizuje ziemię, co oznacza, że masz bardzo harmonijny temperament. To znak najszcześniejszej przyszłości.

Gdy to mówiła, narastał we mnie gniew. Całe pół godziny spędziła na przygotowywaniu tego radosnego kłamstwa. Astrolog miał rację; nie mogłam się spodziewać prawdy.

- Będziesz miała długie, dobre życie, bogactwo i wiele dzieci - mówiła dalej matka. -

Nie powinnaś się martwić tym, kto będzie twoim mężem. Jesteś tak dobrze usposobiona do każdego znaku, że...

- Nie - ucięłam. - W moim horoskopie jest tylko ogień. Moje życie będą znaczyć krew i podstęp.

Matka wstała gwałtownie, papiery zsunęły się z jej kolan i rozsypały na posadzce.

- Zalumma! - syknęła z gniewnym błyskiem w oku. Nigdy jej takiej nie widziałam. -

Rozmawiała z tobą?

- Sama rozmawiałam z astrologiem.

Umilkła natychmiast, jej twarz przybrała nieodgadniony wyraz. Ostrożnie zapytała:

- Co jeszcze ci powiedział?

- Tylko to, co mówiłam.

- Nic więcej?

- Nic.

Opadłszy gwałtownie z sił, osunęła się z powrotem na zydel. W złości nie pomyślałam, że dobra i opiekuńcza matka pragnęła tylko ochronić mnie przed złymi wiadomościami. Skoczyłam na równe nogi.

- Wszystko, co powiedziałaś, jest fałszem. Jakimi jeszcze karmiłaś mnie kłamstwami?

To było okrutne. Patrzyła na mnie osłupiała, ale ja odwróciłam się i zostawiłam ją samą, siedzącą na zydlu z ręką na sercu.

Wkrótce domyśliłam się, że matka i Zalumma strasznie się pokłóciły. Zawsze odnosiły się do siebie z głęboką przyjaźnią, ale po drugiej wizycie astrologa matka kamieniała, ilekroć Zalumma wchodziła do komnaty. Nie chciała ani patrzeć na niewolnicę, ani zamienić z nią więcej niż kilka słów.

Zalumma też była ponura i milcząca. Minęło kilka tygodni, zanim znowu stały się przyjaciółkami.

Nigdy więcej matka nie rozmawiała ze mną o horoskopie. Często zastanawiałam się, czy nie poprosić Zalummy o odnalezienie papierów, które astrolog dał matce, tak żebym mogła sama wyczytać prawdę o swoim losie. Za każdym razem jednak powstrzymywał mnie strach.

I tak wiedziałam już więcej, niżbym chciała.

Prawie dwa lata miały minąć, nim dowiedziałam się o zbrodni, z którą nierozzerwalnie związał mnie los.



Część 1 26 kwietnia 1478 roku

Przed ołtarzem surowej, potężnej katedry Santa Maria del Fiore Bernardo Bandini Baroncelli usiłował zapanować nad drżeniem rąk. Ale nie mógł - tak jak nie potrafił ukryć przed Bogiem trawiących go czarnych myśli. Rozedrganym głosem jął szeptem modlić się o powodzenie mrocznego przedsięwzięcia, w które się wplątał, błagając o wybaczenie, gdyby miało się udać.

Jestem dobrym człowiekiem. Baroncelli kierował tę myśl do Wszechmogącego.

Zawsze życzyłem innym dobrze. Jak więc znalazłem się tutaj?

Ale żadna odpowiedź nie nadeszła. Baroncelli utkwiał wzrok w wyciosanym z ciemnego drewna złoconym ołtarzu. Przez witrażowe okna kopuły poranne światło spływało złocistymi promieniami, migocząc drobinami kurzu i pokrywając blaskiem złocenia. Widok przywodził na myśl beztroskę raję. Z pewnością Bóg był w tej świątyni, lecz Baroncelli nie odczuwał tej boskiej obecności, jedynie własną nikczemność.

- Boże, wybacz mnie grzesznemu - wyszeptał. Cicha modlitwa mieszała się z setkami przytłumionych głosów wewnątrz przepastnego kościoła Świętej Marii Kwietnej. Świątynia zaliczała się do największych na świecie, zbudowano ją na planie łacińskiego krzyża. Nad skrzyżowaniem jego ramion wznosiło się najwspanialsze dzieło architekta Brunelleschie-go: *U Duomo*. Olśniewająca samym ogromem kopuła nie miała żadnych widocznych podpór.

Widoczna z każdego miejsca w mieście, zbudowana z pomarańczowych cegieł, majestatycznie górowała nad horyzontem i podobnie jak lilia stała się symbolem Florencji.

Sięgała tak wysoko, że ujrawszy ją po raz pierwszy Baroncelli pomyślał, iż na pewno dotyka bram nieba.

Tego poranka Baroncelli przebywał o wiele niżej. Choć plan zdawał się prosty i musiał się powieść, teraz, gdy zaświtał boleśnie jasny dzień, ogarnęły go złe przeczucia i wyrzuty sumienia. Te prześladowały go od dawna: urodzony w jednej z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych rodzin w mieście, roztrwonił fortunę i na starość popadł w długi.

Całe życie był bankierem i nie znał się na niczym innym. Miał tylko dwa wyjścia: przenieść się z żoną i dziećmi do Neapolu i błagać o finansowe wsparcie jednego z bogatych kuzynów -

tej możliwości jego wygadana małżonka Giovanna nigdy by nie zniosła - albo zaoferować usługi jednej z dwóch największych i najznamienitszych rodziny bankierskich we Florencji: Me-dyceuszom albo Pazzim.

Najpierw zwrócił się do najmożniejszej rodziny w mieście: Medyceu-szy. Nie przyjęli go, co wciąż wywoływało w nim nienawiść. Ich rywale, Pazzi, powitali go z otwartymi ramionami i dlatego teraz stał w pierwszym rzędzie wiernych u boku swego chlebobawcy Francesca de'Paz-ziego. Wraz ze swym stryjem Messerem Iacopo Francesco zajmował się zagranicznymi interesami rodziny. Był to drobny mężczyzna o spiczastym nosie i podbródki, i zmrużonych oczach pod ciemnymi,

nieproporcjonalnie szerokimi brwiami. Przy wysokim, dystyngowanym Baroncellim wyglądał jak brzydki karzeł. Ostatecznie Baroncelli znienawidził Francesca bardziej niż Medyceuszy, gdyż Pazzi miał wybuchowy temperament i często lżył Baroncellego, jadownicie przypominając mu o jego bankructwie.

Żeby utrzymać rodzinę, Baroncelli musiał znosić zniewagi Pazzich z uśmiechem - i to zarówno Messera Iacopa, jak i młodego Francesca. Traktowali go jak gorszego od siebie, a przecież pochodził z rodziny równie, jeśli nie znakomitszej. Kiedy zaczęto mówić o spisku, Baroncelli miał do wyboru: nadstawić karku i wyznać wszystko Medyceuszom albo ulec Pazzim, zostać ich współnikiem i wywalczyć dla siebie wysokie stanowisko w nowym rządzie.

Teraz, gdy tak stał w świątyni, prosząc Boga o przebaczenie, czuł na prawym barku ciepły oddech innego spiskowca. Mężczyzna modlący się tuż za nim nosił zgrzebne szaty pokutnika.

Stojący na lewo od Baroncellego Francesco poruszył się niespokojnie i zerknął w prawo, za plecami swego pracownika. Baroncelli podążył wzrokiem za jego spojrzeniem: spoczęło na Wawrzyńcu Medyceuszu, który w wieku dwudziestu dziewięciu lat był

rzeczywistym władcą Florencji. Oficjalnie Florencją rządziła Signoria, ósmioosobowa rada miejska, z *gonfaloniere* na czele; radę wybierano spośród członków najznamienitszych florenckich rodów. Choć procedura była sprawiedliwa, o dziwo, większość wybranych była zawsze lojalna wobec Wawrzyńca, a *gonfaloniere* stosował się do jego woli.

Francesco de'Pazzi był brzydki, ale Wawrzyniec był jeszcze brzydszy. Nieprzeciętnie wysoki i muskularny młodzieniec miał jedną z najszybszych we Florencji twarz. Nos -

długi, spiczasty, z krzywym garbem u nasady i spłaszczonym grzbietem - sprawiał, że Wawrzyniec mówił dziwnym zduszonym głosem. Dolna szczęka tak bardzo sterczała do przodu, że gdy wkraczał do pomieszczenia, podbródek poprzedzał go na grubość kciuka.

Niepokojący profil okalały ciemne włosy sięgające za uszy.

Wawrzyniec czekał na rozpoczęcie mszy, stojąc między wiernym przyjacielem i pracownikiem Franceskiem Norim i arcybiskupem Pizy, Franceskiem Salviatim. Mimo niedoskonałości wyglądu od Medyceusza biła aura godności i powagi. Ciemne, lekko wylupiate oczy były niezwykle bystre. Nawet otoczony przez wrogów sprawiał wrażenie swobodnego. Sah/iati, krewniak Pazzich, nie należał do przyjaciół, choć przywitali się z Wawrzyńcem, jakby darzyli się sympatią. Starszy z braci de Medici z całą zaciętością usiłował nie dopuścić do mianowania Salviatiego na arcybiskupa Pizy i zabiegał, by papież Sykstus wybrał na jego miejsce stronnika Medyceuszy. Papież okazał się głuchy na prośby Wawrzyńca, a potem - zrywając z tradycją wielu pokoleń - pozbawił Medyceuszy stanowiska papieskich bankierów i zaczął korzystać z usług Pazzich, co dla Wawrzyńca stanowiło gorzką zniewagę.

Mimo to dziś Wawrzyniec przyjmował siostrzeńca papieża, siedemnastoletniego kardynała Riario z San Giorgio jako honorowego gościa. Po mszy w katedrze zaprowadzi młodego kardynała na ucztę w pałacu, a następnie pokaże mu osławioną medycejską kolekcję sztuki. Na razie zaś stał czujny obok

Riaria i Sahdatiego, kiwając głową w odpowiedzi na ich uwagi czynione szeptem.

Uśmiecha się, a oni ostrzą miecze, pomyślał Baroncelli.

Ubrany skromnie w prostą szaroniebieską jedwabną tunikę Wawrzyniec zupełnie nie zdawał sobie sprawy z obecności dwóch obleczonych w czerń mnichów o dwa rzędy za jego plecami. Guwernera rodziny Pazzich Baroncelli znał jako młodzieńca imieniem Stefano; obok niego stał nieco starszy mężczyzna, Antonio da Volterra. Baroncelli spojrzał mu w oczy, gdy wchodzili do kościoła, ale szybko odwrócił wzrok; przepelniała je ta sama pałaca wściekłość, jaką Baroncelli widywał u pokutnika. DaVolterra, obecny na wszystkich potajemnych zebraniach, z zapamiętaniem wypowiadał się przeciw „umiłowaniu wszystkiego, co pogańskie” przez Medyceuszy, twierdząc, że „zniszczyli nasze miasto” demoralizującą sztuką.

Podobnie jak inni spiskowcy Baroncelli wiedział, że ani uczta, ani zwiedzanie kolekcji nie dojdzie do skutku. Wydarzenia, które wkrótce miały nastąpić, na zawsze zmienią polityczne oblicze Florencji.

Zakapturzony pątnik przestąpił z nogi na nogę i wyszeptał słowa, które zrozumiał

tylko Baroncelli. Kapuza, naciągnięta do przodu, ukrywała rysy twarzy. Baroncelli sprzeciwiał się wcześniej zaangażowaniu tego człowieka w zamach - dlaczego mieliby mu ufać? Im mniej osób, tym lepiej... ale Francesco jak zawsze postąpił wbrew niemu.

- Gdzie Giuliano? - wyszeptał pokutnik.

Giuliano, młodszy z braci Medyceuszy, miał oblicze tak piękne, jak brzydka była twarz Wawrzyńca. Ulubieniec Florencji - tak przystojny, że, jak mawiano, zarówno mężczyźni, jak i niewiasty wzdychali za nim, gdy przechodził. Obecność jednego brata w wielkiej katedrze nie wystarczała. Potrzebni byli obaj - w przeciwnym razie wszystko trzeba odwołać.

Baroncelli spojrzał przez ramię w ocienioną kapturem twarz spiskowca i nie odpowiedział. Nie lubił pątnika, który wprowadził w ich działania, ton żarliwego religijnego zapamiętania tak zaraźliwy, że nawet przyziemny Francesco zaczął wierzyć, iż wykonają dziś dzieło Boże.

Baroncelli wiedział, że Bóg nie ma z tym nic wspólnego. Ich czyn został zrodzony z zawiści i ambicji.

Po jego drugiej stronie Francesco de'Pazzi syknął:

- Co znowu? Co powiedział?

Baroncelli pochylił się, by szepnąć niziutkiemu pracodawcy do ucha:

- Pyta, gdzie jest Giuliano.

Widział, jak Francesco usiłuje ukryć wyraz osłupienia na szczurowatym obliczu.

Baroncelli podzielał jego niepokój. Msza zaczęła się niebawem, bo Wawrzyniec i jego gość kardynał przybyli już do świątyni. Jeżeli Giuliano nie zjawi się wkrótce, cały plan skończy się katastrofą. Ryzyko było zbyt duże, stawka zbyt wielka, zbyt wiele osób zaangażowało się w spisek, zbyt wiele języków mogło swobodnie mówić. Messer Iacopo czeka na czele oddziału pięćdziesięciu najemników z Perugii na sygnał z kościelnej wieży. Gdy odezwie się dzwon, Messer Iacopo opanuje Palazzo della Signoria i pociągnie ludzi przeciwko Wawrzyńcowi.

Pokutnik przecisnął się do przodu i przystanął tuż obok Baroncellego. Zadarł głowę, by spojrzeć na wysoką i przytłaczającą kopułę, która wznosiła się bezpośrednio nad ołtarzem.

Płócienny kaptur zsunął się trochę do tyłu, ukazując profil. Na moment wargi pątnika rozwarły się, a brwi i usta wykrzywiły w grymasie takiej nienawiści i obrzydzenia, że Baroncelli aż się wzdrygnął.

Powoli gniew i gorycz w oczach mężczyzny zelżały, a twarz stopniowo przybrała wyraz nabożnej ekstazy, jakby pokutnik widział samego Boga, a nie gładki marmur zaokrąglonego sklepienia. Francesco też to zauważył i jął pilnie obserwować pątnika, jakby był wyrocznią, która za chwilę przemówi.

I rzeczywiście pokutnik przemówił:

- Wciąż leży w łóżku.

A potem otrzeźwiawszy, naciągnął kaptur na czoło, zakrywając twarz. Francesco chwycił Baroncellego za łokieć i syknął:

- Musimy iść natychmiast do pałacu Medyceuszy!

Uśmiechając się, popchnął Baroncellego w lewo od Wawrzyńca Medyceusza i garstki florenckich notabli, którzy tworzyli pierwszy rząd wiernych. Nie skorzystali z najbliższych, północnych drzwi, wychodzących na via de' Servi, gdyż wtedy ich wyjście mogłoby zwrócić uwagę Wawrzyńca.

Ruszyli boczną nawą, biegnącą wzdłuż całej świątyni - między brązowymi kamiennymi kolumnami o szerokości czterech ludzi, połączonych białymi wysokimi łukami, tworzącymi ramy dla wąskich witrażowych okien. Francesco z początku dobrotliwie pozdrawiał znajomych w pierwszych rzędach, kiwając im głową. Oszołomiony Baroncelli robił, co mógł, by pozdrawiać szeptem tych, których znał, ale Francesco prowadził go tak szybko, że z trudem łapał oddech.

Setki twarzy, setki postaci. Pusta katedra wydawałaby się nieskończenie obszerna, wypełniona po brzegi w piątą niedzielę po Wielkiejnocy sprawiała wrażenie ciasnej, zatłoczonej i dusznej. Wydawało mu się, że każda twarz, która się ku niemu obraca, jest pełna podejrzeń.

Pierwsza grupa wiernych, którą minęli, składała się z florenckich bogaczy: od niewiast bił blask ozdób, mężczyźni uginali się pod ciężarem złota i klejnotów, obszywanych futrem brokatów i aksamitów. Zapach wody rozmarynowo-lawendowej mieszał się z bardziej ponętym, kobiecym aromatem olejku różanego, przez które przebijała ciężka woń kadzideł.

Aksamitne ciżmy Francesca szeleściły na marmurowej posadzce. Jego twarz przybrała surowszy

wyraz, gdy minął arystokrację. Aromat lawendy nasilił się, gdy przechodzili obok rzędów obywateli ubranych w jedwabie i delikatne wełny, tu i tam ozdobione złotem, srebrem, z rzadka nawet błyszczącym brylantem. Poważny już Francesco raz czy dwa kiwnął

głową do niższych rangą współpracowników. Baroncelli usiłował złapać powietrze; natłok ludzkich twarzy - twarzy świadków - wywoływał w nim panikę.

Ale Francesco nie zwalniał kroku. Kiedy mijali drobnych handlarzy, kowali i piekarzy, malarzy i ich uczniów, zapach aromatycznych ziół ustąpił odorowi potu, a delikatne tkaniny - wełnie i materiałom poślednich gatunków. Biedota stała z tyłu: zgrzeblarze, którzy nie mogli powstrzymać kaszlu, i farbiarze tkanin o poplamionych na ciemno rękach. Ubrani byli w znoszoną wełnę i pognieciony len, cuchnęli potem i brudem. Tak Francesco, jak i Baroncelli mimowolnie zakryli usta i nosy.

Wreszcie dotarli do ogromnych otwartych drzwi. Baroncelli zachłysnął się powietrzem, jakby za chwilę miał się rozplakać.

- Nie pora na tchórzostwo! - warknął Francesco i pociągnął go za sobą na ulicę, przez szponiaste dłonie żebraków siedzących w kucki na stopniach i obok górującej nad nimi po lewej stronie dzwonnicy.

Przedarli się na wielki otwarty plac przed zbudowanym na planie oś-miokąta baptysterium św. Jana, które zdawało się przytłoczone ogromem Duomo. Pokusa biegu była wielka, lecz za dużo by zaryzykowali... wciąż szli jednak tak szybko, że Baroncelli dyszał, choć stawiał kroki dwa razy dłuższe niż pryncypał. Po półmroku Duomo światło słoneczne raziło oczy. Był przepiękny, bezchmurny wiosenny dzień, lecz Baroncelli miał złe przecucia.

Skręcili na północ, w via Larga, zwaną czasem „ulicą Medyceuszy”. Kto postawił

stopę na wysłużonej brukowej kostce, musiał poczuć, że Wawrzyniec rządzi w mieście żelazną ręką. Po obu stronach szerokiej ulicy wyrosły *palazzi* jego popleczników: Michelozza, architekta na usługach rodu, Angela Połiziana, nadwornego poety i beniaminka.

Dalej, w głębi, stał niewidoczny z tego miejsca kościół i klasztor San Marco. Dziad Wawrzyńca, Kosma, przebudował walącą się świątynię i ufundował słynną klasztorną bibliotekę, w zamian za to dominikanie czcili go i zapewnili mu prywatną celę na czas, gdy oddawał się kontemplacji.

Kosma kupił nawet ogrody w pobliżu klasztoru, a Wawrzyniec przemienił je w muzeum ogród rzeźby, luksusowe pole ćwiczeń dla młodych architektów i artystów.

Baroncelli i jego towarzysz byli już przy skrzyżowaniu z via de'Gori, gdzie kopuła najstarszej florenckiej katedry, San Lorenzo, wyrasta ponad okoliczne dachy na horyzoncie od zachodu. Popadła w ruinę, a Kosma przy pomocy Michelozza i Brunelleschiego przywrócił jej dawny blask. Teraz spoczywały tam jego kości, marmurowy grobowiec stał

przed głównym ołtarzem.

Wreszcie dotarli do celu: prostokątnego szarego masywu pałacu Medyceuszy, ponurego i surowego niby twierdza - architekt Michelozzo otrzymał polecenie, by w projekcie nie stosować ozdób i nie wzbudzać podejrzeń, że Medyceusze mają się za lepszych od zwykłych obywateli. Mimo to budynek sprawiał wrażenie dostatecznie majestatycznego, by przyjmować w nim królów i książąt; w głównej komnacie biesiadował kiedyś francuski król Karol VII.

Baroncellego uderzyło, że pałac przypomina obecnego właściciela: parter wykonano z szorstkiego, grubo ciosanego kamienia, pierwsze piętro z równej cegły, drugie - z idealnie gładkiego kamienia i zwieńczone gzymsem. Postać, jaką Wawrzyniec prezentował światu, była równie gładka, lecz jego fundament, jego serce, było na tyle szorstkie i zimne, że posunąłby się do wszystkiego, by zachować panowanie nad miastem.

Dotarcie przed pałac Medyceuszy, który stał na rogu ulic Larga i Gori, zajęło im zaledwie cztery minuty. Te cztery minuty upłynęły tak wolno, jakby były godzinami, a jednocześnie tak prędko, że Baroncelli nie potrafił sobie nawet przypomnieć przebytej drogi.

W południowym narożniku budynku, najbliższej Doumo, stała loggia, zasłonięta przed ludźmi, lecz jej szerokie arkady użyczały cienia ulicy. Tu obywatele Florencji mogli się swobodnie spotykać i rozmawiać, często w towarzystwie Wawrzyńca albo Giuliana. Pod kamiennym stropem ob-gadano i ubito niejeden interes.

Tego niedzielnego poranka większość ludzi była na mszy; tylko dwaj mężczyźni stali w cieniu loggii, rozmawiając cicho. Jeden z nich - ubrany w wełnianą tunikę, która świadczyła, że należy do grona kupców, a może jest bankierem. Medyceuszy - odwrócił się i spojrzał spode łba na Baron-cellego, który schylił głowę zdenerwowany faktem, że został

zauważony i zapamiętany.

Jeszcze parę kroków i dwaj spiskowcy stanęli przed grubą, mosiężną bramą głównego wejścia pałacu od strony via Larga. Francesco uderzył pięścią w metal, a wysiłek ten został

wkrótce nagrodzony i sługa wprowadził ich na wspaniałą dziedziniec.

Teraz rozpoczęło się męczące oczekiwanie na nadejście Giuliana. Gdyby Baroncelli nie był tak owładnięty strachem, może podziwiałby otoczenie, w jakim się znalazł. W każdym narożniku dziedzińca stała wielka kamienna kolumna połączona z innymi wdzięcznie wygiętymi łukami. Umieszczony na łukach fryz z medalionami przedstawiał na zmianę sceny z pogańskiej mitologii oraz herb Medyceuszy.

Siedem słynnych *palle*, czyli kul, ułożono w kształt, który podejrzenie przypominał

koronę. Według słów Wawrzyńca *palle* reprezentowały wybrzuszenia w tarczy jednego z rycerzy Karola Wielkiego, dzielnego Ave-rarda, który stoczył zwycięski bój ze straszliwym olbrzymem. Karola wprowadziło to w takie zdumienie, że pozwolił Averardowi używać jako herbu powyginanej tarczy. Medyceusze mieli się za potomków dzielnego rycerza i ród od wieków nosił to godło. Okrzykiem *Palle! Palle! Palle!* zwoływano ludzi w imieniu Medyceuszy. O Kosmie Starszym

powiadano, że nawet cele klasztorne zdobił swymi kulami.

Baroncelli wędrował wzrokiem od jednego medalionu do następnego. Jeden ukazywał

Atenę broniącą Aten, inny uskrzydłonego Ikara wzbijającego się w niebo.

Wreszcie jego spojrzenie spoczęło na ustawionym pośrodku dziedzińca odlanym w brązie Dawidzie Donatella. Rzeźba zawsze sprawiała na Baroncellim wrażenie kobiety.

Długie kędziory włosów Dawida spływały spod słomkowego pasterskiego kapelusza; naga, lekko zaokrąglona postać była pozbawiona męskiej muskulatury. Jedną ręką zgiętą w łokciu opierał się o biodro w dziewczęcej pozie.

Tego dnia Baroncelli dostrzegł jednak w rzeźbie coś zupełnie innego: lodowaty spokój w oczach, z jakim Dawid spoglądał na odciętą głowę Goliata leżącą u jego stóp. Zobaczył też ostrość klingi wielkiego miecza spoczywającego w prawej ręce biblijnego bohatera.

Którą z tych ról dzisiaj odegram? - zadumał się Baroncelli. Dawida czy Goliata?

Francesco deTazzi przechadzał się tam i z powrotem z rękami założonymi za plecy, patrząc gniewnie na szlifowany marmur posadzki. Oby Giuliano prędko przyszedł, pomyślał

Baroncelli, bo inaczej Francesco zacznie mówić do siebie.

Ale Giuliano się nie pojawił. Sługa, urodziwy młodzieniec, sprawny jak każdy element dobrze naoliwionej maszynerii obracającej się wokół Me-dyceuszy, wrócił z dobrze wyćwiczoną miną pełną współczucia.

- Wybaczcie, *Signori*. Przykro mi, lecz pan mój jest dziś niezdrów i nie może przyjmować gości.

Francesco zdołał w porę zastąpić strach jowialnością.

- Ach! Proszę wyjaśnić ser Giulianowi, że to sprawa nadzwyczaj pilna. - Obniżył głos, jakby wyjawiał sekret. - Dzisiejszy obiad ma być wydany na cześć młodego kardynała Riaria, a ten będzie bardzo zawiedziony, gdy ser Giuliano nie weźmie w nim udziału. Kardynał jest w teraz w Duomo z panem Wawrzyńcem i wypytuje o twojego pana. Msza opóźnia się i obawiam się, że jeśli ser Giuliano z nami nie pójdzie, Jego Eminencja kardynał srodze się obrazi. Nie chcielibyśmy, żeby doniósł o tym swemu wujowi papieżowi, gdy wróci do Pwzumu...

Sługa kiwnął wdzięcznie głową, marszcząc z zatroskaniem brwi. Mimo to Baroncelli wyczuł, że młodzieniec nie jest do końca przekonany, iż powinien zakłócić spokój swego pana. Francesco wyraźnie odniósł takie samo wrażenie, gdyż jął naciskać mocniej.

- Jesteśmy tu z polecenia pana Wawrzyńca, który prosi brata o przybycie i to szybko, jako że wszyscy nań czekamy...

Sługa zasygnalizował zrozumienie sprawy uniesieniem podbródka.



- Oczywiście. Przekażę wszystko memu panu.

Kiedy się od nich odwrócił, Baroncelli zerknął na pracodawcę. Był zdumiony łatwością, z jaką przychodziło mu kłamstwo.

Wkrótce na marmurowych schodach prowadzących na dziedziniec rozległ się odgłos kroków, a po chwili stanął przed nimi Giuliano de Medici. Rysy twarzy jego brata nie były doskonałe, ale twarz Giuliana nie miała najdrobniejszej skazy. Nos, choć wydatny, był prosty i ładnie wyrzeźbiony nad mocnym i kwadratowym podbródkiem, oczy, duże i złocistobrązowe, okalały długie rzęsy, które wywoływały zazdrość wszystkich Florentynek.

Delikatne, foremne wargi odsłaniały równe zęby, włosy były gęste i kędzierzawe, utrefione z przedziałkiem pośrodku głowy i zaczesane do tyłu, by odsłonić przystojną twarz.

Dla dwudziestoczteroletniego Giuliana życie okazało się łaskawe: był młody, kipiał

energią i zniewalał urokiem. Jego dobroduszość i wrażliwość sprawiały, że człowiek nigdy nie czuł się w jego obecności nieswojo. Radosne i wspaniałomyślne usposobienie zaskarbiło mu powszechne uwielbienie wśród obywateli Florencji. Choć brakowało mu zapewne błyskodiwej przebiegłości w polityce, cechującej starszego brata, był na tyle bystry, by wykorzystać swe przymioty do zdobycia publicznego poparcia. Gdyby Wawrzyniec zmarł, Giuliano nie miałby kłopotów z przejęciem władzy.

W ciągu kilku ostatnich tygodni Baroncelli bardzo, lecz daremnie starał się go znienawidzić.

Tego poranka łagodne światło, które zaczęło malować podstawy kolumn, nie pozostawiło wątpliwości, że blask urody Giuliana mocno przygasł. Wo-sy miał w nieładzie, szaty włożone nazbyt pośpiesznie, oczy przekrwione. Po raz pierwszy, odkąd Baroncelli pamiętał, się nie uśmiechał. Poruszał się powoli, jak człowiek krępowany ciężarem zbroi.

Ikar, pomyślał Baroncelli. Wzbił się zbyt wysoko, a teraz spadł, spalony słońcem, na ziemię.

- Dzień dobry, mości panowie. - Zwykle melodyjny głos Giuliana był zachrypnięty. -

Jak rozumiem, kardynał Riario jest urażony moją nieobecnością na mszy.

Baroncelli poczuł dziwne ukłucie w piersi. Giuliano wyglądał jak wół prowadzony na rzeź i pogodzony z losem. On wie. Nie może wiedzieć. A jednak... wie...

- Przykro nam, że cię niepokoiimy, panie. - Francesco de'Pazzi złożył ręce w przepaszającym geście. - Przybywamy na polecenie pana Wawrzyńca...

Giuliano westchnął.

- Rozumiem. Bóg nam świadkiem, że musimy dokładać wszelkich starań, by spełniać życzenia Wawrzyńca. - Iskierka dawnego charakteru rozblęśla na moment. Dodał ze szczerą troską: - Mam nadzieję, że nie jest jeszcze za późno, by zapewnić Jego Eminencję, iż niezmiernie go poważam.

- Tak - rzekł powoli Baroncelli. - Miejmy nadzieję, że nie jest za późno. Nabożeństwo już się zaczęło.

- Chodźmy więc - powiedział Giuliano. Gestem ręki ponaglił ich do wyjścia. Kiedy uniósł ramię, Baroncelli zauważył, że Giuliano zapewne z pośpiechu nie przypasał do boku miecza.

Wyszli na jasne poranne słońce.

Mężczyzna ze zmarszczonym czołem, który czekał w loggii, uniósł wzrok na Giuliana.

- Ser Giuliano! - zawołał. - Muszę pomówić z wami o sprawie najwyższej wagi.

Giuliano obejrzał się i wyraźnie go rozpoznał.

- Kardynał - ponaglił gorączkowo Francesco, po czym rzucił do mężczyzny: - Dobry człowieku, ser Giuliano spieszy się na pilne spotkanie i błaga cię o wybaczenie. - To rzekłszy, pociągnął Giuliana za ramię w kierunku via Larga.

Baroncelli podążył za nimi. Zdumiewało go, że choć jest przerażony, ręce przestały mu drżeć, a oddech i serce nie odmawiały posłuszeństwa. On i Francesco żartowali, śmiali się i odgrywali role dobrych przyjaciół, usiłujących rozweselić markotnego kompana. Giuliano uśmiechał się blado, lecz pozostawał w tyle, a obydwaj spiskowcy niby dla zabawy na przemian pchali go i ciągnęli do przodu.

- Kardynał czeka - powtórzył Baroncelli co najmniej trzykrotnie.

- Rzeknij no, Giulianie - powiedział Francesco, łapiąc młodzieńca za rękaw. - Czemuż to wzdychasz tak ciężko? Na pewno jakaś dzierlatka skradła ci serce?

Giuliano spuścił wzrok i pokręcił głową - nie tyle w odpowiedzi, ile raczej w geście dającym do zrozumienia, że wolałby nie wnikać w te sprawy.

Francesco natychmiast zmienił temat. Ani na moment wszak nie zwolnił kroku. W

ciągu kilku minut przybyli przed główne wejście Duomo.

Baroncelli przystanął. Myśl, że Giuliano idzie tak wolno, jakby zakuty w ciężką zbroję, nie dawała mu spokoju. Udając spontaniczny gest, złapał młodego Medyceusza i uściskał go mocno.

- Drogi przyjacielu - rzekł. - Serce mi się kraje, gdy widzę, jakżeś nieszczęśliwy. Co mamy uczynić, aby cię pocieszyć?

Giuliano znowu uśmiechnął się z wysiłkiem i lekko potrząsnął głową.

- Nic, mój dobry Bernardzie. Nic.

I w ślad za Franceskiem wszedł do katedry.

A Baroncelli zyskał pewność: Giuliano nie nosił pod tuniką żadnego pancerza.

O wego poranka pod koniec kwietnia Giuliano stał w obliczu trudnej decyzji: musiał wybrać, której z dwu osób, które kochał najbardziej na świecie, złamać serce. Jedno serce należało do jego brata Wawrzyńca, drugie do kobiety. Mimo młodego wieku Giuliano zaznał

wielu miłostek. Jego dawną kochankę Simonettę Battaneo, żonę Marca Vespucciego, wychwalano jako najpiękniejszą kobietę we Florencji aż do śmierci, która zabrała ją przed dwoma laty. Wybrał Simonettę właśnie ze względu na jej urodę: filigranowa, miała mleczną cerę i burzę złocistych loków, które opadały aż za pas. Była tak śliczna, że do grobu niesiono ją w odkrytej trumnie. Z szacunku dla męża i rodziny Giuliano przyglądał się uroczystości z oddali, lecz płakał razem z nimi.

Mimo to nie był nigdy wierny. Flirtował z innymi niewiastami i od czasu do czasu korzystał z talentów ladacznic.

Teraz po raz pierwszy w życiu pożądał tylko jednej kobiety: Anny. Była oczywiście piękna, lecz zauroczyła go raczej jej inteligencja, mądrość czerpania radości z życia i wielka serdeczność. Poznawał ją powoli, przez rozmowy na biesiadach i tańcach. Nigdy nie flirtowała, nigdy nie starała się go zdobyć; właściwie czyniła wszystko, aby go zniechęcić.

Żadna z tuzinów florenckich dam, które zabiegały i rywalizowały o jego względy, nie mogła się z nią równać. Simonetta była mdła i ckliwa, Anna miała duszę poetki, świętej.

Jej dobroć sprawiła, że Giuliano jął postrzegać swe dotychczasowe życie jako odrażające. Porzucił inne kobiety i szukał wyłącznie towarzystwa Anny, chciał zadowolić tylko ją. Na sam jej widok pragnął błagać ją o wybaczenie za swoje dawne miłosne przygody.

Pożądał jej łaski bardziej niż łaski Boga.

I zdało mu się cudem, gdy wreszcie zwierzyła mu się ze swych uczuć: że Bóg stworzył ich dla siebie, lecz zażartował sobie okrutnie, oddawszy ją wcześniej innemu mężczyźnie.

Bez względu na to, jak namiętna była miłość do niego, umiłowanie czystości i cnoty było jeszcze większe. Należała do innego i nie zamierzała zdradzać. Wyznała Giulianowi swoje uczucia, lecz gdy na balu karnawałowym w domu brata znalazł się z nią sam na sam i jął błagać o jej względy, kategorycznie odmówiła. Obowiązek, mówiła. Odpowiedzialność.

Jak Wawrzyniec, nakłaniała go do korzystnego małżeństwa z kobietą, która doda rodzinie jeszcze więcej splendoru.

Giuliano, przyzwyczajony, że dostawał wszystko, czego pragnął, usiłował ją przekonać. Wybłagał, żeby spotkała się z nim na osobności i po prostu go wysłuchała.

Wahała się, lecz w końcu wyraziła zgodę. Spotkali się tylko raz, w *appartamento* na parterze pałacu Medyceuszy. Nie protestowała, gdy wziął ją w ramiona, odwzajemniła jego pocałunek, nie

zamierzała jednak brnąć dalej. Błagał, żeby wyjechała z nim z Florencji, lecz odmówiła.

- On wie - powiedziała zgnębionym głosem. - Rozumiesz? On wie, a ja nie mogę dłużej go ranić.

Giuliano był upartym człowiekiem. Ani Bóg, ani wzgląd na obyczaje nie mogły go pohamować, gdy raz powziął decyzję. Dla Anny gotów był odrzucić perspektywę dobrego ożenku, dla Anny mógł znieść naganę Kościoła, a nawet ekskomunikę i wieczne potępienie.

Prosił więc, by pojechała z nim do Rzymu i zamieszkała w willi należącej do jego rodziny. Medyceusze mieli kontakty w Watykanie; zdobędzie dla niej unieważnienie małżeństwa. Ożeni się z nią. Da jej dzieci.

Czuła się rozdarta, zakryła dłonią usta. Zajrzał w jej oczy i zobaczył tam cierpienie, lecz także promyk nadziei.

- Nie wiem, nie wiem - odrzekła. Pozwolił jej odejść do męża, dając czas na podjęcie decyzji.

Nazajutrz poszedł do Wawrzyńca.

Obudził się wcześniej i nie mógł dłużej spać. Wciąż było ciemno - dwie godziny przed świtem - lecz nie zdziwił się, gdy zobaczył światło w an-tykamerze brata. Wawrzyniec siedział za biurkiem z policzkiem opartym o pięść i ze zmarszczonymi brwiami czytał list przy palącej się lampce.

Zwykle Wawrzyniec podnosił wzrok, uśmiechał się mimo marsa na czole i witał brata; tego dnia jednak zdawał się być w wyjątkowo złym nastroju. Bez słowa powitania zerknął na Giuliana przelotnie i wrócił do listu. Treść tego listu była najwyraźniej przyczyną jego niezadowolenia.

Wawrzyniec potrafił być uparty, przykładał nadmierną wagę do zachowania pozorów, umiał być skłonny do zimnych kalkulacji w polityce i czasami niczym tyran narzucał

Giulianowi to, jak powinien się zachowywać i z kim pokazywać publicznie. Potrafił być też jednak ogromnie wyrozumiały, szczodry i wrażliwy na pragnienia młodszego brata. Chociaż Giuliano nigdy nie pragnął władzy, Wawrzyniec zawsze dzielił się z nim informacjami i rozważał polityczne konsekwencje każdego wydarzenia. Było jasne, że kocha brata z głębi serca i chętnie podzieliłby się z nim władzą nad miastem, gdyby Giuliano wyraził taką wolę.

Strata ojca i konieczność przejęcia władzy w młodym wieku były dla Wawrzyńca wielkim ciężarem. Miał talent, to prawda, ale Giuliano widział, jak go to męczy. Po dziewięciu latach wysiłek zdążył odcisnąć na nim swoje piętno. Na czole pojawiły się zmarszczki, pod oczami kładły się cienie.

Wawrzyniec czerpał przyjemność ze sprawowania władzy i radość z rozszerzania wpływów rodziny, bank Medyceuszy miał filie w Rzymie, Brugii i w większości najważniejszych miast Europy, ale Wawrzyniec czuł się często wycieńczony odgrywaniem roli *gran maestro*. Czasami narzekał: „Nikt w mieście nie chce wziąć ślubu bez mojego błogosławieństwa”. Rzeczywiście. Co tydzień otrzymywał Ust od jakiegoś klasztoru z wiejskich regionów Toskanii z prośbą o radę: ojcowie zgodzili się na wystawienie posągu świętego, dwaj rzeźbiarze ubiegają się o zamówienie. Czy wielki Wawrzyniec byłby tak dobry i wyraził swą opinię? Podobne listy piętrzyły się na biurku codziennie,

a Wawrzyniec wstawał przed świtem i odpowiadał na nie własnoręcznie. Troszczył się o Florencję niczym ojciec o krnąbrne dziecko i każdą chwilę poświęcał staraniom o jej dobrobyt i interesy Medyceuszy.

Z całą ostrością uświadamiał sobie jednak, że nikt go nie kocha i że liczą się tylko przysługi, które może wyświadczyć. Jedyne Giuliano uwielbiał brata naprawdę, dla niego samego. Jedyne Giuliano starał się, żeby Wawrzyniec choć na chwilę zapomniał o obowiązkach; tylko Giuliano umiał go rozśmieszyć. I za to Wawrzyniec kochał go nad życie.

A teraz tej właśnie miłości Giuliano się obawiał.

Wpatrując się w brata, wyprostował się i odchrząknął.

- Wyjeżdżam - powiedział trochę za głośno - do Rzymu. Wawrzyniec uniósł brwi i wzrok, ale nadal siedział nieruchomo.

- Dla przyjemności czy w interesach, o których powinienem wiedzieć?

- Wyjeżdżam z kobietą.

Wawrzyniec westchnął jego czoło się wypogodziło.

- W takim razie baw się dobrze i pamiętaj o mnie i moich tutejszych cierpieniach.

- Jadę z Madonną Anną - dopowiedział Giuliano.

Na dźwięk tego imienia Wawrzyniec uniósł gwałtownie głowę.

- Żartujesz. - Powiedział to lekko, lecz gdy spojrzał na brata, na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie. - Musisz żartować. - Jego głos obniżył się do szeptu. - Nie bądź głupi... Giuliano, ona pochodzi z dobrej rodziny. I jest mężatką.

Giuliano nie zamierzał się ugiąć.

- Kocham ją i muszę z nią być. Poprosiłem, żeby wyjechała ze mną do Rzymu, żebyśmy mogli żyć razem.

Wawrzyniec otworzył szeroko oczy, Ust wysunął mu się z dłoni i z szelestem opadł na podłogę, ale on nawet nie drgnął, by go podnieść.

- Giuliano... czasami każdego z nas zwodzą porywy serca. Owładnęło tobą uczucie, rozumiem to. Ale to minie. Daj sobie dwa tygodnie na gruntowne przemyślenie sprawy.

Ojcowski ton Wawrzyńca umocnił tylko Giuliana w jego postanowieniu.

- Przygotowałem już powóz i woźnicę i powiadomiłem służbę w rzymskiej willi, żeby czekała na nasze przybycie. Musimy się postarać o unieważnienie małżeństwa - powiedział. -

Nie mówię tego z lekkim sercem, ale chcę się ożenić z Anną. Chcę, żeby urodziła mi dzieci.

Wawrzyniec odchylił się do tyłu i spojrzał uważnie na brata, jakby starał się rozstrzygnąć, czy ktoś się pod niego nie podszył. Kiedy przekonał się, że Giuliano mówi poważnie, parsknął gorzkim śmiechem.

- Unieważnienie? Dzięki naszemu dobremu przyjacielowi papieżowi Sykstusowi, jak sądzę? Jego Świątobliwość wolałby raczej nas przepędzić z Włoch raz na zawsze. -

Odepchnął się od biurka, wstał i wyciągnął rękę do brata. Łagodniejszym tonem dodał: - To mrzonka, Giuliano. Rozumiem, że to wspaniała kobieta, ale... jest mężatką od dobrych kilku lat. Nawet gdybym zdołał załatwić unieważnienie, wywołałoby to skandal. Florencja nigdy by się na to nie zgodziła.

Dłoń Wawrzyńca dotykała już niemal barku brata. Giuliano cofnął się, unikając pojednawczego gestu.

- Nie dbam o to, czy Florencja zgodzi się na to, czy nie. Jeśli będzie trzeba, zostaniemy w Rzymie.

Wawrzyniec westchnął, zakłopotany.

- Od Sykstusa nie uzyskasz unieważnienia. Porzuć romantyczne fantazje: jeśli nie możesz bez niej żyć, bierz ją... ale na litość boską, zrób to dyskretnie.

Giuliano zapalał gniewem.

- Jak możesz tak o niej mówić? Znasz Annę, wiesz, że nigdy nie przystałaby na oszustwo. A jeśli nie mogę mieć jej, nie będę miał żadnej innej. Możesz porzucić wysiłki wyswatania mnie z kimś innym. Jeśli nie mogę pojąć jej za żonę...

Nawet gdy to mówił, czuł, że jego argumentacja nie wywiera na bracie żadnego wrażenia. Oczy Wawrzyńca pałały dziwnym światłem - gniewnym i dzikim, graniczącym z szaleństwem - i błysk ten przypomniawszy Giulianowi, że brat jest zdolny do złośliwości i niczemności. Z rzadka widywał to świadło w oczach Wawrzyńca - nigdy przedtem nie było skierowane przeciwko niemu - i na jego widok przeszedł go teraz zimny dreszcz.

- Odmawiasz ożenku z inną kobietą? - Wawrzyniec potrząsnął gwałtownie głową i dodał głośnie: - Masz obowiązki, ciąży na tobie odpowiedzialność wobec rodziny. Myślisz, że dla kaprysu możesz wyjechać do Rzymu i przekazać naszą krew zastępom bękartów?

Zbrukać nasze dobre imię ekskomuniką? Bo tak się właśnie stanie... z obojgiem! Sykstus nie ma ochoty na wielkoduszne gesty wobec Medyceuszy.

Giuliano nie odpowiedział, policzki i szyja piekły go ogniem. Nie spodziewał się niczego innego, choć miał nadzieję na więcej.

Dłoń Wawrzyńca, wyciągnięta ku bratu, zmieniła się w wytykający go oskarżycielsko palec.

- Wiesz, co się stanie z Anną? Jak będą ją nazywali ludzie? To porządna, dobra kobieta. Naprawdę chcesz ją zgubić? Zabierzesz ją do Rzymu i wkrótce znudzisz się jej towarzystwem. Zapragniesz wrócić do Florencji. A co jej zostanie?

Słowa gniewu cisnęły się Giulianowi na usta. Chciał powiedzieć, że choć Wawrzyniec ożenił się z wiedźmą, on, Giuliano, wolałby raczej umrzeć, niż żyć w pozbawionym miłości związku i nigdy nie zmusiłby się do płodzenia dzieci z kobietą, której nienawidzi. Ale milczał, był już dość nieszczęśliwy. Nie było powodu, by Wawrzyniec również cierpiał.

Wawrzyniec prychnął z odrazą.

- Nigdy tego nie uczynisz. Odzyskasz rozsądek. Giuliano spojrzał na niego przeciągle.

- Kocham cię, bracie - powiedział cicho. - Ale wyjeżdżam. Odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

- Jeśli z nią wyjedziesz - zagroził Wawrzyniec - będziesz musiał zapomnieć, że jestem twoim bratem. Nie żartuję, Giuliano. Nie będę miał już z tobą nic wspólnego. Nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Giuliano obejrzał się, nagle przestraszony. On i starszy brat nie żartowali nigdy, gdy rozmawiali o ważnych sprawach - i żaden nie potrafił odstąpić od raz powziętej decyzji.

- Nie stawiaj mnie przed takim wyborem. Wawrzyniec zacisnął zęby, z jego oczu bił chłód.

- Musisz wybrać.

Później, pod wieczór, Giuliano czekał w pokojach Wawrzyńca na parterze, aż nadejdzie pora spotkania z Anną. Cały dzień rozmyślał nad słowami brata o tym, że zrujnuje jej życie, jeśli zabierze ją do Rzymu. Po raz pierwszy pomyślał o losie Anny, gdyby papież odmówił unieważnienia małżeństwa.

Zażnałaby niesławy i upokorzeń; musiałaby zrezygnować z rodziny, przyjaciół, ojczystego miasta. Jej dzieci nazywano by bękartami i odmówiono by im wszelkich praw do dziedzictwa Medyceuszy.

Tak, był egoistą. Myślał wyłącznie o sobie, kiedy składał Annie tę propozycję. Zbyt łatwo prawił jej o możliwości unieważnienia małżeństwa w nadziei, że przekonają tym do wyjazdu. I aż do tej chwili nie wziął pod uwagę, że mogłaby odmówić. Taka możliwość była zbyt bolesna, by o niej myśleć.

Teraz jednak zdał sobie sprawę, że oszczędziłaby mu udreki wyboru.

Ale kiedy wyszedł jej na spotkanie i ujrzał w drzwiach jej twarz w ostatnim blasku światła dnia, zrozumiał, że wybrał już dawno temu: w chwili gdy oddał Annie serce. Jej oczy, skóra, twarz, postać były radością, nawet w półmroku jaśniała. Radośnie przechylona głowa, gdy go zobaczyła, leciutki uśmiech, który wykwitł na wargach, wdzięk, z jakim uniosła spódnice i pośpieszyła ku niemu, mówiły o decyzji dobitniej niżli słowa.



Jej obecność tchnęła weń tyle nadziei, że ruszył ku niej i wziął ją w ramiona, szczęśliwy. W owej chwili zdał sobie sprawę, że niczego nie mógłby jej odmówić, że żadne z nich nie może zatrzymać biegu wypadków. Łzy, które cisnęły mu się do oczu, nie były jednak łzami radości, lecz żalu z powodu utraty brata.

Spotkanie z Anną trwało krócej niż godzinę. Mówili niewiele, tylko tyle, by ustalić czas i miejsce. Żadne inne słowa nie były potrzebne.

A gdy odeszła - zabierając ze sobą światło i pewność siebie Giuliana - wrócił do swoich komnat i kazał przynieść wino. Pił je, siedząc na łóżku, i z nadzwyczajną jasnością przypomniał sobie zdarzenie z dzieciństwa.

Jako sześciolatek wybrał się z Wawrzyńcem i dwiema starszymi siostrami Nanniną i Biancą na piknik nad brzegiem Arno. Pod opieką czerkieskiej niewolnicy przejechali w powozie przez Ponte Vecchio, most zbudowany tysiąc lat wcześniej przez Rzymian. Uwagę Nanniny przykuły towary w sklepikach złotników, które stały wzdłuż mostu. Wkrótce miała wyjść za mąż i interesowała się takimi kobiecymi sprawami.

Wawrzyniec był niespokojny i przygnębiony. Właśnie zaczął wypełniać obowiązki dziedzica Medyceuszy. Rok wcześniej otrzymywał już listy z prośbą o mecenat, a ojciec, Piero, wysyłał najstarszego syna do Mediolanu i Rzymu w sprawach polityki. Nie był urodziwym chłopcem, miał szeroko rozstawione, nieco skośne oczy, wystający podbródek, kasztanowate włosy, które obcięta równo grzywką opadały na białe, niskie czoło. Wrażliwość jednak i inteligencja, które lśniły w jego oczach, czyniły go dziwnie pociągającym.

Dotarli w sielską okolicę parafii San Spirito. Giuliano zapamiętał wysokie drzewa i dywan trawy rozpostarty na łagodnym zboczu brzegu płynącej spokojnie rzeki. Niewolnica rozłożyła na ziemi lniany obrus i wyjęła jedzenie dla dzieci. Była późna wiosna, ciepło, na niebie parę leniwych chmur, choć dzień wcześniej padało. Rzeka Arno wyglądała jak żywe srebro, gdy oświecało ją słońce, i jak ołów, gdy zachodziło za chmurę.

Giuliana smucił ponury nastrój brata. Zdawało się, że ojciec pragnie uczynić z Wawrzyńca dorosłego mężczyznę przed czasem. By go rozśmieszyć, Giuliano podbiegł do wody i beztrząsco ignorując okrzyki oburzonej niewolnicy, całkiem ubrany wskoczył z pluskiem do rzeki.

Figle odniosły skutek - Wawrzyniec ze śmiechem podążył za nim w tunice, płaszczu, nogawicach i ciżemkach. Nannina, Bianca i niewolnica, wszystkie krzyczały w proteście. Ale Wawrzyniec nic sobie z tego nie robił. Był dobrym pływakiem i wkrótce oddalił się znacznie od brzegu, a potem zanurkował pod wodę.

Giuliano popłynął za nim, lecz jako młodszy i słabszy szybko został w tyle. Widział jak Wawrzyniec nabrał duży haust powietrza i zniknął pod szarą powierzchnią.

Nie wynurzał się i Giuliano pluskał się w wodzie ze śmiechem, oczekując, że brat lada chwila podpłynie i złapie go za nogę.

Mijały sekundy. Śmiech Giuliana ucichł, ustępując lękowi. Zaczął wołać brata. Na brzegu kobiety - nie mogąc wejść do wody z powodu ciężkich sukni - krzyczały w panice.

Giuliano był tylko dzieckiem. Nie przewyciężył jeszcze strachu przed nurkowaniem, lecz miłość do brata sprawiła, że nabrał głęboko powietrza i się zanurzył. Zdumiała go cisza dookoła, otworzył oczy i jął wypatrywać Wawrzyńca.

Nurty rzeki zmętniały od wczorajszych deszczy; woda drażniła oczy. Zobaczył tylko ciemny, nieregularny kształt majaczący w oddali. Nie była to ludzka postać, nie był to więc Wawrzyniec, lecz tylko to widział i instynkt nakazał mu ruszyć w tamtym kierunku.

Wynurzył się, nabrał znowu powietrza i przewyciężywszy strach, ponownie zanurkował.

Pod wodą, na głębokości równej wzrostowi trzech dorosłych mężczyzn, spoczywały sękaty konary powalonego drzewa.

Giuliano czuł pieczenie w płucach, ale przeświadczenie, że Wawrzyniec jest gdzieś w pobliżu, kazało mu schodzić w głąb cichej wody. Ostatnim, bolesnym ruchem ramion sięgnął zatopionych gałęzi i przycisnął dłoń do śliskiej powierzchni pnia.

Od razu dziwnie zakręciło mu się w głowie i usłyszał szum w uszach; zacisnął mocno powieki, otworzył usta, łapiąc oddech. Zamiast powietrza nabrał haust zamulonej wody.

Zakrztusił się i odruchowo nabrał w płuca jeszcze więcej wody.

Giuliano tonął.

Choć był dzieckiem, jasno zdał sobie sprawę, że umiera. Z tą świadomością otworzył oczy, by po raz ostatni zobaczyć ziemię i zabrać jej wspomnienie do nieba.

W tej chwili wysoko nad jego głową przesunęła się chmura, a promień słońca przedarł się przez wodę i rozjaśnił mętne tonie tuż przed oczami chłopca.

Na wyciągnięcie ramienia wpatrywał się w niego tonący Wawrzyniec. Jego tunika i płaszcz zaczepiły o wystającą gałąź, młodzieniec zaplątał się w nich, usiłując wyswobodzić.

Obaj bracia mieli zatem umrzeć w tej samej chwili. Giuliano z dziecinną szczerością zaczął się modlić: Boże, pozwól mi uratować brata.

Cudownym trafem oderwał ubrania od gałęzi.

Uwolniony Wawrzyniec złapał Giuliana za ręce i pociągnął ku powierzchni.

Od tamtego momentu wspomnienia Giuliana stawały się mgliste. Pamiętał tylko urywki: to, jak

wymiotował na trawiastym brzegu, kiedy niewolnica klepała go w plecy, a Wawrzyniec, mokry i owinięty lnianym obrusem, wołał: „Bracie, odezwij się do mnie!” Jak później w drodze do domu Wawrzyniec, wściekły i bliski łez, mówił: „Nigdy nie ryzykuj dla mnie życia! O mało nie zginąłeś! Ojciec nigdy by mi nie wybaczył!” A niewypowiedziane słowa mówiły jeszcze głośniej: Wawrzyniec nigdy by sobie sam nie wybaczył.

Giuliano wspominał tamten incydent i przełykał wino, nie czując smaku. Z radością oddałby życie, by ocalić Wawrzyńca - równie łatwo i bez zastanowienia jak Wawrzyniec poświęciłby swoje, żeby uratować młodszego brata. Zakrawało na złośliwość, że Giuliano otrzymał od Boga dar miłości Anny tylko po to, by tym samym zranić człowieka, którego kochał najbardziej.

Siedział tak kilka godzin, patrząc, jak zapada coraz głębsza ciemność, a potem jak noc rozjaśnia się powoli i świta dzień. Miał wyjechać do Rzymu. Nie wiedział, czemu kardynałowi tak bardzo zależy na jego obecności na mszy, lecz skoro Wawrzyniec poprosił

go o przybycie, musiał to uczynić.

Z nagłym przypływem nadziei pomyślał, że Wawrzyniec zmienił zdanie, jego gniew przygasł, czyniąc go bardziej skłonny do ustępstwa.

Wziął się w garść i jak na dobrego brata przystało, udał się na mszę.

Przy wejściu do katedry Baroncelli zawahał się, gdy na krótko wróciła 'j\*/mu trzeźwość sądu. Nadarzała się okazja, by uciec losowi, ostatnia szansa, kiedy może pobiec do swojej rezydencji, wsiąść na konia i wyruszyć do jakiegokolwiek królestwa, gdzie ani spiskowcy, ani ich ofiary nie mają żadnych wpływów. Pazzi byli potężni i wytrwali, zdolni do wielkich wysiłków, byle go dopaść - ale brakowało im rozległych kontaktów i zawziętości Medyceuszy.

Francesco odwrócił się i ponaglił Baroncellego morderczym spojrzeniem. Giuliano, wciąż pochłonięty swymi zgrzyotami, z niezdecydowanym Baroncellim u boku ruszył za Franceskiem do środka. Baroncelli poczuł się, jakby właśnie przekroczył próg szaleństwa.

Zasnute mgiełką dymu powietrze pachniało kadzidłem i potem. Olbrzymie wnętrze świątyni tonęło w półmroku, tylko przestrzeń wokół ołtarza lśniła od strumieni słonecznego światła, spływających przez podłużne okna w kopule.

Znów najmniej rzucającą się w oczy drogą wzdłuż północnej ściany Francesco ruszył

w kierunku ołtarza, a tuż za nim Giuliano i Baroncelli. Baroncelli mógłby zamknąć oczy i Znaleźć drogę samym powonieniem, od smrodu biedoty i kmiecego stanu po lawendowy zapach kupiectwa i różaną woń bogaczy.

Nie widząc jeszcze księdza, Baroncelli usłyszał słowa homilii. Serce zabiło mu szybciej: ledwo zdążyli, wkrótce miała nastąpić eucharystia.

Po długim marszu w głąb nawy Baroncelli i jego towarzysze dotarli do pierwszego rzędu. Wszeptawszy przeprosiny, zajęli swoje miejsca. Nastąpiło chwilowe zamieszanie, gdy Baroncelli usiłował precyzyjnie się obok Giuliana i stanąć po jego prawej stronie, tak jak zakładał plan. Giuliano nie pojął zamiarów Baroncellego i przysunął się do Francesca - który wówczas szepnął mu coś do ucha. Giuliano kiwnął głową, zrobił krok do tyłu i dał przejść Baroncellemu, lecz otarł się o ramię pokutnika, który stał za jego plecami.

Zarówno Francesco de'Pazzi, jak i Baroncelli z zapartym tchem patrzyli, czy Giuliano odwróci się i przeprosi potrąconego mężczyznę i czy go rozpozna. Ale Giuliano stał

pogrążony w swoim cierpieniu.

Baroncelli wyrzwał, żeby sprawdzić, czy Wawrzyniec cokolwiek zauważył: na szczęście starszy z braci Medyceuszy był zajęty słuchaniem szeptanych na ucho uwag kierownika rodzinnego banku, Francesca Noriego.

Cudownym trafem wszystko znalazło się na swoim miejscu. Baroncelli nie miał już nic do zrobienia, mógł tylko czekać - i udawać, że słucha kazania, jednocześnie powstrzymując się od sięgnięcia po broń przy biodrze.

Słowa księdza zdawały się bezsensowne; Baroncelli usiłował je pojąć. „Wybaczej”, mówił prałat.

„Miłuj bliźniego swego. Miłuj wrogi swoje, módl się za swych prześladowców”.

Myśl Baroncellego uczepiła się tych zdań. Wawrzyniec Medyceusz sam osobiście wybrał kaznodzieję na niedzielną mszę. Czyżby wiedział o sprzysiężeniu? Czy te na pozór zwykłe słowa są przestrożą, żeby spiskowcy odstępili od zamachu?

Baroncelli zerknął na stojącego obok Francesca deTazziego. Jeśli nawet zrozumiał

ukrytą między wierszami wiadomość, nie dał tego po sobie poznać. Patrzył prosto na ołtarz niewidzącym wzrokiem, otwarte szeroko oczy lśniły lękiem i nienawiścią. Mięśnie na wąskiej szczęce drgały szaleńczo.

Kazanie dobiegło końca.

Następne części mszy następowały po sobie z niemal komiczną szybkością.

Odśpiewano wyznanie wiary. Kapłan zaintonował *Dominus vobiscum* i *Oremus*. Hostia została konsekrowana modlitwą *Suscipe sancte Pater*.

Baroncelli wciągnął powietrze i miał wrażenie, że nigdy nie uda mu się go wypuścić.

Ceremonia gwałtownie zwolniła bieg. W uszach słyszał rozpaczliwe kołatanie serca.

Jeden z ministrantów zbliżył się do ołtarza, żeby napełnić złoty puchar winem, drugi dołał trochę wody z kryształowej karafki.

Wreszcie ksiądz ostrożnie uniósł kielich ku niebu, ofiarowując go wyrzeźbionej w drewnie figurze cierpiącego na krzyżu Chrystusa nad ołtarzem.

Baroncelli podążył wzrokiem za pucharem. Promień słońca padł na złote naczynie i odbił się od metalu oślepiającym blaskiem.

I znowu ksiądz zaśpiewał drżącym tenorem o lekko oskarżycielskim zabarwieniu.

*Offerimus tibi Domine...*

Baroncelli odwrócił się i spojrzał w bok na młodszego z Medyceuszy. Giuliano miał

poważną minę i zamknięte oczy. Prawą dłoń zwarł w pięść, lewa zaciskała się na niej. Obie przytknął mocno do warg. Schylił głowę, jakby przygotowywał się na spotkanie ze śmiercią.

To głupota, pomyślał Baroncelli. Nie żywił osobistej urazy do tego człowieka, właściwie lubił Giuliana, który przecież nigdy nie prosił o to, by się urodzić Medyceuszem.

Waśń między nimi była czysto politycznej natury i z pewnością nie na tyle poważna, by usprawiedliwić to, co Baroncelli miał za chwilę uczynić.

Francesco de'Pazzi szturchnął Baroncellego między żebra, przekazując bez słów wiadomość o doskonale jasnej treści: „Teraz! Teraz!”

Baroncelli wydał z siebie niezdecydowane, ledwie słyszalne westchnienie i wy dobył z pochwy broń.

C chwilę wcześniej Wawrzyniec Medyceusz był zajęty dworną, lecz przyciszoną rozmową z kardynałem Raffaelem Riario. Choć ksiądz kończył jeszcze kazanie, bogaci i możni obywatele Florencji nie widzieli nic zdrożnego w rozmowach o sprawach prywatnych albo publicznych - sotto voce - podczas mszy. Okazja towarzyska była po prostu zbyt wielka, by z niej nie skorzystać, a księży dawno do tego przywykli. Chudy i patykowany Riario wyglądał na mniej niż swoje siedemnaście lat i choć był obecnie studentem prawa uniwersytetu w Pizie, przyjęto go na uczelnię wyraźnie ze względu na pokrewieństwo z papieżem Sykstusem, a nie z racji wrodzonej inteligencji.

Sykstus zwał go siostrzeńcem. Był to eufemizm, jakim papież i kardynałowie określali swoje potomstwo z nieprawego łoża. Papież był nadzwyczaj bystrym człowiekiem, lecz widocznie spłodził chłopca z kobietą o zaletach innych niż uroda czy też rozum.

Mimo to Wawrzyniec czuł się zobowiązany umilić młodemu kardynałowi pobyt we Florencji. Riario specjalnie poprosił o spotkanie z braćmi Medyceuszami i zwiedzenie ich posiadłości oraz kolekcji sztuki. Chodziło więc o tak zwanego siostrzeńca papieża i choć Wawrzyniec doznał publicznego upokorzenia ze strony Sykstusa i został wręcz zmuszony do milczenia, gdy rodzina Pazzich zajęła miejsce papieskich bankierów - mógł to być zwiastun ocieplenia stosunków. Może Sykstus dążył do zawarcia zgody, a pająkowany nastolatek w szkarłatnych szatach był jego emisariuszem.

Wawrzyniec z niecierpliwością czekał na powrót do rodzinnego pałacu, aby przekonać się, czy tak jest w istocie. W przeciwnym razie wizyta kardynała wielce by go rozdrażniła, bo oznaczałoby, że Sykstus bezczelnie wykorzystał gościnność Wawrzyńca. Byłaby to kolejna zniewaga.

Na wypadek gdyby jednak było inaczej, Wawrzyniec kazał przygotować po mszy wspanią ucztę na cześć kardynała. A gdyby młody Raffael przyjechał wyłącznie po to, by nacieszyć oczy bogactwem medycejskich zbiorów sztuki, przynajmniej doniósłby później wujowi, że Wawrzyniec przyjął go szczerze i z należnymi honorami. Takie dyplomatyczne otwarcie Wawrzyniec maksymalnie by wykorzystał, gdyż stanowczo zamierzał odzyskać pieczę nad papieskimi kuframi i wyrwać je z rąk banku Pazzich.

Wawrzyniec zachowywał się więc jak najłaskawiej, mimo że Francesco Sahdati, arcybiskup Pizy, stał po drugiej stronie Riaria, uśmiechając się nieszczercze. Wawrzyniec nie miał nic do Salviatego, choć długo i zawzięcie walczył przeciwko jego nominacji. Piza znajdowała się pod zwierzchnictwem Florencji i należał się jej arcybiskup z krwi medycejskiej - a Salviati był spokrewniony z Pazzimi, którzy już i tak zyskali zbyt wielkie względy papieża. Choć Medyceusze i Pazzi publicznie odnosili się do siebie z przyjaźnią, na arenie politycznej i gospodarczej nie było bardziej zaciętych wrogów. Wawrzyniec napisał do Sykstusa żarliwy list, w którym tłumaczył, dlaczego mianowanie krewnego Pazzich na arcybiskupa będzie katastrofalne dla interesów papieskich i medycejskich.

Sykstus nie tylko nie odpowiedział, lecz ostatecznie odebrał Medyceuszom przywilej papieskich bankierów.

Większość uznałaby prośbę papieża o przyjęcie Riaria i Salviatego jako honorowych gości za

potwarz dla Medyceuszy. Wawrzyniec z dyplomatyczną dalekowzrocznością powitał

ich z otwartymi ramionami. Nalegał też, by jego drogi przyjaciel i główny administrator banku Medyceuszy Francesco Nori nie okazał im śladu wrogości. Nori, który stał teraz obok niego, oferując milczące wsparcie, rozpaczliwie usiłował opiekować się Wawrzyńcem. Gdy z Rzymu nadeszły wieści o mianowaniu Pazzich bankierami papieża i odsunięciu Medyceuszy, Nori pieklił się i pomstował bez końca. Wawrzyniec musiał uspokoić swojego pracownika, choć sam z trudem panował nad gniewem i niewiele mówił na temat całej sprawy. Nie mógł

tracić energii na próżny żal, już zajęty planami odzyskania względów Sykstusa.

Tak więc wymieniał uprzejmości z młodym kardynałem przez całą mszę, z daleka uśmiechnął się na powitanie Pazzich, którzy w komplecie stawili się na nabożeństwie.

Większość z nich zebrała się po drugiej stronie nawy, z wyjątkiem Guglielma deTazziego, który uczepił się arcybiskupa niczym rzep psiego ogona. Wawrzyniec szczerze lubił

Guglielma, znał go, odkąd sam był szesnastoletnim chłopcem, a Guglielmo towarzyszył mu w podróży do Neapolu, gdzie miał się spotkać z następcą tronu, księciem Federigo. Starszy mężczyzna traktował go wtedy jak syna i Wawrzyniec nigdy mu tego nie zapomniał. Później Guglielmo pojął za żonę starszą siostrę Wawrzyńca Biancę, czym umocnił swoją pozycję przyjaciela Medyceuszy.

Na początku kazania młody kardynał uśmiechnął się dziwnie i szepnął:

- Twój brat... gdzież jest twój brat, panie? Sądziłem, że niechybnie przyjdzie na mszę i bardzo liczyłem, że go poznam.

Pytanie zaskoczyło Wawrzyńca. Chociaż Giuliano uprzejmie przebąkiwał coś o tym, że przyjdzie na mszę, żeby poznać kardynała Riario, Wawrzyniec był pewien, że nikt, a najmniej sam Giuliano, nie brał tej obietnicy poważnie. Jako najsztywniejszy bawidamek we Florencji Giuliano był znany z tego, że nie pojawiał się na oficjalnych ani dyplomatycznych uroczystościach - chyba że Wawrzyniec bardzo nalegał (a z pewnością nie było tak w tym wypadku). W każdym razie Giuliano zdążył oznajmić, że nie weźmie udziału w obiedzie.

Wczoraj w głębokie zdumienie wprawiła Wawrzyńca rozmowa z bratem, kiedy Giuliano oświadczył, że ma zamiar uciec do Rzymu z mężatką. Do tej pory Giuliano nie traktował żadnej ze swych kochanek poważnie; nigdy wcześniej nie wygłaszał podobnych bzdur i nie mówił o małżeństwie. Zawsze rozumiało się samo przez się, że gdy nadejdzie czas, Wawrzyniec wybierze mu żonę, a Giuliano podporządkuje się jego woli.

Tym razem jednak Giuliano nieugięcie obstawał przy anulowaniu małżeństwa ukochanej, a ten cel - w wypadku gdyby kardynał Riario nie przybył z gałązką oliwną od papieża - znajdował się daleko poza zasięgiem Wawrzyńca.

Bał się o młodszego brata. Giuliano był zbyt ufny, nazbyt skłonny do dostrzegania w ludziach tego, co dobre. Nie zdawał sobie sprawy z tego, ilu ma wrogów - i to wrogów, którzy nienawidzą go



wyłącznie dlatego, że urodził się Medyceuszem. W przeciwieństwie do Wawrzyńca nie rozumiał, że wykorzystaliby natychmiast skandal z Anną, aby go zniszczyć.

Giuliano, z natury łagodny, myślał wyłącznie o swojej miłości. I choć to było konieczne, Wawrzyniec nie chciał być dla niego okrutny. Nie mógł też winić Giuliana za szlachetne uwielbienie wobec płci nadobnej. Czasami tęsknił za swobodą, jaką cieszył się młodszy brat. Szczególnie dziś mu zazdrościł: wolałby leżeć w ramionach pięknej kobiety i niechby Giuliano zajął się papieskim siostrzeńcem... który wciąż spoglądał grzecznie na Wawrzyńca, czekając na odpowiedź, gdzie bawi jego niesubordynowany brat.

Byłoby nieuprzejmie powiedzieć kardynałowi prawdę: że Giuliano nigdy nie miał zamiaru przyjść na mszę ani poznać Riaria, Wawrzyniec więc uciekł się do niewinnego kłamstwa.

- Coś musiało go zatrzymać. Z pewnością wkrótce się zjawi. Wiem, że bardzo pragnie poznać Waszą Eminencję.

Riario zamrugał, zaciskając dziewczęce wargi.

No cóż, pomyślał Wawrzyniec. Możliwe, że zainteresowanie młodego Raffaęła nie wynikało tylko z powierzchownie rozumianej dyplomacji. Legendarna uroda Giuliana budziła namiętności równie wielu mężczyzn, co kobiet.

Guglielmo de'Pazzi pochylił się i poklepał kardynała pokrzepiająco po barku.

- Nie obawiaj się, panie. Przyjdzie. Medyceusze zawsze dobrze traktują swoich gości.

Wawrzyniec uśmiechnął się do niego ciepło. Guglielmo spuścił wzrok, nie spojrzawszy mu w oczy, i kiwnął głową, choć nie odwzajemnił uśmiechu. Gest wydawał się dziwny, lecz uwagę Wawrzyńca odwrócił szept Francesca Noriego.

- *Maestro...* pański brat właśnie przybył.

- Sam?

Nori zerknął przelotnie w lewo, ku północnej ścianie zakrystii.

- Z Franceskiem de'Pazzim i Bernardem Baroncellim. Nie podoba mi się to.

Wawrzyniec zmarszczył brwi. Jemu też nie przypadło to do gustu. Przywitał się już z Franceskiem i Baroncellim tuż po wejściu do katedry. Instykt dyplomaty wziął jednak górę.

Pochylił głowę w stronę Raffaęła Riaria i rzekł półgłosem:

- Widzicie, Wasza Eminencjo? Mój brat właśnie przyszedł.

Kardynał Riario wychylił się do przodu, spojrział w lewo i zobaczył Giuliana. Posłał

Wawrzyńcowi dziwny, ukradkowy uśmiech i z gwałtownym ruchem głowy znów popatrzył na ołtarz, gdzie kapłan błogosławił świętą hostię.

Zachowanie młodzieńca było tak osobliwe, tak nerwowe, że Wawrzyniec poczuł lekki niepokój. Florencja zawsze huczała od plotek, z których większość lekceważył, lecz Nori niedawno doniósł, że Wawrzyniec znajduje się w niebezpieczeństwie i że wrogowie planują atak na jego osobę. Jak zwykle Nori nie umiał podać żadnych konkretów.

„To śmieszne”, prychnął wówczas Wawrzyniec. „Ludzie zawsze będą plotkować, ale my jesteśmy Medyceuszami i sam papież może nas wprawdzie obrazić, lecz nawet on nie śmiałyby podnieść przeciwko nam ręki”.

Teraz zaczął w to wątpić. Wymacał pod płaszczem rękojeść krótkiego miecza i zacisnął na niej *dłoń*.

W chwilę później z miejsca, na które zerknął Riario, dobiegł krzyk - męski głos, niezrozumiałe słowa, pełne gniewu. Zaczęły bić dzwony dzwonnicy Giotto.

Wawrzyniec w jednym mgnieniu zorientował się, że plotki Noriego to szczerą prawdą.

Dwa pierwsze rzędy wiernych złamały szyk i scena przemieniła się w niezdarny taniec miotających się ciał. Gdzieś niedaleko rozległ się krzyk kobiety. Salviati zniknął, młody kardynał rzucił się na ołtarz i ukląkł, łkając spazmatycznie. Guglielmo deTazzi, wyraźnie przerażony, załamywał ręce i skamlał:

- Nie zdradziłem! Nic nie wiedziałem! Nic! Na Boga, Wawrzyńcu, jestem niewinny!

Wawrzyniec nie zobaczył ręki, która wyciągnęła się za nim i spoczęła na jego lewym barku, lecz poczuł jej dotyk, jakby raziała go błyskawica. Z wdziękiem i siłą, które brały się z wieloletniej praktyki szermierczej, skokiem w przód wyrwał się z uścisku niewidocznego wroga, wyciągnął miecz i wykonał półobrót.

Podczas nagłego ruchu ostra klinga drasnęła go tuż pod prawym uchem. Mimo woli stęknął, czując rozstępującą się skórę i ciepły płyn spływający po szyi na bark. Utrzymał się na nogach i podniósł miecz, gotowy odparować kolejne ciosy. Przed sobą zobaczył dwóch mnichów: jeden drżał osłonięty małą tarczą, bez przekonania dzierżąc w dłoni miecz i zerkając na biegających wokół ludzi - większość parła ku wyjściu. Do skupienia uwagi zmusił go w końcu giermek Wawrzyńca, Marco, muskularny mężczyzna, który brak wprawy we władaniu mieczem nadrabiał brutalną siłą i werwą.

Drugi mnich - z dzikimi oczyma wpatrzonymi w Wawrzyńca - uniósł broń do następnego ataku.

Wawrzyniec odparował cios, potem drugi. Rozczochrany, bladolicy, nieogolony mnich miał ogniste oczy i wykrzywione usta szaleńca. Miał również siłę szaleńca i Wawrzyniec o mało nie ugiął się pod jego ciosami. Stal dzwoniła o stal, odbijając się echem od wysokiego sklepienia prawie opustoszałej katedry.

Dwaj szermierze zwarli się, przyciskając rękojeść do rękojeści z taką siłą i zaciętością, że

Wawrzyńcowi zadrżała ręka. Spojrzał w oczy zagorzałego wroga i zachłysnął się na widok uczuć, jakie w nich zobaczył.

Gdy tak stali ze skrzyżowanymi klingami i żaden ani myślał ustąpić, Wawrzyniec zawołał:

- Czemu mnie tak nienawidzisz?

Pytał szczerze. Zawsze pragnął dla Florencji i jej obywateli tego, co najlepsze. Nie pojmował nienawiści, jaką inni odczuwali na dźwięk nazwiska „Medyceusz”.

- W imię Boże - odparł mnich. Jego twarz znajdowała się tuż przy twarzy człowieka, którego zamierzał zabić. Po bladym czole spływały strużki potu, Wawrzyniec czuł na policzku jego gorący oddech. Miał długi, wąski nos arystokraty - prawdopodobnie pochodził ze starej, szacownej rodziny.

- Z miłości do Boga!

I szarpnął mieczem do tyłu tak gwałtownie, że Wawrzyniec poleciał do przodu, niebezpiecznie blisko ostrza.

Gdy Baroncelli wyciągnął z pochwy długi nóż i uniósł go nad głowę, pamiętał

wszystkie z tuzina zdań, które przygotował na tę okazję. Żadne jednak nie przyszło mu do głowy i ostatecznie wydał z siebie okrzyk, który zabrzmiał idiotycznie nawet w jego własnych uszach: - A masz, zdrajco!

Kościelne dzwony zaczęły bić, gdy Giuliano uniósł wzrok. Na widok ostrza ze zdziwieniem otworzył oczy szerzej. Baroncelli się nie zawahał. Zadał cios.

Wawrzyniec stracił równowagę i runął w kierunku przeciwnika. Z płuc wyrwał mu się ryk, gdy zdał sobie sprawę, że nie uda mu się unieść miecza i w porę zablokować nadchodzący cios.

Zanim jednak mnich z dzikim wzrokiem zdołał upuścić Wawrzyńcowi więcej krwi, swego pracodawcę zasłonił Francesco Nori z dobytym mieczem. Inni przyjaciele i poplecznicy okrążyli niedoszłych zabójców. Wawrzyniec mgliście zdawał sobie sprawę z obecności Angela Poliziana, postarzałego i otyłego architekta Michelozza, rodzinnego rzeźbiarza Verrocchia, współpracownika Antonia Ridolfa, dobrego znajomego Sigismonda delia Stuffy. Wszyscy oni odgradzili go od napastnika i spychali w kierunku ołtarza.

Wawrzyniec stawiał opór.

- Giuliano! - zawołał. - Bracie, gdzie jesteś?

- Znajdziemy go i obronimy. A teraz idź! - rozkazał Nori, wskazując podbródkiem ołtarz, gdzie przerażony ksiądz upuścił pełny puchar i poplamiał obrus winem.

Wawrzyniec się zawahał.

- Biegnij! - krzyknął Nori. - Idą tu! Schowaj się w zakrystii! Wawrzyniec nie miał

pojęcia, kim są ci „oni”, lecz postanowił działać.

Nadal ściskając w ręku miecz, jednym susem przesadził niską balustradę i wskoczył

do ośmiokątnej budowli z rzeźbionego drewna, gdzie znajdowały się miejsca dla chóru.

Chłopcy rozpierzchli się z krzykiem, ich białe szaty załopotwały niczym skrzydła spłoszonych ptaków.

Mając obrońców za plecami, Wawrzyniec przecisnął się przez uciekających chórzystów do wielkiego ołtarza. Szczypiący dym kadzidła mieszał się z aromatem rozlanego wina, paliły się dwie wysokie, ciężkie świece. Ksiądz i ministranci otaczali teraz opiekuńczo zapłakanego Riaria. Wawrzyniec zamrugał. Powidok płonących świec o mało go nie oślepił.

Poczuł zawrót głowy i przyłożył wolną rękę do szyi. Była zakrwawiona.

Siłą woli, ze względu na Giuliana, powstrzymał się od zemdlenia. Nie pozwolił sobie nawet na chwilę słabości, póki brat nie będzie bezpieczny.

W tej samej chwili, w której Wawrzyniec pobiegł do zakrystii, Francesco de'Pazzi i Bernardo Baroncelli przepychali się przez nawę najwyraźniej nieświadomi, że oddalają się od celu.

Wawrzyniec zatrzymał się w pół kroku, aby na nich spojrzeć, powodując serię potknięć w podążającej za nim świcie.

Pochód prowadził Baroncelli, wywijając długim nożem i wykrzykując coś niezrozumiale. Francesco mocno utykał, miał zakrwawione udo i obryzganą krwią tunikę.

Wawrzyniec usiłował między otaczającymi go towarzyszami i poza skłębionymi ciałami dojrzeć miejsce, gdzie stał poprzednio brat. Na próżno, ludzie zasłaniali mu widok.

- Giuliano! - wykrzyknął ile sił w płucach, modląc się, żeby brat usłyszał go w tym piekielnym zgiełku i zamęcie. - Giuliano! Gdzie jesteś? Bracie, odezwij się!

Tłum zamknął się wokół niego.

- Już wszystko dobrze - powiedział ktoś tonem tak niepewnym, że nie przyniósł żadnej pociechy.

Wszystko nie mogło być dobrze, skoro zaginął Giuliano. Od śmierci ojca Wawrzyniec opiekował się bratem z troską i braterską, i ojcowską.

- Giuliano! - zawołał znowu. - Giuliano...!

- Nie ma go tutaj! - odpowiedział przytłumiony głos.

Myśląc, że brat ruszył w głąb nawy, Wawrzyniec odwrócił się w tamtą stronę.

Przyjaciele wciąż walczyli z zamachowcami. Niższy mnich z tarczą uciekł, lecz szalenciec nie dawał za wygraną, choć przegrywał pojedynek z Markiem. Giuliana nie było nigdzie w pobliżu.

Wawrzyniec znowu się odwrócił, lecz jego wzrok przykuł błysk stali.

Klinga należała do Bernarda Baroncellego. Z brutalnością, o jaką Wawrzyniec nigdy by go nie podejrzewał, Baroncelli wbił ostrze w brzuch Francesca Noriego. Nori wybałuszył

oczy, spoglądając w dół, wargi uformowały mu się w małe, idealne „o”, gdy padał do tyłu, zsuwając się z długiego noża Baroncellego.

Wawrzyniec zaszlochał. Poliziano i delia Stuffa popchnęli go w kierunku wysokich drzwi do zakrystii.

- Weźcie Francesca! - błagał. - Niech ktoś zabierze Francesca. On żyje, jestem pewien!

Usiłował znowu się odwrócić, zawołać brata, ale tym razem obstawa nie pozwoliła mu wstrzymać nieustępliwego marszu do zakrystii. Wawrzyniec czuł ból w piersi tak brutalny, że myślał, iż pęknie mu serce.

Skrzywdził Giuliana. Zranił go w momencie, gdy brat był najbardziej podatny na cios, a gdy Giuliano powiedział: „Kocham cię, bracie... Proszę, nie stawiaj mnie przed takim wyborem”, Wawrzyniec okazał się okrutny. Odwrócił się od niego, odmówił mu pomocy -

jedynej rzeczy, którą był Giulianowi winien nade wszystko.

Jak mógł wyjaśnić innym, że nigdy nie zostawi młodszego brata na pastwę losu? Jak mógł wytłumaczyć odpowiedzialność, jaką czuł wobec Giuliana, który stracił ojca w młodym wieku i zawsze zwracał się do Wawrzyńca o radę? Jak mógł wyjaśnić obietnicę, którą złożył ojcu, gdy ten leżał na łożu śmierci? Wszyscy aż nazbyt troszczyli się o bezpieczeństwo Wawrzyńca Wspaniałego, // *Magnifico*, którego uważali za największego człowieka we Florencji, ale mylili się, mylili się wszyscy.

Wepchnęli go za grube, ciężkie drzwi zakrystii. Zatrzasnęli je, gdy tylko ktoś się wymknął, by przynieść ранego Noriego.

Wnętrze dusznej, pozbawionej okien komnaty pachniało winem mszalnym i kurzem, który pokrywał szaty liturgiczne. Wawrzyniec chwycił każdego z obecnych, przyglądał się każdej twarzy i wciąż spotykał go zawód. Największego człowieka we Florencji tutaj nie było.

Pomyślał o olbrzymim, zakrzywionym nożu Baroncellego i jaskrawej krwi na udzie i tunice Francesca de'Pazziego. Obraz ten kazał mu ruszyć do drzwi z zamiarem niesienia bratu pomocy. Della Stuffa wyczuł jego intencje i natychmiast zagroził wyjście własnym ciałem.

Wkrótce dołączył do niego stary Michelozzo, a później Antonio Ridolfo; ciężar trzech mężczyzn stanowił skuteczną zaporę i drzwi ani drgnęły. Odepchnęli Wawrzyńca. W ich twarzach była posępna, milcząca, niewypowiedziana wiedza, której Wawrzyniec nie mógł i nie chciał przyjąć do wiadomości.

W histerii bił w zimny mosiądz drzwi, aż rozbolały go pięści - a potem walił dalej, aż zaczęły krwawić. Uczony Angelo Poliziano próbował obwiązać kawałkiem wełny, odprutym z własnego płaszcza, broczącą ranę na szyi Wawrzyńca. Wawrzyniec odtrącał natręta, lecz Poliziano nie dał za wygraną, póki nie zabandażował rany.

Przez cały czas Wawrzyniec nie zaprzestał swych gorączkowych wysiłków.

- Mój brat! - krzyczał przeraźliwie i nie reagował na pocieszenia, nie chciał się uspokoić ani uciszyć.  
- Muszę go znaleźć! Mój brat! Gdzie jest mój brat...!

Parę chwil wcześniej Giuliano ze zdziwieniem spojrzał w górę, gdy Ba-roncelli uniósł

nad głowę wielki nóż - z ostrzem wycelowanym prosto w jego serce.

Wszystko wydarzyło się zbyt szybko, by Giuliano zdążył się przestraszyć.

Instynktownie cofnął się i napotkał plecami opór tak stanowczy i silny, że bez wątplenia człowiek z tyłu też należał do spisku. Giuliano zerknął za siebie i zobaczył mężczyznę ubranego w szaty pokutnika - po chwili stęknął, czując piekący chłód stali wrzynającej się w plecy, tuż pod żebrami.

Został straszliwie zraniony. Był otoczony przez skrytobójców, skazany na śmierć.

Świadomość tego nie martwiła go tak bardzo, jak fakt, że jest w potrzasku i nie może ostrzec Wawrzyńca. Z pewnością brat będzie następnym celem.

- Wawrzyniec... - powiedział, gdy nóż Baroncellego opadł wreszcie, a od klingi odbiły się setki małych promyków świateł na ołtarzu. Imię brata zagłuszył przerażony, bezsensowny okrzyk Baroncellego:

- A masz, zdrajco!

Ostrze trafiło Giuliana między dwa górne żebra. Młody Medyceusz usłyszał stłumiony chrupot kości i poczuł drugi spazm bólu tak dotkliwy, że odebrał mu dech.

Gładko ogolona twarz Baroncellego, tak blisko twarzy Giuliana, lśniła od potu.

Stęknął z wysiłku, gdy wyciągał nóż z rany. Ostrze wysunęło się z sykiem. Giuliano usiłował

złapać oddech, znowu zawołać Wawrzyńca, lecz okrzyk okazał się cichszy niż szept.

I gdy tak patrzył w górę na nóż, a Baroncelli przygotowywał się do następnego ciosu, Giuliano przeniósł się w inne miejsce, w inny czas: nad rzekę Arno, w dawno minionym dniu późną wiosną.

Woła brata, lecz odpowiedź nie nadchodzi. Wawrzyniec zniknął pod spienioną wodą.

Giuliana pieką oczy. Nie może zdobyć się na wysiłek, nie może oddychać, ale wie, co musi uczynić.

„Dobry Boże - modli się z dziecięcą szczerością. - Pozwól mi uratować brata”.

Resztą sił, których już nie ma, rzuca się plecami w tył, popycha pokutnika, który nastąpiwszy na rąbek płaszcza, pada na posadzkę zaplątany we własne szaty.

Giuliano może uciec, oddalić się od napastników - lecz wie, że ich głównym celem jest Wawrzyniec.

Czas zwalnia bieg dokładnie tak, jak owego dnia nad Arno. Giuliano postanawia dokonać niemożliwego i utworzyć barierę między spiskowcami a Wawrzyńcem. Skoro nie może ostrzec brata krzykiem, może przynajmniej opóźnić działanie morderców.

Słyszy głos Wawrzyńca: „Giuliano! Bracie, odezwij się do mnie!” Nie umiałby powiedzieć, czy głos

dochodzi z wnętrza Duomo, czy jest to echo z dzieciństwa, głos jedenastoletniego chłopca na brzegu rzeki. Pragnie powiedzieć bratu, żeby uciekał, ale nie może mówić. Usiłuje zaczerpnąć tchu i krztusi się ciepłym płynem.

Baroncelli próbuje go wyminąć, ale Giuliano z rozmysłem wtacza mu się pod nogi.

Francesco de'Pazzi przeciska się obok współspiskowca. Widok krwi wprawił go w gorączkę, małe czarne oczka błyszczą, żylaste ciało drży z nienawiści. Unosząc sztylet z długim cienkim ostrzem, także stara się wyminąć ofiarę Baroncellego, ale Giuliano nie daje mu przejść.

Giuliano otwiera usta. Wydaje z siebie zgnębione rżenie, choć ma zamiar krzyknąć:

„Nigdy nie zbliżysz się do mojego brata. Zginę, ale nie tkniesz Wawrzyńca”.

Francesco warknął coś niezrozumiale i zadał cios. Nieuzbrojony Giuliano unosi w obronie rękę; nóż rozcina mu dłoń i przedramię. W porównaniu z nieznośnym bólem w klatce piersiowej i plecach, te świeże rany nie są gorsze od ukąszenia owada. Stawia krok w kierunku Francesca, w kierunku Baroncellego, zmusza ich do cofnięcia się. W ten sposób daje Wawrzyńcowi czas potrzebny do ucieczki.

Francesco, nieczemny mały człowiek, daje upust wściekłości, całej wrogości, jaką jego rodzina żywi wobec Medyceuszy. Po każdym zdaniu następuje dźgnięcie sztyletu.

„Łotry! Wasz ojciec zdradził mojego ojca...”

Giuliano czuje przeszywające ukąszenie w barku, w ramieniu. Nie może już utrzymać dłoni w górze; ramię opada bezwładnie, uderzając o zlany krwią bok.

„Twój brat robił wszystko, żeby zagrozić nam drogę do Signorii”.

Rany są coraz dotkliwsze: znowu w pierś, w szyję, tuzin ciosów w tułów. Francesco działa jak szalencie. Ręka ze sztyletem bije w Giuliana tak szybko, że obu spowija karminowa mgła rozbryzgującej się krwi. Jego ruchy są tak dzikie i niekontrolowane, że sam zadaje sobie cios w udo, krzyczy, gdy jego własna krew miesza się z krwią wroga. Ból podsyca wściekłość Francesca, znów dźga Giuliana raz za razem.

„Obmawialiście nas przed Jego Świątobliwością”.

„Obrażaliście naszą rodzinę”.

„Zagarnęliście władzę w mieście”.

Giuliano tonie. Takie kalumnie normalnie wzbudziłyby w nim gniew, ale teraz jest już w miejscu, gdzie nie ma emocji.

Wody wewnątrz katedry są mętne i ciemne od krwi. Ledwo widzi majaczące postaci napastników na tle skłębionych ciał. Baroncelli i Francesco krzyczą. Giuliano widzi ich otwarte usta, błysk stali,



przytłumiony przez muliste wody rzeki Arno, ale nie słyszy niczego.

W rzece panuje cisza.

Promień słońca przedziera się przez otwarte drzwi prowadzące na północ, na via de' Servi. Rusza w tamtym kierunku, szukając Wawrzyńca, lecz prąd znosi go teraz mocno.

Cieężko jest iść przez spienione wody.

Niedaleko, prawie w zasięgu ręki, Anna o kruczoczarnych włosach łka, załamując ręce, oplakując dzieci, które mogli mieć; jej miłość ciągnie go ku sobie. Ale tak naprawdę jego serce należy do Wawrzyńca. Wawrzyniec będzie cierpiał, gdy zobaczy młodszego brata.

I tego Giuliano najbardziej żałuje.

- Bracie. - Wargi Giuliana układają się w to słowo, gdy on sam osuwa się na kolana.

Wawrzyniec siedzi na brzegu rzeki, trzymając kurczowo obrus otulający mu plecy.

Jest przemoczony do suchej nitki i drży, ale żyje.

Giuliano oddycha z ulgą - wypuszczając z płuc resztki powietrza - a potem osuwa się, tonąc w odmętach, gdzie woda jest najgłębsza i czarna.

**20 kwietnia 1478**

*Do Panów Mediolanu*

*Najjaśniejsi Panowie.*

*Brat mój Giuliano został zamordowany rząd mój zaś jest w poważnym niebezpieczeństwie. Nadeszła właśnie pora, moi Panowie, abyście wspomogli swego sługę Wawrzyńca. Przyślijcie tyle wojska, ile tylko zdołacie, i to jak najrychlej, aby stały się tarczą mego państwa jak zawsze.*

*Sługa Wasz, Wawrzyniec Medyceusz*

28 grudnia 1479 roku

Bernardo Baroncelli jechał ku swej zgubie na klęczkach w małym, ciągniętym przez konie wozie.

Przed nim, na ogromnym Piazza della Signoria, majaczył wielki *palazzo*, siedziba rządu Florencji i serce jej sprawiedliwości. Zwieńczony blankami zamek był imponującym, niemal pozbawionym okien czworokątem ze smukłą dzwonnica w jednym rogu. Godzinę temu, zanim zaprowadzono go do wozu, Baroncelli usłyszał bicie jej dzwonu, niskie i żałobne, wzywające widzów na ponury spektakl.

W porannym półmroku kamienna fasada pałacu zdawała się bladoszara, odcinając się wyraźnie od ciemniejących chmur. Przed budynkiem, spomiędzy wielobarwnego zbiegowiska biednych i bogatych Florentyńczyków wyrastały pośpiesznie wzniesione rusztowanie i szubienica.

Pogoda była mroźna; ostatnie oddechy Baroncellego zawisały przed nim w postaci mgiełki. Poły płaszcza rozchyliły się, lecz nie mógł ich zsunąć, gdyż ręce związane mu za plecami.

W ten sposób, chybocząc się za każdym razem, gdy koła natrafiły na kamień, Baroncelli przybył na plac. Nie mniej niż tysiąc ludzi zebrało się, by ujrzeć jego śmierć.

Na skraju zbiegowiska mały chłopiec/ianriu/o, zauważył zbliżający się wóz i dziecinnym\* falsetem wykrzyczał zawołanie Medyceuszy: *Palle! Palle! Palle!*

W tłumie wezbrała histeria. Wkrótce zbiorowy krzyk grzmiał Baroncellemu w uszach: *Palle! Palle! Palle!*

Ktoś rzucił kamieniem; potoczył się niegroźnie po bruku obok skrzypiących kół wozu.

Później rzucano już tylko przekleństwa. Aby zapobiec rozruchom, Signoria umieściła kilku milicjantów na koniach w strategicznych punktach; Baroncellemu towarzyszyło dwóch uzbrojonych jeźdźców po bokach.

Miało to zapobiec rozerwaniu go na strzępy przed egzekucją. Słyszał opowieści o straszliwym losie, jaki spotkał innych spiskowców: jak wynajęci przez Pazzich kondotierzy z Perugii zostali zepchnięci z wysokiej wieży Palazzo della Signoria, jak spadli w czekający na dole tłum, który rozszarpał ich na kawałki nożami i szpadlami.

Nawet sędziwy Iacopo de Tazzi, który cieszył się wielkim szacunkiem, nie unikał

gniewu Florencji. Na dźwięk dzwonu z dzwonnicy Giotto siadł na koń i próbował skrzyknąć obywateli wołaniem: *Popolo e liberte!* - tradycyjnym hasłem wzywającym do obalenia rządu, w tym przypadku Medyceuszy.

A jednak ludność odpowiedziała okrzykiem: *Palle! Palle! Palle!*

Mimo udowodnionej winy po egzekucji zezwolono na odpowiedni pogrzeb Iacopa -

ze stryczkiem wokół szyi. Miasto w tamtych gwałtownych dniach tak przepelniała nienawiść, że nie spoczywał w ziemi zbyt długo, Signoria postanowiła, że trzeba pochować go gdzie indziej, poza murami miasta w niepoświęconej ziemi.

Francesca deTazzi i pozostałych prędko spotkała sprawiedliwość; jedynie Guglielmo deTazzi został oszczędzony dzięki rozpaczliwemu wstawiennictwu Bianki de' Medici u jej brata Wawrzyńca.

Ze spiskowców uciekł tylko Baroncelli - ukrył się w dzwonnicy Duo-mo, gdzie powietrze wciąż drżało od bicia dzwonu. Kiedy droga była już wolna, popędził konno -

niczego nie wyjaśniając rodzinie - na wschód, do portu Senigalla. Stamtąd popłynął statkiem do egzotycznego Konstantynopola. Król Ferrante i neapolitańscy krewni Baroncellego przysłali mu dość pieniędzy, by mógł prowadzić rozpustny żywot. Sposobił sobie kochanki z niewolnic, które kupował, i nurzał się w rozkoszy, usiłując wyprzeć z pamięci wszelkie wspomnienia o morderstwach, jakich się dopuścił.

A jednak we śnie prześladował go obraz Giuliana, zatrzymany nieruchomo w momencie, gdy podniósł wzrok na lśniącą klingę. Ciemne kędziory młodzieńca były zmierzwiłone, niewinne oczy szeroko otwarte, mina wyrażała śmiałość i zdumienie nagłym pojawieniem się śmierci.

Baroncelli miał ponad rok na rozmyślanie, czy obalenie Medyceuszy i zastąpienie ich Iacopem i Franceskiem Pazzimi wyszłoby miastu na dobre? Wawrzyniec był rozsądny i ostrożny, Francesco w gorącej wodzie kąpany, skłonny do pochopnego działania. Szybko stałby się satrapą. Wawrzyniec był na tyle przewidujący, że dbał o miłość ludu, co było widać po liczebności tłumu zebranego teraz na placu. Francesco byłby zbyt arogancki, by się tym przejmować.

Przede wszystkim jednak Wawrzyniec był wytrwały. W końcu nawet Konstantynopol nie okazał się dość odległy. Gdy agenci Medyceusza ustalili miejsce pobytu Baroncellego, Wawrzyniec wysłał do sułtana posła z kuframi złota i klejnotów. Odtąd los Baroncellego był już przypieczętowany.

Wszystkich zbrodniarzy wieszano za bramami miasta, a następnie pośpiesznie zakopywano w niepoświęconej ziemi. Baroncelli miał spocząć w rowie razem z nimi, lecz ze względu na powagę przestępstwa jego egzekucję zaplanowano w najbardziej publicznym miejscu Florencji.

Teraz, gdy nieduży wóz toczył się z klekotem obok tłumu gapiów ku rusztowaniu, Baroncelli wydał z siebie donośny jęk. Lęk, który go schwycił, zadawał mu męki większe niż ból fizyczny. Czuł nieznośny chłód i fale gorąca; miał przyprawiające o zawrót głowy wrażenie tonięcia. Myślał, że zemdleje, lecz za sprawą niepojętego okrucieństwa losu nieprzytomność nie nadchodziła.

- Odwagi, *signore* - powiedział *nero*. - Bóg jest z tobą.

Jego *nero*, pocieszyciel, szedł obok powozu. Był to florencki obywatel o imieniu Lauro, który należał do świeckich członków Compagnia di Santa Maria della Croce, zwanej Compagnia de' Neri - Towarzystwo Ludzi w Czerni - ponieważ wszyscy jej członkowie nosili czarne szaty z kapturami. Celem towarzystwa było niesienie pocieszenia i miłosierdzia potrzebującym - także skazanym na śmierć.

Lauro nie odstępował go, odkąd przybył do Florencji. Pilnował, aby Baroncelli był

dobrze traktowany, otrzymał odpowiednie ubranie i wikt i mógł wysyłać listy do bliskich (Giovanna nigdy nie odpowiedziała na prośbę odwiedzenia go w więzieniu). Wysłuchiwał

życzliwie płaczliwych słów skruchy i czuwał w celi, modląc się za więźnia. Pocieszyciel błagał

Najświętszą Panienkę, Chrystusa, Boga Ojca i świętego Jana, patrona Florencji, o pokój ducha i wybaczenie dla Baroncellego, tak aby jego dusza poszła do czyśćca, a stamtąd do nieba.

Baroncelli nie przyłączył się do modlitw. Miał wrażenie, że Bóg odebrałby to jako osobistą zniewagę.

Teraz zakapturzony pocieszyciel kroczył obok niego, modląc się głośno - psalm, hymn i modlitwa wznosiły się w powietrze w postaci białych oparów - ale ogólny tumult sprawiał, że Baroncelli nie rozumiał słów. Tylko jedno dudniło mu w uszach, pulsowało w rytmie bicia serca: *Palle! Palle! Palle!*

Wóz zatrzymał się przed schodami na szubienicę. Pocieszyciel wsunął rękę pod skrópowane ramię Baroncellego i pomógł mu zejść na zimny bruk. Skurczony z przerażenia, drżący Baroncelli osunął się na kolana, pocieszyciel ukląkł obok i szepnął mu do ucha:

- Nie lękaj się. Twoja dusza wzniesie się od razu do nieba. Ty nie potrzebujesz przebaczenia. To, coś uczynił, nie było zbrodnią, lecz dziełem Bożym. Jest wśród nas wielu, którzy zwać cię bohaterem, bracie. Zrobiłeś pierwszy krok, by oczyścić Florencję z wielkiego zła.

Głos Baroncellego drżał, ledwie rozumiał własne słowa.

- Z Wawrzyńca?

- Z rozpusty. Z pogaństwa. Z bluźnierczej sztuki. Baroncelli, szczękając zębami, zgromił go wzrokiem.

- Jeśli ty i inni wierzycie w to, to czemu nie wybawiłeś mnie od egzekucji? Ratuj mnie!

- Nie śmiemy się ujawniać. Trzeba jeszcze wiele uczynić, zanim Florencja, Włochy i świat będą na nas przygotowane.

- Jesteście szaleni - szepnął Baroncelli. Pocieszyciel się uśmiechnął.

- Jesteśmy szaleni dla Boga.

Pomógł Baroncellemu stanąć na nogi. Rozwścieczony więzień wyrwał mu się i ruszył sam po drewnianych schodkach.

Kat, młody, szczupły mężczyzna, którego twarz była ukryta pod maską, stanął między Baroncellim i

czekającym już stryczkiem.

- Na Boga - rzekł do Baroncellego - błagam cię o wybaczenie za czyn, który przysięgłem popełnić.

Wargi i policzki Baroncellego przywierały do zębów, język był tak suchy, że zostawił warstewkę skóry, gdy pragnął wymówić słowa. Ton głosu brzmiał jednak zadziwiająco spokojnie.

- Wybaczam ci.

Kat westchnął z ulgą, może zdarzyło mu się wcześniej spotkać innych skazańców, którzy chcieli splamić swoją krew jego ręką. Chwycił Baroncellego za łokieć i poprowadził

na wyznaczone miejsce na platformie, w pobliżu stryczka.

- To tutaj - powiedział osobliwie łagodnym głosem. I wydobył spod płaszcza białą lnianą chustę.

Na chwilę przez przewiązaniem oczu Baroncelli potoczył spojrzeniem po zebranych.

W pobliżu szubienicy stała Giovanna z dziećmi. Była zbyt daleko, by Baroncelli mógł mieć pewność, ale zdawało mu się, że płacze.

Wawrzyńca Medyceusza nie było w zasięgu wzroku, lecz Baroncelli nie wątpił, że przygląda się egzekucji. Patrzy z jakiegoś ukrytego balkonu albo okna, może z samego Palazzo della Signoria.

Poniżej, u stóp rusztowania, stał pocieszyciel z miną wyrażającą błogość i dziwną satysfakcję. W tej chwili objawienia Baroncelli rozumiał, że on sam, Francesco de'Pazzi, Messer Iacopo i arcybiskup Salviati byli głupcami, a ich małosłowne ambicje wykorzystano jako element większego planu, który napełniał go niemal takim samym lękiem jak zbliżająca się śmierć.

Kat przewiązał Baroncellemu oczy, założył pętlę przez głowę i zacisnął wokół szyi.

Zanim opuszczono pod nim zapadnię, Baroncelli wyszeptał do siebie trzy słowa.

- A masz, zdrajco. **10**

Gdy ciało Baroncellego przestało podrygiwać, młody artysta w tłumie pod szubienicą zabrał się do pracy. Zwłoki będą wisiały przez wiele dni, zanim gnicie sprawi, że oderwą się od liny. Artysta nie mógł czekać. Pragnął uchwycić chwilę, gdy w ciele wciąż widziało się echo życia. Młodociani łotrzykowie, *giovani*, wkrótce zaczną zabawiać się rzucaniem w trupa kamieniami, a nadchodzący deszcz sprawi, że zwłoki rozedmą się i napuchną.

Szkicował na kartce papieru przyciśniętej do topolowej deseczki, która zapewniała mu twardą powierzchnię. Piórko pozbawił całkowicie pierza, gdyż używał go tak często i długo, że wszelkie chropowatości drażniły jego długie palce; sam przyciął czubek, nadając mu ostrą końcówkę, i regularnie maczał ją w buteleczce brązowego tuszu przytwierdzonej mocno do pasa. Ponieważ nie można rysować sprawnie w rękawiczkach, nieosłonięte dłonie bolały go od mrozu, lecz odsuwał od

siebie to uczucie jako niewarte uwagi. W ten sam sposób odepchnął żal, który zaczął go ogarniać - widok Baroncellego przywoływał głęboko bolesne wspomnienia - i zamiast tego skupił się na obiekcie szkicu przed oczami.

Pomimo starań, by zamaskować prawdziwe uczucia, wszyscy mężczyźni i kobiety zdradzali je subtelnymi znakami w wyrazie twarzy, posturze, głosie. Wyrzuty sumienia Baroncellego były wprost oczywiste. Nawet po śmierci miał spuszczone oczy, jakby oglądał

piekło. Przekrzywiona głowa, kąciaki wąskich ust ściągnięte ku dołowi wyrażały poczucie winy. Tak wyglądał człowiek przepelniony pogardą do samego siebie.

Rysownik nie chciał ulec nienawiści, choć miał osobiste powody, by nie lubić Baroncellego. Nienawiść była niezgodna z jego zasadami, toteż - podobnie jak bolące palce i serce - zignorował ją i pracował dalej. W gruncie rzeczy uważał zabijanie za nieetyczne -

nawet egzekucję mordercy takiego jak Baroncelli.

Tak jak miał w zwyczaju, sporządził na kartce notatki, które przypominały o barwach i fakturach rzeczy i postaci, gdyż zachodziło spore prawdopodobieństwo, że szkic stanie się obrazem. Pisał od prawej do lewej, litery stanowiły lustrzany obraz zwykłego pisma. Wiele lat temu, gdy uczył się w warsztacie Andrei Verrocchia, malarze oskarżali go o nieuzasadnioną skrytość, gdy pokazywał im swoje szkice, gdyż nie byli w stanie odszyfrować notatek. A przecież pisał tak po prostu dlatego, że przychodziło mu to najbardziej naturalnie; nieczytelność dla osób postronnych była tylko dodatkową korzyścią.

Mała beżowa czapeczka. Pióro zaskrzypiało o papier. Czarna kamizelka z serży, wełniana koszula z podszewką, granatowy płaszcz obszyty lisim futrem, aksamitny kołnierz czerwono-czarny, Bernardo Bandino Baron-celli, czarne nogawice. Baroncelli zrzucił cizemki podczas śmiertelnych konwulsji; teraz miał bose stopy.

Rysownik zmarszczył brwi przy nazwisku Baroncellego. Był samoukiem starającym się przezwyciężyć wiejską gwarę z Vinci i ortografia nadal sprawiała mu trudności. Nie szkodzi. Wawrzyniec Medyceusz, *II Magnifico*, interesował się obrazem, nie słowami.

Wykonał szybki, mały szkic u dołu strony, ukazując głowę Baroncellego pod kątem, który pozwalał lepiej zobaczyć ponury wyraz twarzy wisielca. Zadowolony ze swego dzieła, przystąpił do właściwego zadania, rozglądając się po twarzach w tłumie. Ludzie stojący w pobliżu szubienicy - szlachta i zamożniejsi kupcy - właśnie zaczęli się rozchodzić, cisi i posępni. *Populo minuto*, biedota i czeladź, został dłużej, żeby zabawić się ciskaniem w trupa kamieni i obelg.

Artysta uważnie przyglądał się opuszczającym plac ludziom. Miał ku temu dwa powody: pozornie studiował rysy twarzy. Ci, którzy go znali, byli przyzwyczajeni do jego przenikliwych spojrzeń.

Drugi, mroczniejszy powód był rezultatem jego spotkania z Wawrzyńcem Medyceuszem. Szukał konkretnej twarzy - tej, którą widział dwadzieścia miesięcy temu przez ułamek sekundy. Mimo wielkiego talentu do zapamiętywania fizjonomii wspomnienie było mgliste, ale serce z równą

stanowczością nakazywało mu osiągnąć cel. Tym razem postanowił, że nie da się ponieść emocjom.

- Leonardzie!

Dźwięk własnego imienia wytrącił artystę z zamyślenia. Drgnął mimowolnie i odruchowo zamknął buteleczkę z tuszem. Stary przyjaciel z warsztatu Verrocchia ruszył w jego stronę.

- Sandro - powiedział Leonardo, gdy znajomy stanął wreszcie przed nim. - Wyglądasz jak jeden z miejskich włodarzy.

Sandro Botticelli uśmiechnął się szeroko. Kilka lat starszy od Leonarda Botticelli miał

teraz trzydzieści pięć lat i był u szczytu kariery. Rzeczywiście ubrał się dziś uroczyście w szkarłatny, obsyty futrem płaszcz. Czarna aksamitna czapka zakrywała złociste włosy ostrzyżone do poziomu podbródka, czyli krócej, niż zalecała obecna moda. Podobnie jak Leonardo był gładko ogolony. Zielone oczy o ciężkich powiekach błyszczały bezczelnością, która zawsze cechowała jego sposób bycia. Mimo to Leonardo lubił go: Sandro miał wielki talent i dobre serce. W ostatnim roku otrzymał kilka dużych zamówień od Medyceuszy i Tornabuonich. Olbrzymie malowidło *Wiosny* wkrótce miało się stać prezentem ślubnym od Wawrzyńca dla jednego z krewnych. Z szelmowską miną obrzucił wzrokiem szkic Leonarda.

- Widzę, że próbujesz odebrać mi pracę.

Mówił o niedawno namalowanym fresku na fasadzie w pobliżu Palazzo della Signoria, częściowo widocznej za szubienicą, odkąd tłum zaczął się przerzedzać. Zamówienie to otrzymał od Wawrzyńca w okropnych dniach po śmierci Giuliana: miał przedstawić każdego z członków spisku Pazzięgo, dyndającego na linie. Naturalnej wielkości malowidła wywoływały w widzach przerażenie, jakie miały w zamierzeniu wzbudzać. Był tam Francesco de'Tazzi, zupełnie nagi, ze zranionym udem pokrytym skorupą zakrzepłej krwi, był

też Salviati w arcybiskupich szatach. Dwaj martwi mężczyźni zostali ukazani twarzami do widza - efektownie, lecz niezgodnie z rzeczywistością. Podobnie jak Botticelli, Leonardo był

na Piazza della Signoria w chwili, gdy Francesco - wyciągnięty prosto z łóżka - został

zepchnięty z najwyższego łukowego okna Palazzo i powieszony na budynku, tak aby wszyscy to widzieli. Potem z okna wyleciał Salviati. W chwili śmierci odwrócił się do współspiskowca i czy to w gwałtownym konwulsyjnym skurczu, czy też w ostatnim przejawie wściekłości -

zatopił zęby głęboko w barku Francesca de'Pazzięgo. Był to widok tak dziwny i niepokojący, że nawet Leonardo nie naszkicował go w notatniku. Obrazy innych straceńców, włącznie z Messerem Iacopem, były częściowo namalowane, lecz brakowało jednego mordercy: Baroncellego. Prawdopodobnie Botticelli też wykonał dzisiaj szkic, zamierzając ukończyć fresk.

Na widok rysunku Leonarda wzruszył ramionami.

- Nie szkodzi - rzekł lekkim tonem. - Skoro jestem tak zamożny, że ubieram się jak jeden z miejskich



włodarzy, na pewno mogą pozwolić takiemu nędzarzowi jak ty dokończyć za mnie to zadanie. Mam większe rzeczy do zrobienia.

Leonardo, ubrany w sięgającą do kolan tunikę z taniego, znoszonego lnu oraz ponury szary wełniany płaszcz, wsunął szkic pod ramię i uklonił się nisko i zamasyście w karykaturalnym geście wdzięczności.

- Zbyt jesteś łaskawy, mój panie. - Wyprostował się. - A teraz idź. Jesteś tylko przekupnym partaczem, a ja prawdziwym artystą, którego czeka mnóstwo pracy, zanim spadnie deszcz.

Rozstali się, wymieniwszy uśmiechy i przelotny uścisk, Leonardo wrócił do przyglądania się twarzom w tłumie. Zawsze cieszył się ze spotkania z Sandrem, ale tym razem zirytowało go, że mu przeszkodzono. Zbyt wiele od niego zależało; bez namysłu sięgnął do sakiewki przy pasie i wymacał palcami złoty medalion wielkości dużego florena.

Na awersie wybito napis ŻAŁOBA PAŃSTWOWA. Na rewersie Baroncelli unosił długi nóż nad głowę, a Giuliano spoglądał na klingę z zaskoczeniem. Za Baroncellim stał Francesco deTazzi z dobytym sztyletem. Leonardo sporządził szkic, oddając scenę możliwie jak najwierniej, choć ze względu na widza Giuliano stał twarzą do Baroncellego. Verrocchio wykonał odlew z rysunku Leonarda.

Dwa dni po morderstwie Leonardo wysłał list do Wawrzyńca Medyce-usza.

*Panie mój, muszę pomówić z Wami o sprawie najwyższej wagi.*

Nie nadeszła żadna odpowiedź: Wawrzyniec, pogrążony w żałobie, ukrył się w pałacu Medyceuszy, który zamienił w fortecę otoczoną oddziałami zbrojnych. Nie przyjmował gości, listy z prośbami o radę albo pomoc pozostawały bez odpowiedzi.

Po tygodniu milczenia Leonardo pożyczył złotego florena i stawił się u bram medycejskiej twierdzy. Przekupił jednego ze strażników, żeby natychmiast doręczył drugi list, gdy sam stał w loggii i czekał, przyglądając się, jak ulewny deszcz siecze brukowaną ulicę.

*Panie mój, Wawrzyńcu, nie przychodzę z prośbą o patronat ani w sprawach handlowych. Posiadam istotne informacje dotyczące śmierci Twego brata, które są przeznaczone tylko dla Twych uszu.*

Kilka minut później został wpuszczony po dokładnym przeszukaniu, czy nie ma przy sobie broni - co było idiotyczne, bo nigdy takowej nie posiadał i nie wiedziałby, jak jej użyć.

Wawrzyniec, blady i apatyczny, w pozbawionej ozdób czarnej tunice z wciąż zabandażowaną szyją, przyjął go w gabinecie, otoczony dziełami sztuki zdumiewającej urody.

Podniósł wzrok i spojrzął na Leonarda oczami zamglonymi poczuciem winy i bólem - nic jednak nie mogło przesłonić zainteresowania tym, co malarz ma do powiedzenia.

Rankiem dwudziestego szóstego kwietnia Leonardo stał kilka rzędów od ołtarza w katedrze Santa

Maria del Fiore. Miał do Wawrzyńca pytania, dotyczące zamówienia na wyrzeźbienie popiersia Giuliana, które miał wykonać wspólnie z Verrocchiam. Liczył, że uda mu się porozmawiać z *Il Magnifico* po nabożeństwie. Leonardo chodził na msze wyłącznie wtedy, gdy miał do załatwienia jakiś interes, świat natury wzbudzał w nim daleko większy podziw niż zbudowana przez człowieka katedra. Był w bardzo dobrych stosunkach z Medyceuszami. W ciągu kilku ostatnich lat miesiącami gościł w domu Wawrzyńca jako jeden z wielu artystów pozostających w służbie rodziny

Ku zaskoczeniu Leonarda tego ranka w Duomo pojawił się Giuliano - był spóźniony, nieuczesany. Towarzyszyli mu Francesco de'Pazzi i jeden z jego klientów.

Leonardo uważał mężczyzn i kobiety za równie pięknych, na równi zasługujących na jego miłość, z własnego wyboru prowadził życie samotnika. Nie mógł pozwolić sobie na to, by miłosne burze przeszkadzały mu w pracy. Przede wszystkim unikał kobiet, gdyż wymagania żony i dzieci uczyniłyby z jego studiów - nad sztuką, nad światem i jego mieszkańcami - niemożliwością. Nie chciał stać się podobny do mistrza Verrocchia, który rozmieniał talent na drobne, podejmując się każdego zlecenia, czy chodziło o wykonanie masek karnawałowych, czy o złocenie kobiecych pantofli, byle tylko nakarmić głodną rodzinę. Zawsze brakowało mu czasu na eksperymenty, obserwacje, doskonalenie umiejętności.

Ser Antonio, dziad Leonarda, wyjaśnił mu ten problem pierwszy. Antonio głęboko kochał wnuka, ignorując fakt, że był dzieckiem z nieprawego łoża, urodzonym przez służącą.

Gdy Leonardo podrósł, jedynie dziadek zwrócił uwagę na talent chłopca i ofiarował mu papier i węgiel. Pewnego dnia siedmioletni Leonardo siedział na chłodnej trawie z rylcem i deseczką, przyglądając się, jak wiatr szumi w liściach oliwnego gaju. Ser Antonio - wiecznie zajęty, trzymający się prosto i bystrooki mimo swych osiemdziesięciu ośmiu lat - przystanął

za jego plecami i zaczął obserwować mieniające się odcieniami zieleni drzewa.

Zupełnie nagle i bez wstępu powiedział: „Nie przejmuj się zwyczajami, mój chłopcze.

Miałem połowę twego talentu - tak, dobrze rysowałem i tak jak ty pragnąłem zrozumieć, jak działa natura - ale posłuchałem ojca.

Zanim przeprowadziłem się na wieś, przyuczałem się u niego do zawodu notariusza.

Właśnie takimi ludźmi jesteśmy - rodziną notariuszy. Spłodził mnie notariusz i ja spłodziłem notariusza, twojego ojca. Cóż takiego daliśmy światu? Umowy i weksle, podpisy na dokumentach, które obrócą się w proch.

Nie porzuciłem całkowicie swoich marzeń. Nawet gdy uczyłem się zawodu notariusza, w sekrecie nadal rysowałem. Przypatrywałem się ptakom i rzekom i rozmyślałem nad tym, jak działają. Ale potem poznałem twoją babkę Lucię i się zakochałem. Była to najgorsza rzecz, jaka mogła się stać, gdyż porzuciłem sztukę i nauki i ożeniłem się z nią.

Potem miałem dzieci i ani chwili wolnego czasu na przyglądanie się drzewom. Lucia znalazła moje

szkice i wrzuciła je do ognia.

Jednak Bóg dał nam ciebie - twój cudowny umysł, oczy i dłonie. Masz obowiązek wykorzystać te dary.

Obiecuj mi, że nigdy nie popełnisz mojego błędu, obiecuj, że nigdy nie dasz się ponieść porywom serca”.

Młody Leonardo złożył obietnicę.

Gdy jednak stał się protegowanym Medyceuszy i członkiem najściślejszego kręgu na ich dworze, poczuł fizyczny i uczuciowy pociąg do młodszego brata Wawrzyńca. Giuliano był godny miłości. Nie chodziło wyłącznie o wygląd - sam Leonardo był bardziej przystojny, często przyjaciele nazywali go „pięknym” - lecz raczej o dobroć jego serca.

Uczucie to Leonardo zachował dla siebie. Nie chciał, żeby Giuliano, wielbiciel kobiecych wdzięków, czuł się niezręcznie. Nie chciał również wzbudzać moralnego oburzenia w Wawrzyńcu, swoim gospodarzu i mecenasie.

Kiedy Giuliano zjawił się w Duomo, Leonardo - dwa rzędy za nim, gdyż przecisnął

się jak najbliżej Wawrzyńca, by móc z nim porozmawiać - nie mógł się powstrzymać, żeby na niego nie patrzeć. Zwrócił uwagę na smutną minę Giuliana, ale nie poczuł współczucia ani namiętności, tylko piekącą zazdrość.

Poprzedniego wieczoru artysta wybrał się do pałacu z zamiarem porozmawiania z Wawrzyńcem o zamówieniu.

Wszedł na via de'Gori, minął kościół San Lorenzo. Rezydencja Medyceuszy znajdowała się już niedaleko, po lewej, skręcił więc w uliczkę, która tam prowadziła.

Zmierzchało. Na zachodzie widać było wysoką, smukłą wieżę Palazzo della Signoria i wielką, zaokrągloną kopułę Duomo, wyraźną i ciemną na tle nieba rozświetlonego koralem, który stopniowo przechodził w lawendę, a potem w szarość. Ze względu na porę ruch był

niewielki i Leonardo przystanął na ulicy, oczarowany pięknem otoczenia. Przyglądał się nadjeżdżającemu wozowi, podziwiał sylwetki koni, ich nieprzeniknioną czerń kontrastującą z rozświetlonym niebem i słońcem za nimi, w której ginęły wszelkie szczegóły. Zachód słońca był ulubioną porą dnia Leonarda, bo rozproszone światło nadawało kształtom i barwom łagodność i delikatną tajemniczość, którą wypalało południowe słońce.

Zatracił się w grze cieniów na końskich ciałach, na mięśniach napinających się pod skórą, śmiało zadartych łbów do tego stopnia, że gdy zbliżyły się ze stukotem kopyt, musiał

szybko zejść im z drogi. Przeszedł przed nimi na drugą stronę i znalazł się przy południowej ścianie pałacu Medyceuszy; jego celem, oddalonym o niecałą minutę spaceru, była via Larga. Nieopodal, na wprost przed nim, woźnica zatrzymał powóz i otworzyły się drzwiczki.

Leonardo zobaczył, jak z karocy wysiada młoda kobieta. Zmierzył zmienił biel jej skóry w popielatą szarość, jej oczy i rysy w ciemne plamy. Skromność sukni i welonu oraz pochyłona głowa świadczyły, że jest służącą zamożnej rodziny. W jej kroku widać było stanowczość, w postawie, gdy rozglądała się ukradkowo na boki, chęć niezwracania na siebie uwagi.

Pośpieszyła do bocznego wejścia pałacu i zapukała mocno.

Po chwili drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypieniem. Służka cofnęła się do karocy i jęła dawać ręką znaki komuś siedzącemu w środku.

Z powozu wychyliła się druga kobieta i z wdziękiem, szybkim krokiem ruszyła do otwartych drzwi.

Leonardo wypowiedział na głos jej imię, choć wcale nie miał takiego zamiaru. Była przyjaciółką Medyceuszy, częstym gościem w pałacu, rozmawiał z nią kilka razy. Nawet zanim zobaczył ją wyraźnie, rozpoznał jej ruchy, nachylenie barków, sposób, w jaki obracała głowę, gdy na niego zerknęła.

Zrobił krok w jej kierunku i w końcu rozpoznał twarz: długi i prosty nos, lekko zagięty ku dołowi, rozszerzone nozdrza, szerokie i nadzwyczaj wysokie czoło, ostry podbródek, lecz policzki i szczęki wdzięcznie zaokrąglone. Podobnie jak barki, które pochylały się ku pałacowi Medyceuszy, choć twarz była zwrócona do niego.

Zawsze była piękna, ale teraz łagodzący wszystko półmrok nadawał jej rysom zwiewną delikatność, jakiej same z siebie nie posiadały. Zdawała się rozpuszczać w powietrzu, niepodobna było stwierdzić, gdzie kończy się cień, a zaczyna jej ciało. Świedziła twarz i dłonie zdawały się unosić niczym obłoki nad ciemną knieją sukni i włosów. Twarz wyrażała skrytą radość, oczy tajemniczość, wargi układały się w zapowiedź konspiracyjnego uśmiechu.

W owej chwili była czymś więcej niż człowiekiem: była boska.

Wyciągnął ramię, jakby w głębi duszy oczekując, że przeniknie przez nią, jak przez zjawę.

Odsunęła się i mimo słabego rozproszonego światła ujrzał jasny blask lęku w jej oczach i bojaźliwie rozchylone wargi; nie chciała, by ktokolwiek ją rozpoznał. Gdyby miał

piórko, musnąłby nim głęboką zmarszczkę między jej brwiami i przywrócił wyraz tajemnicy.

Znów wymamrotał jej imię, tym razem pytająco, ale jej wzrok był już utkwiony w otwartym wejściu. Leonardo podążył za jej spojrzeniem i zobaczył inną znajomą twarz: Giuliana. Jego postać całkowicie kryła się w ciemnościach, nie widział Leonarda, tylko kobietę.

A ona zobaczyła Giuliana i rozkwitła.

W jednej chwili Leonardo wszystko zrozumiał i odwrócił głowę, ogarnięty goryczą, gdy za obojgiem zamknęły się drzwi.

Nie poszedł tamtego wieczoru na spotkanie z Wawrzyńcem. Wrócił do swego skromnego mieszkania

i nie mógł zasnąć. Wpatrywał się w sufit i widział rozświeconą łagodnym świadem kobietę, wyłaniającą się z mroku.

Nazajutrz rano, spoglądając w Duomo na Giuliana, rozpamiętywał swoje zranione uczucie. Raz za razem przypominał sobie bolesny moment, gdy zobaczył spojrzenia, które Giuliano wymienił z tamtą kobietą, i pojął, że serce Giuliana należy do niej. Przeklinał się w duchu za to, że daje się opanować tak głupiemu uczuciu jak zazdrość.

Był tak zatopiony w myślach, że aż drgnął z zaskoczenia, widząc nagle poruszenie przed sobą. Zakapturzona postać wystąpiła do przodu, Giuliano obejrzał się za siebie i z jego piersi wyrwało się głośne westchnienie.

Potem rozległ się chrapliwy okrzyk Baroncellego. Zdumiony Leonardo podniósł

wzrok na lśniąca klingę. Przestraszeni wierni rozbiegli się, odpychając Leonarda do tyłu.

Rzucił się i wił, na próżno próbując dosięgnąć Giuliana, ale nie był nawet w stanie ustać w jednym miejscu.

W dzikim tumultie Leonardo nie zobaczył noża Baroncellego, wbitego w ciało Giuliana. Widział jednak niewyobrażalnie brutalne ciosy Fran-cesca - sztyletem dźgał ofiarę raz za razem - i to, jak arcybiskup Salviati w słusznym odwecie dźgnął Francesca de'Pazziego w bark.

Pojąwszy, co się dzieje, Leonardo krzyknął na napastników - dziko, groźnie, z trwogą.

Wreszcie tłum się przerzedził, nikt już nie stał między nim a zabójcami. Podbiegł do nich, Francesco, nadal wrzeszcząc, ruszył dalej. Było za późno, by osłonić, ochronić dobrą, niewinną duszę Giuliana.

Leonardo padł na kolana obok powalonego młodzieńca. Giuliano leżał zgięty w pół na boku, poruszając ustami, krew pieniała mu się na wargach i wypływała z ran.

Leonardo przycisnął dłoń do najgorszej, ziejącej dziury w piersi Giuliana. Słyszał

cichy, bulgoczący świst płuc ofiary, usiłujących wyprzeć krew i wciągnąć powietrze. Jego starania, by zatamować krew, były jednak daremne.

Każda z ran na piersi Giuliana osłoniętej jasnozieloną tuniką toczyła własny strumień krwi. Strumyki rozdzielały się, potem łączyły, tworząc na ciele młodzieńca krwawą sieć, aż wreszcie spływały do coraz większej ciemnej kałuży na marmurowej posadzce.

- Giuliano - stęknął Leonardo, a łzy ciekły mu po policzkach na widok takiego cierpienia i tak zniszczonej urody.

Giuliano nie słyszał go. Niczego już nie słyszał i niczego nie widział: na w pół otwarte oczy spoglądały na tamten świat. Gdy Leonardo pochyłał się nad nim, Giuliano wypłuł haust jaskrawoczerwonej spienionej krwi, jego kończyny zadrgały spazmatycznie, a oczy otworzyły się szeroko. Skonał.

Teraz, stojąc przed Wawrzyńcem, Leonardo nie powiedział nic o ostatniej męce Giuliana, gdyż szczegóły te pogłębiłyby tylko żal *II Magnifico*. Leonardo nie mówił o Baroncellim ani o Francescu de'Pazzim. Mówił natomiast o trzecim z mężczyzn - o tym, którego jeszcze nie znaleziono.

Opowiedział, że kątem oka spostrzegł zakapturzoną postać, która zbliżyła się do Giuliana od tyłu i prawdopodobnie zadała pierwszy cios. Kiedy Giuliano usiłował się odsunąć od Baroncellego, trzeci mężczyzna zatarasował mu drogę ucieczki, przyciskając się do niego mocno. Wtedy tłum zasłonił Leonardowi widok -

nieznany zamachowiec zniknął na moment, może upadł - ale później się podniósł. Nie odszedł, gdy oszalały Francesco dźgał ofiarę sztyletem: stał niezłomnie na miejscu, aż Francesco i Baron-celli ruszyli dalej.

Gdy Giuliano umarł, Leonardo uniósł wzrok i zauważył mężczyznę idącego szybko do wyjścia. Człowiek ten musiał wcześniej przystanąć i obejrzeć się za siebie, żeby upewnić się, że ofiara nie żyje.

- Morderco! - zawołał artysta. - Stój!

W jego głosie było tyle siły, tyle stanowczości, że o dziwo spiskowiec zatrzymał się w pół kroku i spojrzał przelotnie przez ramię. Leonardo zapamiętał to z wprawą artysty o wyćwiczonym oku. Mężczyzna miał szaty pokutnika - płaszcz ze zgrzebnego płótna - i gładko ogoloną twarz pod kapturem. Widać było tylko dolną wargę i podbródek.

Przycisnięta do boku dłoń zaciskała się na zakrwawionym sztylecie.

Kiedy pokutnik uciekł, Leonardo delikatnie obrócił ciało Giuliana na bok i odkrył

nakłucie - małe, lecz bardzo głębokie - na plecach.

Wszystko to opowiedział teraz Wawrzyńcowi, ale nie zdobył się na wyznanie, że w głębi znękanej duszy wie, że to on, Leonardo, ma na sumieniu śmierć Giuliana.

Jego wyrzuty nie były całkowicie irracjonalne. Wynikały z długiego rozmyślenia nad biegiem wydarzeń. Gdyby nie dał się ponieść splątanyemu uczuciom miłości, bólu i zazdrości, Giuliano mógłby nadal żyć.

Leonardo miał zwyczaj przyglądania się ludziom w tłumie - ich twarzom, postaciom, postawom - i zwykle potrafił wyciągnąć z tego mnóstwo informacji. Umiał wyczytać z czyichś pleców prawie tyle, ile z twarzy. Gdyby nie pochłoneły go myśli o Giulianie i tamtej kobiecie, z pewnością zauważyłby napięcie w postawie pątnika, gdyż stał on prawie dokładnie przed nim. Może spostrzegłby również coś dziwnego w zachowaniu Baroncellego albo Francesca de'Paziego, gdy stali obok Giuliana. Wyczułby niepokój trzech mężczyzn i domyślił się, że Giulianowi grozi niebezpieczeństwo.

Gdyby tylko miał się na baczności, widziałby, jak pątnik ukradkiem sięga po sztylet, zauważyłby napięcie mięśni na ręce Baroncellego zaciskającej się na rękojeści.

I miałby czas, żeby zrobić ten jeden, jedyny krok do przodu. Złapać pokutnika za rękę.

Stanąć między Giulianem a Baroncellim.

Zamiast tego namiętność zredukowała go do roli ogłupiałego postronnego świadka, bezsilnego w obliczu wystraszonego, uciekającego tłumu. I to właśnie kosztowało Giuliana życie.

Schylił głowę pod ciężarem winy, potem podniósł ją znowu i spojrzał w smutne oczy *U Magnijico*.

- Jestem pewien, że ten mężczyzna był w przebraniu. Wawrzyniec był zaintrygowany.

- Skąd możesz to wnioskować?

- Z jego postawy. Pokutnicy biczą się i noszą pod szatami włosienice. Mają zgarbione plecy, krzywią się i poruszają niepewnie wskutek bólu, który czują za każdym razem, gdy włosienica drażni skórę. Ten mężczyzna poruszał się swobodnie, był

wyprostowany, pewnie stawiał kroki. Tylko jego mięśnie były napięte... z powodu emocji.

Przypuszczam, że był wysokiego stanu, biorąc pod uwagę godność postawy i szlachetność wyglądu.

Wawrzyniec spojrzał na niego przenikliwie.

- Wszystko to wywnioskowałaś z jego ruchów, mimo że był w płaszczu? Leonardo śmiało patrzył mi w oczy. Wszystkich ludzi uważał za równych, moźni tego świata nie onieśmielali go.

- Nie przyszedłbym, gdyby było inaczej.

- W takim razie będziesz pracował dla mnie. - Wawrzyniec zmrużył oczy z nienawiścią i determinacją. - Pomożesz mi znaleźć tego człowieka.

W ciągu minionego roku Leonarda kilkakrotnie wzywano do więzienia w lochach Palazzo della Signoria, aby dokładnie przyjrzał się wargom, podbródkom i postawie nieszczęsnych aresztantów. Żaden z nich nie przypominał pokutnika z katedry.

Wieczorem w dniu poprzedzającym egzekucję Baroncellego Wawrzyniec, zwany teraz powszechnie Wspaniałym, wysłał dwóch strażników, aby sprowadzili Leonarda do pałacu na via Larga.

Medyceusz z wyglądu niewiele się zmienił - jeśli nie liczyć bladej blizny na szyi.

Niewidoczna rana podobno się zagoiła, ale ten dzień znowu ją otworzył, rozdarł do świeżego, krwawego mięsa.

Leonardo także ugiął się pod ciężarem żalu i winy. Gdyby nie był tak markotny, mógłby pozwolić sobie na zachwyty wyjątkową fizjonomią *II Magnijico*, zwłaszcza nad jego nosem, którego grzbiet wznosił się tuż pod zbiegnięciem łuków brwiowych, by trochę niżej spłaszczyć się i nagle zniknąć, jakby Bóg wgniółł go kciukiem. Ale nos wyrastał znów buntowniczo, osiągając zdumiewającą

długość, i zginał się stromo w lewo. Ten kształt nadawał głosowi Wawrzyńca drażniąco nosowy dźwięk i wywoływał inny osobliwy skutek: przez wszystkie lata ich znajomości Leonardo nigdy nie widział, by Wawrzyniec przystanął w swym osławionym ogrodzie i uniósł kwiat, by go powąchać. Nigdy nie pochwalił perfum damy ani nie zwrócił uwagi na żadną woń czy to przyjemną, czy też nie; mało tego, zdawał się zaskoczony i zakłopotany, gdy ktoś inny to czynił. Wniosek mógł być tylko jeden: Wawrzyniec nie miał zmysłu powonienia.

Tamtego wieczoru *7/ Magnifico* nosił wełnianą granatową tunikę z kołnierzem i mankietami obszytymi białym gronostajowym futrem. Mógł się czuć zwycięzcą, lecz zdawał

się raczej strapiony niż zachłyśnięty triumfem.

- Zapewne wiesz, czemu po ciebie posłałem - rzekł.

- Tak. Mam pójść jutro na plac, szukać trzeciego mężczyzny. - Leonardo zawahał się, jakby jego też coś trapiło. - Potrzebuję najpierw gwarancji.

- Proś, a dam ci je. Mam już Baroncellego, nie mogę spocząć, póki nie znajdzie się trzeci zabójca.

- Baroncelli umrze, a krążą plotki, że był niemiłosiernie torturowany.

- I słusznie - przerwał mu Wawrzyniec. - Dzięki niemu miałem szansę na znalezienie człowieka, który zabił mojego brata. Ale twierdził, że go nie zna. Jeśli jest inaczej, zabierze swoją tajemnicę do piekła.

Leonardo zawahał się, słysząc gorycz w tonie *II Magnifico*.

- Jeśli znajdę trzeciego zabójcę, nie będę mógł z czystym sumieniem wydać go na śmierć.

Wawrzyniec odrzucił głowę do tyłu, jakby ktoś wymierzył mu policzek.

- Pozwoliłbyś współwinnemu mordowi na moim bracie pozostać na wolności?

- Nie. - Głos Leonarda zadrżał lekko. - Ceniłem pańskiego brata wyżej niż kogokolwiek innego.

- Wiem - odrzekł Wawrzyniec cicho, w sposób, który mówił, że rzeczywiście zna całą prawdę. - Właśnie dlatego wiem również, że ze wszystkich ludzi ty jesteś moim największym sprzymierzeńcem.

By powściągnąć uczucia, Leonardo pochylił głowę, a potem znowu ją podniósł.

- Pragnąłbym zobaczyć tego człowieka przed trybunałem sprawiedliwości, pozbawionego wolności, skazanego na pracę dla dobra innych, zmuszonego do spędzenia reszty życia na rozmyślaniu nad swą zbrodnią.

Choć górna warga Wawrzyńca była niewidoczna, dolna napięła się mocno na dolnych zębach, obnażając je do połowy.



- Zaiste godny podziwu idealizm. Jestem rozsądnym człowiekiem... i uczciwym, podobnie jak ty. Czy jeśli zgodzę się, aby ów spiskowiec, gdybyś go znalazł, nie trafił na szubienicę, lecz do więzienia, pójdiesz na plac, żeby go odszukać?

- Tak - odparł Leonardo. - A jeśli jutro mi się to nie uda, nie zaprzestane poszukiwań, póki go nie znajdę.

Wawrzyniec pokiwał głową, zadowolony. Odwrócił wzrok, spoglądając na flamandzki obraz cudownej delikatności, wiszący na ścianie.

- Powinieneś wiedzieć, że ten człowiek... - Umilkł, po czym zaczął jeszcze raz. - Nie chodzi tylko o morderstwo mojego brata, Leonardzie. Sprawa sięga znacznie głębiej. Oni chcą zniszczyć nas wszystkich.

- Całą rodzinę Medyceuszy?

- I ciebie. Mnie. Botticellego. Verrocchia. Perugia. Ghirlandaia. Wszystko, co reprezentuje Florencja. - Leonardo chciał zapytać: „Kto? Komu na tym zależy?”, ale *Il Magnifico* uniósł dłoń, każąc mu milczeć. - Idź jutro na plac. Znajdź trzeciego zabójcę.

Zamierzam sam go przesłuchać.

Uzgodnili, że Wawrzyniec zapłaci Leonardowi pewną sumę za „zamówienie”: rysunek powieszonego Bernarda Baroncellego, który miałby później posłużyć jako szkic do portretu. Dzięki temu Leonardo mógł szczerze mówić, że przyszedł na Piazza della Signoria, ponieważ Wawrzyniec Medyceusz zlecił mu wykonanie rysunku. Był niewprawnym kłamcą, a nie lubił uciekać się do wykrętów.

Kiedy więc stał na placu w mroźny grudniowy poranek śmierci Baroncellego, przyglądając się uważnie twarzom wszystkich mijających go mężczyzn, zastanawiał się nad słowami *Il Magnifico*. „Oni chcą zniszczyć nas wszystkich”.

CZEŚĆ *Liza*

Na zawsze zapamiętam dzień, w którym matka opowiedziała mi historię zabójstwa Giuliana Medyceusza.

Był grudzień, trzynaście i pół roku po tamtych wydarzeniach, miałam dwanaście lat.

Po raz pierwszy w życiu stałam we wnętrzu katedry Santa Maria del Fiore i z zadartą głową podziwiałam wspaniałość kopuły Bru-nelleschiego, a matka, ze złożonymi modlitewnie dłońmi, szeptem opowiadała mi tę ponurą historię.

W powszedni dzień po porannej mszy świątynia była właściwie pusta, jeśli nie liczyć zapłakanej wdowy klęczącej tuż przy wejściu i księdza wymieniającego świece w kandelabrach na ołtarzu. Zatrzymałyśmy się dokładnie naprzeciw głównego ołtarza, tam gdzie doszło do morderstwa. Uwielbiałam awanturnicze opowieści i próbowałam wyobrazić sobie młodego Wawrzyńca Medyceusza z dobytym mieczem, wskakującego na chór i biegnącego między kapłanami, aby się ukryć w zakrystii.

Spojrzałam na moją matkę, Lukrecję, i pociągnęłam ją za haftowany brokatowy rękaw. Była ciemnowłosa i czarnooka, o cerze tak nieskazitelnej, że wywoływała moją zazdrość; sama jednak zdawała się nieświadoma swego cudownego wyglądu. Narzekała na swoje uparcie proste włosy, na oliwkowy odcień skóry. Cóż z tego, że miała delikatną budowę ciała, ładne dłonie, stopy i zęby. Byłam dorodna jak na swój wiek, już wyższa od niej, miałam matowe kasztanowe loki i twarz pokrytą trądzikiem.

- Co się stało po ucieczce Wawrzyńca? - szepnęłam. - Co się stało z Giulianem?

W oczach matki zakręciły się łzy. Jak mawiał ojciec, łatwo ulegała silnym emocjom.

- Zmarł od okropnych ran. Florencja oszalała, wszyscy łaknęli krwi. A egzekucje spiskowców... - Zadrzała na samo wspomnienie. Nie była w stanie dokończyć opowieści.

Zalumma, która stała przy jej drugim boku, pochyliła się naprzód, posyłając mi gniewne spojrzenie.

- Dość już - ostrzegła. - Czy nie widzisz, że zaczyna się denerwować? Istotnie, stanowiło to powód do obaw. Matka była niezdrowa, a wzburzenie pogarszało jej stan.

- To matka zaczęła opowiadać - odparłam. - Wcale o to nie prosiłam.

- Milcz! - rozkazała Zalumma. Byłam uparta, lecz ona nigdy nie dawała za wygraną.

Wzięła matkę pod ramię i słodszy głosem powiedziała: - Madonna, pora już iść. Musimy zdążyć do domu, zanim spostrzegą twoją nieobecność.

Chodziło jej o ojca, który spędzał ten dzień, podobnie jak większość pozostałych, na prowadzeniu interesów. Byłby zdruzgotany, gdyby po powrocie nie zastał żony w domu.

Pierwszy raz od wielu lat ośmieliła się oddalić i to na tak długo.

Potajemnie planowałyśmy tę wyprawę od jakiegoś czasu. Nigdy nie byłam w Duomo, choć dorastałam, patrząc na wielką ceglana kopułę na przeciwnym brzegu Arno, w naszym domu przy via Maggio. Przez całe życie chodziłam do naszego parafialnego kościoła Santo Spirito i uważałam, że jest wspaniały dzięki klasycznym kolumnom i arkadom z *pietra serena*, szlachetnej bladoszarej skały. Nasz ołtarz główny także mieścił się pod kopułą zaprojektowaną przez wielkiego Brunelleschiego, jego ostatnim osiągnięciem, i uważałam Santo Spirito z trzydziestoma ośmioma kapliczkami za niesłychanie wspaniały i ogromny kościół, aż do momentu, gdy stanęłam we wnętrzu Duomo. Kopuła stanowiła wyzwanie dla wyobraźni. Spoglądając na nią, pojęłam, dlaczego po ukończeniu budowy ludzie bali się pod nią stanąć. Zrozumiałam też, czemu niektórzy z tych, co słyszeli krzyki w dniu morderstwa Giuliana, wybiegli na zewnątrz, przekonani, że ta wielka kopuła wreszcie się wali.

To po prostu czar, że coś tak olbrzymiego wznosiło się w powietrzu bez widocznych podpór.

Matka zabrała mnie na Piazza del Duomo nie tylko po to, by zachwycić się kopułą, lecz by zaspokoić apetyt na sztukę - tak mój, jak i jej. Była dobrze urodzona i wykształcona.

Uwielbiała poezję, którą czytała po włosku i po łacinie (nalegała, by przekazać mi obie umiejętności). Z entuzjazmem zdobywała całe bogactwo wiedzy o skarbach kultury w naszym mieście - i od dawna trapił ją fakt, że choroba uniemożliwia jej rozkoszowanie się nimi razem ze mną. Dlatego gdy słonecznego grudniowego dnia nadarzyła się sposobność, wsiadłyśmy do karety i pojechaliśmy na wschód przez Ponte Vecchio aż do centrum Florencji.

Byłoby szybciej pojechać prosto przez via Maggio do najbliższego mostu Ponte Santa Trinita, lecz to pozbawiłoby mnie uczyty dla oczu. Po obu stronach Ponte Vecchio stały szeregi *botteghe* złotników i artystów malarzy. Każda *bottega* miała wyjście prosto na ulicę, gdzie właściciele wystawiali na pokaz swoje towary. Byłyśmy ubrane w nasze najlepsze obszyte futrem peleryny, które chroniły nas przed mroźnym powietrzem, a Zalumma dodatkowo opatulila moją matkę kilkoma grubymi wełnianymi kocami. Ale byłam zbyt radosna, żeby odczuwać zimno, wystawiłam głowę przez okno powozu, z rozdziawionymi ustami wpatrując się w złote tabliczki, statuetki, pasy, bransoletki i maski karnawałowe.

Patrzyłam na wyciosane w marmurze popiersia zamożnych Florentyńczyków, na portrety w trakcie malowania. Dawniej, powiedziała mi matka, na moście pracowali garbarze i farbiarze tkanin, którzy wylewali cuchnące chemikalia prosto do Arno. Medyceusze położyli temu kres: rzeka była teraz czystsza niż kiedykolwiek, a garbarze i farbiarze działali tylko w wyznaczonych punktach miasta.

Po drodze do Duomo kareta zatrzymała się na rozległym placu, przed imponującym zamkiem, zwanym Palazzo della Signoria, gdzie spotykali się włodarze miasta. Na murze jednej z przyległych kamienic znajdował się groteskowy fresk przedstawiających powieszonych mężczyzn. Nie wiedziałam o nich nic, poza tym że nazywano ich członkami spisku Pazzich i że byli źli. Jeden ze spiskowców, drobny i nagi, wpatrywał się szeroko otwartymi ślepych oczyma prosto we mnie - efekt był wstrząsający. Najbardziej jednak zaintrygował mnie wizerunek ostatniego wisielca. Jego postać różniła się od pozostałych, była bardziej subtelnie, a zarazem pewniej namalowana; delikatne cieniowanie dobitnie ukazywało żal i skrucę zgębnionej duszy. W przeciwieństwie do innych jego ciało nie zdawało się

nosić w powietrzu, lecz posiadało cień i głębię rzeczywistości. Miałam wrażenie, jakbym mogła wyciągnąć rękę i dotknąć stygnących zwłok Baroncellego.

Odwróciłam się do matki. Przyglądała mi się uważnie, choć nie powiedziała ani słowa o fresku, ani o tym, czemu się przy nim zatrzymałyśmy. Po raz pierwszy znalazłam się na dłużej na placu i pozwolono mi z bliska obejrzeć wisielców.

- Ten ostatni został namalowany przez innego artystę - zauważyłam.

- Tak, przez Leonarda z Vinci - powiedziała. - Jest bardzo wyrafinowany, prawda? Jak Bóg, który potrafi tchnąć życie w kamień. - Pokiwała głową, wyraźnie zadowolona z mojej spostrzegawczości, po czym zamachała do woźnicy, żeby ruszał.

Pojechaliśmy na północ na Piazza del Duomo.

Przed wejściem do katedry długo oglądałam rzeźbione przez Ghibertiego płyciny drzwi do pobliskiego ośmiokątnego baptysterium. Przy ogólnie dostępnym wejściu od południa ściany pokrywały malowidła przedstawiające sceny z życia Jana Chrzciciela, świętego patrona Florencji. Naprawdę jednak olśniły mnie Bramy Raju od strony północnej. W pięknie złożonym brązie ożywały sceny biblijne. Stałam na palcach i przesunęłam palcem po zamaszystym wygięciu skrzydła anioła, który oznajmił Abrahamowi, że Bóg żąda ofiary z Izaaka. Pochyliłam się z zachwytem nad Mojżeszem otrzymującym z Bożej ręki tablice z dziesięciorgiem przykazań. Najbardziej jednak pragnęłam dotknąć misternie wyrzeźbionych łbów i muskularnych cielsk wołów, wyłaniających się z metalu na najwyższej płycie. Wiedziałam, że czubki rogów byłyby ostre i zimne pod moimi palcami, lecz znajdowały się zbyt wysoko, bym mogła ich dosięgnąć. Zamiast tego zadowoliliłam się pocieraniem malutkich główek proroków i sybilli, które zdobiły drzwi niczym girlandy. Brąz parzył jak lód.

Wnętrze baptysterium wywarło na mnie mniejsze wrażenie. Tylko jedno dzieło przykuło moją uwagę: wyrzeźbiona przez Donatella w ciemnym drewnie nadnaturalnej wielkości Maria Magdalena. Była to upiorna, koszmarna wizja świętej jawnogrzesznicy: zestarzałej, z włosami tak splątanymi i długimi, że ubierała się w nie niczym Jan Chrzciciel w zwierzęce skóry.

Jej policzki były zapadnięte, rysy przeorane dziesięcioleciaми wyrzutów sumienia i skruchy. Wyraz rezygnacji w jej postaci przypominał mi matkę. Wszystkie trzy weszłyśmy następnie do Duomo i gdy znalazłyśmy się przed ołtarzem, matka od razu zaczęła mówić o morderstwie, którego dokonano tu prawie czternaście lat wcześniej. Miałam tylko parę chwil na przyjrzenie się zdumiewającemu ogromowi kopuły, zanim Zalumma zaniepokoiła się i powiedziała matce, że czas iść.

- Pewnie masz rację - przyznała niepewnie matka. - Ale najpierw muszę porozmawiać z córką na osobności.

To zirytowało niewolnicę. Zmarszczyła gniewnie czoło, aż brwi zbiegły się w jedną czarną linię, lecz przez wzgląd na swą niską pozycję odrzekła pokornie: „Oczywiście, Madonna”, po czym cofnęła się, ale niezbyt daleko.

Kiedy matka upewniła się, że Zalumma na nas nie patrzy, wyjęła zza dekoltu mały, lśniący przedmiot. Moneta, pomyślałam, lecz gdy przycisnęła krążek do mojej dłoni, zobaczyłam, że to złoty medalion z wybitym napisem ŻAŁOBA PUBLICZNA. Pod napisem dwaj mężczyźni z nożami przygotowywali się do ataku na zaskoczoną ofiarę. Mimo małych rozmiarów wizerunek był pełen realizmu, wykonany z precyzją godną Ghibertiego.

- Zatrzymaj ten medalion - powiedziała matka. - Ale niech będzie to nasza tajemnica.

Obejrzałam podarunek łapczywie, z ciekawością.

- Naprawdę był tak przystojny?

- Tak. To bardzo wierne przedstawienie. I rzadkie. Medal został zaprojektowany przez tego samego artystę, który namalował Baroncellego.

Natychmiast wetknęłam go w pas. Obie z matką podzielałyśmy upodobanie do takich błyskotek i do dzieł sztuki, choć ojciec sprzeciwiłby się dawaniu mi czegoś równie niepraktycznego. Jako kupiec ciężko zapracował na swój majątek i niechętnym okiem spoglądał na trwonienie go na rzeczy bezużyteczne. Ale ja byłam zachwycona, łaknęłam pięknych przedmiotów.

- Zalummo - zawołała matka. - Możemy iść.

Zalumma podeszła do nas i znowu wzięła matkę za rękę. Matka odwróciła się od ołtarza i nagle zatrzymała się, marszcząc nos.

- Świece... - wymamrotała. - Czy obrus na ołtarzu zajął się ogniem? Coś się pali...

Twarz Zalummy zastygła na moment w panice, lecz niewolnica natychmiast się opanowała i powiedziała spokojnie, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie:

- Proszę się położyć, Madonna. Tu, na posadzce. Wszystko będzie dobrze.

- Wszystko się powtarza - powiedziała matka tym osobliwym tonem, którego nauczyłam się bać.

- Proszę się położyć! - rozkazała Zalumma tak surowo, jakby zwracała się do dziecka.

Zdawało się, że matka w ogóle jej nie słyszy, a gdy Zalumma przycisnęła ją ku dołowi, próbując zmusić do położenia się na posadzce, zaczęła stawiać opór.

- Wszystko się powtarza - powiedziała pośpiesznie, gorączkowo. - Nie widzisz, że wszystko znowu się dzieje? Tu, w tym świętym miejscu.

Dołożyłam cały swój ciężar do wagi Zalummy. Obie starałyśmy się położyć matkę, lecz przypominało to próby ruszenia góry - która dygotała.

Ramiona matki mimowolnie oderwały się od boków i wystrzeliły w górę, zeszywniałe. Nogi załamały się pod nią.

- Mord i mordercze zamiary! - krzyknęła. - Spiski w spiskach po raz kolejny!

Gdy upadła, jej krzyki stały się niezrozumiałe.

Zalumma i ja trzymałyśmy ją, żeby nie położyła się zbyt mocno.

Matka wiała się na zimnej posadzce katedry, jej niebieski płaszcz rozchylił się, srebrzyste spódnice rozpostarły wokół. Zalumma położyła się na niej, a ja wsunęłam jej chusteczkę między zęby, a potem podtrzymałam głowę.

Ledwie zdążyłam. Ciemne oczy matki wywróciły się, widać było tylko pokryte żyłkami białka, po chwili zaczęły się wstrząsać. Głowa, tułów, kończyny zaczęły drgać nierytmicznie, gwałtownie.

Jakimś sposobem Zalumma utrzymała się na niej, unosząc i opadając razem z nią, mamrocząc coś chrapliwie w swym barbarzyńskim języku, wymawiając dziwne słowa tak szybko i w sposób tak wyćwiczony, że zorientowałam się, iż są częścią modlitwy. Ja też bez zastanowienia zaczęłam się modlić w języku równie starożytnym: *Ave Maria, Mater Dei, ora pro nobis peccatoribus, nunc et in hora tnortis nostrae...*

Skupiłam się na Imanej chusteczce w ustach matki - na zaciśniętych zębach i widocznych na nich kroplach krwi - i na rzucanej drgawkami głowie, którą teraz trzymałam mocno na podołku. Drgnęłam ze strachu, gdy obok ktoś zaczął się głośno modlić, także po łacinie.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam księdza w czarnej sutannie, który zajmował się ołtarzem. Modląc się, na przemian spryskiwał moją matkę płynem z małej fiołki i czynił nad nią znak krzyża.

Wreszcie matka wydała ostatnie rozdzierające jęknięcie, po czym zwiotczała. Powieki się zamknęły.

Ksiądz - młody rudowłosy mężczyzna z zarumienioną od krost skórą - wstał.

- Przypomina kobietę, z której Jezus wygnał dziewięć diabłów - powiedział z przekonaniem. - Jest opętana.

Obolała i zdyszana Zalumma wstała. Była wyższa od księdza o cztery palce. Zgromiła go wzrokiem.

- To choroba - powiedziała - o której nie masz pojęcia.

Młody duchowny skurczył się w sobie, teraz w jego głosie tylko lekko pobrzmiwała poprzednia pewność siebie:

- To diabeł.

Przeniosłam wzrok z twarzy księdza na surową minę Zalummy. Byłam dojrzała jak na swój wiek i wiedziałam, czym jest odpowiedzialność: coraz częstsze ataki choroby u matki sprawiały, że nieraz występowałam w roli pani domu i towarzyszyłam ojcu zamiast niej.

Przez ostatnie trzy lata to ja chodziłam z Zalummą na targ. Byłam jednak bardzo młoda, brakowało mi

wiedzy o świecie i o Bogu. Nadal nie wiedziałam, czy Bóg karze ją za wcześniejsze grzechy i czy napady rzeczywiście mają tak ponure źródło. Wiedziałam tylko, że ją Kocham, i nie spodobał mi się potępiający ton księdza.

Białe policzki Zalummy poczerwieniały. Znałam ją dobrze: cięta riposta uformowała się w jej głowie i cisnęła na karminowe usta, ale niewolnica się powstrzymała. Nie chciała wszczynać zwady z duchownym.

Nagle jęła mu obłudnie schlebiać.

- Jestem jeno biedną niewolnicą, nie mam prawa podważać słów uczonego męża, ojciec. Musimy zanieść moją panią do powozu. Czy raczysz nam pomóc?

Duchowny patrzył na nią z uzasadnioną podejrzliwością, ale nie śmiał odmówić.

Pobiegłam po naszego woźnicę, a gdy podjechał karetą pod główne wejście katedry, ksiądz zaniósł matkę do powozu.

Wyczerpana, spała z głową *na* podołku Zalummy, ja trzymałam jej nogi. Do domu pojechałyśmy przez Ponte Santa Trinita, zwyczajny kamienny most, gdzie nie było żadnych sklepików.

Nasz pałac na via Maggio nie był ani duży, ani bogaty, choć ojca byłoby stać na lepszy. Dom został zbudowany przed ponad stu laty przez jego prapradziada, z *pietra serena*, drogiego, lecz szarego kamienia. *Ojciec* nie dokonał żadnej przebudowy, nie dodał posągów, nie wymienił startych posadzek ani porysowanych drzwi; wystrzegał się niepotrzebnych ozdób. Wjechałyśmy za bramę, po czym Zalumma i woźnica wynieśli matkę z karocy.

Ku naszemu przerażeniu mój ojciec Antonio stał w loggii i patrzył.

Ojciec wrócił tego dnia wcześniej. Ubrany jak zwykle w ciemne *farsetto*, szkarłatny płaszcz i czarne nogawice, stał ze skrzyżowanymi ramionami przy wejściu do loggii, tak że nie mógł nas nie zauważyć. Miał ostre rysy, złocistobrązowe włosy, ciemniejsze na czubku głowy, wąski haczykowaty nos i podobne do błyskawic krzaczaste brwi nad bursztynowymi oczami. Jego obojętność wobec mody dawała o sobie znać nawet w wypadku zarostu: nosił

brodę i wąsy, chociaż mężczyźni mieli wówczas przycinane bródki albo całkiem się golili.

Jak na ironię nikt nie wiedział więcej o najmodniejszych stylach i zachciankach Florentyńczyków. *Bottega* ojca mieściła się w dzielnicy Santa Croce, w pobliżu starożytnej gildii wełny, *Arte de Lana*. Specjalizował się w dostarczaniu najprzedniejszych gatunków wełny najzamożniejszym rodzinom w mieście. Często odwiedzał pałac Medyceuszy na via Larga z powozem ciężkim od tkanin farbowanych *chermisi*, najdroższym z barwników, który robiono z suszonych larw i który dawał najwspanialszy szkarłat, oraz *alessandrino*, kosztownym i pięknym ciemnoniebieskim barwnikiem.

Czasami jeździłam z ojcem i czekałam w karocy, gdy on spotykał się ze swymi najważniejszymi klientami w ich pałacach. Lubiłam te wyprawy, a ojcu zdawało się sprawiać przyjemność dzielenie się ze mną tajnikami swego zawodu, bo rozmawiał ze mną jak z równą sobie. Czasami ogarniały mnie wyrzuty sumienia, że nie jestem synem, który mógłby przejąć rodzinny interes. Byłam jego jedynym dzieckiem i dziewczynką. Los nie uśmiechnął się do moich rodziców i za oczywiste uważano, że winna jest temu choroba matki.

Teraz zaś nie można było ukryć faktu, że nasza potajemna eskapada właśnie doprowadziła ją do kolejnego ataku.

Ojciec był zwykle człowiekiem opanowanym, pewne rzeczy jednak wielce go drażniły

- choroba żony była jedną z nich - i mogły sprowokować wybuch niepohamowanego szalu.

Gdy wygramoliłam się z karocy i ruszyłam za Zalummą, zobaczyłam groźbę w jego oczach i ze wstydem odwróciłam wzrok.

W owej chwili miłość do mojej matki wzięła w ojcu górę nad gniewem. Podbiegł do nas i wyręczył Zalummę, czule biorąc żonę na ręce. Wspólnie z woźnicą nieśli ją do domu. Po drodze ojciec obejrzał się przez ramię na Zalummę i na mnie. Cicho, żeby nie niepokoić na wpół przytomnej małżonki, choć słyszałam gniew czający się w jego głosie, powiedział:

- Wy, niewiasty, połóżcie ją do łóżka, a potem zamienię z wami po słowie.

Było to najgorsze z możliwych rozwiązanie. Gdyby matka nie uległa atakowi, mogłybyśmy go przekonywać, że zbyt już długo siedziała zamknięta w domu i że należała się jej wycieczka. Czulałam się przytłoczona ciężarem odpowiedzialności za wszystko, co się stało, i byłam gotowa posłusznie wysłuchać zasłużonej reprimendy. Matka zabrała mnie do miasta, ponieważ chciała sprawić mi przyjemność, pokazując skarby Florencji. Ojca szkoda było nawet o to prosić; gardził Duomo,



nazywając wielką kopułę „źle przemyślaną”, i mówił, że kościół parafialny Santa Spirito jest dla nas wystarczająco dobry.

Tak więc ojciec zaniósł matkę do łóżka. Zamknęłam okiennice, aby słońce nie świeciło jej w oczy, a następnie pomogłam Zalummie rozebrać ją do samej *camicia* z haftowanego białego jedwabiu, tak delikatnego i cienkiego, że z trudem można go było uznać za okrycie. Kiedy się z tym uporałyśmy i Zalumma upewniła się, że matka śpi, wyszłyśmy po cichu do antykamery i zamknęłyśmy za sobą drzwi.

Ojciec już na nas czekał. Ręce miał znowu skrzyżowane na piersiach, lekko piegowate policzki poczerwieniały, a oczy miały pioruny.

Zalumma się nie zlekła. Odwróciła się do niego z kurtuazją, lecz bez służalczego uniżenia, i czekała, aż przemówi.

Odezwał się głosem cichym i lekko drżącym.

- Wiedziałaś, jakie grozi jej niebezpieczeństwo. Wiedziałaś, a mimo to pozwoliłaś jej opuścić dom. Czy tak wygląda twoja wierność? Co z nami będzie, jeśli ona umrze?

Ton Zalummy był spokojny, a jej zachowanie pełne szacunku.

- Nie umrze, ser Antonio. Atak minął i pani śpi. Ale masz, panie, rację, zawiniłam.

Bez mojej pomocy nie mogłaby się stąd wydostać.

- Sprzedam cię! - Ojciec mówił coraz głośniejszym głosem. - Sprzedam i kupię lepszą niewolnicę!

Zalumma zmrużyła powieki, mięśnie na policzkach napięły się, jakby z trudem powstrzymywała się od riposty. Mogłam sobie wyobrazić, co jej się ciśnie na usta: „Jestem niewolnicą pani, z domu jej ojca; byłam jej niewolnicą, zanim cię poznała, panie, i tylko ona może mnie sprzedać”. Niczego jednak nie powiedziała. Wszyscy wiedzieliśmy, że ojciec kocha matkę, a matka Zalummę. Nigdy by jej nie sprzedał.

- Odejdź - powiedział ojciec. - Idź na dół.

Zalumma zawahała się przez chwilę, nie chciała zostawiać matki samej, lecz pan wydał jej polecenie. Wyszła, szeleszcząc spódnicami o kamienną posadzkę. Ojciec i ja zostaliśmy sami.

Zadarłam podbródek, instynktownie przyjmując wojowniczą pozę. Urodziłam się taka; jeśli chodzi o temperament, nie ustępowałam ojcu.

- To ty stoisz za tym wszystkim - powiedział, a policzki jeszcze bardziej mu się zaczerwieniły. - Ty i twoje zachcianki. Matka wyszła, żeby sprawić ci przyjemność.

- Tak, to ja. - Głos zadrżał mi, co mnie zirytowało. Postarałam się nad nim zapanować.

- Matka zrobiła to tylko po to, by sprawić mi radość. Czy sądzisz, że jestem szczęśliwa, iż miała napad? Wcześniej wychodziła z domu i nic się nie stało. Myślisz, że chciałam tego?

Pokręcił głową.

- Jesteś tak młoda i tak bezczelna, i pozbawiona szacunku. Posłuchaj mnie: zostaniesz w domu, przy boku matki, przez cały tydzień. Nie wyjdiesz ani na mszę, ani na targ. Czy wiesz, jak poważnego dopuściłaś się występku? Czy wiesz, jak byłem przerażony, kiedy wróciłem do domu i zobaczyłem, że jej nie ma? Czy nie czujesz wstydu, że przez swój egoizm skrzywdziłaś matkę? A może wcale nie dbasz o jej życie? Stopniowo podnosił głos, pod koniec krzyczał na całe gardło.

- Oczywiście - zaczęłam, ale urwałam, gdyż matka pojawiła się w drzwiach, oparła o framugę.

Oboje z ojcem odwróciliśmy się zaskoczeni. Wyglądała jak zjawa, zaciskała dłoń na framudze, żeby nie stracić równowagi. Oczy miała na wpół zamknięte z wyczerpania.

Zalumma rozpuściła jej włosy, które teraz spływały ciemnymi falami na ramiona i piersi aż do bioder. Nie miała na sobie nic z wyjątkiem leciutkiej koszuli nocnej z długimi, bufiastymi rękawami.

Przemówiła szeptem, choć wyraźnie słychać w nim było uczucie.

- Zostaw ją w spokoju. To był mój pomysł, od początku do końca. Jeśli musisz krzyczeć, to krzycz na mnie.

- Nie powinnaś wstawać - powiedziałam, ale moje słowa zagłuszył gniewny głos ojca.

- Jak mogłaś to zrobić, skoro wiesz, jakie to niebezpieczne? Czemu mnie tak straszysz, Lukrecjo? Mogłaś umrzeć!

Matka popatrzyła na niego zmęczonym wzrokiem.

- Mam już dość. Dość tego domu, tego życia. Nie dbam o to, czy umrę. Chcę wychodzić jak normalni ludzie. Żyć jak normalna kobieta.

Powiedziałaby więcej, ale ojciec jej przerwał.

- Niechaj Bóg ci wybaczy, że tak lekko mówisz o śmierci. To z Jego woli żyjesz w ten sposób, z Jego wyroku. Powinnaś przyjąć to w pokorze.

Nigdy dotąd nie słyszałam jadu w łagodnym głosie matki, nie widziałam na jej twarzy szyderczego uśmiechu. Tego dnia usłyszałam i zobaczyłam jedno i drugie.

Ściągnęła wargi.

- Nie drwij z Boga, Antonio, oboje znamy prawdę. Błyskawicznie, na oślep zamachnął się, żeby ją uderzyć. Matka cofnęła się zalękniona.

Równie szybka jak on ruszyłam jej z pomocą. Zaczęłam bić ojca po barkach, odciągałam go od matki.

- Jak śmiesz! - krzyczałam.-Jak śmiesz! Mama jest miła i dobra, w przeciwieństwie do ciebie!

Jasne, złociste oczy ojca rozszerzyły się i rozbłysły furją. Uderzył mnie na odlew; padłam do tyłu, zdumiona, że znalazłam się na podłodze.

Ojciec wybiegł z pokoju, a ja rozejrzałam się gorączkowo dokoła za czymś, czym mogłabym w niego cisnąć, ale miałam tylko pelerynę, której nie zdążyłam jeszcze zdjąć: dostałam ją od niego w prezencie, uszyto ją z najprzedniejszej wełny w kolorze *alessandrino*.

Teraz zwinęłam ją w kłębek i rzuciłam, ale nie uleciawszy dalej niż na długość ramienia, opadła cicho na posadzkę. Pusty gest.

Wstałam i wbiegłam do sypialni, gdzie znalazłam matkę klęczącą przy łóżku.

Pomogłam jej się położyć, okryłam ją kołdrą i przytuliłam, a ona - znów na wpół śpiąca - płakała cichutko.

- Nie płacz - powiedziałam. - Nie pokłóciliśmy się za bardzo. Pogodzimy się.

Sięgnęła na oślep po moją rękę. Ścisnęłam jej dłoń.

- Wszystko się powtarza - jęknęła, zamykając wreszcie oczy. - Wszystko się powtarza...

- Nie płacz już-powtórzyłam. - Śpij.

Siedziałam przy matce przez resztę dnia. Kiedy słońce zaszło, zapaliłam świecę i czuwałam dalej. Zjawiała się służąca, w imieniu ojca prosząc, żebym zeszła na dół i zjadła z nim wieczerzę, ale odmówiłam. Nie chciałam jeszcze się z nim godzić.

Gdy tak siedziałam prawie w ciemnościach, patrząc na profil matki oświetlony blaskiem świecy, było mi przykro. Okazałam się nie lepsza od ojca; z miłości i troski o nią dałam się ować gniewowi. Kiedy ojciec podniósł na nią rękę - choć nie wierzyłam, by mógł ją rzeczywiście uderzyć - to ja uderzyłam jego i to nie raz, lecz kilkakrotnie. I robiłam to, choć wiedziałam, że bijąc się, łamiemy matce serce. Byłam złą córką. Najgorszą, gdyż stałam się mściwa i knułam przeciwko tym, co skrzywdzili osoby, które kochałam. Kiedy miałam dziesięć lat, przyjęliśmy nową służącą Evangelie, kręłą kobietę z ciemnym zarostem na brodzie i szeroką czerwoną twarzą. Kiedy pierwszy raz zobaczyła jeden z ataków mojej matki, oświadczyła - podobnie jak ksiądz w Duomo - że jest opętana przez diabła i potrzebuje modlitwy.

Sam ten osąd nie mógł wzbudzić mojej nienawiści, najwyżej niechęć: jak rzekłam, nadal nie mogłam rozstrzygnąć, czy to prawda, ale wiedziałam, że podobne oskarżenia zawstydzają i ranią moją matkę. Evangelia nie poprzestała jednak na słowach. Kiedy przebywała z matką w jednym pokoju, żegnała się i czyniła znak, który miał odganiać zły urok, wystawiając dwa palce na poziomie oczu. Zaczęła nosić w woreczku na szyi talizman, aż wreszcie zrobiła coś niewybaczalnego: zawiesiła drugi woreczek nad drzwiami do komnaty matki. Miało to powstrzymać ją od wychodzenia z pokoju. Kiedy inne służące wyznały prawdę, matka się rozplakała. Ale była zbyt łagodna i zawstydzona, by ukarać Evangelie.

Wzięłam więc sprawy we własne ręce. Nie zamierzałam tolerować nikogo, kto doprowadzał matkę do łez. Zakradłam się do jej komnaty i zabrałam jeden z cennych pierścionków, z dużym rubinem, w delikatnej złotej oprawie. Był to prezent ślubny od ojca.

Schowałam pierścień wśród rzeczy Evangelii i czekałam. Stało się to, co przewidywałam: klejnot znaleziono ku przerażeniu wszystkich, a zwłaszcza Evangelii. Ojciec natychmiast wyrzucił ją ze służby.

Z początku czułam swego rodzaju satysfakcję: sprawiedliwości stało się zadość, matka nie będzie już płakać ze wstydu. Po paru dniach zaczęło mnie jednak dręczyć sumienie. Cała Florencja wiedziała o przestępstwie Evangelii, która była wdową i miała małą córeczkę.

Żadna rodzina nie chciała jej zatrudnić i kobieta nie miała z czego żyć.

Wyznałam swój grzech spowiednikowi i Bogu, lecz nie przyniosło mi to ukojenia. W

końcu poszłam do matki i z płaczem wyznałam jej prawdę. Była dla mnie surowa i bez ogródek powiedziała to, co już wiedziałam: że zniszczyłam kobiecie życie. Ku mojej uldze nie podzieliła się z ojcem całą prawdą, powiedziała mu tylko, że zaszła okropna pomyłka.

Błagała, by odnalazł Evangelie, sprowadził ją z powrotem i oczyścił jej dobre imię.

Starania ojca okazały się próżne, Evangelia zdążyła opuścić Florencję, nie mogąc znaleźć tu pracy.

Od tamtej pory żyłam z poczuciem winy. I gdy tak siedziałam, patrząc na śpiącą matkę, przypominały mi się wszystkie moje wybuchy gniewu i mściwe występki, których się dopuściłam. Było ich wiele i modliłam się do Boga, tego Boga, który kochał moją matkę i nie chciał jej choroby, aby wybawił mnie od mojego okropnego temperamentu. Łzy stanęły mi w oczach: wiedziałam, że ojciec i ja przysparzaliśmy matce cierpienie za każdym razem, gdy się kłóciliśmy.

Kiedy pierwsza Iza spłynęła mi po policzku, matka poruszyła się we śnie i wymamrotała coś niezrozumiale. Uspokajająco położyłam jej dłoń na ramieniu.

- Już dobrze. Jestem tu.

W chwili gdy wypowiedziałam te słowa, drzwi otworzyły się cicho. Podniosłam wzrok i zobaczyłam Zalummę z pucharem w ręce. Wcześniej zdjęła czepiec i chustę i zaplotła bujne włosy, lecz aureola niesfornych loków otaczała jej bladą twarz.

- Przyniosłam wywar - powiedziała cicho. - Kiedy twoja matka się obudzi i wypije go, pozwoli jej przespać całą noc.

Pokiwałam głową i spróbowałam ukradkiem otrzeć mokry policzek w nadziei, że Zalumma niczego nie zauważy, gdy postawi puchar przy łóżku.

Oczywiście wszystko zauważyła, mimo że była odwrócona do mnie plecami w chwili, gdy to uczyniłam. Odwróciła się i tym samym cichym głosem powiedziała:

- Nie powinnaś płakać.

- To moja wina. Zalumma wybuchła gniewem.

- Nie twoja. To nigdy nie była twoja wina. - Westchnęła z goryczą, spoglądając na swoją śpiącą panią. - To, co powiedział ksiądz w Duomo...

Pochyliłam się do przodu, ciekawa, co powie.

- To nikczemność. Ignorancja, rozumiesz? Twoja matka jest najszczerzą chrześcijanką, jaką znam. - Przerwała. - Kiedy byłam małą dziewczynką...

- Kiedy żyłaś w górach?

- Tak, kiedy żyłam w górach. Miałam brata. Bardziej niż brata, byliśmy bliźniętami. -

Wspominając go, uśmiechnęła się czule. - Był uparciuchem i łobuziakiem, matka załamywała nad nim ręce. A ja zawsze mu pomagałam. - Lekki, łobuzerski uśmieszek umknął

natychmiast. - Pewnego dnia wspiął się na bardzo wysokie drzewo. Powiedział, że chce dotknąć nieba. Wspięłam się za nim tak wysoko, jak tylko mogłam, ale on był już tak daleko, że

przestraszyłam się i zatrzymałam. Tymczasem brat przeskoczył na gałąź... - Głos jej załamał się lekko; umilkła na chwilę, po czym podjęła spokojnie. - Spadł. Wyprostowałam się na krześle, przerażona.

- Umarł?

- Myśleliśmy, że tak będzie. Rozbił sobie głowę i okropnie krwawił, cały fartuch miałam we krwi. Kiedy wydobrzył i mógł już chodzić, wyszliśmy na dwór, żeby się pobawić.

Nie uszliśmy daleko, gdy upadł i zaczął się trząść tak samo jak twoja matka. Później przez jakiś czas nie mógł mówić i spał. Potem znowu czuł się dobrze aż do następnego razu.

- Jak mama - szepnęłam i umilkłam na chwilę. - Czy te ataki... kiedykolwiek... czy on...?

- Czy ataki go zabiły? Nie. Nie wiem, co się z nim stało od czasu, kiedy nas rozdzielono. - Zalumma przyjrzała mi się, jakby próbowała rozstrzygnąć, czy pojęłam morał

opowieści. - Mój brat nigdy nie miał ataków, zanim nie uderzył się w głowę. Ataki nadeszły po zranieniu. To rana głowy była ich przyczyną.

- Czy... czy matka uderzyła się w głowę?

Zalumma odwróciła wzrok - może opowiadała mi tylko bajkę, aby mnie uspokoić - ale kiwnęła głową.

- Tak mi się zdaje. A teraz... czy sądzisz, że Bóg zepchnął małego chłopca z drzewa, żeby go ukarać za grzechy? Albo czy ten mały chłopiec był tak słaby, że opętał go diabeł, który sprawił, że zeskoczył?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Są ludzie, którzy nie zgodziliby się z tobą. Ale ja znałam swego brata i znam twoją matkę. Wiem, że Bóg nie mógłby być tak okrutny i nie pozwoliłby diabłu opętać dobrych ludzi.

W jednej chwili moje wątpliwości zniknęły. Wbrew zdaniu Ewangelii i księdza moja matka nie była siedliskiem demonów. Codziennie chodziła na mszę w naszej prywatnej kaplicy, modliła się prawie bezustannie i miała ołtarzyk Matki Boskiej Kwietnej z lilią, symbolem zmartwychwstania i Florencji, w swej komnacie. Była szczodra dla biednych i nigdy nikogo nie obmawiała. Dla mnie była po prostu święta. Świadomość ta sprawiła mi wielką ulgę.

Jedno tylko wciąż mnie dręczyło.

„Mamy tu mord i mordercze zamiary! Spiski w spiskach po raz kolejny!” Nie mogłam zapomnieć o tym, co przed dwoma laty powiedział mi astrolog: że żyję w świecie oszustwa i że moim przeznaczeniem jest dokonać krwawego czynu, rozpoczętego przez innych.

„Wszystko się powtarza”.

- A te dziwne rzeczy, które matka wykrzykuje - powiedziałam. - Czy twój brat też tak robił?

Delikatna, porcelanowa twarz Zalummy wyrażała niepewność. Wreszcie postanowiła wyznać prawdę.

- Nie. Mówiła te rzeczy, zanim nadeszły ataki, odkąd była małą dziewczynką. Ona...

widzi i wie to, co jest ukryte przed resztą z nas. Wiele z tego, co powiedziała, już się sprawdziło. Myślę, że to dar od Boga.

„Mord i mordercze zamiary „. Tym razem nie chciałam wierzyć w słowa Zalummy, postanowiłam więc uznać, że jest przesądna.

- Dziękuję - odparłam. - Będę pamiętać o tym, co mi powiedziałaś. Uśmiechnęła się i pochyliła, kładąc mi rękę na ramieniu.

- Dość już czuwania, teraz moja kolej. Weź sobie coś do jedzenia. Spojrzałam na matkę, niezdecydowana. Nadal czułam się odpowiedzialna za to, co się wydarzyło rano.

- Idź - powtórzyła Zalumma tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Teraz ja z nią posiedzę.

Wstałam i zostawiłam je same - ale nie udałam się na poszukiwanie kucharki. Zamiast tego zesłam na parter z zamiarem pomodlenia się. Wyszłam na zewnątrz, przez tylny dziedziniec, do ogrodu. Nieco dalej, w niedużym budynku była nasza kaplica. Wieczór był

mroźny, niebo zachmurzone i bezksiężycowe. Niosłam lampkę, żeby nie potknąć się o rąbek sukni albo kamień.

Otworzyłam ciężkie drewniane drzwi kaplicy i przemknęłam do środka. Wnętrze było ciemne i mroczne, oświetlone wyłącznie świeczkami wotywnymi, palącymi się przed niedużymi obrazami naszych rodzinnych świętych patronów: odzianym w skóry świętym Janem Chrzcicielem na cześć Florencji, Matką Boską Kwietną - Santa Maria del Fiore -

ulubioną świętą mojej matki, pod której wezwaniem wybudowano Duomo, oraz imiennikiem ojca, świętym Antonim, z dzieciątkiem Jezus na rękach.

Większość prywatnych kaplic we Florencji zdobiły bogate freski, które często przedstawiały członków rodziny jako świętych i święte. W naszej brakowało takich ozdób, jeśli nie liczyć trzech obrazów świętych. Największa ozdoba kaplicy wisiała nad ołtarzem: była to duża drewniana rzeźba ukrzyżowanego Chrystusa o twarzy zbolalej i uduchowionej jak u postarzałej, skruszonej Marii Magdaleny w baptysterium Duomo.

Usłyszałam cichy szloch. A gdy uniosłam lampkę w kierunku głosu, zobaczyłam ciemną postać klęczącą przy balustradzie ołtarza. Ojciec modlił się zapamiętale, z czołem przyciśniętym do kłykci mocno splecionych dłoni.

Uklęłam obok. Odwrócił się do mnie, światło lampki migotało w niewyplakanych łzach

bursztynowych oczu.

- Wybacz mi, córko - powiedział.

- Nie - odparłam. - To ty musisz mi wybaczyć, ojciec. Uderzyłam cię, a to okropny czyn dziecka wobec ojca.

- A ja uderzyłem cię bez powodu. Chciałem tylko ochronić matkę. Miałem ten sam zamiar, lecz postąpiłem na odwrót. Jestem starszy i powinienem być mądrzejszy. - Podniósł

wzrok na figurę cierpiącego Chrystusa. - Po tych wszystkich latach powinienem nauczyć się nad sobą panować...

Pragnęłam go pocieszyć, sprawić, żeby przestał się obwiniać. Położyłam dłoń na jego barku i powiedziałam lekko:

- Odziedziczyłam krewki charakter po tobie. Westchnął i czule pogłaskał mnie kciukiem po policzku.

- Biedne dziecko. To nie twoja wina.

Wciąż klęcząc, przytuliliśmy się do siebie. I wtedy zapomniany medalion wysunął się spod mojego pasa. Zadzwoił o wyłożoną marmurem posadzkę, zatoczył idealne koło, po czym upadł na płask.

Zawstydziałam się. Ojciec z zaciekawieniem sięgnął po monetę i obejrzał ją dokładnie, a potem zmrużył oczy i odchylił głowę lekko do tyłu, jakby uchylał się przed ciosem.

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Widzisz - powiedział cicho i łagodnie. - Oto, do czego prowadzi gniew. Do straszliwych aktów przemocy.

- Tak - potwierdziłam, pragnąc jak najprędzej zakończyć rozmowę i wrócić do poprzedniego uczucia pojednania. - Matka opowiedziała mi o zabójstwie w Duomo. To potworność.

- Istotnie. Morderstwo jest niewybaczalne, bez względu na motyw. Takie przestępstwo jest ohydne, obrzydliwe w oczach Boga. - Złoty medalion, który wciąż trzymał

w górze, odbił słabe światło i zabłysnął. - Czy opowiedziała ci, jak to wyglądało od drugiej strony?

Nie rozumiałam go. Z początku myślałam, że mówi o monecie.

- Od drugiej strony?

- Od strony Wawrzyńca. Miłość do zamordowanego brata doprowadziła go w owych dniach do szaleństwa. - Zamknął oczy, wspominając. - Osiemdziesięciu ludzi w pięć dni.

Kilku z nich było winnych, inni po prostu mieli to nieszczęście, że byli spokrewnieni z



niewłaściwymi osobami. Torturowano ich bez miłosierdzia, odarto ze skóry i poćwiartowano, a okrwawione ciała wyrzucono z okien Palazzo della Signoria. A to, co zrobili z truchłem biednego Messera Iacopa... - Wzdrygnął się, zbyt przerażony tą myślą, by ciągnąć ją dalej. -

Wszystko na próżno, gdyż nawet rzeka krwi nie mogła przywrócić życia Giulianowi. -

Otworzył oczy i spojrzał na mnie surowo. - Masz w sobie skłonność do mściwości, dziecko.

Zapamiętaj me słowa: nic dobrego nigdy nie wynika z zemsty. Módl się do Boga, by cię wybawił od złości. - Przycisnął zimną monetę do mojej dłoni. - Przypominaj sobie, co ci powiedziałem, za każdym razem, gdy spojrzysz na ten medalion.

Spuściłam oczy i przyjęłam upomnienie w pokorze, choć dłoń prędko zamknęła się na skarbie.

- Dobrze - obiecałam.

Ku mojej uldze wreszcie podniósł się z klęczek, a ja poszłam za jego przykładem.

- Jadłaś coś? - zapytał. Pokręciłam głową.

- W takim razie poszukajmy kucharki.

W drodze do wyjścia podniósł moją lampkę i westchnął.

- Niech Bóg ma nas w opiece, córko. Niechaj nas strzeże przed uleganiem gniewowi.

- Amen - odrzekłam.

Zanim Zalumma udała się tamtej nocy na spoczynek, namówiłam ją (T) do przyścia do mojej małej komnaty. Zamknęłam za nami drzwi, po czym wskoczyłam na łóżko i objęłam ramionami kolana.

Jeszcze więcej niesfornych, poskręcanych kosmyków uciekło z zaplecionych warkoczy i lśniły w świetle pojedynczej świecy, która rozjaśniała twarz cudownie niesamowitą, migoczącą poświatą - wprost idealną do makabrycznej opowieści, jakiej chciałam wysłuchać.

- Opowiedz mi o Messerze Iacopie - poprosiłam. - Ojciec powiedział, że zbezczeszczono jego zwłoki. Wiem, że został stracony, ale chcę poznać szczegóły.

Zalumma odmówiła. Zwykle lubiła się dzielić podobnymi wiadomościami, ten temat jednak wyraźnie zburzył jej spokój.

- To nie jest historia dla dziecka.

- Wszyscy dorośli ją znają. Jak mi nie opowiesz, poproszę o to matkę.

- Nie - odparła tak ostro, że oddech o mało nie zgasił płomienia. - Ani się waż zaprzętać jej tym głowę. - Marszcząc brwi, odstawiła świeczkę na stolik. - Co chcesz wiedzieć?

- Co zrobili z ciałem Messera Iacopa... i dlaczego. Przecież nie zabił Giuliana... czemu więc go stracili?

Usiadła na brzegu łóżka i westchnęła.

- Istnieje więcej niż jedna odpowiedź na te pytania. Stary Iacopo de' Pazzi był

seniorem rodu Pazzich, człowiekiem wykształconym, bardzo przez wszystkich szanowanym.

Był rycerzem i właśnie dlatego nosił tytuł Messera. To nie on był pomysłodawcą spisku przeciwko braciom Medyceuszom. Myślę, że dał się do tego namówić, kiedy stało się jasne, że pozostali zrobią to bez względu na to, czy będzie z nimi, czy też nie. Czy matka powiedziała ci, że gdy zamordowali Giuliana, zaczęli bić w dzwony na dzwonnicy Duomo?

- Tak.

- Był to sygnał dla Messera Iacopa, żeby wjechał konno na Piazza delia Signoria i wzywając lud do buntu przeciw Medyceuszom, zawołał: *Popolo e liberta!* Opłacił prawie setkę najemników z Perugia, którzy mieli mu pomóc w szturmie na Palazzo delia Signoria; sądził, że obywatele mu pomogą. Ale wypadki nie potoczyły się zgodnie z planem. Włodarze miasta z okien pałacu miotali kamienie w jego armię, a lud zwrócił się przeciw niemu, krzycząc: *Palle! Palle!* Kiedy został schwytany, powiesili go w oknie pałacu, tym samym, w którym powieszono Francesca de' Pazziego i Salviatiego. Z racji wysokiej rangi i szacunku, jakim darzyli go ludzie, pozwolono mu wyznać grzechy i przyjąć ostatnie namaszczenie.

Później pogrzebano go w rodzinnym grobowcu w Santa Croce.

Rozeszła się jednak plotka, że przed śmiercią Iacopo oddał duszę diabłu. Mnisi z Santa Croce przestraszyli się i ekshumowali ciało, aby pogrzebać je za murami miasta, w niepoświęconej ziemi. Gdy następnie jacyś *giopani* wykopali zwłoki, Messer Iacopo nie żył

już od trzech tygodni.

Pogrzebano go z pętlą zaciśniętą wokół szyi i *giopani* zaczęli go włóczyć za koniec liny po całym mieście. - Zamknęła oczy i potrząsnęła głową, przypominając to sobie. -

Szydźli z niego przez wiele dni, jakby jego ciało było kukłą. Zawlekli go do jego pałacu i tłukli głową w drzwi, udając, że domaga się wejścia... - Zadrżała i otworzyła oczy, ale nie patrzyła na mnie. - Widziałam go z nimi, gdy pewnego dnia wracałam z targu. Oparli zwłoki o fontannę i mówili do nich. „Dzień dobry, Messer Iacopo! Proszę przejść, Messer Iacopo.

Jakże się dzisiaj miewa pańska rodzina, Messer Iacopo?”-A potem obrzucali ciało kamieniami. Wydawało okropne głuchoe plaśnięcia. Kiedy leżał w ziemi, przez cztery dni padało, był więc teraz bardzo napuchnięty. W dniu egzekucji miał na sobie piękną purpurową tunikę: byłam w tłumie, kiedy go wieszano. Ta tunika zaczęła butwieć, pokryła się zielonkawoczarnym nalotem, twarz i ręce miał białe niczym rybnie podbrzusze. Z otwartych ust wystawał napuchnięty język. Jedno oko miał otwarte, pokryte szarą błoną, i to oko zdawało się patrzeć prosto na mnie. Czułam się, jakby błagał o litość zza grobu.

Wtedy modliłam się za jego duszę, choć wszyscy bali się powiedzieć o Pazzich choćby jedno dobre słowo. *Głowni* bawili się trupem jeszcze przez kilka dni, a potem znudzili się i wrzucili go do rzeki. Podobno widziano ciało płynące w stronę morza aż w Pizie. -

Umilkła na chwilę, a potem spojrzała mi prosto w oczy. - Musisz zrozumieć: Wawrzyniec uczynił dla miasta wiele dobrego, ale podsycił w ludzie nienawiść do Pazzich. Nie mam wątpliwości, że co najmniej jeden *giopani* dostał parę florenów z ręki samego Wawrzyńca.

Jego zemsta nie znała granic i za to Bóg każe mu pewnego dnia zapłacić.

Nazajutrz w ramach przeprosin ojciec zabrał mnie ze sobą z nową dostawą najprzedniejszych wełen do pałacu Medyceuszy na via Larga. Wjechaliśmy przez wielką żelazną bramę. Jak zawsze pozostałam w karocy. Pachołkowie uwiązali konie, a ojciec wszedł bocznym wejściem do pałacu w towarzystwie służących obładowanych towarami.

Przebywał w środku dłużej niż zwykle - prawie trzy kwadransy. Zaczęłam się nudzić, zapamiętawszy już fasadę budowli i wyczerpawszy wyobraźnię zastanawianiem się, co znajduje się wewnątrz.

Wreszcie wartownicy przy wejściu rozstąpili się i wyłonił się ojciec. Zamiast jednak wrócić do naszego powozu, zrobił krok na bok i czekał. Za nim w drzwiach pojawił się oddział strażników z długimi szpadami. Za nimi wyszedł mężczyzna opierający się ciężko o muskularne ramię towarzysza. Jedna z jego stóp była nieobuta, tylko owinięta tuż nad kostką naj-miększą czesaną wełną, używaną

do wyrobu kocyków dla noworodków.

Miał ziemistą cerę i garbił się lekko, mrużąc oczy przed rażącym słońcem. Spojrzał na ojca, który wskazał mu nasz powóz.

Pochyliłam się do przodu, zaciekawiona. Mężczyzna - szpetny, z ogromnym krzywym nosem i strasznie wystającą dolną szczęką - łypnął w moją stronę. Zamieniwszy parę słów z towarzyszem, podszedł bliżej, krzywiąc się boleśnie przy każdym kroku, gdyż z trudem przenosił ciężar na chorą stopę. Mimo to okazał wytrwałość i zatrzymał się nie dalej niż cztery metry ode mnie. Ale i tak musiał wyciągnąć szyję, żeby mnie zobaczyć.

Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę. Przyglądał mi się uważnie, w jego oczach odbijało się uczucie, którego nie potrafiłam odczytać. Powietrze między nami zdawało się drżeć, jakby właśnie uderzył piorun: Znał mnie, choć nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Mężczyzna kiwnął głową do ojca i wrócił do swej fortecy. Ojciec bez słowa wszedł do powozu i zajął miejsce koło mnie, jakby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Ja też nie odezwałam się słowem; oniemiałam z wrażenia.

Po raz pierwszy zobaczyłam Wawrzyńca Medyceusza.

N owy Rok przyniósł oblodzone ulice i trzaskający mróz. Mimo złej pogody ojciec porzucił naszą parafię Santo Spirito i zaczął codziennie jeździć na mszę na drugi brzeg rzeki do katedry San Marco, zwanej kościołem Medyceuszy. Stary Kosma nie żałował funduszy na jego odbudowę i miał tam prywatną celę, którą odwiedzał często, gdy jego życie dobiegało kresu.

Nowy przeor, niejaki Fra Girolamo Savonarola, zaczął tam głosić kazania. Fra Girolamo, jak zwał go lud, przybył do Florencji z Ferrary niecałe dwa lata temu. Zaufany przyjaciel Wawrzyńca Medyceusza, hrabia Giovanni Pico, był pod wielkim wrażeniem nauk Savonaroli i błagał Wawrzyńca, nieoficjalnego zarządcę San Marco, aby posłał po zakonnika.

W końcu Wawrzyniec uległ namowom.

Ale gdy tylko Fra Girolamo zdobył kontrolę nad klasztorem dominikanów, zwrócił się przeciwko swemu gospodarzowi. Nieważne, że pieniądze Medyceuszy ocaliły San Marco od zapomnienia. Fra Girolamo pomstował na Wawrzyńca - nie wymieniał jego imienia, lecz jasno dawał do zrozumienia, o kogo chodzi. Parady organizowane przez Medyceuszy okrzyknął grzesznymi, pogańskie zabytki wytrwale kolekcjonowane przez Wawrzyńca, okazały się bluźniercze, bogactwa i władzę polityczną, jakimi cieszyli się Medyceusze, uznał

za obrazę Boga, jedyne go prawowitego dawcę doczesnej potęgi. Z tych powodów Fra Girolamo wyłamał się z tradycji przestrzeganej przez wszystkich nowych przeorów San Marco: odmówił złożenia uszanowania dobroczyńcy klasztoru Wawrzyńcowi.

Takie zachowanie przemawiało do przeciwników Medyceuszy i zawistnej biedoty.

Mój ojciec był jednak raczej pod wrażeniem głoszonych przez Savonarolę przepowiedni rychłego końca świata.

Podobnie jak wielu Florentyńczyków ojciec był uczciwym człowiekiem, który starał

się pojąć boskie nakazy i przypodobać Panu. Jako człowiek wykształcony zdawał sobie również sprawę z ważnego wydarzenia astronomicznego, które nastąpiło kilka lat wcześniej: koniunkcji Jowisza i Saturna. Wszyscy przyznawali, że ma ono niezwykłą wagę. Niektórzy twierdzili, że przepowiada to nadejście Antychrysta (powszechnie uważano, że jest nim turecki sułtan Mehmed, który podbił Konstantynopol, a teraz zagrażał całemu chrześcijańskiemu światu), inni zaś, że wróży nadchodzące duchowe oczyszczenie w łonie Kościoła.

Savonarola wierzył, że jedno i drugie. Pewnego poranka ojciec wrócił z mszy bez tchu. Fra Girolamo wyznał podczas kazania, że Bóg bezpośrednio do niego przemawia. „I powiedział, że Kościół zostanie najpierw spalony, a potem oczyszczony i odrodzony”, oświadczył ojciec z twarzą jaśniejącą szczególnym blaskiem. „Żyjemy u kresu czasu”.

Uparł się, żebym w następną niedzielę razem z nim wysłuchała kazania Savonaroli.

Błagał matkę, żeby nam towarzyszyła. „On jestznaczony przez Boga, Lukrecjo. Gdybyś tylko usłyszała go na własne uszy, twoje życie na zawsze by się odmieniło. To święty człowiek i moglibyśmy przekonać go, żeby się za ciebie pomodlił...” Zwykle matka niczego mu nie odmawiała, w tym wypadku jednak trwała twardo przy swoim. Było dla niej za zimno na wychodzenie, dumy budziły w niej nadmierny niepokój.

Jeśli wybierze się do miasta, by wziąć udział w nabożeństwie, to tylko do naszego.

parafialnego kościoła Santo Spirito - to za ledwie krótki spacer od domu - gdzie Bóg usłyszy jej modlitwę równie wyraźnie jak modły Fra Girolama. „Poza tym - zauważyła - możesz go posłuchać, a potem dokładnie powtórzysz mi, co powiedział”.

Ojciec był rozczarowany i jak myślę, poirytowany, choć ukrył to przed matką. Był

przeświadczony, że gdyby wysłuchała Fra Girolama, jej stan w jakiś magiczny sposób by się poprawił.

Nazajutrz do naszego pałacu przyszedł gość: hrabia Giovanni Pico z Mi-randoli, ten sam, który przekonał Wawrzyńca Medyceusza do sprowadzenia Savonaroli do Florencji.

Hrabia Pico był inteligentnym, wrażliwym człowiekiem, uczonym w literaturze klasycznej i hebrajskiej kabale. Był również przystojny, miał złociste włosy i lśniące szare oczy. Rodzice przyjęli go serdecznie - należał w końcu do ścisłego kręgu zaufanych ludzi Medyceuszy... i znał osobiście Savonarolę. Pozwolono mi siedzieć przy stole podczas rozmowy dorosłych. Zalumma krzątała się, instruując inne służące i pilnując, by puchar hrabiego Pico był pełny naszego najprzedniejszego wina. Zebraliśmy się w głównej komnacie, gdzie kiedyś matka przyjęła astrologa. Pico siedział obok mego ojca, dokładnie naprzeciw matki i mnie. Niebo za oknami zasłaniały ołowianoszare chmury, zapowiadające burzę; powietrze było zimne i tak wilgotne, że czuło się to w kościach - typowy zimowy dzień we Florencji. Ogień w kominku wypełniał komnatę ciepłem i pomarańczowym światłem, które nadawało bladej twarzy matki uroczy blask i lśniło w złocistych włosach Pica.

W ser Giovannim - prosił, by go tak nazywać - najbardziej ujęło mnie ciepło i brak pretensji w sposobie bycia. Rozmawiał z moimi rodzicami - i co najbardziej zdumiewające, ze mną - jakbyśmy wszyscy byli równi i jakby odwdzięczał się za naszą życzliwość i gościnę.

Przypuszczałam, że przyszedł z czysto towarzyskich powodów. Jako przyjaciel Wawrzyńca Medyceusza ser Giovanni kilkakrotnie spotkał mego ojca, gdy przyjeżdżał z nowym ładunkiem wełny na sprzedaż. Odpowiednio do okazji rozmowa zaczęła się na dobre przy omówieniu zdrowia *Il Magnifico*. Ostatnio było kiepskie. Podobnie jak jego ojciec, Piero i Gotto-so, Wawrzyniec cierpiał straszliwie na podagrę. Ból stał się tak dotkliwy, że nie mógł

wstać z łóżka ani przyjmować gości.

- Modłę się za niego - westchnął ser Giovanni. - Ciężko jest patrzeć na jego męki, wierzę jednak, że wróci do zdrowia. Czerpie siłę z obecności trzech synów, zwłaszcza najmłodszego Giuliana, który każdą chwilę wolną od nauki stara się spędzać przy boku ojca.

Człowiek czuje się podniesiony na duchu, widząc takie poświęcenie u kogoś tak młodego.

- Słyszałem, że Wawrzyniec czyni starania o kapelusz kardynalski dla drugiego syna -

powiedział ojciec z lekkim odcieniem dezaprobaty. Gładził brodę opuszką kciuka, a było to przyzwyczajenie, któremu ulegał tylko wtedy, gdy był zdenerwowany.

- Dla Giovanniego. Tak. - Pico uśmiechnął się skromnie. - Mojego imiennika.

Widziałam już obu chłopców. Giuliano miał urodziwą twarz i postać, lecz Giovanni wyglądał jak nadmiernie wypchany serdelek na wrzecionowatych nóżkach. Najstarszy z braci, Piero, wdał się w matkę i był przeznaczony na następcę ojca, choć chodziły słuchy, że jest tępakiem, zupełnie nieodpowiednim do tej roli.

Pico zawahał się, zanim znów podjął wątek; sprawiał wrażenie człowieka rozdartego.

- Tak, Wawrzyniec jest bardzo przywiązany do tego pomysłu... choć oczywiście Giovanni jest o wiele za młody, aby można go brać pod uwagę. Wymagałoby to... nagięcia prawa kanonicznego.

- Wawrzyniec ma do tego talent - rzekł ojciec swobodnie. Nawet ja słyszałam o tym wcześniej, dość, by wiedzieć, że postępowanie Medyce-usza wywołuje oburzenie większości Florentyńczyków. Wawrzyniec nalegał na podniesienie podatków po to, by zapłacić za kardynalski fotel dla Giovanniego. Ojciec zrobił się nagle jowialny, zupełnie zmieniając nastrój. - Opowiedz Madonnie Lukrecji, co powiedział o synach.

- Ach. - Pico pochylił nieznacznie głowę, wargi wygięły mu się lekko w uśmiechu. -

Musi pani zrozumieć, że nie mówił tego do nich bezpośrednio. Za bardzo ich rozpieszcza, by im okazać jakąkolwiek nieżyczliwość. - Spojrzał prosto w oczy matki. - Tak jak pani rozpieszcza swą córkę, Madonna.

Nie zrozumiałam, dlaczego matka okryła się rumieńcem. Do tej chwili niewiele mówiła, choć jak my wszyscy była pod urokiem hrabiego. Pico chyba w ogóle nie zauważył, że poczuła się nieswojo.

- Wawrzyniec mawia zawsze: „Mój najstarszy syn jest głupi, drugi bystry, a najmłodszy dobry”.

Matka uśmiechnęła się wymuszenie, kiwnęła głową i rzekła:

- Cieszę się, że młody Giuliano jest dla ojca pociechą. Przykro mi, że słyszę o chorobie Wawrzyńca.

Pico znów westchnął, tym razem z lekkim zatroskaniem.

- Ciężko na to patrzeć, Madonna. Zwłaszcza że jak na pewno **mówił** twój mąż, pani, jestem zwolennikiem nauk Fra Girolama.

- Savonaroli - powiedziała cicho, sztywniejąc na dźwięk imienia zakonnika. Nagle zrozumiałam jej powściągliwość.

Messer Giovanni mówił dalej tak, jakby nie usłyszał. ‘

- Błagałem Wawrzyńca kilkakrotnie, by posłał po Fra Girolama, lecz *II Magnifico* gniewa się, że nowy przeor San Marco odmówił wizyty u niego. Szczerze wierzę, Madonna, że gdyby Fra Girolamo dotknął Wawrzyńca i pomodlił się za niego, natychmiast by ozdrowiał.

Matka odwróciła twarz, ton Pica stał się bardziej namiętny.

- Och, Madonna, nie odwracaj się od prawdy. Widziałem, jak Fra Girolamo dokonywał cudów. W całym swoim życiu nie spotkałem człowieka bardziej oddanego Bogu i uczciwszego. Wybacz, że jestem w pani obecności tak szczery, ale wszyscy widzieliśmy księży, którzy folgują sobie z dziewczkami, nadużywają jadła i wina, i oddają się wszelkim ziemskim grzechom.

Ale modlitwy Fra Girolama posiadają wielką moc, gdyż on sam postępuje bogobojnie.

Żyje w ubóstwie, pości, przegania grzeszne myśli biczem. Kiedy nie odprawia mszy i nie pomaga ubogim, spędza czas na modlitwach. I Bóg do niego przemawia, Madonna. Bóg daje mu widzenia.

Gdy to mówił, twarz ser Giovanniego rozjaśniła się, oczy zdawały się błyszczeć jaśniej niż ogień. Pochylił się do przodu i wziął moją matkę za rękę z wielką czułością, w której nie było ani krzty niestosowności. Również ojciec przybliżył się do niej, przysiadłszy na brzegu krzesła. Było jasne, że sprowadził tu Pica specjalnie w tym celu.

- Wybacz mi, pani, śmiałość, ale mąż mówił mi o twoich cierpieniach, Madonna. Nie mogę znieść myśli, że osoba tak piękna i młoda została pozbawiona normalnego życia...

zwłaszcza iż wiem z nieskończoną pewnością, że modlitwy Fra Girolama mogą cię uleczyć.

Matka była po prostu oburzona i wściekła. Nie spojrzała Picowi w oczy. Mimo tych emocji jej głos był opanowany, gdy odrzekła:

- Inni święci mężowie modlili się do Boga w mojej intencji. Modliłam się i ja, i mój mąż, a oboje jesteśmy dobrymi chrześcijanami. Bóg jednak nie zechciał mnie uzdrowić. -

Wreszcie zdobyła się na spojrzenie hrabiemu w twarz. - Jeśli jednak jesteś waść tak mocno przeświadczony o skuteczności modlitw Fra Girolama, czemu nie poprosisz go, aby pomodlił

się za mnie z ołtarza?

W swym zapamiętaniu Messer Giovanni poderwał się z krzesła, ukląkł na jednym kolanie przed moją matką w pozie suplikacyjnej i zniżył głos tak, że musiałam pochylić się do przodu, żeby go usłyszeć przez trzaskanie ognia.

- Madonna... słyszałaś z pewnością proroctwo o *papa angelico*? Wszyscy we Francji i Włoszech znali odwieczną przepowiednię o „anielskim papieżu” - wybranym nie przez kardynałów, lecz przez Boga - który oczyści Kościół z moralnego zepsucia i zjednoczy go przed rychłym powrotem Chrystusa. Matka kiwnęła powściągliwie głową.



- To Fra Girolamo, jestem o tym przekonany do głębi. To nie jest zwykły człowiek, Madonna. Cóż może zaszkodzić, że raz pójdziesz go, pani, wysłuchać? Załatwię ci spotkanie po mszy już w najbliższą niedzielę, jeśli tylko zechcesz. Proszę pomyśleć: Bóg wyleczy cię rękami Fra Girolama.

Nie musiałabyś już, pani, być więźniem w tym domu. Wystarczy tylko, żebyś przyszła, Madonna...

Matka zerknęła na ojca. Z początku w jej spojrzeniu była przygana, bo postawił ją w nadzwyczaj niezręcznej sytuacji, lecz potępienie ustąpiło, gdy zobaczyła jego twarz.

W minie ojca nie było krzty wyrachowania, niczego, co mogłoby się wydawać satysfakcją czy triumfem. Jego twarz podobnie jak twarz Pica jaśniała nie odbitym światłem ognia czy boskim natchnieniem, lecz najczystsza, najbardziej rozpaczliwą miłością, jaką kiedykolwiek widziałam.

Właśnie to, bardziej niż dar przekonywania pełnego uroku Pica, sprawiło, że ustąpiła, a gdy w końcu odpowiedziała hrabiemu, patrzyła na ojca z całym bólem i miłością, które skrywała w sercu, a teraz wyraziła spojrzeniem. Oczy lśniły jej od łez, które spłynęły na policzki, gdy się odezwała.

- Tylko raz - powiedziała do ojca, a nie do klęczącego Pica. - Tylko raz.

Tamtej niedzieli niebo było błękitne, oświetlone słońcem zbyt słabym, aby złagodzić szczypiący mróz. Mój najgrubszy płaszcz ze szkarłatnej wełny, obsyty króliczym futerkiem, nie wystarczał, by mnie ogrzać; powietrze piekło oczy tak, że łzawiły. W powozie matka siedziała sztywno z nieprzeniknionym wyrazem twarzy między mną a Zalummą, jej czarne włosy mocno odcinały się od bieli gronostajowej peleryny owiniętej wokół

szmaragdowozielonej aksamitnej sukni. Ojciec spoglądał troskliwie na żonę, z utęsknieniem czekając na znak pokrzepienia albo czułości, lecz ona patrzyła na niego, jakby był

powietrzem. Zalumma zaś wpatrywała się prosto w niego z nieskrywanym oburzeniem.

Hrabia Pico, który jechał z nami, robił, co mógł, żeby zająć ojca i mnie miłą rozmową, ale nic nie było w stanie ukryć usposobienia matki, mroźnego jak ów dzień. Uzgodniono, że bezpośrednio po nabożeństwie spotkamy się prywatnie z Fra Girolamem, aby ten mógł

położyć dłonie na mojej matce i pomodlić się w jej intencji.

Wstrzymałam dech z wrażenia, kiedy zajechaliśmy przed wejście kościoła San Marco.

Mego zdumienia nie wywołała sama budowla - zwyczajny kościół z nieozdobionego rzeźbami kamienia, zbudowany w tym samym stylu co San Spirito - lecz raczej liczba ludzi, którzy nie mogąc znaleźć miejsca w środku, tłoczyli się w drzwiach, na schodach i nawet na placu.

Gdyby nie było z nami hrabiego, nie udałoby nam się dostać do świątyni. Pico wysiadł

z powozu i na jego zawołanie natychmiast pojawili się trzej rośli dominikanie, którzy wprowadzili nas do środka. Ich obecność działała na tłum niczym magia; ludzie rozstępowali się tak, jak wosk topi się w pobliżu płomienia. Po chwili znalazłam się niedaleko ambony i głównego ołtarza, pod którym pochowano Kosmę Medyceusza, i stanęłam między matką a ojcem.

W porównaniu z Duomo wewnątrz kościoła San Marco z jego kolumnadami z jasnego kamienia i prostym ołtarzem było zwyczajne i nudne. W świątyni panował gorączkowy nastrój: mimo odrętwiającego zimna niewiasty wachlowały się i szeptały podniecone.

Mężczyźni przestępowali z nogi na nogę nie po to, by rozgrzać członki, lecz z niecierpliwości, młisi zaś wzdychali, modląc się na głos. Czułam się jak podczas karnawału, tuż przed oczekiwanym przez wszystkich turniejem rycerskim.

Chór zaczął śpiewać i rozpoczęła się procesja.

Jak urzeczeni wierni zwrócili się w kierunku pochodu. Pierwsi szli ministranci, jeden z wielkim krucyfiksem, drugi z rozbujaną kadzielnicą. Za nimi kroczył diakon, a potem sam ksiądz.

Ostatni, zajmąwszy najbardziej zaszczytne miejsce w szeregu, szedł Fra Girolamo. Na jego widok

ludzie zaczęli wołać „Fra Girolamo! Módl się za mnie! Z Bogiem, bracie!” Najgłośniej słyhać było okrzyk: *Babbo! Babbo!* - zdrobnienie, którego używają małe dzieci, zwracając się do swych ojców.

Stałam na palcach i wyciągnęłam szyję, starając się go dojrzeć. Zobaczyłam tylko wystrzępiony brązowy habit, w którym ginęła chuda postać. Mnich miał naciągnięty kaptur i pochylał głowę. Duma nie należy do jego grzechów, uznałam.

Usiadł, przygarbiony i ponury, razem z ministrantami; dopiero wtedy ludzie się uspokoiли. W miarę trwania mszy ich niepokój znowu wzrósł. Kiedy chór śpiewał *Gloria in excelsis*, zaczęli się wiercić. Odczytano list apostołski, odśpiewano graduał; kiedy ksiądz czytał Ewangelię, ludzie bezustannie szeptali - do samych siebie, do innych, do Boga.

I do Fra Girolama. Brzmiało to jak brzęk owadów i odgłosy nocnych stworzeń w letni wieczór - był to dźwięk głośny i niezrozumiały.

Gdy wspiął się na ambonę, w świątyni zapadła cisza tak głęboka, że usłyszałam stukot drewnianych kół powozu jadącego po bruku *via Larga*.

Nad nami, nad doczesnymi szczątkami Kośmy Medyceusza, stał drobny, wymizerowany człek o zapadłych policzkach i wielkich, wylupiastych ciemnych oczach. Po zdjęciu kaptura ukazała się głowa okolona matowymi czarnymi kędziorami.

Był nawet brzydszy niż jego przeznaczenie, Wawrzyniec Medyceusz. Czoło miał

niskie i płaskie, nos wyglądał, jakby ktoś wziął wielki kawał mięsa w kształcie siekiery i przycisnął go do twarzy. Grzbiet tego nosa wyrastał tuż pod łukiem brwiowym i biegł ukośnie w dół, po czym gwałtownie załamywał się pod kątem prostym. Krzywe dolne zęby wystawały tak, że mięsista warga była wypchnięta do przodu.

Żaden mesjasz nie wyglądał szkaradniej. Nieśmiały zakonnik, którego widziałam w procesji, i ten, który wspiął się na ambonę, nie mogli się od siebie bardziej różnić. Nowy Savonarola, ten, którego okrzyknięto *papa angelico*, jakby za sprawą magii stał się wyższy, oczy płonęły mu pewnością siebie, kościste dłonie zaściskały się na poręczy ambony z siłą boskiego autorytetu. Był to człowiek przemieniony przez moc, która go przerastała, moc promieniowała z kruchego ciała i przenikała mroźne powietrze wokół nas. Po raz pierwszy od wejścia do kościoła zapomniałam o zimnie. Nawet matka, dotąd przygaszona, osowiała i milcząca przez całą mszę, wydała z siebie westchnienie zdumienia.

Stojący po drugiej stronie ojca hrabia Pico podniósł złożone modlitewnie dłonie w geście suplikacji.

- Fra Girolamo - zawołał - daj nam swe błogosławieństwo, a zostaniemy uzdrowieni! -

Zerknęłam na jego uniesioną twarz promieniejącą oddaniem, na łzy, które nagle stanęły mu w oczach. Teraz już rozumiałam, czemu Zalumma zaszydziła raz z Savonaroli i jego wyznawców, nazywając ich *piangoni* "jęczkami".

Ale emocje wirujące wokół nas były ogromne, dzikie i prawdziwe. Mężczyźni i kobiety wyciągali do

przodu ramiona, otwartymi dłońmi ku górze, w błagalnym geście.

I Fra Girolamo odpowiedział. Potoczył wzrokiem dokoła; zdawał się widzieć każdego z nas i przyjmować skierowaną ku sobie miłość. Uczynił nad tłumem znak krzyża ręką, która drżała lekko od powstrzymywanych uczuć - a gdy to zrobił, ku niebu wzniosło się westchnienie ulgi i wreszcie w świątyni zapanowała znowu cisza.

Savonarola zamknął oczy, zbierając energię, aż wreszcie przemówił.

- Nasze dzisiejsze kazanie pochodzi z dwudziestego rozdziału Księgi Jeremiasza. -

Jego głos, donośny i dudniący pod łukowym sklepieniem, okazał się zaskakująco wysoki i nosowy.

Pokręcił ze smutkiem głową i pochylił twarz, jakby się zawstydził.

- Stałem się codziennym pośmiewiskiem, wszyscy mi urągają... Albowiem ilekroć mam zabierać głos, muszę obwieszczać: „Gwałt i ruina!” Tak, słowo Pańskie stało się dla mnie codzienną zniewagą...-Wzniósł oblicze ku niebu, jakby spoglądał prosto na Boga. - Ale Jego słowo trawiło serce moje jako ogień gorejący i zawarty w kościach moich i omdlałem, nie mogąc go znosić...

Teraz popatrzył na nas.

- Ludu Florencji! Choć inni mi urągają, nie mogę dłużej wstrzymać słowa Pańskiego. Płonie ono we mnie tak jasno, że muszę je wyrzec albo spłonąć w jego płomieniu.

Słuchajcie słowa Bożego; miarkujcie dobrze, wy, bogacze, albowiem zetnie was zaraza! To miasto nie będzie dłużej zwane Florencją, jeno Wylęgarnią Złodziejstwa, Grzechu, Krwawej Przemocy. Wtedy wszyscy zaznacie nędzy i upodlenia... Niesłychane czasy nadchodzą.

W miarę jak mówił, jego głos stawał się głębszy i silniejszy. Powietrze falowało od jego gromkich oświadczeń, drżało od obecności, która mogła być boska.

- O, wy cudzołożnicy, sodomicy, tarzający się w brudzie! Wasze dzieci zostaną napadnięte, wywleczone na ulice i okaleczone. Ich krew wypełni Arno, lecz Bóg nie wysłucha ich żalosnych krzyków!

Drgnęłam, gdy kobieta za moimi plecami wydała zgnębiony jęk; mury kościoła odbiły echem udręczone łkania. Owładnięty skruchą ojciec schował twarz w dłoniach i płakał wraz z hrabią Pikiem.

Ale matka zeszywniała, chwyciła mnie opiekuńczo za rękę i mrugając gwałtownie oczami, zadarła buntowniczo podbródek.

- Jak on śmie! - powiedziała ze wzrokiem utkwionym w Savonarolę, który zawiesił

głos, aby słowa zapadły słuchaczom w pamięć. Mówiła podniesionym tonem, na tyle głośno, że było ją słychać mimo szlochów tłumu. - Bóg słyszy krzyki niewinnych dzieci! Jak on może wygadywać

takie okropne rzeczy?

Równie szybko jak matka złapała mnie za ramię, Zalumma chwyciła rękę swej pani.

- Cicho, Madonna! Musi się pani uspokoić... - Pochyliła się bliżej, aby szepnąć coś matce prosto do ucha. Matka potrząsnęła głową z oburzeniem i objęła mnie ramieniem.

Przycisnęła mnie mocno do boku, jakbym była małym dzieckiem. Zalumma ignorowała kapłana i jego *piangoni* i wciąż uporczywie patrzyła na swoją panią. Ja też zaczęłam się martwić; czułam gwałtownie podnoszącą się i opadającą pierś matki, czułam napięcie w jej uścisku.

- To nie w porządku - szeptała chrapliwie. - To nie w porządku... Tak wielu ludzi w kościele płakało i jęczało, mamrotało coś do Fra Girolama i Boga, że nawet mój ojciec jej nie zauważył: obaj z Pikiem byli za bardzo zajęci kaznodzieją.

- O Panie! - wołał przenikliwym głosem Fra Girolamo. Przycisnął czoło do złożonych dłoni, wydał z siebie gorzkie łkanie i uniósł mokrą od łez twarz ku niebiosom. - Panie, jestem jeno skromnym mnichem. Nie prosiłem o Twoje objawienie; nie pragnę przemawiać za Ciebie ani doznawać wizji. Lecz uniżenie poddaję się Twojej woli. W Twoim imieniu gotów jestem jak Jeremiasz doznawać cierpień zadawanych przez bezbożników Twoim prorokom.

Spojrzał w dół na nas, jego oczy i głos stały się nagle łagodne.

- Boleję... Boleję jak i wy bolejecie nad dziećmi. Boleję nad Florencją i nad dopustem Bożym, który ją czeka. Lecz jak długo możemy grzeszyć? Jak długo obrażać Boga, zanim będzie zmuszony okazać słuszny gniew? Jak kochający ojciec powstrzymał swą rękę. Lecz gdy Jego dziatki wciąż błądzą i grzeszą, kiedy szydzą zeń, wtedy musi, dla ich dobra, wymierzyć surową karę.

Spójrzcie na siebie, niewiasty: na błyszczące klejnoty wiszące wam na szyjach, zwisające z uszu. Gdyby jedna z was, tylko jedna, odkupiła grzech próżności, ilu ubogich można by pożywić? Spójrzcie na zwoje jedwabiu, brokatu, aksamitu, na bezcenne złote nici, które zdobią wasze ziemskie powłoki. Gdyby bodaj jedna z was ubierała się z prostotą, aby przypodobać się Bogu, ilu można by uratować od głodu?

A wy, mężczyźni, z waszymi ladacznicami, sodomią, obżarstwem i opilstwem: gdybyście zamiast tego zwrócili się w ramiona własnych żon, Królestwo Boże miałoby więcej dzieci. Gdybyście dali pół waszego talerza biednemu, nikt we Florencji nie chodziłby głodny, gdybyście poniechali picia wina, nie byłoby burd ani rozlewu krwi w mieście.

Wy, bogacze, miłośnicy sztuki, kolekcjonerzy zbytkownych rzeczy, gloryfikujący człowieka miast Boga, nikczemnie i bezużytecznie obnoszący się ze swym majątkiem, podczas gdy inni mrą z braku chleba i ciepła! Odrzućcie ziemskie bogactwa i szukajcie skarbu, który jest wieczny.

Boże Wszechmogący! Odwróć nasze serca od grzechu i zwróć je ku Tobie. Oszczędź

nam katuszy, które spadają na tych, co łamią Twe prawa.

Spojrzałam na matkę. Wpatrywała się wzrokiem skupionym i gniewnym nie w Savonarolę, lecz w punkt gdzieś za nim, za kamiennymi murami San Marco.

- Matko - powiedziałam, ale nie usłyszała. Spróbowałam wydostać się z jej objęć, lecz tylko przycisnęła mnie mocniej, aż jęknęłam. Zesztywniała jak kamień, a ja znalazłam się w pułapce jej uścisku. Zalumma rozpoznała objawy i przemawiała łagodnie i pośpiesznie do swej pani, nakłaniając ją, by mnie puściła i położyła się, a wszystko będzie dobrze.

- To jest sąd Boży! - zawołała matka tak głośno, że na próżno starałam się zatkać uszy.

Fra Girolamo usłyszał. Wierni w pobliżu usłyszeli. Wszyscy popatrzyli na matkę i na mnie z oczekiwaniem. Ojciec i Pico spoglądali na nas z nieukrywaną trwogą.

Zalumma ujęła matkę za barki i usiłowała położyć ją na posadzce, ale matka stała niewzruszona niczym góra. Jej głos zmienił tembr, przestałam go poznawać.

- Słuchajcie! - W słowach rozbrzmiewał taki autorytet, że uciszył jęki wiernych. -

Pozrą go płomienie, aż jego członki jeden po drugim oderwą się i spadną do piekła! Pięciu bezgłowych mężów go obali!

Matka upadła na mnie ciężko. Załamalam się pod nią, zderzając podczas upadku z ojcem. Na ułamek sekundy zobaczyłam Pica odciągającego go do tyłu, zanim uderzyłam w zimny, niemiłosierny marmur. Wylądowałam na boku, jednocześnie uderzając się w głowę, ramię i biodro.

Widziałam mgnienia zielonego aksamitu i białego gronostaju, rąbki kobiecych spódnic i męskie buty. Słyszałam szepty, krzyki i wołanie Zalummy.

Matka leżała na mnie. Jej kończyny podrygiwały, łokieć wbijał się spazmatycznie w moje żebra. Zęby matki były zaciśnięte; powietrze wypuszczane za każdym razem, gdy otwierała usta, świszcząco mi w uszach. Bałam się tego dźwięku. Powinnam trzymać jej głowę, pilnując, żeby nie odgryzła sobie języka albo nie zrobiła sobie innej krzywdy.

Donośne komendy Zalummy stały się nagle zrozumiałe.

- Chwyć ją za ramiona! Wyciągnij ją!

Silne dłonie złapały mnie za nadgarstki, uniosły mi ramiona nad głowę. Ktoś obrócił

mnie na plecy. Głowa matki opadła na moje piersi, powietrze świszcząco między jej zaciśniętymi mocno zębami. Przez cały czas biła mnie ramionami i nogami, jej dłoń machnęła mi pod brodą i drasnęła paznokciem skórę.

Niewidoczna Zalumma zawołała:

- Wyciągnij ją!

Ojciec natychmiast przyszedł do siebie. Z niesamowitą siłą chwycił moje uniesione ramiona i wyciągnął mnie spod rozdygotanego ciała matki. Ruch wywołał dotkliwy ból w żebrach.

Ale w chwili gdy zostałam uwolniona, od razu o tym zapomniałam. Nie podziękowałam ojcu za pomoc, tylko poderwałam się na kolana i zwróciłam ku rzucającej się matce. Zalumma zdążyła już wgramolić się na nią i ciężarem własnego ciała unieruchomić wierzgające nogi pani.

Znalazłam obsyty futrem rąbek jej peleryny i wepchnęłam jej między zgrzytające zęby. Moja interwencja była spóźniona: już przegryzła sobie język na wylot, z przerażającym skutkiem. Krew splamiła jej wargi i zęby, policzki i podbródek; biały gronostaj wokół twarzy był zbryzgany szkarłatem. Choć trzymałam jej głowę mocno, podrywała ją tak gwałtownie, że czapka spadła jej na posadzkę. Moje palce zagłębiły się w miękkie ciemne włosy, loki starannie ułożone wcześniej rano przez Zalummę rozsypały się i rozczochrały.

- To diabeł! - Jakiś mężczyzna wystąpił do przodu - młody, rudowłosy, z pryszczatą twarzą. Rozpoznałam w nim księdza z Santa Maria del Fiore. - Widziałem, jak to robiła wcześniej, w Duomo. Jest opętana. Diabeł w jej ciele nie może znieść, by stała prosto w domu Bożym.

Wokół nas rozległy się szepty, które wzmożyły się i zmieniły w hałas, aż nad nami Savonarola wykrzyknął:

- Cisza!

Wszyscy podnieśli na niego wzrok. Ściągnął brwi w grymasie oburzenia na tak obraźliwe przedstawienie. Rudowłosy ksiądz odsunął się i zniknął w tłumie, pozostali, cisi i potulni, wycofali się na swoje miejsca.

- Zły niczego nie pożąda bardziej niż przerwać głoszenie słowa Bożego - zawołał Fra Girolamo. - Nie wolno nam rozproszyć uwagi. Bóg zwycięży.

Powiedziałby więcej, ale mój ojciec podszedł do ambony. Ze spojrzeniem utkwionym w mnicha, wyciągniętym ramieniem wskazał chorą żonę i zawołał błagalnie, rozpaczliwie:

- Fra Girolamo, pomóż jej! Uzdrów ją teraz!

Wciąż trzymałam głowę matki, lecz tak jak pozostali obserwowałam przeora San Marco z uwagą, z zapartym tchem.

Uniósł lekko brwi, zamrugnął niepewnie powiekami, zanim poczucie autorytetu powróciło.

- Bóg jej pomoże, nie ja. Kazanie będzie kontynuowane; msza zostanie odprawiona. -

Ojciec spuścił głowę, przygnębiony, Fra Girolamo dał znak hrabiemu i dwóm dominikanom stojącym wśród wiernych. - Zajmijcie się nią - polecił cicho. - Zabierzcie ją do zakrystii, niech na mnie zaczeka.

Potem donioślejszym głosem podjął przerwane kazanie.

- Dzieci Boże! Podobne złe znaki wzmożą się jeno, aż wszyscy w naszym mieście okażą skrucę i zwrócą dusze ku Bogu; w przeciwnym razie nadejdzie plagajakiej nie znała dotąd ziemia...

Od tamtej chwili słyszałam ton kazania, lecz nie jego sens, gdyż przy boku mojej matki pojawili się dwaj mnisi w brązowych habitach. Pico dowodził całą grupą.

- Fra Domenico - powiedział do większego z zakonników, który miał wielki kwadratowy łeb i tępe oczy. - Odsunę panie, a wtedy ty, bracie, podniesiesz Madonnę Lukrecję - wskazał na matkę wciąż miotaną wstrząsami - i wyniesiesz ją. Fra Marciano, pomożesz mu, gdyby zaszła potrzeba. Ani Zalumma, ani ja nie ustąpiłyśmy.

- Matki nie można ruszać: to jej może zaszkodzić - obstawałam z oburzeniem.

Fra Domenico wysłuchał nas w milczeniu, po czym zdecydowanymi, spokojnymi ruchami rozsunął ramiona Zalummy i złapał matkę wpół.

Uniósł ją z łatwością, odepchnąwszy Zalummę do tyłu. Na próżno wyciągnęłam ręce ku matce, jej



głowa z powiewającą płataniną włosów uniosła się z mojego podołka. Tylko lekko broniąc się przed drgającymi kończynami chorej, Domenico przerzucił ją sobie przez ramię jak piekarz czyni z workiem mąki. Nogi matki kopały go w pierś i tułów, ramiona były po plecach, lecz on zdawał się nie czuć tego.

- Stój! - krzyknęła do mnicha Zalumma. Wyglądała prawie równie przerażająco co jej pani: chusta pod czapką przesunęła się na bok, spod niej wystawały rozwiane loki. Dostała cios w oko, które już napuchło i ledwie się otwierało; policzek pod nim był czerwony i świecący, zapowiadając okazały siniec.

- Zostaw ją! - zawołałam do Fra Domenica. Usiłowałam wstać, lecz któryś z wiernych przydeptywał mi spódnice i znowu upadłam.

- Dajcie jej wstać! - rozkazał męski głos nade mną. Ludzie rozstąpili się, robiąc miejsce. Silne ramię sięgnęło w dół po moją rękę i podciągnęło mnie na nogi. Wstałam, ciężko dysząc, i spojrzałam na nieznanego - wysokiego, chudego mężczyznę ubranego w dystyngowaną szatę *Buonomi*, Dobrodzieja, jednego z dwunastu wybieranych co dwa miesiące doradców ośmiu rajców miasta. W jego oczach błysnęło dziwnie intensywne rozpoznanie, choć nigdy wcześniej się nie widzieliśmy.

Odsunęłam się od niego i podążyłam za niewzruszonym Domenikiem, który już przedzierał się przez dum. Mój ojciec, jakby zapominając, że jest w domu Bożym, pośpieszył

za nim, domagając się, by łagodniej obchodził się z jego żoną.

Towarzysz Domenica, Fra Marciano, zaofiarował mnie i Zalummie ramię, na którym mogłybyśmy się oprzeć. Gniewna, milcząca Zalumma odmówiła, choć wyraźnie utykała. Ja też odepchnęłam jego ramię machnięciem ręki. Wyraz twarzy Fra Marciana pozostał mimo to zatroskany i życzliwy. Był kruchy i postarzały, miał przerzedzone włosy, jego oczy zdradzały dobroć i łagodność charakteru.

- Nie martw się - powiedział do mnie. - Pani jest w rękach Boga. On nie pozwoli, by stało jej się coś złego.

Nie odpowiedziałam. Szłam bez słowa jak pozostali za Fra Domenikiem i jego ciężarem, aż dotarliśmy do zakrystii.

Była to mała izba, znacznie zimniejsza niż świątynia, którą ogrzewało ciepło ciała.

Widziałam własny oddech. Fra Domenico położył matkę na jedynym możliwym miejscu: wąskim drewnianym stole, który ojciec nakrył wpierw miękką futrzaną peleryną. Gdy tylko mnich ją położył, ojciec odepchnął go z zaciekłością, która mnie zdumiała. Dwaj mężczyźni, dysząc ciężko, wymienili mordercze spojrzenia; myślałam, że dojdzie do bójki.

Domenico pierwszy spuścił oczy, odwrócił się i odszedł ciężkim krokiem. Fra Marciano pozostał z nami, najwidoczniej pragnął dodać nam otuchy lub pomóc w miarę swych możliwości.

Podczas przenoszenia matce minął atak. Leżała nieruchoma i bezwładna, ojciec zdjął

szkarłatny płaszcz i okrył ją nim. Hrabia Pico położył dłoń na jego ramieniu.

Ojciec spróbował strząsnąć ją wzruszeniem barków.

- Jak Bóg mógł pozwolić na coś takiego? - spytał gorzko. - I dlaczego Fra Girolamo pozwolił, by tknęła ją ta bestia?

Pico mówił cicho, choć dziwnie twardym tonem.

- Fra Domenico jest zawsze u boku Fra Girolama; wiesz o tym, Antonio. Może Bóg dopuścił, by Madonna Lukrecja wycierpiała to poniżenie, aby z tym większą chwałą ją uleczyć. Jej ozdrowienie będzie wspaniałym świadectwem. Miej wiarę. Ufaj w wielkość Boga. Nie zaprowadził nas tak daleko tylko po to, by nas zawieść.

- Oby - odparł ojciec. Zakrył dłońmi twarz. - Nie mogę patrzeć na nią w tym stanie.

Kiedy dowie się, co się stało... wstyd będzie dla niej nie do zniesienia.

Rozchylił ręce i spojrzał na śpiącą matkę. Jej twarz, ziemista i blada, zdawała się odlana z wosku - pobrudzonego smugami i kroplami ciemniejącej krwi. Delikatnie odgarnął

jej niesforny kosmyk włosów z czoła; gdy to robił, przypadkiem zerknęłam na Zalummę, stojącą naprzeciw niego.

Szczera nienawiść w jej twarzy zdumiała mnie. Wykraczało to poza zachowanie stosowne dla niewolnicy, ale rozumiałam ją. Kochała matkę jak siostrę i z równym zapamiętaniem gardziła moim ojcem. Aż do tej pory jednak starała się skrywać żywione do niego uczucia.

Byłam po prostu zaniepokojona. Od niedawna przestałam się trapić źródłem ataków, na które cierpiała matka. Opowieść Zalummy o jej bracie i zranionej głowie przekonała mnie, że choroba matki ma naturalną przyczynę. Teraz, po jej siejących grozę słowach wygłoszonych przed Savonarolą, nie byłam już taka pewna. Czy dusza tak życzliwa i pobożna, jak dusza mojej matki, mogła być narzędziem szatana?

Przez kwadrans cała nasza nieszczęśliwa grupka czekała w nieogrzejonej zakrystii.

Owinęłam się mocno peleryną, ale pot, skutek poprzedniego wysiłku, mroził mnie do szpiku kości, oddech skraplał się i zmieniał w szron na wełnie. Moja biedna matka drżała pomimo peleryny i futrzanego płaszcza ojca, którymi była okryta.

Wreszcie ciężkie drzwi odtworzyły się, skrzypiąc, a my odwróciliśmy głowy. W

wejściu pojawił się Savonarola. Stał obok zwalistego Fra Domenica i wyglądał na znacznie mniejszego niż wtedy, gdy przemawiał z ambony.

Ojciec podszedł do matki i położył dłoń na jej ramieniu. Minę miał hardą, patrzył na Fra Domenica, nawet wówczas gdy mówił do Savonaroli.

- Nie potrzeba nam go tutaj. - Wskazał podbródkiem na Domenica.

- Jest moją prawą ręką - odrzekł Fra Girolamo. - Jeśli on ma nie wejść, ja też nie wejść.

Ojciec zamrugał i spuścił wzrok, pokonany. Obaj mnisi weszli do środka, Domenico przybrał powściągliwy wyraz twarzy.

Tuż za nimi w otwartych drzwiach pojawił się rudowłosy, pryszczaty ksiądz z Duomo.

- Z pewnością Bóg zesłał cię do Florencji, Fra Girolamo! - wykrzyknął, jego twarz zarumieniła się od pochlebstwa. - Codziennie przywozisz niezliczonych grzeszników do skruchy. Jesteś zbawieniem miasta!

Fra Girolamo usiłował pozostać obojętny wobec takiej pochwały. Odwrócił lekko wzrok w szczerzej próbie zachowania skromności, lecz słowa księdza wyraźnie sprawiły mu przyjemność. Wysokim nosowym głosem odparł:

- To Pan nasz ocali Florencję, nie ja. Staraj się skupiać na oddawaniu czci Bogu, nie człowiekowi. - Zrobił pauzę, po czym powiedział stanowczo: - Mam teraz inne sprawy.

Ostatnie słowa miały zbyć księdza, który stał teraz, blokując wejście do zakrystii, jakby nie pozwalał zakonnikowi przejść, póki nie otrzyma błogosławieństwa. Młody duchowny zajrzał do zakrystii.

- Ach! Oto niewiasta opętana przez wiele demonów! Fra Girolamo posłał mu ostre spojrzenie.

- Pozwólmy, żeby Bóg był sędzią jej choroby. - Spojrzał znacząco na Fra Domenica, który wyraźnie okazywał młodemu księdzu sympatię. Olbrzymi zakonnik z wahaniem zrobił

krok w kierunku drzwi.

Ksiądz przemknął z wdziękiem koło mnicha i wszedł do zakrystii, zanim ktokolwiek zdołał zagrozić mu drogę.

- Fra Girolamo, sam mówiłeś: szatan stara się nie dopuścić, by ludzie wysłuchali wiadomości, które przekazał ci Bóg. Nikt nie wypowiedziałby tych słów co ona, gdyby nie podszeptał ich sam diabeł. - Jasne oczy rozbłyły niepokojącym przeświadczeniem. - To samo zrobiła w Doumo: wykrzykiwała słowa, do których przymusił ją szatan.

Fra Domenico słuchał jak zaczarowany, nawet życzliwy Fra Marciano wystąpił przed naszą grupkę, aby lepiej słyszeć młodego księdza.

- To prawda, *Babbo* - rzekł Domenico do swego mistrza. - Twoja obecność może prowokować demony. Jakżeż muszą się przy tobie złościć! Jak bardzo się boją! Oto nadarza się sposobność, by okazać prawdziwą potęgę Wszechmogącego.

Niezadowolony z obrotu rozmowy, lecz nie mogąc jej zignorować, Sa-vonarola przeszedł obok Domenica i księdza i stanął u boku mojej matki, dokładnie naprzeciw mojego ojca i Pica.

- Czy to prawda? - spytał cicho ojca. - Czy wypowiadała dziwne słowa w Duomo, zanim nastąpił atak?

Milczący, powściągliwy ojciec popatrzył na mnie i na Zalummę. Niewolnica była bezczelna i buńczuczna, a po zdjęciu czapki dzikie granatowoczarne loki wydawały się równie niepokojące co wężowe włosy Meduzy.

- Nie - skłamała. - Cierpi na napady, odkąd zraniła się w głowę, lecz diabeł nie ma tu nic do rzeczy.

Savonarola zbliżył się do matki i delikatnie położył jej dłonie na barkach; jego nieśmiałość zniknęła, pewnym siebie głosem powiedział:

- Pomódlmy się po cichu.

Wszyscy posłuchaliśmy, schylając głowy, choć ośmieliłam się podpatrywać, co się dzieje, spod na wpół przymkniętych powiek. Ksiądz i Dome-nico weszli do zakrystii, Domenico zamknął za sobą duże spiżowe drzwi. Obaj pośpiesznie stanęli obok Fra Girolama.

Przepchnęli się i ustawili po drugiej stronie stołu, jak najbliżej obiektu swego uwielbienia.

Zalumma i ja musiałyśmy przesunąć się dalej, ku nogom matki.

Ojciec - z podkrążonymi, zaczerwienionymi oczami - spuścił głowę, lecz oczy miał

nadal otwarte, a wzrok czujny i gniewny. Stał na lewo od matki, obok Pica.

Po dłuższej przerwie Savonarola ściągnął brwi.

- Bóg do mnie przemówił. Nieodkupiony grzech doprowadził tę niewiastę do choroby

- grzech zbyt długo pogrzebany i zakryty, który splamił jej duszę. Będę się modlił do Boga, aby otworzył jej serce i usunął ciężar, tak by mogła uwolnić się od wpływu diabła. - Podniósł

głowę i cichszym tonem spytał ojca: - Czy wiesz, mój panie, o jakimś poważnym grzechu, z którego mogłaby nie chcieć się wypowiadać?

Ojciec z zaskoczeniem uniósł na niego wzrok, rozpacz owładnęła nim do tego stopnia, że nie mógł mówić. Zdołał wydać tylko z siebie zduszony szloch.

Pico zwrócił się w jego stronę.

- Antonio, przyjacielu, musisz zaufać Fra Girolamowi. Bóg sprowadził nas wszystkich tutaj w jakimś celu. To wszystko dla dobra Madonny Lukrecji.

- Czy komuś brak wiary? Czy ktoś pragnie nas opuścić? - Fra Girolamo popatrzył po kolei na każdego z nas.

- Będę się z wami modlił! - powiedział młody ksiądz z podnieceniem. Savonarola posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Ci, którzy chcą, mogą położyć dłonie na jej ciele i po cichu powtarzać moją modlitwę.

- Módlcie się, by nie stała jej się żadna krzywda - powiedział ojciec natarczywie. -

Módlcie się, żeby Bóg ją uzdrowił!

Savonarola posłał mu spojrzenie, które natychmiast go uciszyło. Ksiądz i Fra Domenico położyli dłonie na ramionach i biodrach matki, a ojciec i Pico położyli ręce na jej prawym ramieniu. Zalumma i ja mogłyśmy tylko dotknąć jej kostek.

Mały zakonnik uniósł ręce, przycisnął je mocno do barków mojej matki, po czym zacisnął powieki.

- O Panie! - wykrzyknął gromkim głosem, którym wygłaszał kazania. - Widzisz przed sobą niewiastę, żalostną grzesznicę...

Matka poruszyła się pod jego dotykiem. Zamrugła oczami. Wyszepiała zachrypłym głosem:

- Antonio?

Ojciec wziął ją za rękę i powiedział łagodnie.

- Lukrecjo, jestem tu. Wszystko będzie dobrze. Fra Girolamo modli się o twoje ozdrowienie. Odpoczywaj i nie trać wiary.

Oczy matki otworzyły się szeroko ze strachu. Mimo senności wyczuła na barkach zaciskający się uchwyt Savonaroli. Poruszyła się słabo, jakby chciała strząsnąć wszystkie przytrzymujące ją ręce.

- Antonio! Co on mówi? Co się stało?

Właśnie w tym momencie ksiądz - który wprost zaczął się trząść ze świętego oburzenia - wykrzyknął:

- Diabły ją opętały, o Panie!

- Tak! - mruknął Domenico niskim, tubalnym głosem. - Diabły, Panie!

- Przestańcie - wymamrotała matka.

Zalumma rzuciła słowa szybkie i ostre, skierowane głównie do księdza, lecz również do Savonaroli. Popchnęła wielkie, szerokie plecy Domenica, usiłując się dostać do swej pani.

- Przestańcie! Straszycie ją! Musi mieć spokój!

- Wszystko będzie dobrze, Lukrecjo - powtarzał ojciec. - Wszystko będzie dobrze...

Savonarola nie zwracał na nic uwagi; rozmowa, jaką prowadził, toczyła się między nim a Bogiem.

- O Panie! Nikt nie może jej ocalić prócz Ciebie. Nie jestem godzien, by stanąć przed Tobą, ale najpokorniej błagam: wybaw ją od grzechu. Uzdrów ją...

Pryszczaty ksiądz, zatracony w gorączkowym zapale, kontynuował modlitwę, jakby była jego własna.

- Uwolnij ją z uchwytu szatana! Słuchaj mnie, diable! To nie ja, lecz Bóg ci nakazuje: opuść tę niewiastę! W imię Jezusa Chrystusa opuść jej ciało i uwolnij ją!

Fra Domenico, pod wpływem świętego zapachu słów księdza, pochylił się i chwycił ramiona mojej matki z nadmierną siłą. Opluwając się, wrzasnął jej prosto w twarz:

- A kysz, diable, w imię Chrystusa!

- Pomocy - zawołała słabym głosem. - Antonio, na Boga... Ojciec złapał grube nadgarstki Fra Domenica, krzycząc:

- Łapy precz! Puszczaj ją!

Głos Savonaroli podniósł się ostro, karcąc księdza, Domenica i mojego ojca.

- Prosimy tu o uzdrowienie, o wybaczenie grzechów. Dopiero wtedy, Panie, diabeł ją opuści...

- Przestańcie! - rozkazała Zalumma, próbując przerwać zmieszany gwar modłów. -

Nie widzicie, co jej robicie?

Ciało matki zeszywniało. Szczęki zaczęły rozwierać się i zaciskać, kończyny uderzać w drewniany stół. Głowa miotła się w prawo i w lewo, krew z przegryzionego języka obryzgała duchownych.

Zalumma i ja starałyśmy się zająć nasze ustalone pozycje ratunkowe, ale zakonnicy i ksiądz nie chcieli mnie przepuścić, abym mogła przytrzymać matce głowę. Razem z Zalumma położyłyśmy się jej na nogach - lecz Fra Domenico odepchnął nas jednym zamaszystym ruchem ramienia, nawet na nas nie spojrzawszy. Ojciec pochylił się nad matką i wsunął jej ramię pod łopatki.

- Widzisz, *Babbo*, diabeł daje o sobie znać! - zakrakał triumfalnie Domenico, a potem się roześmiał.  
- Przepadnij! Nie masz nad nami żadnej władzy!

- Módlmy się do Boga - ryknął gromkim głosem Fra Girolamo. - O Panie, błagamy cię o uwolnienie tej niewiasty od grzechu, od wpływów szatana i prosimy o jej uzdrowienie. Jeśli istnieje jakaś przeszkoda, ukaż ją teraz, Panie!

- Precz, szatanie - podjął ksiądz z równą mocą i ferworem. - Przepadnij, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!

Fra Domenico z tępą twarzą rozjaśnioną przeraźliwą fanatyczną wiarą zaplątał się w obie modlitwy. Powtarzając słowa swego mistrza, wykrzyknął:

- Ukaż ją teraz, o Panie! Precz, szatanie, w imię Boże!

Gdy wypowiadał te słowa, ciało mojej matki poderwało się do góry w spazmie tak gwałtownym, że mężczyźni nie zdołali jej utrzymać. Nastąpiła osobliwa cisza; ksiądz i Savonarola, osłupiali, przestali się modlić. Domenico z całej siły przycisnął masywne dłonie do serca chorej.

- Precz, w imię Ducha Świętego!

W niespodziewanej ciszy usłyszałam cichy, lecz potworny trzask, stłumiony przez powłokę ciała, odgłos łamanego mostka. Wrzasnęłam, ledwie świadoma krzyków Zalummy i gniewnego ryku ojca.

Matka wybałuszyła oczy. Krew, która wezbrała się gdzieś w głębi jej ciała, popłynęła z kącików ust na oba policzki, do uszu. Usiłowała odkaszlnąć, a zamiast tego zachłusnęła się krwią. Rozległ się rozdzierający serce gulgot, rżenie człowieka, który rozpaczliwie szuka powietrza i znajduje tylko płyn. Topiła się.

Ojciec odepchnął Domenica od żony, po czym wrócił do jej boku. Niewiele myśląc, rzuciłam się na obojętnego zakonnika i jęłam okładać go pięściami, niejasno uświadamiając sobie, że Zalumma też go bije.

Opamiętawszy się, podbiegłam do matki. Pochyliłam się nad nią nisko, opierając łokcie o stół, zbliżając twarz do twarzy matki, do twarzy ojca. Zalumma była obok mnie, jej ramię przyciskało się do mojego.

Mnisi zupełnie ją opuścili. Fra Girolamo cofnął ręce i spoglądał na nią, a na jego twarzy malowało się zagubienie i rozczarowanie. Ksiądz umknął trwożliwie i zegnał się raz za razem znakiem krzyża. Pico też stanął z dala, usiłując pojąć sens straszliwego obrotu zdarzeń.

Tylko mój ojciec pozostał przy boku matki.

- Lukrecjo! - zawołał. - O Boże, Lukrecjo, odezwij się!

Lecz matka nie mogła mówić. Ruchy kończyn stawały się słabsze i słabsze, aż wreszcie ustały. Jej twarz przybrała barwę gołębiej piersi, krew pieniała się między wargami, gdy usiłowała zaczerpnąć tchu. Próbowałam pomóc w jedyny sposób, jaki znałam: pochyliłam głowę jak najbliżej jej ucha i powiedziałam, że ją kocham i wszystko będzie dobrze.

Patrzyłam, jak przerażenie gaśnie w jej oczach razem z życiem i widziałam chwilę, gdy jej spojrzenie stało się mętne i znieruchomiło.

Nie bacząc na krew, przytuliłam głowę do matczynej piersi. Zalumma wzięła ją za rękę i przycisnęła do dłoni wargi, ojciec przyłożył policzek do jej policzka. We trójkę opłakiwaliśmy ją przez dłuższą chwilę, a potem ogarnęła mnie złość. Uniosłam wilgotną od łez twarz i odwróciłam się do Domenica. Zanim jednak zdążyłam otworzyć usta, aby go oskarżyć, ojciec zawołał głosem rozdzierającym i szorstkim:

- Zamordowałaś ją! - Rzucił się na Domenica, jego dłonie były jak szpony, gdy sięgał do gardła dryblasą. - Zamordowałaś ją i zawisniesz za to na stryczku!

Mnich pociemniał na twarzy, uniósł ramię, żeby się bronić. Pico i rudy ksiądz dopadli do ojca i z trudem zdołali go odciągnąć. Krzyczałam razem z Zalummą, obie dawałyśmy upust oburzeniu.

- Morderca!

- Zabójca!

Savonarola stanął bezpiecznie, z dala od szamotaniny. Kiedy Pico i ksiądz poskromili ojca, Fra Girolamo wkroczył przed Domenica, który skrzywił się trwożliwie.

- Wybacz mi, Boże - zaszlochał. - Nie jestem zdolny do świadomego wyrządzenia krzywdy, to był wypadek, okropny wypadek... Proszę, uwierz mi, *Babbol Zza* moich pleców dobiegł głos ojca, cichy i zabójczy:

- To nie był wypadek. Chciałeś ją zabić...

- Nie - stwierdził stanowczo Pico. - To naprawdę był tylko wypadek. Fra Girolamo i Fra Domenico obaj przyszli tu ze zbożną intencją uzdrowienia jej.

Savonarola wystąpił do przodu, po raz kolejny stając się pewnym siebie kapłanem, który wcześniej grzmiał z ambony.

- Oto słowa, które przekazał mi Pan: Madonna Lukrecja jest wolna od swej choroby.

W godzinie śmierci odpokutowała swój grzech i zamieszkuje teraz w czyścicu. Radujcie się, wiedząc, iż jej dusza wkrótce będzie w niebie.

Jego słowa rozdarły ojcu serce.

- To prawda - wyszeptał. - Ale nie umniejsza to prawdziwości faktu, że Domenico ją zamordował.

Fra Girolamo był nieustępliwy.

- To, co się tutaj stało, było dziełem Bożym. Fra Domenico był tylko narzędziem w ręku Pana. Kobiety! - zwrócił się do nas obu. - Osuszcie łzy! Radujcie się, że wasza pani wkrótce będzie w



niebie.

Z mściwym spojrzeniem Zalumma splunęła w jego kierunku, po czym znów popadła w rozpacz.

- Bóg widzi, kto jest winien - powiedziałam. - Bóg wie, że popełniono tu zbrodnię i żadne gładkie słówka nie ukryją tego przed Jego okiem. Bóg dopilnuje, by ciebie, bracie, i Fra Domenica spotkała sprawiedliwość.

- A potem z nagłym zmysłem praktycznym, który mnie samą zaskoczył, dodałam: -

Jeśli odczuwacie chęć zadośćuczynienia, możecie dopilnować, by przeniesiono ją do naszego powozu.

- Zrobimy to - powiedział Savonarola. - Później zaś będę się modlił, by Bóg wybaczył

ci nienawistne słowa. Z upływem czasu pogodzisz się z tym, co się stało. Najpierw jednak pomódlmy się w intencji Madonny Lukrecji, aby jej pobyt w czyścicu okazał się krótki. Poślę po księdza - te słowa przyjął jako celowe utarcie nosa księdzu znajdującemu się wśród nas

- aby dał jej ostatnie namaszczenie. - Mówił do nas wszystkich, ale patrzył na mego ojca, który wciąż opierał się wszelkim próbom pocieszenia ze strony Pica. - Uklęknijmy -

powiedział Savonarola. Pico, ksiądz i dwaj zakonnicy spełnili polecenie. Zalumma i ja pozostałyśmy przy matce.

Ojciec nadal stał, rozsierdzony.

- On ją zabił.

- Był narzędziem w rękę Boga - powtórzył z wściekłością Savonarola.

- Bóg odpowiedział na nasze modlitwy, zabierając twoją Lukrecję, która wkrótce znajdzie się przy jego boku, wolna od wszelkich cierpień. To łaska w porównaniu z życiem, które wiodła... skutek bardziej nawet pożądany niż uzdrowienie jej tu, na ziemi. Powinieneś być wdzięczny. - Umilkł na chwilę, po czym nakazał: - Uklęknij. Uklęknij i módl się z nami, aby dusza twojej żony dostała zbawienia.

Ojciec wydał z siebie jęk, który zabrzmiał jak ryk. Stał i wbił morderczy wzrok w Domenica.

Domenico ukląkł przy swym mistrzu i spojrzał memu ojcu prosto w twarz. Z jego twarzy było niezaprzeczone poczucie triumfu, które nie miało nic wspólnego z Bogiem ani z dobrocią; w jego oczach błysnęło wyrachowanie i inteligencja - tak nieskończenie złośliwa i zimna, że zaparło mi dech.

Fra Domenico, patrząc nadal na ojca, kiwnął lekko głową w kierunku stołu, gdzie leżała matka, a potem powoli, z rozmysłem, na mnie.

Ojciec się wzdrygnął.

- Uklęknij - powtórzył Domenico niczym echo.

Pierś ojca uniosła się i opadła tak ciężko, że myślałam, iż pęknie. A potem, zakrywszy rękoma twarz, ojciec opadł na kolana obok Pica.

Domenico uśmiechnął się i zamknął oczy.

Ja nie zamierzałam się ugiąć. Zalumma też nie. Nie rozumiałam, do czego doszło między roslým zakonnikiem a ojcem, wiedziałam tylko, że ojciec dał się złamać.

Uczepiona ciała matki, nigdy nie pogardzałam nim bardziej niż w owej chwili. W

gruncie rzeczy nie byłabym w stanie powiedzieć, kogo nienawidziłam wtedy bardziej: Boga, Savonaroli, Fra Domenica czy też ojca i dlatego postanowiłam znenawidzić ich wszystkich.

Po udzieleniu matce ostatnich sakramentów przez księdza z San Marco przeniesiono ją do naszego powozu. Tłum zdążył się już rozproszyć - ale nawet pogrążona w żalu zauważyłam, że nieznajomy o ostrych rysach twarzy, który pomógł mi wstać podczas mszy, stał teraz na schodach kościoła i obserwował nas.

Pojechaliśmy z powrotem przez Ponte Santa Trinita. Przez całą drogę opatulona w zakrwawione sobole i szafirowy aksamit matka leżała bezwładnie w ramionach ojca. Pico nalegał, by nam towarzyszyć. Obecność hrabiego razila mnie, lecz żal ser Giovanniego był szczery. Obrót wypadków naprawdę nim wstrząsnął.

Ojciec nie mógł patrzeć na Pica i siedział przy nim sztywno, tak że ich nogi ani łokcie w ogóle się nie stykały. Modlił się cicho, pośpiesznie za duszę matki, odmawiając na przemian *Zdrowaś Mario* i *Ojcze nasz*. Kiedy Pico się do niego przyłączył, ojciec zawahał się, jakby miał opprzy przed przyjęciem modlitwy przyjaciela, ale potem ustąpił i modlił się dalej.

Nie mogąc znieść widoku we wnętrzu powozu, wyjrzałam przez okno. Uznałam niemal za zniewagę, że mury kościoła San Marco i via Larga wyglądają tak samo jak przedtem. Ludzie przechodzili ostrożnie oblodzonymi ulicami, zasłaniając twarze przed mrozem, ale nie było widać żadnej oznaki żałoby, żadnego respektu przed wszechmocą śmierci.

Żałowałam ojca i gniewałam się na niego. Czułam się jednak odpowiedzialna i to poczucie obowiązku kierowało moimi działaniami, kiedy przybyliśmy do domu. Gdy powóz zatrzymał się przed pałacem, podniosłam się pierwsza.

- Ser Giovanni - zwróciłam się do hrabiego Pica, jakbyśmy oboje byli dorośli i równi sobie. - Trzeba zamówić na dzisiaj grabarza, a na jutro księdza. Matka chciałaby być pochowana w Santo Spirito. Czy byłbyś tak miły...

Zanim zdążyłam dokończyć, Pico odrzekł z powagą:

- Będzie to dla mnie zaszczyt, Madonna Liza. Tymczasem... - Zwrócił się do mojego ojca, który wciąż tulił ciało żony. - Wnieśmy ją do środka.

- Do jej komnat - powiedziałam. - Zalummo, pójdz przed nimi i okryj łóżko tak, aby się nie zabrudziło. Każ służbie przygotować ręczniki i wodę.

Ojciec przycisnął martwą żonę do piersi.

- Sam ją zaniosę.

- Ależ, Antonio - rzekł kojąco Pico. - Będziesz potrzebował pomocy, chociażby przy wynoszeniu jej z powozu.

Ojciec wciąż zachowywał powściągliwość wobec Pica i unikał patrzenia mu w oczy, lecz ostatecznie kiwnął potakująco głową. We dwóch wynieśli matkę z powozu, potem ojciec natychmiast zabrał jej ciało.

- Teraz sam sobie poradzę. - Nie dawał się udobruchać i Pico ruszył do Santo Spirito.

Zalumma pośpieszyła przed nami do domu.

Szłam parę kroków przed ojcem, który mamrotał gorączkowo:

- *Aue Maria, gratia plena, Dominus tecum, benedicta...* Boże Wszechmogący, niechaj jej dusza szybko wzniesie się ku Tobie. Takie piekło i wszystko przeze mnie, od samego początku...

Szaleństwo dodawało mu siły. Wszedł do domu nie potknąwszy się ani razu i pewnie ruszył po stromych, wąskich schodach.

W komnatach matki Zalumma, z zaczerwienionymi oczyma, lecz już nieco spokojniejsza, czekała w otwartych drzwiach.

- Woda do mycia będzie za chwilę - oznajmiła - ale przygotowałam łóżko.

Z ogromną troską ojciec położył matkę na łóżku, okrytym starą poście-lą.

- Zabierzmy to - powiedziałam i sięgnęłam po piękną pelerynę z szafirowego aksamitu i gronostajowego futra sztywnego od ciemniejącej krwi. Zalumma pomogła mi wyciągnąć ją spod ciała matki. Kiedy skończyłyśmy, ojciec padł na kolana, ujął dłoń żony i pocałował ją.

Na dole rozległ się płacz i zawodzenie, woźnica opowiedział służącym, co się stało.

Wkrótce przyniesiono wodę i ręczniki.

- Odejdź teraz - powiedziałam do klęczącego ojca. - Musimy ją umyć.

Pokręcił głową, trzymając się mocno matki.

- Trzeba się za nią modlić. Trzeba się modlić, aż otrzymamy od Boga znak, że jest w niebie i nie cierpi. *Adveniat regnum tuum*. Przyjdź królestwo Twoje.

- Dość już się dzisiaj stało od modlitwy! Wyjdź! - Oczy Zalummy zalśniły złością.

Wkroczyłam między nich.

- Ojcze, jeśli chcesz, możesz modlić się dalej w innej komnacie. - Delikatnie zdjęłam jego dłoń z dłoni matki, potem chwyciłam go mocno i pomogłam mu wstać z klęczek. - To nie potrwa długo - zapewniłam. Zaprowadziłam go do drzwi i zamknęłam je, gdy wyszedł.

Wróciłam znowu do łóżka. Zalumma spoglądała na swą panią z mieszaniną żalu i najczystszej

miłości. Chwilę później tuliłyśmy się mocno do siebie, szlochając.

- Jak to możliwe? - jęknęłam, wtulona podbródkiem w jej bark. - Jak Bóg mógł zrządzić coś tak okropnego?

- Bóg daje ludziom wolny wybór do czynienia dobra albo zła - mruknęła Zalumma. -

Aż nazbyt często czynią to drugie.

Kochałam matkę bardziej niż kogokolwiek na świecie; jeśli chodzi o ojca, wszelkie ciepłe uczucia, jakimi go do tej pory darzyłam, stały się gorzkie. Miałam teraz Zalummę i tylko Zalummę. Moja matka i potrzeba, by się nią opiekować, zawsze nas jednoczyły, teraz musiałyśmy znaleźć sobie nowy cel.

Zalumma poklepała mnie po plecach tak łagodnie, jakbym była niemowlęciem.

- Dość już, dość - szepnęła. Odsunęłam się i uspokoiłam.

- Spójrz na siebie - powiedziałam, z niestosownym całkiem przyplływem humoru patrząc na dziką aureolę włosów i brązowoczerwone smugi na jej twarzy. - Mogłabyś wystraszyć największego śmiałka.

- To samo można powiedzieć o tobie - odrzekła Zalumma ze słabym uśmiechem. -

Umyjmy najpierw ręce, ale potem musimy się śpieszyć. - Jej twarz sposepniała, starała się nie rozplakać. - Teraz szybko zacnie sztywnieć.

Stanęłyśmy po przeciwnych stronach łóżka i zabrałyśmy się do roboty. Na pierwszy ogień poszło rozsznurowanie sutych brokatowych rękawów haftowanych złotą nicią; potem zdjęłyśmy ciężką wierzchnią suknię, także z zielonego aksamitu. Obcisła sukienka, *gamurra*, była następna, a na końcu poplamiona krwią *camicia*, halka z jedwabiu w kolorze kości słoniowej. Zdjęłyśmy to wszystko, rozebrałyśmy ją do naga. Zalumma zsunęła jej z palca pierścioneł ze szmaragdem i przekazała mi go z powagą. Zdjęłyśmy kolczyki i naszyjnik, nie mogła się ostać żadna ozdoba.

Z szacunku Zalumma wręczyła mi jeden z ręczników i zostawiła zadanie obmycia z krwi twarzy zmarłej. Moczyłam koniuszek ręcznika w misce raz za razem, aż woda zmętniała.

Zalumma zauważyła to.

- Przyniosę więcej wody - powiedziała, bo choć prawie skończyłam mycie twarzy, a Zalumma rąk, wciąż miałyśmy przed sobą umycie splamionych krwią piersi i szyi.

Kiedy wyszła, wyjęłam z komody najlepszą *camicia* matki, uszytą z białej wełny, i biały lniany welon - prawo nakazywało ubierać zmarłych w proste białe szaty i zezwalało wyłącznie na wełnę i len. Potem znalazłam jej grzebień i postarałam się jak najlepiej rozplatać jej włosy. Były straszliwie splecione, ale czesałam je tak łagodnie, jak mogłam, zaczynając od samych końcówek, a potem

stopniowo posuwając się ku górze. Jej włosy pachniały wodą różaną i żelazem.

Kiedy rozczesywałam jej sploty, podtrzymałam głowę jedną dłonią, żeby dosięgnąć kosmyków z tyłu. I gdy tak delikatnie przechylałam głowę to w tę, to w drugą stronę, poczułam, jak zęby grzebienia zagłębiają się, a potem lekko unoszą, gdy przesuwam nimi po skórze głowy.

Wrażenie było na tyle dziwne, że przerwałam pracę, odłożyłam grzebień i drżącymi palcami wymacałam wgłębienie w czaszce, między skronią a lewym uchem. Rozchyliłam włosy i znalazłam bliznę.

Matka zawsze upierała się, by tylko Zalumma trefiła jej włosy. Nawet mnie nie pozwalała ich dotykać.

Wróciła Zalumma, szła ostrożnie, żeby nie rozlać niesionej wody. Na widok mojej osłupiałej miny odstawiła miskę na nocną szafeczkę i zamknęła drzwi.

- Na jej głowie jest rana - powiedziałam, podnosząc głos z wrażenia. - Rana i blizna.

Nie spuszczałam z niej oka, gdy dokładnie wyjęła dwa ręczniki i podeszła, żeby podać mi jeden z nich.

- Wiedziałaś - zauważyłam. - Od początku wiedziałaś. Czemu mi po prostu nie powiedziałaś? Dawałaś mi do zrozumienia, ale przecież wiedziałaś na pewno.

Ręcznik zawisł luźno w jej dłoniach, schyliła głowę. Kiedy ją wreszcie uniosła, na jej twarzy malował się wyraz gorzkiej rezygnacji. Otworzyła usta, lecz zanim zdążyła wymówić słowo, rozległo się pukanie do drzwi.

Ojciec otworzył je bez pytania. Na widok martwej żony na łożku skrzywił się boleśnie i odwrócił wzrok.

- Proszę - powiedział - pozwólcie mi modlić się za nią tutaj. Chcę być z nią teraz, zanim stracę ją na zawsze.

Zalumma odwróciła się do niego z zaciśniętymi pięściami jakby chciała go uderzyć.

- Jak śmiesz! - syknęła. - Jak śmiesz, skoro to wszystko twoja wina!

- Zalummo - ostrzegłam ją. - Ojciec okazał się niemądry, że zabrał matkę do Savonaroli, ale jego intencje były dobre: liczył na szczęśliwe zakończenie.

- Ale to prawda! - warknęła. - Wreszcie dokończyłeś to, co zacząłeś dawno temu.

Odejdź teraz i daj nam się nią zaopiekować!

Ojciec bez słowa zamknął za sobą drzwi.

Zalumma wciąż stała twarzą do drzwi, napięta i roztrzęsiona. Położyłam rękę na jej barku, lecz zrzuciła ją wzruszeniem ramion. Pozbyła się wreszcie ciężaru od lat tłumionej nienawiści.

- Uderzył ją! Rozumiesz? Uderzył ją, a ja przysięgam nic nie mówić, póki żyła!

C zułam się jak święty Sebastian - przekłuta setkami strzał, poraniona, bez szans na przeżycie. Nie mogłam się zdobyć na żadną odpowiedź. Poruszałam się ciężko i cicho. Razem z Zalummą skończyliśmy mycie ciała mojej matki, a potem ubrałyśmy ją w wełnianą *camicię* i przyczepiliśmy do niezaplecionych włosów lniany welon.

Wyszłyśmy i zawołałam służbę, żeby po nią przysłała, słowami, których nie pamiętam.

Podczas pogrzebu na przykościelnym cmentarzu ojciec oznajmił głośno, że Savonarola miał rację, *adueniat regnum tuum*: zbliża się koniec świata, co jest rzeczą dobrą, bo oznacza, że on sam spotka się wkrótce z ukochaną Lukrecją.

Później, gdy zapadł wieczór, przyszedł do mnie z wizytą.

Byłam sama w komnacie matki - podjęłam dziwnie stanowczą decyzję, by spać w jej łóżku - kiedy rozległo się pukanie.

- Proszę - powiedziałam. Myślałam, że to Zalumma, która znów będzie mnie zmuszać do zjedzenia czegoś przed snem.

Tymczasem w drzwiach stanął ojciec, wciąż ubrany w luźną czarną szatę żałobną, zwaną *mantello*.

- Zalumma - rzekł tonem nieśmiałym i niepewnym - była dość zdenerwowana... Czy powiedziała ci coś więcej? O mnie i o twojej matce?

Spojrzałam na niego z nienawiścią.

- Powiedziała dość.

- Dość? - Lęk w jego oczach sprawiał, że nienawidziłam go jeszcze bardziej.

- Dość, żebym żałowała, że jestem twoją córką. Uniósł podbródek i zamrugał gwałtownie.

- Jesteś teraz wszystkim, co mam - wyszeptał chrapliwie. - Jedyńm sensem mojego życia.

Moja okrutna odpowiedź była najwyraźniej tą, której oczekiwał, bo odwrócił się i szybko odszedł.

Spałam tamtej nocy niespokojnie, budzona snami o matce - śniło mi się, że zaszła pomyłka, że ona wcale nie umarła, a Fra Domenico jej nie zabił. Obudziłam się, usłyszawszy hałas w pokoju. Uniósłam głowę i w mroku dostrzegłam wysoką, znajomą postać Zalummy.

Szła do materaca na posadzce, na którym zawsze spała przy mojej matce. Zauważyła, że nie śpię i patrzę na nią.



- Jestem teraz twoją niewolnicą - oznajmiła, po czym zajęła miejsce na podłodze przy moim łóżku i ułożyła się do snu.

Dom nasz nie należał do szczęśliwych. Zalumma i ja byliśmy nierozłączne, lecz czas mijał nam na pracach domowych pozbawionych znaczenia. Robiłam nadal to co zwykle: w szare zimowe dni chodziłam na targ zamiast matki, kupowałam mięso u rzeźnika i załatwiałam inne sprawy konieczne do prowadzenia domu, przy czym zawsze towarzyszyli mi Zalumma i woźnica. Teraz nie miałam już nikogo, kto by mnie instruował, wszystkie decyzje należały do mnie.

Unikałam ojca, jak tylko mogłam. Spożywaliśmy jadło bez przyjemności, gdy wieczerzaliśmy wspólnie, on wielokrotnie zostawał do późnego wieczoru w mieście pod pretekstem pracy, często więc jadłam w samotności. Chciałam okazać mu miłość i wybaczyć tak jak matka, ale nie potrafiłam ukryć urazy ani być miłą. Ani razu nie przyszło mi do głowy, by przeprosić \ za swoją okrutną uwagę, ponieważ wciąż była prawdziwa.

W swym udręczeniu uczeplił się nauk Savonaroli: często powtarzał za za - ‘

konnikiem, że koniec świata jest bliski, gdyż tylko to - albo śmierć - mogło go znowu zbliżyć do ukochanej Lukrecji. Sądzę, że nie miał innego wyboru: chciał wierzyć, że Bóg zabrał mu żonę, aby oszczędzić jej cierpień; inaczej musiałby przyjąć na siebie część winy za jej śmierć.

Inaczej musiałby uznać Savonarolę i tępego Domenica za morderców. Dwa razy dziennie uczestniczył we mszy w San Marco, zawsze z Giovannim Pikiem przy boku.

Pico stał się częstym gościem w naszym domu. Obaj z ojcem zaczęli się podobnie ubierać - w proste czarne szaty, które można było wziąć za księżą sutannę, gdyby nie świetny krój i najprzedniejsza tkanina. Chociaż ojciec podejmował hrabiego z największą gościnnością - zawsze dokładając starań, aby podawano mu najsmaczniejsze kąski z naszej kuchni i najlepsze wino - jednocześnie odnosił się do niego z pewną powściągliwością i chłodem, których Pico nie uświadczyłby przed śmiercią matki.

Przy kolacji ojciec powtarzał, co powiedział Fra Girolamo. Pragnął zna-; leżć odpowiednią frazę, wywołać emocje, które skłoniłyby mnie do prze-; baczenia i zachęciły do pójścia z nim do San Marco. Nigdy na to nie odpowiadałam, lecz skupiałam się wyłącznie najedzeniu tego, co miałam j na talerzu.

Dwa razy dziennie, w słońce czy w słotę, udawałam się z Zalummą do pobliskiego kościoła Santo Spirito. Czyniłam tak nie z pobożności - wciąż żywiłam do Boga urazę - lecz dlatego, że chciałam być blisko matki. Santo Spirito było jej ulubionym schronieniem.

Kłęczałam w zimnej świątyni i wpatrywałam się w piękną drewnianą rzeźbę Chrystusa na krzyżu. Na jego twarzy malowało się nie cierpienie, lecz wyraz głębokiego spokoju. Miałam nadzieję, że jest on również udziałem mojej matki.

W ten sposób minęły trzy pełne udręki tygodnie. Pewnego wieczoru po \ kolacji zjedzonej w samotności, gdyż ojciec się spóźniał, ktoś zapukał do drzwi mej komnaty.

Czytałam właśnie cenną książkę po matce, Dantego, i próbowałam roz-strzygnąć, w którym kręgu

niebios umieściłby się Fra Girolamo, a do którego kręgu piekiel sama bym go strąciła.

Zalumma siedziała ze mną. Opłakiwała matkę dyskretnie, ukrywając łzy, a przecież знаła ją znacznie dłużej niż ja. Gdy budziłam się w nocy od sennych koszmarów, widywałam, jak siedzi w mroku bez ruchu. W dzień poświęcała się całym sercem służbie dla mnie. Kiedy rozległo się pukanie, zmrużyła oczy. Siedziała właśnie przy naszej wspólnej lampce oliwnej i haftowała chusteczki do mojego *cassone*, kufra z posagiem.

- Proszę - powiedziałam z wahaniem. Poznawałam to pukanie i nie miałam ochoty na rozmowę.

Ojciec otworzył drzwi do połowy. Wciąż nosił na sobie ciężką czarną pelerynę i czapkę. Oparł się o framugę i powiedział zmęczonym głosem:

- Na parterze w głównej komnacie są tkaniny. Poleciłem służbie wyłożyć je tam dla ciebie. Jest ich za dużo, żeby nosić je na górę.

I odwrócił się, jakby wszystko już wyjaśnił.

- Tkaniny?

Moje pytanie sprawiło, że się zatrzymał.

- Wybierz, które ci się najbardziej spodobają, a ja sprowadzę krawca. Sprawimy ci nową suknię. Nie zważaj na wydatki: suknia musi być jak najpiękniejsza.

Zalumma - która od śmierci matki czyniła wszystko, by nie widzieć ojca - spojrzała na niego ostro znad robótki.

- Dlaczego? - Nie wiedziałam, co nim powoduje, może nagłe pragnienie, by odzyskać moje względy. Ale byłoby to sprzeczne z naukami Savonaroli: zakonnik złym okiem patrzył

na strojne szaty.

Ojciec westchnął. Pytanie wyraźnie go poirytowało i ociągał się z odpowiedzią.

- Masz wziąć udział w przyjęciu w pałacu Wawrzyńca Medyceusza.

// *Magnifico* - to cel ataków Savonaroli przeciw bogactwu i zbytkowi. Byłam tak zdumiona, że nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Wtedy ojciec odwrócił się i ruszył w kierunku schodów. Żadne moje wołania nie były w stanie go zawrócić.

Zalumma i ja zeszliśmy tamtego wieczoru na parter, a żeby lepiej zobaczyć podarunek ojca, wróciliśmy tam rano, gdy było jasno.

W głównej komnacie zwoje zapierających dech florenckich tkanin - za sprawą niepojętego buntu ojca

przeciw miejskim prawom o luksusie - zostały starannie rozłożone i poukładane, tworząc olśniewający widok. Nie miały stonowanych i ponurych barw odpowiednich dla córki jednego z *piangoni* Savonaroli. Były tu turkus, błękit o odcieniu pawich piór, fiolet i jaskrawy szafran, soczyste zielenie i róże, a także subtelne odcienie zwane „kwiatem brzoskwini”, „włosem Apolla” i „różowawym szafirem”. Były też tkaniny na bieliznę: na halkę delikatne białe jedwabie, lekkie jak powietrze, haftowane srebrną albo złotą nicią; obok stał półmisek pereł, które naszywano po skończeniu sukni. Nie brakowało lśniącego adamaszku, przepysznych brokatów, aksamitów grubych i cienkich, przetykanych złotem i srebrem. Mój wzrok przykuło *cangiante*, mieniący się jedwab o sztywnym taftowym splocie. Uniesiony do światła pobłyskiwał zrazu ciemnym szkarłatem, lecz gdy powoli poruszało się tkaniną, kolor zmieniał się w szmaragdowy.

Zalumma i ja byłyśmy jak dzieci, które dostały misę słodyczy: folgowałyśmy sobie, rozwijając materie, przykładając jedną do drugiej, aby lepiej wyobrazić sobie gotową szatę.

Przewieszałam je sobie przez ramię, owijałam na ukos ciało, a potem zerkałam w ręczne lusterko po matce, aby zobaczyć, który kolor mi odpowiada, Zalumma za każdym razem bez osłonek mówiła, co sądzi. Po raz pierwszy od tygodni mogłyśmy się śmiać.

I wtedy nasza mnie myśl, która zepsuła mi humor. Wcześniej nie mogłam zrozumieć, czemu mój pobożny ojciec pozwala mi na udział w przyjęciu u Medyceuszy. Po pierwsze, od śmierci matki nie minęło dość czasu, bym mogła się pokazać w strojnej sukni; po drugie, przez swe nabożne oddanie naukom Savonaroli był teraz wrogiem Medyceuszy (interesy, rzecz jasna, nie miały nic wspólnego ze sprawami wiary i duszy, nadal więc sprzedawał im swoje towary). Istniało tylko jedno wytłumaczenie, dlaczego zapragnął, by córka w przepysznych szatach spotkała się z *U Magnifico*. Wawrzyniec pełnił funkcję nieoficjalnego swata dla wszystkich zamożnych rodzin Florencji. Żadne dziecko wysokiego stanu nie śmiało wziąć ślubu bez jego aprobaty, a większość rodzin wołała, by Wawrzyniec sam wskazał męża lub żonę dla ich latorośli. Miałam być poddana oględzinom, oceniona niby ciele przed ubojem. Ale prawie wszystkie panny młode miały co najmniej piętnaście wiosen.

Moja obecność w domu była dla ojca wyrzutem sumienia, ciągłym przypomnieniem o tym, że zniszczył życie matki.

- Nie skończyłam jeszcze trzynastu lat - powiedziałam, beztrąsko upuszczając *cangiante* na kolana. - A on mimo to nie może się doczekać, żeby się mnie pozbyć.

Zalumma odłożyła zwój aksamitu, wygładziła go dłonią, a potem spoj-s rzała na mnie spokojnie.

- Jesteś za młoda - orzekła - ale Wawrzyniec bardzo choruje. Może twój ojciec pragnie po prostu zasięgnąć jego rady, póki Medyceusz wciąż jest wśród żywych.

- Czemu w ogóle miałby się go radzić, jeśli nie po to, by szybko wydać mnie za męża?

- odparłam. - Na co innego zdałaby mu się rada Medyceu-sza? Czemu nie poczeka i nie wyda mnie za jednego z *piangonR*

Zalumma wzięła do rąk kawałek przepysznego jasnozielonego adamaszku. Słońce odbijało się od jego lśniącej, gładkiej powierzchni, ukazując utkany wzór girland.

- Mogłabyś odmówić - powiedziała. - I jak mówisz, poczekać jeszcze parę lat, a potem wyjść za jednego z ponuraków Savonaroli. Albo... - Przekrzywiła piękną głowę, jakby chciała mi się przyjrzeć. - Mogłabyś pozwolić // *Magnifico* dokonać wyboru. Gdybym była panną na wydaniu, z pewnością to właśnie bym wolała.

Zastanowiłam się nad tym, a potem odłożyłam na bok *cangiante*. Chociaż gra barw intrygowała, tkanina była zbyt sztywna, a czerwień i zieleń zbyt intensywne do mojej karnacji. Wzięłam jasnozielony adamaszek z rąk Zalummy i ułożyłam go obok ciemnego, granatowozielonego aksamitu z haftowanymi satynową nicią winoroślami.

- To - powiedziałam, przytykając palec do aksamitu - na stanik i spódnicę, z adamaszkową wypustką. A brokat z zieleniami i fioletami na rękawy.

Suknię skrojono i uszyto w ciągu tygodnia, potem zaś poproszono mnie, bym czekała.

Zdrowie *J7 Magnifico* stale się pogarszało i nie było pewne, kiedy i czy w ogóle rzecz cała dojdzie do skutku. Odczułam dziwną ulgę. Chociaż nie podobało mi się życie pod ojcowskim dachem, jeszcze mniej przypadła mi do gustu myśl, że mogę tak prędko zamieszkać z kimś obcym. A choć zajęcie pokoi po matce przynosiło bolesne wspomnienia, czerpałam z tego również osobliwe pocieszenie.

Minał kolejny tydzień. Podczas kolacji ojciec był nadzwyczaj milczący. Chociaż powtarzał często za Savonarolą, że Bóg wziął moją matkę do nieba dla jej dobra, często jego oczy zdradzały niepewność i wyrzuty sumienia - tak też było owego wieczoru.

Nie mogłam na to dłużej patrzeć, jak najszybciej zjadłam posiłek. Kiedy wstałam od stołu, przerwał milczenie:

- // *Magnifico* cię wzywa - powiedział oschle. - Jutro późnym popołudniem zawiozę cię do *palazzo* na via Larga.

Ojciec stanowczo nakazał mi nie rozmawiać na ten temat z nikim ze służby oprócz Zalummy. Nawet woźnica miał nic nie wiedzieć: ojciec zawiezie mnie na miejsce sam, wozem przeznaczonym do rozwożenia towaru.

Nazajutrz ogarnął mnie lęk. Mieli mnie oglądać, badać i oszacować moje wady i zalety. Ostateczna ocena mogła decydująco wpłynąć na moją przyszłość. Będę oceniana przez Wawrzyńca i jak się spodziewałam, starannie dobrane grono niewiast ze szlacheckich rodów.

Moją nerwowość spotęgowała wiadomość, że Zalumma nie będzie mi towarzyszyć.

Suknia, sprytnie skrojona tak, aby zasugerować kobiece kształty, których jeszcze nie miałam, była o wiele wspanialsza niż wszystko, co dotąd nosiłam. Spódnicę i krótki tren uszyto z ciemnego zielonogranatowego aksamitu z haftowanym satyną wzorem winorośli; stanik z tego samego materiału ze wstawkami z jasnozielonego adamaszku Zalummy.

Umieszczoną wysoko talię zdobił srebrny pasek misternej jubilerskiej roboty. Rękawy, rozcięte i obcisłe, sporządzono z brokatu utkanego z turkusowych, zielonych i fioletowych nici na osnowie z czystego srebra. Zalumma wyciągnęła bufiaste rękawy *camicii* przez rozcięcia, zgodnie z nakazami mody; wybrałam zwiewny biały jedwab przetykany srebrną nicią.

Z włosami miałam tylko utrapienie. Włożyłam czepek z brokatu obsztyt perłami -

ponieważ byłam panną, pozwalano mi nosić włosy opadające luźno na ramiona. Niesforne kędziory były jednak nierówne, musiały je poskromić. Zalumma trudziła się z rozgrzanymi żelazkami, układając kosmyki w drobne loczki, ale włosy nie chciały zachować nadanego kształtu i powstawał coraz większy chaos. Jako że był koniec lutego, wdziałam też wierzchnią suknię bez rękawów - z brokatu obsztytego grubym pasem adamaszku, a niżej gronostajem.

Suknia była rozcięta z przodu, ukazując przepych szaty pod spodem. Na szyję założyłam odziedziczony po matce perłowy naszyjnik z wisiosem z dużego akwamarynu. Rozmiar klejnotu dobrano tak, by znalazł się tuż nad stanikiem, zimny kamień spoczywał na mojej skórze.

Wreszcie Zalumma zaciągnęła mnie przed lustro. Omal nie pisnęłam z wrażenia.

Jeszcze nigdy nie wyglądałam tak pięknie i nigdy tak bardzo nie przypominałam matki.

Kiedy Zalumma sprowadziła mnie na dół, ojciec o mało się nie rozplakał.

Siedziałam obok ojca w karocy, jak wiele razy wcześniej, gdy towarzyszyłam mu w wizytach handlowych w domach patrycjatu. Włożyłam granatową wełnianą pelerynę, aby zgodnie z prawem przeciw zbytkowi ukryć wspaniałość sukni.

W drodze ojciec był ponury i powściągliwy. Wpatrywał się w zimowy pejzaż, mrużąc zmęczone oczy przed jasnym popołudniowym słońcem. Jak zwykle był ubrany w czarną wełnianą tunikę,

znoszone czarne nogawkę i czarny płaszcz - zupełnie nieodpowiednio do uroczystej okazji.

Przyjemnie rześkie popołudniowe powietrze pachniało dymem z niezliczonych pieców. Jechaliśmy wzdłuż rzeki, następnie przejechaliśmy przez Ponte Vecchio, gdzie większość sklepików wciąż była otwarta. Przypomniałam sobie swoją radość, jaką czułam, gdy ostatnio przejeżdżałam starym mostem z Zalumma i matką, i gdy zachwycałam się wspaniałymi wyrobami artystów i złotników. Teraz, siedząc u boku ojca, nie byłam w stanie wykrzesać choćby iskierek tamtego entuzjazmu.

Gdy wjechaliśmy na szeroką via Larga, zdałam sobie sprawę, że jeśli chcę zadać ojcu dręczące mnie pytanie, muszę uczynić to szybko, gdyż zbliżaliśmy się już do celu podróży.

- Fra Girolamo nie pochwała stylu życia Medyceuszy - powiedziałam.

- Dlaczego wieziesz mnie do Wawrzyńca?

Ojciec rozejrzał się i pogładził po brodzie.

- Z powodu obietnicy, którą złożyłem dawno temu.

Tak. Może więc Zalumma miała rację. Może matka poprosiła, by męża dla jej córki wybrał najmądrzejszy swat w mieście, a ojciec, wciąż bardziej oczarowany żoną niż Savonarolą, wyraził zgodę. Wiedząc zaś o pogarszającym się stanie zdrowia Wawrzyńca, wykazał po prostu zapobiegliwość, prosząc o wybór pana młodego na długo przed czasem.

Wkrótce potem podjechaliśmy do kutej bramy pałacu Medyceuszy. Uzbrojony strażnik otworzył żelazne wrota, powóz wtoczył się na dziedziniec i zatrzymał nieopodal stajni. Czekałam, aż ojciec wstanie i pomoże mi wysiąść, a potem zaprowadzi pod rękę do pałacu. Po raz pierwszy od lat cieszyłam się, że przy mnie jest.

Ale on zgotował mi niespodziankę.

- Poczekaj - powiedział, powstrzymując mnie gestem ręki, kiedy próbowałam wstać. -

Po prostu poczekaj.

Siedziałam więc, nie wiedząc, czego się spodziewać. Po kilku minutach otworzyło się boczne wejście do pałacu i jakiś mężczyzna - za którym podążało dwóch strażników -

wyszedł powoli, niepewnie, podpierając się wspaniale rzeźbioną laską z drewna i złota.

Przez kilka miesięcy, które minęły, odkąd ostatnio go widziałam, Wawrzyniec wyraźnie się postarzał. Chociaż miał dopiero czterdzieści parę lat, wyglądał o wiele starzej.

Skóra na twarzy zwiotczała i pożółkła. Jediną oznaką stosunkowo młodego wieku były włosy: kruczoczarne, bez żadnego szpakowatego pasma.

Nawet jednak o lasce szedł z wdziękiem i godnością, i biła od niego aura człowieka, który nigdy nie

zwątpił w wartość swojej osoby. Obejrzał się przez ramię na jednego ze strażników i kiwnął głową; przyzwany żołnierz podszedł pośpiesznie i podał mi ramię.

Pozwoliłam, by pomógł mi wysiąść.

Ojciec również wysiadł i złożył ukłon zbliżającemu się gospodarzowi.

- Bóg z tobą, ser Antonio - rzekł *II Magnifico*.

- I z tobą, panie - odrzekł mój ojciec.

- Więc to jest nasza Liza?

- Tak, to ona.

Wawrzyniec ukłonił się sztywno, ostrożnie, zginając tylko szyję.

- Proszę wybaczyć, że nie mogę pokłonić się, jak należy, tak pięknej młodej damie, Madonna Liza.

Dygnęłam głęboko.

- Lizo - ojciec mówił cicho i szybko. - Zostawiam cię pod opieką pana Wawrzyńca.

Będę w kaplicy na nieszpórach. Potem cię odbiorę.

- Ale, ojczy - zaczęłam, zanim jednak zdążyłam powiedzieć coś więcej, po raz kolejny ukłonił się Wawrzyńcowi, a potem ruszył za jednym ze strażników do pałacu.

Zostałam sama i nagle pojęłam zamysł ojca: nikt oprócz osób bezpośrednio zainteresowanych nie miał wiedzieć, że mnie tu przywiózł. Nawet ci, którzy widzieli, jak wjeżdżamy przez bramę, pomyślą, że ojciec po prostu pracuje i jak zwykle w towarzystwie córki przywiózł Wawrzyńcowi węł^ny.

Przerażona, spojrzałam na *II Magnifico*.

Uśmiechał się przyjaźnie. Miał zadziwiające oczy: teraz życzliwe i dodające mi otuchy, ale odkrywające inteligencję o przenikliwości i spostrzegawczości, które zapierały dech.

- Nie bój się, Madonna - powiedział słabym, nosowym głosem. - Twój ojciec ma osobiste i religijne powody, by czuć się nieswojo przy naszym spotkaniu. Lepiej więc zwolnić go z tego obowiązku, nie sądzisz?

Wyciągnął do mnie wolne ramię, a ja przyjąłam je, wsuwając mu rękę pod łokieć i kładąc dłoń na jego nadgarstku. Miał sękaty dłonie, a palce tak zdeformowane i powyginane, że ledwie mógł utrzymać laskę. Podejrzewałam, że minęło kilka lat, odkąd ostatnio trzymał

pióro.



Kiedy zaczęliśmy razem iść, wyczułam, że używa laski do przenoszenia znacznego ciężaru ciała, starałam się więc być dla niego raczej oparciem niż przeszkodą.

- Tak - powiedziałam głupio, bo zupełnie straciłam rezon. - Nigdy nie przepadał za spotkaniami towarzyskimi. Właściwie nie pamiętam, kiedy ostatnio wziął w którymś z nich udział.

- Obawiam się, że będziesz dziś obarczona mną jako twoją eskortą - rzekł, gdy zbliżaliśmy się do wejścia. - Przykro mi z tego powodu: wszystkie panny na wydaniu, które przekraczają próg tego domu, denerwują się, ale inne przynajmniej mogą czerpać otuchę z obecności rodziny.

- Matek i sióstr - dodałam, myśląc o tym, że ich nie mam.

Kiwnął głową, a potem dodał półgłosem:

- Mam nadzieję, droga Lizo, że nie czujesz się zbyt nieswojo.

- Boję się - odpowiedziałam zupełnie szczerze i zarumieniłam się zawstydzona tą niezamierzoną otwartością.

Uniósł głowę ku słabnącemu słońcu.

- Podoba mi się, że jesteś szczerą i prawdomówną, Madonna - zaśmiał się. -

Osiągniesz w życiu więcej niż inne.

Minęliśmy uzbrojonych strażników i weszliśmy w szeroki korytarz z wypolerowaną marmurową posadzką, ozdobiony starodawnymi zbrojami i bronią; następnie skręciliśmy w inny korytarz, na którego ścianach wisiały obrazy w złożonych ramach.

- Złożyłem twemu ojcu kondolencje z powodu śmierci twojej matki - powiedział

Wawrzyniec. - Teraz chciałbym je też złożyć tobie. Madonna Lukrecja była wspaniałą kobietą, o wielkiej urodzie i inteligencji, nikt nie miał szlachetniejszej duszy.

Spojrzałam na niego z ukosa.

- Znałeś ją, panie? Uśmiechnął się słabo.

- Kiedy była młodsza i zdrowa. - Nie powiedział nic więcej, bo właśnie doszliśmy do wysokich łukowych drzwi na końcu korytarza. Dwaj służący umieszczeni po ich bokach otworzyli je przed nami.

Spodziewałam się komnaty średnich rozmiarów, wypełnionej najwyżej tuzinem szlachetnie urodzonych Florentynek. Zobaczyłam coś zupełnie innego.

Komnata mogłaby z łatwością pomieścić ponad stu ludzi; miała wysokie sklepienie i była tak obszerna jak wnętrze kościoła. Chociaż na niebie wciąż świeciło słońce, w sali paliły się pochodnie

i kandelabry. Pomimo jej rozmiarów w komnacie było dosyć ciepło dzięki trzem dużym kominkom, w których huczał dobrze rozpalony ogień. Tutaj też stały starożytne pancerze i broń, marmurowe popiersia na piedestałach, wisiały olśniewające arras - jeden z nich przedstawiał herb Medyceuszy, *palle*, w barwach Florencji: niebieskim i złocie. Ściany pokrywały obrazy o pogańskiej tematyce, a wszystkie wolne miejsca przystrojono przewiązаныmi wstążkami girlandami i bogatymi maskami karnawałowymi.

Stoły - pełne pieczonej jagnięciny i wieprzowiny, wszelkich wyobraźalnych gatunków ptactwa, a także orzechów, pieczywa, serów i słodyczy - ustawiono pod ścianami.

Lecz nie zaplanowano tu żadnego oficjalnego przyjęcia; olbrzymią ilość jadła wystawiono po to, by każdy z gości mógł się poczęstować, kiedy chce. Byli tam służący do przynoszenia talerzy i noży, służący z pustymi pucharami i flaszками wina. Goście nabierali sobie jedzenie, brali picie, a potem stali, rozmawiając, albo siadali na dogodnie poustawianych krzesłach.

Ja przybyłam ostatnia: wino najwyraźniej płynęło od jakiegoś czasu, gdyż rozmowa była wesółą i dosyć głośną, współzawodniczyła z muzyką. Byłam zbyt przygnębiona, by liczyć, ale odniosłam wrażenie, że w komnacie jest co najmniej trzydzieści osób.

A ja byłam wśród nich jedyną kobietą.

Zgodnie ze zwyczajem obowiązującym panny na wydaniu spodziewałam się, że wszystkie rozmowy ucichną. Myślałam, że każdy z gości się odwróci, a Wawrzyniec ogłosi moje przybycie. Spodziewałam się, że wszyscy będą mi się uważnie przyglądać.

Wawrzyniec jednak nic nie powiedział, a gdy weszliśmy do sali, mężczyźni -

podzieleni na kilka mniejszych grup, niektórzy roześmiani, inni spierający się, jeszcze inni opowiadający coś sobie - nawet na nas nie spojrzeli.

Wpatrywałam się w tłum, myśląc, że znajdę przynajmniej jedną kobiecą twarz - może chociaż synową Wawrzyńca, Madonnę Alfonsinę - lecz szukałam na próżno. Było to zgromadzenie samych mężczyzn i chcąc nie chcąc, jęłam się zastanawiać, czy stoi wśród nich mój przyszły mąż.

- To moi przyjaciele - Wawrzyniec wysilił skrzeczący głos, aby przebić się przez hałas. - Przez pewien czas nie mogłem się cieszyć ich towarzystwem. A jako że jest karnawał, pomyślałem, że trochę rozrywki sprawi im przyjemność. - Przechylił głowę i uśmiechnął się do mnie. - Mam nadzieję, że tobie również.

Nie odmówiłam, gdy wezwał sługę, który przyniósł puchar ze wspaniałego złota, zdobionego najbardziej niebieskim lazurytem, jaki kiedykolwiek widziałam. W pucharze było rozcieńczone wino, najsmaczniejsze, jakiego dotąd skosztowałam. Czasza była zapełniona prawie po brzegi.

- To bardzo dużo wina - zauważyłam, a potem przeklęłam się w duchu.

Wawrzyniec zrobił chytrą, rozbawioną minę.

- Może ci się przydać.

Co do tego nie miałam żadnych wątpliwości.

- A ty nie napijesz się, panie? Pokręcił głową z zakłopotaniem.

- Obawiam się, że czas tej przyjemności dawno się dla mnie skończył. Pozwól -  
spiczastym podbródkiem wskazał grupkę mężczyzn siedzących pośrodku komnaty. -

Chciałbym przedstawić cię niektórym spośród moich najdroższych przyjaciół.

Wypiłam szybko łyk wina. A jednak będę oceniana - i to przez najbliższych znajomych Medyceuszy. Jak z przyklejonym do twarzy skromnym uśmiechem ruszyłam pod ramię ze swym gospodarzem.

*II Magnifico* podprowadził mnie do czterech mężczyzn, z których trzech siedziało, a jeden stał przy stole, gdzie znajdowały się talerze z jedzeniem i pucharki wina. Stojący mężczyzna, który właśnie coś mówił, dobiegał pięćdziesiątki. Jego jasne włosy przyprószyła siwizna, ciało miał otyłe, gładko ogolona twarz napuchła od wina. W młodości musiał być jednak bardzo przystojny, mogłam to poznać z pełnych, zmysłowych warg i wielkich oczu o ciężkich powiekach. Widocznie zamożny, nosił aksamitne szafirowe *farsetto* pod umiejętnie udrapowaną błękitną peleryną. W jednej dłoni trzymał talerzyk z jedzeniem, w drugiej małą nóżkę pieczonej przepiórki, do której zwracał się, jakby mogła go usłyszeć.

- Niestety, słodki ptaszku - mówił prześmiewczo - jakże tragiczny jest twój los, że nie ocalił cię nasz przyjaciel, a jakże szczęśliwy dla mnie, iż pierwiej się z tobą zapoznałem!

Nieco z boku siedział ciemnowłosy, ciemnooki młodzieniec w wieku może osiemnastu lat. Wielkie, wysokie czoło wieńczyło twarz tak krótką, że wyglądał, jakby stracił

wszystkie zęby; urody nie dodawały mu też wylupiaсте oczy ani ponury i pełen rezerwy sposób bycia. Ścisnął swój kielich wina i popijał zeń od czasu do czasu, gdy inni zabawiali się przyjemną rozmową. Obok siedział sędziwy mężczyzna, pomarszczony i zupełnie łysy, jeśli nie liczyć kępek włosów na skroniach. Zaś trzeci z siedzących...

Ach, ten trzeci. On właśnie był owym „przyjacielem”, o którym mówił stojący mężczyzna. Oceniałam go na trzydzieści, czterdzieści lat - a może w ogóle nie miał wieku, gdyż jego szaty i fryzura były zupełnie niemodne, bardziej odpowiednie do starożytnej Grecji i Rzymu. Nosił tunikę długą do kolan, uszytą z różowego, zwykłego materiału i pozbawioną fasonu. Jas-nokasztanowe włosy, poprzetykane złotymi i srebrnymi pasmami, opadały w idealnych falach za ramiona i sięgały niemal do pasa. Broda, również falista, dorównywała im długością. Mimo osobliwości stroju był po prostu najpiękniejszą istotą w całej komnacie.

Jego zęby były białe i równe, nos prosty i wąski, a oczy... Jeśli Wawrzyniec był brylantem, ten mężczyzna był słońcem. W jego oczach zawierała się zdumiewająca wrażliwość i nadzwyczajna spostrzegawczość. Modliłam się w duchu: „Dobry Boże, jeśli muszę mieć męża z Florencji - jednego z tysięcy - niech to będzie on”.

Wawrzyniec przystanął na tyle daleko, by czterej goście nie musieli przerywać rozmowy, aby go pozdrowić. Właśnie gdy pierwszy skończył mówić, starzec, ten, który siedział obok mojego pięknego filozofa, zmarszczył brwi i spytał:

- A więc to prawda, co powiadają? Że chodzisz na targ kupować ptaki w klatkach, aby potem wypuścić je na wolność?

Mój filozof uśmiechnął się czarująco. Stojący mężczyzna odpowiedział za niego.

- Towarzystwem mu podczas kilku takich wypraw - rzekł, po czym wetknął pieczone udko do ust i po chwili wyciągnął nagą kość. Przeżuwając, dodał stłumionym głosem: - Robi to, odkąd był młodzieńcem.

Starzec spojrział na filozofa z niedowierzaniem.

- Nie jesz w ogóle mięsa?

A on odpowiedział po prostu, bez oceniającego ani przeprasającego tonu.

- Nie jem, panie. Nie tknąłem mięsa przez całe dorosłe życie. Starzec się obruszył.

- Cóż za pomysł! Jak udało ci się przeżyć?

- Tylko dzięki samemu dowcipowi, a i to ledwo, ledwo, drogi Marsilo. Oprócz tego dzięki zupom, pieczywu, serom, owocom i dobremu winu.

- Uniósł puchar i pociągnął łyk.

- Ale z pewnością skrócisz tym sobie życie! - nie ustępował Marsilo, szczerze zaniepokojony. - Człowiek musi jeść mięso, żeby mieć siłę.

Mój filozof odstawił puchar na stół i pochylił się do przodu.

- Czy będziemy się siłować, by rozstrzygnąć tę kwestię? Może nie ty, panie Marsilo, ze względu na twój czcigodny stan, ale nasz Sandro z pewnością chętnie cię zastąpi. - Zerknął

w górę, na pękaty brzuch amatora przepiórek; - Najwyraźniej zjadł lwią część całego mięsiwa Florencji... o proszę, właśnie spałaszował porcję drobiu. Sandro! Zdejmij pelerynę! Dalej, rozstrzygnijmy rzecz empirycznie!

Starzec zaśmiał się z tego żartu, a Sandro rzekł, przybrawszy znudzony ton głosu:

- Byłby to nierówny pojedynek. Całą noc jechałeś z Mediolanu, aby spotkać się z Wawrzyńcem, i jesteś zmęczony. Jestem zbyt wspaniałomyślny, by wykorzystywać słabość starego przyjaciela... który przegrałby, nawet gdyby był wypoczęty.

Nastąpiła chwila ciszy; Wawrzyniec wykorzystał ją, podchodząc ze mną pod rękę.

- Panowie.

Odwrócili się do niego. Wszyscy z wyjątkiem pięknego filozofa zdawali się zdumieni, widząc w swoim towarzystwie mnie, zwykłą młodą dziewczynę.

- Oto młoda dama, którą musicie poznać. - Wawrzyniec odstąpił ode mnie na krok, puścił moją rękę, i wskazał na mnie, jakbym była trofeum. - To Madonna Liza, córka Antonia Gherardiniego, handlarza wełną.

Amator przepiórek odstawił talerz, przyłożył rękę do piersi i uklonił się dwornie.

- Sandro Botticelli, skromny malarz. Miło mi cię poznać, Madonna.

- A to mój drogi przyjaciel, Marsilo Ficino - powiedział Wawrzyniec, gestem ręki wskazując starszego mężczyznę, który ze względu na podeszły wiek i chorobę nie wstał.

Ficino powitał mnie obojętnym kiwnięciem głowy. - Nasz Marsilo kieruje Akademią Florencką, jest też słynnym tłumaczem *Corpus hermeticum* i wszyscy bardzo go szanujemy.

- Czuję się zaszczycona - powiedziałam do obu i dygnęłam, mając nadzieję, że wielki Botticelli nie usłyszy drżenia w moim głosie. Do tego czasu zdążył już namalować swe największe arcydzieła: *Wiosnę* i *Narodziny Wenus*. Oba zdobiły ściany willi Wawrzyńca w Castello.

- Ten młody człowiek - Wawrzyniec zniżył głos i uśmiechnął się przelotnie do ciemnowłosego ponurego młodzieńca, który zaledwie zdobył się na to, by na nas spojrzeć - to utalentowany Michał Anioł, który mieszka z nami w pałacu. Być może o nim słyszałaś.

- Owszem - odparłam, ośmielona chyba nadmierną wstydlivością młodego artysty. -

Chodzę do kościoła Santo Spirito, gdzie ołtarz zdobi jego piękny drewniany krucyfiks.

Zawsze go podziwiam.

Michał Anioł pochylił głowę i zamrugał - może była to odpowiedź, a może nie, w każdym razie za taką ją wzięłam, inni zaś uważali to za normalne.

Wtedy wstał mój filozof. Był szczupły, wysoki i trzymał się prosto - jego ciało podobnie jak twarz miało idealne proporcje. Na mój widok drgnął lekko, jakby zafrasowany.

Wkrótce zakłopotanie minęło i zastąpiła je osobliwa, czuła melancholia.

- Nazywają mnie Leonardem - powiedział cichym głosem - z miasteczka Vinci.

Z trudem stłumiłam westchnienie zaskoczenia. Pamiętałam, jak matka oglądała ze mną portret na murze przy Piazza della Signoria, ten, który przedstawiał mordercę Bernarda Baroncellego - fresk namalowany pewniejszym, bardziej eleganckim pędzlem. Teraz stał

przede mną sam twórca.

- Panie - powiedziałam łamiącym się głosem - jestem zaszczycona, że mogę poznać tak wielkiego artystę.

Kątem oka zauważyłam, jak Botticelli trąca Leonarda łokciem, udając zazdrosnego.

Podał mi rękę i wpatrywał się we mnie tak uważnie, że spłonęłam rumieńcem; w jego spojrzeniu było coś więcej niż podziw artysty. Dostrzegałam w nim głębokie upodobanie i czułość, na którą nie zasłużyłam.

- A ja jestem zaszczycony, Madonna, że spotykam żywe dzieło sztuki. Pochylił się i musnął wargami moją dłoń, jego broda była miękka niczym włosy dziecka.

Proszę, powtórzyłam w duchu, niech to będzie on.

- Myślałam, że pracuje pan teraz w Mediolanie - powiedziałam, zastanawiając się, dlaczego jest tu obecny.

- To prawda, księżę Mediolanu jest moim mecenasem - odrzekł przyjaźnie, gdy puścił

moją rękę. - Chociaż swoją karierę w całości zawdzięczam łaskawości *II Magnifico*.

- Prawdziwy geniusz z tego naszego Leonarda - wtrącił ironicznie Bot-ticelli. - W

Mediolanie maluje, rzeźbi, kreśli plany wspaniałych pałaców, kieruje budową tam, gra na lutni i śpiewa. - Zwrócił się do starego przyjaciela. - Powiedz mi, czy jest coś, czego nie robisz dla księcia?

Pytanie było wyraźnie dwuznaczne. Stary Ficino zachichotał pod nosem, lecz natychmiast się powstrzymał, jakby nagle przypomniał sobie o obecności Wawrzyńca i mojej.

Wawrzyniec posłał obu karcące spojrzenie.

- Właśnie taki jest zakres moich obowiązków - odparł spokojnie Leonardo. - Chociaż robię też plany, jak zmienić bieg słońca.

Rozległy śmiechy, nie przyłączył się do nich tylko Michał Anioł, który skulił się nad pucharem wina, jakby przestraszony hałasem.

- Jeśli ktoś zdołałby to uczynić, to właśnie ty - zażartował Ficino.

- Drogi Leonardzie - powiedział Wawrzyniec z nagłą powagą. - Pragnę, by Madonna Liza mogła obejrzeć dziedziniec, ale potrzebuję chwili odpoczynku, a nadszedł czas, abym zażył jeden z tych paskudnych wywarów, jakie zalecili mi medycy. Czy byłbyś tak miły?

- Z największą przyjemnością. - Malarz podał mi ramię.

Ujęłam je, starając się nie okazać zdenerwowania. Czy to znak, że // *Magnifico* uważa go za stosownego kandydata do mojej ręki? Perspektywa życia z tym uroczym, utalentowanym, sławnym nieznanym - nawet w odległym Mediolanie na dworze księcia Ludovica Sforzy - zdawała się pociągająca, choćbym była na to zbyt młoda.

- Udam się zatem na krótki odpoczynek. - Wawrzyniec opuścił nas, ukłoniwszy się sztywno.

- To niesprawiedliwe - rzekł Botticelli, odprowadzając go wzrokiem - że tylko jeden z nas będzie miał przyjemność towarzyszenia ci, pani.

Leonardo i ja odeszliśmy. Poprowadził mnie do podwójnych drzwi w głębi sali, służący otworzyli je, gdy się zbliżyliśmy.

- Musisz się denerwować, Lizo - zauważył Leonardo. - Widzę, że jesteś kobietą inteligentną i wrażliwą; znalazłaś się wśród równych, a nie lepszych od siebie.

- Miło, że to mówisz, panie, ale nie mam żadnego talentu. Umiem tylko podziwiać piękno stworzone przez innych.

- Wyczucie piękna samo w sobie jest darem. Wawrzyniec otrzymał ten talent.

Powietrze na zewnątrz było zimne, ale na dziedzińcu paliło się kilka dużych pochodni i małe ognisko otoczone kręgiem kamieni.

- Czy mogę ci zaoferować moją pelerynę, Madonna? - Zwrócił ku mnie twarz o idealnych rysach, światło zachodzącego słońca nadało jej barwę koralu.

Popatrzyłam na podaną szatę; była uszyta z cienkiej ciemnej wełny, wysłużona i połatana. Uśmiechnęłam się.

- Jest mi zupełnie ciepło.

- W takim razie pozwolisz, pani, że cię oprowadzę. - Skierował mnie w stronę paleniska. Obok, na wysokim cokole ustawiono odlany z brązu posąg młodego mężczyzny z długimi włosami, spływającymi w lokach spod słomkowego kapelusza i z ciałem gładkim i zaokrąglonym jak u kobiety. Stał z pięścią wspartą kokieteryjnie o biodro, druga dłoń zaciskała się na rękojeści miecza dotykającego ostrzem ziemi. U jego stóp leżała groteskowa odcięta głowa giganta.

Podeszłam do rzeźby, ciemny metal odbijał blask ognia.

- To Dawid? - spytałam. - Wygląda jak dziewczyna! - Zakryłam ręką usta, zawstydzona swym

bezmyślnym komentarzem. Kimże byłam, by tak bezczelnie oceniać arcydzieło?

- Tak - wymamrotał mój przewodnik, jakby z roztargnieniem. Zerknęłam na niego i stwierdziłam, że przez cały czas przygląda mi się uważnie, jakby nigdy wcześniej nie widział

kobiety. - Dawid, dłuta wielkiego Donatella. - Po długiej przerwie, której zdawał się nie dostrzegać, otrząsnął się i powiedział: - Zawsze tu stoi. Właściwie strzeże tego dziedzińca, odkąd Wawrzyniec był dzieckiem. Ale sprowadzono tu także inne rzeczy, żebyś mogła nacieszyć nimi oko.

Ja? - zdziwiłam się, a potem doszłam do wniosku, że Leonardo chciał mi pochlebić.

Podeszliśmy do pary popiersi ustawionych na oddzielnych cokołach i tak zniszczonych, że nie umiałabym określić, z jakiego kamienia je wykuto.

- Wyglądają na bardzo stare.

- Bo są, Madonna. To popiersia cezara Augusta i generała Agrypy, wyrzeźbione w czasach starożytnego Rzymu.

Wyciągnęłam palec, by dotknąć głowy Augusta. Było dla mnie czymś zwyczajnym przechodzić przez Ponte Vecchio, most zbudowany dawno temu przez rzymskich robotników, ale dzieło sztuki przedstawiające człowieka, który nie żył od ponad tysiąca lat, napawało mnie podziwem. Leonardo puścił moje ramię i pozwolił mi obejrzeć rzeźby z bliska.

- Wawrzyniec uwielbia zabytki starożytności - powiedział. - W tym domu znajduje się największa na świecie kolekcja sztuki zarówno antycznej, jak i nowożytnej.

Zbliżyłam się do następnego popiersia, też z białego kamienia, które przedstawiało starszego mężczyznę o zaokrąglonym, kartoflowatym nosie i z wielką brodą, choć nie tak imponującą jak broda Leonarda.

- A ten to kto?

- Platon.

Też musiałam delikatnie dotknąć zimnego kamienia opuszkami palców, żeby lepiej wyobrazić sobie żywego człowieka, którego podobiznę wykołał rzeźbiarz. Była tam też inna rzeźba - tym razem współczesna - ukazująca Herkulesa, muskularnego i krzepkiego, legendarnego założyciela Florencji. Byłam tak zaaferowana, że w pewnym momencie odstawiłam puchar i zupełnie o nim zapomniałam.

Mimo podniecenia poczułam, że robi mi się zimno, i już miałam poprosić, żebyśmy wrócili do środka, gdy dostrzegłam naturalnych rozmiarów popiersie z terakoty w rogu dziedzińca. Przedstawiało współczesnego mężczyznę, przystojnego, o mocnych rysach, w kwiecie wieku. Jego oczy były duże i szeroko otwarte, na wargach błąkała się zapowiedź

uśmiechu, jakby właśnie ujrzał dobrego przyjaciela. Natychmiast mi się spodobał.



- Wygląda jakoś znajomo. - Zmarszczyłam brwi, usiłując przypomnieć sobie, gdzie go już widziałam.

- Nigdy go nie poznałaś - odparł Leonardo. Starał się mówić lekko, ale wyczułam w jego głosie odcień mrocznego uczucia. - Umarł przed twoim narodzeniem. To Giuliano Medyceusz, zamordowany brat Wawrzyńca.

- Wygląda na pełnego życia.

- Taki był - odpowiedział mój przewodnik z żalem.

- A więc znałeś go, panie.

- Owszem. Poznałem go dobrze w czasach, gdy służyłem na dworze Medyceuszy.

Nigdy nie narodził się człowiek o serdeczniejszej duszy.

- Widzę to w tej rzeźbie. - Odwróciłam się do Leonarda. - Kto wykonał to popiersie?

- Mistrz Verrocchio zaczął je rzeźbić, gdy Giuliano jeszcze żył. Ja dokończyłem je...

po jego śmierci. - Umilkł na chwilę, jakby skupiając się na odległym smutku, po czym odepchnął go od siebie. Wyćwiczonym ruchem sięgnął po kartkę z podkładką i pióro, zatknięte za pasem ukrytym pod płaszczem, i z ożywieniem w głosie zapytał: - Madonna, czy wyświadczysz mi tę łaskę i zechcesz pozować do krótkiego szkicu, tu, gdy patrzysz na to popiersie?

Byłam wręcz oszołomiona myślą, że wielki artysta z Vinci pragnie narysować akurat mnie, nie nieznaczącą córkę handlarza wełną; nie umiałam znaleźć słów. Leonardo jakby tego nie zauważył.

- Stań tutaj, Lizo. Czy mogłabyś przesunąć się trochę w prawo? O tak... tu. A teraz spójrz na mnie i spróbuj być swobodna. Pomyśl o Auguście i Agrypie, i o tym, co czułaś, kiedy dotykałaś ich popiersi. Zamknij oczy, nabierz powietrza w płuca i wypuść je powoli. A teraz postaraj się w ogóle mnie nie widzieć. Przywołaj w pamięci obraz Giuliana i przypomnij sobie, co czułaś, kiedy go zobaczyłaś.

Staralam się robić to, co mówił, choć ze zdenerwowania nie mogłam zapomnieć o twarzy Leonarda - namiętych i przenikliwych oczach, które spoglądały to w górę, to w dół, na mnie i na kartkę. Pióro skrzypiało głośno na papierze.

W pewnej chwili zawahał się z piórem w uniesionej dłoni: już nie był artystą, lecz tylko mężczyzną, patrzył na mnie z pożądaniem, zaprawionym smutkiem. Potem opanował

się i znowu zabrał do pracy, skrzypienie stało się bardziej gwałtowne.

Słońce ostatecznie zaszło, szarówka szybko ciemniała; pochodnie zapłonęły jaśniej.

- Oddychaj - rzucił artysta, a ja uświadomiłam sobie z zaskoczeniem, że tego nie robiłam. Nie było to łatwe, ale znalazłam w sobie siłę, aby się odprężyć, zapomnieć o lęku.

Pomyślałam o uśmiechu Giuliana i o tym, że bez wątpienia spoglądał życzliwie na rzeźbkarza, który poprosił o pozwanie.

A kiedy w końcu zupełnie się zapomniałam, mój wzrok powędrował za Leonarda, do okna wielkiej komnaty, gdzie czekała na nas biesiada. Rozsunęto ciężkie zasłony i w oknie pojawił się mężczyzna, przyglądając się nam obojgu, oświetlony od tyłu blaskiem świec i pochodni.

Choć twarz miał skrytą w mroku, rozpoznałam go po przygarbionych plecach i zgiętej w bólu figurze: był to Wawrzyniec Medyceusz.

Wkrótce potem wróciliśmy na przyjęcie. Leonardo miał czas tylko na zrobienie czegoś, co nazwał „kartonem” - pobeżne odtworzenie moich rysów za pomocą piórka.

Czułam się nieco zawiedziona: w swej naiwności oczekiwałam, że w kilka minut zaprezentuje mi w pełni ukończony portret. Mimo to szkic niewątpliwie mnie przypominał, choć nie oddawał przepychu moich szat ani pięknego stroju głowy.

Il *Magnifico* podszedł do nas z przeciwnego końca sali w towarzystwie chłopca może o rok lub dwa lata starszego ode mnie oraz młodego mężczyzny mniej więcej dwudziestoletniego. Mimo słabego zdrowia i laski Wawrzyniec poruszał się z zaskakującą szybkością, a gdy się zbliżył, wziął mnie za rękę i uścisnął z serdecznością, która mnie zdumiała.

- Lizo, moja droga - rzekł. - Tuszę, iż spodobały ci się dzieła wystawione na dziedzińcu?

- O tak, nawet bardzo.

- To nic w porównaniu z tym, co zobaczysz teraz. - Odwrócił się do młodzieńców obok. - Najpierw jednak pozwól, że przedstawię ci moich synów. To mój pierworodny, Piero.

Z beczelnym znużeniem, większym od tego, które okazywał Botticelli, Piero westchnął, składając mi ukłon. Wysoki i barczysty, odziedziczył po nieżyjącej matce arogancję i wybuchowość, ale ani odrobiny dowcipu i uroku ojca. Wszyscy we Florencji wiedzieli, że Wawrzyniec wybrał go na swego następcę, i wszyscy tego żalowali.

- A to mój najmłodszy syn, Giuliano - powiedział nieco cieplejszym tonem.

Chłopak otrzymał odpowiednie imię. Nie przypominał ojca, miał harmonijne rysy, prosty nos, równe zęby i takie same szeroko otwarte, ciekawe oczy, jak zmarły stryj. Lecz podobnie jak ojciec umiał się wytwornie zachować.

- Madonna Liza - rzekł. - To nadzwyczajna przyjemność poznać panią.

Jak Leonardo, ukłonił się nisko i pocałował mnie w rękę. Potem wyprostował się, spojrział mi w oczy i trzymał moją dłoń tak długo, że spuściłam głowę i zawstydzona odwróciłam wzrok.

Spodobało mi się, że Wawrzyniec posłał najmłodszemu potomkowi ostrzegawcze spojrzenie, zanim podjął:

- Mój średni syn Giovanni nie zdołał przybyć na tę uroczystość. Chłopcy, idźcie i dopilnujcie, żeby nasz drogi Leonardo został dobrze nakarmiony i mógł wypocząć przed długą podróżą. Ty zaś, młoda damo... - odczekał, aż inni odejdą, zanim podjął znowu. -

Byłbym zaszczycony, gdybyś zgodziła się obejrzeć dzieła sztuki w moich osobistych komnatach.

W jego tonie nie pojawił się nawet cień lubieźności - była to rycerska propozycja.

Mimo to poczułam się zupełnie zagubiona. Nie byłam dość dobrze urodzona, by uchodzić za odpowiednią partię dla najmłodszego syna (Pieto był już żonaty z panną z rodu Orsinich, Madonną Alfonsiną), nie rozumiałam więc celu, dla którego nas sobie przedstawiono, nie licząc dworskiej etykiety. A jeśli zaś znalazłam się tu, aby obejrzeni mnie potencjalni małżonkowie - zwłaszcza, jak miałam nadzieję, Leonardo - dlaczego odsuwano mnie od nich?

Może bystry *II Magnifico* pragnął ocenić moje wady i zalety wnikliwiej. Mimo zawstydzenia czułam się szczęśliwa. Nigdy nie marzyłam, że uda mi się obejrzeć słynną kolekcję Medyceuszy.

- Z radością - odparłam szczerze. Zdeformowanymi dłońmi ścisnął mnie mocno za ręce, jakbym była jego córką; coś, co wydarzyło się podczas jego nieobecności, bardzo go wzruszyło i teraz mocno starał się ukryć przede mną emocje.

Znowu wsunęłam mu rękę pod ramię i wyszliśmy z sali, przemierzaliśmy te same korytarze ozdobione obrazami i posągami, a potem ruszyliśmy po schodach na pierwsze piętro. Wysiółek sprawiał mu ból, ale zacisnął zęby i utrzymał równy krok. Wetknął sobie łaskę pod ramię i oparł się ciężko o poręcz, ja ścisnęłam jego drugie ramię, starając się być dla niego podporą. Gdy wreszcie dotarliśmy na górę, Wawrzyniec odetchnął przeciągle i przystanął na chwilę, aby zebrać siły.

- Musisz mi wybaczyć - wysapał. - Niewiele miałem ostatnio okazji do ćwiczenia nóg.

Ale przy każdym wysiłku stają się mocniejsze.

- Oczywiście - szepnęłam. Poczekaliśmy, aż wrócił mu miarowy oddech, wtedy poprowadził mnie do wielkich drewnianych drzwi, strzeżonych jak wszystkie, przez służącego, który otworzył je, kiedy się zbliżyliśmy.

- To mój gabinet - powiedział Wawrzyniec, gdy przestąpiliśmy próg.

Jak opisać tę komnatę? Pod względem architektonicznym nie charakteryzowała się niczym szczególnym: była skromnych rozmiarów, miała cztery ściany i niski sufit - z pewnością nie dorównywała wielkością głównej komnacie w moim rodzinnym palazzo.

Jednak gdzie tylko skierowałam uwagę - na ścianę, na wykładaną różnobarwnym marmurem posadzkę, na półki i podesty - natrafiałam na zachwycające klejnoty, olśniewające starożytne zabytki i wspaniałe dzieła największych artystów świata.

Widok tylu pięknych przedmiotów zgromadzonych na tak małej przestrzeni przyprawiał o zawrót głowy. Przeszliśmy obok pary glinianych waz sięgających mi do ramion, pomalowanych we wschodnie wzory.

- Podarunek od sułtana Kaj Beja.-Wawrzyniec wskazał ręką ścianę.-A to portret rrtowego starego przyjaciela Galeazza Marii Sforzy, księcia Mediolanu, po jego śmierci władzę tam przejął Ludovico Sforza. A tam obraz Uccella i de Pollaiuola, jeden z moich ulubionych. - Były to nazwiska artystów znanych każdemu wykształconemu Florentyńczykowi, choć niewielu miało szczęście oglądać ich

dzieła na własne oczy. - A to ładny Fra Angelico.

Fra Angelico - słynny dominikański mnich, który namalował wspaniałe freski na ścianach klasztoru San Marco, nawet w celach braci, na zamówienie Kośmy Medyceusza.

Kiedy patrzyłam na obraz, siłą rzeczy zaczęłam się zastanawiać, czy Savonarola zaaprobowałby takie zbyt ozdobne ozdoby. Święty Sebastian, który obronił miasto przed zarazą, ukazany był w agonii, spokojnymi oczyma spoglądał w niebo, nawet gdy omdlewał

przywiązany do drzewa, z ciałem okrutnie przeszytym strzałami.

Zanim zdążyłam przyjrzeć się tym cudom, Wawrzyniec oderwał mnie od nich.

Podprowadził mnie do długiego stołu zawierającego „ułamek kolekcji monet i kamieni”. Tuż nad stołem przytwierdzono do ściany lampkę, tak że światło odbijało się od błyszczącego metalu i migodliwych klejnotów, przydając im niezwykłego blasku. Było tam około dwustu przedmiotów. Nie wyobrażałam sobie, że takie bogactwa w ogóle mogą istnieć, a cóż dopiero zostać zebrane tylko we Florencji.

- Te są z czasów cesarów. - Wskazał rząd matowych, pościeranych monet, z których wiele miało nieregularne kształty. - Tamte pochodzą z Konstantynopola i Orientu. Proszę. -

Niezdarnie podniósł rubin wielkości połowy męskiej pięści i podał mi go, a potem roześmiał się, gdy nie chciałam go wziąć. - Nie bój się, moje dziecko, nie ugryzie. Ustaw go pod światło, o tak, i spróbuj znaleźć jakąś skazę: pęknięcie albo małe pęcherzyk powietrza.

Gwarantuję, że nic nie znajdziesz.

Uczyniłam, co mi polecił, i starając się nie zdrzeć na myśl, że trzymam w palcach bogactwo większe niż cały rodzinny majątek, popatrzyłam przez kamień na lampkę skąpaną teraz w szkarłacie.

- Przepiękny.

Pokiwał głową z zadowoleniem, gdy zwróciłam mu klejnot.

- Mamy też wiele medalionów zaprojektowanych przez naszych najznakomitszych artystów. Oto jeden z nich zrobiony wiele lat temu przez naszego drogiego Leonarda. Jest dość rzadki, mało ich wybito.

Niemal beztroskim ruchem odłożył rubin na miejsce i ze znacznie większym namaszczeniem sięgnął po złoty medal. Czynił to z delikatną melancholią.

Wzięłam medal i przeczytałam napis: ŻAŁOBA PAŃSTWOWA. Giuliano na próżno unosił

ręce, zasłaniając się przed ostrzami zamachowców. Doceniałam piękno płaskorzeźby, lecz jednocześnie drżałam wewnątrz na wspomnienie opowieści Zalummy o zwłokach Messera

Iacopa. „Osiemdziesięciu ludzi w pięć dni”, powiedział mi ojciec. Czy ten łagodny człowiek mógł być zdolny do takiej zbrodni?

- Proszę - powiedział. - Zatrzymaj go jako prezent.

- Już taki mam - odparłam i natychmiast zawstydziałam się swej bezmyślnej reakcji na tak szczodry podarunek. - Matka mi dała.

Od jakiegoś czasu bacznie mi się przyglądał. Teraz oczy rozblęły mu, a potem stopniowo przygasły.

- Oczywiście - rzekł. - Zapomniałem, że podarowałem część z nich przyjaciółom.

W zamian dał mi inny medalion, na którym widniał wizerunek jego dziada Kośmy oraz herb Medyceuszy. Wykonał go inny artysta, wprawny, lecz pozbawiony subtelności Leonarda. Byłam zdumiona i oszołomiona hojnością *Il Magnifico*.

Wydawało się, że opadło go zmęczenie, lecz i tak postanowił pokazać mi inną kolekcję. Jedna jej część składała się z kamei z chalcedonu, od jasnych, niemal białych, aż po ciemnoszare, a druga z krwawników, od so-czystoczerwonych po pomarańczowe. Większość z nich stanowiły *intaglia* pięknie wyryte w kamieniu, niektóre inkrustowane złotem przez sławnego Ghilbertiego.

Był tam też zbiór pucharów wyrzeźbionych ze szlachetnych kamieni, zdobionych gemmami i srebrem lub złotem, lecz Wawrzyniec zdawał się już u kresu sił i nie zatrzymał się przy żadnym. Poprowadził mnie do cokołu, gdzie leżała pojedyncza płytką czarka - nieco większa od miski, z której zwykłam jadać wieczerzę.

- To też chalcedon, chociaż sama czasza jest czerwonawobrazowa - powiedział

zachrypniętym szeptem. Mleczna kamea na ciemniejszym tle przedstawiająca grupę kilku postaci z czasów starożytnych. - To mój największy skarb. Oto Ozyrys trzymający róg obfitości, obok siedzi jego żona Izyda. Ich syn Horus orze ziemię. - Przerwał i podjął znowu z dumą. - Pucharu tego używali władcy Egiptu. Piła z niego sama Kleopatra. Po zwycięstwie Oktawiana puchar zaginął na jakiś czas, a potem pojawił się w Konstantynopolu. Stamtąd trafił na dwór króla Alfonsa Neapolitańskiego, później zaś znalazł się w Rzymie, gdzie go kupiłem. - Zauważywszy mój nieumiejętnie skrywany zachwyty, się uśmiechnął. - Nie bój się.

Możesz go dotknąć.

Tak też uczyniłam, zdumiona doskonałością wykonania; puchar był zachowany w tak dobrym stanie, że myślałam, iż zrobiono go we współczesnej Florencji. Krawędzie naczyńia były zimne i idealnie gładkie. Uśmiechnęłam się do Wawrzyńca i zdałam sobie sprawę, że z wielkim upodobaniem i przyjemnością przygląda się nie pucharowi, lecz mnie.

Z zachwyty wyrwał mnie odgłos kroków. Odwróciłam się i zobaczyłam Giovanniego Pica. W rękę trzymał kielich napełniony ciemnym płynem. Był równie zaskoczony moją obecnością, co ja jego. Nieprzygotowana, na jego widok aż się wzdrygnęłam. Hrabia uśmiechnął się uprzejmie, ja nie mogłam się na to zdobyć.

- Cóż to? Córka Antonia Gherardiniego? - powiedział. Wątpiłam, by pamiętał, jak mam na imię. - Jak się miewasz, moja droga?

Wawrzyniec odwrócił się do niego ze znużeniem.

- A więc, Giovanni, znasz Madonnę Lizę.

- Jestem dobrym znajomym Antonia. - Pico powitał mnie kiwnięciem głowy. Choć było to nieuprzejme, zignorowałam jego nietakt i nie odpowiedziałam na ukłon. Nie widziałam hrabiego od dnia pogrzebu matki. Później często odwiedzał ojca, ale odmawiałam przyjmowania go i zamykałam się na ten czas w swej komnacie. Mimo dwornego zachowania musiał zdawać sobie sprawę, że go nienawidzę.

Teraz robił dobrą minę do złej gry, lecz nie udało mu się całkiem ukryć ciekawości: chociaż należał do dworu Medyceuszy, najwyraźniej nie zaproszono go na dzisiejsze przyjęcie ani nie wtajemniczono w jego cel.

- Szukałem cię, panie - upomniał łagodnie Wawrzyńca. - Nie zażyłeś waść jeszcze wywaru zaleconego przez medyka. - Uśmiechnął się do mnie poufale. - Nasz gospodarz jest zbyt zajęty troską o innych, by zadbać o siebie.

Wawrzyniec skrzywił się lekko.

- Ser Giovanni to jeden z najbardziej cenionych gości tego domu od wielu lat. Nie zgadzamy się w pewnych sprawach... ale pozostajemy przyjaciółmi.

- Jeszcze zdołam cię nawrócić - odparł dobrodusznie Pico. Wyczuwało się w nim zakłopotanie, jakby ich dawna zażyłość była teraz sztuczna i wynikała raczej z rozsądku i chęci obserwowania, co robi przeciwnik. - Przepraszam, że przeszkodziłem wam w rozmowie, nie przerywajcie sobie. Poczekam cierpliwie, aż skończycie. Racz jednak, drogi Wawrzyńcu, pamiętać o swym zdrowiu.

Wawrzyniec zauważył moje zdziwienie: przecież zostawił mnie z Leonardem na dziedzińcu, tłumacząc się koniecznością zażycia lekarstwa, które-regojak się teraz okazało, jeszcze nie wypić.

- Musiałem... zająć się czymś innym - szepnął mi do ucha.

- Okazałeś mi, panie, niezwykłą łaskawość - powiedziałam, myśląc tylko o tym, by uciec, bo obecność Pica wielce mnie drażniła: wspomnienia związane ze śmiercią matki były zbyt świeże. - Myślę, że przydałaby ci się chwila odpoczynku. Za twoim pozwoleniem chciałabym się oddalić.

Może usłyszał niepokój w moim głosie - a może był rzeczywiście wyczerpany, bo nie zaprotestował.

- Daj mi ten napar - powiedział do Pica. - I pójdz zobaczyć, czy powóz set Antonia jest gotów, powiadom go też, że córka zaraz się z nim spotka. Znajdziesz go w kaplicy. Potem przyślij tu do mnie Piera.

Poczułam wielką ulgę, gdy Pico się oddalił.

- Obecność ser Giovanniego sprawia ci przykrość - zauważył *II Magnifico*.

Spojrzałam na lśniącą marmurową posadzkę.

- Był przy śmierci mojej matki.

- Tak, pamiętam, wspominał o tym. - Zamyślił się. - Nie ma nic gorszego niż strata osoby, którą najbardziej się kocha. Przedwczesna śmierć wydaje się niesprawiedliwa, wywołuje najgorszy rodzaj żalu. Serce łatwo zwraca się wtedy ku nienawiści. - Spuścił

wzrok. - Dałem się ponieść brutalnej mściwości, kiedy umarł mój brat. Teraz mnie to gnębi. -

Zamilkł i popatrzył tam, gdzie niedawno stał Pico. - Ser Giovanni często popada w skrajności.

Nie znajdziesz męża bardziej uczonego niż on, a mimo to jego serce należy teraz do brata Girolama. Świat stracił jednego z największych filozofów. Czy słyszałeś o jego teorii synkretyzmu?

Pokręciłam głową.

- Opiera się ona na założeniu, że wszystkie religie i filozofie zawierają ziarno prawdy... i że żadna nie jest wolna od błędu. Nasz Giovanni stwierdził, że wszystkie trzeba przebadać w celu ustalenia powszechnych prawd i wyrugowania fałszu. - Uśmiechnął się przebiegle. - Papież uznał, że należy go za to spalić na stosie. Przybył tu dwa lata temu, a ja przygarnąłem go pod swoje skrzydła. Teraz popiera człowieka, który chce mnie zniszczyć.

Zachmurzył się nagle; westchnął głucho, jakby przytłaczał go ciężar schorowanego ciała.

- Muszę zachować się nierycersko, moje dziecko, i poprosić, byś pozwoliła mi usiąść.

Dzisiejszy wieczór wyczerpał mnie bardziej, niż przewidywałem.

Pomogłam mu usadowić się na zydlu. Tym razem oparł się ciężko na moim ramieniu, niezdolny już do zachowywania pozorów zdrowia. Siadł z cichym stęknieniem pod obrazem konającego świętego Sebastiana i oparł plecami o ścianę. Zamknął oczy, w świetle pochodni wyglądał dwa razy starzej niż w rzeczywistości. Zatrwożona, spytałam:

- Czy przynieść ci napar, panie?

Uśmiechnął się lekko, potem uniósł powieki i spojrzał na mnie czule.

- Nie. Ale czy potrymasz starego człowieka za rękę, moja miła, do przybycia Piera?

- Oczywiście. - Podeszłam bliżej i pochyliłam się, biorąc go za rękę; była zimna i tak chuda, że z łatwością wyczuwało się pod skórą powyginane kości.



Trwaliśmy tak w milczeniu, aż // *Magnifico* zapytał cicho:

- Czy jeśli cię wezwę, Lizo, odwiedzisz mnie znowu?

- Oczywiście - powtórzyłam, choć nie wyobrażałam sobie, co mogłoby go do tego skłonić.

- Spodobałaś się naszemu Leonardowi - powiedział. - Muszę się przyznać, że widziałem, jak rysował cię na dziedzińcu. Zamówię u niego namalowanie twojego portretu, kiedy będzie mógł na jakiś czas zostawić swoje obowiązki w Mediolanie. Czy zgodzisz się na to?

Aż zaniemówiłam z wrażenia. Pomyślałam o ojcu: taki zaszczyt bardzo podniósłby jego prestiż i pomógł w interesach, wątpiłam jednak, czy zmieniłoby to jego fanatyczne przywiązanie do nauk Savonaroli. Wzmocniłby związki z Medyceuszami w sposób, który na pewno nie spodoba się jego nowym towarzyszom.

Chwila wydawała się wszakże nieodpowiednia, by wyrażać takie wątpliwości. Kiedy odzyskałam głos, powiedziałam:

- Nawet więcej, *maestro*. Byłabym zachwycona.

- Dobrze - odparł i kiwnął zdecydowanie głową. - A zatem postanowione. Nie rozmawialiśmy więcej aż do chwili, gdy znowu otworzyły się drzwi i stanął w nich syn Wawrzyńca.

- Giuliano - powiedział ojciec. Jego ton zdradzał irytację. - Posłałem po twojego brata.

Gdzie Piero?

- Jest zajęty - odrzekł prędko Giuliano. Był zarumieniony, jakby przybiegł na wezwanie co sił. Na mój widok jego twarz się rozjaśniła. - Źle się czujesz, ojczy? - Rozejrzał

się po komnacie i spostrzegł nietknięte lekarstwo. - Nie wypiełeś jeszcze swojego leku.

Pozwól, że ci go podam.

Wawrzyniec puścił moją dłoń i odegnał słowa syna machnięciem ręki.

- Mój najmłodszy - powiedział do mnie z wyraźną czułością - równie chętnie spełnia moje życzenia, co najstarszy je ignoruje.

Giuliano uśmiechnął się, coś w jego twarzy przypomniało mi terakotowe popiersie na dziedzińcu.

- Żałuję, że nie mogę odprowadzić cię do ojca - podjął Wawrzyniec - ale Giuliano jest odpowiedzialnym młodym człowiekiem. Ręczę ci, że zadba, byś bezpiecznie trafiła na miejsce. - Sięgnął po moją dłoń raz jeszcze i uściśnął ją z siłą zaskakującą u kogoś tak schorowanego. - Bóg z tobą, moja miła.

- I z tobą, panie. Dziękuję za życzliwość, z jaką przyjąłeś mnie u siebie. I za portret... -

Z żalem puściliśmy swoje dłonie. Poczułam osobliwy smutek, gdy młody Giuliano wziął mnie pod ramię. Razem opuściliśmy jego ojca, słabego i szpetnego człowieka, otoczonego bogactwem i pięknem zamierzchłych wieków.

Szliśmy z Giulianem korytarzem, mijaliśmy kolejne rzeźby, portrety i delikatne porcelanowe wazy sięgające rni do pasa, oświecone świecami w eleganckich kandelabrach z brązu, srebra i złota. W niezręcznym milczeniu sztywno trzymałam rękę na jego przedramieniu, a on patrzył prosto przed siebie i poruszał się z naturalną godnością bardziej odpowiednią u kogoś o dziesięć lat starszego. Podobnie jak ojciec, był odziany w szaty o ciemnych, posępnych barwach i tunikę z najszlachetniejszej wełny.

- Przykro mi, Madonna, że choroba ojca przeszkodziła wam w spotkaniu.

- Proszę nie przepraszać, panie - odparłam. - Przykro mi, że Wawrzyniec nie czuje się dobrze.

W migotliwym świetle twarz Giuliana przybrała posępny wyraz.

- Ojciec bagatelizuje to w obecności gości, ale przez ostatnich kilka miesięcy był tak chory, że wszyscy obawialiśmy się, że umrze. Nadal jest bardzo niezdrowy, lekarze nalegali, by nie spraszał gości, ale tak bardzo zależało mu na zobaczeniu przyjaciół. Zwłaszcza Leonarda. I... nie mówił mi tego, ale przypuszczam, że pragnął spotkać się z tobą, pani, aby wybrać ci przyszłego małżonka?

- Tak - przyznałam. Wspomnienie artysty zVinci, który przyjechał specjalnie na to spotkanie, wzbudziło moje nadzieje. - Martwię się bardzo, że twój ojciec, panie, jest tak chory. Co mu właściwie dolega?

- Serce. - Giuliano wzruszył bezsilnie ramionami. - Przynajmniej tak twierdzą medycy, ale myślę, że wiedzą znacznie mniej, niż są skłonni przyznać. Od lat cierpiał na podagrę, czasami wyje z bólu, nawet gdy pościel tylko ociera się o skórę. Poza tym bolą go kości. Ostatnio jednak dopadło go tuzin różnych dolegliwości, a żadnej z nich lekarze nie są w stanie zaradzić. Jest słaby, nie może jeść, jest niespokojny i obolały... - Potrząsnął głową i przystanął w pół kroku. - Tak bardzo się o niego martwię. Ma czterdzieści trzy lata, a wydaje się starcem. Kiedy byłem mały, wydawał się taki silny, biegał i bawił się z nami, jakby sam był dzieckiem. Często podnosił mnie, sadzał na wierzchowcu i jeździliśmy razem... - Głos załamał mu się i Giuliano musiał przerwać, żeby się uspokoić.

- Tak mi przykro. - Właśnie straciłam matkę; dobrze rozumiałam obawy, które trawiły chłopca.-Ale jego stan się poprawia, prawda?

- Tak... - Pokiwał gwałtownie głową, nie patrząc mi w oczy.

- Na pewno będzie coraz lepiej. Trzeba mieć nadzieję. Nagle zaczął się martwić.

- Wybacz, Madonna! Jesteś naszym gościem, a ja ci się żalę. Nie powinienem obciążać cię tymi zmartwieniami...

- Ależ ja chcę o tym wiedzieć. Wawrzyniec był dla mnie taki miły, pokazał mi swoją kolekcję, chociaż był zmęczony.

Giuliano uśmiechnął się melancholijnie.

- Taki właśnie jest ojciec. Uwielbia zbierać piękne przedmioty, ale nie sprawiają mu prawdziwej przyjemności, jeśli nie może pokazać ich innym i patrzeć na ich zachwyty.

Słyszałem, jak mówiono, że potrafi być okrutny, gdy w grę wchodzi interesy albo polityka, ale ja znam go tylko od dobrej strony. - Zamilkł na chwilę i podjął już lżejszym tonem. - Czy podobało ci się zwiedzanie?

- Bardzo.

- Wiem, że ojciec pragnąłby pokazać ci resztę kolekcji, Madonna. Spytałam go, czy mogłabyś wrócić i obejrzeć resztę. Może odwiedziłabyś naszą willę w Castello? Jest tam mnóstwo zdumiewająco pięknych obrazów i wspaniałe ogrody.

- Chętnie. - Choć cieszyłam się na samą myśl o tej wizycie, odpowiedziałam z wahaniem. Nie wierzyłam w to, by ojciec kiedykolwiek zezwolił mi na drugą wizytę u Medyceuszy. Wciąż martwiłam się, czy w ogóle zechce wpuścić artystę, nawet tak szanowanego jak Leonardo, do naszego domu.

Giuliano uśmiechnął się, uradowany moją odpowiedzią.

- Byłoby cudownie, Madonna! Ojciec źle się czuje, może więc pozwoliłby mi służyć jako twój przewodnik.

Zaniepokoiłam się nagle. Uświadomiłam sobie, że mu się podobam. Z pewnością Wawrzyniec nie zaprosił mnie tu jako potencjalną żonę dla syna: Giuliano był o parę lat za młody na małżeństwo. A gdy się w końcu ożeni, to z panną z któregoś z najszlachetniejszych rodów Italii. Na pewno nie z córką handlarza wełną.

Żadna stosowna odpowiedź nie przychodziła mi do głowy. Na szczęście doszliśmy już do bocznego wyjścia z pałacu. Przy drzwiach nie było nikogo ze służby; przypomniałam sobie, że strażnicy stoją po drugiej stronie, na mrozie. Giuliano przystanął.

- Zostawiam cię tu, Madonna, tylko na chwilę, aby upewnić się, czy ojciec już na ciebie czeka. Wrócę, aby cię odprowadzić do niego.

Niespodziewanie, pod wpływem jakiegoś impulsu pochylił się i pocałował mnie w policzek. Zaraz potem zniknął za drzwiami.

Cieszyłam się, że odszedł i że nie ma świadków tego wybryku. Sądząc z gorąca na mojej twarzy i szyi, musiałam się zrobić pąsowa niby *chermisi*.

Czułam się rozdarta. Giuliano był miłym, sympatycznym chłopcem, w dodatku przystojnym - zdobyczą z pewnością poza moimi możliwościami, ale nie mogłam zareagować na pocałunek inaczej jak zawrotem głowy. Równocześnie przypomniałam sobie, że zauroczył

mnie Leonardo da Vinci. Bezpieczniej było pokładać nadzieje na ślub z nim. Mimo że był

owocem nieprawego związku, jego ojciec był jednym z najbardziej znanych notariuszy we Florencji. Pochodził z dobrej rodziny, o majątku i prestiżu równym rodzinie mojego ojca.

Kiedy Giuliano wrócił, wciąż byłam zbyt zmieszana, by spojrzeć mu w oczy.

Wyprowadził mnie na mroźne wieczorne powietrze między strażnikami z mieczami przypasanymi do bioder i pomógł mi wsiąść do powozu, jakby w ogóle nie pozwolił sobie na niestosowny pocałunek. Gdy siedziałam już obok ojca, powiedział po prostu:

- Do widzenia, Madonna. Do widzenia, ser Antonio. Bóg z wami.

Kiedy wyjechaliśmy na via Larga, ojciec był nieobecny duchem i jakby strapiony; modlitwa i kontemplacja najwyraźniej go nie uspokoiły ani nie złagodziły ciosu, jakim było oddanie losu jedyne dziecko w ręce wroga Savonaroli. Mówił, unikając spojrzenia mi w oczy.

- Jak było? - zapytał szorstko. - Co zrobili, pokazali cię niewiastom jak na targu?

- Nie było tam żadnych kobiet. Tylko mężczyźni.

- Mężczyźni? - Odwrócił się i popatrzył na mnie.

- Przyjaciele // *Magnifico*. - W obawie przed dezaprobatą ojca nie chciałam zdradzać zbyt wiele, ale ciekawość nie dawała mi spokoju. - Byli tam artyści, a wśród nich Leonardo da Vinci. - Wolałam nie wspominać, że Wawrzyniec zamówił u niego mój portret; takie rozmowy zostawiałam lepszym dyplomatom od siebie. Umilkłam, nagle onieśmielona. - Czy on ma żonę?

- Leonardo? - Wyrwany z zamyślenia ojciec zmarszczył brwi, i wyteżył wzrok w słabnącym świetle, żeby widzieć drogę. - Nie. To przecież jeden z naszych najsłynniejszych sodomitów. Wiele lat temu został nawet postawiony przed sądem; zarzuty oddalono, ale od dawna mieszka ze swoim „ucniem”, młodym Salaiem, który na pewno jest jego kochankiem.

- Jego głos był pozbawiony wyrazu: dziwne, jeśli wziąć pod uwagę jego zwykłą pobożną niechęć wobec takich ludzi.

Później z wyraźnym wysiłkiem zmusił się do zadania odpowiednich pytań: Kto jeszcze tam był? Czy Wawrzyniec dał do zrozumienia, że znalazł mi kogoś stosownego? Co tam robiłam?

Odpowiadałam oschle i coraz bardziej zdawkowo, ale zdawało się, że nie zauważył, jak wielką przykrość sprawiło mi bezceremonialne określenie Leonarda. Wreszcie zupełnie umilkł, popadł w smętną zadumę i jechaliśmy tak, nic nie mówiąc, przez zimne, ciemne miasto. Gdy przejeżdżaliśmy przez opustoszały most Santa Trinita, otuliłam się mocniej płaszczem.

Przez następny tydzień z nową gorliwością spotykałam się z ojcem przy wieczerzy, licząc na wieści od Wawrzyńca. Wciąż bolało mnie to, że Leonardo woli mężczyzn. Część mojej istoty poddawała się nadziei, że ojciec się pomylił, a może skłamał, aby wybić mi z głowy pomysł poślubienia malarza. Artysci powszechnie uważani byli za zły materiał na mężów. W dodatku byłam pewna, że dostrzegłam blask podniecenia w oczach Leonarda.

W tym czasie otrzymałam też krótki liścik od owego sodomity, dostarczony mi bez wiedzy ojca. Kiedy złamałam pieczęć, ze środka wysunęły się dwie dodatkowe kartki i upadły na podłogę.

*Madonna Liza, przesyłam pozdrowienia z Mediolanu.*

*Nasz czcigodny Wawrzyniec zamówił u mnie Twój portret. Nie mogę wyobrazić sobie lepszego pomysłu; Twa uroda, Pani, aż prosi się o uwiecznienie po wsze czasy. Gdy tylko wypełnię pewne zobowiązania wobec miłościwego księcia Ludouica, na dłuższy czas przyjadę do Florencji.*

*Dla Twojej przyjemności pozwalam sobie dołączyć parę szkiców, które wykonałem.*

*Jeden jest bardziej staranną wersją, którą zrobiłem na podstawie kanonu narysowanego owego wieczoru w pałacu Medyceuszy. Drugi skopiowałem z własnego notesu, gdyż ma szczególne znaczenie dla ludzi z najbliższego kręgu przyjaciół rodu.*

*Nie mogę się doczekać chwili, kiedy wezmę się do malowania, i cieszę się, że znowu się zobaczymy, bardziej niż mogę to wyznać.*

*Twój serdeczny przyjaciel.*

*Leonardo*

Podniosłam kartki z podłogi i przyjrzałam się im z uszanowaniem. Teraz doskonale rozumiałam, dlaczego to właśnie Leonarda poproszono o dokończenie popiersia Giuliana Medyceusza po jego śmierci: jego pamięć twarzy była zdumiewająca. Na podstawie bardzo pobieżnego szkicu piórkiem, narysowanego na dziedzińcu, odtworzył za pomocą ostrego srebrnego rylca na kremowym papierze niezwykle wizerunek mojej twarzy, szyi i ramion -

prawdziwszy, jak się zdawało, i nadobniejszy niż to, co widziałam w zwierciadle. Uchwycił

mnie nie w pozie, o którą poprosił, lecz raczej na moment przedtem: gdy patrzę na terakotowe popiersie Giuliana, a potem odwracam się, by spojrzeć przez ramię na artystę. Jedyne moja twarz, z półprofilu, była dokładnie opracowana i starannie wycieniowana, włosy i ramiona zostały narysowane kilkoma pobieżnymi kreskami. Na głowie widniał niewyraźny kształt, siatka do włosów albo aureola loków. Powieki, wystająca część podbródka i policzki pod oczami zostały starannie rozjaśnione bielą ołowiową.

Kącik warg wyginał się leciutko; nie był to uśmiech, raczej jego zapowiedź. Było to lustrzane

odbicie dobroci, jaką widziałam w oczach nieżyjącego Giuliana: wyglądałam jak anioł.

Olśniona wpatrywałam się w rysunek przez dłuższą chwilę, zanim w końcu skupiłam uwagę na drugiej kartce.

Ten rysunek był naszkicowany pośpiesznie i mniej dopracowany. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że już znam ten obraz. Dopiero po chwili przypominałam sobie, że razem z matką widziałam go na murze Palazzo della Signoria.

Przedstawiał mężczyznę wiszącego na szubienicy ze spuszczoną głową i rękami związanymi na plecach. Pod spodem artysta napisał: *Egzekucja Bernarda Baroncellego*.

Makabryczny wizerunek, nieodpowiedni na podarunek dla młodej dziewczyny; nie potrafiłam sobie wyobrazić, co skłoniło Leonarda, by mi go wysłać. Co Baroncelli miał

wspólnego ze mną?

Sam list też wprawiał w konfuzję „...cieszę się, że znowu się zobaczymy, bardziej niż mogę wyznać”... Czy to aluzja do miłości? Ale podpisał się nader prozaicznie „Twój serdeczny przyjaciel”. Przyjaciel i nikt ponadto. Ucieszył mnie jednak ten list: Wawrzyniec rzeczywiście zamówił mój portret, nie było to więc próżne gadanie, które miałyby mi tylko schlebić.

Co wieczór niecierpliwie czekałam, czy ojciec wspomni choć słowem o portrecie albo, co ważniejsze, powiadomi o zaproszeniu do Castello.

I co wieczór spotykał mnie zawód. Ojciec nic nie mówił na ten temat i burkliwie zaprzeczał za każdym razem, gdy ośmieliłam się zapytać, czy Wawrzyniec nie odzywał się w sprawie przyszłego narzeczonego.

Po jednej z takich zniechęcających kolacji Zalumma przyszła do mnie do sypialni z lampką w dłoni i zamknęła za sobą drzwi.

- Nie pytaj, jak to dostałam: im mniej wiesz, tym lepiej - oświadczyła i wyciągnęła zapieczętowany list. Chwyciłam go czym prędzej, sądząc, że jest od Wawrzyńca. Na wosku widniała pieczęć Medyceuszy, ale treść listu znacznie odbiegała od moich oczekiwań. Przy płomyku lampki Zalummy przeczytałam:

*Madonna Liza.*

*Proszę mi wybaczyć to, co pozwoliłem sobie uczynić, gdy odwiedziłaś niedawno pałac mego ojca, i proszę także o wybaczenie, że napisałem ten list. Jestem nazbyt śmiały, wiem, lecz moja odwaga bierze się z pragnienia ujżenia Cię znowu.*

*Ojciec jest bardzo chory Mimo to pozwolił mi zabrać Cię w towarzystwie osoby jego wyboru oraz jednej towarzyszkii wybranej przez Twego ojca do naszej willi w Castello i pokazać tamtejsze dzieła sztuki. Jeszcze dziś brat mój Piero napisze list do ser Antonia z prośbą o zgodę na to, byś 2 nami pojechała.*

*Z utęsknieniem oczekuję następnego spotkania z Tobą. Do tego czasu pozostaję Twym kornym sługą.*

*Giuliano de Medici*



Przez następnych kilka dni odpychałam od siebie wszelkie myśli o Leonardzie z Vinci

- chociaż gdy byłam sama, zastanawiałam się nad zagadkowym rysunkiem przedstawiającym Bernarda Baroncellego. Za to, głupia dziewczyna, wciąż skupiałam się na chwili, gdy Giuliano pochylił się, by pocałować mnie w policzek. Śniłam o *Wiośnie* i *Narodzinach Wenus* Botticellego. Słyszałam tylko ich opisy, teraz zaś starałam się wyobrazić sobie, jak wyglądają na ścianach w Castello. Wyobrażałam sobie nawet, że obok nich wisi mój portret. W nocy leżałam w łóżku i po raz pierwszy od śmierci matki myślałam o sprawach, które nie dotyczyły bezpośrednio ani mnie, ani domu ojca, ani żałoby.

Niedawno interesy ojca rozwinęły się, wymagając odeń więcej pracy i jeszcze późniejszych powrotów do domu; wkrótce przestałam czekać na jego przybycie i kładłam się spać, a rozmawiałam z nim dopiero rankiem. Często wracał z hrabią Giovannim, pili wino i rozmawiali, nie tykając jadła na stole.

Teraz jednak byłam szczególnie zdeterminowana, by czekać wytrwale, ignorując głód.

Siedziałam poty przy stole, póki się nie zjawiał. Nie zadawałam mu żadnych pytań, po prostu siedziałam i jadłam, co wieczór przekonana, że w końcu wspomni o zaproszeniu Wawrzyńca.

Czyniłam tak przez cztery dni, aż wreszcie nie mogłam już znieść niepewności.

Poleciłam kucharce pilnować, aby wieczerza była ciepła, po czym zasiadłam przy nakrytym stole. Tkwiłam przy nim przez trzy godziny, może dłużej, aż z zapalonych świec zostały ogarki, a mój głód nasilił się tak bardzo, że byłam niemal gotowa poprosić kucharkę o podanie jadła.

Wreszcie ojciec przyszedł - na szczęście bez hrabiego Pica. W blasku świec wyglądał

na mizernego; od śmierci żony przestał przycinać złocistą brodę. Tu i ówdzie włosy skręcały się niesfornie, za długie wąsy dotykały dolnej wargi.

Zdawał się zawiedziony, choć nie zaskoczony, moim widokiem.

- Proszę, usiądź - powiedziałam, po czym poszłam polecić kucharce, by podała posiłek. Kiedy wróciłam, siedział już przy stole. Nie zadał sobie trudu, by zdjąć pelerynę, choć ogień w kominku grzał dosyć mocno.

Milczeliśmy, gdy kucharka przyniosła i postawiła przed nami zupę. Kiedy się oddaliła, odczekałam dłuższą chwilę, aż ojciec zajmie się jedzeniem. Spytałam, bezskutecznie próbując ukryć zdenerwowanie:

- Czy otrzymałeś ostatnio list w mojej sprawie?

Powolnym ruchem odłożył łyżkę i spojrzał na mnie przez stół nieodgadnionymi bursztynowymi

oczyrna. Nie odpowiedział.

- Od Wawrzyńca Medyceusza? - naciskałam. - A może od Piera?

- Owszem, dostałem - odparł, po czym opuścił wzrok i nadal jadł zupę.

Czyżby dręczenie mnie sprawiało mu przyjemność?

- I co odpowiedziałeś?

Zamyślił się nad miską, a potem - z ledwo hamowanym gniewem, od którego aż się wzdrygnęłam - uderzył łyżką w stół.

- Nie będzie żadnej odpowiedzi - odparł. - Dotrzymałem obietnicy, którą dałem twojej matce: pozwolę, aby Wawrzyniec cię wyswatał. Ale niech lepiej wybierze pobożnego człowieka... jeśli pożyje dość długo, by podjąć decyzję. Jego wściekłość wywołała moją złość.

- Czemu nie mogę jechać? Cóż w tym złego? Jestem taka nieszczęśliwa! To jedyna rzecz, która może mnie pocieszyć!

- Nigdy więcej twoja noga nie postanie w domu Medyceuszy. - Jego oczy pałały złością. - Ich czas się kończy Bóg odbierze im władzę, a ich upadek będzie wielki.

Przechowuj wspomnienie wszystkich tych pięknych skarbów, które ci pokazano, bo wkrótce przepadną, obrócą się w proch.

Uznałam, że bezmyślnie powtarza słowa swego nowego zbawcy i zlekceważyłam je.

Za to ostrym tonem zażądałam wyjaśnień:

- Skąd wiesz, że pokazywano mi skarby? Skąd o tym wiesz? Zignorował pytanie.

- Byłem dla ciebie wyrozumiały przez wzgląd na miłość do ciebie i szacunek dla twojej żałoby. Boję się jednak o twoją duszę. Jutro pojedziesz ze mną na kazanie Savonaroli.

I poprosisz Boga, by odwrócił twe myśli od spraw tego świata ku niebiosom. Będziesz się też modliła o wybaczenie za gniew wobec Fra Girolama.

Zacisnęłam pięści i położyłam je na stole, z goryczą uświadomiwszy sobie, że świat piękna i blasku - świat wypełniony dziełami sztuki, zamieszkały przez Medyceuszy i Leonarda, gdzie było miejsce dla namalowanej jego dłonią mojej podobizny - stanie się dla mnie zakazany.

- To ty powinieneś się modlić o wybaczenie. To ty wywołałaś chorobę żony, ty doprowadziłaś do jej śmierci. To ty zadajesz się teraz z jej mordercami i jesteś ślepy na ich winę, bo chcesz uśmierzyć własne wyrzuty sumienia.

Wstał tak gwałtownie, że krzesło zazgrzytało o kamień. W oczach stanęły mu łzy gniewu, prawa ręka

drgnęła, jakby z wysiłkiem powstrzymywał się od zadania ciosu osobie, która go sprowokowała.

- Nic nie wiesz... Zupełnie nic nie wiesz. Proszę cię o to tylko dlatego, że cię Kocham!

Niech Bóg ci wybaczy.

- Niech wybaczy tobie - warknęłam. Wstałam i odwróciłam się z szelestem spódnicy.

Miałam przynajmniej tę satysfakcję, że wyszłam z komnaty, zanim on zdążył uczynić to pierwsze.

Później tego wieczoru, leżąc w łóżku i słuchając cichego, równego oddechu Zalummy i burczenia własnego żołądka, rozpamiętywałam swoje rozczarowanie. Niemożność spotkania z Giulianem sprawiała, że tym bardziej pragnęłam znowu go zobaczyć.

W tych rzadkich chwilach, gdy nie użalałam się nad sobą, zastanawiałam się nad tym, co powiedział ojciec. Czy po prostu uznał, że *II Magnifico* nie mógłby się powstrzymać od pokusy pokazania nowemu gościowi - choćby tylko młodziutkiej dziewczynie - wspaniałości zebranych w jego gabinecie? Czy też za jego słowami kryło się coś więcej?

Spałam niespokojnie, budząc się kilkakrotnie. Dopiero gdy niebo za oknem jęło się rozjaśniać, ocknęłam się znowu, z umysłem jasnym i skupionym na pojedynczym obrazie.

Obrazie Giovanniego Pica ubranego w czerń, ostrożnie trzymającego w dłoniach leczniczy wywar.

Nazajutrz rano, gdy Zalumma pomagała mi się ubierać do wyjścia na targ, rozległo się pukanie do moich drzwi.

- Lizo - zawołał ojciec. - Pośpiesz się. Woźnica czeka, żeby nas zawieźć do kościoła.

A więc zamierzał spełnić wczorajszą groźbę. Serce zabiło mi mocniej. Zdziwiona Zalumma spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

- Chce mnie zabrać na kazanie Savonaroli - szepnęłam do niej. - Na Boga, nie dam mu tej satysfakcji!

Zalumma, niewzruszenie po mojej stronie, przerwała sznurowanie rękawów i zawołała:

- Zaspała i będzie gotowa za kilka chwil, ser Antonio. Czy możesz wtedy wrócić?

- Nie mogę - odparł nieustępliwym, stanowczym tonem. - Będę tu stał, aż wyjdzie z komnaty. Powiedz jej, żeby się pośpieszyła; wkrótce musimy wyjechać.

Zalumma popatrzyła na mnie i przytknęła palec do ust - potem pod-kradła się do krzesła i skinęła, żebym jej pomogła. We dwie podniosłyśmy je cicho z podłogi i zaniósłyśmy pod drzwi. Ustawiła je tak, by zabarykadowało przejście, a następnie cicho zaryglowała nas od środka.

Potem, jakbyśmy nie zrobiły nic złego, stanęłam, a Zalumma wróciła do wiązania rękawów.

Po długiej przerwie ojciec znowu zapukał pięścią.

- Lizo? Nie mogę dłużej czekać. Zalummo, wypuść ją z komnaty. Zalumma i ja popatrzyłyśmy na siebie, z trudem zachowując powagę.

Długą ciszę, która nastąpiła, przerwała próbą otworzenia drzwi, potem szept i znowu pukanie.

- Śmiesz mi się przeciwstawiać?! Jak staniesz przed obliczem Pana, nie słuchając ojca, który ma wyłącznie twoje dobro na względzie?

Słowa gniewu cisnęły mi się na usta. Zacisnęłam mocno wargi i powściągnęłam język.

- Lizo, odpowiedz! Co mam zrobić? Pójść po siekierę?

Nadal się nie odzywałam, choć aż wrzało we mnie ze złości. A potem usłyszałam, jak szłocha.

- Czy ty nic nie widzisz? - jęknął. - Dziecko, nie robię tego z okrucieństwa, ale dlatego, że cię kocham. Kocham cię! Czy to takie straszne wysłuchać kazania Fra Girolama, skoro wiesz, że sprawi mi to przyjemność?

Mówił tak żałośnie, że prawie się wzruszyłam, wciąż jednak milczałam.

- To koniec świata, dziecko - rzekł posępnie ojciec. - Koniec świata, Bóg nadejdzie, by nas osądzić.  
- Zawiesił głos, a potem załkał. - Czuję, że to koniec... Lizo, proszę, nie mogę stracić i ciebie...

Schyliłam głowę i wstrzymałam oddech. Wreszcie usłyszałam, jak odchodzi; później dobiegł mnie odgłos kroków na schodach. Czekaliśmy jeszcze jakiś czas, obawiając się podstępu. W końcu skinęłam na Zalummę, żeby otworzyła drzwi. Uczyniła to i rozejrzawszy się szybko dookoła, dała mi znak, abym podeszła do okna.

Ojciec szedł samotnie do powozu, gdzie czekał woźnica.

Moja radość nie trwała jednak długo, wiedziałam, że nie mogę wiecznie go zwodzić.

Wieczorem nie zeszłam na kolację. Zalumma przyniosła mi talerz, ale nie miałam apetytu i prawie nic nie zjadłam.

Jak się spodziewałam, wkrótce rozległo się pukanie. Po raz kolejny ojciec próbował

otworzyć drzwi, które wcześniej zdążyłam zaryglować. Tym razem nie wołał, stał tylko przez jakiś czas w milczeniu, a potem westchnął głęboko z rezygnacją i odszedł.

Trwało to przez ponad dwa tygodnie. Jadłam wszystkie posiłki w swej komnacie i wychodziłam z niej, tylko gdy wiedziałam, że ojca nie ma. Często wysyłałam Zalummę na targ. Po pewnym czasie ojciec przestał przychodzić pod drzwi, dalej jednak zamykałam się w pokoju. Kiedy był na mszy, wymykałam się do Santo Spirito, by pomodlić się trochę i wyjść przed końcem nabożeństwa.

Podobnie jak matka stałam się więźniem we własnym domu.

Minęły trzy tygodnie. Nadszedł Wielki Post, a z nim wzmogła się żarliwa pobożność ojca. Często stał pod moimi drzwiami i prawił mi o niebezpieczeństwach próżności, obżarstwa i bogactwa, o złu karnawału i oddawania się zabawom, gdy biedni głodują. Błagał, bym pojechała z nim na mszę. Tłumy, które przychodziły słuchać płomiennych kazań Savonaroli - niektórzy wierni przybywali nawet z okolicznych wsi w miarę jak rozprzestrzeniała się jego sława - sprawiły, że zakonnik musiał przeprowadzić się z kościoła San Marco do wielkiego San Loren-za, świątyni, gdzie spoczywały szczątki zamordowanego Giuliana. Nawet wtedy, mówił ojciec, budynek nie mógł pomieścić wszystkich wiernych i tłum wylewał się na schody i na ulicę. Serca Florentyńczyków zwracały się ku Bogu.

Milczałam za grubym drewnem drzwi między nami. Czasami zatykałam uszy, żeby nie słyszeć jego szczerego głosu.

Życie stało się tak nieprzyjemne, że zaczynałam popadać w rozpacz. Moją jedyną ucieczką było małżeństwo, lecz porzuciłam nadzieje na ślub z Leonardem z Vinci, Giuliano zaś ze względu na swą wysoką pozycję był poza zasięgiem moich marzeń. Tymczasem Wawrzyniec - który jako jedyny mógłby podać imię odpowiedniego narzeczonego -

rozchorował się tak poważnie, że nie mógł mówić.

Nastrój poprawił mi się dopiero, gdy Zalumma wróciła pewnego dnia z targu i z uśmiechem wsunęła mi do ręki następny list z pieczęcią Me-dyceuszy.

*Najdroższa Madonna Liza.*

*Jestem szczerze zawiedziony iż ojciec Twój nie odpowiedział jeszcze na list, w którym prosiliśmy o zgodę na Twą wizytę w Castello. Mogę tylko przypuszczać, iż nie jest to przeoczenie, lecz oględna odmowa.*

*Wybacz, że nie napisałem wcześniej. Ojciec choruje tak poważnie, iż zaczynam tracić nadzieję. Kamienie szlachetne w winie podawane przez medyków okazały się nieskuteczne. Z*

*powodu jego choroby nie kłopotalem go naszą sprawą, rozmawiałem jednak z najstarszym bratem Pierem, który zgodził się napisać w moim imieniu drugi list do ser Antonia. Zapyta w nim Twego ojca, czy skoro uznaje wizytę w Castello za niestosowną, zechciałby zastanowić się nad możliwością mojej wizyty u Ciebie w waszym palazzo - oczywiście w obecności Twego ojca i mojego brata.*

*Gdyby i to spotkało się z odmową, muszę zapytać: czy istnieje może w mieście miejsce, gdzie przypadkowo mogliśmy się na siebie natknąć?*

*Przepraszam za swą śmiałość. Zmusza mnie do niej desperacja, z jaką pragnę Cię znowu zobaczyć. Pozostaję Twym kornym sługą.*

*Giuliano de Medici*

Przez dłuższą chwilę list leżał na kolanach, a ja zastanawiałam się nad rozwiązaniem.

Oczywistym miejscem schadzki wydawał się targ. Chodziłam tam często, nikt więc by się nie dziwił. Było jednak nader prawdopodobne, że spotkam tam jednego z sąsiadów albo przyjaciół rodziny, albo żonę, lub służącą kogoś, kto zna mego ojca. Było to miejsce tłumnie odwiedzane - ale nie dość zatłoczone, by zwiść bystre oko naszego woźnicy, a na dodatek pełne znajomych. Schadzka prostej dziewczyny z Medyceuszem została by zauważona. Tyle tylko, że woźnica nie woził mnie regularnie w żadne inne miejsce. Gdybym udała się gdzieś, dokąd nie zwykłam jeździć, z pewnością doniosłby o tym ojcu.

Zalumma stała przy mnie, zaciekawiona. Obyczaj nakazywał jej jednak milczeć i czekać, aż sama podzielę się z nią treścią listu.

- Ile czasu - zapytałam ją w końcu - zajęłoby dostarczenie ser Giulia-nowi odpowiedzi?

- Nazajutrz byłaby w jego rękach. - Posłała mi konspiracyjny uśmiech. Wcześniej opowiedziałam jej o wizycie w pałacu Medyceuszy: o życzliwości Wawrzyńca, śmiałości młodego Giuliana, łaskawości i urodzie Leonarda. Podobnie jak ja zdawała sobie sprawę, że małżeństwo z Giulianem jest niemożliwe, lecz sądzę, że gdzieś w głębi duszy buntowała się przeciw konwenansom. Może tak jak ja żywiła szaloną nadzieję, że niemożliwe stanie się możliwe.

- Przynieś mi pióro i papier - powiedziałam, a gdy mi je podała, napisałam odpowiedź.

Złożywszy i zapieczętowawszy list, przekazałam go w jej ręce.

Potem odryglowałam drzwi i poszłam na dół poszukać ojca.

Ojciec uściskał mnie, gdy oznajmiłam, że wybiorę się z nim na mszę. Proszę o dwa dni - powiedziałam. - Daj mi dwa dni na modlitwę i refleksję, a potem z tobą pojedę.

Z radością wyraził zgodę.

Nazajutrz, tak jak obiecała Zalumma, list dotarł do Giuliana, który kazał memu nieznanemu kurierowi poczekać i natychmiast napisał odpowiedź. Wieczorem, zaszyta bezpiecznie w sypialni, odczytywałam jego nowy list raz za razem, aż wreszcie Zalumma zażądała, żebym zdmuchnęła świecę.

Chociaż pierwszego dnia ciągle padało, nazajutrz wieczorem pogoda była taka, o jakiej można tylko marzyć na początku kwietnia. Gdy jechaliśmy do kościoła San Lorenzo, słońce wisiało nisko nad horyzontem, a jego ciepło rozpraszała chłodna bryza.

Ojciec nie przesadzał, mówiąc o wielkości tłumu, który przychodził wysłuchać zakonnika. Ludzie tłoczyli się na stopniach świątyni, stali nawet na placu. Mimo zbiorowiska nie wyczuwało się żadnego podniecenia czy radości. Cisza panowała jak na pogrzebie, słychać było tylko westchnienia i szept modlitw. Wszyscy nosili szaty w ponurych barwach.

Nie znalazła się ani jedna strojna niewiasta, nie błyszczały klejnoty ani złoto. Tłum wyglądał jak olbrzymie stado cnotliwych kruków.

Nie dało się przepchnąć przez tłok do środka. Na chwilę zamarłam ze strachu: czyżby ojciec zamierzał pozostać ze mną na placu? Jeśli tak, wszystko stracone...

Kiedy jednak pomógł mi wysiąść z powozu, pojawił się Giovanni Pico; najwyraźniej na nas czekał. Jego widok wciąż budził we mnie odrazę.

Ojciec uściskał się z hrabią, lecz znałam go na tyle dobrze, by zauważyć, że udawał radość. Dostrzegłam chłód w uśmiechu, który zniknął z twarzy prawie natychmiast, gdy się od siebie odsunęli - trochę zbyt szybko.

Obejmując ojca ramieniem, hrabia odwrócił się i poprowadził nas w stronę kościoła.

Tłum rozstępował się przed nim; większość obecnych rozpoznawała go i kłaniała się w uznaniu jego bliskich więzów z Fra Girolamem. Z łatwością wszedł do świątyni, prowadząc ojca, który trzymał mnie za ramię i ciągnął za sobą; Zalumma podążała tuż za nami.

Gdy ostatnio słuchałam kazania Savonaroli, kościół San Marco był wypełniony po brzegi, lecz tu, w San Lorenzo, ludzie stali ściśnięci ramię przy ramieniu, tak że z trudem mogli unieść ręce, by się przeżegnać. Chociaż wieczór był chłodny, kościół ogrzewała wielka liczba wiernych; powietrze było duszne i przeniknięte potem, wokół słychać było ludzkie oddechy, westchnienia i modlitwy.



Pico zaprowadził nas pod sam ołtarz, gdzie krzepki mnich Domenico zajmował dla nas miejsce. Odwróciłam twarz, żeby ani on, ani nikt inny nie zobaczył nienawiści w moich oczach.

Przeczłapał obok nas, zamieniwszy parę słów z hrabią Giovannim, po czym zniknął w tłumie. Dopiero wtedy rozejrzałam się wokoło... i zauważyłam łatwo rozpoznawalną, znajomą twarz pająkowatego, płochliwego młodzieńca. Zajął mi chwilę, zanim przypomniałam sobie, gdzie go widziałam: w pałacu Medyceuszy, gdy siedział milcząco w towarzystwie Botticellego i Leonarda z Vinci. Był to rzeźbiarz Michał Anioł.

Rozpoczęło się nabożeństwo. Liturgia mszy świętej była krótka, ograniczona do minimum w przekonaniu, że ludzie nie przyszli po eucharystię, lecz posłuchać tego, co powie Savonarola.

A on ich nie zawiódł. Widok szpetnego drobnego mnicha ściskającego poręcz ambony przeszył moje serce boleśniej niż obecność Pica czy nawet mordercy Domenica.

Kiedy skrzekliwy głos kaznodziei wypełnił katedrę, nie zdołałam powstrzymać łzy, która spłynęła mi na policzek. Zalumma zobaczyła ją i mocno ścisnęła mnie za rękę. Ojciec również ją zauważył i uznał chyba, że to łza skruchy. W końcu wielu słuchaczy - głównie niewiast, ale i mężczyzn - zaczęło szlochać, gdy tylko Savonarola wymówił pierwsze zdanie.

Nie mogłam skupić się na jego słowach, docierały do mnie tylko strzępy kazania: Sama Najświętsza Paniienka objawiła mi się i przemówiła...

Gniew Boży się zbliża... Trwaj w sodomii, Florencjo, w obrzydliwości mężczyzn kochających mężczyzn, a Bóg cię ukarze. Trwaj w umiłowaniu bogactw, klejnotów i zbytków, a Bóg cię ukarze. Trwaj przy sztuce i przedmiotach, które czczą, co pogańskie, a nie chwalą Chrystusa Pana, a Bóg cię ukarze. Pożądaj dalej ziemskiej władzy a Bóg cię ukarze.

Pomyślałam o Leonardzie, który na pewno zdążył już wrócić do Mediolanu, o Wawrzyńcu, który musiał pozostać, choć serca jego ludzi były zatrutowane nienawiścią.

Pomyślałam o jego bracie Giulianie Medyceuszu, którego doczesne szczątki tu spoczywały, i zastanawiałam się, czy w niebie słucha tego zatrwożony.

Spotka cię klęska, Florencjo; zemsta jest blisko.

Już czas. Już czas.

Odwróciłam się do Zalummy. Przyłożyłam rękę do czoła i zachwiałam niby od zawrotów głowy. Nie całkiem udawałam.

Zalumma z troską wychyliła się w stronę ojca i powiedziała:

- Ser Antonio, Liza źle się czuje. Boję się, że zemdleje. Za twoim pozwoleniem, panie, wyprowadzę ją na chwilę, żeby zaczerpnęła świeżego powietrza.

Ojciec kiwnął głową, niecierpliwym gestem dając do zrozumienia, że się zgadza; jego oczy, szeroko

otwarte i lśniące, widziały nie nas, lecz człowieka na ambonie.

Pico też był tak pochłonięty słowami Fra Girolama, że nie zwracał na nas uwagi.

Odwrociłam się - tuż za moimi plecami stał mężczyzna, wysoki i chudy, o długim, spiczastym podbródku; jego twarz wywołała we mnie przelotny i nieprzyjemny błysk rozpoznania.

Mężczyzna kiwnął do mnie głową; zdumiona, odwzajemniłam powitanie, choć nie pamiętałam, skąd go znam.

Razem z Zalummą precisnęliśmy się między wiernymi - najpierw do wielkich otwartych wrót, potem po schodach, a na koniec przez tłum na placu, garnący się do kościoła w nadziei na usłyszenie choć słowa albo ujrzanie choć przez chwilę wielkiego proroka.

Kiedy wyszliśmy z tłoku, rozejrzałam się, szukając woźnicy. Stwierdziłam z ulgą, że nie było go w pobliżu. Skinęłam na Zalummę i pośpieszyliśmy na przykościelny cmentarz, otoczony murem i skryty za bramą.

Tam, za kamiennymi pomnikami postawionymi ku czci zmarłych i za ścieżką obsadzoną pozbawionymi kwiatów ciernistymi krzewami róż, pod obsypanym pąkami drzewem stali dwaj otuleni w płaszcze mężczyźni - jeden wysoki, drugi średniego wzrostu.

Zmierzchało, lecz gdy niższy zdjął kaptur, rozpoznałam go od razu.

- Giuliano! - Podbiegliśmy do siebie, nasi towarzysze, Zalumma i mężczyzna z marsem na czole i długim mieczem przy boku - pozostali o dwa kroki za nami.

Wziął mnie za rękę, tym razem z pewnym zawstydzeniem, i pochylił się, by ją ucałować. Jego palce były długie i smukłe, takie, jakie musiały być palce jego ojca, zanim powykrzywiła je choroba. Wpatrywaliśmy się w siebie i nie mogliśmy wykrztusić słowa.

Jego policzki były zarumienione i wilgotne od łez.

Zapanowawszy nad sobą, powiedział:

- Ojciec jest tak chory, że nie może mówić. Dzisiaj wcale mnie nie poznał. Medycy się niepokoją. Bałam się go zostawić.

Uścisnęłam mu dłoń.

- Tak mi przykro... Ale wcześniej był już poważnie chory i dochodził do siebie.

Będę się modlić, żeby wyzdrowiał.

Kiwnięciem głowy wskazał na kościół.

- Czy to prawda, co mówią? Że Savonarola walczy przeciwko niemu? Że mówi o nim same złe

rzeczy?

Odpowiedziałam z wahaniem.

- Nie wymienia go z imienia. Ale potępia tych, którzy gromadzą bogactwa, dzieła sztuki i mają władzę.

Giuliano schylił głowę; faliste kasztanowe włosy sięgające za uszy prze-sypały się do przodu.

- Czemu tak bardzo nienawidzi mojego ojca? On teraz tak cierpi... nie mogę znieść, gdy słyszę, jak jęczy. Czemu ktokolwiek chciałby zniszczyć wszystko, co moja rodzina uczyniła dla Florencji? Piękno, filozofię, obrazy i posągi... Ojciec jest dobrym człowiekiem.

Zawsze szczerze wspomagał ubogich... Nie wierzysz w to, Madonna? Jesteś teraz jedną z *piangoni*?

- Ależ nie! - Byłam tak oburzona jego przypuszczeniem, że od razu go przekonałam. -

W ogóle by mnie tu nie było, gdyby nie możliwość spotkania się z tobą, mój panie.

Nienawidzę Fra Girolama.

Opuścił ramiona, uspokojony moimi słowami.

- Cieszę się... Lizo... jeśli mogę się tak do ciebie zwracać, pani? - A gdy przytaknęłam, podjął: - Lizo, żałuję, że mój smutek mąci nam to spotkanie. Przyszedłem, aby porozmawiać o sprawie, którą może uznasz za niedorzeczność...

Na chwilę wstrzymałam oddech.

- Od dnia, kiedy zjawiłaś się u nas... nie myślę o niczym innym, tylko o tobie, Lizo.

Chociaż jestem za młody i choć ojciec mógłby oponować, niczego bardziej nie pragnę... -

Zawstydził się i spuścił wzrok, szukając właściwych słów. A ja ledwie mogłam uwierzyć w to, co słyszę, choć często o tym marzyłam.

Nadal trzymał mnie za rękę, jego uścisk stał się mocniejszy, palce wpiły mi się w ciało. Wreszcie popatrzył na mnie i wyrzucił jednym tchem:

- Kocham cię... to okropne, nie mogę w nocy spać. Pragnę się z tobą ożenić. Jestem młody, ale wystarczająco dojrzały, żeby wiedzieć, czego chcę, jestem bardziej odpowiedzialny niż większość rówieśników. Ojciec życzyłby sobie może strategicznego mariażu, ale kiedy poczuje się lepiej, nie wątpię, że potrafię go przekonać. Musielibyśmy poczekać rok, może dwa, ale... - W końcu westchnął głęboko i rzucił z oczami lśniącymi już nie od łez, ale ze strachu. - Najpierw muszę jednak wiedzieć, czy tego chcesz.

Odpowiedziałam bez wahania ani namysłu.

- Niczego nie pragnę żarliwiej. Uśmiechnął się szczęśliwy.

- Ale czy czujesz coś do mnie...!

- To samo, co ty do mnie. Tylko - dodałam cicho - mój ojciec nigdy się na to nie zgodzi. Bo on jest jednym z *piangoni*.

- Moglibyśmy z nim pertraktować. Gdybyśmy nie wymagali żadnego posagu... Gdybyśmy zapłacili mu tyle, żeby nie musiał więcej pracować... Znam ser Antonia. Zawsze odnosił się do nas z szacunkiem i sprawia wrażenie rozsądnego człowieka. - Umilkł, zamyślony. - Ojciec jest zbyt chory, by go tym obarczać... ale omówię to z moim starszym bratem Pierem. Umiem go przekonywać. Kiedy ojciec wyzdrowieje, będzie można ogłosić zaręczyny. Zawsze słucha moich próśb, tym razem będzie tak samo. Mówił z tak płomiennym optymizmem, że zaczęłam mu wierzyć.

- Czy to możliwe...?

- Więcej - odparł - to już prawie dokonane: ja tego dopilnuję. Nie ustąpię. Jeszcze dziś porozmawiam z Pierem i przynaglę jutro rano, jeśli będzie trzeba. I jutro powiem ci, co uzyskałem. Gdzie się spotkamy i kiedy?

- Tutaj. - Nie przychodziło mi do głowy żadne lepsze miejsce na potajemną schadzkę.

- O tej samej porze.

- A więc jutro wieczorem. - Nagle pochylił się i pocałował mnie prosto w usta.

Oszołomiona, wzdrygnęłam się lekko... ale skłamałabym, gdybym nie wyznała, że prędko odwzajemniłam jego żarliwość.

To oczywiście spowodowało natychmiastową reakcję naszych opiekunów, którzy podbiegli i rozdzielili nas. Mężczyzna *pociągnął* Giuliana do czekającego powozu, Zalumma wróciła ze mną z powrotem do kościoła.

- Czy jestem taka niemądra, czy to rzeczywiście jest możliwe? - szepnęłam.

Położyła mi rękę na ramieniu ze wzrokiem skupionym na nieodległym tłumie.

- Nie ma rzeczy niemożliwych - orzekła.

Tym razem nie musiałam udawać, naprawdę zakręciło mi się w głowie.

W nocy wcale nie spałam - wiedząc, że Giuliano też leży bezsenne w łóżku na drugim brzegu rzeki. Dowiedziawszy się, że Leonardo woli mężczyzn, przestałam żywić nadzieję na jego miłość, tłumacząc sobie, że podziw w jego spojrzeniu był podziwem artysty oceniającego modelkę, niczym więcej. „Przyjaciel”, napisał, i właśnie dokładnie to miał na myśli. Ale Giuliano... przystojny, inteligentny, uwielbiający sztukę i młody jak ja... nie mogłabym marzyć o lepszym mężu. A miłość, jaką mi okazywał, budziła we mnie to samo uczucie.

Zarazem jednak nie potrafiłam nawet wyobrazić sobie żadnych doczesnych dóbr - złota, klejnotów, ziemi - które byłyby w stanie przekonać ojca, by oddał moją rękę Medyceuszowi.

Tamtej nocy modliłam się, żeby Wawrzyniec wyzdrowiał i pozwolił Giulianowi ożenić się ze mną i żeby Bóg zmiękczył serce mego ojca, tak by nasz związek mógł się ziścić.

Modliłam się też, żeby portret zamówiony przez II *Magnifico* mógł powstać.

Tuż przed świtem, gdy ciemność właśnie zaczynała ustępować szarości, dokonałam nieprzyjemnego odkrycia: nieznajomy, który skłonił mi się w kościele, stał za mną i pomógł

mi się podnieść w San Marco, w dniu śmierci mej matki.

Rano ojciec z zadowoleniem przyjął wiadomość, że znowu wybiorę się na mszę do San Lorenzo. Byłam zmęczona brakiem snu, a nerwy nie pozwalały mi nic przełknąć w ciągu dnia; miałam nadzieję, że wyraźna bladość zapewni mi wymówkę, której potrzebowałam, by znowu wymknąć się ze świątyni.

Był szósty kwietnia. Pamiętam tę datę wyraźnie ze względu na to, co się później stało.

Poranek był jasny, lecz o zachodzie słońca niebo zasnuwały już czerniejące chmury; w wietrze czuło się zapach nadciągającego deszczu. Gdybym tak bardzo nie pragnęła zobaczyć Giuliana lub gdyby ojciec tak bardzo nie pragnął usłyszeć nauk swego proroka, moglibyśmy zostać w domu i uniknąć zbliżającej się ulewy.

Przed kościołem San Lorenzo szeregi wiernych wzrosły jeszcze bardziej od poprzedniego wieczora, zwiastuny złej pogody nie były w stanie ich zniechęcić.

Po raz kolejny musiałam spotkać się z hrabią Giovannim, który powitał nas ze zwykłą uprzejmością, i Fra Domenikiem. Gruby mnich zajął nam miejsca przy ambonie, a potem zniknął. Ze zdenerwowania niewiele zapamiętałam z mszy i kazania, lecz pierwsze słowa Fra Girolama zostały wypowiedziane z taką mocą, że nigdy ich nie zapomnę.

- *Ecco gladius Domine super terram cito et velociter!* - wykrzyknął z taką zawziętością, że wielu słuchaczy wstrzymało dech. „Oto miecz Pański nad ziemią, celny a rychliwy!”

Nagle zapadła cisza. Jedynym dźwiękiem w wielkiej katedrze był chrapliwy, ekstatyczny głos

Savonaroli.

Bóg przemówił do niego, obwieścił Fra Girolamo. Poprzedniego wieczoru starał się napisać kazanie o wskrzeszeniu Łazarza, lecz odpowiednie słowa nie przychodziły mu do głowy... aż sam Bóg przekazał je na głos swemu prorokowi.

Boża cierpliwość jest u kresu, nie będzie dłużej wstrzymywał Swej karzącej ręki. Sąd się zbliża, sąd już się odbywa, nic go nie powstrzyma. Oszczędzeni zostaną tylko sprawiedliwi. Savonarola przemawiał tak przekonująco, że sama z trudem przemogłam lęk.

Powietrze było ciepłe i duszne. Zamknęłam oczy i zatoczyłam się, tknięta nagłym przeświadczeniem, że muszę wyrwać się z tłumu, bo inaczej zaraz zwymiotuję - tu, w samej świątyni. Z rozpaczą chwyciłam Zalummę za ramię. Czekala na sygnał, lecz moje nieudawane cierpienie zaalarmowało ją.

- Niedobrze jej - powiedziała do ojca, lecz on, znowu oszołomiony słowami proroka, nie usłyszał. Zalumma wypchnęła mnie przez dum na zewnątrz, na chłodne powietrze.

Słowa kazania powtarzano szeptem z ust do ust, przekazywano aż za drzwi kościoła, skąd stojący na schodach człowiek z pospólstwa wykrzykiwał je do zebranych.

- Żałuj swych grzechów, Florencjo! Matki, oplakujcie swe dzieci! Czarne, skłębione chmury sprawiały, że wczesny wieczór był ciemny niczym noc. Zimny wiatr znad rzeki niósł

słonawy posmak. Swoboda i powietrze ocuciły mnie nieco, choć wciąż nerwowo wyczekiwałam wiadomości od Giuliana.

Poszłyśmy na przykościelny cmentarz, pchnęłam furtkę. Za nią rozciągał się mrok, widać było tylko czarne kształty drzew, których gałęzie wyginały się przy każdym porywie wiatru, gubiąc pąki.

Ale nie było tam Giuliana.

Jeszcze nie przyszedł, powiedziałam sobie stanowczo, i unosząc głos, żeby przekrzyczeć szum wiatru, powiedziałam do Zalumy:

- Poczekamy.

Ze wzrokiem utkwionym w otwartej furtce próbowałam dojrzeć w mroku Giuliana i jego towarzysza. Zalumma nie podzielała mojej nadziei i patrzyła w bezgwiazdne niebo, oczekując nadciągającej burzy. W oddali wiatr niósł głos mężczyzny przed kościołem.

„Takie są słowa Boże. Jestem tylko niegodnym posłańcem; nie wiem, czemu Bóg mnie wybrał. Nie baczcie na me słabości i otwórzcie serca na głos Tego, który was ostrzega”.

Czekałyśmy, póki starczyło nam odwagi. Zostałabym dłużej, ale Zalum-ma delikatnie dotknęła mojego ramienia.

- Już czas. Twój ojciec nabierze podejrzeń.

Opierałam się jej w milczeniu, aż wzięła mnie za łokieć i pchnęła ku furcie. Wracalam do kościoła z gardłem i sercem ściśniętymi od powstrzymywanych uczuć. Mimo okropnej pogody tłum na stopniach świątyni i na placu wcale się nie przerzedził; wielu wiernych zapaliło pochodnie, ich nierówny szyk przypominał długiego, lśniącego węża.

Ani Zalumma, ani ja nie miałyśmy siły, by przepchnąć się z powrotem do wnętrza świątyni; żądania Zalummy, by ludzie dali przejście szlachetnie urodzonej, kwitował

szyderyczy śmiech.

Chciałam wrócić na cmentarz, ale Zalumma złapała mnie za rękę.

- Zostań - jęła mnie namawiać. - Słyszysz? Przestali powtarzać kazanie. Msza już się kończy, twój ojciec wkrótce wyjdzie. - Zniżywszy głos, dodała: - Gdyby mógł przyjść, już by na ciebie czekał.

Odwrociłam głowę, a potem drgnęłam, słysząc grzmot. W tłumie rozległy się pomruki, jakiś starzec zawołał:

- Mówi prawdę. Nastał dzień sądu! Poczułam niewytłumaczalny lęk.

Ojciec z nieodłącznym hrabią Giovannim wyszedł z kościoła. Nie skarcił mnie, jak się spodziewałam. Przeciwnie, okazał życzliwość i troskę. Gdy pomagał mi wsiąść do powozu, powiedział:

- Wiem, że ostatnio źle się czujesz. I wiem, jak trudno ci patrzeć na Fra Girolama...

Ale z biegiem czasu twoje serce się ukoi. Mówię ci - rzekł głosem drżącym z podniecenia -

dziś wieczorem matka uśmiecha się do ciebie z nieba.

Wróciliśmy do domu tuż przed burzą.

W nocy zbudził mnie huk gromów i błyskawice tak jasne, że zobaczyłam pierwszy błysk przez zamknięte powieki. Burza była zbyt potężna, by można było znowu zasnąć, podeszliśmy z Zalummą do okna i patrzyły na drugi brzeg rzeki, na oślepiające błyskawice, rozświetlające niebo.

Kiedy burza wreszcie ucichła, wróciliśmy do łóżek. Zapadłam w sen pełen koszmarów.

Nazajutrz rano wybrałyśmy się na targ. Byłam roztargniona, przygnębiona myślą, że Giuliano zmienił zdanie albo że ojciec lub Piero przekonali go, jak nieroztropny byłby mezalians.

Jadąc karocą, przeczuwałam, że w mieście wydarzyło się coś niezwykłego. W

*botteghe* większości towarów nie wyłożono jeszcze na wystawę, w kramach, które były otwarte, właściciele i klienci pochylali się do siebie, pochłonięci poważną rozmową. Na ulicach ludzie w grupkach dyskutowali zniżonymi głosami.

Najpierw zatrzymałyśmy się u rzeźnika. Był to starszy mężczyzna, grubokościsty i tęgi, o różowej łysinie, która błyszczała w słońcu; zaopatrywała się u niego moja babka, a po niej również matka. Pracował z najmłodszym synem, młodzieńcem, którego lśniące złociste włosy już się przerzedziły, odkrywając nagą skórę.

Tego dnia rzeźnika opuścił uśmiech i dobry humor. Pochylił się do nas z ponurą miną.

Z początku pomyślałam, że ktoś umarł.

- Słyszałaś *Monna Liza*? - powiedział, zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać. -

Słyszałaś o Santa Maria del Fiore?

Pokręciłam głową.

- O Duomo?

- Zawałiła się - rzekł posępnie. - Bóg cisnął piorunem i wielka kopuła wreszcie się rozpadła.

Przeżegnał się trwożliwie.

Oniemiałam. Taki koszmar, nie wyobrażałam sobie pięknej kopuły leżącej w gruzach...

- Ale widziałam ją, kiedy przejeżdżałyśmy przez most - powiedziała Zalummą z nutką pogardy. - Nadal stoi. Gdyby się zawałiła, obie byśmy to zauważyły. Patrzcie! - Pokazała palcem. - Nawet stąd widać jej kawałek! Rzeźnik się obruszył.

- Środek. Sam środek się zapadł. To, co widzicie, to zewnętrzna skorupa. Jeśli nie wierzycie, możecie pojechać i przekonać się na własne oczy. Słyszałem ludzi, którzy to widzieli.

Jego syn rozłupywał tasakiem czaszkę owcy, aby wyjąć mózdzek. Usłyszał, o czym rozmawiamy, i zawołał przez ramię:

- Niektórzy mówią, że to sprawka Wawrzyńca Medyceusza. Miał ponoć magiczny pierścień z uwiecznionym w środku dżinem, który uciekł wczoraj w nocy i rozpętał burzę.



Jego ojciec prychnął i pokręcił głową.

- Zabobon! Choć... muszę przyznać, że ten incydent świadczy na korzyść nauk Fra Girolama. Nie należałem do jego wyznawców, ale może wybiorę się do San Lorenzo dziś wieczorem, żeby posłuchać, co ma do powiedzenia na ten temat.

Wstrząśnięta do głębi, wyszłam z górką i nerczkami, mózdek zostawiwszy komuś innemu. Miałyśmy potem wstąpić do piekarni, ale powiedziałam o katastrofie naszemu woźnicy. Choć był lojalny wobec ojca i przysiągł zawozić mnie tylko w określone miejsca, z łatwością dał się namówić na jazdę na Piazza del Duomo, by zobaczyć zniszczenia.

Drogi prowadzące do Santa Maria del Fiore były zatłoczone, lecz im bardziej zbliżaliśmy się do katedry, tym bardziej byłyśmy pokrzepione: kopuła z czerwonej cegły wciąż wznosiła się nad Florencją.

- Bzdurne plotki! - mruknęła Zalumma. - Dzikie fantazje sprowokowane przez tego szaleńca.

Szaleniec, pomyślałam. Doskonale określenie Fra Girolama, ale nie śmiałabym używać go w domu... a z uwagi na żarliwe oddanie jego wyznawców lepiej było nie mówić tak o nim także na ulicy.

Plac był pełen powozów i pieszych, którzy chcieli obejrzeć zniszczenia. Nie były tak poważne, jak twierdził rzeźnik. Piorun uderzył w spizową wieżyczkę, wieńczącą kopułę, i osmalił ją. Była też uszkodzona: dwa fragmenty runęły na ziemię, jeden pozostawił pęknięcie w kopule, drugi ziejącą dziurę w dachu pobliskiej kamienicy. Kawały marmuru posypały się i potoczyły na zachód od świątyni, by spocząć na placu. Ludzie stali wokół każdego z nich, zachowując z respektem odległość; jakieś dziecko wyciągnęło rączkę, by dotknąć jednego z kamieni, lecz matka prędko je powstrzymała, jakby sam marmur był w jakiś sposób przeklęty.

Siwowłósy starzec wskazał ręką na zachód, w stronę via Larga.

- Widzicie? - zawołał, najwyraźniej zwracając się do całego zbiegowiska. - Potoczyły się w kierunku pałacu Medyceuszy. Bóg ostrzegł *II Magnifico*, żeby odpokutował za grzechy, ale nie będzie dłużej wstrzymywać gniewu!

Wróciłam do woźnicy, który wciąż siedział na koźle, ze zdumieniem patrząc na zniszczenia.

- Dość już zobaczyłam - rzekłam. - Zawieź nas z powrotem do domu, tylko szybko.

Położyłam się do łóżka i powiadomiłam ojca, że jestem chora i nie mogę się z nim wybrać tego wieczoru na mszę. Cały ten dzień i następny spędziłam, czekając na list od Giuliana, ale nie przyszedł.

Zesłam na dół na wieczerzę na specjalną prośbę ojca. Z początku myślałam, że zamierza błagać, bym poszła z nim na nabożeństwo nazajutrz rano, dlatego też ociągałam się i próbowałam sprawiać wrażenie jak najbardziej znekanej. Lecz on pragnął podzielić się ze mną niepokojącymi wieściami.

- Lwy w Palazzo delia Signoria - zaczął. Znałam je oczywiście: były podarkiem od Wawrzyńca. Oba

przetrzymywano w klatkach jako symbole potęgi Florencji. - Po tylu latach jeden zagryzł drugiego. To znaki, Lizo. Znaki i zwiastuny.

Był wieczór ósmego kwietnia. Rozebrałam się do snu i położyłam do łóżka, lecz nie mogłam zmrużyć oka; rzucałam się i wierciłam, aż rozdrażniłam Zalummę, która poskarżyła się sennym szeptem.

Gdy usłyszałam stukot powozu zatrzymującego się za naszym pałacem, włożyłam halkę i pośpieszyłam na korytarz, żeby wyrzeć przez okno. Do tego czasu woźnica zdążył

zeskoczyć z kozła; nie mogłam zobaczyć nic poza sylwetkami koni i mężczyzną niosącym nad głowę pochodnię. Pochyłość barków woźnicy i gwałtowny krok świadczyły, że chodzi o coś przykrego i pilnego.

Szedł w stronę loggii. Odwróciłam się i czym prędzej podbiegłam do schodów, nasłuchując. Zapukał do drzwi i wywołał mojego ojca. Później nastąpiła chwila zamieszania i odgłosy sennej krzątany służby, wreszcie woźnicę wpuszczono.

Po jakimś czasie usłyszałam groźny głos ojca i niezrozumiałe cichą odpowiedź woźnicy.

Do chwili, gdy kroki ojca - pośpieszny chód człowieka postawionego nagle w stan wielkiej czujności - zabrzmiały na schodach, zdążyłam otulić się płaszczem. Nie miałam świecy, więc drgnął z zaskoczenia na mój widok. Jego twarz widmowo oświetlała świeca, którą trzymał w dłoni.

- A więc nie śpisz. Słyszałaś?

- Nie.

- Ubieraj się prędko. Nałóż pelerynę, tę z kapturem.

Zupełnie skonfundowana wróciłam do komnaty i obudziłam Zalummę. Była zaspana i nie mogła pojąć moich niepewnych wyjaśnień, lecz pomogła mi wdziać suknię.

Zeszłam na parter, gdzie ojciec czekał już z lampką.

- Bez względu na to, co ci powie - zaczął, lecz urwał owładnięty jakimś nieodgadnionym uczuciem. Kiedy doszedł do siebie, powtórzył: - Bez względu na to, co ci powie, jesteś moją córką i kocham cię.

Nie odpowiedziałam, gdyż nie wiedziałam jak. Wyprowadził mnie przez loggię do czekającej karocy i woźnicy. Na widok herbu *palle* na drzwiczkach zatrzymałam się w pół kroku. Giuliano? Nie, to niemożliwe: ojciec nigdy z własnej woli nie oddałby mnie w jego ręce.

Ojciec pomógł mi wsiąść do środka, a potem zamknął drzwiczki i sięgnął przez okno po moją rękę. Zdawał się niezdecydowany, czy powinien mi towarzyszyć. Wreszcie powiedział:

- Bądź ostrożna. Postaraj się nie rzucać w oczy i nie rozmawiać z innymi. Nie mów nikomu o tym, co widzisz lub słyszysz.

To rzekłszy, zrobił krok do tyłu i gestem ręki dał woźnicy znak, żeby ruszał.

Późna pora przytępiła moją zdolność trzeźwego myślenia. Dopiero gdy koła powozu zastukały o bruk Ponte Vecchio, zrozumiałam, że zostałam wezwana.

Podróż okazała się dłuższa, niż się spodziewałam. Pojechaliśmy nie do Palazzo Medici, lecz za miasto, przez dobrą godzinę przemierzając wiejską okolicę. Wreszcie minęliśmy czarne sylwetki drzew i zatrzymaliśmy się między ogrodem na planie kwadratu a fasadą willi.

Mimo późnej pory wszystkie okna złościły się światłem; w tym domu nikt nie spał.

Ludzie, którzy stali na warcie przy drzwiach wejściowych, opuścili posterunki i siedzieli nieopodal, rozmawiając półgłosem przy zapalonych na dworze pochodniach. Kiedy woźnica pomógł mi wsiąść z karocy, jeden z nich zmarszczył czoło i zaczął głośno szlochać.

Inni uciszali go, któryś pośpieszył do drzwi, by mnie wpuścić.

W środku młoda służąca czekała na mnie we wspaniale ozdobionym, zapierającym dech przedsionku.

- Co z nim? - spytałam, gdy szybkim krokiem prowadziła mnie w głąb korytarza.

- Umiera, Madonna. Lekarze mówią, że nie przetrwa nocy.

Zła wiadomość przeszła mi serce, głęboko współczułam Giulianowi i jego rodzinie.

Dzieła sztuki, obok których przechodziłam - obrazy ożywiane jaskrawymi barwami, subtelne i złocone rzeźby - zdawały się okrutne.

Dotarliśmy do drzwi antykamery Wawrzyńca. Były zamknięte. Przedpokój, podobnie jak ten w pałacu przy via Larga, był pełen starannie porozkładanych klejnotów, pucharów i złotych precjozów. W pomieszczeniu siedziała żona Piera Madonna Alfonsina, przygarbiona, ciężarna i niezbyt urodziwa mimo pięknych miedzianozłotych loków. Miała na sobie prostą cienką sukienkę i szal zarzucony na ramiona. Obok niej siedział Michał Anioł. Podpierał na rękach wielką głowę i nie podniósł wzroku, gdy weszłam.

Alfonsina natomiast przeszła mnie nienawistnym spojrzeniem, kiedy ukloniłam się i przedstawiłam. Widocznie przyjęła rolę matki rodu i zdawała się bardziej wzburzona niż pełna żalu. Jej gniewne oczy, które wyraźnie nie wypłakały ani jednej łzy, nadawały jej wygląd osoby zirytowanej faktem, że teść przysparza jej takich kłopotów.

Stary filozof Marsilo Ficino stał przy drzwiach, najwyraźniej kursując między przedpokojem a sypialnią.

- Madonna Liza - powiedział uprzejmie, choć z trudem powstrzymywał łzy. - Cieszę się, że znowu cię widzę, pani, szkoda, że w takich okolicznościach.

Wyciągnął rękę, by wziąć mnie za ramię i zaprowadzić do komnaty, lecz zatrzymaliśmy się, słysząc zbliżające się kroki i krzyki niosące się echem z korytarza.

Odwróciłam się i zobaczyłam Giovanniego Pica, który prowadził ku nam Savonarolę; za nimi biegli Piero i Giovanni.

Twarz Piera była pąsowa i mokra od łez.

- Zdradziłeś nas, przywożąc go tutaj! - wołał. - Czemu po prostu nas nie spoliczkujesz albo nie oplujesz w chwili największej rozpacz? Byłoby to znacznie bardziej litościwe niż to, co czynisz!

Jego brat Giovanni huczał:

- Nie lekceważ nas! Odejdź albo sprowadź straż!

Gdy Pico i Savonarola podeszli do ser Marsila i zamkniętych drzwi, Alfonsina wstała i nie bacząc na szal, który zsunął jej się z ramion, spoliczkowała Pica z taką siłą, że zachwiał się i cofnął o krok.

- Zdrajca! - wrzasnęła. - Śmiesz szydzić z nas, skoro przyprowadzasz tę małpę pod nasz dach w takiej chwili? Wynoście się! Obaj!

Michał Anioł obserwował scenę z dziecięcą bezradnością; nie pośpieszył na pomoc Alfonsinie ani nie odezwał się w obronie swego proroka. Marsilo załamał ręce i szepnął:

- Madonna, nie wolno ci się tak denerwować...

Pico poczuł się zakłopotany w obliczu takiej wrogości, najwidoczniej oczekiwał łaskawszego powitania.

- Madonna Alfonsina, nie chcę przysparzać pani rodzinie cierpienia... muszę wszakże czynić, co Bóg mi nakazuje.

Savonarola milczał z zamyślonym spojrzeniem, jego sztywna poza zdradzała napięcie.

Otworzyły się drzwi sypialni; wszyscy odwrócili się, jakby czekali na słowa wyroczni.

W drzwiach stał mój Giuliano, z czołem zmarszczonym niechęcią.

- Bądźcie cicho, wszyscy! - Sprawiał wrażenie starszego niż podczas naszego ostatniego spotkania. Nie skończył jeszcze piętnastu lat, lecz choć cera i włosy miały świeżość i blask młodości, oczy i postura zdawały się należeć do człowieka wyczerpanego wieloma troskami. - Co to wszystko znaczy?

Zanim skończył zadawać pytanie, jego wzrok padł na Savonarolę. Na krótką chwilę oczy rozbliły mu nienawiścią, którą natychmiast zastąpiła doskonale wyćwiczona poza. Ton jego głosu stał się życzliwy i pełen troski.

- Proszę was wszystkich, pamiętajcie, że ojciec może was usłyszeć. Mamy wobec niego obowiązki. Powinniśmy dopilnować, aby ostatnie chwile tego, który zawsze o nas dbał, uczynić spokojnymi i pogodnymi. Nie przysparzajmy mu już zmartwień.

Nadal gromiąc wzrokiem Pica i jego towarzysza, Alfonsina podniosła szal i zarzuciła go sobie na ramiona. Giuliano zorientował się w sytuacji.

- Piero - zawołał do brata lekkim tonem. - Twoja małżonka nie jadła nic cały dzień.

Czy mógłbyś ją odprowadzić i dopilnować, żeby podano jej jakiś posiłek? Ojciec byłby szczęśliwy, wiedząc, że o nią dbamy...

Piero wyraźnie się opamiętał. Kiwnął głową i objął Alfonsinę ramieniem. Podniosła na męża wzrok pełen czułości, było widać, że tych dwoje się kocha. Zauważyłam subtelną zmianę w wyrazie twarzy Giuliana: był wzruszony, zadowolony i uspokojony, że małżonkowie zajmą się teraz sobą.

Następnie zwrócił się do drugiego brata, kardynała:

- Drogi bracie, czy załatwiłeś już wszystko?

Tęgi i kudłaty Giovanni pokręcił głową. Podobnie jak Giuliano nie płakał; jego opanowanie wpływało raczej z wrodzonej rezerwy niż chęci oszczędzenia innym bólu.

Mówił rzeczowym tonem, wolnym od emocji, które opanowały pozostałych.

- Nie wszystkie szczegóły ceremonii są ustalone. Nie mogę wybrać hymnu na *Introibus*... - W jego ton wkradła się lekka irytacja. - Ojciec niestety wybrał tylko Ewangelię i jeden hymn. Takie sprawy wymagają dokładnego i dalekowzrocznego namysłu, gdyż wywrą długotrwałe wrażenie na ludzi.

Giuliano odparł mu szczerze i otwarcie.

- Wierzmy, że ty dokonasz właściwego wyboru, mimo braku czasu. Może modlitwa nam pomoże. - Westchnął. - Bracia, idźcie i róbcie, co do was należy. Poślemy po was, gdy stan ojca się pogorszy. A teraz pozwólcie, że zajmę się naszymi niespodziewanymi gośćmi.

Alfonsina i bracia odeszli, mijając Pica i Savonarolę z widoczną pogardą. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem głosu, Giuliano powiedział łagodnie, jakby mówił do ukochanego dziecka:

- Michale Aniele, bracie, jadłeś coś?

Wielka głowa uniosła się; ciemne, znękanne oczy popatrzyły na pytającego.

- Nie i nie będę jadł. Nie mogę, póki on cierpi.

- Może znalazłbyś ukojenie w modlitwie? Młody rzeźbiarz pokręcił głową.

- Jestem tu, gdzie chcę być. Nie jestem taki jak inni, Giuliano. Nie musisz się o mnie martwić. - Jakby na dowód swoich słów, wyprostował plecy i splótł ręce na podołku, usiłując przybrać opanowaną pozę. Giuliano uśmiechnął się z czułością i sceptycyzmem, lecz zostawił

młodego artystę samemu sobie.

Następnie zwrócił się do Pica i zakonnika.

- Usiądźcie, proszę panowie. Spytałem ojca, czy jest dość silny, by was przyjąć. Ale najpierw muszę porozmawiać z pewną zaprzyjaźnioną osobą. Drogi Marsilo, czy zadbasz o ser Giovanniego i Fra Girolama? Przebyli długą drogę i na pewno przydałoby im się jadło i napitek.

Wziął mnie za rękę i wprowadził do komnaty, zamknąwszy za nami drzwi. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie i miałam wrażenie jakbyśmy byli tylko we dwoje... lecz nie odczuwaliśmy radości. Jego twarz była odrętwiała, oczy pełne napięcia.

- To miło, że przyjechałaś, kiedy ojciec cię wezwał - rzekł, jakby zwracał się do nieznajomej. - Muszę cię przeprosić, że nie udało mi się przybyć pod kościół...

- Nawet o tym nie wspominaj - odparłam. - Tak mi przykro, tak strasznie przykro.

Twój ojciec to dobry człowiek, taki jak ty.

Spróbowałam wziąć go za rękę. Odsunął się.

- Nie mogę... - Załamał mu się głos. - Nic się między nami nie zmieniło, Lizo. Z

pewnością to rozumiesz. Ale muszę być silny, a wszelkie oznaki czułości utrudniają to...

Robię tak dla ojca, rozumiesz?

- Rozumiem. Ale dlaczego posłał po mnie? Giuliano był chyba zakłopotany pytaniem.

- Lubi cię. Taki już jest. I... wiesz, że wychował Michała Anioła jak syna? Zobaczył go pewnego dnia w naszym ogrodzie, kiedy szkicował fauna. Dostrzegł jego talent. W tobie też musiał zobaczyć coś wartego pielęgnowania.

Zaprowadził mnie do sypialni, gdzie Wawrzyniec siedział z plecami podpartymi na poduszkach w wielkim łożu okrytym futrami i aksamitnymi narzutami. Jego oczy były zamglone, nieobecne; podniosły się i spojrzały na mnie tępo, gdy podeszłam do łóżka. W

komnacie unosił się fetor.

Na fotelu nieopodal siedział inny mężczyzna, przy stoliczku, na którym ustawiono puchar, kamienie szlachetne, moździerz i tłuczek.

- Medyk ojca - powiedział Giuliano. - Pier Leone, Madonna Liza Gherardini.

Lekarz kiwnął lekko głową, nie odezwawszy się ani słowem. Twarz, obwisła podobnie jak całe ciało, zdawała się przytłoczona bezradnością, widoczną w jego oczach.

- Inni... - wyrzęził Wawrzyniec. Zorientowałam się, że nie widzi tak dobrze, by mnie rozpoznać. Giuliano szybko siadł na krześle przy łóżku.

- Wszyscy są pod dobrą opieką, ojcie - powiedział wyraźnym, radosnym głosem. -

Nie musisz się o nich martwić. Piero zabrał Alfonsinę, żeby mogła coś zjeść, Giovanni przygotowuje ceremonię, a Michał Anioł... - Umilkł na moment, żeby wymyślić jakieś kłamstwo. - Modli się w kaplicy.

Wawrzyniec wymamrotał kilka słów.

- Tak, widziałem go - powiedział Giuliano. - Modlitwa bardzo koi mu nerwy. Nie musisz się martwić.

- Dobry chłopak - wycharczał Wawrzyniec. Na oślep, z wielkim wysiłkiem, uniósł

rękę na wysokość kilku centymetrów, a syn uchwycił ją i pochylił się do przodu, tak blisko, że prawie zetknęli się ramionami. - Mój dobry chłopak... A kto pociesza ciebie?

- Jestem taki jak ty, ojcie - odparł Giuliano niemal wesoło. - Urodziłem się pozbawiony tej potrzeby. - Podniósł nieco głos. - Ale masz gościa. To Liza, córka Antonia Gherardiniego. Posłałeś po nią.

Podeszłam aż do brzegu łóżka.

- Posag - wyszeptał starzec, jego oddech wionął grobem.

- Tak, ojcie. - Twarz Giuliana znajdowała się zaledwie o długość palca od twarzy ojca. Uśmiechnął się i Wawrzyniec, ledwie rozpoznawszy minę, uśmiechnął się słabo w odpowiedzi.

- Jedyny - wysapał. - Jak mój brat. Taki dobry.

- Nie tak dobry jak ty, ojcie. Nigdy nie byłem tak dobry. - Giuliano umilkł, a potem popatrzył na mnie i znowu bardzo wyraźnie, tak aby Wawrzyniec mógł go zrozumieć, powiedział: - Ojciec pragnie cię

powiadomić, że zadbał o twój posag.

Wawrzyniec zarzęził, z trudem łapiąc powietrze; Giuliano i lekarz pochyłili go szybko do przodu, co najwyraźniej ulżyło mu w cierpieniu. Kiedy zaczerpnął tchu, przyzwał syna i wyszeptał słowo, którego nie mogłam zrozumieć. Giuliano się roześmiał.

- Księcia - powiedział i mimo udawanej pogody głos załamał mu się, kiedy spojrzał na mnie i wyjaśnił: - To dość pieniędzy, żebyś mogła poślubić księcia, gdybyś tylko zechciała.

Uśmiechnęłam się do Wawrzyńca, lecz patrzyłam na Giuliana.

- A więc nie wybrałaś dla mnie narzeczonego, panie? Wawrzyniec nie usłyszał mnie, ale jego syn już miał przygotowaną odpowiedź.

- Nie wybrał. Przekazał to zadanie mnie.

Przycisnęłam się do brzegu łóżka i pochyliłam bliżej konającego.

- Mości Wawrzyńcu. - Podniosłam głos. - Słyszysz mnie?

Powieki mu zatrzepotały; wyszeptał gwałtowną odpowiedź, lecz napuchnięty język kleił się do wysuszonego podniebienia i nie byłam w stanie zrozumieć, co powiedział.

Giuliano podniósł wzrok.

- Słyszysz.

Śmiało sięgnęłam po jego dłoń. Była bezwładna i potwornie powykręcana, niczym ptasie szpony, ale przycisnęłam ją do warg ze szczerym oddaniem i czcią. Zrozumiał mój gest; przekrwione oczy złagodniały, patrzyły teraz z wielką czułością i ciepłem.

- Jesteś dla mnie, zwykłej córki kupca, tak życzliwy, byłeś wspaniałomyślny dla tak wielu ludzi. Piękno, sztuka, którą dałeś nam wszystkim, to dług, którego nigdy nie będziemy w stanie spłacić.

W jego oczach zakręciły się łzy; z piersi wymknął się cichy jęk.

Nie wiedziałam, czy był to objaw bólu, czy wzruszenia, i spojrzałam na Giuliana na wypadek, gdyby potrzebny był lekarz. Giuliano pokręcił głową.

- Co mogę uczynić, by okazać swą wdzięczność? - nalegałam. - Czy w jakiś sposób mogę ulżyć w tych cierpieniach, panie?

Wawrzyniec szepnął coś znowu, lecz tym razem odczytałam słowa z ruchu warg, zanim syn powtórzył je niczym echo.

- Módl się...



- Będę. Będę się za ciebie modlić każdego dnia, póki żyję. - Umilkłam i uścisnęłam dłoń Wawrzyńca, a potem puściłam ją. - Tylko proszę, powiedz, czemu okazałeś mi, panie, tyle względów.

Starał się wymówić słowa wyraźnie, abym mogła usłyszeć je z jego własnych ust, a nie przez pośrednika.

- Kocham cię, dziecko.

Zdumiały mnie te słowa; może, pomyślałam, Wawrzyniec mający na łożu śmierci, nadmiernie wzruszony, albo nie w pełni pojmuję, co mówi. Czułam jednak, że mówi prawdę.

Poczułam bliskość Wawrzyńca od pierwszej chwili, gdy go zobaczyłam; od razu rozpoznałam w nim przyjaciela. Odpowiedziałam wtedy jak najbardziej szczerze:

- A ja kocham ciebie, panie.

W tym momencie Giuliano odwrócił głowę, tak aby ojciec nie widział, jak ciężko mu się opanować. Wawrzyniec, z wyrazem najczystszej uwielbienia na twarzy, pogłaskał go z trudem po ramieniu.

- Pociesz go...

- Tak zrobię - powiedziałam głośno.

Potem powiedział coś, co nie miało dla mnie sensu:

- Spytaj Leonarda...

Stęknął cicho i opuścił rękę jakby ostatni wysiłek zupełnie go wyczerpał. Spojrzał w dal, na coś niewidzialnego dla nas, zacisnął powieki i skrzywił się żałośnie. Jego głos wciąż był tylko szeptem, choć wzburzenie wzmocniło go, tak że zrozumiałam każde słowo.

- Trzeci człowiek. Zawiodłem cię... Jak mogę odejść? Teraz Leonardo, on i dziewczyna...

Bredzenie umierającego, pomyślałam, lecz Giuliano odwrócił się do ojca, mrużąc oczy. Pojmował intencje Wawrzyńca bardzo dobrze i mocno się przejął. Pocieszająco położył

ojcu rękę na ramieniu.

- Nie martw się tym, ojciec. - Starannie dobierał słowa. - Nie martw się. Zajmę się wszystkim.

Wawrzyniec wymamrotał częściowo niesłyszalną odpowiedź; uznałam, że powiedział: „Jak mogę odejść do niego, skoro zawiodłem?” Wątle członki poruszyły się pod pościelą.

Giuliano podniósł na mnie wzrok.

- Najlepiej będzie, jeśli teraz trochę odpocznie.

- Do widzenia, panie Wawrzyńcu - powiedziałam głośno.

Zdawał się nie słyszeć. Głowa opadła mu na poduszki, oczy wciąż patrzyły w przeszłość.

Wyprostowałam się i odeszłam od łóżka. Giuliano postanowił mi towarzyszyć i razem ruszyliśmy do drzwi, w stronę niedużego przedsionka, który dałby nam odrobinę prywatności.

Nie wiedziałam, jak właściwie go opuścić. Chciałam mu powiedzieć, że do tego momentu byłam głupią dziewczynką, zauroczoną jego szarmanckim zachowaniem i listami, dziewczyną, która myślała, że jest zakochana, ponieważ pragnęła życia wśród piękna i sztuki, wolnego od udręk mieszkania z ojcem.

Chciałam mu też powiedzieć, że teraz naprawdę ma całą moją miłość - miłość tak rzeczywistą, jakby był moim bratem, krewnym. I byłam zdumiona i onieśmielona, że ktoś tak współczujący i silny wybrał akurat mnie.

Nie powiedziałam mu tego z obawy, że się rozplacze. Ale nie mogłam oprzeć się impulsowi, by objąć go przed odejściem; ze szczerym przywiązaniem i żalem uścisnęliśmy się mocno, nie mówiąc ani słowa.

Otworzył drzwi i przekazał mnie Ficinowi, a potem znów zamknął podwoje. Ficino odprowadził mnie do powozu. Noc była bezchmurna i chłodna. Wychyliłam się przez okno i spoglądałam w gwiazdy, zbyt zasmucona, by płakać.

Kiedy wróciłam do domu, ojciec siedział w głównej komnacie i z udręczonym obliczem, na którym kładły się koralowe refleksy ognia, wpatrywał się w kominek. Kiedy przechodziłam obok, skoczył na równe nogi i podbiegł z pytającą miną.

- Podarował mi duży posag - oznajmiłam zwięźle. Popatrzył na mnie przenikliwie, świdrująco.

- Co jeszcze mówił?

Zawahałam się, potem postanowiłam być szczerą.

- Że mnie kocha. I że Giuliano jest dobrym synem. Umysł odmawiał mu posłuszeństwa i powiedział parę rzeczy, które nie miały sensu. To wszystko.

Jego oczy pały niewypowiedzianym cierpieniem. Schylił głowę. Jest szczerze zasmucony, uświadomiłam sobie. Naprawdę go żałuje... Potem nagle podniósł głowę.

- Kto tam był? Ktoś cię widział?

- Wawrzyniec, oczywiście. Giuliano. Piero, jego żona i Giovanni... i Michał Anioł. -

Odstąpiłam od niego o krok. Nie byłam w nastroju do opowiadania o wydarzeniach tej nocy.

Po namyśle dorzuciłam: - Pico przyprowadził Savonarolę. Rodzina była bardzo wzburzona.

- Pico! - powiedział i zanim zdołał się powstrzymać, dodał: - Czy był z nim Domenico?

- Nie. Porozmawiajmy o tym kiedy indziej, proszę. - Byłam bardzo zmęczona.

Wzięłam w dwie ręce spódnice i ruszyłam po schodach na górę, nie przejmując się tym, że ojciec obserwuje każdy mój krok.

W komnacie Zalumma już spała. Uznawszy, że lepiej jej nie budzić, zostałam w ubraniu. Przechyliłam się nad parapetem, spoglądając w gwiazdy. Wiedziałam, że świecą też nad willą w Careggi, i czułam, że patrząc na nie, jestem nadal złączona z czuwającymi tam ludźmi.

Stałam tak może z godzinę, kiedy jakieś światło rozbłysło wysoko na niebie, a potem spłynęło po ciemnym firmamencie, pozostawiając za sobą szybko rozpraszającą się smugę.

- Znaki - usłyszałam głos ojca. - Znaki i zwiastuny.

Wciąż ubrana, leżałam na łóżku, lecz nie spałam. Niebo zaledwie zaczęło się rozjaśniać, gdy usłyszałam bicie dzwonów.

**W 33** awrzyniec leżał na marach w kościele, gdzie pochowano jego brata. Cała Florencja zjawiała się, by go oplakiwać, nawet ci, którzy tak niedawno zgadzali się z Savonarolą, że *Il Magnijko* jest poganinem i grzesznikiem, a Bóg go ukarze. Nawet mój ojciec płakał.

- Wawrzyniec był okrutny w młodości - powiedział - czynił sporo złego. Ale złagodniał z biegiem lat.

Giovanni Pico odwiedził nas w domu, aby omówić stratę, jakby wieści, które mogłabym przynieść ojcu, były bez znaczenia. Nie ja jedna widziałam tamtej nocy komety; służący w Careggi też ją zobaczyli.

- Na łożu śmierci Wawrzyniec przyjął Savonarolę i jego obecność dała mu wielkie pocieszenie - doniósł Pico. Wycierał chusteczką oczy i mamrotał po wielu kielichach wina, którym częstował go ojciec. Zaskoczyło mnie, że z takim żalem przyjął odejście Wawrzyńca.

- Wierzę, że rzeczywiście żałował swoich grzechów, bo kilkakrotnie pocałował wysadzany klejnotami krucyfiks i modlił się z Fra Girolamem.

Savonarola nie wygłosił tego dnia kazania, obywatele zaś, którzy tak niedawno tłoczyli się na stopniach San Lorenzo, by usłyszeć proroka Florencji, teraz cierpliwie czekali na swoją kolej, by po raz ostatni zobaczyć jej największego mecenasa i dobrodzieja. Wszelkie wpływy Pica na nic się nam zdały i musieliśmy godzinami stać wraz z innymi.

Weszliśmy do kościoła w jakiś czas po południu. Nieopodal ołtarza w prostej drewnianej trumnie na podwyższeniu leżał Wawrzyniec. Był ubrany w zwykłą białą lnianą szatę, zaś ręce - z palcami powyciąganymi i starannie ułożonymi, tak że nie wyglądały na zdeformowane - spoczywały skrzyżowane na sercu. Oczy miał zamknięte, wargi wygięte w lekkim uśmiechu. Już nie cierpiał, nie ciążyła na nim obezwładniająca odpowiedzialność.

Zerknęłam na Giuliana stojącego w pobliżu trumny, między bratem Pierem i strażnikiem. Za nimi stał zrozpaczony Michał Anioł i posępny artysta z Vinci.

Widok Leonarda nie przyniósł mi nadziei ani radości, myślałam tylko o Giulianie i patrzyłam na niego tak długo, aż nasze spojrzenia się spotkały. Był zmęczony płaczem i teraz zbyt wyczerpany na ły. Twarz miał spokojną i opanowaną, lecz cierpienie ujawniało się w jego postawie, w pochyłości barków.

Na mój widok rozjaśniły mu się oczy. Obyczaj nie pozwalał nam ze sobą rozmawiać ani nawet się przywitać, lecz w tamtej chwili dowiedziałam się wszystkiego, co chciałam wiedzieć. Było tak, jak myślałam: nie rozmawialiśmy o tym, że jego ojciec powierzył mu zadanie znalezienia dla mnie męża, ale on wcale o tym nie zapomniał. Musiałam tylko być cierpliwa.

Nazajutrz rano jak zwykle wybrałam się z Zalummą na mszę do Santo Spirito. Kiedy nabożeństwo się skończyło i wyszliśmy na ciepłe wiosenne słońce, Zalumma zatrzymała mnie w tyle za oddalającym się tłumem.

- Zastanawiam się - powiedziała - czy wolno mi odwiedzić twoją matkę. Nie odpowiedziałam od razu. Wciąż za bardzo cierpiałam po stracie matki, by odwiedzić miejsce jej pochówku.

- Rób, co chcesz - odparłam. - Ja zostanę tu, na schodach.

- Nie pójdziesz ze mną? - rzekła Zalumma z niezwykłą u niej melancholią.

Odwróciłam się i z uporem patrzyłam w górę na kiwające się gałęzie olch na de nieba.

Dopiero gdy usłyszałam jej oddalające się kroki, poczułam się lepiej.

Stałam tak, grzejąc się w słońcu, i próbując nie myśleć o matce, gdy usłyszałam nieopodal głosy. Jeden należał do Zalummy, drugi był męski i dziwnie znajomy.

Odwróciłam się. Między kryptami i nagrobkami, rzeźbami i krzewami róż Zalumma rozmawiała z Leonardem. Artysta stał bokiem do mnie z drewnianą deseczką w dłoni. Spod czerwonej czapeczki włosy opadały mu falami tuż za barki, broda została skrócona i przystrzyżona. Chyba wyczuł, że go obserwuję, bo odwrócił się i uśmiechnął, a następnie skłonił głowę.

Dygnęłam lekko i poczekałam, aż do mnie podejdzie. Obok szła Zalumma z miną spiskowca. Wiedziała, że będzie tam czekał.

- Madonna Liza - powiedział wreszcie. Mimo że się uśmiechnął, wyglądał poważnie i posępnie. Florencja wciąż była pogrążona w żałobie. - Przepraszam, że przeszkadzam.

- Ależ wcale pan nie przeszkadza - odparłam. - Miło mi pana widzieć.

- I mnie także. Wyjechałem z Mediolanu, gdy tylko usłyszałem, że *II Magnifico* choruje, lecz, niestety, przybyłem za późno. Zatrzymałem się w Palazzo Medici. Słyszałem, że będę mógł cię tu dzisiaj spotkać. Mam nadzieję, że się nie narzucam, biorąc pod uwagę nieszczęśliwe okoliczności...

Zastanawiałem się, czy mogłabyś mi pozować.

Odezwałam się bez namysłu.

- Ale Wawrzyniec odszedł. Zamówienie już nie obowiązuje.
- Już otrzymałem zapłatę - odpowiedział szybko i stanowczo. Westchnęłam.
- Wątpię, by ojciec wyraził zgodę. Uważa, że sztuka to błahostka. Jest wyznawcą Savonaroli.

Leonardo się zawahał.

- Ale nie ma go teraz z tobą, Madonna?

Spojrzałam na deseczkę w jego dłoni. Była do niej przyczepiona świeża kartka papieru, do pasa miał przytroczony duży woreczek. Poglądziłam się po włosach, poprawiłam suknię.

- Zamierza pan rysować mnie właśnie tu? Zmrużył oczy rozbawiony.
- Jesteś doskonałością taka, jaka jesteś. Ogarnęła mnie panika.
- Nie mogę zostać tu długo. Miałam tylko pójść na mszę i od razu wrócić do domu.

Jeśli się spóźnię, służba zacznie się zastanawiać, gdzie się podziewam, i donieść o tym ojcu po jego powrocie.

- Poszłyśmy na grób twojej matki - podsunęła Zalumma. Posłałam jej karcące spojrzenie.

Leonardo zdążył wyjąć coś ze swej torby: kawałek węgla drzewnego przywiązanego do małego, wygładzonego papierem ściernym patyczka.

- Wysłałem ci kopię szkicu, który wykonałem tamtego wieczoru na pałacowym dziedzińcu. Ale nie jestem zadowolony z rezultatu.
- Niezadowolony!

- Tak, przypomina cię, ale chciałbym... czegoś więcej. Nie umiem pięknie się wystawiać, ale spróbuj po prostu mi zaufać, Madonna... i zgódź się pozować przez kilka minut, nie dłużej. Nie zależy mi na przysparzaniu ci kłopotów. Twoja służąca będzie przez ten czas stała na czatach.

W końcu ustąpiłam. Odprowadził mnie na bok, nieopodal cmentarza, gdzie pod dębem spoczywał ogromny głaz. Usiadłam tam, a Leonardo poprosił, żebym lekko się odwróciła i znowu spojrzała na niego przez ramię, tak że widział moją twarz z półprofilu.

Wziął węgiel - zrobiony, jak wyjaśnił, z suchej gałązki wierzby, którą przypiekał tak długo, aż czerniała - i zaczął rysować z imponującą szybkością. Najogólniejsze zarysy pojawiły się pierwsze.

Po jednej albo dwóch minutach milczenia zapytałam:

- Jak udało ci się, panie, zapamiętać moje rysy z taką łatwością, skoro widziałeś mnie tylko raz? Karton, który zrobiłeś, był bardzo pobieżny. A rysunek, który mi przysłałeś...

zapamiętałeś każdy szczegół.

Wciąż skupiony na pracy odpowiedział z roztargnieniem:

- Pamięć można wyćwiczyć. Jeśli chcę zapamiętać czyjąś twarz, przyglądam jej się bardzo uważnie. A potem, w nocy, kiedy leżę w łóżku, przypominam sobie każdy szczegół

fizjonomii, jeden po drugim.

- Mnie nigdy nie udałoby się tego zapamiętać tak dokładnie!

- To przecież całkiem proste. Weźmy na przykład nosy: istnieje tylko dziesięć typów profilu.

- Dziesięć typów! - parsknęłam. Leonardo uniósł brew, natychmiast więc stłumiłam śmiech, starając się rozluźnić mięśnie twarzy i przybrać taką miną jak poprzednio.

- Dziesięć typów profilu: prosty, ostry, orli, płaski, okrągły, zadarty, niektóre nosy mają garb albo wyginają się po łuku powyżej środka, a inne poniżej. Jeśli zapamięta się tych dziesięć typów, to ma się magazyn form, które pomogą w rysowaniu i zapamiętywaniu konkretnych nosów.

- Zdumiewające.

- Jest też oczywiście jedenaście typów nosów oglądanych od przodu. Proste albo pogrubione pośrodku, albo grube u nasady czy też na końcu... Ale zanudzam cię, Madonna.

- Ależ skądże. A nozdrza?

- Stanowią odrębną kategorię.

Z wysiłkiem powstrzymałam się od śmiechu. Po jakimś czasie zmieniłam temat na taki, który znacznie bardziej mnie interesował.

- Zatrzymałeś się, panie, w pałacu Medyceuszy. Jesteś więc bliskim przyjacielem rodziny.

- Tak bliskim, jak bliski może być ktoś z zewnątrz.

- Jak... jak radzą sobie synowie Wawrzyńca? Na jego czole pojawiła się drobna zmarszczka.

- Giovanni ma się dobrze, jak zawsze. Świat mógłby się zawalić, a na nim nie wywarłoby to wrażenia. Piero... Myślę, że Piero wreszcie zaczyna rozumieć powagę swojej sytuacji. Od lat wszyscy mówili mu o odpowiedzialności, a na nim spocznie po śmierci ojca. Teraz staje się to dla niego rzeczywistością.

- A Giuliano? - spytałam trochę nazbyt pośpiesznie. Leonardo zauważył to, spuścił

wzrok i uśmiechnął się ze smutkiem.

- Giuliano opłakuje ojca. Nikt nie był droższy sercu Wawrzyńca niż on.

- To bardzo dobry człowiek.

Twarz Leonarda wypogodziła się; przerwał pracę, węgiel w dłoni zawisł nad kartką.

- To prawda - rzekł i dorzucił lżejszym tonem: - Był bardzo zadowolony, kiedy usłyszał, że zamierzam wykonać zamówienie.

- Tak?

Uśmiechnął się, widząc moje kiepsko skrywane podniecenie.

- Tak. Myślę, że bardzo ceni sobie twoją przyjaźń, Madonna. Zarumieniłam się.

- Doskonale! - stwierdził. Węgiel pomknął po kartce. - Proszę dalej myśleć o tym, co teraz. Tylko o tym...

Siedziałam zdenerwowana i milcząca. Przyglądał mi się i rysował, potem znowu patrzył przez długą chwilę... I jakaś niepokojąca myśl sprawiła, że zaczerwienił się i spuścił

wzrok. Spojrzał na rysunek, ale go nie widział.

Coś jednak zobaczył. Coś, co rozpoznał. Dręczyło go to i unikał mojego spojrzenia, żeby nie zdradzić jakiegoś sekretu. W końcu odzyskał panowanie i zabrał się znowu do rysowania, aż wreszcie Zalumma oznajmiła:

- Już czas.

Wstałam i otrzepałam spódnice.

- Kiedy się znowu zobaczymy?

- Nie wiem - odparł. - Jutro muszę wracać do Mediolanu. Może do naszego następnego spotkania wykonam szkic, który mnie zadowoli. Jeśli tak, przeniosę go na deskę, żeby można było zacząć malowanie. - Jego głos stał się ponury. - Po śmierci Wawrzyńca...

dla jego synów nastąpiły trudne czasy. Jeśli sprawy dalej będą iść źle, możliwe, że przyjaźń z Medyceuszami przestanie być korzystna. Jeśli myślisz o... - Zawstydział się tego, że powiedział za dużo, i umilkł.

Zadrżałam i zmarszczyłam brwi; poczułam piekący rumieniec na policzkach.

Dlaczego mówił takie rzeczy? Czy sądził, że interesuję się Giulianem ze względu na osobisty zysk?

- Muszę już iść - oświadczyłam.

Zatrzymała mnie pewna myśl. Odwróciłam się i zapytałam:

- Dlaczego chcesz mnie namalować? Teraz on był zakłopotany.

- Myślałem, że już odpowiedziałem na to pytanie.

- Nie chodzi o pieniądze. Więc o co?

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz znowu je zamknął.

- Może robię to dla Giuliana. A może dla siebie - odparł w końcu. *Ukochana Lizo.*

*Piszę do Ciebie z dwóch powodów: po pierwsze, żeby dać Ci znać, że zamierzam zwrócić się do brata Piera, aby pozwolił mi poprosić Twego ojca o Twoją rękę. Oczywiście najpierw musi upłynąć stosowny okres żałoby*

*Teraz zaś mogę oficjalnie poprosić Cię o wybaczenie, że nie zjawilem się w wyznaczonym miejscu i porze. Wiem, jak musiało to być dla Ciebie ciężkie, i może nawet pomyślałaś, że już mi na Tobie nie zależy. W rzeczywistości jest całkiem przeciwnie.*

*Po drugie, muszę Ci podziękować. To, co powiedziałaś memu ojcu: o wszystkim tym, co uczynił dla dobra Florencji i ludzi, było pełne współczucia i mądre, i ojciec bardzo się wzruszył. Nawet najlepsza córka nie mogłaby zachować się wielkoduszniej i przynieść większego pocieszenia.*

*Niewiele osób brało pod uwagę szczerą intencję ojca, choć zawsze, nawet na łożu śmierci, myślał wyłącznie o innych. Kiedy przekonał się, że umiera, wezwał najbliższych przyjaciół i starał się ich pocieszyć, zamiast pozwolić im pocieszać siebie.*

*Był nawet na tyle wspaniałomyślny, że pozwolił hrabiemu Pice przyprowadzić do siebie mnicha Savonarolę. Niech Bóg mi wybaczy, lecz nie mogę nie czuć nienawiści do zakonnika, który złorzeczył ojcu za jego dobre uczynki. Patronat nad tyłoma artystami, popieranie Akademii Platońskiej, zapewnianie ubogim rozrywki, cyrków i parad - wszystko to pogaństwo, mówił Savonarola, i za nie mój ojciec będzie się smażył w piekle, jeśli nie okaże skruchy. Gdybym wiedział, że zamierza wygadywać takie rzeczy, nigdy nie pozwoliłbym mu na spotkanie.*

*Mały brzydki mnich powtórzył swoje okropne oskarżenia i jął nakłaniać ojca: „Żałuj za całą krew, którą rozlałeś!”*

*W odpowiedzi ojciec odwrócił twarz do ściany. Dopiero namowy moje i kilku strażników skłoniły zakonnika do usunięcia się sprzed jego oblicza. Jak mógł okazać się tak okrutny i nazwać ojca mordercą - ojca, który nigdy nie uniół broni, jeśli nie musiał się bronić?*

*Fra Girolamo zwrócił się wtedy do mnie i powiedział: „Mądrze byś uczynił, padając na kolana i*



*okazując skruchę, gdyż arogancja twoja i twoich braci wkrótce i tak cię do tego doprowadzi”.*

*Wtedy ojciec przywołał mnie do siebie, pośpieszyłem więc do jego boku. Mówił coraz bardziej nieskładnie. Zadawał w kółko jedno pytanie: „Proszę! - powiedział. - Proszę, powiedz mi, gdzie on jest?” Odparłem, że nie rozumiem, kogo ma na myśli, ale jeśli wymówi jego imię, sprowadzę tego człowieka natychmiast przed jego oblicze, on jednak tylko jęknął i rzekł: „Ach, Giuliano, po tych wszystkich latach zawiodłem cię!” Wkrótce potem jego stan się pogorszył i lekarze usiłowali podać mu następny płyn, którego nie mógł przełknąć. Zapadł w niespokojną drzemkę i zbudził się zdezorientowany i znacznie słabszy. Wołał mnie po wielokroć, lecz moja obecność nie przynosiła mu ulgi, nawet gdy trzymałem go za rękę i próbowałem pocieszyć. Potem znieruchomiał i ucichł, a w komnacie słychać było tylko jego wysiłony oddech; zdawał się czegoś nasłuchiwać.*

*Po pewnym czasie wreszcie to usłyszał, gdyż uśmiechnął się i z radością wyszeptał:*

*„Giuliano... Więc to jednak ty Bogu dzięki, że dotarłeś do brze-gu.*

*Wkrótce potem wyzionął ducha.*

*Teraz prześladowuje mnie podejrzenie, które nie daje mi spokoju. Doszedłem do przekonania, że wywar przepisany mojemu ojcu przez medyka podczas kilku ostatnich miesięcy znacznie pogorszył stan jego zdrowia.*

*Możesz mi wierzyć, że ta myśl nie zrodziła się jeno z żalu. Podejrzewam spisek uknuty w celu przyspieszenia śmierci ojca - a może nawet jej zadania. Moje podejrzenia potwierdza to, że lekarz ojca, Piero Leone, został znaleziony w studni dwa dni po śmierci ojca. Mówią, że popełnił samobójstwo z rozpaczy po śmierci pacjenta.*

*Signoria przegłosowała specjalne zarządzenie uprawniające mojego brata Piera do przejęcia obowiązków ojca, choć ma dopiero dwadzieścia lat. Piero jest teraz zrozpaczony i niepewny nie mogę go tedy obciążać sprawami mojego małżeństwa. Muszę być dla niego oparciem, a nie przysparzać mu dodatkowych trosk.*

*Mój żal jest tym dotkliwszy, że nie mogłem porozmawiać z Tobą na pogrzebie i że nie udało mi się spotkać z Tobą tamtego wieczoru w San Lorenzo.*

*Byłoby rozsądnie, gdybyś zniszczyła ten list; jeśli mamy wrogów, nie chciałbym, abyś kiedykolwiek stała się ich celem.*

*Wiedz, że zawsze będę Cię kochał i zwrócę się do Piera przy pierwszej stosownej okazji.*

*Zawsze Twój.*

*Giuliano*

W ciągu następnych kilku miesięcy, gdy wiosna zmieniła się w lato, moje życie stało się męką oczekiwania. Nie miałam żadnych wieści od Leonarda, nie otrzymałam żadnego listu ani pięknych szkiców z Mediolanu. Co gorsza, nie dochodziły do mnie żadne wieści od Giuliana.

Jego najstarszy brat stawał się w mieście tematem niezliczonych plotek. Piero skupiał

uwagę raczej na sportach i kobietach niż na dyplomacji i polityce. Od dawna już mówiono, że ojciec często rozpaczał nad jego arogancją i brakiem dowcipu.

Zwłaszcza co do arogancji Wawrzyniec miał rację. Zaledwie kilka miesięcy po śmierci *Il Magnifico* Piero zdołał zrazić do siebie dwóch najbliższych doradców ojca i większość członków Signorii. Sprawy pogarszał fakt, że jego matka Klarysa pochodziła z potężnego klanu Orsinich, którzy uważali się za ród książęcy, on sam zaś pojął za żonę Alfonsinę Orsini z Neapolu. Z tego względu uważano go za człowieka z zewnątrz -

Florentyńczyka zaledwie w jednej trzeciej, za to w dwóch trzecich samozwańczego księcia.

Savonarola umiejętnie wykorzystywał to w kazaniach, podburzając ubogich przeciw ciemnościom, choć dokładał starań, by nie wspominać Pjera z imienia. Wywołało to niechęć do Medyceuszy, po raz pierwszy ludzie na ulicach, a nawet w wielkich pałacach otwarcie wypowiadali się przeciw rodzinie.

Nie miałam już wymówek, by unikać kazań Fra Girolama. Znosiłam je bez szemrania w nadziei, że moje posłuszeństwo zmięczy serce ojca i sprawi, że nie odrzuci Giuliana jako kandydata do mej ręki. Dwa razy dziennie jeździłam do San Lorenzo i wysłuchiwałam żarliwych przemów małego dominikanina. Pod koniec lipca, gdy zmarł papież Innocenty, Savonarola uznał to za znak gniewu Bożego; w połowie sierpnia, gdy nowy papież wstąpił na stolicę Piotrowa, Fra Girolamo aż spąsował z oburzenia. Kardynał Rodri-go Borgia, teraz papież Aleksander VI, ośmielił się zamieszkać w Watykanie z trójką dzieci z nieprawego łoża: Cezarem, Lukrecją i Jofrem. Inaczej niż większość kardynałów i papieży w przeszłości nie nazywał ich swoimi siostrzeńcami i siostrzenicami, lecz bezczelnie domagał się, by uznano je za jego potomstwo. Krążyły też plotki o ladacznicach w pałacu papieskim, o orgiach i pijaństwie. Oto był dowód, że zbliża się dzień gniewu Bożego.

Zalumma siedziała obok mnie w kościele z przymkniętymi oczami i nieobecny wyrazem twarzy. Oczywiście nie rozmyślała nad słowami proroka, jak można by sądzić.

Wiedziałam, że w wyobraźni jest gdzieś indziej, może w ukochanych górach, które opuściła jako dziewczynka. Ja też byłam gdzie indziej. Wyobrażałam sobie willę w Castello i zebrane tam wspaniałości albo razem z *Il Magnifico* zwiedzałam we wspomnieniach jego gabinet, przypominając sobie blask wielkiego rubinu i gładką powierzchnię chalcedonowego pucharu Kleopatry.

Te wspomnienia krzepiły mnie, gdy słuchałam słów Savonaroli, krzepiły mnie, gdy co wieczór jadłam kolację z ojcem i hrabią Giovannim Pikiem, który pił o wiele za dużo wina i często wybuchał

płaczem. Ojciec zabierał go wtedy do gabinetu i rozmawiali tam po cichu do późnej nocy.

Nadeszła jesień, potem zima i nowy rok. I wreszcie Zalumma przyniosła mi potajemnie list z pieczęcią Medyceuszy, a we mnie, gdy go otworzyłam, szalała mieszanina desperacji i dzikiej radości.

Zaczynał się od słów *Madonna Liza* i wraz z tym oficjalnym zwrotem przysła moja nadzieja.

*Jestem u kresu wytrzymałości. Piero uparcie odmawia mi zgody na ślub z Tobą, szuka dla mnie żony, która poprawiłaby wizerunek rodziny i utwierdziła jego pozycję jako następcy ojca. Myśli tylko o polityce, a nie o miłości. Brat mój, kardynał Giovanni, obstaje, iż powinienem poślubić pannę z rodu Orsinich, i nie chce słyszeć o niczym innym.*

*Nie pozwolę na to. Piszę o tych sprawach nie po to, by Cię zniechęcić, lecz raczej wyjaśnić moje długie milczenie i zapewnić Cię o mojej rozpacz i uporze. Nie ożenię się z żadną inną. Niemożność zobaczenia się z Tobą nie ostudziła mojej namiętności, lecz przeciwnie, jeszcze ją roznieciła. Dniem i nocą myślę tylko o Tobie i o sposobie, dzięki któremu moglibyśmy być razem. Postawiłem sobie za cel znaleźć ów sposób.*

*Będę z Tobą wkrótce, umiłowana. Nie trać we mnie wiary.*

*Giuliano*

Upuściłam list na kolana i rozplakałam się bezradnie. Nie wierzyłam już ani w Bożą opatrzność, ani w niemiłosierne nauki Savonaroli, ani w to, że Giuliano może uciec przed wymaganiami obowiązku i pozycji. Byłam tylko córką handlarza wełną, którą nie wiedzieć czemu zainteresował się Wawrzyniec, a jego syn obdarzył młodzieńczym uczuciem, które bez wątpienia minie z upływem czasu.

Chciałam spalić list w płomieniu świecy, rozedrzeć go na tysiąc kawałków, wyrzucić je w powietrze i patrzeć, jak opadają na posadzkę niczym drobiny kurzu.

Ale - o, głupia - złożyłam go starannie i schowałam z innymi pamiątkami: z medalem wybitym po śmierci Giuliana i tym drugim, z podobizną Kośmy oraz herbem Medyceuszy, z moim portretem narysowanym przez Leonarda i jego listem, i z listami samego Giuliana, włącznie z tym, który przecież wyraźnie radził mi spalić.

Rok 1493 - rok po śmierci Wawrzyńca, pierwszy rok rządów Piera - okazał się dla mnie ponury. Zaczęły mi się krwawienia miesięczne.

Czyniłam wszystko, co można, aby ukryć ten fakt przed ojcem, przekupiłam praczkę, by nie wspominała o poplamionej bieliźnie. Mimo to ojciec i tak ją mówił o kandydatach na męża. Dotrzymał obietnicy, którą złożył matce, powiadał. To nie jego wina, że Wawrzyniec zmarł, zanim zdążył mnie wyswatać. A mojego losu z pewnością nie można powierzyć temu głupcowi Pierowi, który już okazał się bezużyteczny jako florencki pośrednik matrymonialny: skojarzył kilka par, wywołując oburzenie starych szlacheckich rodzin. Nie, ojciec miał na oku mężczyznę szanowanego i o dobrej pozycji w towarzystwie, ale jednak pobożnego, a gdy nadejdzie właściwa pora, przyjmie go jako mojego konkurenta.

Na szczęście byłam wciąż za młoda i ojcowskie przemówienia o mężu pozostały tylko przemówieniami. Wiedziałam, że w gruncie rzeczy ojciec mnie kocha i bardzo tęskni za matką. Byłam jedyną osobą, która go z nią łączyła, uważałam więc, że niechętnie pozbawiłby się mojego towarzystwa.

W tym samym roku legenda o *papa angelico* - papieżu nie z tego świata, wybranym przez Boga, a nie ludzi - stopiła się z inną starą przepowiednią, o nadejściu drugiego Karola Wielkiego, który oczyści Kościół. Władca ten miał potem zjednoczyć chrześcijański świat pod duchowym przywództwem *papa angelico*.

Sprawę komplikował fakt, że król Francji nazywał się Karol i że słuchał podobnych legend, biorąc je sobie do serca. Co gorsza, upatrzył sobie Neapol, uznawszy, że południowe nadmorskie królestwo prawnie mu się należy. W końcu zostało ono wyrwane z rąk francuskich zaledwie pokolenie wcześniej przez ojca starego króla Ferrante, Alfonsa Mądrego. Arystokraci wierni Francji nadal zamieszkiwali to miasto i chętnie chwyciliby za broń w imieniu swego prawdziwego suwerena, Karola.

Savonarola uchwycił się tych idei, stapiając je ze swą świętą wizją. Był na tyle bystry, by nigdy nie dawać wprost do zrozumienia, że to on jest anielskim papieżem, lecz zaczął

głosić, że Karol uosabia karzący miecz Pana. Król Francji jest biczem Bożym, który sprowadzi na Italię zniszczenie i powali ją, skruszoną, na kolana; wierni powinni go powitać z otwartymi ramionami.

Możliwe, że najbardziej oddani wyznawcy Fra Girolama z utęsknieniem czekali na najazd obcego władcy, lecz wszyscy, których znałam, byli oburzeni podobną myślą. Zawisło nad nami poczucie nadciągającej katastrofy.

Pod koniec roku wszyscy we Florencji mieli świadomość, że Karol planuje atak na Neapol na nadchodzący czerwiec.

- O, Panie - wołał prorok podczas jednego z adwentowych kazań - postąpiłeś z nami jak zagniewany

ojciec; wzbronileś nam Swej obecności. Przyspiesz karę za grzech, byśmy tym rychlej zjednoczyli się z Tobą! - Mówił o arce, do której powinni wejść pokutnicy, aby uniknąć nadciągającego zniszczenia. I każde kazanie kończył słowami: *Cito! Cito!* - „Prędko, prędko!”, ponaglając wiernych, by szukali schronienia, póki nie jest za późno.

Wraz z upływem roku i nadejściem wiosny roku 1494 pojawiła się jednak, przynajmniej dla mnie, nowa nadzieja. Długo po tym, jak zrezygnowałam z ujrzenia Giuliana, Zalumma przyniosła następny list, opatrzony woskową pieczęcią Medyceuszy.

*Najukochańsza Lizo.*

*Być może teraz uwierzysz, że na moim słowie można polegać. Nie poddałem się i oto rezultat: mój brat Piero w końcu wyraził zgodę, bym mógł poprosić o Twoją rękę. Raduje się moje serce, ziemia stała się dla mnie rajem.*

*Mam nadzieję, że moje długie milczenie nie doprowadziło Cię do zwątpienia w głębię uczuć, jakie żywię do Ciebie, i modłę się do Boga, by Twoje uczucia do mnie okazały się równie niezmiennie. W dobrej wierze muszę Cię wszak przestrzec: my, Medyceusze, słyszymy narzekania i niesprawiedliwe oskarżenia Piera. Uczucia ludu odwróciły się od nas, jeśli więc Twój ojciec i Ty przyjmiecie moje oświadczyzny, miej świadomość, że możesz związać się z rodziną, której wpływy słabną. Piero jest przeświadczony, że wszystko będzie dobrze, lecz obawiam się, że może być inaczej. Niedawno otrzymał list od posłów Karola, który domaga się swobodnego przejścia dla francuskich wojsk przez Toskanię, a także broni i żołnierza.*

*Piero wie, że nie może dać jasnej odpowiedzi; poprzez więzy rodzinne jest zobowiązany do sojuszu z Neapolem, a papież Aleksander wydał bullę uznającą Alfonsa Kalabryjskiego władcą tego południowego królestwa. Jego Świątobliwość zagroził również, że odbierze naszemu bratu Giovanniemu beneficja kardynalskie, jeśli Piero nie stanie po stronie Neapolu w obronie przed najazdem Karola.*

*Jednak każdy członek Signorii na mocy prawa musi złożyć przysięgę, że nigdy nie podniesie broni przeciwko Francji, a pomyślność Florencji zawsze zależała od handlu z Francuzami. Tak więc mój najstarszy brat znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Sprawę komplikuje fakt, że doradcy dają mu sprzeczne rady Pokaż ludziom, że wszystko jest w porządku, mówi mu jeden, i brat kopie piłkę na ulicy i rozgrywa mecz na oczach ludzi, aby wywołać wrażenie, że życie toczy się jak zwykle. I jaki jest tego skutek? Błazen, szyszka obywatela, zuccone, z dynią zamiast głowy*

*Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Piero padł ofiarą zorganizowanych starań, by zdyskredytować i obalić nasz ród.*

*Rozważ to wszystko, ukochana, i daj mi odpowiedź. Napisz, czy Twoje uczucia wobec mnie nie uległy zmianie. Jeśli nie, przybędę do Ciebie! Gdy tylko otrzymam zgodę na wizytę u Twego ojca, powiadomię Cię o dniu i godzinie.*

*Liczę chwile do naszego następnego spotkania. Moje szczęście spoczywa teraz w Twoich rękach.*

*Bez względu na odpowiedź pozostanę na zawsze Twój*

*Giuliano*

Upuściłam list na kolana i uniosłam dłonie do rozpalonych policzków. Zalumma stała oczywiście nade mną, niecierpliwie czekając, co powiem.

Popatrzyłam na nią posepnie i zdumionym głosem oznajmiłam:

- Przybędzie tu, by poprosić o moją rękę.

Przez dłuższą chwilę patrzyłyśmy na siebie szeroko otwartymi oczami, a potem padłyśmy sobie w ramiona, chichocząc jak dzieci.

Odpowiedziałam Giulianowi natychmiast. Tak wielka była moja nadzieja, że wyparłam z pamięci ojcowskie pomstowania na Medyceuszy i groźbę, że wyda mnie za człowieka bogobojnego. Zamiast tego uczepliłam się złożonej przez Giuliana obietnicy, że znajdzie sposób, by doprowadzić do zgody. Był w końcu synem II Magnifico, biegłym w dyplomacji i sztuce kompromisu. Ufałam, że uda mu się to, co niemożliwe. A ponieważ sama byłam słaba w dyplomacji - zwłaszcza wobec ojca - trzymałam język za zębami i nie powiedziałam mu o zamiarach Giuliana.

Tymczasem nadszedł Wielki Post. W piątek Savonarola wstąpił na ambonę. Obwieścił, że „nowy Cyrus” szykuje się do przekroczenia Alp - oczywiście nie perski król z dawnych czasów, tylko Karol, który musiał to uczynić w drodze do Italii.

Wcześniej lud spoglądał na Fra Girolama z nabożną trwogą, teraz widział w nim półboga, który dwa lata wcześniej przepowiedział „kłopoty z Francją”, o jakich wszyscy ostatnio mówili.

- Bóg jest jego przewodnikiem - oznajmił Savonarola, mając na myśli „nowego Cyrusa”. - Twierdze upadną przed nim i żadna armia nie będzie w stanie go zatrzymać. Ten, co dziś przewodzi Florencji, będzie się zachowywał jak człowiek pijany, czyniąc wszystko na opak. - W ten sposób skrytykował Piera, kaznodzieja wziął się do papieża: - Z twojej winy, Kościele, zbiera się ta burza! - Potem znowu mówił o arce, gdzie powinni schronić się wierni przed nadchodzącym potopem, i zakończył kazanie okrzykiem: Ci to/ *Cito!* Prędko!

W tym czasie król Karol przeniósł dwór z Paryża na południe, do Lyonu -

niebezpiecznie blisko Toskanii. W dusze Florentynczyków wkraść się niepokój; nawet ci, którzy wcześniej drwili z Fra Girolama, teraz zaczęli go słuchać.

Parę tygodni przed Wielkanocą, szarego, pochmurnego poranka, Zalum-ma i ja wróciliśmy z targu wcześniej niż zwykle; lekka mżawka wisiała w powietrzu, osiadając na mojej twarzy i włosach. Ojciec oświadczył wcześniej, że w czasie Postu odmówi sobie nie tylko mięsa, lecz i ryb, a ponieważ wszyscy musieliśmy go naśladować, nie było potrzeby, bym odwiedzała rzeźnika i sprzedawcę ryb.

Kiedy powóz zatrzymał się na dziedzińcu, spostrzegłam drugi pojazd, z herbem Medyceuszy na drzwiczkach. Nie stał tam długo, piękne białe konie wciąż sapały ciężko po podróży na drugi brzeg rzeki. Woźnica na koźle uśmiechnął się przyjaźnie na powitanie.

- Niech Bóg ma nas wszystkich w opiece! - mruknęła Zalumma. Wsiadłam z karocy i poleciłam naszemu woźnicy, żeby zaniósł zakupy do kuchni. Byłam zła na ojca, że przyjmuje kandydata do mojej ręki właśnie wtedy, kiedy miało mnie nie być w domu. Równocześnie zaskoczyło mnie to, że w ogóle zgodził się z nim rozmawiać. Obudziło to we mnie nadzieję, że Giuliano zdoła przekonać nie tylko brata, lecz również mego ojca.

Gniew przerodził się w przerażenie, gdy uświadomiłam sobie, jak wyglądam. Aby udobruchać ojca, nabrałam zwyczaju ubierania się w skromne, ciemne szaty i nawet zgodnie z dawną tradycją nosiłam

na szyi topaz, kamień, który miał ponoć właściwość gaszenia płomieni Erosa i pomagał dziewczicom zachować czystość. Tego dnia włożyłam ciemnobrazową wełnianą suknię z małym dekoltem, która dobrze pasowała do naszyjnika z topazem: wyglądałam zupełnie jak nabożna *piangona*. Woal z czarnej jedwabnej siateczki nie zdołał ochronić włosów przed wilgocią i teraz wyglądały spod niego niesforne skręcone kosmyki.

Chwyciłam Zalummę za rękę.

- Musisz usłyszeć ich rozmowę! Idź!

Nie potrzebowała dalszych namów i rzuciła się biegiem przed siebie. Wolnym krokiem, by zachować choć resztki elegancji, ruszyłam do domu.

Drzwi do głównej komnaty stały otworem, co stanowiło jeszcze jeden dowód na to, że nie spodziewano się mojego przybycia.

Usłyszałam spokojny i poważny ton ojca i od razu mi ulżyło: obawiałam się, że będzie zły. Kiedy mijałam otwarte drzwi, zerknęłam do środka.

Gdybym bardziej nad sobą panowała, możliwe, że poszłabym dalej, ale zatrzymałam się, by spojrzeć na Giuliana. Z szacunku dla mojego ojca ubrał się w pozbawioną zdobień niebieską wełnę i opończę tak ciemnej granatowej barwy, że zdawała się niemal czarna. Nie widziałam go od miesiący, od pogrzebu jego ojca. Urósł i zmężniał od tamtej pory. Był

wyższy, jego twarz stała się bardziej pociągła i kanciasta, barki i plecy szersze. Z ulgą stwierdziłam, że ojciec przyjął go jak należy, częstując winem i jadłem.

Giuliano spojrział na mnie i rozpromienił się tak, że zaparło mi dech.

- Lizo - zawołał ojciec. Przez jedną szaloną chwilę myślałam, że zaprosi mnie do środka, ale powiedział sucho: - Idź do swoich komnat.

Jak odrętwiała ruszyłam po schodach na górę. Słyszałam, jak Zalum-ma pyta, czy ser Antonio życzy sobie więcej wina. Będzie moimi oczami i uszami, lecz mało mnie to pocieszało. Wróciłam do pokoju, nie mogłam jednak usiedzieć w miejscu i wyszłam na korytarz. Nie słyszałam, co działo się na dole - głosy były zbyt ciche, by cokolwiek zrozumieć. Bezradnie patrzyłam przez okno na woźnicę i wspaniałe konie.

Ciche głosy to dobry znak, wmawiałam sobie. Giuliano, utalentowany dyplomata, znalazł sposób, by przemówić ojcu do rozsądku.

Męczyłam się tak przez kilka minut, zanim wreszcie zobaczyłam Giulia-na wyłaniającego się z naszej loggii i idącego przez dziedziniec.

Otworzyłam okno i zawołałam go po imieniu.

Odwrócił się i podniósł na mnie wzrok. Dzieląca nas odległość była nazbyt duża, żebyśmy mogli



rozmawiać, wystarczył jednak rzut oka, bym wiedziała wszystko.

Był przybity. Mimo to uniósł rękę w powietrze, jakby po mnie sięgał, a potem przycisnął ją do serca.

Zrobiłam rzecz oburzającą, niewybaczalną: uniosłam wysoko spódnicę i zbiegłam po schodach na złamanie karku, gotowe zatrzymać Giuliana, wsiąść z nim do karocy i odjechać z domu, w którym się urodziłam.

Może bym i zdążyła - lecz ojciec właśnie wyszedł z komnaty, gdzie przyjmował

gościa, i zorientowawszy się, dokąd pędzę, stanął w drzwiach i zagroził mi drogę.

Uniosłam ręce, żeby go uderzyć - a może po prostu zepchnąć z drogi. Złapał mnie za nadgarstki.

- Lizo, czyś oszalała? - Był szczerze zdumiony.

- Puszczaj! - krzyknęłam zgnębiona, słysząc, jak powóz Giuliana jedzie z łoskotem ku bramie.

- Skąd wiesz? - Ton ze zdziwionego zmienił się w oskarżycielski. - Skąd wiesz, po co przyjechał? Skąd przypuszczenie, że nie chodziło po prostu o interesy? I jak to się stało, że tak się w nim zadurzyłaś? Okłamywałaś mnie, ukrywałaś coś przede mną! Czy wiesz, jakie to niebezpieczne?

- Jak mogłeś go odrzucić, widząc, że tak się kochamy? Kochałeś mamę! Jakbyś się czuł, gdyby ci jej odmówiono? Gdyby jej ojciec odprawił cię z niczym? Czy moje szczęście wcale cię nie obchodzi?

Zamiast podnieść głos, żeby mnie przekrzyczeć, zniżył go prawie do szeptu.

- Przeciwnie - rzekł. - Twoje szczęście leży mi szczególnie na sercu... i właśnie dlatego go odprawiłem. - Potem zniecierpliwił się i wybuchnął: - Nie słyszysz niezadowolenia na ulicach? Medyceusze ściągnęli na siebie gniew Boży i gniew ludu. Gdybym oddał im swoją córkę, naraziłbym ją na wielkie niebezpieczeństwo. Przyjazd króla Francji, z biczem bożym, jest tylko kwestią czasu. Co wtedy stanie się z Pierem i jego braćmi? Dwa razy dziennie chodzisz ze mną na msze. Jak to się stało, że nie słyszałaś nic z tego, co mówi Savonarola?

- Fra Girolamo nie wie nic - odparłam zapalczywie. - Giuliano to dobry człowiek, pochodzi z rodziny dobrego człowieka i pewnego dnia wyjdę za niego!

Zamachnął się tak szybko, że nawet nie zauważyłam, jak to robi; chwilę później trzymałam się za piekący policzek.

- Niech Bóg mi wybaczy - powiedział równie jak ja zaskoczony swoim czynem. -

Niech Bóg mi wybaczy, ale sprowokowałaś mnie. Jak możesz mówić o małżeństwie z Medyceuszem? Nie słyszałaś, co mówi o nich prorok? Nie słyszałaś, co mówią ludzie?

- Słyszałam - odparłam opryskliwie. - Nic mnie nie obchodzi, co ty, Fra Girolamo i lud sobie myślicie.

- Przerażasz mnie - pokręcił głową. - Boję się o ciebie. Boję się, co z tobą będzie. Ile razy mam ci powtarzać? Wchodzisz na niebezpieczną ścieżkę, Lizo. Bezpieczeństwo zapewni ci tylko Fra Girolamo. Schronienie znajdziesz jedynie w Kościele. - Westchnął z udręczoną miną. - Będę się za ciebie modlił, dziecko. Cóż jeszcze mogę uczynić?

- Módl się za nas oboje - powiedziałam bezczelnie, po czym odwróciłam się dumnie i pobiegłam na górę do swojej komnaty.

Zalumma nie zdołała usłyszeć całej rozmowy między ojcem a Giulia-nem, ale usłyszała dość, by wiedzieć, że w jej trakcie ojciec odrzucił propozycję przekazania mu ziemi oraz dziesięciu tysięcy florenów. Kiedy Giuliano zapytał w końcu, na jaką ofertę ojciec przystanie i jak on sam ma udowodnić szczerłość swoich zamiarów, ojciec odparł:

- Wiesz, ser Giuliano, że jestem zwolennikiem Fra Girolama.

- Wiem - przyznał Giuliano.

- Rozumiesz więc, panie, powody, dla których odmawiam, i nigdy nie ustąpię w tej sprawie.

Powiedziawszy to, ojciec wstał i oświadczył, że to koniec rozmowy.

- Ale - zwierzyła mi się Zalumma - widziałam oczy ser Giuliana i jego zaciśnięte zęby. Jest taki sam jak jego stryj, nigdy się nie podda. Nigdy.

Wiosną i latem nie porzucałam nadziei. Byłam przekonana, że Giuliano znowu się do mnie odezwie.

Gdy dalecy kuzyni Piera, licząc na wdzięczność i dary z Francji, uknuli przeciw niemu spisek, powiedziałam sobie, że już nic gorszego zdarzyć się nie może. Kiedy zaś Piero w wielkodusznym geście, który miał na celu uciszenie jego krytyków, i unikając błędu Wawrzńca z Pazzimi ukarał spiskowców tylko aresztem domowym, poczułam wielką ulgę.

Kryzys został zażegnany, ludzie z pewnością przestaną teraz krytykować każdy krok Piera.

Florencja była jednak okrutnie zmienna. Tak samo kiedyś wyгнаła przecież Petrarke i Dantego, których teraz czciła jako swych największych synów. Piera uznano za słabeusza.

Razem z ojcem i hrabią Giovannim - który coraz bardziej słabł i chorował -

wysłuchałam wielkanocnego kazania Savonaroli. Powiedział, że przekazał już wieści od Boga najlepiej, jak umiał, i że to kazanie będzie ostatnim, jakie wygłosi, aż Bóg wezwie go znowu na ambonę. Musiałam się bardzo starać, żeby nie uśmiechnąć się z widoczną ulgą.

Niechaj wszyscy śpieszą do arki Bożej, powiedział.

- Noe zaprasza was dzisiaj, drzwi stoją jeszcze otworem, lecz nadejdzie czas, gdy się zatrzasną, i wielu pożałuje, że nie weszli.

Nie miałam zamiaru ani wchodzić, ani żałować. Przeciwnie, cieszyłam się, że los oszczędził mi kolejnych fanatycznych kazań Fra Girolama. Nadal chodziłam na mszę dwa razy dziennie - w towarzystwie Zalummy i ojca, ale, na szczęście, nie obłudnego Pica - do kościoła Santo Spirito, gdzie pochowano moją matkę. Pamięć o niej przynosiła mi spokój, a Bóg był kochający i sprawiedliwy, bardziej zainteresowany zbawianiem dusz i niesieniem pomocy chorym niż

dręczeniem grzeszników.

Do udręki nie potrzebowałam żadnego bóstwa, wystarczyło mi własne serce. Pewnego wieczoru po kolacji w zaciszu swej komnaty skreśliłam matczynym piórem pojedynczą linijkę. Podpisawszy się, starannie złożyłam kartkę dwa razy na pół i zapieczętowałam lakiem.

Podalam list Zalummie.

Stała z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Wyglądała imponująco z rozczesanymi kręconymi czarnymi włosami, tworzącymi puszystą, rozwichrzoną aureolę wokół twarzy, która w blasku świecy nabrała barwy księżyca.

- To już nie takie łatwe - rzekła.-Twój ojciec bacznie mnie obserwuje.

- W takim razie ktoś inny może pójść do Palazzo Medici. Nie interesuje mnie, jak to zrobisz, byle skutecznie.

- Najpierw musisz mi powiedzieć, co w nim jest.

Gdyby to był ktoś inny niż Zalumma, która z takim oddaniem opiekowała się matką w chorobie i była obok mnie przy jej śmierci, natychmiast upomniałabym ją, że jako niewolnica zachowuje się zdumiewająco imper-tynencko. Westchnęłam, opuściłam ramiona w geście kapitulacji, a potem powtórzyłam słowa, które przez tak wiele nocy nie dawały mi zasnąć.

- Daj mi znak i sposobność, a przybędę do ciebie.

Było to okropne, po prostu skandaliczne: obyczaj wymagał, by przed ślubem na każde widzenie uzyskać zgodę ojca. Narażałam się na potępienie nie tylko ludzi, lecz również samego Giuliana.

Siedziałam i czekałam z rezygnacją na tyradę Zalummy.

Na próżno. Przyglądała mi się w milczeniu przez dłuższą chwilę. A potem powiedziała łagodnie:

- Oczywiście zabierzesz mnie ze sobą.

Wzięła list i wsunęła go za dekolt. Wyciągnęłam rękę i uściśnęłam jej dłoń. Nie uśmiechnęłyśmy się, sprawa była zbyt poważna. Gdyby ojciec *ex post facto* odmówił zgody na małżeństwo, stałabym się w oczach świata tylko metresą.

*Najdroższa Lizo.*

*Twój list wzruszył mnie do fez. Fakt, że dla mnie zechciałaś narazić się na hańbę, budzi we mnie pokorę i chęć stania się godnym Ciebie człowiekiem.*

*Teraz jednak nie mogę pozwolić, byś do mnie przyszła.*

*Nie myśl, proszę, że kiedykolwiek porzucę Ciebie albo naszą miłość; jesteś dla mnie zawsze*

*najważniejsza. Musisz jednak zdawać sobie sprawę, iż nawet ten jeden list do mnie wystawił Cię na niebezpieczeństwo. To zaś dręczy mą duszę jeszcze bardziej niż rozłąka, którą musimy znosić.*

*Bez wątpienia słyszałaś o próbie obalenia rządów Piera przez naszych kuzynów Lorenza i Giovanniego. A teraz nasza sytuacja jeszcze się pogorszyła. Nie dalej jak dziś Piero otrzymał list od ambasadorów w Lyonie. Król Karol odmówił im gościny i właśnie wracają do Toskanii. Nasi bankierzy także zostali wydalen.*

*Czy moja miłość osłabła! Przenigdy! Nie mogę wszelako znieść myśli, że się dla mnie narażasz. Bądź cierpliwa, niech upłynie trochę czasu, niech rozwiąże się sprawa z królem Karolem. Daj mi też czas na zastanowienie się, jak udobruchać Twego ojca, gdyż nie mogę Cię prosić o oddanie mi się w tak nieszczęśliwych okolicznościach, choć jednocześnie jestem do głębi wzruszony tym, że byłabyś na to gotowa. Jesteś silną kobietą, mój ojciec byłby z Ciebie bardzo dumny*

*Kiedy będę pewien Twego bezpieczeństwa, dam Ci znać.*

*Na razie pozostaję*

*Na zawsze Twój.*

*Giuliano*

Nie odpowiedziałam mu, nie mogłam. Czemu bowiem mogłoby służyć to, że dałabym wyraz cierpieniu i rozgoryczeniu, a nawet złości, że mnie do siebie nie zaprosił? Cóż polityka ma wspólnego z miłością?

Późne lato dawało się Florentyńczykom we znaki. Nadeszły upały. Mnóstwo zdechłych ryb unosiło się brzuchami do góry na falach Arno, gnijące szczątki srebrzyły się w słońcu, a fetor unosił nad miastem. Był to odór śmierci, jak mówili bogobojni mieszkańcy, maszerującej na południe przez Alpy. Choć prorok zamilkł, coraz większe rzesze obywateli, nawet tych szlachetnie urodzonych, nawracały się na jego nauki i zaczęły ubierać w skromne szaty. Czerń, ciemne szarości i brązy królowały na ulicach, zniknęły intensywne granaty i fiolety, radosne szafrany i bogate szkarłaty.

*Chrońcie się w arce... Cito, citol*

W ludzkich umysłach zagościła trwoga. Pozbawieni Savonaroli, który przekazałby im boskie zamiary, zalęknionym szeptem rozmawiali o złowróżbnych znakach: o chmurach w pobliżu Arezzo, układających się w postaci konnych rycerzy z uniesionymi mieczami, o zakonnicy z Santa Maria Novella, która podczas mszy doznała objawienia i ukazał jej się ogniście czerwony byk rozbijający rogami kościół, o straszliwej burzy w Puglii, gdy błyskawice oświetliły w mroku niejedno, lecz trzy słońca na niebie.

Ojciec najwyraźniej zapomniiał zarówno o oświadczeniach Giulianajak i o planach wydania mnie za jednego *zpiangoni*. Zrobił się jeszcze bardziej zatroskany i roztargniony.

Według Załummy Medyceusze nie kupowali teraz od niego wełny, zrywając więź handlową, która trwała od czasów Kośmy Medyceusza i mojego pradziada. Interesy szły kiepsko: choć wełna nadal

cieszyła się powodzeniem lepiej sytuowanych *piangoni*, ojciec nie mógł już znaleźć nabywców na jaskrawo barwione tkaniny, a i te o zgaszonych kolorach było coraz trudniej sprzedać, gdyż ludzie niechętnie wydawali pieniądze na garderobę w niepewnych czasach.

Dręczyły go również inne sprawy, które pozostawały dla mnie tajemnicą. Wczesnie rano chodził na mszę do Santo Spirito, potem udawał się do swojego kramu i wracał do domu wieczorem; byłam przekonana, że bierze udział w wieczornych nabożeństwach w Duomo albo San Marco, najprawdopodobniej spotykając się tam z hrabią Giovannim. Nigdy jednak o tym nie mówił, gdy wracali do domu późno, nie dbając już o to, czy powitam ich przy stole, czy nie.

Do sierpnia król Karol zmobilizował wojska i przekroczył Alpy: zwycięski Cyrus rozpoczął niepowstrzymany marsz w kierunku Toskanii. „Co zamierza uczynić Piero de Medici, aby zaradzić kłopotom?” - dopytywali się ludzie. Mój ojciec prychał z dezaprobatą:

„Ugania się za piłką i dziewczkami, jak Neron gra, gdy Rzym płonie”.

Powszechna histeria rosła przez cały wrzesień. Miasteczko Rapallo na wschodnim wybrzeżu, na południe od Turynu i Mediolanu, zostało zniszczone i splądrowane przez najemników, którzy szli razem z Francuzami. Żołnierze ci w niczym nie przypominali naszych włoskich *condottieri*, którzy bez skrupułów zagarniali łupy i niszczyli uprawy, ale oszczędzali ludzi. Nie, te oddziały składały się z budzących postrach Szwajcarów, którym nie wystarczały zagrabione bogactwa: łaknęli też krwi. I zaiste przelewali ją w wielkiej obfitości, mordując każdą żywą istotę napotkaną po drodze. Niemowlęta ssące matczyne piersi nadziewano na włócznie, brzemiennie niewiasty obdzierano żywcem ze skóry. Odrąbывano głowy i kończyny. Rapallo zmieniło się w makabryczne cmentarzysko niepochoowanych trupów, stosy gnijących ciał prażyły się w słońcu.

Wszyscy we Florencji oszaleli z trwogi, nawet ojciec, przedtem tak ochoczo czekający na koniec świata, teraz zaczął się bać. Ludność szukała pocieszenia nie u Piera Medyceusza i Signorii, lecz u jedyne go człowieka, który sprawował w mieście rząd dusz: u przeora klasztoru San Marco, Savonaroli. W obliczu powszechnych próśb i błagań Fra Girolamo zrezygnował z narzuconego sobie milczenia i zgodził się wygłosić w Duomo kazanie w dzień świętego Mateusza.

Wiedząc, że zbiorą się tłumy, przyjechaliśmy na Piazza del Duomo o brzasku, gdy słońce stało jeszcze nisko nad horyzontem, a świat skąpany był w szarości. Na niebie było pełno sinych chmur zwiastujących deszcz.

Wszędzie, na schodach do kościoła, w ogrodzie, na placu, stłoczyły się tak nieprzebrane rzesze, że woźnica nie mógł wjechać powozem na sam plac. Zalumma, ojciec i ja musieliśmy wysiąść i przedzierać się do katedry pieszo.

Na chrześcijańskie miłosierdzie nie było co liczyć. Ojciec, silny mężczyzna, bez pardonu, a czasem wręcz brutalnie, przepychał się przez tłum, wymuszając przejście dla mnie i Zalummy.

Przedarcie się ze skraju placu do katedry zajęło nam prawie godzinę. Gdy tylko ojciec został rozpoznany, zaczęto nas traktować jak honorowych gości: eskorta dominikanów przeprowadziła nas przez ostatnią część drogi, aż pod samą ambonę. Mimo tłumów w kościele pozostawiono ławy i

mieliśmy zarezerwowane miejsca.

Tam czekał już na nas hrabia Giovanni Pico. Jego wygląd zaskoczył mnie. Odwiedzał

nasz dom prawie co wieczór przez kilka ostatnich miesięcy, lecz ja zawsze go unikałam. Teraz zobaczyłam, że zestarzał się bardziej, niż wskazywałby jego wiek: zmizerniał, skóra na jego twarzy stała się szara. Opierając się ciężko o laskę, usiłował wstać, gdy nas ujrzał, lecz członki trzęsły mu się tak bardzo, że porzucił ten zamiar. Ojciec usiadł obok niego i we dwóch jęli szeptać między sobą z ożywieniem. Za nimi dostrzegłam znajomą twarz Michała Anioła. Odziany w dobrze skrojone czarne szaty, najwyraźniej przystał do *piangoni*; surowość jego ubioru podkreślała ciemną barwę oczu i włosów, wysokie blade czoło i słabo rozwiniętą szczękę. Widząc mnie, spuścił głowę, jakby się wstydził.

Nie umiem powiedzieć, jak długo czekaliśmy na rozpoczęcie mszy; wiem tylko, że odmówiłam wiele modlitw za Giuliana. Obawiałam się o jego życie znacznie bardziej niż o własne.

W końcu pojawiła się procesja. Dym kadzideł uniósł się w powietrzu. Kongregacja, chór, nawet ksiądz zdawali się nim oszołomieni. Kolejne części mszy traktowano bez przekonania, mamrocząc odpowiedzi i nie słysząc ich ani nie zastanawiając się nad ich znaczeniem. Myśli wiernych skupiały się wyłącznie na jednym: pojawieniu się proroka.

Nawet ja - grzesznica, sceptyczka, wielbicielka Medyceuszy i ich pogańskiej sztuki -

nie mogłam oprzeć się ogólnej atmosferze oczekiwania. Kiedy prorok wspiał się wreszcie po schodkach na ambonę, zarówno ja, jak i Pico, ojciec, Zalumma, i wszyscy inni w katedrze, włącznie z księdzem, wstrzymaliśmy oddech. Cisza, która zaległa, zdawała się wprost niemożliwa, jeśli zważyć, że tysiąc ludzi siedziało ramię przy ramieniu w świątyni, a za jej murami, na schodach i na placu, stało ich kilka razy więcej. Jedynym dźwiękiem, jaki się rozległ, gdy Savonarola toczył wzrokiem po zebranych, był odległy grzmot pioruna.

Po miesiącach odosobnienia i postu Fra Girolamo wyglądał upiornie blado, wydatne kości policzkowe, sterczały bardziej niż zwykle i robiły wstrząsające wrażenie. Tego dnia w jego szeroko otwartych oczach nie było pewności ani poczucia racji, a tylko gorączka i żal.

Wystająca dolna warga drżała, jakby usiłował powstrzymać łzy. Przygiął kark, kurczowo zacisnął dłonie na poręczach, jakby dźwigał ciężar ponad siły.

Słowa, które miał wygłosić, były dla niego straszliwym brzemieniem. Kościstymi palcami przecesał czarne zmierzwiłone włosy, a potem chwycił je w garści i jęknął głucho.

Długa cisza, która nastąpiła, była przeszywająca. Ostatnio prorok opowiadał nam historię Noego, wzywał do schronienia się w bożej arce przed nadciągającym potopem. Co powie teraz?

Wreszcie otworzył usta i wykrzyknął rozdzierającym serce, wibrującym głosem:

- *Ecce ego adducam aquas super terram.* „Oto sprowadzam powódź na ziemię”.

W ogromnej katedrze rozległy się krzyki. Mężczyźni i kobiety wokół nas mdleli i osuwali się z ław na posadzkę. Zalumma złapała mnie za rękę i uścisnęła tak mocno, że zabołało, jakby w ten sposób przywoływała mnie do porządku: Nie daj się w to wciągnąć. Nie daj się temu szaleństwu!

Po prawej ojciec i Pico zaczęli płakać - ojciec cicho, Pico głośno i spazmatycznie. Nie byli odosobnieni, wkrótce kościół wypełniły płaczliwe i żalosne skargi.

Nawet prorok nie mógł się dłużej powstrzymać. Zakrył rękami szpetną twarz i zaszlochał, wstrząsany spazmem rozpacz.

Upłynęło kilka chwil, zanim Fra Girolamo i jego słuchacze zdołali się opanować; co powiedział później, nie pamiętam. Wiem tylko, że po raz pierwszy pomyślałam, iż Florencja, którą znam, może zniknąć - a wraz z nią, Giuliano.



Tamtej nocy, kiedy wreszcie udało mi się zasnąć, miałam sen: stałam w bazylice San Marco przy ołtarzu, pod którym pogrzebano Kosmę. Kościół był tak zatłoczony, ludzie tak rozgorączkowani czekaniem na słowa proroka, że ciała napierały na mnie, zgrzane i spocone -

coraz mocniej i mocniej, aż w końcu ledwie mogłam oddychać.

Nagle w duszącym tłoku zdałam sobie sprawę, że zwałiste cielsko przygniatające mnie z lewej strony należy do Fra Domenica. Usiłowałam odsunąć się z obrzydzeniem i nienawiścią, lecz pozbawione twarzy kłębowisko odpychało mnie, obezwładniało, przytrzymywało w miejscu.

- Puszczaj go! - krzyknęłam, nie zdając sobie sprawy, że będę krzyczeć, i nie rozumiejąc słów, póki ich nie wymówiłam, gdyż właśnie wtedy zauważyłam Giuliana przerzuconego przez ramię potężnego mnicha, ze zwisającą głową, zaczerwienionymi policzkami i twarzą zwróconą w moją stronę.

- Wszystko się powtarza, Lizo, widzisz? - Uśmiechnął się pocieszająco. - Wszystko się powtarza.

Zbudziłam się, zdjęta strachem i zobaczyłam stojącą nade mną Zalum-mę, która cmokała uspokajająco. Najwyraźniej krzyczałam przez sen.

Od tamtej chwili czułam się jak święty Paweł w drodze do Damaszku: łuski opadły mi z oczu i nie potrafiłam dłużej udawać, że nic nie widzę. Sytuacja Giuliana i jego rodziny była nadzwyczaj niepewna. Florencja balansowała na skraju przepaści i bezpieczniejsze czasy mogły nigdy nie nadejść.

Gdy tylko świt rozjaśnił niebo, napisałam kolejny list, też pojedynczą linijkę.

*Wyznacz miejsce i porę - albo nie, jeśli nie chcesz mnie przyjąć. Przybędę Jo Ciebie wkrótce.*

Tym razem nawet Zalummie nie zdradziłam treści listu.

Minał tydzień. Ojciec, który uwielbiał opowiadać mi o niepowodzeniach Piera Medyceusza, miał świeże wieści: jeden z posłów Karola przybył do miasta i zażądał od Signorii zgody na swobodny przejazd francuskiego króla przez Florencję. Żądał odpowiedzi natychmiast, gdyż król miał się zjawić wkrótce.

Signoria nie podjęła żadnej decyzji, ponieważ jej członkowie musieli najpierw usłyszeć *si* lub *no* od Piera; tymczasem Piero, zdezorientowany sprzecznymi radami, nie był

w stanie dać im odpowiedzi.

Oburzony poseł wyjechał - i w ciągu jednego dnia wszyscy florency kupcy zostali wydaleny z terytorium Francji. Kramy na via Maggio, handlujące towarami dostarczanym z Francji, wkrótce zamknięto.

- Ludzie nie mogą nakarmić rodzin - mówił ojciec. Istotnie, ponieważ jego interesy również ucierpiały, musieliśmy ograniczyć racje żywności, od dawna już nie jedliśmy mięsa.

Pracownicy - postrzygacze, zgrzeblarze, przędzarze i farbiarze - chodzili głodni.

A wszystko to było winą Piera de Medici. Aby zapobiec buntom, podwoił liczbę wartowników w siedzibie władz, Palazzo della Signoria, a także we własnym domu.

Słuchałam utyskiwań ojca cierpliwie; słyszałam narzekania służby i pozostałam niewzruszona.

Nawet Zalumma patrzyła na mnie znacząco i mówiła:

- Ostatnimi czasy niebezpiecznie jest przyjaźnić się z Medyceuszami. Nie dbałam o to.

Mój plan był gotowy, a czas, by go zrealizować, miał wkrótce nadejść.

Po koniec października Piero - wreszcie zlekceważywszy doradców pojechał na północ na trzy dni, w towarzystwie kilku przyjaciół. Celem jego podróży była twierdza Sarzana, gdzie król Karol obozował ze swoją armią. Zainspirowany przykładem świętej pamięci Wawrzyńca, który kiedyś wybrał się samotnie do króla Ferrantego i samym swym urokiem zapobiegł wojnie z Neapolem, Piero miał nadzieję, że jego śmiały gest ocali Florencję przed losem Rapallo.

Podczas nieobecności Piera członkowie Signorii uznali, że mogą jeszcze bardziej otwarcie wyrazić swój sprzeciw. Siedmiu emisariuszy wyruszyło w ślad za Pierem na północ, aby dogonić go i obserwować każdy jego ruch. Zostali też poinstruowani, aby oznajmić królowi Karolowi, że bez względu na to, co powie Piero, Florencja wita Francuzów z otwartymi ramionami.

Do czwartego listopada każdy obywatel wiedział już, że Piero bez żadnych nacisków przekazał Karolowi twierdze Sarzanę, Pietrasantę i Sarza-nellę. Mój ojciec był wściekły.

- Sto lat! - grzmiał przy wieczerzy, waląc pięścią w stół, aż dzwoniła zastawa. - Sto lat zajęło nam podbicie tych ziem, a on utracił je w jeden dzień!

Członkowie Signorii byli równie wzburzeni. Przy tej samej kolacji dowiedziałam się, że rada postanowiła wysłać małą grupkę posłów do Pizy, na spotkanie z Karolem. Nie było wśród nich Piera, ale był Fra Girolamo Savonarola.

Więści te napawały mnie lękiem, lecz nie zachwiały moim postanowieniem i nie zmieniły moich planów.

Ósmego listopada samotnie wyjechałam w karocy do miasta, pozostawiając Zalummę w domu, wcześniej uzgodniwszy z nią, że uda złe samopoczucie. Ojciec jak każdy dobry Florentyńczyk w sobotni poranek chodził cjo łaźni publicznej.

Powóz przejechał na drugi brzeg Arno przez starożytny Ponte Vecchio. Niektóre kramy były zamknięte wskutek francuskiego embarga, w innych nadal wystawiano towary mimo realnego zagrożenia najazdem, na moście było tłoczno od jeźdźców na koniach, pieszych i powozów takich jak mój.

Wreszcie dotarliśmy na rynek może nie tak licznie uczęszczany jak zwykle, lecz wciąż ludny i gwarny, z czterech stron ograniczony kościołami. Pomarańczowa kopuła Brunelleschiego wznosiła się nad dachami w pobliżu pałacu Signorii. Wokół kręciły się gospodynie i ich służące, mężczyźni potrzebujący golenia. Byłam ubrana w swoją skromną brązową suknię, na szyi miałam wisiołek z topazem. Pod stanikiem ukryłam oba złote medale, jako talizmany szczęścia. Trzymałam kosz, który Zalumma zawsze nosiła na ramieniu, choć tego dnia zakryłam go płótnem.

Widziałam cyrulików z lśniącymi brzytwami i misami pijawek, aptekarzy z ich proszkami i olejkami, sprzedawców warzyw śpiewnie zachwalających swoje pyszne towary, piekarza z koszami ciepłego i pachnącego pieczywa...

Dalej znajdował się zakład rzeźnika, gdzie obdarte ze skóry zajęcia i oskubane z pierza kurczaki wisiały za nogi nad głową.

Nigdy jeszcze miejsce tak znajome nie wydawało mi się tak zupełnie obce.

Przed wyjściem powiedziałam woźnicy, że odwiedzę dziś rzeźnika, chociaż nie zaglądałyśmy tam od tygodni. Po kości na rosół, wyjaśniłam.

Powiedziałam, żeby poczekał na mnie przy stoiskach z warzywami. Woźnica zatrzymał konie i nawet nie spojrzął, gdy wysiadłam i ruszyłam do rzeźni... która znajdowała się poza zasięgiem jego wzroku.

To było doprawdy proste - szybkie, łatwe i przerażające. Rzeźnik był dobrym, pobożnym człowiekiem, ale czasy nadeszły ciężkie i niepewne. Miał swoją cenę, nawet jeśli podejrzewał, skąd pochodził trzos złotych florenów.

Kiedy podeszłam, śmiał się wespół z młodą kobietą, którą często spotykałam na targu, choć nigdy nas sobie nie przedstawiono. Miała słodką rumianą buzię, a gdy się śmiała, unosiła rękę do ust, żeby ukryć brak przedniego zęba.

Na mój widok rzeźnik przestał się śmiać. Szybko zapakował gruby wołowy ogon w płótno.

- *Buon appetito, Monna Beatrice*. Oby to mięso zachowało twego męża w dobrym zdrowiu. Bóg z tobą! - Zwrócił się do innej czekającej kobiety. - *Monna Cecelia*, proszę wybaczyć, mam pilną sprawę, ale Raffael cię obsłuży... - Syn rzeźnika odłożył tasak i podszedł do klientki, a rzeźnik powiedział znacznie głośniejszym głosem: - *Monna Liza*, na zapleczu mam kilka wspaniałych mięs na pieczeń, będziesz mogła wybrać. Proszę za mną...

Zaprowadził mnie za zasłonę poplamioną brązowymi odciskami palców na tyły zakładu. Na szczęście światło było tak słabe, że nie widziałam wiszących tam zarżniętych zwierząt, słyszałam tylko gdakanie zamkniętych w klatkach kur. Odór krwi i podrobów był

tak silny, że zatkałam nos.

Szybko dotarliśmy do wyjścia. Ciepłe kamienie brukowe lśniły w słońcu od krwi wyciekającej z kramu; rąbek spódnicy miałam przesiąknięty posoką. Ale wahałam się tylko chwilę, gdyż o kilka kroków dalej czekała następna karoca, czarna i pozbawiona herbu, po którym można by rozpoznać właściciela. Mimo to przypomniałam sobie woźnicę - znowu uśmiechnął się do mnie na powitanie.

Te kilka kroków - ze względu na ich powagę i znaczenie - zdawało się nie mieć końca; myślałam, że stracę równowagę i upadnę. Mimo to dotarłam do powozu. Drzwiczki otworzyły się i jakby za sprawą magii czy cudu znalazłam się obok Giuliana z koszem postawionym przy nogach.

Woźnica cmoknął na konie, kola zaskrzypiały i ruszyliśmy z łoskotem, coraz dalej od rzeźnika, dalej od czekającej karocy, mojego ojca i domu.

Giuliano wyglądał wspaniale, tak nierealnie i doskonale jak obraz. Miał na sobie *farsetto* pana młodego ze szkarłatnego aksamitu haftowanego złotą nicią, a pod szyją przypięty duży rubin.

Wpatrywał się we mnie oczami szeroko otwartymi ze zdumienia - we mnie, ze zwyczajną fryzurą pod prześwitującym czarnym woalem, w skromnej brązowej sukni o rąbku przemoczonym krwią - jakbym była egzotyczna i zjawiskowa.

Mówiłam w gorączkowym pośpiechu, głos drżał mi niepoohamowanie.

- Mam oczywiście suknię. Poślę po swoją niewolnicę, kiedy będzie po wszystkim. W

tej chwili pakuje moje rzeczy... - Przez cały ten czas myślałam: Lizo, jesteś szalona. Ojciec zjawi się i położy wszystkiemu kres. Piero wróci i wyrzuci cię z pałacu.

Paplałam tak bez końca ze zdenerwowania, ale Giuliano ujął mnie za ręce i pocałował.

Ogarnęło mnie nowe doznanie, roztopiające ciepło w okolicach pępka. Topaz, poddany próbie, okazał się nieskuteczny. Odpowiedziałam na pocałunek z równą żarliwością i do czasu, gdy dotarliśmy do pałacu, mieliśmy włosy i ubrania w nieładzie.

Gdyby moje życie wyglądało tak jak życie innych dziewcząt, moje małżeństwo zostałoby zorganizowane przez *sensale*, swata, którym byłby najprawdopodobniej sam Wawrzyniec. Ojciec zapłaciłby co najmniej pięć tysięcy florenów, a sumę zaksięgowano by w głównej księdze miasta, w przeciwnym wypadku ślub nie mógł się odbyć.

Po ogłoszeniu oświadczyn narzeczonemu wydałby przyjęcie, na którym w obecności przyjaciół i rodziny podarowałby mi pierścionek.

W dniu ślubu wystąpiłabym w olśniewającej sukni zaprojektowanej, jak wymagał

obyczaj, przez samego Giuliana. Przed idącymi pieszo druhami przejechałabym na białym koniu przez Ponte Santa Trinita na via Larga i do siedziby Medyceuszy. Przed moim nowym domem rozpięto by w poprzek ulicy girlandę kwiatów, której nie śmiałabym minąć, póki nie przeciąłby jej mój przyszły małżonek.

Stamtąd udalibyśmy się do kościoła. Po ceremonii wróciłabym pieszo do domu ojca i spędziła tam noc samotnie. Dopiero nazajutrz, po weselnej uczcie, małżeństwo zostałoby skonsumowane.

Ale ja nie miałam *sensale*; Wawrzyniec zmarł i nigdy nie poznałam jego opinii na temat mężczyzny, który byłby dla mnie najbardziej odpowiedni. Mój ślub był dziełem naszej determinacji i pożądania.

Jeśli chodzi o posag, to Wawrzyniec, nie mój ojciec, zapłacił go dawno temu - choć Giuliano załatwił w ratuszu, że zaksięgowano tę sumę jako pochodzącą od Antonia di Gherardini. Wiedziałam, że gdy ojciec dowie się o oszustwie, każe wykreślić wpis z księgi.

Strój ślubny był mojego własnego pomysłu, ten sam, który włożyłam trzy lata wcześniej na wizytę w pałacu Medyceuszy: suknię ze spódnicami z ciemnego zielononiebieskiego aksamitu z satynowym wzorem winorośli oraz stanik z tej samej tkaniny ze wstawkami z jasnozielonego adamaszku. Urosłam od tamtej pory i w tajemnicy dokonałyśmy z Załumną gorączkowych poprawek, podłużając spódnicę i rękawy i rozszerzając stanik, aby pomieścił ciało kobiety, a nie dziewczynki.

Nie jechałam na białym rumaku, nie towarzyszyły mi druhny - nawet Załumna, która najlepiej wiedziałaby, jak ukoić moje nerwy. Służka z domu Giuliana o imieniu Laura, życzliwa niewiasta może dwa lata starsza ode mnie, pomogła mi się ubrać w jednej z niezajętych sypialni - pod portretem młodej Klarisy Medycejskiej ze skwaszoną miną, ubranej w biały fartuch i ciemną sukienkę. W porównaniu z nią wyglądałam wspaniale.

Uparłam się, żeby zatrzymać złote medale od Wawrzyńca na sercu.

Kiedy służąca wyciągała przez rękawy koszulę i starannie układała bufy, spojrzałam na irytującą podobiznę Klarisy.

- To były jej komnaty?

Laura z iskierką humoru w oczach zerknęła na portret.

- Tak, Madonna. Teraz należą do Madonny Alfonsiny, która od kilka dni przebywa w Poggio a Caiano. Mam wrażenie, że ser Giuliano nie powiadomi jej o tobie pani, aż do powrotu.

Zadrżałam, już wyobrażałam sobie jej reakcję.

- A inni?

- Ser Piero wyjechał do Sarzany, wiesz o tym... - Kiedy kiwnęłam głową, podjęła. -

Nie musisz się nim przejmować: jest przychylny waszemu małżeństwu. Ale pozostał jeszcze eminencja ser Giovanni. Wybrał się na mszę, potem ma spotkania w interesach. Nie został w nic wtajemniczony; nie sądzę, by ser Giuliano zamierzał mówić mu cokolwiek, o ile nie byłoby to konieczne.

Uniosła szczotkę z gęstym włosom, która, jak zgadywałam, należała do mojej przyszłej szwagierki.

- Tylko je rozczesać?

Kiwnęłam głową. Gdybym tego ranka pokusiła się o wymyślną fryzurę, ojciec albo służba zwróciliby na to uwagę, dlatego też uczesałam się jak zwykle, z włosami opadającymi luźno na ramiona, jak przystało pannie. Potem Laura przypięła mi brokatowy czepek, który ze sobą przywiozłam. Na koniec włożyłam odziedziczony po matce naszyjnik z perłami i akwamarynem.

Dotykając go, trudno mi było nie myśleć o matce, o tym, jak głupio wyszła za męża, jak nieszczęśliwie żyła i umarła.

- Ach! - Laura wzięła mnie łagodnie za łokieć. - Nie powinnaś się pani smucić w takim dniu! Madonna, wychodzisz za człowieka o najszlachetniejszym sercu i najtęższej głowie w całej Toskanii. Czasy są trudne, ale jak długo będziesz z ser Giulianem, nie będzie powodów do obaw. Proszę. Oto, co twój mąż zobaczy, kiedy się spotkacie. Nie ma piękniejszego widoku. - Podała mi ciężkie kunsztownie wykonane złote lusterko wysadzone brylantami.

Z niezadowoleniem rzuciłam okiem na swe odbicie i zwróciłam jej zwierciadło.

Naszła mnie głupia myśl, że kolory mojej sukni będą się gryzły ze szkarłatem i złotem Giuliana.

Sądząc, że skończyłyśmy, ruszyłam do drzwi. Laura zatrzymała mnie.

- Nie jesteś pani, jeszcze całkiem gotowa!

To rzekłszy, podeszła do szafy i wyciągnęła długi biały welon haftowany złotą nicią w jednorożce i mityczne ogrody. Ze czcią założyła mi go na głowę, zakrywając twarz; świat stał

się niewyraźny i połyskliwy.

- Madonna Klarysa miała go, gdy brała ślub z Wawrzyńcem - powiedziała - i Alfonsina, kiedy wychodziła za Piera. Giuliano dopilnował, żeby ksiądz jeszcze raz go pobłogosławił, specjalnie dla ciebie pani. - Uśmiechnęła się. - Teraz, Madonna, jesteś gotowa.

Zaprowadziła mnie na dół, na parter, do prywatnej kaplicy Medyceuszy.

Spodziewałam się, że ktoś będzie na mnie czekał przed drzwiami, ale korytarz był pusty.

Wpadłam w panikę.

- Zalumma - powiedziałam do Laury. - Moja niewolnica... Powinna do tej pory dotrzeć tu z moimi rzeczami. Giuliano miał wysłać po nią powóz.

- Czy mam o nią rozpytać?

- Tak, proszę - odrzekłam. Podjęłam już decyzję i nie zamierzałam się wycofywać, ale nieobecność Zalummy bardzo mnie niepokoiła: liczyłam, że będzie na moim ślubie, tak jak była na ślubie matki.

Laura poszła wybadać sprawę. Kiedy wróciła po kilku chwilach, po jej minie poznałam, że nie przynosi pomyślnych wieści.

- Nie ma żadnych wiadomości, Madonna. Powóz jeszcze nie wrócił. Rozmasowałam palcami skronie.

- Nie mogę na nią czekać.

- W takim razie pozwól, abym ja ci towarzyszyła - powiedziała Laura rozsądnym, kojącym tonem. - Nikt z państwa nie jest dla mnie miłszy niż ser Giuliano; być drużną jego narzeczonej byłoby dla mnie wielkim zaszczytem.

Westchnęłam i pokiwałam głową. Sytuacja wymagała, aby ślub odbył się szybko, zanim wyda się nasza tajemnica.

Laura otworzyła drzwi do kaplicy. Zobaczyłam Giuliana czekającego z księdzem przed ołtarzem. Obok nich stał Michał Anioł - co mnie zaskoczyło, bo krążyła plotka, że wypadł z łask Piera i w zeszłym miesiącu wyjechał do Wenecji. Jego obecność przyprawiła mnie o drżenie serca. Nie dość, że na dworze Medyceuszy przyjmowano Pica, to jeden z wybrańców Savonaroli będzie świadkiem mojego ślubu.

Niepokój prysnął, gdy tylko spojrzałam na mojego pana młodego. Giuliano patrzył na mnie z radością, pożądaniem i lękiem. Nawet dłonie księdza, które trzymały małą książeczkę, drżały. W obliczu ich trwogi moje obawy prysły.

Laura podniosła mój tren i w kompletnej ciszy podeszłam do trzech mężczyzn.

Pozwoliłam sobie na przelotny zachwyty wystrojem kaplicy.



W prezbiterium, nad ołtarzem, znajdował się subtelny fresk. Dzieciątka Jezus z Madonną i aniołami. Na ścianie po mojej lewej stronie, namalowany żywszymi kolorami i sugestywniejszym stylem fresk przedstawiający orszak Trzech Króli.

Królem najbliższym mnie był młodzieniec ubrany na florencką modłę i jadący na białym wierzchowcu w czerwono-złotym czapraku. Za nim jechali ludzie, których rozpoznałam: stary Piero Medyceusz i jego dwaj synowie, Wawrzyniec - szpetny nawet w wyidealizowanej młodości - oraz przystojny Giuliano. Wawrzyniec spoglądał w stronę Dzieciątka, ale jego brat był obrócony twarzą do widza i z osobliwie poważną miną patrzył w nieokreślony punkt w oddali.

Wcale nie poprawił mi nastroju fakt, że w kącie fresku zobaczyłam ujmujące oblicze Giovanniego Pica.

Chociaż było prawie południe, w kaplicy panował mrok. Paliło się kilka świec, ich płomienie odbijały się od szczerze zdobionych ściany listków złota i oświetlały zadziwiające kolory: róże i korale, turkusy i zielenie skrzydeł aniołów i ptaków, czerwienie i złoto uprzęży, olśniewające biele i błękity nieba, soczyste zielenie pagórków i drzew.

- Madonna, zatrzymaj się! - Służąca Laura przystanęła; oderwawszy wzrok od fresku, rozejrzałam się dokoła, trochę zagubiona. Dopiero na gest księdza popatrzyłam pod stopy i zobaczyłam girlandę suszonych róż i polnych kwiatów rozłożoną na posadzce.

Giuliano ukląkł i stanowczym ruchem rozerwał ją.

Nie mógł bardziej mnie ująć. Potem wstał, wziął mnie za rękę i zaprowadził przed ołtarz, gdzie stanęliśmy obok siebie.

Mimo zdenerwowania i młodego wieku Giuliano umiał nad sobą zapanować; zwrócił

się do Michała Anioła z pewnością siebie człowieka, który wie, co znaczy odpowiedzialność.

- Obrączka - powiedział. Może nie udało mu się zapewnić mi ślubnej sukni, wielkiej katedry pełnej ludzi ani błogosławieństwa mojego ojca, ale zadał sobie trud, by dać mi to, co mógł.

Michał Anioł wręczył obrączkę Giulianowi. Między dwoma spiskowcami czuło się zaufanie, jakby od dłuższego czasu byli bliskimi przyjaciółmi, niemal braćmi, oddanymi tym samym sprawom, ukrywającym te same tajemnice. To też mnie niepokoiło.

Giuliano wziął moją dłoń i wsunął obrączkę na palec. Została wykonana zgodnie z miejskimi zaleceniami, które mówiły, że obrączka ma być zrobiona z niezdobionego złota i cienka. Była też niebezpiecznie luźna, zamknął więc moją dłoń, aby się nie zsunęła, po czym szepnął mi do ucha:

- Twoje palce są smuklejsze, niż myślałem. Później każemy ją dopasować.

Kiwnął głową na księdza i rozpoczęła się ceremonia.

Nie pamiętam nic z tego, co mówiliśmy, prócz tego, że Giuliano odpowiedział

kapłanowi silnym, stanowczym głosem, a ja musiałam odchrząknąć i powtórzyć, co rzekłam, zanim zostałam usłyszana. Klękaliśmy przed drewnianym ołtarzem, gdzie wcześniej modlili się Kosma, Piero, Wawrzyniec i jego brat Giuliano. Ja też się modliłam, nie tylko o szczęście u boku nowego męża, ale także o bezpieczeństwo jego i rodziny.

I było już po wszystkim, zostałam mężatką - w dziwnych i niepewnych okolicznościach, poślubioną przynajmniej w oczach Boga, jeśli nawet nie ojca i Florencji.

Nasze skromne wesele odbyło się - w antykamerze apartamentów Wawrzyńca, gdzie trzy lata wcześniej // *Magnifico* namawiał mnie do dotknięcia pucharu Kleopatry. Teraz nie było tam tego skarbu starożytności, podobnie jak prawie wszystkich monet, kamieni szlachetnych i złotych statuetek. Została tylko jedna gablota z kameami i intagliami; obrazy nadal wisiały na ścianach, a wino nalewano nam do kielichów wyrzeźbionych w kamieniach półszlachetnych i oprawionych w złoto.

W kącie pokoju dwaj muzykanci grali na lutniach, stół ozdobiony girlandami kwiatów zastawiano paterami pełnymi fig, serów, migdałów i słodkich ciasteczek. Choć Laura przygotowała mi talerz, nie mogłam jeść, za to pierwszy raz w życiu piłam nierozcieńczone wino.

Jeszcze raz poprosiłam Laure, żeby dowiedziała się czegoś o Zalummie. Służąca zostawiła mnie samą przy nadzwyczaj skromnej uczcie, w której brali udział mój mąż, Michał

Anioł i ja; ksiądz już sobie poszedł.

Z zakłopotaniem i dopiero szturchnięty łokciem przez Giuliana, Michał Anioł uniósł

kielich - z którego się jeszcze nie napił - i powiedział:

- Zdrowie państwa młodych, niech Bóg da wam stu zdrowych synów. Rzeźbiarz uśmiechnął się do mnie przelotnie i nieśmiało. Upił mały łyżeczek i odstawił puchar. Ja też się napiłam - i to duży łyk. Szczypiące w język wino rozgrzało mnie od środka.

- Opuszczam szczęśliwych małżonków - oznajmił Michał Anioł, po czym uklonił się i wyszedł, wyraźnie pragnąc się uwolnić od swego towarzyskiego zobowiązania.

- Boję się go - powiedziałam do Giuliana, gdy tylko zostaliśmy sami.

- Michała? Żartujesz! - Mój nowy mąż uśmiechnął się; zdążył już zapanować nad nerwami i starał się wyglądać na swobodnego. - Wychowano nas jak braci!

- Tego właśnie się obawiam - odrzekłam. - Przez to grozi ci większe niebezpieczeństwo. Wiesz, że ojciec zmuszał mnie do słuchania kazań Fra Girolama. I prawie za każdym razem widziałam w kościele Michała Anioła. To jeden z *piangoni*.

Giuliano spuścił wzrok w zamyśleniu.

- Jeden z *piangoni* - powtórzył nieodgadnionym tonem. - Pozwól, że cię o coś zapytam: gdyby zagrażali ci *piangoni*, jak mogłabyś się przed nimi najlepiej obronić?

- Za pomocą straży - odparłam. Wypiłam więcej wina niż zwykle, a niepokój nie pozwalał mi jasno myśleć.

Giuliano roześmiał się cicho.

- No tak, zawsze są jakieś strażę. Ale czy nie lepiej wiedzieć, co planują twoi wrogowie? I może warto znaleźć sposób, by przeszli na twoją stronę?

- Więc to tak - zaczęłam, mając zamiar beztrąsko dokończyć: „Michał Anioł jest twoim szpiegiem”. Ale zanim zdążyłam to powiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi.

Miałam nadzieję, że to Laura z wiadomością, iż Zalumma wreszcie przybyła. Zamiast niej pojawił się służący ze zmarszczonymi brwiami.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ser Giuliano. - Jego dobrze wymodulowany gładki głos był głośny tylko tyle, by był słyszalny. - Zjawił się gość. Pańska obecność jest natychmiast konieczna...

Mój mąż zmarszczył czoło.

- Kto? Wydałem polecenie, żeby nam...

- Ojciec Madonny.

- Mój ojciec? - Tylko tyle wykrztusiłam z siebie, zanim przerażenie odebrało mi mowę.

Giuliano kiwnął głową do służącego i objął mnie pocieszająco ramieniem.

- Nie bój się, Lizo. Spodziewałem się tego i jestem gotów z nim porozmawiać.

Uspokoję go, a potem przyślę po ciebie.

Cicho rozkazał służącemu, żeby został ze mną aż do przybycia Laury, a potem poprosił, żeby dziewczyna zaczekała ze mną. W końcu pocałował mnie delikatnie w policzek i wyszedł.

Nie pozostało mi nic innego, jak nerwowo przechadzać się po dziwnej, choć znajomej komnacie; wysączyłam ostatni łyk wina z pięknego chal-cedonowego pucharu i odstawiłam go. Żadna ilość alkoholu nie mogła złagodzić lęku. Czułam też złość - złość, że mój los nie zależy ode mnie, gdyż jest przedmiotem kłótni między mężczyznami.

Chodziłam tam i z powrotem, spódnice szeleściły o marmurową posadzkę. Nie umiem powiedzieć, ile razy przeszłam salę, zanim znowu otworzyły się drzwi.

W progu stała Laura. Miała powściągliwą minę - a gdy służący powtórzył jej polecenia Giuliana, jej rezerwa jeszcze się wzmogła. Służący wyszedł, Laura została. Gdy tylko zostałyśmy same, zapytałam:

- Zalumma nie przyjechała? Popatrzyła na mnie z wahaniem.

- Nie. Woźnicę odesłano z powrotem bez niej. Proszę wybaczyć, że nie powiedziałam tego wcześniej, Madonno. Dowiedziałam się o tym przed ceremonią... ale byłoby okrutne, gdybym denerwowała panią w takiej chwili...

Nowiny wstrząsnęły mną do głębi. Kochałam Giuliana i nie opuściłabym go - ale nie umiałam sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać moje życie, jeśli ojciec zabroni Zalummie odejść ze mną. Była przy moich narodzinach, tylko jej osoba łączyła mnie teraz z matką.

Minęła prawie godzina. Odmówiłam jadła i napitku i usiadłam w końcu w fotelu, a Laura stała nade mną i szeptała słowa pocieszenia.

Nie słyszałam ich: zastanawiałam się intensywnie, co robić. Musiałam teraz brać pod uwagę uczucia męża. Ze względu na Giuliana będę spokojna, opanowana i grzeczna, choćby nie wiem, co się działo.

Z zamyślenia wyrwało mnie głośne stuknięcie: coś uderzyło o jedną z drewnianych okiennic, które były zamknięte, lecz miały uchylone listwy. Laura podbiegła do okna i otworzyła je, ale cofnęła się przy kolejnym głośnym stuknięciu - tym razem brzmiało to tak, jakby coś uderzyło o mur tuż pod nami.

Podniosłam się i podeszłam do niej, żeby wyjrzeć na dół.

Z włosami wciąż wilgotnymi po łaźni ojciec pochylał się właśnie pośrodku via Larga, by złapać następny kamyk. Wcześniej wysiadł z powozu i puścił lejce. Zdezorientowany koń zrobił kilka kroków do przodu, a potem w tył; woźnica stojący za nim przeklinał go głośno.

- Ej, ty! Z drogi! Z drogi! Nie możesz po prostu zostawiać wozu na środku ulicy!

Wydawało się, że ojciec w ogóle go nie widzi i nie słyszy. Kiedy chwycił następny kamień, jeden ze strażników pałacowych krzyknął:

- Ruszaj w drogę! Ruszaj albo cię aresztuję!

Kilku przechodniów - członek Signorii na wierzchovcu, służąca z koszem pełnym pieczywa, brudna kobieta w łachmanach prowadząca równie brudne, bose dzieci - przystanęli, gapiąc się na niecodzienną scenę. Była sobota, sam środek dnia, a szeroką ulicę wypełniał

strumień powozów, pieszych i konnych.

- To mnie aresztuj - wrzasnął ojciec - i niech świat się dowie, że Medyceusze myślą, że mogą kraść córkę biednemu obywatelowi!

Nawet z tej odległości widziałam na jego twarzy histerię; był bez opończy i czapki.

Podniósł kamyk i się zamachnął. Strażnik uniósł groźnie szpadę i podszedł bliżej.

Wychyliłam się przez okno.

- Przestańcie! Obaj!

Wartownik i ojciec znieruchomieli i podnieśli na mnie wzrok, podobnie jak zbierający się gapię. Ojciec opuścił ramię, a strażnik broń. Nie wiedziałam, co właściwie powiedzieć.

- Jest mi tu dobrze! - zawołałam. To okropne, że musiałam rozmawiać o osobistych sprawach w ten sposób. Zgiełk na ulicy zmuszał mnie do krzyku. - Jeśli mnie kochasz, ojcze, pozwól mi na to.

Ojciec upuścił kamień i objął się gwałtownie ramionami, jakby usiłował zapanować nad dojmującym bólem. Po chwili uniósł ręce i pomachał do mnie.

- Zabrali mi wszystko, nie widzisz tego? - wykrzyknął rozdzierającym, oszalałym głosem. - Zabrali wszystko, a teraz chcą jeszcze ciebie. Nie pozwolę... nie mogę pozwolić, żeby cię zabrali.

- Proszę. - Wychyliłam się przez okno tak daleko, że Laura złapała mnie w pasie, żebym nie wypadła. - Proszę... pozwól mi być szczęśliwą!

- Zostań z nim - odkrzyknął - a będzie to początek twoich prawdziwych cierpień!

Nie była to groźba, w jego głosie pobrzmiewał tylko żal. Wyciągnął ku mnie rękę i wykonał w powietrzu gest, jakby łagodnie gładził mnie po policzku.

- Lizo - zawołał. - Dziecko moje! Co mam powiedzieć, żebyś mnie posłuchała?

Tego ranka, gdy uciekałam z domu, zebrałam w sobie całą nienawiść do niego, żeby mieć siłę go opuścić. Przypomniałam sobie, jak dawno temu uderzył matkę i wywołał jej chorobę, jak zmusił ją do spotkania z Savona-rolą, które skończyło się jej śmiercią; jak, co gorsza, zdradził pamięć o niej, sprzymierzając się z jej mordercami.

Teraz jednak widziałam tylko żalostnego człowieka, który z niepokoju o mnie zdarł

sobie gardło i przywoływał mnie, nie bacząc na własny wstyd. Mimo woli przypominałam sobie szczerą miłość w jego oczach, kiedy błagał matkę, by zobaczyła się z Fra Girolamem, w nadziei, że to ją uleczy, pomyślałam o potwornych cierpieniach, które musiał znieść, gdy zrozumiał, że jego namowy doprowadziły do jej śmierci.

- Proszę - zawołał, wciąż wyciągając rękę, jakby mógł mnie dotknąć. - Nie mogę cię tu ochraniać! Nie jesteś bezpieczna, nie jesteś bezpieczna. - Wydał cichy jęk. - Proszę, wróć ze mną do domu.

- Nie mogę - odparłam. Łzy kapały mi z oczu na ulicę w dole. - Wiesz, że nie mogę.

Pobłogosław mnie, potem będziemy mogli cię przyjąć, a ty będziesz się mógł z nami radować. To takie proste. - I rzeczywiście wydawało mi się to niezwykle proste: ojciec musiałby tylko wstać, wejść do pałacu, uściskać nas i zgodzić się na małżeństwo, a wtedy moje życie byłoby spełnione. - Ojcze, proszę. Wejdz do środka i porozmawiaj z moim mężem.

Opuścił rękę, przybity.

- Dziecko... wróć do domu.

- Nie mogę - powtórzyłam głosem tak zachrypniętym, tak cichym, że tym razem nie usłyszał mnie wyraźnie. Ale zrozumiał, co powiedziałam.

Stał przez chwilę, milczący i przygnębiony, a potem wsiadł do powozu. Z zaciśniętymi z bólu zębami szarpnął lejce i odjechał zagniewany.

Laura zamknęła okiennice. Wytarłam oczy pięknym brokatowym rękawem.

Usiadłam, przybita. Tak bardzo skupiałam się na radości z powodu ujrzenia Giuliana, na strachu, że ucieczka się nie powiedzie, że zapomniałam o miłości do ojca. A mimo powszechnego niezadowolenia z poczynań Piera, mimo nauk Savonaroli, on też mnie kochał.

Nie zdawałam sobie sprawy, że jego krzywda zada mi taki ból, jakbym zraniła samą siebie.

Pojawiła się Laura z pucharem wina; odmówiłam machnięciem ręki i wstałam. Biedny Giuliano zaraz wróci z szarpiącego nerwy spotkania z moim rozsierzdzonym ojcem. A przecież tak ciężko było mu zdobyć zgodę Piera na małżeństwo ze mną i wciąż czekały go starania o aprobatę drugiego brata, Giovanniego. Ale rzecz się stała i przychodził mi do głowy tylko jeden sposób, jak rozweselić mojego męża: skupiając się na radościach bycia razem.

Spojrzałam w zafrasowaną twarz Laury.

- Gdzie jest komnata małżeńska?

Zdawała się lekko zbита z tropu. W końcu był dzień.

- Tutaj, Madonna. - Wskazała na drzwi w głębi.

- W sypialni Wawrzyńca? - spytałam z pewnym zdumieniem.

- Ser Piero czuł się zbyt nieswojo, żeby tam spać. Twój mąż, pani, był ulubieńcem ojca, jak pewnie pani wie, i myślę, że przejęcie pokoi po ojcu jest dla niego ukojeniem. Sypia tu, odkąd zmarł Wawrzyniec.

Zaprowadziła mnie do komnaty. Pokój był przestronny, z posadzką z jasnego, wspaniałego marmuru i ścianami ozdobionymi barwnymi obrazami. W porównaniu z resztą pałacu był urządzony niemal po spartańsku. Odniosłam wrażenie, że podobnie jak z antykamery wiele wartościowych przedmiotów przeniesiono gdzie indziej.

Duch Wawrzyńca był tego dnia nieobecny. Na łożu rozsypano suszone płatki róż, które wypełniały komnatę cudownym zapachem. Na biurku stał dzban czerwonego wina i dwa misternie zdobione złote puchary, a także talerz migdałów i kandyzowanych owoców.

- Pomóż mi się rozebrać - powiedziałam do Laury. Nawet jeśli polecenie ją zaskoczyło, umiała to dobrze ukryć. Zdjęła mi nakrycie głowy i rękawy, a potem rozsznurowała suknię; wyswobodziłam się z ciężkiej szaty i patrzyłam, jak Laura złożyła ją i schowała razem z innymi moimi rzeczami w wypolerowanej szafie z ciemnego drewna, gdzie znajdowały się ubrania Giuliana.

Zostałam teraz tylko w *camicia*, delikatnej i zwiewnej niby pajęcza przędza. Zalumma uczyniła, co mogła, by jak najlepiej przygotować mnie na noc poślubną, ale trudno mi było zapanować nad



nerwami.

- Chciałabym teraz zostać sama - rzekłam. - Czy powiesz mojemu mężowi, że czekam tu na niego?

Wychodząc, cicho zamknęła za sobą drzwi.

Zbliżyłam się do biurka i nalałam trochę wina do jednego z pucharów, a potem upiłam łyżeczkę. Smakowałam go długo, starając się nim rozkoszować, aby w ten sposób wzbudzić w sobie zmysłową przyjemność i radość, z jaką mogłabym powitać Giuliana. Przy butelce leżała mała aksamitna torebka; podniosłam ją i poczułam w środku coś twardego - biżuteria, prezent od pana młodego dla jego wybranki. Uśmiechnęłam się.

Gdy tak stałam przed biurkiem, zauważyłam, że jedna rzecz na blacie wydaje się nie na swoim miejscu: był to list, którego lekturę ktoś porzucił, zapewne wezwany w nagłej sprawie. Kartka ze złamaną zieloną woskową pieczęcią leżała na wpół rozłożona. Nie zwróciłam na to uwagi, gdyby nie znajomy charakter pisma. Nie mogłam się powstrzymać: odstawiłam puchar i wzięłam list do rąk.

Nie było ani podpisu autora, ani żadnej informacji, która zdradzałaby adresata.

*Doceniam Twoją gotowość do zwolnienia mnie z wszelkich formalnych zobowiązań dotyczących znalezienia pokutnika, którego Twój ojciec nazywa! trzecim człowiekiem. Jestem jednak moralnie zobowiązany do kontynuowania poszukiwań mimo coraz mniejszego prawdopodobieństwa, że człowiek ten nadal żyje.*

*Wszystkie moje starania, aby uzyskać dla Was poparcie Mediolanu, okazały się bezowocne. Oto cała prawda o śmierci księcia Gian Gale-azza: zabójcy działali na rozkaz jego wuja Luaovica Sforzy, który nie czekając na koniec żałoby po śmierci brata, ogłosił się księciem, choć żyje nieletni syn Gian Galeazza, prawowity dziedzic. Z Ludovikiem u władzy Mediolan nie jest już Waszym sprzymierzeńcem; dowiedziałem się tego od samego nowego księcia, który darzy mnie pełnym zaufaniem. To on namowami zwrócił Karola i jego posłów przeciwko Wam, a teraz przygotowuje się do zdrady w nadziei na zdobycie jeszcze większej władzy.*

*Jego nieufność wobec Florencji jest skutkiem wieloletniej cierplivej pracy jego doradców i pewnych przyjaciół. Zestawiając to z wynikami mojego śledztwa, dochodzę do niezaprzeczalnego wniosku, że nasz Lu-dovico znajduje się pod wpływem osób sprzymierzonych z piangoni.*

Ostatnie zdanie zdumiało mnie i zaniepokoiło. *Piangoni* byli szczerymi, choć nadmiernie żarliwymi chrześcijanami. Savonarola wierzył, że król Karol został wybrany przez Boga, by ukarać Italię za grzechy, ale czemu miałby wraz ze swymi wyznawcami wywierać wpływ na księcia Mediolanu? I dlaczego fakt, że któryś z doradców Ludovica namawia go do zwrócenia się przeciwko Florencji, doprowadził autora do konkluzji, że stoją za tym florency *piangoni*?

A najbardziej zaintrygował mnie charakter pisma - zdumiewająco pionowy, pozbawiony pochyłości, z długimi i ozdobionymi floresami literami „f” i „l”, przysadzistym i pękatym „n”. Ortografia była dość chwiejna i niepewna. Dopiero po chwili przypominałam sobie, gdzie ostatnio widziałam to pismo.

Monna Liza, przesyłam pozdrowienia z Mediolanu. Nasz czcigodny Wawrzyniec zamówił u mnie Twój portret...

+3 Usłyszałam odgłos otwieranych drzwi i podniosłam wzrok. Nie udało mi się odłożyć listu, zanim Giuliano wszedł do komnaty.

Jednym zawstydzonym ukradkowym zerknięciem ogarnęłam trzy rzeczy: po pierwsze, że Giuliano wszedł z wymuszonym uśmiechem, choć wyraźnie odbył z moim ojcem nieprzyjemną rozmowę; po drugie, że wymuszony uśmiech zniknął, a Giuliano rozchylił z zachwytem wargi i szeroko otworzył oczy na widok mnie i mojej przejrzystej koszuli; i po trzecie, że zauważył list w mojej ręce i że niepokój oraz złość na siebie przeważały poprzednie emocje.

Odebrał mi list, w jego głosie nie było słycać oskarżenia, tylko zmartwienie.

- Przeczytałaś to?

- Czemu *piangoni* chcieliby wywierać wpływ na Ludovica Sforzę? Myślałam, że interesują się Bogiem, nie polityką.

Skrzywił usta, złożył list i położył go na biurku.

- Postąpiłem głupio, że nie schowałem go wcześniej. Bardzo głupio. Ale wezwano mnie w pilnej sprawie i myślałem, że będę miał jeszcze czas, zanim tu wejdiesz...

- Znam charakter pisma Leonarda. - Nie chciałam przed nim niczego ukrywać. -

Jestem teraz twoją żoną i nie powinieneś się przejmować tym, co wiem lub czego nie wiem.

Umiem trzymać język za zębami.

- Nie o to chodzi - zaczął. - Księżę Mediolanu zawsze służył naszej rodzinie pomocą, zawsze był naszym największym sprzymierzeńcem. Mogliśmy polegać na jego wojskach.

Kiedy mój stryj Giuliano został zamordowany, ojciec napisał do księcia, prosząc o pomoc, i otrzymał ją natychmiast. A teraz... - Odwrócił wzrok, marszcząc brwi. Jego ton stał się ponury. - Teraz brakuje nam tego wsparcia, w chwili gdy najbardziej go potrzebujemy. -

Westchnął. - Aja wciągnąłem cię w to wszystko.

- Wcale mnie nie wciągałeś. Przybyłabym do ciebie bez względu na to, czy byś się zgodził, czy nie. Jeśli grozi mi niebezpieczeństwo, to z powodu tego, kim jestem, a nie tego, o czym wiem. To, co przeczytałam, niczego nie zmienia.

- Wiem - przyznał z przygnębieniem. - Zdałem sobie sprawę, że jeśli rzeczywiście chcesz, żebyś była bezpieczna, równie dobrze sam mogę zapewnić ci ochronę. - Zdobył się na uśmiech. - Jesteś chyba bardziej uparta niż ja. Przynajmniej teraz wiem, gdzie jesteś. Czy wiesz... Na pewno wiesz... Sprawy mogą przybrać znacznie gorszy obrót. Możliwe, że będziemy musieli opuścić Florencję na jakiś czas.

Nie mówię o zwyczajnym wyjeździe do jednej z naszych willi na wsi. Powywozilem wiele przedmiotów z miasta, żeby je ochronić...

spakowałem nawet swoje rzeczy, na wszelki wypadek... - Odsunął się i spojrzał na mnie bystrymi oczami Wawrzyńca. Była w nich również otwartość, której nie zauważyłam u jego ojca.- Pojechalibyśmy do Rzymu, gdzie Giovanni ma przyjaciół i byłibyśmy pod opieką papieża. Tam jest zupełnie inaczej niż we Florencji... bardziej upalnie, tłoczno...

- Nie szkodzi - powiedziałam cicho. Podeszłam do niego. Był o pół głowy wyższy niż ja, klatkę piersiową miał szerszą niż ja ramiona. Wciąż miał na sobie obcisłe *farsetto* z czerwonego aksamitu i nosił je z naturalną swobodą księcia. W przeciwieństwie do swojego szpiega Leonarda nie był klasycznie piękny. Cienką górną wargę szpeciła mała ukośna blizna po jakiejś ranie z dzieciństwa, podbródek wystawał do przodu, niby echo deformacji Wawrzyńca. Nos był szeroki i zadarty na końcu, brwi bardzo grube i ciemne. Kiedy się uśmiechnął, w lewym policzku pojawił się dołeczek. Dotknęłam go czubkiem palca, a Giuliano westchnął przeciągle.

- Jesteś niewiarygodnie piękna - powiedział. - Tym bardziej że najwyraźniej nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Położyłam mu ręce na barkach.

- Mamy na świecie same zmartwienia: twoją rodzinę, mojego ojca, króla Karola, Signorię, księcia Mediolanu, Florencję. W tej chwili nic nie możemy na to poradzić, tylko się radować, że odtąd będziemy przeżywali je wspólnie.

Nie miał innego wyboru, jak pochylić się i pocałować mnie. Tym razem nie wiliśmy się, dysząc, w swoich objęciach jak podczas jazdy powozem. Byliśmy mężem i żoną i powinniśmy odnosić się do siebie z powagą i szacunkiem. Zaniósł mnie ostrożnie do łóżka i położył się obok. Teraz dopiero sięgnął pod jedwabną szatę i przesunął dłoń po moim obojczyku, piersi, brzuchu. Zadrżałam, niezupełnie z nerwów.

Bezwstydnie wyciągnęłam ręce i jęłam dotykać jego obleczonych w aksamit barków i muskularnej piersi. A potem, zapragnąwszy więcej, zaczęłam się szarpać, próbując uwolnić go z *farsetto*.

Giuliano usiadł.

- Proszę - powiedział, podstawiając mi kołnierz.

- Skąd, twoim zdaniem, miałabym wiedzieć, jak trzeba odpinać męską garderobę?

- Masz ojca...

- Ale ubiera go służący, a nie ja.

Zrobił uroczo zakłopotaną minę.

- Mnie też.

Oboje wybuchliśmy śmiechem. Giuliano zerknął na drzwi.

- O nie - powiedziałam. - Mówiłeś, że jestem uparta: pozwól, że jeszcze raz to udowodnię.

Była to ciężka bitwa, ale w końcu *farsetto* mi uległo. Tak jak Giuliano.

W dzieciństwie doświadczyłam raz błogosławionego ciepła, otwarcia, bezwarunkowego zjednoczenia. Byłam bardzo chora - tak chora, że otaczający mnie dorośli ściszone głosami mówili o mojej śmierci. Pamiętam ciężar na piersi, wrażenie tonięcia, trudności z oddychaniem.

Do komnaty przyniesiono sagany i drewnianą balię. Wypełniono ją gorącą wodą, a matka zanurzyła mnie w niej.

Kiedy znalazłam się po szyję w wodzie, para osiadła mi łagodnie na twarzy, ciepło przenikało mi kości. Popatrzyłam na zaczerwienioną skórę i - jak to dziecko - pomyślałam, że moje ciało roztopi się, rozplynie i zmiesza z tym ciepłem. Zamknęłam oczy z rozkoszy i czułam, jak skóra rozpuszcza się; nie było już nic oprócz bicia mojego serca i wody. Cały ciężar, który leżał mi na piersiach, ulotnił się, rozplynał w powietrzu.

Żyłam. Mogłam oddychać.

Z Giulianem było tak samo. Było mi ciepło, swobodnie. Doznawałam zjednoczenia.

Mogłam oddychać.

- Czy Leonardo namaluje mój portret? - zapytałam sennie. Leżeliśmy nadzy i zmęczeni pod delikatną pościelą i szkarłatną narzutą. Było już późne popołudnie, promienie zachodzącego słońca wlewały się do komnaty przez szpary między listwami okiennic, światło mieszało się z mrokiem niby słodycz z goryczą.

Naturalność aktu zaskoczyła mnie. Spodziewałam się, że będą mi potrzebne szczegółowe instrukcje, że będziemy się gubić i szarpać, ale pewność Giuliana i mój instynkt poprowadziły mnie jak należy. Po wysiłku zrobiło mi się zimno, ku memu zawstydzeniu Giuliano wezwał służącego, aby napalił w kominku. Siedziałam opatulona w pościel i nieruchoma, aż poszedł; dopiero wtedy pozwoliłam sobie na zapomnienie w ramionach Giuliana.

- Twój portret? - Giuliano westchnął przeciągle. - Tak, oczywiście. Ojciec go o to prosił. Leonardo jest okropnie niesolidny. Większości zamówień, za które ojciec zapłacił, nigdy nie skończył. Ale... - Uśmiechnął się do mnie chytrze. - Zażądam tego. Będę mu przypiekać stopy. Przykuję go łańcuchem w pracowni i nie uwolnię, póki nie ukończy dzieła!

Muszę mieć przecież twoją podobiznę na zawsze.

Roześmiałam się.

Giuliano wykorzystał wesoły nastrój, żeby poruszyć trudny temat.

- Umieściłem jednego z naszych najlepszych agentów w domu ser Antonia.

Od razu stałam się czujna.

- Ojciec jest głuchy na wszelkie argumenty.

Giuliano leciutko dotknął czubka mojego nosa, jakby próbował mnie pocieszyć.

- Wiem, poznałem go. Dzisiaj był zbyt zdenerwowany, by rozmawiać; jest wstrząśnięty i urażony. Daj mu trochę czasu. Mój człowiek poczeka kilka dni. Będziemy obserwować twojego ojca, żeby mieć pewność, że nie zrobi nic pochopnego.

Szpiedzy, pomyślałam z niepokojem. Ktoś będzie siedział przed domem ojca, obserwował go, a relacje o jego poczynaniach zdawał Giulianowi. Mimo to poczułam ulgę. W

każdym razie ojciec nie będzie mógł utopić się w Arno, bo ktoś mu w tym przeszkodzi.

- Mój człowiek jest w podeszłym wieku, pobożny i będzie traktował ser Antonia z należyтым szacunkiem. Byłem głupi, sądząc, że twój ojciec da się skusić pieniędzmi albo ziemią; to człowiek z charakterem. Wprawdzie nie podzielałam jego uwielbienia dla Fra Girolama, wiem, że musi się upewnić, iż wyszłaś za kogoś czcigodnego, pobożnego i że nie będziesz żyła w demoralizującym zbytku, ale poświęcisz się Bogu i mężowi. I wiesz co, Lizo

- dodał Giuliano bardzo poważnie, odwracając się ku mnie, gdyż leżałam z głową opartą na jego ramieniu. - Wierzę w Boga i potrzebę prawości, i jeśli twój ojciec zażąda, żebyśmy chodzili słuchać kazań Fra Girolama, zrobię to.

Jego oddanie ujęło mnie, ale słysząc ostatnie słowa, prychnęłam:

- To będziesz chodził sam - mruknęłam, choć to, co powiedział, wzbudziło we mnie nadzieję. Gdyby ukorzył się na tyle, by wycierpieć obecność na kazaniu swego śmiertelnego wroga, mój ojciec na pewno byłby tym poruszony... i cała Florencja też.

Mój wzrok powędrował do trzech malowanych paneli, które zakrywały całą ścianę naprzeciwko. Wcześniej w zdenerwowaniu zauważyłam tylko rozmyte plamy czerwieni, żółci i czerni: teraz zdałam sobie sprawę, że przedstawiają zaciętą bitwę. Straszliwie ostra lanca przebijała pierś jeźdźca, wysadzając go z siodła; powaleni ludzie i konie leżeli martwi lub konali wśród porzuconych hełmów i tarcz. Była to wstrząsająca, chaotyczna wizja zamieszania i wściekłości. Uniosłam głowę i zmarszczyłam brwi.

- Czy te obrazy zamówił twój ojciec?

- Właściwie nie - Giuliano się uśmiechnął. - Przejął je jako zapłatę za dług. To namalowana przez Uccella *Bitwa pod San Romano*, gdzie Florencja pokonała Sienę sto lat temu.

- Ale to taki straszny widok... Musiał być pierwszą rzeczą jaką Wawrzyniec widział po przebudzeniu, i ostatnią, którą widział przed zaśnięciem. Dlaczego chciał mieć w sypialni taki niepokojący obraz?

Giuliano wyskoczył nagi z łóżka i podszedł do środkowej części tryptyku.

- Ojciec lubił go nie dlatego, że jest brutalny, ale ze względu na ducha walki kapitana Niccola da Tolentino. Był to wielki bohater. Widzisz? Jest tu, pośrodku, prowadzi natarcie. -

Wskazał jedynego jeźdźca bez hełmu, w pierwszej linii, z lancą wycelowaną w serce przeciwnika. - Jest nieustraszony, nawet w obliczu wielkiej armii wroga pewien zwycięstwa.

Poza tym ten obraz to wspaniały przykład użycia nowej perspektywy. Spójrz na niego - za pomocą kciuka i palca wskazującego zmierzył jednego z leżących żołnierzy - i porównaj jego rozmiar do wielkości kapitana.

Powiodłam wzrokiem od jednej postaci do drugiej. Powalony rycerz był znacznie mniejszy niż da Tolentino.

- Jest taki mały! - Parsknęłam śmiechem. - Ale to sensowne; kiedy się patrzy na leżącego człowieka, jego ciało wygląda na krótsze niż jest w rzeczywistości. A tu spójrz, widzisz, jak maleńcy są ci żołnierze, żeby wydawało się, że walczą w oddali?

Giuliano uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Gdybyś nie była niewiastą, rzekłbym, że powinnaś być artystką! Nie wiedziałem, że jesteś taka bystra. Tak, to właśnie magia perspektywy. A Uccello był jednym z pierwszych malarzy, którzy ją stosowali. Ojciec znał się na sztuce. Piero i Giovanni nie mają pojęcia o tym, jak zdumiewające dzieła sztuki ich otaczają. Naprawdę szkoda.

- Wawrzyniec musiał cię bardzo kochać, że nauczył cię takich rzeczy - uśmiechnęłam się. Pomyślałam o Wawrzyńcu, schorowanym i otoczonym przez wrogów, który czerpał odwagę z wizerunku od dawna nieżyjącego rycerza.

Giuliano kiwnął głową trochę poważniej.

- Z całej rodziny ja rozumiałem go najlepiej. A on mnie. Piero jest bardziej podobny do matki, a Giovanni... - Znowu się roześmiał. - Nie wiem, kogo właściwie przypomina.

Może naszego pradziada Kosmę. Umie sprytnie zjednywać sobie ludzi i wykorzystywać ich przychylną do własnych celów.

Zapadł zmrok, Giuliano zapalił dwie świece od ognia w kominku i wrócił do łóżka.

Ułożył się koło mnie i westchnął z błęgiego wyczerpania.

- Czemu *piangoni* mieliby współdziałać z księciem Mediolanu, aby pozbawić Piera władzy? - zapytałam łagodnie.

Dobry humor opuścił go. Podparł się na łokciu, jego twarz skrywał cień.

- Nie bardzo wiem - odrzekł. - Ale to pewne, że pragną naszej zguby. Ojciec postępował często głupio, a nawet karygodnie. Okradł miejski fundusz posagowy, aby kupić godność kardynalską dla Giovanniego. W młodości bez skrępowań traktował wrogów. W

obronie rodziny był gotów zrobić wszystko. Wielu ludzi i wiele rodzin ma powody, by go nienawidzić. Ale z niezwykłą wprawą umiał się bronić, zjednywać sprzymierzeńców, a zwłaszcza w późniejszych latach potrafił rozpoznać, kiedy należy ustąpić czy zignorować tych, którzy mu grozili albo go obmawiali. - Zawiesił głos. - Piero i Giovanni... Są na swój sposób inteligentni, ale daleko im do ojca. Nie pojmują wagi opinii publicznej. Nie wiedzą, jak okazać... pokorę, zachowując swoją pozycję. A Piero... Słucha sprzecznych opinii doradców i ma taki mętlik w głowie, że nie wie już, co robić.

Powiedziałem mu, żeby tak jak ojciec, pojechał do Sarzany, do króla Ferrantego, i starał się zapobiec wojnie. Chciałem z nim wyruszyć. „Nie słuchaj doradców”, powiedziałem.

„Pozwól, że ja cię poprowadzę”. Ale jemu zależało, by udowodnić, że może to zrobić samodzielnie, bez mojej pomocy. Cóż, ojciec nigdy nie ukrywał, że jestem jego ulubieńcem.

Zawsze mówił Pierowi, że gdy stanie na czele rodziny, nie powinien podejmować żadnych działań bez porozumienia ze mną. A Piero był zazdrosny. Nie winię go za to... - Potrząsnął

głową. - Popełnił błąd, oddał Sarzahę i dwie pozostałe twierdze. Znam Piera, biedak nie wie, kogo słuchać, nie posłuchał więc nikogo i nerwowo wykonuje niewłaściwe ruchy.

Członkowie Signorii są wściekli i wysyłają Fra Girolama, by rozmawiał z francuskim królem.

Straszny zamęt. Mam nadzieję, że tym razem Piero posłucha mnie i uda się wszystko doprowadzić do porządku.

Widać było, że jest poruszony; miał bystry umysł Wawrzyńca połączony z urokiem stryja, po którym wziął imię. Fakt, że był najmłodszy, pozbawił go pozycji, do której był z natury predysponowany, i przez to wszystko mogło pójść źle.

- Ale *piangoni*... - starałam się go naprowadzić z powrotem na podjęty temat. - Czy Savonarola ma jakieś cele polityczne? Czy sam chce objąć rządy we Florencji... a może także w Mediolanie?

Giuliano zmarszczył brwi.

- Sprawa jest bardziej zawiła. Moi szpiegzy pracują nad tym... Jednym z nich był niewątpliwie Leonardo.

- Jak zawiła? Mamy czas...

Rozmowę przerwało nam pukanie do drzwi sypialni.

- Ser Giuliano? - powiedział męski głos. - Tak?

- Pański brat wrócił z Sarzany. Czekam na pana w komnacie jadalnej.

- Powiedz mu, że wkrótce przyjdę.

Wyskoczyłam z łóżka i włożyłam *camicia*. Giuliano popatrzył najpierw na mnie, potem *nzfarsełto* i nogawice porzucone w nieładzie koło kominka i wreszcie znowu na mnie.

- Przyślij Laurę i mojego pokojowca - zawołał. - Trzeba nas ubrać.



Gdy byliśmy już ubrani, Giuliano zaprowadził mnie na dół przez ogromny, pogrążony w ciszy pałac; nasze kroki odbijały się echem od lśniącego marmuru. Korytarze zdawały się bardziej puste, niż je zapamiętałam: większość dzieł sztuki została niepostrzeżenie wywieziona.

- Może nie powinnam tam iść - szepnęłam, gdy Giuliano podał mi ramię. - Piero będzie chciał rozmawiać o polityce.

Naprawdę jednak denerwowałam się na myśl o spotkaniu z nim. Mimo zapewnień Giuliana nie byłam wcale przekonana, czy najstarszy z braci Me-dyceuszy przystał na nasze małżeństwo z entuzjazmem. Przeżyłam już bolesne spotkanie z ojcem i nie chciałam, by to samo powtórzyło się z Pierem.

Giuliano zdawał się czytać mi w myślach.

- Masz rację, z początku brat nie chciał słyszeć o naszym małżeństwie. Ale nie dawałem za wygraną. Przekonałem go, że byłoby to bardzo korzystne politycznie. W końcu ludzie narzekali, że matka Piera pochodziła z rodziny Orsinich, a on na dodatek ożenił się z panną tego samego rodu. Powiedziałem mu: „Już związałeś się mocnym przymierzem z Orsinimi, a Giovanni jest kardynałem, dzięki temu mamy po swojej stronie papieża i Kościół.

Pora, byśmy teraz związali się z ludem, pokazali, że się nie wywyższamy i nie uważamy za królówjak powiadają”. I w końcu mnie posłuchał. A chociaż Alfonsina i Giovanni są przeciwni... cóż, nie wątpię, że podbijesz ich serca swoim urokiem.

Giuliano otworzył wysokie drzwi z rzeźbionego ciemnego drewna, a potem gestem ręki zaprosił mnie do środka.

Powitało mnie ciepło i światło. W ogromnym kominku huczał ogień, na długim biesiadnym stole kandelabr z ponad tuzinem płonących świec wydzieliał zapach podgrzanego wosku. Wszystkie ściany ozdobiono freskami przedstawiającymi sceny pastoralne: Bachusa z kiściami winogron, płasające nimfy i satyrów, którym Pan przygrywał na fletni.

Pierwszy z dwóch obecnych w sali mężczyzn przechadzał się przed kominkiem, gestykulując żywo. Był ubrany po książęcemu, w tunikę z sza-firowo-zielonego aksamitu, obszytą fioletowym atłasem. Pierś zdobił mu wielki ametyst wiszący na grubym złotym łańcuchu, brylanty na palcach migotały w świetle ognia. Miał szerokie bary i wąską talię, nogawice opinały się na potężnych udach i muskularnych łydkach. Z łatwością można go było sobie wyobrazić kopiącego piłkę na ulicach Florencji.

- Jak mieli czelność tak mnie znieważać! - wykrzykiwał. - I to teraz, gdy uratowałem miasto! Powinni mnie powitać jak bohatera, a zamiast tego... - Podniósł wzrok i skrzywił się gniewnie, że mu przeszkodziliśmy.

Drugi mężczyzna siedział przy stole. Zachowywał niewzruszony spokój, pieczołowicie odkrawając mięso od kości pieczonego bazanta. Był ubrany w szkarłatną kardynalską szatę, na głowie miał

czerwoną jedwabną piuskę, a na palcu sygnet z rubinem.

Kiedy weszliśmy, obrócił się na krześle, aby się nam lepiej przyjrzeć. Miał pulchne palce, grube wargi, dużą, okrągłą głowę i szeroką pierś. Odłożył nóż i widelec i wstał.

- Giuliano! A to kto? - Był zaskoczony, ale uprzejmy. Głęboki i pięknie brzmiący głos kontrastował z pospolitą twarzą i małymi, podejrzliwymi oczkami.

- Kto to? - jak echo powtórzył Piero. Wszedł w krąg światła rzucanego przez świece, ukazując twarz bardzo podobną do twarzy matki: o wąskich wargach i drobnym podbródku.

- Przecież pamiętasz, Piero. To moja żona, Madonna Liza Gherardini. Lizo, to mój brat Piero de' Medici.

Odpowiedź mojego męża wywołała okrzyk zdumienia kardynała.

- Córka Antonia, handlarza? Czy to żart?

- Nie obrażaj mojej żony - odparł Giuliano groźnie. - Gherardini to dobra rodzina.

Piero zgodził się niedawno na nasz ślub.

Piero machnął lekceważąco ręką.

- Tak, zgodziłem się, ale to nie pora na przedstawianie nam swojej młodej damy, kiedy wszystko nam się wali na głowę... - Ukłonił mi się lekko. - Wybacz, Madonna, mamy pilne i poufne sprawy do omówienia. Giuliano, możesz przedstawić nam narzeczoną trochę później.

- Liza zostanie, bracie. Należy do rodziny. Dziś rano ksiądz dał nam ślub.

Piero jęknął cicho. Giovanni opadł na siedzenie i przyłożył rękę do piersi. Kardynał

odezwał się pierwszy melodyjnym głosem. Mimo wzburzenia jego mowa była miła dla ucha.

- Będziecie musieli go unieważnić. Nie możesz marnować medycejskiego nasienia dla dziewczki z pospólstwa.

Zarumieniłam się ze złości, zapomniałam już o nerwach.

- To nie jest pospolita dziewczka, tylko moja żona - odparł z mocą Giuliano - i zostanie tutaj, pod dachem swojego męża. Małżeństwo zostało skonsumowane i na nic zda się mówić o unieważnieniu. Jeśli chodzi o naszą rozmowę, Liza i tak już wszystko wie. Obaj pocałujecie ją i powitacie w rodzinie.

Giovanni podniósł się i przyjrzał mi z zaciekawieniem. Podeszedł i wziął mnie za rękę; jego dłonie były miękkie i delikatne. Z nagłym przyływem szelmowskiego uroku uśmiechnął się i rzekł:

- Pocałuję cię, bo jesteś naprawdę piękna, Lizo. - Potem uniósł brew i zerknąwszy na Giuliana, dodał: - Ale z łatwością mogę załatwić...

- Nie chcę o tym słyszeć - przypomniał groźnie Giuliano.

- Dobrze więc - powiedział Giovanni z dyplomatyczną rezygnacją. - Usiądź obok mnie, Madonna Liza. Ty też, Giuliano. To wasza weselna uczta, czyż nie? Po tak gorliwym spełnieniu obowiązku małżeńskiego przyda się wam jadło. Zadzwońię po służbę. - Wstał i pociągnął za łańcuch zwisający z wnęki w ścianie nieopodal, po czym wrócił na miejsce i dał

ręką znak, żebyśmy usiedli.

Piero był zbyt wzburzony, by podać mi rękę albo pocałować. Pozostał po przeciwnej stronie stołu, Giuliano i ja usiedliśmy obok kardynała.

- Powitanie musi poczekać. Właśnie wróciłem z Signorii. - Rozłożył z desperacją ręce, jakby chciał powiedzieć: „Dałem im wszystko... czego jeszcze ode mnie chcą?” - Ocaliłem Florencję małym kosztem paru warowni i niedużej sumy dukatów...

- Iłu? - spytał Giovanni. Piero zniżył gwałtownie głos.

- Dwustu tysięcy.

Giuliano nie powiedział nic, lecz po prostu patrzył spokojnie na najstarszego brata; wyraźnie wiedział już o wszystkim.

Giovanni odstawił puchar z taką siłą, że wino przelało się przez brzeg naczynia i rozlało na stół.

- Jezus Maria! - jęknął Giovanni. - Co ci strzeliło do głowy? Nic dziwnego, że Signoria nie chce z tobą rozmawiać i nic dziwnego, że posłali tego chłystka, który bredzi o końcu świata, Savonarolę, do Pizy.

Piero skorzystał z okazji, by odwrócić uwagę od swojego błędu.

- Savonarolę? Do Pizy? Chyba drwią ze mnie całkiem otwarcie! Giuliano odezwał się zmęczonym, zirytowanym głosem:

- Nie czytałeś listu, który ci wysłałem? Piero uciekł wzrokiem w bok.

- Nie wiesz nawet, jaki byłem zajęty, w jakich znalazłem się opałach... Nie możesz mnie winić, że o czymś zapomniałem.

- Wcale go nie przeczytałeś - powiedział spokojnie Giuliano. - Gdybyś go przeczytał, wiedziałbyś, że Signoria jest wściekła z powodu tych fortec i pieniędzy. Francuzi śmieją się z nas, bracie. Nie spodziewali się, że zyskają

Sarzanę, a tym bardziej Sarzanelę i Pietrasantę, a w dodatku górę złota. Signoria słusznie się

gniewa. W liście prosiłem, żebyś wrócił jak najszybciej do domu, abyśmy mogli wspólnie zaplanować strategię przekonania ich.

Piero spuścił głowę, zgnębiony; niuanse dyplomacji przerastały go. Usiłował mimo to stawić słaby opór.

- Braciszku - powiedział ściszym głosem - musiałem zrobić to sam. Muszę działać samodzielnie, bo inaczej kto będzie mnie szanował? Nie jestem taki jak ojciec...

- Żaden z nas nie jest - odrzekł łagodnie Giuliano. - Ale we trzech możemy mu dorównać.

Powiedział to wyraźnie na wyrost, gdyż Giovanni wrócił do krojenia bązanta i przysłuchiwał się rozmowie z obojętnością postronnego obserwatora.

Przerwali kłótnię, gdy wszedł służący. Giovanni kazał mu przynieść wino i jadło „dla naszych kochanków”. Gdy tylko się oddalił, znów podjęli rozmowę.

Piero do tej pory zdążył znowu rozniecić w sobie oburzenie.

- Przecież zatrzymałem się przy naszym *palazzo*, kiedy wjechałem do miasta: nie jestem zupełnym głupcem. Przed loggią zebrał się tłum, który chciał wysłuchać mojego sprawozdania. Opowiedziałem im o dobrych nowinach i o tym, że wszystko sobie wyjaśniliśmy z Karolem. Postąpiłem tak, jak mi radziłeś: rozkazałem rozdać ludowi jadło i wino, tak jak ojciec po powrocie z rokowań z królem Ferrantem. Ale widocznie nikt nie był w nastroju do świętowania. Pili moje wino, jedli jadło, przez cały czas gapiąc się na mnie w milczeniu jakbym zrobił coś złego. Potem ruszyłem do Palazzo della Signoria. - Zwyczajowo politycy piastujący najwyższe urzędy we władzach Florencji rezydowali w Palazzo della Signoria podczas sprawowania rządów; jadali tam posiłki, a nawet sypiali. - A wiesz, co oni zrobili? Nie chcieli się ze mną spotkać! Wysłali do drzwi sługę, który powiedział: „Proszę wrócić jutro, teraz jedzą wieczerzę”! - Prychnął. - Nie jestem kompletnym głupkiem. Wiem, że ludzie narzekają. Dlatego postanowiłem nie ryzykować. Umówiłem się z Paolem.

Ośmiuset żołnierzy Orsinich, pięciuset konnych i trzystu piechurów, rozbiło obóz przy bramie San Galio i czekają teraz na sygnał w razie kłopotów.

- Kto ci doradzał, żebyś to zrobił? - Giuliano przycisnął dłonie do twarzy z niedowierzaniem i równie szybko je opuścił.

- Dovizi.

Ser Piero Dovizi był najbliższym doradcą Piera.

- Mówiłem ci setki razy: nie możesz ufać Doviziemu! Nie wydaje mi się, żeby leżały mu na sercu nasze interesy. Nie widzisz, jak to wygląda? Signoria i lud nie są zadowoleni, że działałeś bez ich przyzwolenia. A teraz przyprowadziłeś ze sobą wojsko. Czy nie mają podstaw przypuszczać, że zamierzasz przejąć pełnię władzy?

- Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił!

- Ale oni o tym nie wiedzą. Nasi wrogowie wykorzystują każdą okazję do podsycania plotek. Musimy być nadzwyczaj ostrożni, myśleć o tym, co mogą wywołać nasze działania.

Wszyscy włościanie, wszyscy obywatele, którzy mieszkają w pobliżu Porta San Galio, zobaczą wojska Orsinich. I co sobie pomyślą? - Giuliano potrząsnął głową. - Wiesz, co głosił

Savonarola? W zeszłym tygodniu, kiedy dowiedzieliśmy się, że Francuzi splądrowali Fivizzano i przelali krew niewinnych ofiar?

Pomyślałam ó Michale Aniele siedzącym cicho w wielkim dumie w San Lorenzo, słuchającym i zapamiętującym dokładnie wszystko, o czym jest mowa.

- Oznajmił wiernym, że już dwa lata temu przewidział nadejście Karola, kiedy powiedział, że miecz Boży spadnie z nieba i zmiecie wszystkich florenckich grzeszników.

Innymi słowy, zmiecie nas i każdego, kto nie zgadza się z Fra Girolamem. Nie widzisz, że Savonarola wykorzystuje ich lęk, wzbudza strach, że między Florencją a Francją wybuchnie wojna? I właśnie o tym myślą, kiedy widzą wojska Orsinich u bram. Dlaczego nie radzisz się mnie w takich sprawach?

Piero pochylił głowę i spojrział w stronę ognia; na jego twarzy nie było już widać buty i złości.

- Próbowałem być taki, jak chciałby tego ojciec. Ale chociaż bardzo się staram, nie wychodzi mi. Postąpiłem tak, jak mi mówiłeś: usiłowałem wypertraktować z królem Karolem wolne przejście. Alfonsina jest na mnie o to wściekła, nie chce ze mną rozmawiać. Mam przeczucie, że zostanie w Vaiano a Poggio na zawsze. Musiałem okłamać Paola Orsiniego, żeby dostać jego wojska: Paolo nic nie wie o tym, że zamierzam dać Karolowi wolne przejście. Papież znienawidzi nas, gdy się o tym dowie. Co mam robić?

- Pohamuj temperament, to po pierwsze - rzekł Giuliano rzeczowo.

- I żadnych następnych nieprzemyślanych kroków. Porozmawiajmy o tym, jak zachować się jutro na spotkaniu z Signorią, pójdziemy tam razem. Jeśli chodzi o Alfonsinę, Orsinich i papieża, o ich przebaczenie postaramy się później. Florencja musi być na pierwszym miejscu.

- Przynajmniej ty potrafisz zachować trzeźwość umysłu - powiedział Piero melancholijnie na znak, że się poddaje.

Pojawiła się służka z winem i pucharami, prowadząc służących z półmiskami pełnymi drobiu, zajęcy i sarniny, serów, bułek i wszelkich wyobrażal-nych smakołyków. Piero usiadł i jadł z nami, lecz pozostał strapiony i nie próbował się włączyć do beztroskiej rozmowy. Ja też jadłam, ale jak Piero byłam pełna obaw i nie odrywałam wzroku od Giuliana.

Tamtego wieczoru czekałam samotnie w sypialni Wawrzyńca na męża, który naradzał

się z braćmi nad jutrzejszym spotkaniem z Signorią. Byłam wyczerpana po nieprzespanej nocy, a mimo to nie mogłam zasnąć. Żałowałam ojca, tęskniłam za Zalummą i prawie odchodziłam od zmysłów, usiłując się domyślić, jaką karę wymierzy jej za pomoc w mojej ucieczce. Martwiłam się

też tym, co się stanie, gdy nazajutrz Giuliano uda się z braćmi do Signorii; postanowiłam, że przekonam go, aby tam nie jechał - do diabła z Florencją - albo przynajmniej wziął mnie ze sobą. Niczym dziecko bałam się, że gdy tylko się rozdzielimy, już nigdy więcej go nie zobaczę.

Leżałam w pościeli z szeroko otwartymi oczyma. Światło lampki i ognia palącego się w kominku rzucało migotliwe refleksy na ściany i na bitwę pod San Marco. Długo wpatrywałam się w kapitana, tak jak wielokrotnie musiał się w niego wpatrywać Wawrzyniec.

Ogień był spory - służba Medyceuszy nie żałowała drewna - i zaczęłam się pocić pod aksamitem i futrzanymi narzutami. Wstałam i uchyliłam okno.

Na zewnątrz niebo było zachmurzone i bezgwiazdne; zimne powietrze pachniało deszczem. Wystawiłam rękę, a gdy ją cofnęłam, była mokra od mżawki.

- *Ecce ego adducam aquas super terram* - wyszeptałam, nie zdając sobie z tego sprawy. „Oto sprowadzam powódź na ziemię”.

Giuliano przyszedł do mnie kilka godzin przed świtem. Lampka wciąż się paliła, jej światło wydobywało z mroku drobne zmarszczki wokół jego oczu - oczu, które mogłyby należeć do mężczyzny dziesięć lat starszego niż on. Nie rozmawiałam z nim o polityce ani o spotkaniu z Signorią, ani nawet o tym, że chciałabym mu towarzyszyć. Przytuliłam go i oddaliśmy się miłości. Zasługiwał na to i niczego innego nie potrzebował.

Był dziewiąty listopada. Poranek był tak mroczny, że spaliśmy do późna. Obudziłam się, słysząc w głowie głos umierającego Wawrzyńca.

„Spytaj Leonarda... Trzeci człowiek. Zawiodłem cię... Teraz Leonardo, on i dziewczyna...”

A potem drgnęłam ze strachu, przypominając sobie, jak zachował się mój ojciec, a następnie, co gorsza, że Giuliano obiecał towarzyszyć tego dnia bratu na spotkaniu z Signorią.

Po chwili uświadomiłam sobie, że to kościelne dzwony biją na niedzielną mszę. Nigdy jeszcze nie słyszałam tak głośnego ich chóru: byłam przyzwyczajona do dzwonów Santo Spirito, teraz jednak, w środku miasta, słyszałam dzwony San Marco, San Lorenzo i Santa Maria del Fiore - wszystkich pobliskich kościołów.

Obok mnie, na brzuchu i z jednym ramieniem nad głową, a drugim przy boku spał

Giuliano, głuchy na dźwięki zza okien.

Wyślizgnęłam się po cichu z łóżka i wzięłam srebrzystą *camicia*, tym razem starannie złożoną na krześle. Zadrzałam, kiedy ją wkładałam. Ogień zmienił się w ciepły popiół.

Ostrożnie, żeby nie obudzić Giuliana, zdjęłam z łóżka jedno z futer i owinęłam się nim.

Otworzyłam drzwi do antykamery, zamierzałam wyjść na korytarz i zawołać służbę.

Powitał mnie powiew ciepła. W kominku huczał rażno ogień, tuż za drzwiami rozparty w fotelu siedział mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna. Był najwyższym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałam - prawie gigantem, muskularnym i grubokościstym. Szpada, z rękojeścią lśniącą pomarańczowym światłem, wisiała mu przy pasie. Duża skórzana tarcza leżała oparta o ścianę.

W masywnych dłoniach trzymał małą książeczkę, a gdy otworzyłam drzwi, zatrzasnął

ją z zażenowaniem. Jak większość córek florenckich kupców umiałam czytać na tyle, że rozpoznałam *Raj* Dantego. Olbrzym położył książkę na podłodze i wstał, posyłając mi rozbrajający uśmiech. Musiałam zadrzeć głowę, żeby spojrzeć na niego.

- Dzień dobry, Madonna Liza. - Mówił studziennym basem. - Mam nadzieję, że dobrze pani spała. Czy zawołać służbę? Kogoś, kto dorzuci drwa do kominka?

- Potrzebuję tylko Laury i miski gorącej wody. Mój mąż śpi, gdybyś więc, panie, mógł

zrobić to jak najciszej...

- Oczywiście. - Ukłonił się i ruszył do drzwi prowadzących na korytarz. Na zewnątrz dwaj kolejni uzbrojeni mężczyźni wstali, gdy ściszym głosem wydawał im polecenia.

Wróciłam z powrotem do sypialni i zobaczyłam, że Giuliano już się obudził.

Powitałam go radośnie gorącymi pocałunkami, jakby obecność straży w ogóle mnie nie przestraszyła.

Udaliśmy się na mszę do rodzinnej kaplicy, gdzie zastaliśmy Michała Anioła i kilku bliskich współpracowników Medyceuszy. Później zjedliśmy obiad z Pie-rem, Giovannim i Michałem Aniołem - znowu uzbrojeni strażnicy stali tuż za drzwiami. W drodze do jadalni Giuliano wyjaśnił, że zwykle bracia spożywali posiłki w towarzystwie przyjaciół i doradców, dzisiaj woleli jednak prywatność. Nie mogłam oprzeć się myśli, że „bezpieczeństwo” byłoby tu bardziej odpowiednim słowem, zważywszy, że korytarze były pełne strażników.

Giovanni zachowywał uprzejmą rezerwę i zdawał się nie przejmować bliskim spotkaniem najstarszego brata z Signorią; jeśli wciąż żywił nadzieję na anulowanie małżeństwa Giuliana, zachował to dla siebie. Michał Anioł patrzył na talerz, z rzadka tylko podnosząc nieśmiało wzrok na mnie albo kogoś innego. Nie zdawałam sobie sprawy, jak dosłowny był Giuliano, gdy powiedział, że Wawrzyniec wychował Michała Anioła jak syna.

Istotnie, bracia traktowali go jak równego sobie.

Piero marszczył czoło i często rozmasowywał kark, jakby go bolał; widać w nim było nadzwyczajne napięcie. Giuliano, opanowany i miły, skupił się na uspokojeniu mnie i Piera.

Rozmawialiśmy o niczym, aż Giuliano powiedział radośnie:

- Szczęście nam sprzyja. Antonio Loreno jest dziś *proposto*. - Domyśliłam się, że Loreno należy do przyjaciół Medyceuszy. Rzeczywiście to dobry splot okoliczności, bo *proposto* był jedynym z członków rady, który miał prawo poddawać sprawę pod obrady.

Dzisiaj to Loreno dzierżył klucze do dzwonnicy, z której Signoria wzywała na plac wszystkich Florentyńczyków.

- Loreno? - Piero z odrobiną nadziei podniósł wzrok znad talerza. Giuliano pokiwał głową.

- Już on dopilnuje, żeby nas wpuszczono przed oblicze Signorii. - Zawiesił głos. - Jak myślisz, jaka pora będzie najlepsza na spotkanie? Może późne popołudnie? W czasie nieszpórów? Wtedy przynajmniej nie będą mieli wymówki, że są pochłonięci innymi sprawami albo jedzą wieczerzę.

Piero zastanowił się nad tym, a potem przyjął pomysł, jakby sam go wymyślił.



- Tak. - Kiwnął stanowczo głową. - Pójdziemy w czasie niesporów. Chcę, żebyś mi towarzyszył. I dwudziestu zbrojnych. I... Dovizi.

Giuliano wzniosł oczy i westchnął z irytacją.

- Kogo zamierzasz słuchać? Mnie czy jego? Czyżbyś zapomniał, co ci mówiłem wczoraj wieczorem? Wszystko, co ci doradził, zraziło do nas obywateli. On już nie jest naszym przyjacielem.

- Słucham ciebie - odparł Piero - ale chcę, żeby Dovizi był tam obecny. Dla zachowania pozorów.

Z nieprzeniknionego wyrazu twarzy Giuliana wnosiłam, że nie jest zadowolony.

Ni stąd, ni zowąd Michał Anioł przełamał nieprzyjemną ciszę najbardziej nieodpowiednim, nieśmiało wypowiedzianym oświadczeniem:

- Jutro wyjeżdżam do Wenecji.

Żaden z braci nie zareagował na tę nowinę.

Dzień upłynął zbyt szybko. Giuliano musiał się zająć interesami i spotkać z agentem banku, chociaż podejrzewałam, że agent ów informował go raczej o sprawach politycznych, a nie finansowych. Laura rozczesała mi włosy, a potem upięła je w kok z tyłu głowy i nałożyła jedną ze złotych siateczek Madonny Alfonsiny.

- W końcu - rzekła - jesteś, pani, teraz mężatką, więc nie powinnaś nosić rozpuszczonych włosów niczym panna.

Potem oprowadziła mnie po kuchniach i innych pomieszczeniach pałacu, nie wyłączając komnat żony Piera Alfonsiny i ich dzieci. Później pokazała mi bibliotekę z sięgającymi wysoko półkami z pięknie rzeźbionego drewna, na których stały niezliczone oprawne w skórę tomy i zwoje pergaminu.

Wybrałam książkę Petrarcki, jego *Canzoniere*, zawierające ponad trzysta sonetów.

Większość innych woluminów była po grecku (greki w ogóle nie znałam) albo po łacinie (w której czułam się niepewnie). Zabrałam niedużą książeczkę do sypialni Wawrzyńca i -

uśmiechnąwszy się życzliwie do olbrzymiego niczym Goliat towarzyszącego mi strażnika -

usadowiłam się w fotelu koło świeżo rozpalonego ognia, aby oddać się lekturze.

Uznałam Petrarke za bezpieczny wybór. Pisał po tokańsku, w języku, który nie wymagał zbyt wiele mojej łatwo rozpraszającej się uwagi, a jego poezja miłosna przypominała mi o powodach mojej radości: o Giulianie. Gdy jednak przerzucałam kartki, nie znajdowałam nic prócz cierpienia. Wiersz za wierszem opisywał nie piękno namiętności, lecz smutek i wewnętrzne rozdarcie, których była przyczyną. Oto biedny Petrarca oplakujący śmierć Laury, swej nigdy nieodwzajemnionej miłości:

*Różane usta, w których się Anieli*

*Niebiańskim Rajem z nędzy ziemskiej śmieli -*

*Wszystko to Boskie w proch rozwiało słowo! Jam jednak żywy, mimo śmierci w duszy\*.*

Zaśmiałam się z łez, które zakręciły mi się w oczach, i otarłam je, ganiąc się w duchu; nigdy dotąd nie płakałam przy lekturze poezji. Następne wersy wzbudziły we mnie jeszcze większy niepokój:

*Tak jest, gdyś ze mną, lecz mój duch umiera*

*Z odejściem twym, niebiański zachwyty się rozwiewa.*

*Zostaję sam z okrutną gwiazdą przeznaczenia\*\*.*

Okrutna gwiazda przeznaczenia. Przypomniało mi się coś, o czym od dawna nie myślałam: spotkanie z astrologiem i raniące słowajaki wyrzekłam do matki, która starała się oszczędzić mi zmartwień. W głowie rozbrzmiewał mi głos astrologa: „W twoich gwiazdach widziałem akt przemocy, jeden w twojej przeszłości, drugi w przyszłości”.

\* Przekład Felicjana Faleńskiego (przyp. tłum.). \*\* Przekład Stefana Jankowicza (przyp. tłum.).

Pomyślałam o matce konającej pod dotykiem Savonaroli i ogarnął mnie nagły, nierozumny lęk, że Giuliano - moja przyszłość - będzie następną ofiarą mnicha.

- Przestań - powiedziałam na głos, a potem spojrzałam zawstydzona na drzwi, czy olbrzym po drugiej stronie mnie usłyszał. Nie dobiegł mnie żaden dźwięk, wszystko pozostało nieruchome. Potrząsnęłam głową dla otrzeźwienia, zmarszczyłam brwi i jęłam czytać dalej. Uparłam się, żeby znaleźć coś szczęśliwego, coś radosnego - dobry znak, który zaprzeczyłby złemu omenowi.

Znowu przerzuciłam strony i znalazłam kolejny wiersz napisany potoczystym tokańskim dialektem Petrarcki:

*// successor di Karlo che la chioma*

*Co la corona del suo antiquo adorna*

*Prese a gia l'arme perjiacchar la corna*

*A Babilonia, et chi da lei si noma*

*Dziedzic Karola, który włos swej skroni*

*W przepaskę jego zdobi, wziął już srogi*

*Bulat w dłoń dzielną, aby przytrzei rogi*

*Tym, co się hardzie zwą Babiloni\*.*

Zatrzasnęłam książkę, odłożyłam ją i podeszłam do kominka. Bił od niego żar ognia; skrzyżowałam ręce na piersiach jak najmocniej, jakbym próbowała powstrzymać w ten sposób strach. Czułam, że wszystko wiąże się ze sobą: Leonardo, trzeci człowiek, śmierć Wawrzyńca, *piangoni*... I ja.

Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam *Bitwę pod San Marco* Uccella. Barwne proporce łopotały na wyimaginowanym wietrze. Kapitan Tolentino był dzielny i waleczny, lecz cym razem zdawał się bardzo osamotniony, jakby wkrótce miał ulec wrogom.

Giuliano nie wracał do późnego popołudnia - pora jego wyjazdu do Palazzo della Signoria była już bliska. Wezwałam Laurę i poleciłam, by dopilnowała, żeby zobaczył się ze mną przed planowaną wizytą.

Nie udawał już przede mną optymizmu; jego oczy były poważne, czoło lekko zmarszczone. Przyproceedził ze sobą pokojowca, który ubrał go w ponurą ciemnoszarą tunikę pozbawioną ozdób.

\* Przekład Felicjana Faleńskiego (przyp. tłum.).

Kiedy służący się oddalił, powiedziałam lekko:

- Wyglądasz jak *piangone*. Nie uśmiechnął się.

- Wkrótce muszę iść. Czy Laura pokazała ci, gdzie są apartamenty Giovanniego?

- Tak.

- To dobrze. - Umilkł na chwilę. Wiedziałam, że stara się dobrze dobrać słowa. - Jeśli z jakiegoś powodu Piero i ja zabawimy zbyt długo... jeśli nasz powrót będzie się opóźniał albo zdarzy się cokolwiek, co cię zaniepokoi, idź natychmiast do Giovanniego. On będzie wiedział, co czynić.

Skrzywiłam się, niezadowolaniem i dezaprobatą maskując obawy.

- Cóż miałoby mnie zaniepokoić? Czemu miałabym iść do Giovanniego?

Usta mojego męża drgnęły nieznacznie. Postanowił być ze mną szczery.

- Nasze rzeczy są spakowane. Giovanni wie, gdzie czekają, i wie, dokąd cię zabrać.

Uzgodniliśmy miejsce, gdzie możemy się spotkać. Jeśli zatem nie będziemy wracać...

- Chcę jechać z tobą. Nie mogę tu zostać.

Roześmiał się cichym, urywanym śmiechem, pozbawionym humoru. To oczywiście oburzające: byłam kobietą, a kobiet nie przyjmowano w Pałaz-zo della Signoria. Znałam też Giuliana i wiedziałam, że nigdy nie pozwoliłby mi towarzyszyć sobie w niebezpiecznym przedsięwzięciu.

- Lizo. - Czułym gestem położył dłonie na moich ramionach. - Zawarliśmy umowę z królem Karolem; Signorii może się ona nie spodobać. Byłem głupcem, że pozwoliłem, by Piero nadal słuchał

Doviziego: wszystko, do czego zachęcił mojego brata, postawiło naszą rodzinę w złym świetle. Nie powinienem dopuścić, by sprawy zaszły tak daleko; za bardzo dbałem o interesy banku, zbyt dużo spraw politycznych pozostawiłem w rękach Piera. Nie spodoba mu się to, ale od tej chwili mam zamiar zaangażować się w sprawy publiczne. Dovizi nie będzie dziś spał pod naszym dachem. Od tej pory Piero będzie słuchał tylko moich rad.

Zawiesił głos i spojrzał w stronę okna. Wiedziała, że nasłuchuje dzwonów.

- Musisz już iść, prawda? Ujął w dłonie moją twarz.

- Kocham cię. - Złożył mi na ustach słodki pocałunek. - I wkrótce wrócę, obiecuję.

Nie martw się.

- Dobrze - powiedziała. O dziwo, zdołała zachować pozory spokoju. - Pozwolę ci odejść, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim? - Starał się, aby zabrzmiało to żartobliwie.

Wciąż dręczył mnie związek między listem Leonarda a ostatnimi słowami Wawrzyńca i bałam się, że to ostatnia możliwość poznania prawdy.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie. Kim jest trzeci człowiek? Ten pokutnik?

Spojrzał na mnie spod zmarszczonych brwi, osłupiały.

- Po tylu latach wciąż pamiętasz, co mówił ojciec? - Po chwili opanował się. - On umierał. Nie wiedział, co mówi.

- Nie jesteś dobrym kłamcą. Co miał na myśli? Giuliano opuścił barki z rezygnacją.

- To jedyny człowiek, który uciekł - odparł i w tej samej chwili rozległo się bicie dzwonów.

Drgnęliśmy oboje, ale nie dałam za wygraną. Czas naglił, a ja poczułam gwałtowną potrzebę poznania prawdy, jakby od tego miały zależeć nasze losy.

- Uciekł? Przed czym?

- Schwymano wszystkich zamieszanych w spisek przeciwko mojemu stryjowi. Ale jeden człowiek uciekł.

- Twój ojciec go widział?

Pokręcił głową i wyraźnie zaniepokojony odwrócił się do drzwi.

- Leonardo go widział, mój stryj umarł w jego ramionach. Lizo, muszę iść. Pocałuj mnie.

Ogarnął mnie taki lęk, że chciało mi się płakać, lecz mimo to spełniłam jego życzenie.

- Strażnicy stoją tuż za drzwiami - rzekł cicho. - Powiedzą ci, jeśli będziesz musiała pójść do Giovanniego. Zostań tu. Laura przyniesie ci coś do jedzenia. - Otworzył drzwi, a potem odwrócił głowę, by spojrzeć na mnie ostatni raz. Wyglądał tak młodzieńczo w świetle ognia, oczy lśniły niepokojem. - Kocham cię.

- Ja też cię kocham - powiedziałam.

Zamknął drzwi. Podeszłam do okna i otworzyłam je, nie bacząc na zimno. Chmury wreszcie się rozstały i zobaczyłam koralowopomarańczowe słońce stojące nisko na niebie.

Wychylałam się przez chwilę, słuchając dzwonów, i patrzyłam, jak Piero i Giuliano wyjeżdżają konno w towarzystwie trzydziestu żołnierzy.

- Leonardo - powiedziałam, choć nikt nie mógł mnie usłyszeć. Coś wiązało nas ze sobą i z kłopotami, które z pewnością nadciągały.

Słuchałam bicia kościelnych dzwonów. Zdawały się spływać harmonijną kaskadą dźwięków, aż wreszcie ostatnia nuta rozbrzmiała w wibrującym powietrzu. Czułam, że powinnam zejść na dół do kaplicy, gdzie Giovanni i Michał Anioł bez wątpienia słuchali wieczornej mszy; czułam, że powinnam modlić się do dobrotliwego Boga mojej matki o bezpieczeństwo męża. Byłam zbyt wzburzona, by według zalecenia Giuliana czekać cierpliwie w sypialni.

Miałam na sobie ślubną suknię, bo Zalumma nie przybyła z resztą moich rzeczy, a ponieważ zrobiło się zimno, włożyłam wspaniałą wierzchnią szatę z brokatu, obszytą futrem.

Coś mnie tknęło, wyjęłam z biurka dwa złote medaliony, które Laura schowała tam, gdy rozbierała mnie zeszłego wieczoru. Wsunęłam je do wewnętrznej kieszonki sukni i wyszłam do antykamery.

Olbrzym skoczył na nogi.

- Czegoś ci potrzeba, Madonna Liza?

- Nie. Pójdę tylko do kuchni po coś do jedzenia - skłamałam radośnie i posłałam mu swój najpiękniejszy uśmiech.

Strażnik miał strapioną minę.

- Ser Giuliano rozkazał... Uśmiechnęłam się jeszcze weselej.

- Że mam siedzieć w pokoju. Wiem. Ale powiedział też, że gdybym zgłodniała, nic się nie stanie, jeśli pójde do kuchni. Poza tym znudził mi się Petrarca. Chcę wziąć z biblioteki jakąś inną książkę.

- Możemy przynieść ci jedzenie: co tylko zechcesz. A jeśli powiesz, pani, jaką książkę...

- Przecież nie znam tej biblioteki, skąd mam wiedzieć, o jaką książkę prosić. -

Uderzyłam w błagalny ton. - Proszę. Nie będzie mnie tylko chwilkę.

- No dobrze - odparł z wahaniem. - Ale z całym szacunkiem muszę prosić, abyś się, pani, nie ociągała. Ser Giuliano nigdy by mi nie wybaczył, gdyby po powrocie dowiedział się, że nie wiem, co się z tobą dzieje. - Ruszył przodem, otworzył drzwi i cichym głosem poinstruował o czymś dwóch strażników. Kiedy szłam w głąb korytarza, słyszałam, jak jeden z nich idzie za mną, zachowując dyskretnie pewną odległość.

Zeszłam na parter, mijając kolejnych uzbrojonych wartowników. Oczywiście, nie miałam zamiaru iść do kuchni, chciałam tylko pospacerować. I tak zawędrowałam na dziedziniec.

Wyglądał prawie dokładnie tak, jak go zapamiętałam: pośrodku stał lśniący, dziewczęcy posąg Dawida, odlany w brązie przez Donatella, obok kamienne popiersie Platona. Wiele starożytnych dzieł zniknęło, przede wszystkim zaś zwróciłam uwagę na brak terakotowej podobizny starszego

Giuliana.

Słyszałam o słynnych ogrodach medycejskich i wiedziałam, że znajdują się za dziedzińcem. Przeszłam między parą kolumn połączonych łukiem z *pietra serena* i przemierzyłam loggię, aż do miejsca, gdzie budynek znowu się otwierał.

Zobaczyłam ogród wielkości jednej trzeciej ogromnego pałacu. Pośrodku soczyście zielonego trawnika przecinały się dwie brukowane ścieżki obrzeżone szpalerami posadzonych w donicach drzewek owocowych. Między drzewkami rosły krzewy róż, cierniste i poprzycinane przed nadchodzącą zimą. Za krzewami w regularnych odstępach stały naturalnej wielkości rzeźby na wysokich piedestałach. Moją uwagę przykuł posąg przedstawiający Hebrajkę Judytę z dłonią zaciśniętą na włosach powalonego wroga, Holofernesa. W drugiej, uniesionej nad głowę ręce dzierżyła duży miecz, gotowa do zadania ciosu, którym dokona krwawego dzieła i odetnie głowę Holofernesowi.

Na chodniku pod murem ułożone w równe stosy leżało mnóstwo broni i uzbrojenia: tarcze, hełmy, maczugi, długie miecze, kordziki i lance, podobne do tych z arcydzieła Uccella.

Na ich widok przeszył mnie dreszcz: przez cały czas Medyceusze przygotowywali się do walki.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam małą grupkę żołnierzy. Stali nieopodal, gawędząc dla zabicia czasu; urwali rozmowę, by spojrzeć na mnie z zaciekawionymi, nieprzyjaznymi minami.

Może, powiedziałam sobie, to po prostu sprawka Piera - skutek jego niepewności i nieufności - podobnie jak oddziały Orsinich, które oczekiwały na jego rozkazy przy bramie San Galio. Może Giuliano wcale się na to nie zgodził albo nie uważał tego za konieczne.

Podeszłam do jednego ze stosów i ostrożnie wyciągnęłam sztylet - najmniejszy, jaki znalazłam. Żołnierzom nie spodobało się to, jeden poruszył się, jakby *zamierzał podejść i powstrzymać* mnie, *lecz inni* go powstrzymali. Teraz należałam przecież do rodziny Medyceuszy.

„Wysunęłam sztylet z pochwy i uniosłam klingę, aby obejrzeć ją w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Była z czystej stali, obosieczna, z ostrzem ostrym niczym brzytwa. Z ciężkim westchnieniem wsunęłam ją z powrotem do skórzanej pochwy, a potem schowałam w wewnętrznej kieszeni wierzchniej szaty.

Strażnik, który wyszedł za mną z domu, czekał pod łukiem arkady. Posłałam mu harde spojrzenie, wiedząc, że widział, jak biorę broń; nic nie powiedział.

Potem udałam się do biblioteki. Miałam dość Petrarcki, chciałam czegoś obojętnego, a trudnego, czegoś, co pozwoliłoby mi zapomnieć o niewesołej sytuacji. Tym razem wybrałam elementarz łaciński. Uznałam, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem i konflikt między Signorią a Pierem uda się załagodzić, powinnam pogłębić swoją znajomość klasyki, gdyż będę przyjmować na dworze wielu uczonych. Nie chciałabym przynosić wstydu mężowi i uchodzić za niewykształconą prostytutkę, poza tym już zaczęłam się przejmować tym, jak wywrzeć dobre wrażenie na nowej szwagierce.

Wróciłam do komnaty i zamknęłam za sobą drzwi, co opiekujący się mną strażnicy przyjęli z wielką ulgą. Zdjęłam wierzchnią szatę i przewiesiłam ją przez oparcie krzesła, a potem usiadłam przy ogniu. Książka była przeznaczona do uczenia dzieci. Otworzyłam ją i przeczytałam: *Video, vi-des, uidet, videmus, videtis, vident...* Widzę, widzisz, widzi, widzimy, widzicie, widzą. Gdybym była spokojna, przeczuciłabym szybko kartki, ale moje myśli były tak rozproszone, że wpatrywałam się tępo w stronicę. Aby się skoncentrować, zaczęłam czytać na głos.

Mamrotałam tak pod nosem zaledwie kilka minut, gdy przerwał mi odgłos za oknem -

niskie, melancholijne bicie dzwonu powszechnie zwanego „krową”, gdyż jego dźwięk przypominał muczenie.

Był to dzwon, który wzywał wszystkich obywateli Florencji na Piazza delia Signoria.



W ypuściłam książkę z rąk, podbiegłam do okna i otworzyłam je na oścież. Nie zapadł

jeszcze zmrok i wyteżyłam wzrok, spoglądając w kierunku Piazza della Signoria. Dzwon rozkołysał się i bił teraz szybciej, patrzyłam, jak służący wychodzą z pałaców na ulicę, przechodnie zatrzymują się i odwracają głowy w stronę placu, przerażeni. Pod moim oknem oddziały żołnierzy wybiegały pośpiesznie z pałacu, każdy żołnierz z tarczą przy piersi i dobytym mieczem w zaciśniętej dłoni.

Z rozpaczą starałam się myśleć rozsądnie. Obywatele zostali wezwani, ale nie ma żadnego powodu, by zakładać, że rada chce obalić Piera. Równie dobrze mogło chodzić o ogłoszenie jego triumfu.

Przez całą wieczność wychylałam się przez okno i tak jak inni czekałam na znak.

Minęło kilka bolesnych chwil, zanim nadszedł: zaczęło się od cichego, oddalonego pomruku ze wschodu i południa, który stopniowo przerodził się w jeden wyraźny głos, niesiony wiatrem nad miasto.

*Popolo e liberta! Popolo e liberta!*

Pomyślałam o siedzącym na koniu Messerze Iacopie, który na próżno próbował

skrzyknąć i zjednać dla swojej sprawy ludzi na wielkim placu. Teraz na tym samym placu był mój mąż i jego brat, a ich wysiłki okazały się równie bezowocne.

Pomyślałam o zwłokach Messera Iacopa, napuchniętych i błękitnobłędnych, wykopanych z mogiły i włóczonych po ulicach miasta.

Na ulicy służący wbiegali do pałaców, zatraskując drzwi; przechodnie rozpięchli się, biegnąc w kierunku placu lub uciekając w przeciwną stronę.

Odeszłam od okna i szybko włożyłam wierzchnią szatę. Nie przyniosłam tu ze sobą niczego, nie miałam więc nic do zabrania, ale instynktownie zatrzymałam się przy drzwiach.

Wysunęłam szufladę biurka, wzięłam list od Leonarda i wrzuciłam w ogień.

„Idź do Giovanniego”, powiedział mi mąż.

Wyszłam do antykamery i stwierdziłam, że strażnicy zniknęli. Wybiegłam na korytarz i zobaczyłam pędzącego ku mnie Michała Anioła. Jego nieśmiałość wyparty niepokój i pośpiech; tym razem patrzył mi prosto w oczy. Zatrzymaliśmy się, o mało się nie zderzywszy; oddech miał nierówny i ciężki, jak ja.

- Gdzie Giuliano? Czy wrócił? - spytałam. Zaczął mówić jednocześnie ze mną.

- Madonna, musisz uciekać! Idź szybko do Giovanniego!

- Giuliano...

- Nie widziałem go. Chyba nie wrócił. Wiem jednak, że chciałby, abyś poszła, pani, do jego brata.

Wziął mnie pod łokieć i poprowadził po schodach na dół, przez dziedziniec, potem innymi schodami w górę. Popychał mnie, tak że nie byłam w stanie biec, dwa razy o mało się nie przewróciłam, przydepnąwszy sobie spódnice.

Kiedy dotarliśmy do celu, Michał Anioł otworzył drzwi. Giovanni, ze spokojem gestykulując rękami, instruował dwóch służących, gdzie powinni zanieść jego spakowane kufry. Dopiero gdy podniósł wzrok, dostrzegłam nerwowość w jego oczach, ale głos miał

całkowicie opanowany.

- O co chodzi? - Zdawał się poirytowany, a wręcz rozgniewany, że mu przeszkodziliśmy.

- Musisz się zająć Madonną Lizą - odrzekł szorstko Michał Anioł z wyraźnym niezadowoleniem. - Obiecałeś to bratu. Tam, gdzie ja się wybieram, nie byłaby bezpieczna.

- A, tak. - Pstryknięciem palców kardynał oddalił służących, którzy z wysiłkiem wynieśli ciężkie kufry. - Oczywiście.

Michał Anioł zwrócił się do mnie.

- Oby Bóg sprawił, że spotkamy się znowu w lepszych okolicznościach. To rzekłszy, wyszedł. Na korytarzu zabrzmiały pośpieszne kroki. Szkarłatna szata i czerwona aksamitna piuska Giovanniego prezentowały się bez zarzutu. Kardynał był świeżo ogolony i uczesany, jakby przygotowywał się do spotkania z jakimś znamienitym gościem. Był zbyt roztargniony, a może zbyt przestraszony, by udawać. Patrzył na mnie bez życzliwości. Byłam dla niego dodatkową uciążliwością, pomyłką.

- Idź się spakować - powiedział. - Poślę po Laurę, żeby ci pomogła. Nie wierzyłam mu ani przez chwilę. Pokazałam swój strój.

- Nie mam nic do spakowania. To wszystko, co ze sobą przywiozłam. - Co było prawdą, jeśli nie liczyć zgrzebnej brązowej sukienki, którą kazał mi nosić ojciec. Z radością się jej pozbyłam.

- W takim razie idź do swoich komnat. - Kardynał przyjrzał mi się uważnie, po czym dodał: - Posłuchaj, nic się nie stało: po prostu kilku członków Signorii usiłuje wszcząć zamieszki. Przy odrobinie szczęścia moi bracia - zawahał się, zanim wymówił dwa ostatnie słowa; wiedziałam, że chce powiedzieć „Giuliano” - zdołają zaprowadzić spokój. Ja wyjeżdżam, aby im pomóc. - Westchnął ciężko, jakby z rezygnacją postanowił okazać mi miłosierdzie. - Nie martw się, nie zostawię cię tutaj.

- Dziękuję - odrzekłam.

- Idź. Polecę Laurze, żeby dotrzymała ci towarzystwa. Przemierzyłam pałac i wróciłam do sypialni Wawrzyńca. Nie mogłam powstrzymać się od wyglądania przez otwarte okno, mimo że komnata

wypełniła się zimnym powietrzem. Na zewnątrz zapadł już zmrok, w wieczornej szarówce widać było migoczące płomienie pochodni w oddali. Poruszały się wzdłuż via Larga od zachodu, z San Marco. Ci, którzy je nieśli, wołali: *Palle! Palle! Palle!*

Wpatrywałam się w ciemne postaci materializujące się w mroku. Większość jechała konno, nieliczni szli pieszo; musieli to być zamożni obywatele ze służbą, prawdopodobnie przyjaciele i rodziny z pałaców przy via Larga, z enklawy Medyceuszy. Blask pochodni odbijał się od błyszczących ostrzy mieczów, od naszyjników ze złota i szlachetnych kamieni.

Ustawiali się w bojowym szyku obok żołnierzy strzegących pałacu medycejskiego.

*Palle! Palle!*

Zbliżający się z przeciwnej strony, z Piazza delia Signoria, tłum wznosił okrzyk: *Popolo e liberta!* Ciemne postaci słabo oświetlały podpalone szmaty przywiązane do długich patyków albo kijów od szczotek.

*Abaso le palle!* Precz z kulami!

Ostre widły, czubki powyginanych lanc, zaokrąglone drewniane maczugi sterczały na tle ciemniejącego nieba.

Na chwilę przed tym, zanim obie siły się spotkały, z szeregów medycejskich wyłonił

się nowy oddział. Ze swego odległego punktu obserwacyjnego nie mogłam rozpoznać twarzy

- nawet oblicza jeźdźca, który trzymał lampę. Ale bez trudu rozpoznałam szkarłatny płaszcz, szerokie bary i godną pozę: to Giovanni wyjeżdżał powoli, otoczony przez żołnierzy z dobytą bronią.

- *Palle!* - zawołał do zbliżających się tłumów pięknym, donośnym głosem. - Zacni obywatele Florencji, wysłuchajcie mnie!

Ale zacni obywatele Florencji nie chcieli słuchać. W powietrzu świsnął kamień, który trafił w bok czarnego wierzchowca kardynała. Koń stanął dęba, Giovanni zdołał go uspokoić, lecz decyzja została podjęta: zamiast ruszyć na nieprzyjaciela, kardynał i jego oddział

pogalopowali na północ, boczną uliczką.

Mogłam się tylko modlić o to, by Giovanni nadal zamierzał pojechać na główny plac.

Kiedy kardynał i jego orszak zniknęli z widoku, gniewni obywatele ruszyli do przodu.

Zdawało się, że jest ich nieskończenie wielu, tłum rozciągał się, jak okiem sięgnąć. Do pieszych dołączyli zamożniejsi wrogowie Medyceuszy, na koniach z maczugami, lancami, mieczami i tureckimi szablami.

Zorientowawszy się, że nieprzyjaciel ma przewagę, wielu stronników Medyceuszy odjechało,

zostawiając pałacowe straże bez wsparcia.

Widziałam upiorne postacie, słyszałam upiorne odgłosy: kmiecia z brzuchem przebitym żołnierską lancą, uniesionego w powietrze; kupca, który osunął się na kolana, gdy maczuga roztrzaskała mu czaszkę, powalonego strażnika, co wrzasnął chrapliwie, gdy chłop nadział go na widły. Inny buntownik pochylił się, żeby podnieść upuszczoną pochodnię, i jego odzież zajęła się ogniem.

Obraz Uccella riie zdołałby nigdy uchwycić zapachów, hałasu, ruchu skłębionych ciał i zamieszania. Przedstawił walkę jako paradę, ja zobaczyłam w niej szaleństwo.

Pode mną - niosąc się echem przez dom - rozlegało się gwałtowne dudnienie, odgłos metalu i pięści walących o drewno. Niektórzy z buntowników dotarli do drzwi.

Laura nie przyszła i wiedziałam, że już się nie zjawi. Postanowiłam opuścić komnatę, lecz gdy odwracałam się od okna, moją uwagę przykuło gorączkowe zamieszanie w bocznej alei.

Galopujący jeźdźcy trzymali pochodnie i lampy, oświetlając sobie drogę w gęstniejącym mroku. Za nimi biegł wściekły, hałaśliwy tłum. W nadziei, że jest tam Giuliano, wychyliłam się przez parapet. Kiedy oddział zbliżył się do fasady pałacu, rozpoznałam Giovanniego. Dopiero gdy znalazł się niemal dokładnie pod moim oknem, usłyszałam jego desperackie okrzyki:

- Precz... z Pierem... *Popolo e liberta!*

Rozjuszeni obywatele, którzy gonili go aż tutaj, i inni, którzy obrzucali jego i strażników kamieniami, zupełnie słusznie wołali: „Zdrajca! Zdrajca!” Uciekłam od okna. Zadarłam wysoko spódnicę i zbiegłam po schodach, puściłam się pędem korytarzami, przez dziedziniec i loggię, aż do ogrodu. Teraz nie było tam już żadnej broni - tylko Giovanni, wycieńczony i zasapany, szedł w kierunku pałacu z dwoma żołnierzami za plecami.

- Widziałeś go? - zawołałam. Wrzawa za murami była okropna.

Giovanni sprawiał wrażenie pochłoniętego swoimi sprawami, poprzednią życzliwość zastąpiło chłodne zdecydowanie. Minał mnie bez słowa, nie zwalniając nawet kroku, a gdy pobiegłam za nim, rzekł tylko szorstko:

- Nie zdołałem przedrzeć się na plac.

- I nie widziałeś Giuliana?

- Piero jest tutaj. - Wskazał za siebie.

Podbiegłam do drewnianego ogrodzenia i otworzyłam zaryglowaną bramę. Wyszłam na drugą stronę i znalazłam się na rozległym niebrukowanym placu przy stajniach. W

powietrzu unosił się smród łąjna, słomy i zgrzanych, spienionych koni. Trzydzieści, może czterdzieści wierzchowców trzymanyh za uzdę przez jeźdźców przestępowało nerwowo w miejscu; ludzie

nawoływali się, omawiali strategię wyjazdu, tak by doznać najmniejszych strat. Przypatrywałam się ich twarzom, lecz nie odnalazłam tej, której szukałam.

- Giuliano! - krzyknęłam. - Gdzie jest Giuliano?

Większość mężczyzn, zaaferowanych bitewnym zamieszaniem, nie zwróciła na mnie uwagi; kilku zerknęło z zaciekawieniem, ale żaden nie odpowiedział.

Ktoś mocno zacisnął rękę na moim ramieniu. Odwróciłam się i zobaczyłam Piera ze spoconą, ponurą twarzą i dzikim spojrzeniem.

- Gdzie Giuliano? - powtórzyłam.

- Nie poszło dobrze - powiedział jeszcze oszołomiony klęską. - Niech diabli wezmą Lorena: zdradził nas, nie chciał nas wpuścić przez główną bramę. Nie mogłem znieść takiej zniewagi: „Wejdźcie sami, bocznymi drzwiami i odłóżcie broń”. Kim dla niego jestem, sługą?

Zdenerwowałem się, powiedziałem, żeby poszli wszyscy do diabła, a Loreno, ten bastard, oddał klucz do dzwonnicy moim wrogom... Złapałam go za rękę.

- Gdzie jest Giuliano?! Cofnął się trochę.

- Giuliano... jest wciąż na placu, usiłuje uspokoić tłum. - Widząc moją wściekłość, dodał pośpiesznie: - To był jego pomysł, nie chciałem go zostawiać, wie, że ma się ze mną spotkać przy bramie San Galio...

Odwróciłam się od niego z obrzydzeniem. Kiedy szłam do stajni, zaczęłam obmyślać plan działania.

- Jedź z nami! - zawołał za mną Piero.-Właśnie wynoszą moje rzeczy... Jesteś spakowana?

Nie odpowiedziałam. Prawie wszystkie przegródki dla koni były puste. Starszy mężczyzna kłócił się z dwoma żołnierzami, krzyknęłam głośniejsz niż oni:

- Konia! Potrzebuję konia, natychmiast!

- Zaraz, hola - odparł mężczyzna, bez wątpienia koniuszy. Odezwał się władcym tonem; w podnieceniu musiał mnie wziąć za jedną z pokojówek, ale przyjrząwszy się sukni, prędko się zmiarkował. - Proszę wybaczyć, Madonna...Jesteś pani żoną Giuliana, tak? - Na pewno to on przygotował powóz, którym przywieziono mnie do pałacu. - Potrzebuje pani wierzchowca? Czy ser Piero o tym wie? Myślałem, że uznał karoceę za bezpieczniejszą, poza tym twoje bagaże...

- Zmienił zdanie - odrzekłam. - Nie mam żadnych bagaży. Powiedział, że muszę dostać konia, natychmiast. - Zgromiłam go wzrokiem.

Do stajni weszło sześciu uzbrojonych mężczyzn.

- Czy powozy załadowane? - zapytał jeden z nich. - Ser Piero chce dużo siana i wody, na długą

podróż.

Staruszek gestem podniesionej dłoni kazał im zaczekać, po czym zwrócił się do mnie.

- Pani, widzisz, że brakuje mi koni... - Odwrócił się do żołnierzy.- Siana i wody też...

Wściekła i roztrzęsiona, odwróciłam się i odeszłam, mijając obojętnie żołnierzy.

Przechodziłam od jednej przegrody do drugiej, koniuszy dalej spierał się ze strażnikami.

W jednej przegrodzie - prawie na samym końcu rzędu - stała klacz, którą koniuszy zachował zapewne dla siebie. Była już osiodłana, z wędzidłem w pysku, i parsknęła, gdy podeszłam. Miała siwe umaszczenie i czarną plamkę na pysku. Otworzyłam furtkę i weszłam do przegrody, klacz zrobiła krok do tyłu, skłoniła głowę i spojrzała na mnie niespokojnymi, ciemnymi oczami.

- Zaraz, hola - powiedziałam, bezwiednie powtarzając słowa koniuszego.

- Jeśli ktoś tu się boi, to ja. - Ostrożnie dotknęłam dłonią miękkich, drgających nozdrzy. Szybki oddech konia ogrzał mi skórę. - Mogę cię dosiąść?

- spytałam. Denerwowałam się na samą myśl. Byłam przyzwyczajona do podróży powozami, ojciec uważał, że niewiasty nie nadają się do konnej jazdy. Jeśli chodzi o mnie, miał rację. Sprawa była trudna. Obie byłyśmy spłoszone, a ja za niska. Dopiero gdy stanęłam na odwróconym do góry dnem wiadrze, zdołałam się wdrapać niezdarnie na koński grzbiet.

Długa suknia z trenem skomplikowała zadanie. Gdy już znalazłam się w siodle, owinęłam spódnicę wokół nóg, pozostawiając luźno tylko wierzchnią szatę.

Klacz była przyzwyczajona do bardziej stanowczej ręki niż moja, ale dałam jej swobodę, wiedząc, że sama wybierze najkrótszą drogę ze stajni. Na szczęście po drodze nie natknęłam się na koniuszego.

Zaraz za stajnią dałam się klaczy prowadzić, znała drogę z dziedzińca na via Larga.

Uzbrojeni strażnicy tłoczyli się przed zaryglowaną bramą zwieńczoną zabójczo ostrymi kolcami i okratowaną żelaznymi prętami grubymi jak moje ramię. Po drugiej stronie krat widziałam czarne postacie żołnierzy stojących w migoczącym świetle ognia. Byli prawie nieruchomi, jako tylna straż nie uczestniczyli w walce, stanowili ostatnią linię obrony przed zbuntowaną tłuszcą.

Z boku, tuż przy bramie stał samotny żołnierz.

Podjechałam do niego i pochyliłam się do przodu.

- Hej, ty tam. Otwórz bramę.

Podniósł na mnie wzrok, nawet słabe światło nie mogło skryć faktu, że uznał mnie za szaloną.

- Madonna, rozerwą cię na strzępy.

- W tym zamieszaniu nikt nie zauważy, skąd wyjeżdżam. Nikt mnie nie zna, nie jestem uzbrojona, kto miałby mnie zaatakować?

Potrząsnął głową.

- To zbyt niebezpieczne dla damy.

Obmacałam kieszeń wierzchniej szaty - odsuwając na bok sztylet - wyciągnęłam jeden z medalionów, nie patrząc na to, który mi się trafił. Złoto zabłysło w blasku pochodni.

- Masz. Jest wart więcej niż floren. Może nawet znacznie więcej. Wziął go, przyjrzał

się ze zmarszczonymi brwiami, w końcu zorientował się, co trzyma. Rozejrzał się wstydliwie dookoła i bez słowa uchylił bramę na tyle, na ile pozwolili napierający od zewnątrz ludzie.

Klacz i ja przecisnęłyśmy się z trudem, szorstkie żelazo zadrapało mi skórę na obnażonych łydkach i poszarpało delikatną materię sukni.

Potem brama zatrzasnęła się za mną, a rygiel zasunął z ponurym nieodwołalnym zgrzytem.

Znalazłam się w środku oddziału około czterdziestu żołnierzy strzegących bramy.

Stali ciasno ramię przy ramieniu. Klacz przeciskała się między nimi, przesiąknięte potem ciała ocierały się o mnie.

- Madonna! - zawołał jeden z nich.

- Skąd ona się tu, do diabła, wzięła? - krzyknął inny.

Tren nadziewał się na obnażone miecze, ostrza cięły mi spódnicę, raniły moją skórę i boki klaczy, która rżała żałośnie. Ja jednak prowadziłam ją stanowczo, uparcie do przodu.

Przed nami w świede pochodni zatkniętych na murach pałacu toczyła się bitwa.

Postaci żołnierzy rzucały cienie na zbuntowanych obywateli, czarne zarysy wzniesionych mieczy kładły się daleko poza zasięg rzeczywistych kling, zdając się przebijać ludzi stojących nawet w znacznej odległości.

Wprowadziłam spłoszoną klacz na pole zaciętej walki. Powietrze było zimne, przesycone gryzącym dymem i smrodem palonego łoju. Hałas przyprawiał o utratę zmysłów: dzwon Signorii wciąż bił, konie rżały, ludzie przeklinali się i lżyli, inni wznosili bojowy okrzyk Messera Iacopa.

Nie słyszałam jednak, by ktokolwiek odpowiadał im: *Palle! Palle!*

W migodiwym świede cienie tańczyły dookoła tak szybko, że trudno było odróżnić wroga od sprzymierzeńca. Nie było barwnych chorągwi, uformowanych w zdyscyplinowanym szyku oddziałów z wyraźnie oznaczonym nieprzyjacielem i równymi rzędami lanc; z pewnością nie było też bohatera,

który poprowadziłby szturm. Czyjś miecz świsnął tuż za mną, o włos mijając moją obnażoną nogę; poczułam pęd powietrza wzburzonego przez klingę.

Ruszyłam do przodu, nasze miejsce szybko zajął jakiś kміeć.

Nie widziałam żołnierza, który zadawał ciosy, lecz widziałam ich skutki. Miecz opadł

i wbił się z chrzęstem w obojczyk buntownika. Kmieć wrzasnął przenikliwym i dzikim głosem, tak że strach było słuchać. Krew ciemną plamą spłynęła po koszuli i zmieszała się z mrokiem. Ranny osunął się z jękiem na kolana z mieczem wciąż tkwiącym w ciele, niewidoczny żołnierz z wysiłkiem próbował wyszarpnąć klingę. Wreszcie wyrwał ją i zadał

kolejny cios, tym razem w głowę, z taką mocą, że na mgnienie oka w powietrzu, niczym czerwona aureola, zawisł obłok rozbryzgującej się krwi.

Ofiara padła do przodu, objając się o kopyta mojej klaczy.

Odwróciłam głowę, żeby obejrzeć się za siebie, i napotkałam wzrok zabójcy: był to żołnierz Medyceuszy, ledwie w wieku Giuliana, o rozkojarzonych oczach pełnych trwogi. Nie zauważył, że jestem kobietą w strojnej sukni i bez broni ani że wyjechałam z pałacu. Zdawał

się wiedzieć tylko tyle, że powinien unieść miecz i zadać następny cios. A teraz ja stałam mu na drodze.

Pochyliłam głowę i spięłam klacz do galopu. Przedarliśmy się przez tłum, kolana i łokcie objały mi się o ludzi, metal i drewno.

Wkrótce zostawiłam za sobą walczących i ruszyłam na wschód przez via Larga, mijając loggię i główną bramę pałacu, gdzie zaledwie kilka lat wcześniej Wawrzyniec wprowadzał mnie przez próg. Strażnicy Medyceuszy bili się w małych, rozproszonych grupkach, nikt jednak nie bronił już wielkich drzwi, które buntownicy starali się staranować ciężką drewnianą belą. Pojechałam uliczką, gdzie wcześniej galopował Giovanni, uciekając przed tłumem. Minęłam kościół San Lorenzo i baptysterium Świętego Jana, aż dotarłam do Piazza del Duomo. Po drodze natykałam się na małe grupki ludzi - trzech jeźdźców, kilku mnichów, ojca i matkę uciekających z kwilącymi dziećmi na rękach.

Dopiero pod Duomo gęstniejący tłum zmusił mnie do zwolnienia jazdy. Ze wszech stron otoczyli mnie młodzi mężczyźni, dwaj z nich trzymali płonące gałęzie. Unieśli je wyżej, aby mi się lepiej przyjrzeć.

Byli to *giowni*, uliczni łotrzykowie.

- Ale damulka - zawołał jeden z nich drwiąco. - Taka ładna panusia z kiecką zadartą aż po uda! Patrzcie, jakie zgrabne nóżki!

Zmarszczyłam gniewnie brwi i niecierpliwie rozejrzałam się dokoła. Wielu ludzi znajdowało się w promieniu mojego głosu, ale dzwon Signorii był tu znacznie głośniejszy, a wszyscy krzyczeli i biegli



w stronę placu. Nikt nie usłyszy wołania samotnej niewiasty. Nie chciałam krzyżeć, w każdym razie... jeszcze nie teraz.

- Zróbcie przejście - warknęłam i wyszarpnęłam z kieszeni sztylet. Wyciągnęłam go razem z pochwą.

*Giovani* zarechotali szyderczo.

- Patrzcie *no*) - zawołał jeden z nich. - Liza di Antonio Gherardini ma pazurki!

Był chudy, miał spiczasty podbródek, puszyste blond loki i łysinę na czubku głowy.

- Raffael! - Z ulgą opuściłam sztylet, rozpoznając syna rzeźnika. - Raf-fael, dzięki Bogu. Muszę przejechać...

- Muszę przejechać! - zarechotał przedrzeźniającym tonem Raffael. Jeden z jego kumpli zachichotał. - Spójrzcie na nią. To jedna z nich. Nie dalej jak dwa dni temu wyszła za Giuliana Medyceusza.

- Córka kupca? - zdziwił się któryś. - Kłamiesz!

- Jak Boga kocham - odparł stanowczo Raffael. Jego słowa i wyraz twarzy sprawiły, że wyciągnęłam sztylet z pochwy. - Co się stało, *Mona Liza*? Czyżby Giuliano już cię porzucił?

Zacisnęłam dłoń na rękojeści.

- Muszę przejechać i przejadę... Raffael uśmiechnął się złośliwie.

- Spróbuj.

Coś świsnęło kolo mnie w ciemnościach, klacz zarżała i stanęła dęba. Trzymałam się z desperacją, lecz drugi kamień trafił mnie w nadgarstek, który zapiekł niczym ogień. Jęknęłam bezgłośnie i upuściłam broń.

Poczułam następny kamień i jeszcze jeden. Świat się zachwiał. Straciłam równowagę, cugle wypadły mi z ręki, a ja, obijając się o konia, wylądowałam na twardym bruku.

Leżałam na boku, zamroczone z bólu i przerażona, bo nie mogłam zaczerpnąć tchu.

Nad moją głową pojawił się płomień; zmrużyłam oczy, gdy zawirował wraz z resztą otoczenia. Wkrótce przysłoniła go twarz Raffaella, na wpół ocieniona, na wpół uśmiechnięta.

- Marna z ciebie księżniczka - powiedział zgryźliwie. - Nie umiesz utrzymać się w siodle ani trzymać broni. Patrz. - Znów przed moimi oczami pojawił się sztylet. - Tak się trzyma nóż. - Klinga obróciła się ostrzem do mnie. - A tak się go używa...

Powietrza! Znacznie bardziej niż sztyletu bałam się tego, że nie mogę oddychać, żebra, moja klatka piersiowa, nie chciały się ruszyć. Świat pociemniał jeszcze bardziej, zatracił kontury.

Usłyszałam inny głos:

- Nie możemy się z nią najpierw zabawić? A potem jeszcze inny:

- Tu? Na widoku?

- A kogo to obchodzi! Nikt nawet na nas nie spojrzy!

- Z kobietą świeżo wychędożoną przez Medyceusza? - powiedział Raffael z odrazą.

Sztylet, rozmazana srebrzysta plama, przysunął się, poczułam ostrze na gardle; gdybym przełknęła ślinę, przekłułoby skórę. Widziałam dłoń Raf-faela i czarną rękojeść.

Potem ręka i sztylet rozplynęły się w ciemności.

Czyżbym umarła? - zastanawiałam się. Ale nie: czułam, jak ból rozsada mi głowę i pulsuje w barku. Zachłusnęłam się i łapczywie, jak tonący, wessałam powietrze.

W tym stanie widziałam tylko zamglone cienie, przez stukot końskich kopyt, bicie dzwonu i wrzawę tłumu dolatywały mnie pojedyncze słowa.

Nad sobą widziałam ludzi na koniach, którzy trzymali pochodnie - wydawało mi się, że są ich setki, olbrzymów o wydłużonych czarnych sylwetkach, niosących płomienie, które lśniły niczym wielkie pomarańczowe brylanty.

Jeden z jeźdźców przemówił, w jego głosie pobrzmiewała godność człowieka na wysokim stanowisku.

- Co robicie z tą damą? Raffael odrzekł nieśmiało:

- To wróg ludu... narzeczona Giuliana... szpieg...

Mężczyzna na wierzchowcu odpowiedział coś krótko. Usłyszałam: „delia Signoria...

pod ochroną”. Podniesiono mnie. Kłujący ból sprawił, że krzyknęłam.

- Cicho, Madonna. Nie chcemy cię skrzywdzić.

Przerzucono mnie przez koński grzbiet, brzuch przycisnął się mocno do wygarbowanej skóry, głowa i nogi zwisały przy bokach zwierzęcia. Jakiś człowiek usadowił

się w siodle za mną, ocierając się o moją talię i biodro; cugle musnęły mi plecy.

Ruszyliśmy. Ciężar włosów sprawił, że uwolniły się ze złotej siateczki, która spadła na ziemię - jakiś szczęśliwiec znajdzie skarb. Policzek odbijał mi się od spienionego końskiego boku, aż pękła mi warga. Poczułam słony smak krwi. Widziałam tylko ciemny bruk, słyszałam dzwon i krzyki. Oba dźwięki stawały się coraz donośniejsze - wreszcie dzwonienie było już tak głośne i nieustępliwe, że świdrowało mi czaszkę; znaleźliśmy się na Piazza delia Signoria. Próbowałam się wyprostować, unieść głowę, żeby zawołać Giuliana.

Ale jeździec przycisnął mnie mocno do dołu.

Kiedy jechaliśmy przez plac, tłum z prędkością błyskawicy przebiegła fala podniecenia. Ludzie krzyczeli wysokimi, oszalałymi głosami.

- Patrzcie: oto i on, łajdak!

- Tam, w górze! W trzecim oknie! Patrzcie, jak dynda!

- *Abaso le palle!* Śmierć Medyceuszom!

Wiłam się niczym ryba na haczyku, włosy spływały mi do przodu, zasłaniając oczy; rozgarniałam je palcami, usiłując coś zobaczyć, nawet zwisając głową do dołu, ale na próżno.

Widziałam tylko cienie postaci, ściśniętych jedna przy drugiej.

Ogarnęła mnie panika, gdy pomyślałam o Francescu de'Pazzim zwisającym nago z okna, z wbitymi w bark zębami martwego arcybiskupa Salvatiego. Przypomniały mi się słowa ojca: „Osiemdziesięciu ludzi w pięć dni... wyrzucono z okien Palazzo delia Signoria”.

Zwisłam bezwładnie.

- Giuliano - wyszeptałam, wiedząc, że w tej wrzawie nikt mnie nie usłyszy. - Giuliano

- powtórzyłam i się rozplakałam.

Umieścili mnie w celi w Bargello, więzieniu przylegającym do Palazzo. Cella była ciasna, brudna i pozbawiona okien. Miała poplamioną podłogę i trzy ściany, gdzie w kątach srebrzyły się pajęczyny. Czwartą ścianą składała się z kamiennego muru sięgającego do pasa, wyżej z grubych żelaznych prętów do samego sufitu i żelaznych drzwi. Na podłodze rozrzucono trochę siana, pośrodku stało duże drewniane wiadro, które służyło jako wygodka.

W samej celi nie było światła, musiała nam wystarczać pochodnia umocowana na ścianie w korytarzu.

Siedziałyśmy tam we trójkę: ja, Laura i niewiasta trzykrotnie starsza ode mnie, ubrana w olśniewające szaty z ciemnofioletowych jedwabi i aksamitów. Przypuszczam, że należała do rodu Tornabuonich, szlacheckiej rodziny, z której pochodziła matka Wawrzyńca.

Kiedy strażnik wprowadził mnie do celi - jęczącą z bólu - udałam, że nie poznaję Laury. Nawet wiele godzin po odejściu żołnierza nie wymieniłyśmy między sobą spojrzenia.

Pierwszej nocy zostawiono nas w spokoju. Strażnik, który mnie zamknął, zniknął. Po pewnym czasie dzwon - ogłuszająco bliski, bo z sąsiedniej dzwonnicy - wreszcie przestał bić.

Poczułam ulgę, ale trwała krótko. Później, godzina za godziną, słyszałyśmy, jak tłum na zewnątrz ucisza się i po chwili milczenia wiwatuje hałaśliwie.

Wyobrażałam sobie, że słyszę jęk napinającej się liny.

Kobieta z rodu Tornabuonich, siwa i delikatna niczym perła, skręcała w rękach chusteczkę i płakała bez przerwy. Nie bacząc na pająki, siedziałam oparta plecami o ścianę w kącie, wyciągnąwszy posiniaczone nogi, okryte porozdzieranymi i brudnymi spódnicami.

Laura siedziała obok mnie, przyciskała kolana do piersi i obejmowała je ramionami. Kiedy tłum ucichł na chwilę, zapytałam cicho:

- Giuliano...? Odpowiedziała, udręczona:

- Nie wiem, Madonna, nie wiem...

Rano zabrali Laurę i nigdy nie przyprowadzili jej z powrotem.

Tłumaczyłam sobie, że w oświeczonej Florencji nigdy nie dokonywano egzekucji na kobietach, chyba że były najnikczemniejszymi morderczyniami... albo zdrajczyniami. Z

pewnością wypuścili Laurę na wolność, w najgorszym razie wypędzili z miasta.

Pocieszałam się też faktem, że gawieź już nie ryczy na placu. Cisza musiała oznaczać, że egzekucja się skończyła.

Stałam niepewnie na nogach, stęknęłam z bólu w zeszywniałym barku.

Najdrobniejszy ruch przynosił przeszywające klucie. Moje członki odrętwiały z zimna, kamienna podłoga i ściany mroziły jak lód. O wiele bardziej niepokoił mnie jednak fakt, że zgubiłam obrączkę ślubną i drugi złoty medalion.

Minęłam panią Tornabuoni i przystanąłam przy zardzewiałych drzwiach. Staruszka przestała już płakać i stała, chwiejąc się na nogach ze zmęczenia, gdyż nie usiadła od minionego wieczoru. Jej oczy wyglądały niczym dwa sińce na kredowobiałej twarzy, odcinającej się ostro od ciemnego fioletu sukni. Zerknęłam na nią, w odpowiedzi posłała mi spojrzenie pełne beznadziei i wściekłości; odwróciłam się szybko.

Nasłuchiwałam kroków strażnika. Kiedy przebywała ze mną Laura, nie chciałam wymawiać imienia Giuliana, żeby nie ściągać na nią podejrzeń, teraz jednak wprost cisnęło mi się na usta. Kiedy wreszcie się pojawił, zawołałam półgłosem:

- Jakie nowiny? Jakie wieści o Giulianie Medyceuszu?

Nie odpowiedział od razu, podszedł jednak i przystanął przed drzwiami. Jął

przerzucać w palcach pobrzękujące klucze, mruczając coś pod nosem, wreszcie wybrał jeden i spróbował otworzyć zamek. Nie udało się, wziął inny, podobny: ciemny i zaśniedział z nieużywania; klucz chrząścił i zgrzytał w zamku, ale w końcu drzwi ustąpiły, rozchylając się z przeciągłym piskiem.

- Giuliano Medyceusz.- Skrzywił się z odrazą.-Jeśli masz jakieś wieści o tym łotrze, lepiej wyśpiewaj wszystko jak na spowiedzi, kiedy przyjdzie pora.

I przestał zwracać na mnie uwagę.

- Madonna Carlotta - powiedział nie bez życzliwości. - Czy zechcesz, mi, pani, towarzyszyć? To prosta sprawa. Signoria chce ci zadać kilka pytań. Nie mają zamiaru robić ci, pani, żadnej krzywdy.

Jej wzrok i ton wyrażały czystą złośliwość.

- Żadnej krzywdy... Wyrządzili mi już największą z możliwych krzywdę!

- Mogę wezwać na pomoc kolegów - odrzekł szczerze.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, a potem staruszka wyszła i stanęła u jego boku.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi, usłyszałam zgrzyt zamka.

Nie przejmowałam się tym. Było mi wszystko jedno., „Jeśli masz jakieś wieści o tym łotrze, lepiej wyśpiewaj wszystko...”

Objęłam się ramionami, nie czując nawet bólu w barku. Takie rzeczy mówi się tylko o żywych. Giuliano uciekł, a oni nie wiedzą dokąd.

Wróciłam do swojego kąta i usadowiłam się tak wygodnie, jak się tylko dało. Oparłam bark o zimną ścianę, by uśmierzyć ból. Słyszałam dzwony kościelne, ale zdrzemnąłam się trochę i nie pamiętałam liczby uderzeń.

Kiedy się obudziłam, powzięłam decyzję: przyznam się, że wyszłam za Giuliana.

Podobne przestępstwo nie musiałyby jeszcze oznaczać mojej śmierci - nawet Wawrzyniec, mimo mściwego szału, oszczędził niewiasty z rodziny Pazzich. Najprawdopodobniej czekałoby mnie wygnanie, dzięki czemu mogłabym odnaleźć męża.

Rozmyślałam nad tym, jakich słów użyję podczas składania zeznań w obecności członków Signorii. Ze swadą będę się rozwodzić nad troską Giuliana o Florencję, podkreślę, że ożenił się ze mną, córką kupca, co dowodzi jego poczucia wspólnoty z mniej zamożnymi obywatelami.

Wreszcie usłyszałam kroki strażnika i brzęk kluczy. Niezdarnie podźwi-gnęłam się na nogi. Mimo wewnętrznego przekonania i wspaniałego planu ręce mi się trzęsły, a język kleił

do suchego podniebienia.

Obok strażnika szła Zalumma z oczami błędnymi i szeroko otwartymi. Kiedy mnie dostrzegła, westchnęła z ulgi i radości, a zarazem przerażenia. Myślę, że stanowiłam opłakany widok.

Żandarm podprowadził ją do kraty mojej celi, a potem cofnął się o krok. Wyciągnęłam rękę, ale przestrzeń między prętami była tak mała, że ledwo wcisnęłam tam palce.

- Nie dotykać się! - warknął strażnik.

Opuściłam rękę. Widok Zalummy wydarł mi z piersi szloch tak głośny i gwałtowny, że mnie samą zaskoczył. Poczulałam, że nie mogę go powstrzymać.

- Nie płacz - wyciągnęła do mnie czule ręce, lecz cofnęła je, słysząc warknięcie strażnika. - Nie, nie. To ci nie pomoże...

Usiłowałam nad sobą zapanować.

- Nic mi nie jest. Będą tylko chcieli zadać mi kilka pytań. A ponieważ niczego nie wiem, pójdzie jak z płatka.

Odwróciła wzrok, jej oczy stały się nieprzeniknione, wreszcie spojrzała znowu na mnie.

- Musisz być dzielna.

Z esztywniałam.

- On jest w tym więzieniu, z mężczyznami. Wczoraj wieczorem podpalili dom, ale służba zdołała ugasić pożar i wiele rzeczy ocalało. Ale... - Schyliła głowę i zobaczyłam, że przetyka łązy.

- Mój Boże! Giuliano... powiedz, że nie stała mu się krzywda? Powiedz, że jest zdrowy!

Z dziwną miną podniosła na mnie oczy.

- Nic nie wiem o Giulianie. Wczoraj w nocy zjawił się *gonfaloniere* i aresztował twojego ojca.

Nie. - Cofnęłam się od krat.

- *Gonfaloniere* i jego ludzie przeszukali pałac. Rozbijali wszystko w drobny puch.

Znaleźli twoje listy od Giuliana, a ponieważ Wawrzyniec był przez wiele lat najlepszym klientem twojego ojca... oskarżyli pana o szpiegostwo na rzecz Medyceuszy. - Spuściła wzrok. Głos jej zadrżał.-Torturowali go.

W swoim egoizmie myślałam tylko o sobie i Giulianie. Wiedziałam, że to małżeństwo złamie ojcu serce, ale uznałam, że warto mu się sprzeciwić. Teraz okazało się, że mój upór kosztował go znacznie więcej.

- O Boże - jęknęłam. - Powiedz im... powiedz, że powinni przesłuchać mnie, a nie jego. Powiedz, że nic nie wie o Medyceuszach, że to ja wiem wszystko. Zbiegowisko - w nagłym natchnieniu przywarłam do krat, próbując zwrócić uwagę strażnika. - Zbiegowisko na via Larga w niedzielę po moim ślubie! Ludzie widzieli, jak ojciec krzyczy na mnie na ulicy.

Odpowiadałam mu z Palazzo Medici, z okna. Błagał, żebym wróciła do domu, nie pochwałał

mojego małżeństwa, nie popierał Medyceuszy. Zapytaj Giovan-niego Pica! Ojciec jest wierny Savonaroli. Zapytaj... zapytaj służącej, Laury!

- Powiem im o tym - obiecała Zalumma smutnym głosem. Strażnik podszedł i kiwnął

głową na znak, że powinna już iść. - Powiem im! - zawołała, odchodząc w głąb korytarza.

Następnych kilka godzin spędziłam samotnie, pozbawiona nawet obecności strażnika czy kogokolwiek, kto odwróciłby moją uwagę od tego, że jestem najgorszą córką na świecie.

Co powinnam była zrobić? Jak mogłam ochronić ojca? Czekałam, zgnębiona, nasłuchując kroków, męskich głosów, metalicznego brzęku kluczy.

Wreszcie usłyszałam je i podbiegłam do drzwi, wczepiając palce w kraty.

Strażnik prowadził mężczyznę w bogatej niebieskiej szacie, świadczącej o wysokiej pozycji we władzach: mógł być członkiem Signorii albo *Bu-onomo*, jednym z dwunastu doradców państwowych. Był wysoki i chudy, zachowywał się z wielkim dostojęstwem i mógł mieć około czterdziestu lat; włosy zdążyła mu przyprószyć siwizna, brwi miał grube, czarne i mocno ściągnięte, nos długi i wąski, podbródek wydatny i spiczasty.

Przyglądał mi się baczным wzrokiem. Widziałam go już wcześniej, w kościele, na kazaniu Savonaroli. Kiedy matka dostała ataku spazmów i przewróciła mnie, to on podniósł

mnie z posadzki, a potem pomógł nam przejść przez tłum.



- Madonna Liza? - spytał grzecznie. - Córka Antonia Gherardiniego? Kiwnęłam głową.

- Jestem Francesco del Giocondo. - Skłonił się lekko. - Nie zostaliśmy sobie przedstawieni, ale może mnie pamiętasz.

Słyszałam już to nazwisko. Należał do rodziny handlarzy jedwabiem i podobnie jak ojciec był dość zamożny.

- Pamiętam cię, panie - powiedziałam. - Byłeś w San Lorenzo, kiedy umarła moja matka.

- Z wielkim żalem przyjąłem tę wiadomość - rzekł, jakby prowadził lekką rozmowę na eleganckim przyjęciu.

- Czemu tu przyszedłeś?

Jego oczy były jasnoblękitne - barwy lodu, w którym odbija się niebo-z ciemniejszą obwódką. Zmrużył lekko powieki, skupiając na mnie wzrok. Kołnierz jego tuniki był obszyty białym gronostajem, kolor ten podkreślał ziemistość cery.

- Porozmawiać o ser Antoniu - powiedział.

- Jest niewinny - odparłam prędko. - Nie wiedział, że mam zamiar uciec do Giuliana, dostarczał Medyceuszom tylko wełniane tkaniny, wszyscy wiedzą, jak żarliwie jest oddany naukom Fra Girolama... Widział się pan ze służącą Laurą? Uniósł dłoń, uciszając mnie.

- Madonna Liza, nie musisz mnie przekonywać. Nie wątpię w niewinność ser Antonia.

Przywarłam do krat.

- A więc wypuszczono go na wolność?

- Jeszcze nie.-Westchnął z nieszczęrną troską.-Jego sytuacja jest bardzo poważna: niektórzy członkowie Signorii wierzą, że jest związany z Medyceusza-mi.Wszystkich ogarnął

rodzaj szaleństwa, niestety włącznie z tymi na najwyższych urzędach.Wczoraj wieczorem Signoria, wbrew moim radom, powiesiła z okna tego właśnie budynku księgowego Wawrzyńca. Zdaje się, iż człek ów pomógł Wawrzyńcowi w sprzeniewierzeniu sporej części miejskiego funduszu posagowego. A jak rozumiem, na własnej skórze przekonałaś się, pani, jak bardzo ludzie pragną zniszczyć wszystko i wszystkich, którzy przypominają im o Medyceuszach. Podwładni *gonfaloniere* czynią, co mogą, aby zapanować nad sytuacją, ale... -

Wydął kolejne westchnienie. - Wiele pałaców zdewastowano, a nawet podpalono. Wzdłuż całej via Larga, choć nie tylko.

- Ojciec przyjaźni się z hrabią Giovannim Pikiem - powiedziałam, zła, że drży mi głos.

- On może potwierdzić, że ser Antonio, nie jest stronnikiem Medyceuszy.

- Pico...? - mruknął. Odwrócił na chwilę wzrok. - Był dobrym znajomym Wawrzyńca, prawda? Niestety, cierpi na wyniszczającą chorobę. Jest podobno zbyt chory, by wstawać z łóżka czy choćby mówić; obawiamy się, że nie pociągnie długo.

- W takim razie Laura, służąca, która była ze mną w lochu. Ona widziała...

- Nie możesz, pani, prosić Signorii, by wierzyła słowom medycejskiej służby.

- To co mam robić? Jak mogę pomóc? Ojciec jest całkowicie niewinny.

- Mam pewien wpływ - rzekł z irytującym spokojem - na Corsiniego i Cerpellone, którzy najbardziej nienawidzą Piera. Mógłbym porozmawiać z nimi w sprawie twego ojca.

- Czy będziesz tak dobry, panie? - Uczepiłam się krat z entuzjazmem, choć w tej samej chwili zastanowiło mnie pytanie: czemu wcześniej tego nie uczynił?

Odchrząknął cicho.

- To zależy wyłącznie od ciebie.

Puściłam żelazne pręty, cofnęłam się o krok. Wpatrywałam się w niego tak długo, aż przeciągająca się cisza zmusiła go do zabrania głosu.

Był zimnym człowiekiem. Tylko zimny człowiek mógł powiedzieć coś takiego i się nie zarumienić.

- Jestem wdowcem - rzekł. - Już zbyt długo nie mam żony. Czekałem, aż Bóg wskaże mi właściwą kobietę, niewiastę o odpowiednim charakterze, z dobrej rodziny. Młodą, silną dziewczynę, która może mi urodzić synów.

Patrzyłam na niego z przerażeniem, choć nie dałam tego po sobie poznać.

- Przyglądałem ci się, pani, od jakiegoś czasu, gdy przychodziłaś słuchać kazań Fra Girolama. Jesteś, pani, przepiękna, wiesz o tym. Czasami oglądałaś się przez ramię na tłum, a ja myślałem, że może patrzysz na mnie, bo wiesz, że tam stoję. Już wcześniej mnie zauważyłaś. Wiem, że jesteś kobietą zdolną do wielkiej namiętności, Madonna. Mam twoje listy do przyszłego męża. Na razie nikt z Signorii nic o nich nie wie. Dopilnowałem też, aby młoda dama, która dzieliła z tobą celę, zachowała milczenie. Nikt nie musi wiedzieć, że miałaś, pani, cokolwiek wspólnego z Medyceuszami. Mogę zniszczyć te listy, uchronić ciebie i twego ojca od kary.

Zawiesił głos, najwyraźniej czekając na znak, czy ma mówić dalej, lecz ja zupełnie oniemiałam. Wtedy zobaczyłam u niego pierwszy przejaw prawdziwych uczuć: policzki mu spąsowiały i spuścił wzrok. Zaczął szurać stopą o kamień.

W końcu opanował się i spojrzał na mnie stanowczo:

- Chcę się z tobą ożenić, pani. Darzę cię uczuciem i mam nadzieję...

- Nie mogę - przerwałam mu, choć z pewnością rozumiał dlaczego. Jego twarz stężała.

- To okropne, że twój ojciec musi dalej cierpieć, a straszne, że skończy się to jego śmiercią.

Gdyby nie dzieliły nas kraty, skoczyłabym na niego jak mężczyzna i zacisnęła mu ręce na gardle.

- Zrobiłabym wszystko, żeby ratować ojca! Ale nie mogę wyjść za ciebie, panie.

Jestem już żoną Giuliana Medyceusza.

Prychnął z oburzeniem. W jego oczach nie było litości.

- Giuliano Medyceusz - oznajmił absurdalnie obojętnym tonem - nie żyje. Zrzucono go z konia, gdy przejeżdżał przez Ponte Santa Trinita, i utopił się w Arno.

Musiał mnie szukać. Wyrwał się z wrogiego tłumu na Piazza delia Signoria i wrócił

do Palazzo Medici. Może Piero już zdążył odjechać, może nie - w każdym razie Giuliano z jakiegoś powodu powziął przekonanie, że wróciłam do domu ojca.

Ser Francesco powiedział, że wartownik wyłowił ciało z rzeki. Zabrano je natychmiast do Signorii, która zidentyfikowała je i kazała pogrzebać poza murami miasta, zanim ktokolwiek zdążyłby zbeczczyć zwłoki. Miejsce pochówku było tajne. Nawet członkowie Signorii nie rozmawiali o nim między sobą w obawie, że poszukiwania grobu wywołają nowe zamieszki.

Nie mogę powiedzieć, co wtedy Zrobiłam. Nie mogę, ponieważ nie pamiętam.

Powiadają, że Bóg w swej mądrości sprawia, iż matki zapominają o bólach porodu, tak aby nie bały się rodzić dalszego potomstwa. Może właśnie to uczynił i dla mnie, tak abym nie bała się znowu zakochać.

Jedyną rzeczą, którą zapamiętałam z tamtej nocy, było powitanie z ojcem. Zaczynało świtać, lecz dym zasnuwał niebo. Na Piazza delia Signoria było pusto, jeśli nie liczyć samotnego powozu i żołnierzy zatrudnionych przez Signorię do patrolowania okolicy.

Ktoś ochlapał ciemną farbą upiorne portrety spiskowców, France-sca de’Pazziego, Saviatiego i Baroncellego. Ich zeszecone, naturalnych rozmiarów podobizny przyglądały się nam nieruchomo. Chwycałam ser Francesca za ramię i chwiejnym krokiem zeszłam po schodach do straszliwego nowego świata.

U stóp schodów otwarły się drzwi karocy zamówionej przez ser Francesca, w środku siedział ojciec. Ser Francesco przytrzymał mnie przy pokonywaniu ostatniego stopnia, z ręką pod moim łokciem i spojrzeniem nagle tak nieśmiałym jak u młodego zalotnika i powiedział:

- W domu czeka na ciebie jadło i napitek. Dopilnowałem tego. Popatrzyłam na niego, wciąż zbyt odrętwiała, by coś powiedzieć. Nie jadłam cały dzień, lecz pomyśl, że mogłabym coś przełknąć, był wprost obraźliwy. Odwróciłam się i wsiałam do powozu.

Ojciec siedział z jednym barkiem przyciśniętym mocno do bocznej ścianki i ciałem ułożonym ukośnie, niepewnie opierając się ręką o siedzisko. Skórę na policzkach miał

napiętą, fioletową i tak opuchniętą, że nie widziałam oka. A jego ręka...

Prawy kciuk, wystający z dłoni pod kątem prostym, spuchł do rozmiaru kiełbasy; paznokcia nie było, w jego miejscu ziała otwarta ciemnoczerwona rana. To samo zrobiono z palcem wskazującym, który także groteskowo nabrzmał i wyciągał się w przód, prostopadle do kciuka.

Rozpłakałam się, gdy go zobaczyłam.

- Córko - wyszeptał. - Bogu niech będą dzięki. Moje drogie dziecko. - Usiadłam obok i objęłam go, starając się nie dotknąć obolałej ręki. - Tak mi przykro. - Głos mu się załamał. -

Wybacz mi, tak mi przykro...

Kiedy wymówił te słowa, cały mój opór wobec niego, cała złość zniknęły.

- Przykro mi, tak mi przykro...

Zrozumiałam go. Żałował nie tylko naszej obecnej sytuacji i obietnicy, którą musiałam złożyć ser Francescowi, żeby kupić mu wolność. Żałował wszystkiego: tego, że uderzył matkę, że zabrał ją do San Lorenzo, żałował, że Fra Domenico ją zamordował, a on o nią nie walczył. Żałował smutnych okoliczności mojego ślubu i tego, że tak bałam się o niego poprzedniej nocy, i w końcu z litości, jaką teraz czułam.

A przede wszystkim żałował z powodu Giuliana.

Nazajutrz rano, gdy obudziłam się bezpieczna we własnym łóżku, zobaczyłam stojącą nade mną Zalummę. Miała tak konspiracyjną minę, że jeszcze zanim zakryła palcem usta, wiedziałam, że nie powinnam się odzywać.

Słońce świeciło przez okna za jej plecami, sprawiając, że trudno mi się było zorientować, co trzyma w dłoni.

Zmarszczyłam brwi i usiadłam z trudem, krzywiąc się przy tym z bólu. Wepchnęła mi w rękę złożone kartki papieru.

- Pobieglam na górę - wyszeptała tak cicho, że musiałam nadstawić ucha, by ją usłyszeć poprzez szelest rozkładanych kartek. - Gdy tylko zjawił się *gonfaloniere* ze swoimi ludźmi, przybiegłam tu, by ukryć twoje listy. Ale zabrakło mi czasu. Udało mi się ocalić tylko to.

Wygladziłam kartki - pierwszą, większą i wielokrotnie złożoną, drugą małą, ze zgięciem w połowie. Długo wpatrywałam się w leżący na kolanach mój portret wykonany srebrnym rysikiem i w narysowany piórkiem szkic Bernarda Baroncellego wiszącego na szubienicy.

Dosyć szybko przywrócono w mieście porządek, choć do tego czasu każdy posąg Wawrzyńca Medyceusza został obalony, a każdy kamienny herb *palle* na kamienicach i pałacach - skuty. Cztery dni po ucieczce Piera Signoria unieważniła rozporządzenie skazujące Pazzich na banicję i zachęciła wszystkich potomków zabójców Giuliana do powrotu. Wydano też uchwałę stwierdzającą, że Francesco i Iacopo de'Pazzi działali w imię „wolności ludu”.

Nazajutrz po opuszczeniu Florencji przez Medyceuszy Savonarola spotkał się z królem Karolem, aby zatwierdzić warunki jego wkroczenia do miasta. W tydzień po moim ślubie król Karol wkroczył triumfalnie do Florencji, gdzie powitano go jak bohatera. Ser Francesco bardzo chciał, żebym z nim poszła, gdyż Signoria zarządziła, by wszyscy we Florencji, którzy mogą to uczynić, stawili się w najlepszych szatach.

Nie poszłam. Moje eleganckie suknie zostały spalone w noc rozruchów, a suknia ślubna była zniszczona. Co ważniejsze, ojciec potrzebował mnie w domu. Jego ręka zaogniła się i zaropiała, on sam trząsł się w gorączce. Siedziałam przy jego łóżku dzień i noc, przykładając kompresy z wilgotnych szmatek do głowy, opatrywałam jęczące się rany.

Zalumma została, żeby mi pomóc, ale nowa służąca ojca, Loretta, wybrała się na widowisko zamiast nas.

Lubiłam Loretę. Miała bystre oko i dowcip i zawsze mówiła prawdę bez owijania w bawełnę.

- Karol to głupiec - doniosła. - Nie ma nawet dość rozumu, żeby zamknąć usta. Cały czas stoi z otwartą gębą i wdycha powietrze przez wielkie krzywe zębiska. I jest brzydki, straszliwie brzydki! Nos ma haczykowaty i tak duży, że nawet Fra Girolamo ma mniejszy.

Zalumma zaśmiała się, ale od razu ją uciszyłam. Stałyśmy w drzwiach do sypialni ojca, który spał po niespokojnej, pełnej bólu nocy; z samego rana zamknęłam okiennice, żeby nie raziło go poranne słońce.

- Ale było wspaniale - powiedziała Loretta - kiedy wjechał wczoraj przez bramę San Frediano. Członkowie Signorii stali na podwyższeniu wystrojeni w szkarłatne płaszcze z gronostajami wokół szyi. Było tak głośno! Biły wszystkie dzwony w mieście, a kiedy zaczęli bić w werble, myślałam, że uszy mi popękają. Nigdy jeszcze nie widziałam wojska, co się tak pięknie ubiera: piechurzy noszą aksamit haftowany złotą nicią, zbroje kawalerzystów są grawerowane w piękne wzory. Wszyscy nieśli wyszywane złotem chorągwie... Potem wjechał

Karol. Wiedzieliśmy, że to on, bo jechał na wielkim czarnym rumaku, a zbroję miał

ozdobioną drogimi kamieniami. Czterech rycerzy jechało obok niego, po dwóch z każdej strony, i trzymali jedwabny baldachim nad jego głową.

Było ślicznie, po prostu cudnie... wreszcie Karol się zatrzymał, zsiadł z konia i dołączył do Signorii na podwyższeniu. To najszeptniejszy z ludzi, jakich w życiu widziałam.

Ma wielką głowę pokrytą włosami w kolorze świeżo polerowanej miedzi, prawie różowymi, i drobniutkie ciało: wygląda jak chodzące niemowlę. Niemowlę z butami jak końskie kopyta, coś z jego stopami jest nie w porządku.

Był taki komiczny. Wszyscy czekali, aż Karol albo ktoś z władz miasta przemówi i nagle mała dziewczynka obok mnie zawołała: „Ależ on jest malutki!” Ludzie śmiali się, ale nie za głośno. W końcu nie ma sensu napytać sobie biedy.

I to jest człowiek, przed którym trzęśliśmy się cały ten czas. Mały człowieczek. A kiedy przedstawiciel Signorii zwrócił się do niego po łacinie, okazało się, że Karol ani słowa nie rozumie! Jeden z giermków musiał tłumaczyć każde słowo na francuski.

Wiecie, co powiedział mi pewien szlachcic z tłumu? Wykształcony, bardzo inteligentny. Szepnął, oczywiście bardzo cicho, bo nie wiadomo, kto ostatnimi czasy podsłuchuje, że Karol chce podbić

Neapol, bo słyszał, że dobrze się tam poluje, a pogoda jest zawsze ładna, a on uwielbia polowanie. Potem dowiedział się, co mówi o nim Savonarola, uznał więc, że nie zaszkodzi mu mała wycieczka na południe.

Zalumnę ciekawiło to wszystko, lecz ja odwróciłam się i znów usiadłam przy łóżku ojca. Nie chciałam słuchać o tym, że Karol jest bufonem, który trafił do Toskanii przypadkiem i z głupich powodów doprowadził do śmierci mojego męża i upadku rodziny Medyceuszy.

Właściwie nie pozwalałam sobie myśleć o niczym z wyjątkiem ojca. Był wszystkim, co mi zostało, jeśli nie liczyć Zalummy. Nie miałam już nic innego.

Naprawdę bałam się, że ojciec umrze. Zdarzały się noce, gdy szcząkał zębami i trząsał

się tak gwałtownie, że kładłam się do łóżka i przytulałam do niego w nadziei, że ogrzeję go swoim ciałem. Spałam w jego komnacie, porzuciwszy własną.

Powoli jednak jego stan się poprawiał, choć prawy kciuk i palec wskazujący pozostały zdeformowane; w miejscu paznokci zakrzepły ciemne strupy.

Zalumma nawiedzała mnie niczym duch. Ledwie dostrzegałam jej obecność, choć martwiła się, że za mało jem i śpiam i nie zajmuję się niczym oprócz pielęgnacji ojca. Tylko jej powiedziałam o śmierci Giuliana. Sig-noria wołała nie informować obywateli, obawiając się, że z nienawiści do Medyceuszy rozgrzebano by wszystkie mogiły za murami miasta.

W naszym *palazzo* kwaterowało dwóch francuskich oficerów; władze Florencji wymagały, aby zamożniejsze rodziny żywiły i zapewniały dach nad głową żołnierzom Karola. Nie chodziłam na targ ani do miasta i rzadko ich widywałam. Nasi goście migali mi tylko w oknie albo mijali mnie na korytarzu, gdy czasem musiałam wyjść z ojcowskiej komnaty.

Od czasu do czasu spotykałam ich, gdy odwiedzał nas ser Francesco. W owych pierwszych dniach, gdy w mieście wrzało, a ojciec poważnie chorował, ser Francesco nie przychodził często. Kiedy jednak stało się jasne, że ojciec przeżyje, jał wpadać do naszego domu, by złożyć wyrazy uszanowania. Wyznaję, że gdy ojciec witał go ze słabowitą serdecznością, aż mnie w środku skręcało.

Przypominałam sobie jednak, że ojciec uśmiecha się do człowieka, który ocalił mu życie. Ser Francesco pomagał nam również przeżyć: *bottegha* ojca została spalona, wszystkie zapasy wełny skradzione albo pożarte przez płomień, pałac zdewastowany. Wszystkie meble na parterze i większość ubrań, zasłon, gobelinów i pościeli spłonęło. Ser Francesco zamawiał nam dostawy najlepszego jedzenia, płacił aptekarzowi za maści i ingrediencje do kompresów, cyrulikowi za rozcinięcie ojcu wrzodów i przysyłał własnego medyka, żeby przystawiał mu pijawki. Raz tylko zamienił ze mną słówko na osobności. Prowadziłam go akurat do komnaty ojca, gdy powiedział mi szeptem:

- Przekazałem Zalummie pieniądze na nowe meble i inne rzeczy, które twój ojciec stracił podczas zamieszek. Nie chciałem się narzucać i wybierać ich samodzielnie; znasz ojcowski gust lepiej niż ja.

- Umilkł na chwilę. - Z żalem muszę cię zawiadomić, że niedawno zmarł hrabia Giovanni Pico. Wiem, że to nowina trudna do przyjęcia dla twego ojca. Może lepiej poczekać z tą wiadomością, aż wy dobrzeje.

Kiwnęłam głową. Spojrzałam w lodowatobłękitne oczy ser Francesca i zauważyłam coś bardzo podobnego do czułości, chęć przypodobania się i sprawienia mi przyjemności. Ale nie były to oczy Giuliana, a ta różnica napawała mnie goryczą. Najdrobniejsze odniesienie do Wawrzyńca, Kośmy albo czegoś choćby odlegle związanego z Medyceuszami raniło mi serce.

Kiedy pewnego dnia Loretta wspomniała, że król Karol zażądał, aby Pierowi Medyceuszowi przywrócono władzę, wpadłam w furję i kazałam jej wyjść z komnaty.

Nazajutrz, po nieprzespanej z powodu wyrzutów sumienia nocy, przeprosiłam ją i zapytałam o dalsze szczegóły.

- Signoria nie chciała o tym słyszeć - odparła. - Savonarola udał się do Karola i powiedział, że Bóg go ukarze, jeśli przyczyni się do powrotu Medyceuszy.

Minęły dwa tygodnie. Karol i jego żołnierze stawali się coraz bardziej wymagający i grubiańscy; Florentyńczycy nie traktowali ich już jak bohaterów, raczej jako wielką uciążliwość.

Dwudziestego siódmego listopada - osiemnaście dni po moim ślubie z Giulianem -

Savonarola znowu poszedł do króla Karola. Tym razem domagał się, by francuskie wojska ruszyły w dalszą drogę, pod groźbą boskiego gniewu. Zaś Karol, głupi Karol, uwierzył mu.

Nazajutrz Francuzi zniknęli.

Nadszedł grudzień. Ojciec odzyskał dość sił, by wstawać z łóżka, choć stał się ponury i milczący, odkąd powiadomiłam go o śmierci Giovanniego Pica. Nawet wizyty ser Francesca i rozmowy o przygotowaniach do naszego czerwcowego ślubu nie poprawiały mu humoru.

Z kolei ja zaczęłam chorować.

Z początku myślałam, że to ze smutku: uznałam za oczywiste, że ból serca rozprzestrzenia się na całe ciało. Ręce i nogi stały się ciężkie, czasami najmniejszy wysiłek wywoływał zadyszkę i zmuszał do odpoczynku na łóżku. Piersi zrobiły się obolałe. Jedzenie budziło we mnie coraz większy wstręt, wreszcie nie byłam w stanie znieść wizyt w kuchni.

Pewnego wieczoru zrezygnowałam z kolacji i położyłam się do łóżka, owijając się futrami, ponieważ mróz dawał się tej zimy szczególnie we znaki. Zalumma przyniosła mi do komnaty jedno z moich ulubionych dań: przepiórkę pieczoną z cebulką i listkami szałwii.

Aby mnie jeszcze bardziej skusić, dodała też ciepłe, duszone figi.

Pokazała mi te frykasy, a gdy usiadłam na łóżku, podetknęła talerz pod nos.



Spojrzałam na małego ptaszka w lśniącej, przypieczonej na chrupko skórce, pod którą widać było burzące się soki. Silny aromat szaławii przyplynał razem z oparami... a ja podniosłam się z łóżka, całkiem zrozpaczona, ogarnięta nagłymi nudnościami o sile, jakiej nigdy wcześniej nie znałam.

Zalumma szybko usunęła się z drogi, ale nie zdołałam dobiec do miski. Zapach dymu i palącego się drewna z kominka zmieszał się z aromatem przepiórki; padłam na kolana i zwymiotowałam. Na szczęście nie przełknęłam tego dnia niczego poza wodą i odrobiną chleba.

Gdy z zamkniętymi oczami siedziałam w kucki pod ścianą, dysząc i dygocząc, Zalumma wyniosła tacę z komnaty. Po chwili wróciła, wyczyściła podłogę i przyłożyła mi do czoła chłodną wilgotną chustkę.

Kiedy w końcu otworzyłam oczy i otarłam twarz, zapytała:

- Kiedy miałaś ostatnie krwawienie?

Zamrugałam, nie wiedząc, o co jej chodzi. Patrzyła na mnie niezwykle poważnie i surowo.

- Dwa tygodnie... - zaczęłam, po czym zalałam się łzami.

- Już dobrze, dobrze. - Objęła mnie ramieniem. - W takim razie nie masz się czego obawiać. Jesteś po prostu zmęczona, zamartwiasz się, za mało jesz i dlatego źle się czujesz...

- Daj mi dokończyć - podjęłam z wysiłkiem, zachłystując się przy prawie każdym słowie. - Dwa tygodnie... przed ślubem.

- Ach. - Łzy spływały mi po policzkach, gdy przyglądałam się, jak Zalumma liczy szybko w myślach. Była prawie połowa grudnia, spełniłam swoje małżeństwo z Giulianem dziewiątego listopada.

277-

Minęło pięć tygodni.

- Jesteś w ciąży - oznajmiła z niewzruszonym przekonaniem. Przez długą chwilę patrzyłyśmy na siebie w milczeniu.

Nagle parsknęłam śmiechem, a Zalumma złapała mnie za rękę i uśmiechnęła się radośnie. Równie nagle odwróciłam twarz i spojrzałam melancholijnie w ogień.

- Chcę odwiedzić grób matki - powiedziałam.

Dwa dni później Zalumma opatuliła mnie przed mrozem. Za pozwoleniem ojca pojechałyśmy we dwie na cmentarz Santo Spirito. Gdybym pewniej czuła się na nogach, mogłybyśmy pokonać drogę piechotą.

Woźnica zaczekał w kościele, a my, kobiety, wyszłyśmy na zewnątrz. Zimne powietrze mroziło mi nos i drażniło oczy; czubek nosa Zalummy zrobił się jaskraworóżowy.

Obie włożyłyśmy kaptury naszych nowych peleryn - kupionych dzięki uprzejmości ser Francesca.

Suchą trawę i opadłe liście pokrywał szron i trzaskały nam pod stopami, gdy szłyśmy do kwatery, gdzie pochowano moją matkę.

Nagrobek z biało-różowego marmuru błyszczał niczym perła w słabych promieniach słońca. Zgodnie z życzeniem ojca grobowiec był skromniejszy od pozostałych: ozdobiony jedynie marmurowymi figurkami dwóch cherubinków z kręconymi włoskami. Jeden siedział

na płycie nagrobnej z ramieniem i twarzą zwróconymi ku górze, jakby kontemlował dalsze losy duszy zmarłej; drugi patrzył z powagą na widza, palcem pulchnej dłoni wskazując napis: ANNA LUKRECJA DI PAOLO STROZZI

Gdyby mróz nie dawał się tak we znaki, po prostu usiadłabym obok niej na ziemi i odpoczęła. Zamiast tego przystanąłam, niezbyt pewnie trzymając się na nogach, i pomyślałam: Matko, będę miała dziecko. Położyłam obleczone w rękawiczkę dłoń na płycie, parzyła jak lód, i pomyślałam, jak bardzo zimne muszą być leżące pod spodem kości.

- Trzy lata temu - powiedziałam na głos do Zalummy. - Trzy lata temu co do dnia wzięła mnie do Duomo. - Tamtego dnia też było zimno, choć nie odczuwałam tego tak bardzo.

- Na twoje urodziny - powiedziała Zalumma ze ściśniętym gardłem. Myślałam, że się rozplacze. - Chciała zrobić coś szczególnego w ten dzień.

Żal, pomyślałam, zmącił jej pamięć. Uśmiechnęłam się. Zalumma rzadko płakała, a ja nie mogłam się urodzić tego dnia.

- Głuptasie. Gdzie podziałas głowę? Wiesz, że moje urodziny są w czerwcu.

Piętnastego, tak jak dziś.

Zalumma pochyliła głowę.

- Twoja matka zawsze starała się zrobić tego dnia coś wyjątkowego dla ciebie. Coś, czego nikt inny by nie zauważył. Ale ja zawsze to widziałam.

Popatrzyłam na nią i rozumiałam, że doskonale wie, co mówi. Spoglądała przed siebie, na grób,

jakby unikała mojego wzroku.

- To niemożliwe - rzekłam. - Wszyscy wiedzą, że moje urodziny wypadają w czerwcu.

- Urodziłaś się w wiejskiej rezydencji babki. Twój ojciec wysłał tam Madonnę Lukrecję, kiedy ciąża stała się widoczna. I pozostała na wsi prawie rok po tym, jak się urodziłaś. - Zarumieniła się. Ona, zawsze tak pewna siebie, nieśmiało, z trudem wymawiała teraz słowa. - Matka uzgodniła to z twoim ojcem, a mnie kazała przysiąc, że zachowam wszystko w tajemnicy. Gdyby chodziło wyłącznie o niego...-Jej piękna twarz skrzywiła się na chwilę nienawistnie.

Zupełnie zapomniałam o mrozie.

- To, co mówisz, Zalummo, nie ma sensu. To absurd. Czemu aż tyle osób...

- Twój ojciec miał przedtem inną żonę - dodała prędko. - Młodą dziewczynę. Żyli ze sobą cztery lata, zanim zmarła na febrę. I nigdy nie zaszła w ciążę. Oczywiście wszyscy winili ją. Nigdy nie podejrzewa się mężczyzny. Ale potem ożenił się z twoją matką. Minęły trzy lata i nadal nie miał dziecka. Żadnego potomka aż. do... - Odwróciła się do mnie, nagle znów taka jak zawsze i zniecierpliwiona. - Dziecko! Przyjrzyj się sobie w lustrze! Zupełnie nie przypominasz Antonia! Przecież wszyscy inni mogli to dostrzec...

- Co dostrzec? - Sądzę, że nie chciałam przyjąć tego, co mówiła, ale z perspektywy czasu, jestem pewna, że musiałam od początku to pojmować.

Byłam bliska płaczu.-Wiem, że nie wyglądam jak ojciec, ale... Co wszyscy inni widzieli?

Położyła mi dłonie na ramionach w geście pocieszenia, jakby w końcu zdała sobie sprawę, że to, co ma do powiedzenia, będzie dla mnie bolesne.

- Madonna, wybacz mi. Wybacz. Twoja matka kochała Giuliana Medyceusza.

- Giuliana... - zaczęłam i zamilkłam. Chciałam powiedzieć, że oszalała, że Giuliano, mój Giuliano, nigdy nie spotkał matki, a więc twierdzenie, że go kochała, jest bezsensowne.

I wtedy wróciłam pamięcią do chwili, gdy stałam na dziedzińcu z Leonardem, a on poprosił, abym mu pozowała przed popiersiem Giuliana o osobliwie znajomych rysach.

Pomyślałam o wprawnym, wyszkolonym oku artysty, o tym, jak wiernie odtworzył

moją podobiznę po jednym spotkaniu. Pomyślałam też o Wawrzyncu wyglądającym przez okno. Wiedziałam, że czekał na znak od Leonarda.

Matka od początku musiała wiedzieć, że jestem dzieckiem Giuliana. Ojciec z zazdrości stronił od niej przez wiele miesięcy przed moim poczęciem i czynił tak nadal po moich narodzinach. Ta sama zazdrość sprawiła, że uderzył ją, gdy wyznała, że jest w ciąży.

Oczywiście, pojawiały się plotki o romansie. Gdy Giuliano zginął, matka i Antonio uzgodnili, że

dopuszczają się mistyfikacji, aby oszczędzić ojcu wstydu: ona urodzi w tajemnicy, w wiejskim domu swojej matki i wróci, kiedy mój wiek uczyni kłamstwo prawdopodobnym.

Zostałam późno ochrzczona, w rejestrze miejskim zapisano fałszywą datę urodzenia.

Dzięki temu nikt nie mógł podejrzewać, że jestem córką Giuliana Me-dyceusza. Nikt z wyjątkiem astrologa, któremu Zalumma zapłaciła w tajemnicy za to, żeby ona i moja rozpaczliwie ciekawa matka mogły poznać prawdę o moim losie.

Nikt z wyjątkiem Leonarda i Wawrzyńca, którzy z daleka rozpoznali rysy ukochanego przyjaciela i brata.

Zalumma i ja wróciłyśmy do domu w milczeniu.

- Dlaczego - wyrzucałam jej na cmentarzu - nie powiedziałaś mi wcześniej? Dlaczego czekałaś aż do dzisiaj?

- Ponieważ twoja matka kazała mi przysiąc, że zachowam to przed tobą w tajemnicy -

odparła, prawie krzyżąc. - A potem tak bardzo cierpiałaś, mieszkając z ojcem, że nie widziałam powodu, by jeszcze dokładać ci zmartwień, póki się od niego nie uwolnisz.

Zamierzałam powiedzieć ci w dniu, gdy poślubisz Giuliana. Mówię ci o tym teraz, bo zasługujesz na to, by znać prawdę o dziecku, które nosisz w łonie.

Chciało mi się płakać z wielu powodów, ale łzy uwięzły mi w zaciśniętym gardle.

Pamiętałam Wawrzyńca szepczącego: „Kocham cię, dziecko”, i matkę, jak dała mi na pamiątkę medalion. A teraz medalion zginął i nie miałam nic, co przypominałoby mi prawdziwego ojca ani męża... i zarazem kuzyna.

Może powinnam czuć złość na ojca, na Antonia, za to, że uderzył matkę, gdy zaszła w ciążę. Ale widziałam tylko jego zmiażdżone dłonie, krwawiące rany po wydartych paznokciach. Pamiętałam tylko to, co powiedział mi, gdy wyjeżdżałam do umierającego Wawrzyńca: „Bez względu na to, co ci powie, jesteś moją córką”.

Musiał być przerażony, że dowiem się prawdy, a mimo to mnie puścił.

Kiedy wróciłyśmy do domu, poszłam na górę do swoich komnat i nie zeszłam na kolację. I tak nie mogłabym nic przełknąć. Zalumma przyniosła mi chleb i sól, żeby ukoić przewrażliwiony żołądek.

Nadal nie rozmawiałyśmy ze sobą. Rozmyślałam gorączkowo, rozpamiętując od nowa przeszłość, a Zalumma zdawała się to rozumieć. Zdmuchnęłam lampkę i położyłam się do łóżka, lecz nie zamknęłam oczu. Wpatrywałam się w mrok przez godzinę, dwie, trzy.

Potem usiadłam gwałtownie, a serce zabiło mi szybciej. Pomyślałam o narysowanym piórkiem portrecie Bernarda Barocellego; nagle pojęłam, czemu Leonardo dał mi ten szkic. I przypomniały mi

się jedne z ostatnich słów, które usłyszałam od męża: „Leonardo. Leonardo go widział, mój stryj umarł w jego ramionach”.

Leonardo widział mężczyznę, który zabił mojego prawdziwego ojca Giuliana.

Mężczyznę, którego konający Wawrzyniec nazwał „trzecim człowiekiem”.

W imieniu matki i własnym zapragnęłam zemsty.

*Do Leonarda aa Vinci, dwór Ludouica Sforzy księcia Mediolanu: Ser Leonardo.*

*Piszę do Ciebie, ponieważ niedawno dowiedziałam się o pewnym fakcie, który dotyczy mnie, a także związków raczących moją matkę z zamordowanym bratem Wawrzyńca Medyceusza, Giulianem Starszym. Wierzę na podstawie Twego zachowania owego wieczoru, gdy staliśmy na dziedzińcu pałacu Medyceuszy, że od dawna byłeś rzeczzonego faktu świadom.*

*Proszę wybaczyć mą śmiałość, ale wierzę, że mogę Ci zaufać jako przyjacielowi.*

*Giuliano powiedział mi, że byłeś w Duomo w dniu zamachu i że posiadasz tajne informacje, szczególnie dotyczące pewnego człowieka, który również był owego dnia w katedrze.*

*Rozumiem, że człowiek ów nigdy nie został odnaleziony*

*Jest on teraz dla mnie kimś szczególnie ważnym. Proszę, ser Leonardo, czy mógłbyś mi opowiedzieć o nim wszystko, co wiesz? Jeśli jesteś w stanie go opisać - a nawet naszkicować z pamięci - byłabym niezmiernie wdzięczna.*

*Skoro człowiek ten wciąż chodzi po tym świecie, koniecznie muszę go odnaleźć.*

*Niewiele jest dla mnie spraw, dla których warto by żyć.*

*Niechaj Bóg ma Cię w opiece.*

*Liza di Antonio Gherardini.*

*Via Maggio*

*Santo Spirito, Florencja*

Napisałam list o pierwszym brzasku. Od chwili gdy wręczyłam go Zalummie, z niecierpliwością oczekiwałam na odpowiedź i z rozpaczą modliłam się, by nie został

skonfiskowany z powodu wzmianki o Me-dyceuszach.

Tego samego poranka zmuszona byłam zastanowić się nad innym wielce nieprzyjemnym faktem: Francesco i ojciec ustalili datę ślubu na czerwiec. Mój przyszły małżonek nalegał, żebym miała porządną suknię ślubną jego projektu, a Zalumma czas na wypełnienie mojej nowej *cassone*, skrzyni posażnej, strojami, serwetami i obrusami, które same powinnyśmy wyhaftować. Mój stary kufer wraz z zawartością spłonął podczas pożaru.

Poza tym Francesco pragnął pełnego, tradycyjnego ślubu, jakbym była nadał panną -

jakby Giuliano nigdy nie istniał, a ja nigdy nie uciekła do niego z domu ojca. Często wybierano lato na ślubne uroczystości, gdyż pogoda najbardziej sprzyjała powolnym panińskim pochodom przez miasto, zwłaszcza że towarzyszące im rodziny szły pieszo.

Tyle tylko, że do czasu, gdy miałam w czerwcu usiąść w siodle białego wierzchowca jako panna młoda, byłabym w szóstym miesiącu ciąży. Francesco zorientowałby się, że skłamałam co do swojego dziewictwa. Co gorsza, wiedziałby, że ojcem dziecka jest Giuliano, a kiedy wdowa wychodzi powtórnie za mąż, jej dzieci często nie są mile widziane w domu nowego małżonka. Nie mogłam znieść nawet myśli o rozłące z dzieckiem Giuliana.

Znałam tylko jedno rozwiązanie: przekonać Francesca, że dziecko jest jego. I istniał

tylko jeden okropny sposób, by to osiągnąć.

Uplłynął dzień, zanim nadarzyła mi się odpowiednia okazja.

W naszym domu urządzono tradycyjne rodzinne zebranie w celu omówienia szczegółów ślubnej sukni. Zjawili się sędziwy ojciec Francesca, ser Massimo - człowiek ponury i małomówny - oraz owdowiała siostra, bezbarwna niczym widmo niewiasta o imieniu Caterina. Trzej bracia mojego narzeczonego mieszkali na wsi, zbyt daleko, by przybyć na tak późne zaproszenie, choć zapewnili Francesca, że przyjadą do miasta w czerwcu. Moich krewnych było jeszcze mniej, całe rodzeństwo ojca żyło w Chianti i nie mogło się stawić, dwie siostry matki zmarły przy porodzie, dwie pozostałe padły ofiarą zarazy w późniejszym wieku. Pozostawali więc tylko mój wuj Lauro i jego żona Giovanna Maria. Przytowarzili ze sobą dwóch starszych synów, piastunkę i trzy beczące maluchy. Giovanna Maria była znowu w ciąży. Miała zaokrągloną twarz i pękaty brzuch; Lauro wyglądał na zmęczonego i drażliwego, z początkami łysiny na czole.

Poprosiłam, aby spotkanie odbyło się późnym popołudniem - przy kolacji, gdyż napady nudności zdarzały mi się głównie rano i w południe. Wieczorem dochodziłam nieco do siebie i choć niewiele mogłam zjeść, a zapach potraw przyprawiał mnie o mdłości, prawdopodobieństwo, że opróżnię żołądek w obecności gości, było niewielkie.

Nawet jednak wieczorem tak samo skłonna byłam do płaczu. Myśl o przygotowaniach do następnego ślubu ledwie miesiąc po stracie Giuliana doprowadzała mnie do rozpacz.

Przez cały poranek i popołudnie zalewałam się łzami. Kiedy o zmroku przybyli moi przyszli powinowaci, powitałam ich z zaczerwienionymi, spuchniętymi oczami i pustym uśmiechem.

Ojciec dobrze mnie rozumiał. Zdążył już wrócić do zdrowia i dzięki rekomendacji Francesca zaczął znowu dobrze zarabiać na handlu wełną, sprzedając ją, jak na ironię, członkom rodziny Pazzich, którzy przyjechali z wygnania.

Z powagą ujął mnie pod ramię i stał u mojego boku, gdy witaliśmy gości. Przy stole usiadł przy mnie, jak uczyniłaby to matka, i odpowiadał na pytania, które do mnie kierowano, ilekroć byłam zbyt przytłoczona, by zastanowić się nad odpowiedzią. Kiedy w pewnej chwili wstałam i pośpieszyłam do kuchni - ser Massimo spytał, z jakich kwiatów ma być spleciona girlanda, którą rozwiesi w poprzek ulicy - ojciec podążył za mną. Gdy zobaczył, że ocieram łzy, objął mnie i pocałował w czoło, czym sprawił, że rozplakałam się na dobre. Myślał, że oplakuję zmarłego męża; nie zdawał sobie sprawy, że użalam się także nad sobą z powodu okropnej rzeczy, którą zamierzałam zrobić.

Dopilnowałam, aby żadnej z potraw nie przyprawiono szaławią, i zdołałam przełknąć kilka kęsów i wypić trochę wina, gdy nadszedł czas toastów. Kiedy kolacja się skończyła, zdążyłam ochrypnąć od rozmowy z głuchym przyszłym teściem.

Zaczęła się dyskusja na temat sukni. Francesco zaprezentował szkic swego pomysłu: suknię z wysokim stanem i kwadratowym stanikiem. Rękawy nie miały tradycyjnego kształtu dzwonu, lecz były wąskie i obcisłe, zaś rękawy *camicia* przeciągało się przez kilka rozcięć.

Dekolt był dosyć niski i spod niego również wystawała *camicia*.

Zaskoczyło mnie to. Mój przyszły małżonek był rzekomo żarliwym *piangone*, a mimo to zaprezentował projekt sukni według najnowszej hiszpańskiej mody, prosto z dekadentckiego dworu papieża Borgii.

Siedzący przy moim drugim boku Francesco wyłożył na stół próbki tkanin. Na górze leżał lśniący srebrzysty adamaszek i zwiewne czerwono-żółte *cangiante* „z granatami i perłami do stroju głowy jeśli chcesz”.

Żaden z kolorów i klejnotów nie pasował do mnie.

- Ach! - rzekł. - Nie podobają jej się! A więc nic z tego!

Złożył tkaniny i natychmiast odłożył je na bok. To zirytowało jego ojca.

- Nie do niej należy wybór.

- Ojczy - powiedziała z przyganą Caterina. - Francesco przyszedł tu, aby poznać zdanie wszystkich.

Wtedy głos zabrała Giovanna.

- Może coś świeżego jak wiosenne pąki albo delikatne kwiecie wczesnym latem? -

podsunęła. - Róże i biele. Aksamity i atlas, i do tego perły.

- Liza ma oliwkową cerę - zaproponowała Caterina. - W jasnych różach jej twarz będzie się wydawała ziemista.

Ojciec ujął mnie pod stołem za rękę i uściśnił ją pokrzepiająco. Zachowywał się teraz w stosunku do Francesca z tą samą osobliwą rezerwą, jaką okazywał Picowi po śmierci matki.

- Fason jest uroczy - rzekł. - Wiem, że Lizie też się podoba. Przez lata zauważyłem, że kolorami, które najbardziej schlebiają jej urodzie, są odcienie niebieskiego, zielenie i fiolety, im bardziej intensywne, tym lepsze. I szafiry... - Głos zadrżał mu przez moment, a potem odzyskał siłę. - Szafiry były zawsze ulubionymi klejnotami zarówno jej, jak i jej matki. Pasują do niej. I brylanty.

- Dziękuję - powiedział Francesco. - Dziękuję, ser Antonio. W takim razie Liza musi mieć szafiry i brylanty. I głębokie, intensywne odcienie granatu, może z akcentami fioleto.

- Nie musisz jej dogadzać - fuknął ser Massimo i powiedziałby więcej, gdyby syn nie uciszył go, unosząc palec.

- Nie muszę, ale będę dogadzał - odrzekł stanowczo. - Miałem nadzieję na skromną pannę młodą z ładną buzią, ale nigdy nie śmiałem marzyć, że zdobędę względy panny skromnej i zjawiskowo pięknej. Tak urocza kobieta po prostu musi czuć się wspaniale w ślubnej sukni. Jestem jej to winien.

Spuściłam wzrok, inni zapewne uznali to za przejaw skromności.

- Ładnie powiedziane - zauważyła Caterina. Dopiero później zrozumiałam, że był to lekki sarkazm.

- Jesteś naprawdę szczęśliwa, Lizo! - wykrzyknęła Giovanna Maria, posyłając znaczące spojrzenie mężowi. - Znalazłaś mężczyznę, który tak ci pochlebia i liczy się z twoim zdaniem.

Rodzinne spotkanie było dla mnie męką, wreszcie jednak dobiegło końca i przy stole, na którym stało już tylko wino i nasze puchary, pozostali jedynie mój ojciec i Francesco.

Pora, by wprowadzić plan w czyn, zbliżała się nieubłaganie. Uniosłam puchar do warg, a potem szybko go odstawiłam, zauważywszy drżenie dłoni.

Ojciec i Francesco rozmawiali półgłosem, pochyleni do przodu, bo wciąż siedziałam między nimi. Francesco rozłożył na stole szkic i wskazywał właśnie spódnice.

- Myślę teraz, że tkanina powinna być lżejsza - powiedział. Wcześniej jednogłośnie uzgodniono, że spódnica będzie z aksamitu, ale po dokładniejszym rozważeniu sprawy Francesco doszedł do wniosku, że wybór został podyktowany faktem, że dzisiejszy grudniowy wieczór był nadzwyczaj mroźny. - W czerwcu może być ciepło. Lizo, co o tym sądzisz?

Mój głos zabrzmiał zdumiewająco chłodno.



- Myślę - odrzekłam - że ojciec jest zmęczony i powinien udać się na spoczynek.

- Ależ Lizo - upomniął mnie łagodnie ojciec. - Ser Francesco chce jeszcze porozmawiać o sukni. Poza tym ma prawo napić się wina, żeby w pełni docenić jego smak.

- O tak, powinien nacieszyć się winem. A ty powinieneś udać się na spoczynek.

Francesco odwrócił się do mnie gwałtownie i uniósł czarne brwi. Ojciec zamrugał i wciągnął powietrze. Przez chwilę przyglądał mi się uważnie.

- Jestem... zmęczony - rzekł w końcu. Zabrzmiało to wiarygodnie. Siedział z ramionami skrzyżowanymi na stole i podpierał się na łokciach, jakby kark ugiął mu się pod niewidocznym brzemieniem. Jego spojrzenia były powściągliwe i skryte, jakby bał się swoich tajemnic. Jedną z nich znałam.

Podniósł się i położył dłoń na ramieniu Francesca.

- Bóg z tobą. - Błogosławieństwo zabrzmiało jak przestroga. Potem pochylił się i ze smutkiem pocałował mnie w policzek.

Zacisnęłam dłoń na nóżce pucharu i wsłuchiwałam się w jego kroki, gdy wyszedł z komnaty, przemierzył sieni i ruszył po schodach na górę.

- Przyniosłem ci prezent. - Francesco sięgnął dłonią pod stos tkanin i wyciągnął

kwadratowe zawiniątko z czerwonego atłasu przewiązane wstążką. - Chcesz go zobaczyć?

Kiwnęłam głową. Spodziewałam się, że poda mi je i poczeka, aż je odwiążę, lecz zamiast tego pociągnął za wstążkę i wydobyl ze lśniącej tkaniny coś błyszczącego.

Oczy Francesca także błyszczały dziwnym i intensywnym światłem. Zbliżył podarek do płonących świec i zobaczyłam naszyjnik ze szmaragdem. Łańcuszek spoczywał w jego otwartej dłoni, klejnot obracał się powoli. Spojrzenie Francesca było pełne napięcia, wargi rozchylone.

- Tak bardzo zależało ci, żeby ojciec wyszedł. Czy chciałaś, byśmy zostali sami?

- Może. - Mówiłam niemal szeptem, co mogło wyglądać na zalotność, w rzeczywistości jednak bałam się, że gdy odezwę się głośniejszym głosem, zadrży mi głos. Zdobyłam się nawet na lekki uśmiech, żeby wargi nie wygiął mi grymas odrazy.

- Byłaś z nim w łóżnicy? - spytał, patrzył na mnie przeszywającym wzrokiem. - Twój ojciec powiedział, że byłaś z nim niecały dzień.

Spuściłam oczy i pokręciłam głową. Było to pierwsze z wielu kłamstw. Uradowało go to i podnieciło.

- Spójrz na mnie - powiedział i podsunął mi klejnot. - Chcesz?

- Co?

- Naszyjnik. - Pochylił się do przodu, poczułam jego oddech, głos stał się chrapliwy, matowy, niebezpieczny. - Powiedz, że go chcesz.

- Tak... chcę - wyjąkałam.

- Co zrobisz, żeby go dostać? - Słowa smagały mnie niczym bat. Stłumiłam gniew i popatrzyłam mu prosto w twarz. Wstanę i każę ci się wynosić, pomyślałam. Zawołam służbę.

Powiem, żebyś nigdy więcej nie przestąpił progę tego domu. Ale po chwili przyszło zastanowienie: Jeśli go rozczaruję, odejdzie i wszyscy dowiedzą się, że noszę w łonie dziecko Giuliana. Jeśli go rozczaruję, wyda mojego ojca Signorii na tortury.

- Co tylko zechcesz - wyszeptałam.

- Powiedz to głośniej. Z przekonaniem. Patrz mi w oczy. Spojrzałam. Powtórzyłam.

Poderwał się, podbiegł do drzwi i zatrzasnął je. Kilkoma krokami przesadził dzielącą nas przestrzeń i gwałtownym ruchem odsunął moje krzesło od stołu. Potem stanął przede mną i pochylił się, machając mi przed nosem naszyjnikiem.

Był rozpalony, dyszał ciężko, oczy zapalały mu dzikim blaskiem.

- Na kolana - rozkazał. - Błagaj.

Wezbrała we mnie paląca nienawiść. Spojrzałam na podłogę, zastanawiając się, do czego jestem w stanie się posunąć, by ochronić dziecko Giulia-na. Nasze dziecko. Do czego posunę się w obronie ojca. Uklękałam.

- Daj mi go. Proszę.

- Więc to tak. - Miał wypieki na twarzy, drżał z podniecenia. - Więc taka jest twoja cena. - Niedbałym ruchem odrzucił naszyjnik na bok. Klejnot znalazł się na dywanie przed kominkiem.

Poderwał mnie z klęczek. Myślałam, że mnie pocałuje, lecz on nie chciał mieć do czynienia z moją twarzą. Posadził mnie na stole i zmiotł ręką puchary. Jeden spadł i stłukł się na kamiennej posadzce.

Przycisnął mnie brutalnie do twardego dębowego blatu, moje nogi zawisły w powietrzu, czubki pantofli ledwo dotykały podłogi. Instynktownie zasłoniłam dłońmi uda, przytrzymując spódnicę, lecz on wepchnął się między moje nogi i szarpnął materiałem z taką siłą, że *camicia* z delikatnego francuskiego batystu rozdarła się głośno.

Rozgorączkowany, jedną ręką ściągnął w dół czarne nogawice i odgarnął na bok koszulę; nie miał pod tuniką nic więcej. Mój opór tylko rozniecił jego żądze; zrozumiałwszy to, zmusiłam się do uległości, nawet gdy zadarł mi ręce za głowę i ścisnął nadgarstki z miażdżącą siłą.

W jego zachowaniu nie było czułości ani miłości, tylko zwierzęca chuć. Wdarł się we mnie tak brutalnie, że krzyknęłam z bólu.

I wtedy opuściłam swoje ciało. Moja dusza przebywała w świetle i cieniach, które drgały na suficie, w zapachu świec płonących niebezpiecznie blisko mojej głowy, w ciepłe bijącym od kominka.

Stałam się twierdzą, a on taranem forsującym bramy. Wytrwałam. Giulia-no i nasze dziecko pozostali bezpieczni po drugiej stronie.

Wróciłam do siebie, czując gorący płyn tryskający we mnie i rozlewający się po udach. Jęknęłam, gdy wyszedł ze mnie równie szybko, jak mnie posiadł. Włożyłam rękę między nogi i stwierdziłam, że mnie zranił.

Powoli odzyskałam równowagę, wstałam niepewnie. Wciąż ciężko dysząc, wprawnymi ruchami wepchnął w spodnie koszulę, poprawił tunikę i zapiął pas. Zobaczył, że na niego patrzę, i uśmiechnął się. Był w dobrym humorze, pełen werwy, w jego głosie pobrzmiwała żartobliwa nuta.

- Lizo, Lizo, ależ z ciebie rozpustnica. Idź i weź zapłatę. Twarz mi stężała, odwróciłam się od niego.

- No idź - powiedział złowrogo. - A może mam wezwać służbę i poprosić o wino?

Albo jeszcze lepiej, zawołam twojego ojca i opowiem mu, co zrobiłaś?

Milcząca i zamknięta w sobie, podeszłam powoli do naszyjnika i podniosłam go z podłogi. Kamień był ciepły od ognia, ciemnozielony i błyszczący.

Nigdy nie widziałam czegoś równie brzydkiego.

Francesco podszedł i założył mi naszyjnik. Transakcja została dokonana, a w nim zaszła dziwna przemiana. Znow stał się łagodny i usłużny.

- Już, już - powiedział zyczliwie. - Zanim zawołasz służbę... - pokazał na odłamki szkła na podłodze - pozwól, że ci pomogę. To moja wina, że masz włosy i suknię w nieładzie.

Pozwoliłam mu się dotknąć, wsunął mi rozwichrzone kosmyki pod jedwabną siateczkę i wygładził spódnice.

- Tak mi przykro, że twoja śliczna *camitia* się rozdarła. Sprawię ci w zamian jeszcze piękniejszą.

Rozedrganym głosem zawołałam służącą, by pozmiała szkło, Francesco żartował ze swojej niezdarności. Ja milczałam.

Kiedy znow zostaliśmy sami, nie odprowadziłam go do drzwi, nie odpowiedziałam, gdy uklonił się i cicho powiedział mi: „dobranoc”.

Wróciłam do swojej komnaty i z pomocą Zalummy zdjęłam ubranie. Cisnęłam *camicia* w kąt. Cieszyłam się, że jest podarta; i tak bym ją wyrzuciła. Cuchnęła Franceskiem.

Zalumma przyniosła miskę i ręcznik, żebym mogła się umyć. Na sam widok wybuchłam płaczem. Zalumma przytuliła mnie i zaczęła gładzić po plecach jak matka, gdy byłam dzieckiem.

Nie pozwoliła mi wyrzucić poplamionej *camicia*. Nakłuła palec i pokropiła ją krwią.

Jaskrawy szkarłat na olśniewającej bieli. Potem złożyła ją starannie, owinęła w kwadratowy kawałek płótna, który zawiązała i poleciła zanieść do sklepu Francesca.

Francesco przyszedł znowu dwa dni później, rzekomo po to, by omówić postępy w szyciu sukni i ustalić termin przymiarki. Tym razem to on dał ojcu do zrozumienia, by zostawił nas samych.

Nie protestowałam, wiedziałam, że tak będzie. Zdażyłam już poradzić się Zalummy, która uznała, że dla dobra dziecka muszę mu ulec. Im częściej oddam się Francescowi, tym bardziej będzie przekonany, że to on jest ojcem.

Tym razem przyniósł mi kolczyki z brylantami i opalami, które spłynęły mi po szyi niczym łzy.

Wkrótce Francesco przestał wynajdować preteksty do kolejnych wizyt i stał się regularnym gościem przy wieczornym stole. Zebrałam okazałą kolekcję biżuterii, choć z czasem podarki stawały się skromniejsze. Ojciec wiedział, kiedy zostawić nas samych. Nie rozmawialiśmy o Francescu. Cierpieliśmy oddzielnie, w samotności.

Po dwóch tygodniach, tuż po kolejnym brutalnym zbliżeniu z France-skiem, jakby nigdy nic napomknęłam mu, że spóźnia mi się krwawienie.

Prychnął jak mężczyzna, który ma doświadczenie w tych sprawach, ale został już zaspokojony, okazał więc życzliwość.

- Jest za wcześnie, żeby coś wiedzieć, Lizo. Nie powinnaś się martwić. Bez wątpienia to tylko nerwy. Zobaczysz.

Odczekałam jeszcze tydzień. A potem poleciłam kucharce przygotować moje ulubione danie: pieczone przepiórki z szałwią i cebulką. Przy kolacji usiadłam obok Francesca, a gdy podano mi talerz, pochyliłam się nad małym ptaszkiem z chrupiącą, przyrumienioną złotą skórką i wciągnęłam głęboko powietrze.

Efekt był zadowalający. Zakryłam ręką usta i poderwałam się z krzesła. Nie zdażyłam wybiec z komnaty i na oczach ojca i Francesca oparłam się o ścianę i zwymiotowałam.

Nawet w tak rozpaczliwym stanie usłyszałam szurnięcie odsuwanego gwałtownie krzesła. Gdy wreszcie zdołałam odwrócić głowę, zobaczyłam ojca stojącego z zaciśniętymi pięściami przy stole. Patrzył na przyszełego zięcia, tym razem nie kryjąc gniewu i nienawiści.

Służąca przyszła posprzątać i umyć mi twarz. Ojciec kazał zabrać wszystkie talerze ze stołu i wywietrzyć komnatę. Kiedy znowu zajęliśmy miejsca i poczułam się lepiej, powiedziałam:

- Nie chcę mieć ślubu w czerwcu. Wolałabym marzec.

Oczy ojca powędrowały do góry i na bok, jakby rachował. Potem wbił wzrok we Francesca. Z satysfakcją zauważyłam, że mój narzeczony zadrżał pod przeszywającym spojrzeniem.

- Piątego marca - powiedział ojciec tonem tak złowrogim i nieugiętym, że ani mój narzeczony, ani ja

nie mieliśmy już nic do powiedzenia.

Przez następny tydzień ojciec odmawiał zostawiania nas samych po kolacji, wkrótce potem najwyraźniej doszedł jednak z Franceskiem do porozumienia, gdyż znowu byłam na łasce narzeczonego.

Odkąd dowiedział się, że jestem w ciąży, przestał przynosić prezenty. Teraz żądał, bym błagała go o miłość, gdyż mój stan był oczywistym skutkiem moich nieczystych żądz.

Lżyłam się okropnymi słowami: dziwka, ladaczniczka, suka.

Bałam się, że nie wytrzymam. Z przerażeniem myślałam o piątym marca.

Termin ów nadszedł zbyt prędko, w dzień dżdżysty i chłodny, choć znacznie cieplejszy niż inne dni owej mroźnej zimy; po stalowoszarym niebie płynęły skłębione ołowiane chmury. Bez przeszkód mogłabym przejechać na białym koniu przez most do pałacu Francesca, lecz że spodziewaliśmy się gorszej pogody, razem z ojcem i Zalummą pojechaliśmy karocą, a wuj Lauro, jego żona i dzieci towarzyszyli nam w drugim powozie.

Moją suknię uszyto z jaskrawoniebieskiego aksamitu z grubym brokatowym pasem tej samej barwy, który ze względu na pogrubioną talię włożyłam tuż pod biustem. Zalumma twierdziła, że wygląda, jakby zabieg ów był podyktowany wymogami mody. Francesco podarował mi naszyjnik ze złota i szafirów oraz strój głowy tak kosztowny, że drżałam na samą myśl o tym, iż mam go na włosach: była to siateczka z cieniutkiej złotej nici, ozdobiona brylancikami. Za każdym razem, gdy obracałam głowę, słońce odbijało się od diamentów i kątem oka widziałam ich tęczowe refleksy.

Był późny ranek. Mdlilo mnie i wychylałam się przez okno, by odetchnąć rześkim powietrzem.

Zostawiliśmy za sobą via Maggio i ruszyliśmy na wschód ku Borgo Sant'Iacopo, opuszczając parafię Santo Spirito. Stamtąd wjechaliśmy na tętniący życiem Ponte Vecchio.

Mężczyźni i chłopcy, widząc przystrojoną białym atłasem karocę, wołali za nami, niektórzy żartowali, inni rzucali gratulacje albo sprośne uwagi.

Sama wybrałam tę drogę. Wygodniej byłoby przejechać przez Ponte Santa Trinita, ale nawet z oddali trudno mi było spojrzeć w tamtą stronę na przepływające pod mostem wody rzeki, bo przypominała mi się śmierć Giuliana.

Przemierzyliśmy dzielnicę Santa Maria Novella, skręciliśmy w via Por Santa Maria, a potem ruszyliśmy na wschód przez via Vacchereccia, gdzie mieściły się *botteghe* handlarzy jedwabiem, w tym także Francesca. Kramy stały w cieniu wieży *Arte della seta*, Gildii Jedwabiu.

Pałac mojego męża wznosił się przy jednej z bocznych uliczek za czarną bramą z kutego żelaza; wybudowano go specjalnie dla Francesca i jego pierwszej żony. Utrzymany był w klasycznym rzymskim stylu, szara kamienna fasada była tak jasna, że w słońcu wydawała się biała. Prostokątny, masywny i pełen surowej elegancji budynek miał cztery kondygnacje i zwrócony był frontem na północ i tyłem do mego rodzinnego domu. Pierwszy raz widziałam go na oczy.

Zbliżyliśmy się do bramy i usłyszałam okrzyki. Francesco stał przed nami z uniesioną ręką, sygnalizując, że powinniśmy się zatrzymać. Obok niego, w ciemnych opończach stał

jego przygarbiony ojciec, obok trzech ciemnowłosi mężczyźni w średnim wieku: jego bracia.

Wyrzałam przez okno na drogę. Girlanda spleciona z atlasowych wstążek, lśniąca bielą i granatem, leżała na bruku, rozciągnięta w poprzek ulicy.

W marcu nie było kwiatów.

Przy wtórze wiwatów i okrzyków braci Francesco - uśmiechał się speszony -

pociągnął za pojedynczą wstążkę. Girlanda rozwiązała się nagle pośrodku i oklaskiwany przez rodzinę Francesco odciągnął pośpiesznie dwie połowy w sam raz na tyle, by karoca mogła między nimi przejechać.

Zrobił to z dużą zręcznością; w końcu miał praktykę. Miałam być jego trzecią małżonką. Pierwsza zmarła przy porodzie, druga na febrę. Doskonale rozumiałam, czemu śpieszyło się im na tamten świat.

Żelazna brama rozwarła się na oścież. Francesco i jego bracia wyłonili się z niej na koniach, za nimi wytoczyły się dwa powozy z resztą członków rodziny. Jak moje poprzedniczki ruszyłam karocą na wschód, w kierunku górującej nad miastem ceglastopomarańczowej kopuły Santa Maria del Fiore. Po raz kolejny wychyliłam się przez otwarte okno, wdzięczna za świeże powietrze, które z minuty na minutę stawało się coraz chłodniejsze. Niebo zapełniało się ciężkimi, wilgotnymi chmurami.

Ojciec powtórzył stare porzekadło: „Zmokła panna młoda to szczęśliwa panna młoda”. Deszczowy dzień ślubu przynosił ponoć szczęście.

Wreszcie powóz zajechał na wielki plac przed Duomo i woźnica zatrzymał konie.

Czekaliśmy, póki Francesco ze swoją rodziną nie wejdzie do baptysterium San Giovanni, wzniesionego na ruinach starożytnej pogańskiej świątyni Marsa. Tutaj wszyscy dobrzy Florentyńczycy byli chrzczeni jako dzieci i brali śluby jako dorośli.

Pan młody i jego goście zajmowali miejsca w środku, a ja czekałam w nieskończoność, usiłując przemóc zdenerwowanie i mdłości; właśnie gdy nabrałam pewności, że zaraz zwymiotuję, dano znak i musiałam czym prędzej zapanować nad sobą. Zalumma podtrzymała mi tren. Ojciec, udręczony i kochający, wziął mnie pod rękę.

Prowadzona przez niego przeszłam przez zdumiewające drzwi Ghiber-tiego.

Mieszkałam w mieście przez całe życie, lecz tylko raz postawiłam stopę w ośmiokątnej budowli. Teraz kroczyłam po marmurowej posadzce ozdobionej gryfami i spiralami, patrzyłam na złote ściany, uniosłam wzrok na złoconą kopułę i świece płonące w kandelabrach.

Ksiądz i Francesco - dystyngowany, czuły i pełen szacunku - stali, czekając przed białym marmurowym ołtarzem.

Wrażenia mieszały się i zamazywały: długi aksamitny tren, błysk i migotanie brylantów, intensywny granat rękawów, bijąca blaskiem biel delikatnego jedwabiu *camicia*, mieniące się mozaiki przedstawiające Chrystusa w błękitach, czerwieniach i jaskrawym szafranie podczas Sądu Ostatecznego, grzeszników strąconych do piekieł, torturowanych przez diabły.

Ojciec trzymał mnie mocno, aż nadeszła pora, by mnie oddać. Płakał, gdy zostawiał mnie u boku Francesca, by zrobić krok do tyłu.

Potem nastąpiła niekończąca się msza. Zacinałam się przy modlitwach, znanych mi od dziecka, słuchałam kazania, nie pojmując ani słowa. Im dłużej stałam, tym bardziej obawiałam się, że zemdleję; za każdym razem, gdy klękałam, byłam pewna, że tym razem nie uda mi się powstać.

„Czy ślubujesz?” - spytał wreszcie kapłan.

Francesco pachniał rozmarynem. Patrzyłam na niego, na jego zwodniczo łagodną minę i widziałam swoją nieszczęśliwą przyszłość. Widziałam Jak rodzi się moje dziecko, i jak starzeje ojciec. Widziałam blaknące wspomnienie Giuliana.

„Ślubuję”, powiedziałam. Zaskoczyła mnie siła i opanowanie w moim głosie. Do czasu, gdy umrze ojciec. Do czasu, gdy umrze ojciec, a ja i moje dziecko będziemy mogli uciec.

W świede świec rozbłysła obrączka - jeszcze jeden cienki, pozbawiony ozdób krążek złota. Ta była za ciasna, lecz Francesco siłą wcisnął mija na palec. Nie drgnęłam.

Pocałunek Francesca był powściągliwy, nieśmiały. Potem były inne pocałunki, wiele pocałunków wielu osób, szepczących wiele słów.

Z mężem u boku wyszłam na wielki plac i wciągnęłam świeże powietrze. Popołudnie było szare, mgła wisiała w powietrzu, jak para osiadała mi delikatnie na twarzy, świeża i zimna.



Potem weselny orszak wrócił do mojego nowego domu. Tym razem karoca wtoczyła się ze stukotem na okrągły podjazd wybrukowany nowymi kamiennymi płytami i obsadzony młodymi wawrzynami. Drzwi wejściowe, z misternie rzeźbionego drewna, były wyższe niż te, jakie zdarzyło mi się oglądać. Od wschodu rozciągała się duża loggia służąca do przyjmowania gości w lepszą pogodę.

Karoca zatrzymała się i Francesco pomógł mi wysiąść, Zalumma przytrzymała długi, ciągnący się za mną tren. Progu strzegła para majestatycznych kamiennych lwów.

Przeszliśmy między nimi i drzwi otworzyły się przed nami jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Służący poprowadził nas do komnaty po lewej stronie: była to ogromna sala o śnieżnobiałych ścianach i posadzce z lśniącego jasnego marmuru i czarnego kamienia, które ułożono w klasyczny wzór. Dalej, za łukiem, znajdowała się komnata jadalna, długi stół był

zastawiony półmiskami pełnymi jadła. Rozmiar pomieszczeń byłby bardziej odpowiedni dla dworu księcia niż naszego małego rodzinnego zgromadzenia. Nawet ogień w kominku nie był

w stanie ogrzać mroźnego powietrza w sali. Było to niezwykle oficjalne miejsce.

A mój mąż był bardzo zamożnym człowiekiem.

Całe dotychczasowe życie spędziłam w domu liczącym ponad sto lat, we wnętrzach, gdzie ściany miały nijaki kolor, a meble były całkiem zwyczajne. Przyzwyczaiałam się do nierównych kamiennych posadzek poprzecieranych od kroków pokoleń, do schodów, których stopnie były wklęsłe pośrodku, do drzwi, których krawędzie szerniały od dotyku niezliczonych dłoni.

Ten dom zamieszkiwano zaledwie od dziesięciu lat, posadzki były idealnie równe, gładkie i lśniące, nieporysowane drzwi miały klamki i zamki z błyszczącego metalu. Wcale mi się nie podobał.

Żaden z krewnych ojca nie zdecydował się na przyjazd ze wsi, ale bracia Francesca przywieźli ze sobą żony i dzieci. Gdy jego rodzina podążyła za nami do środka, wraz z wujkiem Lauro i jego stadkiem, budynek wydał się mniej pusty, choć rozmowy odbijały się echem od ścian. Rozlano wino, coraz częściej rozlegały się śmiechy, głośnie i rubaszne.

Zwyczaj wymagał, abym pojechała do ślubu na białym koniu, a potem wróciła na piechotę do domu ojca, gdzie miałabym spędzić noc w samotności i czystości. Małżeństwo miało się spełnić dopiero następnej nocy, po dniu weselnych uczt.

Nie dochowałam obyczaju ani przy pierwszym, ani przy drugim ślubie. Nie jechałam na białym koniu ani nie wróciłam do pałacu ojca na piechotę - decyzję tę podyktowały trzy czynniki: tydzień wcześniej miałam gorączkę i wciąż byłam osłabiona, pogoda była niesprzyjająca, poza tym byłam w ciąży. O tym ostatnim fakcie nie rozmawiano otwarcie, lecz moja talia tak się rozrosła, że dla większości było to oczywiste. Nie przywiązywano do tego większej wagi, gdyż oficjalne

narzeczeństwo uznawano za równie wiążące jak małżeństwo. Wiele florenckich panien młodych pozbywało się wianka przed ceremonią w baptysterium San Giovanni i nikt nie miał im tego za złe.

Powitałam następnych gości, członków Signorii oraz towarzyszy Francesca, *Buonomini*. Wkrótce potem podano weselny obiad, którego wystawność z pewnością oburzyłaby Savonarolę: na stół podano całego pieczonego barana, dwa pieczone prosiaki, trzy gęsi i łabędzia, niezliczone bażanty, kilka królików i tuziny ryb, zupy i ciasta, i uroczę cukry, sześć rodzajów makaronu w rosole, sery, orzechy i suszone owoce.

Niemal krztusiłam się od zapachu potraw. Mimo to uśmiechałam się tak długo, aż rozboleły mnie policzki. Ze sto razy mówiono mi, że jestem najpiękniejszą panną młodą, jaką kiedykolwiek widziano we Florencji. Odpowiadałam bez zastanowienia, zawsze stosownie i dwornie, choć zupełnie nieszczerze.

Były toasty, włącznie z popularnym życzeniem, abym zaszła w ciążę w noc poślubną.

Unosiłam puchar do zaciśniętych warg, aromat wina przyprawiał mnie o takie mdłości, że musiałam wstrzymać oddech.

Zjadłam tylko trochę chleba i mały kawałek sera, choć mój talerz był pełny. Zręcznie manewrowałam sztucami, tak by wydawało się, że zjadłam więcej.

Po biesiadzie nastąpiły tańce przy muzyce kwartetu, który Francesco zatrudnił na tę noc. Mając ceremonię i posiłek za sobą, przez chwilę poczułam ulgę. Byłam wycieńczona, ale śmiałam się, grałam i tańczyłam z nowymi bratankami i bratanicami, patrząc na tę młodzież z nieznaną mi wcześniej melancholią.

Zobaczyłam też, że ojciec obserwuje mnie z tym samym uczuciem.

Pod wieczór goście wyszli, a ojciec wrócił do domu opuszczonego przez wszystkich - nawet przez Zalummę. Moje ożywienie też przygasło wraz ze słabnącym światłem.

Francesco przedstawiał mi służbę: pokojówki, Isabelle i Elenę, pokojow-ca Giorgia, kucharkę Agrippinę, podkuchenną Silvestrę i woźnicę Claudia. Większość z nich sypiała naprzeciwko kuchni na parterze, w południowo-zachodnim skrzydle, skąd łatwo było przejść na tyły pałacu. Powtarzałam głośno ich imiona, choć wiedziałam, że i tak nie zapamiętam ich na długo, serce waliło mi zbyt głośno, by wyraźnie słyszeć własne słowa. Byli też inni, których nie poznałam: stajenny i podstajenni, druga kucharka, chwilowo chora, oraz chłopak na posyłki.

Elena, gładkolica kobieta o kasztanowatych włosach i pogodnym spojrzeniu Madonny, zaprowadziła Zalummę i mnie na drugie piętro, mijając pokoje Francesca, które mieściły się piętro niżej, aż do rozległych komnat, teraz należących do mnie. Trzymając lampkę w górze, pokazała mi najpierw pokój dziecięcy z pustą kołyską pod obrazem siedzącej w sztywnej pozie Matki Bożej i wyglądającego dość dorośle Dzieciątka Jezus, potem zaś niezamieszkaną kwaterę piastunki; w izbie było tak zimno, że chyba jeszcze nigdy nie palono tu w kominku.

Potem zwiedziłyśmy pokój dzienny, w którym stały krzesła, stolik z zapaloną lampką i biurko, a na ścianie wisiała półka z książkami odpowiadającymi kobiecym gustom: poezją miłosną, łacińskimi psalmami, podręcznikami do nauki języków starożytnych, poradnikami o tym, jak powinno się prowadzić dom i jak powinna się zachowywać pani domu w stosunku do męża i gości, a także jak leczyć najczęstsze dolegliwości. Tu też nie palił się ogień, lecz komnata była cieplejsza, gdyż znajdowała się dwie kondygnacje nad jadalnią, gdzie w kominku wciąż huczał ogień, oraz bezpośrednio nad dobrze ogrzаныmi apartamentami Francesca.

Pokój dzienny i pokój dziecięcy znajdowały się od frontu, więc okna wychodziły na północ; kwatery Zalummy (dzielona z Eleną i Isabellą) i moja sypialnia - na tyłach, z oknami na południe. Elena zabrała nas do pokoi służby i pozwoliła mi zajrzeć do środka; moja sypialnia w domu ojca nie była ani tak duża, ani tak elegancka.

Potem przeszłyśmy na drugą stronę korytarza i Elena otworzyła drzwi do mojej komnaty.

Pokój był zdecydowanie kobiecy, ściany z białego, a posadzka z różowego, kremowego i zielonego marmuru, kominek z białego granitu, połyskiwały w świetle porządnie rozpalonego ognia. Dwa lekkie fotele z siedziskami tapicerowanymi jasnozielonym brokatem stały przodem do paleniska, na ścianie za nimi wisiał duży arras przedstawiający dwie kobiety zrywające z drzewa pomarańcze. Łoże obsypano suszonymi płatkami róży i okryto haftowaną aksamitną narzutą z frędzlami, uszytą z tego samego materiału co moja ślubna suknia. Zasłony do kompletu, obszyte złotą nicią, wisiały na hebanowym baldachimie, wewnętrzne zasłonki uszyte ze zmyślnie udrapowanego czystego białego szyfonu.

Przeszklone drzwi wychodzące na południe otwierały się, jak przypuszczałam, na balkon.

Po obu stronach łóżka stały stoliki; na jednym ustawiono białą malowaną w kwiatki miskę, wypełnioną aromatyczną wodą różaną. Nad nią wisiało owalne lustro. Na drugim stoliku była lampka i srebrny talerz pełen rodzyneków, butelka wina i srebrny puchar.

Wyposażenie lśniło nowością i zdawało się kupione specjalnie dla mnie. Wprost trudno było uwierzyć, że nie jestem jego pierwszą właścicielką.

Elena pokazała mi żelazny łańcuch zwisający z sufitu w pobliżu łoża. Po pociągnięciu wprawiał w ruch dzwonek w pokojach służby po przeciwnej stronie korytarza.

- Dziękuję - powiedziałam, dając znak, że może się oddalić. - Mam wszystko, czego mi trzeba. Chciałabym się teraz rozebrać.

Lekki uśmiech na jej wargach, który nie przygasł ani razu podczas naszej wycieczki, nie zniknął. Wciąż z lampką w dłoni, dygnęła i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Stałam i nasłuchiwałam szelestu jej pantofli po marmurze, a potem odgłosu otwieranych i zamykanych drzwi po drugiej stronie korytarza.

Zalumma rozsznurowała mi rękawy i stanik. Niewygodna suknia z ciężkim trenem opadła na podłogę. Ubrana jeno w migotliwą *camicia* wyszłam z niej z cichym westchnieniem znużenia i wyczerpania.

Usiadłam w nogach łóżka i patrzyłam na Zalummę, która starannie złożyła rękawy i suknię, a następnie odłożyła je na półkę w dużej garderobie. Delikatnie zdjęła mi brylantową siateczkę z włosów i schowała ją do kufra razem z resztą biżuterii. Zajęłam miejsce przed lustrem, a ona rozplotła mi włosy. Wpatrywałam się w zwierciadlane odbicie i widziałam swoją matkę, młodą, przerażoną i ciężarną.

Zalumma też ją widziała. Delikatnymi ruchami unosiła szczotkę i rozczesywała mi włosy, wygładzając je potem drugą ręką. Po każdym pociągnięciu szczotki następowało głośnięcie. Chciała mnie pocieszyć, a tylko tak mogła to zrobić.

Wreszcie czesanie się skończyło. Odwróciłam się. Mina Zalummy wskazywała tę samą fałszywą odwagę, którą próbowałyśmy pocieszyć jedna drugą.

- Gdybyś czegoś potrzebowała... - zaczęła.

- Nie martw się o mnie.

- Będę czekała tuż za drzwiami.

- Przyjdiesz do mnie później? - spytałam. Mimo lęku zauważyłam, że Francesco zlekceważył jedno moje życzenie: nie wstawił tu posłania dla Zalummy. Modny obyczaj nakazywał, by służba najzamożniejszych sypiała oddzielnie, Zalumma jednak zawsze spała na posłaniu przy łóżku mojej matki na wypadek, gdyby jej pani dostała ataku drgawek. Po śmierci matki obecność Zalummy działała na mnie kojąco. I przydałaby mi się teraz w tym pozbawionym ciepła i serca domu. - Komnata jest za duża, a to łoże... nie mogę znieść, że będę w nim spać sama.

- Przyjdę - zapewniła półgłosem. Kiwnęłam głową.

- Wezwę cię.

Odwróciłam się, by mogła wyjść.

Francesco pojawił się kwadrans później. Zapukał z wahaniem, a gdy nie wyszłam od razu, otworzył drzwi i zawołał mnie po imieniu.

Siedziałam przy kominku i wpatrywałam się w ogień z ramionami oplecionymi wokół

nóg i policzkiem spoczywającym na zgiętym kolanie, przyciskając bosc stopy do ciepłego grubo ciosanego granitu. Gdybym była choć odrobinę bliżej, żar spaliłby mi skórę, ale i tak nie mógł odegnać zimna, które mnie otaczało.

Podniosłam się i ruszyłam w jego stronę. Wciąż ubrany w czerwony ślubny strój uśmiechnął się słodko i nieśmiało. Zatrzymałam się o cztery łokcie od niego.

- Uroczystości przebiegły całkiem dobrze. Myślę, że goście byli zadowoleni, a ty? -

spytał.

- Tak - odrzekłam.

- Czy nowe apartamenty odpowiadają twoim oczekiwaniom?

- Wręcz je przekraczają.

- To dobrze. - Umilkł na chwilę. - Mam dla ciebie prezent. - Wydobył z kieszeni jedwabny woreczek.

Wyciągnęłam rękę i wzięłam go. Niezdarnie, palcami odrętwiałymi, jakbym pływała w lodowatej wodzie, jęłam rozwiązywać sznurek. Francesco roześmiał się cicho i sam poluzował sznurek; zawartość woreczka wypadła mi na dłoń.

Była to kobieca broszka. Duża, zrobiona z granatu wielkości żółdzia, otoczonego perełkami i oprawionego w srebro.

- To... rodzinna tradycja - wyjaśnił Francesco, nagle onieśmielony. - Należała do mojej matki, a przedtem do babki.

Kamień był mętny, matowy, sam klejnot niczym się nie wyróżniał oprócz tego, że był

bardzo stary. Czarny nalot zalegał wokół każdej z perełek, choć srebro niedawno czyszczone.

Tradycja, pomyślałam. Dla wszystkich jego żon.

- Dziękuję - odparłam chłodno, przygotowując się na brutalność, która mnie czekała.

Stało się jednak coś zupełnie zdumiewającego; Francesco wciąż wydawał się łagodny, prawie znużony. Stłumił ziewnięcie.

- Ależ proszę - odrzekł niepewnym głosem. - No cóż. - Rozejrzał się dookoła, a potem znowu się do mnie uśmiechnął. - Jesteś na pewno wyczerpana dzisiejszym dniem.

Zobaczymy się jutro rano. Dobranoc.

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem. Czuł się niezręcznie i pragnął jak najprędzej mnie opuścić.

- Dobranoc - odpowiedziałam.

Wyszedł. Pośpiesznie odłożyłam broszkę, przyłożyłam ucho do zamkniętych drzwi i jęłam nasłuchiwać jego kroków w korytarzu, a potem na schodach wiodących w dół. Gdy byłam już pewna, że oddalił się na dobre, otworzyłam drzwi, by zawołać Zalummę... i drgnęłam z zaskoczenia, widząc ją tuż przed sobą.

Patrzyła w głąb spowitej w mroku klatki schodowej.

- Wróci? - szepnęła.

- Nie - odparłam i wciągnęłam ją do pokoju.

- Co się stało?

- Nic. - Ulga, że nie muszę już dzisiaj odgrywać roli posłusznej żony, sprawiła, że poczułam się nagle bardzo zmęczona i ledwie dowlokłam się do łóżka, zanim nogi zupełnie odmówiły mi posłuszeństwa. Usiadłam z głową opartą o solidny drewniany zagłówek i wyciągniętymi przed sobą nogami, bezmyślnie podniosłam różany płatek i skruszyłam go w palcach. Zalumma nalała wina do kieliszka, a potem podała mi go. Winny aromat był dziwnie zachęcający, jeśli wziąć pod uwagę, że wcześniej działał na mnie tak niedobrze. Ostrożnie upiłam mały łyżeczek i rozprowadziłam płyn po języku, delektując się nim. Było to jedno z najsmaczniejszych win, jakich kiedykolwiek spróbowałam, i wcale nie ustępowało temu, które serwowano na dworze Medyceuszy.

Po raz pierwszy tego dnia odprężyłam się, tak by zwrócić uwagę na Zalummę. Stała przy łóżku ze zmarszczonymi brwiami, przyglądając mi się bacznie, aby upewnić się, czy wino mi zasmakuje i czy nie robi mi się od niego niedobrze. Wyglądała tego dnia bardzo ładnie; martwiła się o mnie i przez to straciła ostatnio na wadze. Kości policzkowe pod ciemnymi, lekko skośnymi oczami stały się bardziej wydatne. Kruczoczarne włosy okalające twarz zaplotła w warkoczyki, a z tyłu odgarnęła na kark i przykryła woalem z kremowego jedwabiu; do tego włożyła wełnianą suknię o ciepłym odcieniu brązu, oblamowaną złocistą wstążką.

- Co powiedział? - zapytała niecierpliwie.

- Dał mi prezent. -”Wskazałam na granatową broszkę na stoliku. - Dał mi prezent i powiedział, że muszę być zmęczona, a potem pożegnał się i wyszedł.

- Chyba oszalał.

- Może jest chory. A może sam czuje się zmęczony po tylu przygotowaniach. Spójrz na łóżko. - Jej wzrok powędrował do haftowanej aksamitnej narzuty i identycznych zasłonek.

- Kazał to zrobić specjalnie dla mnie.

- Należało ci się przynajmniej tyle - zauważyła cierpko.

Upiłam następny ostrożny łyk i poczułam, że umieram z głodu. Zerknęłam na talerz rodzynków przy łóżku i zmarszczyłam brwi. Służący uznali, że najedzona po uszy po całym dniu ucztowania zjem te słodkie smakołyki jako dodatek do wina. Nie wiedzieli, że nie lubię rodzynków.

Zalumma od razu się zorientowała.

- Jesteś głodna? Nic dzisiaj nie jadłaś.

- Chciałabym trochę chleba i sera.

- Zaraz ci przyniosę.

- Weź drugi kieliszek dla siebie - dodałam po chwili namysłu. - I coś do jedzenia. Nie chcę jeść sama. - Francesco uznałby to za niestosowne, ale było mi wszystko jedno. Mimo zmęczenia nagle zachciało mi się świętować. Przynajmniej przez tę jedną noc byłam wolna od brutalnych zalotów nowego męża.

- Jesteś pewna, Madonna? Machnęłam ręką, żeby się pośpieszyła.

A sama siedziałam z zamkniętymi oczami. Byłam niewymownie wdzięczna, że podczas drugiej nocy poślubnej zostawiono mnie w spokoju. Nie chciałam kłać wspomnienia pierwszej. Głośno obiecałam Giulianowi:

- Opowiem twojemu dziecku wszystko, co o tobie wiem, o twojej dobroci, o dobroci twojego ojca. Opowiem mu o twoim stryju... o moim ojcu. I nauczę je wszystkiego, co wiem o miłości i życzliwości.

Oczami duszy zobaczyłam Giuliana klęczącego na posadzce w kaplicy i uśmiechającego się do mnie po rozerwaniu girlandy kwiatów.

Też się uśmiechnęłam. A gdy Zalumma pojawiła się w drzwiach z tacą balansującą na dłoni, na wargach wciąż malował mi się uśmiech. Na tacy leżały trzy rodzaje sera i okrągły bochenek chleba. Z radością zobaczyłam, że Zalumma przyniosła drugi kieliszek.

- Czujesz się lepiej - powiedziała ucieszona. - Nigdy nie widziałam takiej kuchni.

Można pomyśleć, że spodziewali się całej armii gości. - W jej głosie pobrzmiwała osobliwa nuta.

- Co się stało? - zapytałam. Wiedziałam, że coś odkryła czy zobaczyła, - Mów!

Ostrożnie odsunęła lampkę i postawiła tacę na stoliku.

- Ser Francesco - powiedziała jakby ze zdziwieniem. - Kiedy weszłam do kuchni, zobaczyłam na dziedzińcu światła i usłyszałam męskie głosy. Podeszłam do okna. Nie miałam świecy i nie mogli mnie zauważyć. Podstajenny otwierał właśnie bramę. Ser Francesco siedział na koniu i powiedział coś do niego, pewnie kiedy ma się spodziewać jego powrotu. Rozglądał się dokoła, jakby w obawie, że ktoś może go zobaczyć.

- Odjechał. - Usiłowałam zrozumieć, co to oznacza. Może powinnam się zaniepokoić, lecz byłam po prostu szczęśliwa, że go nie ma. - Nieważne - oświadczyłam i wzięłam butelkę wina. - Napij się ze mną i częstuj jedzeniem. Przetrwałam swoją pierwszą noc w tym domu.

Jadłyśmy i piłyśmy. Kiedy opadło z nas zmęczenie, nakłoniłam ją, żeby położyła się koło mnie. Jako niewolnica czuła się niezręcznie, pozwalając sobie leżeć w łóżu pani; nie chciała, aby pomyślano, że zapomniała, gdzie jej miejsce, a wiedziała, że Isabella i Elena zauważą, jeśli nie będzie spała w pomieszczeniu dla służby. Ale w końcu usnęła.

Ja też zdrzemnęłam się na chwilę. Śniło mi się, że jestem w niewłaściwym domu, z niewłaściwym mężczyzną i zbudziłam się zrozpaczona. Usiadłam na łóżku i stwierdziłam, że Zalumma pochrapuje

cicho obok mnie, wciąż ubrana w wełnianą suknię i z przekrzywionym welonem, a drewno w kominku wypaliło się i zmieniło w rozżarzony popiół.

Wtedy dotarło do mnie, że jestem rzeczywiście żoną Francesca, że Giuliano nie żyje i że nic nie może tego zmienić. Zebrało mi się na łzy, myślałam, że zaraz rozplaczę się głośno, a nie chciałam, żeby ktokolwiek zobaczył mnie lub usłyszał.

Wstałam po cichu z łóżka i drżąc z zimna, wymknęłam się pośpiesznie z komnaty.

Zamknęłam za sobą drzwi, zbiegłam po schodach piętro niżej i usiadłam na stopniu.

Zanim zdążyłam wydać pierwsze ochryple łkanie, powstrzymał mnie jakiś dźwięk: odgłosy zbliżających się kroków. Żółte światło lampki zamigotało daleko w dole, potem stopniowo oświetliło ścianę niczym rozprzestrzeniająca się plama.

Zorientowałam się, że to mój mąż, jeszcze zanim się pojawił. Chwiejąc się, przystanął przed wejściem na piętro, ledwie kilka kroków przede mną.

- Francesco - wyrwało mi się wbrew woli. Nie chciałam, żeby ktoś mnie zauważył, a już w szczególności on.

Usłyszał mnie i podniósł zdumiony wzrok.

- Lizo - wybełkotał. Był mocno pijany. Uniósł wyżej lampkę i zmrużył oczy. Gdy podnosił lampkę, niedbale owinięty czarny płaszcz zsunął się, ukazując ślubną tunikę i nogawice.

Przy prawym biodrze tunika była podwinięta do góry, nogawice opadały, odsłaniając białą wełnianą koszulę, która wystawała spod spodu niczym flaga.

Widząc to, parsknęłam z rozbawienia, a po chwili wyczułam ostry zapach taniej lawendy. Kilka razy wcześniej natknęłam się na ten zapach na targu, perfumowały się nim mocno umalowane kobiety w wyzywających sukniach, od których Zalumma zawsze odciągała mnie jak najdalej.

Przypomniałam sobie głos Francesca, zobaczyłam jego lubieżne, lśniące oczy.

„Ladacznicą. Dziwką. Suka”.

Ale tego ranka stałam się szacowną mężatką.

I byłam wolna.

- Nie mogłam spać - powiedziałam. - Myślę, że teraz już mogę. Dobranoc.

- Dobranoc - odrzekł sennie Francesco, a gdy wbiegałam po schodach, usłyszałam za plecami głucho stęknienie.



Wróciłam do komnaty, zamknęłam za sobą drzwi, oparłam się o nie i wybuchłam tak głośnym śmiechem, że obudziłam Zalummę.

P ryszła wiosna, pogoda się ociepliła. Za dnia otwierałam przeszklone drzwi i siadywałam na balkonie. Po lewej miałam widok na stajnie i przykuchenny ogródek warzywny, otoczony żywopłotami lawendy i rozmarynu. Przede mną rozciągał się pałacowy ogród z brukowanymi ścieżkami, młodymi wawrzynami i starannie przystrzyżonymi bukszpanami. Rano przechodziłam przez ogród, mijając ryczącego kamiennego lwa, z którego rozwartej paszczy tryskała chłodna woda spływająca do kamiennej studzienki. Dalej stała łukowata altana z treliazem porośniętym krzewami ciernistych róż, w środku znajdowała się miniaturowa grotta Najświętszej Marii Panny, której posązek z rozłożonymi szeroko ramionami zdawał się zapraszać do modlitwy.

Dziecko w moim łonie rosło. Do kwietnia brzuch zdążył się widocznie zaokrąglić, moje rysy stały się łagodniejsze, a policzki pełniejsze. Mdłości ustąpiły miejsca łaknieniu tak gwałtownemu, że zawsze trzymałam przy łóżku talerze z jadłem i często budziłam się w nocy, by coś przekąsić. Francesco opiekował się mną z ojcowską troską, rozkał Agrippinie, aby codziennie przynosiła mi wiadro spienionego i jeszcze ciepłego mleka prosto od krowy.

Mąż nigdy mnie nie dotykał. Odnosiliśmy się do siebie jak odlegli, lecz serdeczni znajomi, a on dawał mi wszystko, o co prosiłam. Nie protestował, gdy kazałam wnieść posłanie Zalummy do swej komnaty i ustawić je w nogach łóżka. Mimo to byłam nadal jego zakładniczką: nie mogłam już jeździć na targ. Pozwalał mi chodzić na kazania Savonaroli i jeśli miałam ochotę, do naszej rodzinnej kaplicy w Santissima Annunziata. Wszystkie inne wycieczki poza dom wymagały jego wyraźnej zgody.

Zwykle widywaliśmy się z Franceskiem raz dziennie, przy kolacji, kiedy dołączał do nas także mój ojciec. Zdawało się, że nasze towarzystwo sprawia mu szczególną radość i twarz rozjaśniała mu się na każde wspomnienie o dziecku. Ale wychudł tak bardzo, że martwiłam się o jego zdrowie, a gdy siedział przy stole, słuchając Francesca, wyczuwałam, że coś go trapi. Wątpiłam, by kiedykolwiek mógł być znowu szczęśliwy.

Ja też nie liczyłam na szczęście, choć moje życie nie stało się piekłem, jakiego się obawiałam. Francesco wysłuchiwał co rano kazań Savonaroli, a w nocy odwiedzał zamtuzy.

Jeśli nawet przejmował się rozziwem między swoim publicznym i prywatnym życiem, zupełnie tego nie okazywał. Po dniu pracy w kramie i w Palazzo delia Signoria, gdzie służył

jako *Bu-onuomo*, z przyjemnością jadł kolację w gronie uważnych słuchaczy. Ojciec i ja słuchaliśmy, lecz rzadko zabieraliśmy głos, gdy Francesco relacjonował najnowsze wieści.

W życiu Florencji zaszło wiele zmian, odkąd Fra Girolamo uznał, że Bóg powinien się zaangażować w działalność Signorii. Uchwalono nowe prawa: za sodomie groziła ognista śmierć na stosie, za zbyt wycięty dekolt - publiczne potępienie i grzywna. Zabroniono uprawiania hazardu i rozpowszechniania poezji. Cudzołożnicy drżeli ze strachu przed śmiercią przez ukamienowanie. Francesco opowiadał o tym z całą powagą, choć sam był

jednym z nich. Mężczyźni i kobiety, którzy ośmielali się paradować po mieście w biżuterii,

ryzykowali jej utratę, gdyż po ulicach krążyły patrole młodych wyrostków wiernych dominikaninowi i gotowych zagarnąć wszelkie „zbyteczne” bogactwa jako „datek” na Kościół. Obywatele wypuszczali się do miasta ukradkiem, w obawie, że jakieś nieprzemyślane zachowanie ściągnie na nich uwagę albo że przypadkowy komentarz zostanie poczytany za dowód ich obojętności wobec Boga.

Wszyscy zaczęliśmy się bać.

Tymczasem Bóg oświadczył, że Florencją nie powinni dłużej rządzić bogacze. Uznał, że lepsza byłaby Wielka Rada w stylu weneckim, jeśli zaś taka nie powstanie, miasto spotka sroga kara. Matka Boska także zainteresowała się polityką. Ukazywała się mnichowi i ze swadą mówiła po toskańsku o konieczności reform.

Savonarola jął żarliwie występować przeciwko Rzymowi i oburzającemu zachowaniu papieża Aleksandra, który swoją nieletnią kochanicę umieścił w Watykanie.

Francesco nauczył mnie nowego słowa: *Arrabbiati*, „wściekłe psy”. Byli to ludzie, którzy gardłowali przeciw Savonaroli, twierdząc, że mnich nie powinien mieszać się do polityki. Francesco żywił do nich wyłącznie odrazę.

Ojciec, jeszcze nie tak dawno żarliwie chwalał zakonnik, teraz uśmiechał się blado albo marszczył brwi w odpowiednich momentach, ale mówił mało. Entuzjazm całkiem go opuścił, choć jeździł z Franceskiem słuchać kazań Fra Girolama.

Rozmowy o proroku działały mi na nerwy. Z jego kazań wykluczono teraz kobiety -

bo mówił głównie o polityce - z wyjątkiem sobót, kiedy zwracał się wprost do niewiast.

Byłam zobowiązana na nie chodzić, bo mąż był *Buonuomo*. Zalumma i ja siedziałyśmy na nabożeństwach, słuchałyśmy i milczałyśmy uporczywie.

Czasami zwracałam się do Boga. Wybaczylam Mu, do pewnego stopnia, po wyzdrowieniu ojca. Ale modliłam się wyłącznie w rodzinnej kaplicy w Santissima Annunziata, której atmosfera mi odpowiadała. Podobało mi się, że jest stara, mała i skromna.

W cym samym czasie król Karol dotarł do Neapolu tylko po to, by ostatecznie ponieść tam klęskę. Jego wojska zawróciły na północ, przemaszerowały znowu przez Rzym, aż wreszcie zbliżyły się na odległość dwóch stajañ do Florencji.

Savonarola wzywał wszystkich do pokuty, bo inaczej Bóg w osobie Karola wymierzy nam karę. Sam zakonnik udał się do Sieny, wysłuchał spowiedzi monarchy, udzielił mu komunii i zagroził gniewem Bożym, jeśli nie przekaże Pizy w nasze ręce.

Karol zbył sprawę milczeniem, Savonarola wrócił do Florencji nie uzyskawszy odpowiedzi. Florentyńczycy zaczęli się coraz bardziej niepokoić, tym bardziej że Francuzi stacjonowali w Sienie coraz dłużej.

Ja jednak nie mogłam się niczym przejmować. Siedziałam na balkonie i patrzyłam, jak kwitną lilie.

W maju powódź zniszczyła młode zboże rosnące nad brzegami Arno. To znak Bożego niezadowolenia, orzekł prorok. Jeśli nie okazemy skruchy, następnym razem Bóg przyśle Karola. Patrzyłam, jak wawrzyny rozrastają się i srebrzą przy podmuchach wiatru, patrzyłam, jak kłaniają się szarym deszczom.

W czerwcu oglądałam róże, jaskrawoczerwone na tle ciemnej zieleni, i wdychałam ich zapach niesiony przez bryzę. Woda płynęła z paszczy lwa z kojącym, jednostajnym szemraniem.

Sierpień był skwarny, a ja cierpiałam. Nie mogłam spać, ponieważ upał za bardzo dawał mi się we znaki, dziecko wierciło się w brzuchu, bolał mnie krzyż. Było mi niewygodnie, czy leżałam, siedziałam, czy stałam; nie mogłam już zobaczyć własnych stóp, nie mogłam zdjąć sobie trzewików, z trudem podnosiłam się z łóżka czy krzesła. Obrączka ślubna stała się tak ciasna, że rozboleł mnie palec. Zalumma namydliła go starannie, a gdy wreszcie zdołała zerwać obrączkę, krzyknęłam z bólu.

Odliczałyśmy teraz kolejne dni. Spodziewałyśmy się dziecka w pierwszym albo drugim tygodniu miesiąca. Gdy zaczął się czwarty, Zalumma cieszyła się - opóźniony poród utwierdzi Francesca w przekonaniu, że to on jest ojcem - aleja byłam zbyt zdesperowana, by docenić szczęśliwe zrządenie losu.

Od początku września stałam się niemiła dla wszystkich, włącznie z Zalumma.

Przestałam schodzić na kolację, Francesco przysyłał mi na górę drobne podarki, byłam jednak zbyt rozdrażniona, by je docenić.

Pewnej szczególnie gorącej nocy zbudziłam się nagle z dziwnym niepokojem.

Pociłam się. Wcześniej zdjęłam nocną koszulę i wepchnęłam ją pod poduszkę; wilgotna lniana pościel przylgnęła do mojego brzucha tak ściśle, że widziałam, jak dziecko rusza się pod skórą.

Podźwignęłam się niezdarnie i włożyłam koszulę. Zalumma pochrapywała lekko na swoim pościeliu. Przeszłam obok tak cicho, jak tylko pozwalało ociężałe ciało i wymknęłam się cichaczem za drzwi. Chciało mi się pić, pomyślałam, że zejść na dół, gdzie jest chłodniej, i nabiorę sobie świeżej wody. Oczy przywykły już do mroku i nie wzięłam świeczki.

Kiedy ruszyłam po schodach, zobaczyłam światło zbliżające się z przeciwnej strony -

to Francesco, pomyślałam. Jak dobra żona odwróciłam się, zamierzając dyskretnie zejść mu z drogi, ale zatrzymałam się, słysząc kobiecy chichot. Przywarłam plecami do ściany, aby nie padło na mnie światło, i zerknęłam w dół.

Na niższym piętrze stała Isabella - młoda, śliczna Isabella - w *camicia* z białego lnu, trzymając w uniesionej dłoni klucz, a w drugiej świeczkę. Dziewczyna odchyliła się do tyłu, prosto w objęcia mężczyzny, który oplótł ją ramionami i przycisnął do piersi, a potem wtulił

twarz w jej szyję. Kiedy ją pocałował, próbowała stłumić śmiech, a gdy się jej nie udało, uciszył ją,

szeptając „cii”. Wyrwała mu się, by otworzyć drzwi do komnat mego męża. W

środku płonęła lampka w oczekiwaniu na jego powrót.

Francesco, pomyślałam, z Isabella. Wrócił o godzinę czy dwie za wcześnie; może któraś z ładacznic zachorowała, bo zwykle godzina jego powrotów była bardzo przewidywalna. Nie byłam wcale zaskoczona ani urażona tą niewiernością, choć zawiodłam się trochę na Isabelli.

Mężczyzna, który podniósł głowę, nie był jednak moim mężem.

Jego twarz mignęła mi tylko przed oczami, zanim błysnąwszy uśmiechem, wziął z ręki dziewczyny klucz. Był ciemnowłosy, może w moim wieku, mniej więcej szesnastoletni.

Nigdy wcześniej go nie widziałam. Czyżby Isabella wpuściła złodzieja?

Stałam nieruchomo, tylko dziecko wierciło się w brzuchu. Z powodów, których wciąż nie pojmuję, nie czułam strachu.

Isabella odwróciła się i pocałowała go namiętnie. Kiedy odchodziła, zabierając ze sobą świecę, by ruszyć po schodach na dół, klepnęła ją bezgłośnie w pośladek. Potem samotnie wszedł do komnat Francesca, zapalona lampka wskazywała mu drogę.

Przez chwilę wsłuchiwałam się w nieznajome odgłosy jego kroków. Potem na tyle zwinnie, na ile pozwalał mój stan, ruszyłam chyłkiem na dół, mijając intruza, który przystanął

w gabinecie.

Zesłam do kuchni i wzięłam z pieca duży żelazny pogrzebacz. Zakradłam się po schodach na piętro, do gabinetu Francesca.

Spowita mrokiem obserwowałam nieznajomego, który stał przed biurkiem, gdzie postawił płonąca lampkę zabraną z sypialni mego. Szuflada była otwarta, obok leżał klucz; nieznajomy rozłożył kartkę papieru i ze zmarszczonymi brwiami ją czytał, poruszając wargami, jakby wymawiał bezgłośnie kolejne słowa. Był dość młody, miał wydatny nos i bystre oczy z długimi czarnymi rzęsami; owalną twarz okalały ciemnokasztanowe pukle.

Nosił ubiór rzemieślnika: szarą tunikę, która sięgała mu prawie do kolan, zasłaniając połataną czarną rajtuzy. Gdyby wziął klejnoty Francesca, nasze srebra lub złoto, albo cokolwiek wartościowego, zawołałabym służbę. Ale on interesował się tylko tym, co czytał.

Nie zauważył mnie, póki nie wyszłam z ciemności i nie zapytałam z naciskiem:

- Co ty robisz?

Przerwał lekturę, unosząc z zaskoczeniem głowę, a gdy odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć, kartka wypadła mu z dłoni. Wyciągnęłam rękę i niemal cudem złapałam ją w powietrzu, zanim zdążyła opaść miękko na podłogę.

Wykonał taki ruch, jakby zamierzał mi ją odebrać, lecz uniosłam groźnie pogrzebacza.

Zobaczył moją broń i pełne wargi wygięły się w półksiężyc uśmiechu. Była w nim lubieżność, a także dobry humor. Był jak ja nieustraszony. I jak ja miał świadomość, że wystarczy, by cofnął się o kilka kroków, a mógłby dosięgnąć pogrzebacza leżącego przy chłodnym kominku. Zerknął na niego przelotnie, a potem zrezygnował z pomysłu.

- *Mona Liza* - rzekł tonem kogoś lekko zaskoczonego spotkaniem dobrej znajomej w zupełnie nieoczekiwanym miejscu. Wyglądał jak ubogi czeladnik, a mówił jak kupiec.

- Kim jesteś? - zażądałam.

- Diabłem we własnej osobie. - Uśmiech ani na moment nie zniknął z jego warg; patrzył teraz na mnie wyzywająco, jakbym to ja tu wtargnęła, a nie on. Był bezczelnym, dowcipnym złoczyńcą.

- Skąd znasz moje imię?

- Twój mąż, pani, wkrótce wróci do domu. Powiniennem wyjść, nie sądzisz? Bo inaczej oboje znajdziemy się w nie lada opalach. To chyba zbyt szybko, byś dała się pani przyłapać w koszuli nocnej z młodym mężczyzną. - Spojrzał na pogrzebacza, uznał, że go nie użyję, i wyciągnął rękę po kartkę. - Zjawiałaś się pani w niefortunnym momencie. Gdybyś mi pozwoliła tylko przez chwilę zerknąć na list, nic więcej, z radością go zwrócę i pójdę sobie. A ty, pani, możesz udawać, żeś nigdy mnie nie widziała...

Musnął palcami kartkę. Jeszcze chwila, a zabrałby mi ją; podjęłam szybką decyzję.

- Ratunku! - zawołałam. - Złodziej! Złodziej!

Uśmiechnął się szeroko, ukazując białe zęby z niedużą szparą pośrodku. Inaczej, niż się spodziewałam, nie spróbował po raz kolejny zabrać mi listu, w jego oczach błysnęło uznanie dla mojej taktyki.

Znowu zawołałam o pomoc.

- W takim razie żegnam cię, pani - powiedział i puścił się pędem po schodach z zaskakującą szybkością. Ruszyłam za nim w pogoń tak prędko, jak tylko pozwalał na to mój ciężar, i zobaczyłam, jak otwiera frontowe drzwi. Nie zamknął ich za sobą. Widziałam jego ciemną postać, gdy przebiegł po podjeździe i rozpląnął się w mroku.

Byłam zdumiona i zaintrygowana. A gdy Claudio i Agrippina zawołali coś do mnie, złożyłam kartkę i wcisnęłam ją pod ramię, tak że całkowicie schowała się między fałdami nocnej koszuli.

Kiedy dopadli do mnie zdyszani i przestraszeni, powiedziałam:

- Musiało mi się coś przyśnić. Myślałam, że ktoś tu jest... Ale nikogo nie ma.

Pokręcili głowami. Odesłałam ich z powrotem do pokoi, a Claudio mruknął coś o kobietach w ciąży.

Sama wróciłam do gabinetu Francesca i przystawiłam kartkę do światła. Rzeczywiście był to list, złożony na trzy, ze złamaną czarną pieczęcią. Pismo przechylało się na prawo, miało grube linie, jakby autor mocno przyciskał pióro, sam papier wydawał się podniszczony, jakby przeżył długą podróż.

*Twoje obawy o zemstę ze strony Aleksandra są nieuzasadnione; groźba ekskomuniki to zwykła plotka. Kiedy stanie się coś więcej, wykorzystamy to do własnych celów Tymczasem dalej zachęcaj go do wystąpień przeciw Rzymowi i Arrab-biati. I przyslij mi nazwiska wszystkich Bigi...*

*Bigi, byli to w większości starsi i dobrze sytuowani ludzie, którzy popierali Medyceuszy. Słyszałam już to słowo z ust męża i ojca. ale nie czyń nic ponad to; uderzenie w nich byłoby obecnie przedwczesne. Siedzę poczynania Piera i rozpracowuję jego plany najazdu. Zatrzymał się teraz w Rzymie, a ja znalazłem tam zaufanych ludzi skłonnych uporać się z nim, tak jak Ty uporałeś się z hrabią Gio-uannim Pikiem. Jeśli nam się to powiedzie, Bigi przestaną stanowić poważne zagrożenie.*

*Twoja pomoc zostanie jak zawsze zapamiętana i nagrodzona.*

Złożyłam list i schowałam go z powrotem do biurka, w szufladzie, gdzie Francesco przechowywał korespondencję, a następnie zamknęłam ją na klucz. Zawahałam się na moment, nie wiedząc, co zrobić z kluczem. Isabella dała go intruzowi. Czy był to oryginał

należący do mojego męża, czy kopia?

Zdecydowałam, że go zachowam. Jeśli Francesco zauważy zgubę, to Isabella będzie się musiała tłumaczyć, nie ja.

Potem wróciłam do sypialni. Zaspana Zalumma mruknęła, że słyszała na dole hałasy.

- To nic takiego. Śpij - powiedziałam, co też skwapliwie uczyniła.

A ja ominęłam łóżko i wyszłam na balkon pomyśleć. Powietrze było nieznośnie gorące, gęste niczym woda; odetchnęłam i poczułam, jak osiada we mnie ciężko, wlewa się do płuc, uciska serce.

„Dalej zachęcaj go do wystąpień przeciw Rzymowi i *Arrabbiati*”.

Pomyślałam o tym, jak Francesco wiernie chodzi na wszystkie kazania Savonaroli.

Uważnie wsłuchuje się w każde słowo. Wraca do swego wspaniałego pałacu, obsypuje mnie biżuterią. Jak wyjeżdża co noc, aby odwiedzić znajome burdele.

„Znalazłem tam zaufanych ludzi, skłonnych uporać się z nim, tak jak Ty uporałeś się z hrabią Giovannim Pikiem”.

Przypomniałam sobie Pica z kielichem w dłoni, uśmiechającego się do Wawrzyńca, a potem tego samego Pica o podkrążonych oczach i wychudłego. Przypomniało mi się, jak Francesco mówi: „Pico? Był dobrym znajomym Wawrzyńca, prawda? Niestety... obawiamy się, że nie pociągnie długo”.

Do tej pory myślałam, że największe niebezpieczeństwo, jakie grozi mojemu ojcu i mnie, polega na tym, że Francesco może zdradzić moje powiązania z Medyceuszami i wydać mnie Signorii.

„To okropne, że twój ojciec musi dalej cierpieć. I straszne, że skończy się to dla niego śmiercią”.

Myślałam, że go wtedy zrozumiałam. A niczego nie rozumiałam.

Świat był gorący, ciężki i dławiący. Schowałam twarz w dłoniach, ale nie mogłam złapać tchu, żeby się rozpłakać.

I wtedy moje ciało otworzyło się, usłyszałam chluśnięcie rozbryzgującego się płynu i zdałam sobie sprawę, że jestem jego źródłem. Krzesło, nogi, koszula były całe mokre, a gdy wstałam, zdumiona, złapał mnie skurcz tak gwałtowny, że myślałam, iż wykręci mnie na drugą stronę.

Krzyknęłam i chwyciłam się balustrady, a gdy Zalumma nadbiegła i otworzyła szeroko oczy, powiedziałam, by sprowadziła położną.



Francesco ochrzcił chłopca imionami Matteo Massimo: Massimo na cześć swego ojca, a Matteo po dziadku. Przyjęłam te patriarchalne imiona posłusznie, od początku widziałam, że nie będę mogła nazwać go Giulianem. Ucieszyło mnie, kiedy dowiedziałam się, że Matteo oznacza dar Boży. Bóg nie mógłby mi podarować nic lepszego.

Matteo był wspaniały i piękny i dzięki niemu poczułam się znowu potrzebna. Bez niego nie zniosłabym tego, czego dowiedziałam się w gabinecie męża; bez niego nie miałabym odwagi stawić czoła losowi. Teraz postanowiłam zachować wszystko dla siebie i tylko Zalummie powiedziałam o liście - było to konieczne, gdyż na pewno zauważyłaby klucz, który zatrzymałam, a o którym Francesco nigdy nie wspomniał.

Kiedy przeczytałam jej to, co napisano na temat Pica, zrozumiała, o co chodzi, i przeżegnała się zatrwożona.

Matteo przyjął pierwszy sakrament nazajutrz po urodzeniu, w San Gio-vannim, gdzie wyszłam po raz drugi za męża. Oficjalne chrzciny odbyły się dwa tygodnie później w Santissima Annunziata, w pewnej odległości na północ, w sąsiedniej dzielnicy San Giovanni.

Od wielu pokoleń rodzina Francesca miała tam prywatną kaplicę. Kościół stał przy placu, naprzeciwko sierocińca Ospedale della Santa Maria degli Innocenti. Fasady obu budowli, noszących wyraźne cechy stylu Michelozza, były ozdobione pełnymi wdzięku arkadami.

Modlitwa w kaplicy dawała mi ulgę i pocieszenie. Z wyjątkiem odlanego w brązie ukrzyżowanego Chrystusa bielone ściany wznosiły się nagie nad ołtarzem wyrzeźbionym w ciemnym drewnie. Po jego bokach stała para żelaznych kandelabrow wysokich jak ja i dwa razy grubszych. Żłocisty blask dwudziestu czterech świec rozpraszał mrok pozbawionego okien wnętrza. Powietrze pachniało kurzem, drewnem i kamieniem, słodkimi kadzidłami i woskiem i drgało bezgłośnie echem odmawianych od stuleci modlitw.

Od narodzin synka trzymałam się od Francesca z daleka; moja nienawiść, odraza i lęk były tak potężne, że z trudem mogłam na niego patrzeć. Jego zachowanie nie uległo zmianie, wciąż był usłużny i łagodny, teraz jednak, gdy się mu przyglądałam, widziałam człowieka zdolnego do zamordowania Pica, a może również Wawrzyńca. Człowieka, który pomógł w obaleniu rządów Piera, a tym samym przyczynił się do śmierci Giuliana.

Próbowałam przez matczyne oddanie odepchnąć od siebie myśl o ciemnych sprawkach męża i jego konszachtach z Savonarolą, jakby zapomnienie mogło w magiczny sposób uchronić przed nim Mattea. Próbowałam - lecz gdy siedziałam w kaplicy i uśmiechałam się do dziecka, świadomość, że Francesco siedzi obok, przyprawiała mnie o mdłości.

Wuj Lauro i Giovanna Maria wystąpili w roli chrzestnych. Matteo był nadzwyczaj spokojnym dzieckiem; przespał większość ceremonii i uśmiechnął się po przebudzeniu.

Siedziałam, wciąż niezdrowa po ciężkim porodzie, i z radością patrzyłam, jak mój ojciec trzyma

chłopca na rękach, a Lauro odpowiada w jego imieniu kapłanowi.

Później, gdy ojciec ruszył dumnie z wnukiem nawą ku wyjściu, a inni podążyli jego śladem, zostałam jeszcze, żeby odebrać akt chrztu od księdza. Był to młody i speszony duchowny, głos załamał mu się kilkakrotnie w czasie obrzędu. Kiedy brałam od niego dokument, nie wypuścił go od razu z ręki, lecz rozejrzał się ukradkiem po obecnych, a upewniwszy się, że są zajęci dzieckiem, szepnął:

- W nocy. Proszę to przeczytać dopiero w nocy, w samotności. Drgnęłam... a potem spojrzałam na ręce. Wręczył mi niejedną, lecz dwie kartki: pod pergaminowy dokument wsunął starannie złożoną kartkę papieru.

Myśląc, że zwariował, odeszłam czym prędzej i pośpieszyłam za innymi.

Zdażyłam już prawie dołączyć do pozostałych na placu, gdy drogę zastąpił mi młody mnich, w czarnym habicie Serwitów Najświętszej Marii Panny, zakonu, który mieścił się w Santissima Annunziata. Nasunięty głęboko kaptur zakrywał czoło i oczy; na ramieniu niósł

duży kosz wypełniony jajkami. Kiedy go mijałam, powiedział cichym głosem: „Piękne dziecko, Madonna”.

Odwróciłam się do niego z uśmiechem. I zobaczyłam znajomy uśmieszek „diabła we własnej osobie”.

- To ty - syknęłam.

Ucieszył się, że go rozpoznałam. Pochylił się do światła, ukazując rozbawienie zmieszane z niepokojem.

- Dziś w nocy - powiedział cicho. - W samotności. - Potem odwrócił się i odszedł sprężystym krokiem.

Dołączyłam do innych. Rozmawiali i zachwycali się chłopcem, potem Francesco miał zamiar wrócić do pracy. Mąż podniósł oczy, jego wzrok był łagodny i nieobecny.

- Kto to był? - spytał.

- Nikt - odrzekłam, podchodząc. Ścisnęłam akt chrztu w ręce, pilnując, by całkowicie zakrywał potajemny liścik. - Zupełnie nikt.

Nie powiedziałam o liście nikomu, nawet Zalummie. Ale gdy zeszła w południe na parter, aby zjeść posiłek z resztą służby, i zostawiła mnie samą z synkiem na balkonie, rozłożyłam kartkę. Słońce świeciło na bezchmurnym niebie, ale nie mogłam się doczekać nocy, zresztą nie widziałam ku temu powodu. Matteo leżał ciepły i miękki na moim ramieniu.

Czy mogłabym wplątać się w to bardziej?

Kiedy spojrzałam na kartkę, prychnęłam z oburzeniem. Była pusta, zupełnie pusta.

„Diabeł” zakpił sobie ze mnie - i to w kiepskim stylu. Gdyby w kominku było akurat napalone, wyrzuciłabym papier do ognia. Zmiarkowałam się jednak, wygładziłam kartkę i włożyłam ją do szuflady. Zamierzałam użyć jej do korespondencji, ponieważ papier był

dobrej jakości, bielony i równo przycięty.

Tego samego dnia późno w nocy zbudził mnie płacz Mattea w dzieciennym pokoju; maluch ucichł, gdy tylko mamka wstała, by go nakarmić, lecz ja nie mogłam ponownie zasnąć. Powietrze było nadzwyczaj ciepłe; leżałam spocona w łóżku i wierciłam się niespokojnie. Zalumma spała na swoim pościeli.

Przypomniały mi się słowa księdza: „Proszę to przeczytać dopiero w nocy, w samotności”.

Wstałam. Ruszyłam po ciemku przez pokój, starając się stąpać jak najciszej, choć Zalumma miała twarde sen. Zapaliłam świeczkę, powoli otworzyłam szufladę stolika i wyciągnęłam kartkę przekazaną mi przez księdza.

Z obawą, a jednocześnie czując się głupio, przysunęłam ją do płomienia.

Wpatrywałam się w czystą biel ze zmarszczonymi brwiami, aż coś mnie tknęło.

Przysunęłam papier jeszcze bliżej świecy, tak że płomyk zaczął go osmalać.

Przed oczami zaczęły się pojawiać brązowe litery. Westchnęłam cicho ze zdumienia.

*Pozdrowienia.*

*Żałuję, że nie mogłem odpowiedzieć na wcześniejszy list.*

*Jutro o sekście przyjdź samotnie, by prosić Boga o odpowiedź.*

Od wieków wierni dzielili dzień na godziny modlitwy: najbardziej znana była jutrznia, modlitwa o świcie, oraz wieczorne nieszpory. Po świcie była jeszcze trzecia godzina poranka, zwana tercją, a potem szósta, czyli seksta, w południe.

Patrzyłam na pismo, na idealnie proste litery, na długie, zdobione zawijasami „f” i

„l”, na przysadziste „n” i niedbałą ortografię. Widziałam to pismo dopiero trzeci raz w życiu, ale od razu je rozpoznałam.

„*Monna Liza, przesyłam pozdrowienia z Mediolanu...*” 57

Przez resztę nocy nie spałam. Leżałam w łóżku, zastanawiając się nad listem. „Przyjdź

prosić Boga o odpowiedź”, pisał. „Samotnie”. Oznaczało to, że musiałabym opuścić pałac, ale we

Florencji była nie mniej niż setka kościołów. Do którego z nich miałam pójść?

Wreszcie uznałam, że chodzi o jedyne logiczne miejsce: kościół Santissima Annunziata, naszą rodzinną kaplicę, gdzie z łatwością mogłam modlić się o jutrzni czy sekście bez wzbudzania podejrzeń i gdzie ostatnio spotkałam Diabła.

Rankiem wstałam, nie mówiąc o niczym Zalummie, ale wyczuła moje wzburzenie i spytała, co mnie trapi. Kiedy powiedziałam, że zamierzam pomodlić się w samotności, zrobiła urażoną minę. Rzadko ruszałam się dokądkolwiek bez niej.

- To ma coś wspólnego z tym listem - orzekła. Aż drgnęłam, gdy to usłyszałam, po chwili jednak zdałam sobie sprawę, że ma na myśli list upuszczony przez młodego diabolicznego intruza, o którym jej opowiadałam. - Wiem, że nie chcesz mnie przestraszyć, Madonna, ale nie mogę przestać się martwić. Nie chcę, żebyś wplątała się w jakieś niebezpieczne sprawy.

- Nigdy nie byłabym aż tak głupia - odparłam, lecz nawet ja słyszałam niepewność w swoim głosie.

Zalumma potrząsnęła głową.

- Idź więc sama - powiedziała ponuro, niebezpiecznie zbliżając się do granic tego, jak niewolnica może się zwracać do swej pani. - Pamiętaj tylko, że masz dziecko.

- Nigdy o tym nie zapomnę - odparłam z oburzeniem.

Woźnica zawiózł mnie do Santissima Annunziata. Poleciałam mu poczekać na placu przed kościołem”naprzeciw wdzięcznych arkad sierocińca.

Właśnie gdy dzwony zaczęły wzywać na nabożeństwo, przeszłam przez próg kościoła, minęłam mnichów i wiernych, którzy szli w głąb świątyni, i skierowałam się do naszej kapliczki.

Kaplica była pusta, co przyjęłam z zawodem, a zarazem ulgą. Nie czekał na mnie żaden ksiądz, świece nie były zapalone, a powietrza nie zasnuwał dym kadzideł. Nie miałam innych planów, nie powiedziałam o wyprawie nikomu oprócz Zalumy i woźnicy.

Niezdecydowanie podeszłam do ołtarza i uklęknęłam. Przez kilka minut uspokajałam się, odmawiając różaniec. Kiedy wreszcie usłyszałam za sobą ciche, pośpieszne kroki, odwróciłam się.

Diabeł stał uśmiechnięty w przebraniu serwity. Kaptur okrywał mu głowę, w rękach trzymał czarny pofałdowany materiał.

- *Mona Lizo* - powiedział. - Czy zechcesz pójść ze mną? - Usiłował odgrywać jakąś rolę, być grzeczny i powściągliwy, lecz nie zdołał całkowicie zamaskować łobuzerstwa w głosie i oczach.

Podniosłam się z klęczek, a on wręczył mi czarną materię; po rozprostowaniu okazała się oponczką.

- To jakieś głupstwo - powiedziałam bardziej do siebie niż do niego.

- O nie - odparł i rozpostarł przede mną płaszcz, zerkając na drzwi do kaplicy. -

Wkrótce się przekonasz.

Za moim przyzwoleniem okrył mnie opończą i naciągnął mi kaptur, chowając pod nim czapkę, woal i osłaniając twarz. Czarna bawełna zwisała nisko, opadając na podłogę, tak że zakrywała również spódnicę.

- Chodźmy - powiedział.

Wyprowadził mnie na ulicę w bezpiecznej odległości od czekającej karocy; na placu panował gwar, wszędzie kręcili się ludzie, biegały dzieci, handlarze sprzedawali swoje towary. Nikt nie zwrócił uwagi na dwóch zakonników. Pociągnął mnie w kierunku rozklekotanego wozu i przywiązanej do kołka starej szkapy.

- Pozwól, pani, że ci pomogę. - Pokazał ręką, żebym wsiadła.

- Nie. - Nagle zdałam sobie sprawę, że przecież ten młodzieniec włamał się do mojego domu jak złodziej. Może zamierzał mnie porwać i pod przymusem wydobyć informację o potajemnej działalności mojego męża?

Uniósł dłonie w geście urażonej niewinności.

- Nie to nie. W takim razie wracaj do swojego wspaniałego pałacu. Skoro wolisz pozostać ślepa.

Mówił poważnie, odstąpił o krok, dając mi wolną drogę. Gdybym tylko chciała, mogłam go zostawić i wrócić do kaplicy albo przejść przez plac do czekającego na mnie woźnicy.

- Pomóż mi wsiąść.

Zrobił to, a potem odwiązał lejce i wdrapał się na siedzenie koło mnie.

- Najpierw niezbędne środki ostrożności. - Sięgnął po kawałek sukna leżący między nami na koźle. Szybko i sprawnie rozchylił mi kaptur, po czym zwinnymi palcami zakrył

suknem oczy i przeciągnął końce, związując je z tyłu głowy, zanim zdążyłam się zorientować, co czyni.

Przestraszona nie na żarty, podniosłam ręce do twarzy. Cmoknął, jakby uspokajał

konia, i powiedział:

- Cii. Nie stanie się nic złego. To dla twojego bezpieczeństwa, nie mojego. Zadrżałam, czując na policzku muśnięcie czegoś miękkiego, i wzdrygnęłam się, gdy wepchnął mi to do uszu. Wszystkie dźwięki stały się teraz przytłumione - gwar tłumu na placu zmienił się w niewyraźny szum - ale słyszałam słowa Diabła, który bez wątpienia podniósł głos, żebym go rozumiała.

- To nie takiego. Wkrótce będziemy na miejscu...

Furmanka drgnęła i ruszyła do przodu; zachwiałam się i chwyciłam brzegu siedziska, żeby nie stracić równowagi. Jechaliśmy przez kilka minut. Starłam się z całej siły wyteńczyć słuch i zorientować się, dokąd mnie wiezie, ale szybko pojęłam, dlaczego mieliśmy się spotkać w południe. Wszystkie dzwony przestały już bić, ich szczególne, niepowtarzalne brzmienie nie pozwalało dociec, w której części miasta akurat jesteśmy.

Wreszcie wóz stanął. Głos młodego Diabła polecił mi odwrócić się w prawo.

Usłyszałam jakiś ruch, poczułam wyciągające się po mnie ręce i z ich pomocą zsiadłam na oślep z kozła. Diabeł wziął mnie pod łokieć i pociągnął do przodu tak szybko, że zadarłam spódnice w obawie, iż się potknę. Nawet z zatkanymi wełną uszami i opaską na oczach wyczułam zmianę, gdy przeszliśmy z ogrzanego słońcem powietrza do chłodnego wnętrza.

Czyjeś palce chwyciły mnie za ramię i zmusiły do przystanięcia, mój przewodnik zagwizdał cicho. Potem nastąpiła chwila ciszy i inny szept, niski i przytłumiony, niezrozumiały przez wełniane zatyczki. Ktoś stanął przede mną i się odwrócił. Diabeł i ja podążyliśmy za nim. Przeszliśmy niewielką odległość, potem wspięliśmy się po schodach. Znowu mnie zatrzymano i usłyszałam zgrzyt ciężkiego drewna ocierającego się o kamień, jakby ktoś odpychał na bok ścianę. Kiedy drzwi otworzyły się, poczułam lekki powiew powietrza.

Przez jakiś czas prowadzono mnie powoli po posadzce, chrzęszczącej, jakby posypano ją piaskiem. Przechodziłam obok pracowni artystów dostatecznie często, by rozpoznać ostry zapach gotowanego oleju lnianego i palonego wapna. Posadzono mnie na zydlu z niskim oparciem. Zadowolonym z siebie, radosnym tonem Diabeł zwrócił się do kogoś tak głośno, że z łatwością rozróżniłam każde słowo.

- Proś a dostaniesz.

- Przyniesiesz mi, o co poprosiłem?

- Skoro muszę. Ile czasu będę miał potem dla siebie?

- Daj nam nie więcej niż pół godziny, dla ostrożności - odrzekł łagodny męski głos.-

Tylko dopilnuj, żebyśmy się nie zasiedzieli.

Usłyszawszy ten głos, sięgnęłam po opaskę i ściągnęłam ją z oczu.

Diabeł już zniknął, jego kroki rozbrzmiewały na korytarzu. Mężczyzna stojący nade mną z wyciągniętą ręką, jakby właśnie sam sięgał po sukno zakrywające mi oczy, miał

ogoloną twarz i faliste, opadające do ramion kasztanowo-srebrzyste włosy z przedziałką pośrodku. On także był ubrany w czarny habit służebnika Najświętszej Marii Panny.

Przez moment nie mogłam go rozpoznać. Bez zarostu jego podbródek okazał się niespodziewanie

spiczasty, a kości policzkowe i szczęka ostrzej zarysowane, krótka szczecina, która lśniła w rozproszonym świetle, była teraz prawie całkiem siwa. Nadal był

przystojny; gdyby jego rysy były choć odrobinę doskonalsze - oczy nie tak głęboko osadzone, grzbiet nosa mniej wydatny, górna warga pełniejsza - byłby tylko ładny, zwyczajny. Widząc moje zdumienie, uśmiechnął się życzliwie, co sprawiło, że kurze łapki w kącikach jasnoszarych oczu stały się wyraźniejsze.

Wyciągnęłam z uszu wełnę i wypowiedziałam jego imię. Instynktownie podniosłam się z krzesła. Widząc go, przypominałam sobie mojego Giulia-na i Wawrzyńca. Przypomniłam

mi się list, w którym Leonardo donosił Giu-lianowi o planach księcia Mediolanu, i poczułam wdzięczność. Chciałam paść mu w ramiona, powitać go jak drogiego przyjaciela, członka rodziny.

Leonardo czuł to samo. Widziałam to w jego promiennym, choć niepewnym uśmiechu, w ramionach, które spoczywały wytrwale przy bokach, lecz napięły się, jakby pragnął je unieść, dotknąć mnie i przygarnąć do siebie. Gdyby tylko mógł, uniósłby palce i dotykem wyczytał rysy mojej twarzy. Kochał mnie, a ja nie rozumiałam dlaczego.

Okno za jego plecami zasłonięto płachtą płótna przyciętą dokładnie do rozmiarów framugi, nawiniętą na pręt i zaopatrzoną w linki, które służyły do opuszczania i podnoszenia płachty. W tej chwili płótno było podniesione, ukazując grubą warstwę nasączonego olejem papieru - na tyle nieprzejrzystego, że zasłaniał cały widok, a zarazem dość przezroczystego, by wpuszczał do środka przefiltrowane, żółte promienie słońca.

- Usiądź, proszę - powiedział Leonardo, wskazując stołek. - Mogę? - Kiedy kiwnęłam głową, przesunął go po kamiennej posadzce i usiadł naprzeciwko mnie.

Za jego plecami stały sztalugi z dużą drewnianą deską; pochyliłam się do przodu i zobaczyłam karton kremowobiałego papieru przewieszzonego przez deskę i unieruchomionego uchwytemi. Na lewo od sztalug na stoliku zasypanym kawałkami węgla drzewnego i kurzymi piórami paliła się lampka. Na podłodze stał kosz jaj, zakorkowana butelka oleju i leżało kilka wymiętych, poplamionych szmatek.

- *Monna Liza* - powiedział ciepło Leonardo. Surowa czerń habitu uwydatniała cienie na zapadniętych policzkach. - Nie widzieliśmy się szmat czasu. - Nagle zrobił się dziwnie powściągliwy. Uśmiech zniknął mu z twarzy, ton stał się bardziej oficjalny. - Proszę wybaczyć tę tajemniczość. Jej celem jest ochrona zarówno nas, jak i ciebie, pani. Mam nadzieję, że Salai cię nie przestraszył.

*Salat Diabełek*. Cóż za doskonałe przezwisko. Roześmiałam się.

- Nie. Nie za bardzo.

Rozchmurzył się, widząc moją rozbawioną minę.

- Ma na imię Gian Giacomo, co raczej do niego nie pasuje. Niepoprawny chłopak.

Przygarnąłem go jako ulicznika i przez ostatnich kilka lat czyniłem, co w mojej mocy, aby dać mu wykształcenie. Nauczył się czytać, niestety słabo, i jako tako daje sobie radę z nauką artystycznego rzemiosła. Mimo to czasami ogarnia mnie rozpacz, że na zawsze pozostanie nieokrzesanym. Ale jest tak lojalny, że oddałby za mnie życie, i bardzo mi się przydaje. - W

jego tonie pojawiło się ciepło. - Dobrze wyglądasz, Madonna. Do twarzy ci z macierzyństwem. Salai mówi, że masz ślicznego synka.

- Tak, ma na imię Matteo - rozpromieniłam się.

- Dobre imię. Zdrowy?

- Jeszcze jak! - Nie mogłam powstrzymać entuzjazmu. - Cały czas je i chce więcej. I ciągle się rusza, chyba że śpi...

- Jest podobny do pani?

- Tak sędzę. Teraz jego oczy są niebieskie jak agaty, ale jestem pewna, że wkrótce ściemnieją. Ma długie włosy, miękkie, z drobnymi loczkami... czasami zbieram je i nawijam na palec, tak że powstaje jeden duży lok... - umilkłam, uświadomiwszy sobie nagle, co mówię. Francesco miał szaroniebieskie oczy i proste włosy. O mało nie powiedziałam, że syn wygląda zupełnie jak ojciec: ma kręcone włosy i oczy, które na pewno zrobią się ciemne.

Niewiele brakowało, a opisałabym uroczy dołeczek w policzku, taki sam jak u Giuliana. -

Zdaje się, że dużo wiesz o mnie i moim mężu, panie - rzekłam. - Czyżbyś wrócił do Florencji na stałe? Myślałam, że służysz na dworze Ludovica w Mediolanie.

Przybrał nieodgadniony wyraz twarzy.

- Owszem. Ale przyjechałem na pewien czas do Florencji, na wakacje.

- I sprowadziłeś mnie tutaj, zachowując wszelkie środki ostrożności, ponieważ...?

Nie odpowiedział, gdyż zjawił się Salai, który przyniósł tacę z winem, serem i orzechami. Leonardo wstał i wziął ją od niego, po czym wyprosił pomocnika za drzwi. Długi, wąski stół zajmował prawie całą przestrzeń pod ścianą za nami. Leonardo miał duże trudności ze zrobieniem dostatecznej ilości miejsca, by ją postawić.

Odwrociłam się, zamierzając mu pomóc, i to, co zobaczyłam, zafascynowało mnie tak bardzo, że wstałam i podeszłam bliżej. Na blacie leżały poziomicie i kawałki drewna o długich, ostrych krawędziach, stosiki białoszarych skórek gronostajowych z dziurkami w miejscach, skąd powyrywano jeden po drugim włoski ułożone teraz w kupki obok pary nożyczek. Były tam też stosy piór - od największych i najciemniejszych piór sępów, poprzez jaśniejsze pióra gęsi aż po najmniejsze i najdelikatniejsze pióra gołębie - oraz kupki półprzezroczystej, sztywnej świńskiej szczeciny. W odległym końcu stołu stał ceber ochlapany wapnem i okryty szmatką; podłoga pod spodem była poplamiona gipsem. Obok cebra w starannie ułożonych rzędkach spoczywały małe kulki



barwników - białego, czarnego, żółto-brązowego, ciepłego różu - które suszyły się na płótnie obok dużego tłuczka i moździerza, gdzie leżało kilka małych grudek malachitu. W pobliżu, na płycie z czerwonego kamienia, leżała kupka ciemnego żółto-brązowego proszku, kamień szlifierski wielkości pięści oraz cienka drewniana łopatka z ostrą krawędzią. Były też pędzle w różnych stadiach powstawania: sępie pióro pozbawione pierza z obciętą końcówką. Gruby pęk szczeciny został starannie wetknięty do otworu w dudce i mocno obwiązany woskowaną nicią. Obok leżało wiele bardzo cienkich, wrzecionowatych patyczków, jeden z nich został

wsunięty do wnętrza pióra, tak aby wytrzymało nacisk dłoni artysty.

- Przecież to pracownia malarska - powiedziałam do siebie, zachwycona.

Leonardo odstawił tacę i przyglądał mi się z rozbawieniem, nalewając wina do kieliszka.

- Tylko tymczasowa. W Mediolanie mam znacznie lepszą. Proszę, dotykaj, czego chcesz, Madonna. Nie wstydź się.

Sięgnęłam po niedokończony pędzel, któremu brakowało trzonka. Był zrobiony z dudki gęsięgo pióra, do którego twórca pieczołowicie po-wsuwał białe włoski gronostajowego futerka i przyciął włosie, tak że powstał nieprawdopodobnie cienki czubek.

Dotknęłam jedwabistego włosia i uśmiechnęłam się. Było to narzędzie do malowania najdrobniejszych szczegółów: pojedynczych włosów czy rzęs.

Odłożyłam je i pokazałam na wysuszone kulki barwników. Kolory były zdumiewająco jednorodne.

- Jak się je robi? I jak się ich używa?

Leonardo odstawił pierwszy kieliszek i napełnił następny. Moje pytania sprawiały mu przyjemność.

- Widzisz ochrę, tam na porfirze? - Wskazał na proszek leżący na czerwonej kamiennej płycie. - Najlepszą można znaleźć w górach. Ta pochodzi z lasu pod Mediolanem.

Jeśli tam pokopiesz, możesz trafić na żyły bieli, ochry i cynobru o wszelkich odcieniach, od czarnego aż po jasnobordowy. Potem rozpuszcza się w oleju lnianym albo w wodzie i suszy. Ta czerń to nie cynober, lecz palone łuski migdałów, które dają ładny, przydatny kolor.

- A to? Też cynober? - wskazałam różową kulkę.

- *Cinabrese*? Robi się go z mieszaniny gaszonego wapna i najjaśniejszego cynobru.

Najlepszy do malowania ciała. Kiedy jestem gotowy do malowania, kruszę go i mieszam z olejem lnianym. - Zawiesił głos i posłał mi dziwnie zaciekawione, nieśmiałe spojrzenie. -

Mamy wiele spraw do omówienia, Madonna. Ale liczyłem na to, że... - Podał mi kieliszek wina. Nie chciałam trunku, byłam zbyt zdenerwowana, ale przyjąłam puchar z uprzejmości i upiłam trochę, żeby nie czuł się skrępowany, iż pije sam. Leonardo pociągnął symboliczny łyk i odstawił kieliszek. -

Miałem nadzieję, że odprężymy się trochę, zanim przystąpimy do trudnych tematów. I liczyłem, że zechcesz mi dzisiaj pozować, choćby krótko.

- Pozować?

- Do portretu, Madonna. Parsknęłam z niedowierzaniem.

- Po co? - zapytałam. - Wawrzyniec nie żyje. A Giuliano... - nie dokończyłam.

- Mimo to chciałbym cię namalować.

- Z pewnością robi to pan z innego powodu niż poczucie obowiązku wobec dwóch nieżyjących ludzi.

Nie odpowiedział od razu. Odwrócił głowę w stronę zasłoniętego okna, jego twarz i włosy skąpała złocista poświata. Jego oczy zdawały się przezroczyście jak szkło, prawie bezbarwne, pełne światła.

- Widziałem pani matkę - odparł.

Mówił tak cicho, że nie byłam pewna, czy dobrze słyszę. Uniosłam głowę.

- Co to znaczy? Znał ją pan?

- Byliśmy sobie przedstawieni. Ona i twój... i jej mąż, ser Antonio, byli w owych czasach częstymi gośćmi w pałacu Medyceuszy. Zdarzyło się to, zanim zachorowała. Nigdy nie poznałem ser Antonia... był nieśmiały i często zostawał w ogrodzie albo rozmawiał ze stajennymi. Ale dwa razy na bankiecie siedziałem obok pani matki. I rozmawiałem z nią często podczas zabaw karnawałowych. Tak jak pani miała oko do sztuki. Doceniała ją i rozumiała.

- Tak. - Byłam w stanie wydać z siebie tylko szept. - A więc często odwiedzała pałac Medyceuszy?

Kiwnął powoli głową.

- Wawrzyniec był nią zauroczony... cenił ją jako przyjaciółkę. Pokazywał jej, oczywiście, swoją kolekcję. Bardzo szanował jej opinię. Jej rodzina od zawsze przyjaźniła się z Tornabuonimi, rodziną matki Wawrzyńca, i tak właśnie się poznali. Przez Wawrzyńca poznała również Giuliana.

- Czy... czy wszyscy wiedzieli, że miała z nim romans?

- Nie, Madonna. Twoja matka była niewiastą wielkiej cnoty. Doprawdy nie wierzę w to, że ona i Giuliano... - urwał. Ku mojemu zdziwieniu oblał się rumieńcem.

- Nie wierzy pan, że byli... ze sobą... aż do? - podsunęłam mu. Nie chciałam go zawstydząć, ale od lat czekałam na poznanie prawdy o życiu matki.

Podniósł wzrok, ale wciąż unikał spojrzenia mi prosto w twarz.

- Wieczorem, dzień przed zamachem na Giuliana... widziałem ją na via de'Gori przy pałacu

Medyceuszy. Biegła na spotkanie z nim, promieniowała radością, była taka szczęśliwa.

A... światło było bardzo łagodne, delikatne. Zmierzchało, gdy wyłoniła się z cienia. - Umilkł.

Zadanie przekazania tego, co widział, czegoś tak ulotnego i eterycznego, przydaczało go. -

Nie było żadnych ostrych linii, żadnych wyraźnych granic między jej skórą a powietrzem, które ją otaczało. Wyłoniła się z cienia, ale nie oddzieliła się od niego, nie oddzieliła się też od nieba, ulicy, kamienic. I wydawało się, jakby... stała poza czasem. To była wspaniała chwila. Nie wyglądała tylko jak kobieta, lecz jak święta, jak anioł. Oświecenie było...

nadzwyczajne. - Urwał i dodał rzeczowym tonem: - Przepraszam, że mówię te szalone bzdury.

- Wcale nie. To brzmi jak poezja.

- Wiesz, pani, jaka była piękna.

- Tak.

- Wyobraź ją sobie po stokroć piękniejszą. Wyobraź ją sobie rozświetloną od wewnątrz. Bardzo chciałem ją namalować, ale... Giuliano został zamordowany. A potem Anna Lukrecja zachorowała.

- Nie była chora - powiedziałam. - Jej mąż nie mógł mieć dzieci. Uderzył ją, gdy dowiedział się, że jest w ciąży. - Dziwnie się czułam, mówiąc o ojcu z takim dystansem, tak chłodno, bo kochałam go mimo wszystkich jego grzechów.

Oczy Leonarda błysnęły gniewnie i boleśnie, jakby to jego uderzono.

- A więc to tak. Wiedział o wszystkim od początku.

- Wiedział - potwierdziłam.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim nad sobą zapanował.

- Tamtego wieczoru postanowiłem namalować twoją matkę. Pragnąłem uchwycić tę piękną istotę, ukazać ją pełną radości, pogodną, taką, jaka była, kiedy szła do Giuliana, a niejaka stała się później. Promieniowała naturalnym blaskiem, ty też nim promieniujesz, Madonna. Widzę go w tobie. Gdybyś tylko pozwoliła mi utrwalić... - Urwał. - Wiem, jak niezręcznie byłoby ci teraz pozować, ale poznałem już kapryśność losu. Twoja matka była tamtego wieczoru z Giulianem szczęśliwa. Nazajutrz już nie żył. Kto wie, gdzie ty czy ja będziemy jutro?

Mógł powiedzieć więcej, usiłując mnie przekonać, ale uciszyłam go, kładąc mu dłoń na rękę.

- Gdzie mam usiąść? - zapytałam.

Najpierw pozwolił mi obejrzeć przymocowany do sztalug rysunek węgłem, *cartone*, jak go nazwał. Narysował go na podstawie szkicu, który wykonał w ogrodzie przy Santo Spirito w dniu śmierci

Wawrzyńca. Nie spoglądałam już przez ledwie zarysowane ramię jak na grafice, którą mi niegdyś przysłał; teraz siedziałam przodem do patrzącego, lekko tylko odwracając tułów i ramiona. Nie byłam też wyłącznie głową z zarysem barków i fryzury, miałam włosy, długie i rozpuszczone jak u młodej dziewczyny. I dekolt, który z pewnością ściągnąłby gniew wojowniczych aniołów Savonaroli. Miałam także ręce i tę część tułowia, która pozwalała stwierdzić, że siedzę.

Kiedy tak stałam przy Leonardzie, oglądając szkic, malarz spojrzął na mnie, mruknął

coś z niezadowoleniem, wziął ze stolika kurze piórko i musnął nim o papier. Krawędź pióra pociemniała, węgiel pod spodem zniknął.

- Usiądź - powiedział, roztargniony. - Podbródek. Muszę go dobrze uchwycić.

Podeszłam do zydła i usiadłam. Z piórem w dłoni podążył za mną i z grymasem pedanta ustawił mnie w takiej pozycji: podbródek idealnie prosto, ani podniesiony, ani opuszczony, głowa odwrócona pod pewnym kątem w bok. Nie przejmował się w tej chwili ułożeniem mi rąk. Prawdę mówiąc, wręczył mi kielich wina i zachęcił, abym się napiła, zanim zaczniemy.

Siedziałam w milczeniu, a on wytarł starannie nieudane linie, wziął kawałek węgla przywiązanego do patyczka i wprawnym, zamaszystym ruchem poprawił podbródek. A potem spojrzął na mnie. Spojrzął na mój nos i porównał go z rysunkiem, spojrzął na prawe oko, potem na lewe, wreszcie na każdą z brwi i znowu nos. Znużyło mnie to i zaczęłam się rozglądać. Moją uwagę przykuła niewielka deska, pokryta schnącą zaprawą. Obok leżał

kawałek drewna z zaostrzoną krawędzią, najwyraźniej użyto go do wygładzenia powierzchni deski.

- Na tej desce będziesz malował? - spytałam.

Zmarszczył brwi, lekko poirytowany, że odrywam go od pracy.

- Tak. Musi schnąć przez parę dni.

- Zagruntowałaś powierzchnię gipsem?

- Szczególnym rodzajem gipsu - wyjaśnił. - Bardzo szlachetnym *gesso sottile*, gipsem sztukatorskim, choć wprowadziłem parę własnych ulepszeń. Deska jest z drewna topoli. Na nią nakleiłem lniane płótno jako grunt dla *gesso*. Nałożyłem gips, który wygładziłem, tak że przypomina kość słoniową. Kiedy powierzchnia wyschnie, przeniosę na nią szkic.

- Skopiujesz go, panie?

- Jestem na to zbyt leniwy. Nakłuwam *cartone*, kładę go na zagruntowanej desce i obsypuję pokruszonym węglem drzewnym. W ten sposób robię to szybciej. Potem zaczniemy malować. Do czego przystąpimy następnym razem, gdy się spotkamy. Jeśli los pozwoli. -

Westchnął cicho. - Proszę, napij się jeszcze wina, Madonna.

- Próbuje mnie pan upić - powiedziałam. Miał to być żart, lecz gdy spojrzałam na niego, nie uśmiechał się.

- Mamy sporo dość trudnych spraw do omówienia, nie sądzisz? Pociągnęłam solidny łyk wina. Było tanie i kwaśne.

- Porozmawiamy więc może o nich? Zmęczyłam się sprawianiem wrażenia pogodnej i anielskiej.- Podniosłam wzrok.- Nie sprowadziłeś mnie, panie, tutaj tylko po to, by malować portret i gawędzić o szczęśliwszych czasach.

Spochmurniał.

- Dobrze. Proszę, powiedz mi prawdę, Madonna. Widziałem cię... z Franceskiem del Giocondo...

Zamierzał powiedzieć coś więcej, ale mu przerwałam.

- Kiedy?

- Na chrzcie dziecka.

A więc to tak. Obserwował nas, kiedy Salai za pośrednictwem księdza przekazał mi liścik.

- Kochasz go?

W jego głosie pobrzmiwała gorycz. Zapiękły mnie policzki, spuściłam wzrok na podłogę. Wydał ledwo słyszalne westchnienie, a potem podjął łagodniejszym tonem:

- Czyżbym się mylił, czy też stosunki między wami są napięte, przynajmniej z twojej strony?

Podniosłam głowę.

- Skąd to wiesz, panie?

Zdawało się, że moja odpowiedź przypadła mu do gustu.

- Bardzo trudno jest w pełni ukryć swoje emocje. Nie spostrzegłem czułości w twoich gestach, pani. Nie pierwszy raz widziałem taki... brak szczęścia między małżonkami.

Ogarnęło mnie poczucie winy. Przypomniały mi się te straszliwe dni, gdy poświęciłam swoją cnotę przez wzgląd na dziecko, kiedy pozwalałam, by Francesco nazywał

mnie ladacznicą.

- Mój ojciec został aresztowany. Francesco ofiarował pomoc, pod warunkiem że...

Nie miałam siły dokończyć. Pokiwał głową na znak, że rozumie.

- Muszę więc teraz zapytać, czy jesteś wciąż lojalna wobec Giuliana. I wobec Medyceuszy.

Nagle zrozumiałam. Leonardo nie mógł wiedzieć, że zostałam zmuszona do małżeństwa z Franceskiem; nie mógł wiedzieć, czy jestem wtajemniczona w polityczne machinacje męża ani czyje pochwalam.

- Nigdy nie zdradziłabym Giuliana! Kochałam go...- Spuściłam głowę i zakryłam rękami twarz.

Stał bez ruchu przed sztalugami z kawałkiem węgla zastygłym nad rysunkiem.

- Wciąż go kochasz?

- Tak - powiedziałam. Łzy zakręciły mi się w oczach i spłynęły po twarzy. -

Oczywiście. Kiedy umarł, sama chciałam umrzeć. I odebrałam sobie życie, gdybym nie nosiła jego dziecka... - Wpadłam w panikę, że niechcący wyjawiałam swój sekret. - Nie wolno ci o tym nikomu mówić., nawet Salaiowi! Gdyby Francesco się dowiedział, zabrałby mi Mattea...!

- Giuliano... umarł. - Powoli odłożył węgiel na stolik. - Mało kto o tym słyszał.

Większość wierzy, że żyje.

- Nie. Francesco mi powiedział. Jego ciało znaleziono w rzece... Członkowie Signorii potajemnie je pogrzebali za murami miasta. Bali się, że powtórzy się to, co się stało z Messerem Iacopem.

- Rozumiem. To wiele tłumaczy. - Nie odzywał się, czekając, aż się uspokoję, zduszę żal, którego nigdy nie pozwoliłam sobie wyrazić w pełni. Potem rzekł, ostrożnie ważąc słowa:

- A więc jesteś lojalna wobec Medyceuszy i pomogłabyś Pierowi w odzyskaniu władzy?

Umiesz trzymać język za zębami?

- Tak. Zrobiłabym wszystko... jeżeli nie narazi to na niebezpieczeństwo Mattea.

Otarłam łzy i spojrzałam na Leonarda. Był strapiony, ale mur między nami zaczął się kruszyć.

Nie przypuszczał, że wiem o śmierci Giuliana. Może podejrzewał, że go zdradziłam: wysłałam za Francesca, myśląc, że mój pierwszy mąż żyje. A mimo to potraktował mnie serdecznie, poprosił nawet, żebym mu pozowała.

- Wierz mi, pani, że rozumiem twoje obawy o dziecko. Nigdy nie poprosiłbym cię o nic, co naraziłoby je na niebezpieczeństwo. - Zawiesił głos.

- Byłem zaskoczony, kiedy otrzymałem twój list - powiedział łagodnie.

- Miałem... powody sądzić, że zginęłaś w noc, gdy Medyceusze uciekli z Florencji. A nie znałem twego charakteru pisma. Dlatego nie odpowiedziałem. Później dowiedziałem się, że wysłałaś za Francesca del Giocondo...

- Przeczytałam list, który wypadł Salaiowi - wtrąciłam. - Ten adresowany do mojego męża. Ja... do tamtej pory nie wiedziałam, że jest on związany z Savonarolą. Nie wiem nawet, kto ten list wysłał. - Przyglądałam mu się. Wciąż patrzył na mnie z dziwnym napięciem: chciał mi uwierzyć, ale coś go przed tym powstrzymywało.

- To prawda - powiedział raczej do siebie niż do mnie. - Kiedy zobaczyłaś Salaia na chrzcie, mogłaś powiedzieć mężowi, że zabrał list z jego biurka. Ale nie zrobiłaś tego.

- Oczywiście, że nie. Czego po mnie oczekujesz? Nie sprowadziłaś mnie tutaj bez powodu.

- Piero Medyceusz chce z tobą pomówić - rzekł. Otworzyłam szeroko oczy, zdumiona.

- Piero? Piero tu jest?

- Zamierza odzyskać miasto. I potrzebuje twojej pomocy. Czy może na tobie polegać?

- Oczywiście.

- Dobrze. Za trzy dni przyjdź do Duomo, w samo południe. Spotka się z tobą w północnej zakrystii.

- Samotna kobieta w zakrystii...To wzbudzi podejrzliwość księży. Gdyby ktoś mnie tam zobaczył...

- Księża będą wiedzieli, co robić. Powiesz im, pani, że przysłała cię Gian Giacomo.

Zaprowadzą cię do tajnego przejścia, do którego można się dostać jedynie od zakrystii.

- Czemu Piero po prostu nie poprosi, żebyś przekazał mi, panie, wiadomość od niego?

Dlaczego ryzykuje spotkanie ze mną?

- Jestem tylko posłańcem, Madonna. Nie ośmielam się oceniać jego decyzji. Wstał i zawołał Salaia, po czym skłonił mi się na pożegnanie. Salai jeszcze raz przewiązał mi oczy i powóz zawiósł mnie z powrotem do Santissima Annunziata.

Zalumma czekała w komnacie. Wiedziałam, że nie uda mi się ukryć przed nią niepokoju; i tak wyczułaby go równie niezawodnie jak zapach różanego olejku. Postanowiłam jednak, że dla jej dobra zatrzymam wszelkie szczegóły dla siebie. Zanim zdążyłam się odezwać, rzekła do mnie szeptem, tak aby nie podsłuchał nas nikt za drzwiami:

- Wiem, że spotkałaś się z kimś po kryjomu i że ma to jakiś związek z listem znalezionym przez włamywacza. Nie śmiem o nic pytać. Ale jestem tu. Jeśli mogę jakoś pomóc, to pomogę. Jestem na twoje rozkazy.

Wzięłam ją za rękę i pocałowałam, jakby była moją siostrą, a nie niewolnicą. Ale nie powiedziałam nic o Leonardzie ani o Pierze. Mogłoby to kosztować ją głowę.

Sama już byłam w niebezpieczeństwie. Poszłam do pokoju dziecinnego i siedziałam długo z

dzieckiem w ramionach, głaszcząc je po główce i przeczesując palcami delikatne loki.

Pocałowałam je w miękki policzek, wdychając zapach mleka i mydła.

Trzy dni minęły jak mgnienie oka.

Claudio zdziwił się, gdy poprosiłam go, żeby zawiózł mnie do Duomo. Powiedziałam to od niechcienia, jakby to był kaprys, jakby nie upłynęły lata od mojej pierwszej i ostatniej wizyty w katedrze.

Tuż przed południem, przy ogłuszającym biciu dzwonów, przeszłam pod olbrzymią kopułą i uklęknłam nieopodal połączanego ołtarza wyrzeźbionego z ciemnego drewna.

Odmawiałam modlitwy wraz z innymi, z trudem przypominając sobie słowa, które znałam od dziecka; machinalnie klękałam, wstawałam i żegnałam się w odpowiednich momentach. Ludzi było niewiele, większość wiernych wybierała teraz klasztor San Marco i jego słynnego przeora albo San Lorenzo, gdzie często wygłaszał kazania.

Gdy tylko msza dobiegła końca, wstałam i szybkim krokiem ruszyłam ku północnej ścianie, za którą mieściła się główna zakrystia - to samo pomieszczenie, gdzie w dniu zabójstwa brata młody Wawrzyniec znalazł bezpieczne schronienie. Spiżowe drzwi ozdobione płaskorzeźbami były tak wysokie i ciężkie, że gdy spróbowałam je otworzyć, nawet nie drgnęły.

Właśnie gdy próbowałam po raz drugi, usłyszałam za sobą kroki. Odwróciłam się.

Dwaj duchowni - jeden młody, drugi siwy i pomarszczony - szli do zakrystii, niosąc złoty kielich i kryształową ampułkę z wodą.

- Szukasz, pani, rady księdza? - spytał starszy. W jego głosie pobrzmiwała nutka rezerwy: obecność kobiety w pobliżu zakrystii musiała mu się wydać dziwna, lecz jako że wyraźnie byłam dobrze urodzona, okazał uprzejmość.

Musiałam odchrząknąć, zanim zdołałam wykrztusić słowo.

- Skierował mnie tu Gian Giacomo.

- Kto? - Zmarszczył podejrzliwie brwi.

- Gian Giacomo - powtórzyłam. - Powiedział, że ksiądz zrozumie. Potrząsnął głową i wymienił zakłopotane spojrzenie z młodszym towarzyszem.

- Przykro mi, Madonna. Nie rozumiem. Czemu ktoś miałby tu panią przysyłać?

- Gian Giacomo - powiedziałam, tym razem głośniejszym głosem. - Może jest tu jeszcze inny ksiądz, który mi pomoże...

Teraz obaj duchowni zmarszczyli brwi.



- Nie znamy nikogo o tym imieniu - rzekł stanowczo starszy. - Przykro mi, Madonna, ale mamy swoje obowiązki. - Wolną ręką pchnął ciężkie drzwi, otwierając je przed towarzyszem, po czym sam wszedł do środka i zamknął je za sobą.

Przechadzałam się przez chwilę tam i z powrotem, w nadziei, że nadejdzie jakiś inny ksiądz. Czyżby nikomu nie przekazano wiadomości? Czyżby Piero został schwytany?

Leonardo nie miał przecież powodu, by mnie okłamywać...

Księża wyszli z zakrystii i zastali mnie wciąż przed drzwiami.

- Wracaj do domu, kobieto! - rozkazał młodszy z irytacją w głosie. - Wracaj do męża!

- To bardzo niestosowne, Madonna - rzekł starszy. - Czemu rozpytujesz tu o mężczyznę? Gdzie się podziewa twoja towarzyszka?

Zrozumiałam, że uznali, iż Gian Giacomo to imię kochanka, z którym zamierzałam się tu spotkać. Za czasów rządów Savonaroli oskarżenie o cudzołóstwo mogło się okazać równie niebezpieczne co moja prawdziwa misja. Przeprosiłam więc i wyszłam pośpiesznie z kościoła.

Do domu pojechałam oburzona i wściekła. Leonardo wystrychnął mnie na dudka, a ja nie miałam pojęcia dlaczego.

Po powrocie do domu poszłam prosto do pokoju dziecinnego i wzięłam Mattea na ręce. Chciałam uniknąć towarzystwa Zalummy, jej milczenia i badawczych spojrzeń, póki złość nie rozwiąże mi języka. Dopiero gdy Matteo pociągnął mnie za włosy tak mocno, że naprawdę zabołało, pozwoliłam sobie na łzy.

Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo pragnę uczynić coś, czym mogłabym uczcić pamięć Giuliana. Od chwili jego śmierci musiałam milczeć, zachowywać się tak, jakby nasze małżeństwo nigdy nie zostało zawarte. A teraz wszelkie nadzieje obróciły się w okrutny żart.

Siedziałam z synkiem sama prawie przez godzinę. Zalumma nadeszła cicho i stanęła w drzwiach.

- Pomyślałam, że mogłaś zgłodnieć - powiedziała półgłosem. Potrząsnęłam głową.

Odwróciła się do wyjścia, lecz zatrzymała się i wyjrzała na korytarz, upewniając się, że nikogo nie ma.

- Ktoś zostawił ci list - oznajmiła pośpiesznie. - Na stole przy twoim łóżku. Elena albo Isabella na pewno wkrótce go zauważą.

Bez słowa podałam jej synka, poszłam do pokoju i zamknęłam za sobą drzwi. Kartka lśniła bielą, miała równo przycięte brzegi i jak się domyśliłam, jeszcze zanim ją rozłożyłam, nie było na niej ani jednego słowa.

Poranek był tego dnia chłodny i w kominku wciąż palił się słaby ogień. Podeszłam do niego, przystawiłam papier tuż nad płomienie i kucnęłam, żeby przeczytać jasnobrązowe litery, gdy tylko się pojawiły:

*Wybacz. Bóg wyjaśni wszystko jutro, gdy udasz się w południe na modlitwę.*

Wrzuciłam kartkę do ognia i patrzyłam, jak płonie.

Nie powiedziałam nic Zalummie. Nazajutrz w południe poszłam do kaplicy w Santissima Annunziata na modlitwę.

Tym razem, gdy zbliżył się diabli mnich Saki, zgromiłam go wzrokiem. Wsiedliśmy do wozu, przewiązał mi oczy opaską i szepnął: „Teraz to naprawdę tylko dla twojego bezpieczeństwa, *Monna*”. Nie odezwałam się. Kiedy opaska opadła, siedziałam, patrząc na twarz Leonarda. Nie uśmiechnęłam się.

Jego głos był cichy i współczujący.

- Wybacz mi, Madonna Liza - powiedział. Szcupły i wysoki w luźnej szacie mnicha, stał przed zakrytym papierem oknem. Resztki zarostu znikły, był świeżo ogolony, na policzku miał czerwone zacięcie po brzytwie. Sztalugi były puste, drewniana tablica leżała okryta warstwą czarnej sadzy na

długim stole pod ścianą.-To była okrutna sztuczka, ale nasza sytuacja jest niezwykle niebezpieczna.

- Okłamałeś mnie, panie. Piera nie było w Duomo - powiedziałam z wyrzutem.

- Nie. Nie było. - Zbliżył się do mnie na wyciągnięcie ramienia, w jego jasnych oczach zobaczyłam szczere współczucie. - Nie sprawiło mi to przyjemności, Madonna, ale musiałem poddać cię próbie.

- Dlaczego? Czemu mi nie uwierzyłeś?

- Ponieważ jesteś żoną wielkiego wroga Medyceuszy. I choć znam cię od dawna, to nie znam cię dobrze. Poza tym... nie mogę ufać własnemu osądowi, bo nie jestem...

bezstronnym obserwatorem.

Prychnęłam z odrazą.

- Proszę, nie! Nie bierz mnie za głupią i nie udawaj, że darzysz mnie uczuciem. Wiem, że nigdy nie mógłbyś mnie pokochać... w ten sposób i wiem, o co cię oskarżono. Wiem też o tobie i Saiaiu.

Otworzył szeroko oczy, a potem zmrużył je z gniewnym błyskiem.

- Wiesz...! - Zmiarkował się. Widziałam, jak zacisnął pięści, a potem powoli je rozwarł.

- Mówisz, pani, o Saltarellim - odparł lodowatym tonem.

- O kim?

- O Iacopie Saltarellim. Kiedy miałem dwadzieścia cztery lata, oskarżono mnie o sodomie: proste słowo, którego wymówienie zdaje się sprawiać ci tyle trudu. Skoro jesteś tak zainteresowana szczegółami, pozwolisz, że cię oświecę. Zostałem aresztowany przez nocną straż i osadzony w Bargello, gdzie dowiedziałem się, że ktoś napisał na mnie anonimowy donos. Donosiciel twierdził, że ja i dwóch innych mężczyzn, złotnik Bar-tolomeo de'Pasquino i Lionardo de'Tornabuoni, dopuściliśmy się czynów nierządnych z Iacopem Saltarellim. Saltarelli miał wtedy siedemnaście lat. Był rzeczywiście lubieżnikiem i prawdopodobnie zasłużył na oskarżenie, ale terminował u swojego brata, cieszącego się ogromnym powodzeniem złotnika z via Vaccarechia. Tak się składa, że Pasquino miał zakład na tej samej ulicy, a ja współpracowałem z obu firmami, gdyż często zatrudniały mnie jako malarza. Na pewno słyszałaś o bankrutujących właścicielach *botteghe*, którzy pozbywają się konkurencji za pomocą donosów?

- Słyszałam, że to się zdarza - przyznałam bez cienia życzliwości.

- Według innych złotników z ulicy donos na mnie napisał niejaki Paolo Sogliano.

Pracował jako malarz i pomocnik złotnika z via Vaccarechia, nazwiskiem Antonio del Pollaiuolo. Kilka lat później Sogliano znalazł się na bruku.

- To nie była prawda. - Wbiłam wzrok w swoje dłonie.

- Nie, to nie była prawda. A teraz, proszę, zastanów się, pani, jak byś się czuła w mojej sytuacji, gdyby cię w nocy wyrwano z łóżka i zawleczono do aresztu na przesłuchanie.

Jak byś się czuła, mówiąc o tym swemu ojcu. Jak byś się czuła, gdybyś musiała prosić o pomoc Wawrzyńca Medyceu-sza, żeby cię wypuszczono i pozwolono spać we własnym łóżku, a nie w więzieniu. Dante powiada, że sodomici są skazani na wieczne błądzenie po ognistej pustyni. Zaręczam, że nie ma gorszej pustyni niż lochy w Bargello. - Złość w jego głosie wyczerpała się, następne słowa zabrzmiały niepewnie, wręcz nieśmiało. - To nie oznacza, że nigdy nie zakochałem się w mężczyźnie. Ani że nigdy nie zakochałem się w kobiecie.

Wciąż wpatrywałam się w swoje dłonie. Jak musiał się czuć młody człowiek, mówiąc ojcu, że został aresztowany za sodomię? Pomyślałam o gniewie ojca i zarumieniłam się.

- A jeśli chodzi o Salaię... - Znow zawrzał oburzeniem, słowa smagneły powietrze. - To dopiero chłopiec, nie zauważyłaś tego? O tak jest w twoim wieku, choć równie dobrze mógłby być dziesięć lat młodszy, sama wiesz, że ma rozum dziecka. Nie jest na tyle dojrzały, by wiedzieć, czego chce. A ja jestem dorosłym człowiekiem, jego opiekunem. Plotka, że łączy nas coś więcej niż częsta irytacja z mojej strony, jest wręcz obrzydliwa. Kiedy mogłam wreszcie wydobyć z siebie głos, wykrztusiłam:

- Przepraszam za te okropne słowa. Wiem, jakie jest Bargello. Zamknęli mnie tam w noc śmierci Giuliana. Ojca też tam przetrzymywali. Uwolniono nas dopiero za sprawą Francesca.

Jego twarz złagodniała.

- Naprawdę uważałeś, że przyprowadzę Francesca? - spytałam spokojniejszym tonem.

- Że wydam Piera i ciebie?

Pokręcił głową.

- Szczerze mówiąc, nie wierzyłem w to. Ocenilem, że można ci zaufać. Ale jak powiedziałem, musiałem poddać próbie własny osąd. Już kiedyś... - Po twarzy przemknęło mu cierpienie. - Moja uległość wobec własnych instynktów i uczuć doprowadziła do tragedii.

Nie mogę dopuścić, by się to powtórzyło. - Podeszedł bliżej i wziął mnie za rękę. - To, co zrobiłem, było przykre, ale konieczne. I przepraszam cię za to z całego serca. Czy wybaczysz mi, Madonna, i jeszcze raz uznasz za przyjaciela?

Za przyjaciela, powiedział, lecz oczy mówiły o innym, głębszym uczuciu. Zanim zakochałam się w Giulianie, z łatwością mogłabym oddać serce temu mężczyźnie; teraz wycierpiałam już zbyt wiele, by choćby pomyśleć o takiej możliwości. Łagodnym ruchem cofnęłam rękę.

- Wiesz, że kochałam Giuliana.

Spodziewałam się, że te słowa go ubodą, przygaszą czułość w oczach. Nic takiego się nie stało.

- Wcale w to nie wątpię - odrzekł pogodnie i spojrzał na mnie wyczekująco.

- Wybaczam ci - powiedziałam z przekonaniem. - Ale do dzisiaj miałam tylko synka.

Teraz mam również to. Rozumiesz? Nie odmawiaj, jeśli będę się mogła na coś przydać.

- Na pewno bardzo się nam przydasz.

- Piera nie ma we Florencji?

- Nie, Madonna. Ale gdyby twój mąż myślał, że jest, z pewnością spróbowałby go zabić.

Nie dałam się przestraszyć.

- Co mam robić? - spytałam. - Jak ci pomóc?

- Po pierwsze - rzekł - opowiedz, co pamiętasz z listu, który czytał Salai, kiedy nakryłaś go w gabinecie Francesca.

Opowiedziałam mu. Powiedziałam, że mąż otrzymał rozkaz zebrania nazwisk wszystkich *Bigi* i zachęcania Fra Girolama do występowania w kazaniach przeciw Rzymowi.

Salai, jak się zdawało, słabo czytał, a pamięć miał jeszcze gorszą. Znacznie lepiej nadawałam się na informatora.

Dostałam zadanie co noc przeszukiwać biurko Francesca, a po znalezieniu czegoś dać o tym znać, kładąc na nocnym stoliku umówioną książkę. Nie pytałam dlaczego: było to dla mnie oczywiste. Isabella, która wpuściła Salaia do gabinetu, sprzątała co rano moją sypialnię i co wieczór rozpaliała ogień. Z łatwością mogła zawiadomić o tym Salaia. Wątpiłam, by do końca zdawała sobie sprawę, w co się wplątała. Prawdopodobnie Salai nic jej nie powiedział, myślała więc, że to tylko jeden *Buonomo* szpieguje drugiego.

Nazajutrz po daniu sygnału miałam pójść na sekstę do Santissima An-nunziata.

Miałam teraz dwa serca: jedno ciężkie od żalu i wspomnień, powracających przy rozmowie o Medyceuszach, i drugie, które radowało się, że mogłam wreszcie działać i przyczynić do usunięcia Savonaroli, pozbawienia Francesca władzy, powrotu Piera.

- Jest jeszcze jedna sprawa, w której możesz mi pomóc - powiedział Leonardo.

Podprowadził mnie do długiego stołu zawalonego malarzkimi narzędziami. Zagruntowana topolowa deska leżała na blacie, przykryta węglowym *cartone* do mojego portretu. Rogi kartki przyciśnięto do deski czterema gładkimi kamieniami; cały rysunek został posypany sproszkowanym węglem. - Odrobina magii - powiedział Leonardo. - Wstrzymaj oddech. -

Odłożył kamienie na bok, chwycił kartkę za lewy górny i prawy dolny róg i powoli podniósł

ją w górę. Z najwyższą ostrożnością odszedł od stołu i strzepnął proszek z rysunku do kosza na podłodze, tumany czarnego kurzu zakłębiły się, osiadając na jego twarzy i ubraniu cienką warstewką.

Stałam przy desce, ciągle wstrzymując oddech. Na gładkiej jak kość słoniowa powierzchni widniała moja podobizna, rysy były niewyraźne, szare i widmowe, jakby czekała na narodziny.

Pozowałam Leonardowi nie dłużej niż pół godziny, żeby nie wzbudzić podejrzliwości Claudia. Malarz postawił deskę z naniesionym szkicem na sztalugach. Chciał, żebym od razu usiadła na zydlu, ale wymogłam na nim prawo do obejrzenia najpierw jego narzędzi. Na stoliku obok sztalug trzy cienkie pędzle z gronostajowej sierści - każdy nieco innej grubości i z inaczej przyciętym czubkiem - stały w małym cynowym naczyniu wypełnionym do połowy olejem. Na niedużej drewnianej paletce leżały wysuszone barwniki, niektóre lekko rozkruszone, obok rozstawiono trzy cynowe miseczki, jedna z czarną, a dwie pozostałe z różnymi odcieniami brązozielonej farby.

- To czerń z palonych łupin migdałów i *uerdaccio* - wyjaśnił. - Czerń do malowania konturów twarzy, a *uerdaccio* do cieniowania. *Yerdaccio* jest mieszaniną ciemnej ochry, *cinabrese*, wapna i odrobiny czerni, na samym koniuszku szpachelki.

- Skoro malujesz tylko kontury - spytałam - po co mam ci pozować? Popatrzył na mnie, jakbym oszalała.

- Muszę wiedzieć, jak kładą się cienie. Jak są wyrzeźbione twoje rysy, jak kształtują się wklęsłości i wypukłości. Muszę wiedzieć żywą twarz, naturalną zmienność mimiki, gdy myślisz: inaczej jak mógłbym sprawić, że na portrecie wydasz się żywa?

Usiadłam na zydlu i poddałam lekkiemu, wprawnemu dotykowi jego dłoni, kiedy układał mi ręce, ustawiał głowę i tułów pod właściwymi kątami. Kiedy był już zadowolony ze swego dzieła, stanął przy sztalugach i zmarszczył brwi.

- Za ciemno - oświadczył. - Nie lubię ostrego światła, bo pozbawia kontury delikatności, ale musimy mieć go więcej...- Podeszedł do okna i za pomocą linki zwinął

płócienną roletę. Gdy uznał stopień oświecenia za odpowiedni, zaczął się głośno zastanawiać, czy mogłabym rozpuścić włosy, bo nie jest pewien, jak by teraz wyglądały... ale uciszyłam go, unosząc surowo brwi. Wyobrażałam sobie, co pomyślałby Claudio, gdybym wróciła z kaplicy z włosami w nieładzie.

Wreszcie wziął pędzel. Siedziałam długo, słuchając szelestu mokrego włosia na suchym gipsie i starając się nie wiercić ani nie drapać po nosie. Leonardo był skupiony i pochłonięty pracą, poświęcając jej całą uwagę. Wpatrywał się w moją twarz, dostrzegając każde zaokrąglenie, każdą linię i cień, ale nie widząc mnie samej. Wreszcie zapytałam:

- Czy to dla Piera? Oddasz mu obraz? Uniósł brwi, lecz nie dał się oderwać od pracy.

- Nie jestem jeszcze pewien, komu go dam. Może nikomu. Zmarszczyłam czoło, a on od razu upomniał mnie łagodnie:

- Nie, nie... Teraz same uśmiechy. Proszę, myśl o przyjemnych rzeczach.

- Jakich przyjemnych rzeczach? W moim życiu nie ma szczęścia.

Z lekkim zaskoczeniem w jasnych oczach podniósł wzrok znad obrazu.

- Masz syna. Czy to nie starczy? Roześmiałam się, zawstydzona.

- Aż nadto.

- Dobrze. Masz jeszcze wspomnienia Giuliana, prawda? Pokiwałam głową.

- Wyobraź więc sobie... - W jego głosie zabrzmiała smutniejsza nuta. - Wyobraź

sobie, że jesteś znowu z Giulianem - powiedział z taką nostalgią, że poczułam, iż mówi raczej do siebie niż do mnie - i że przedstawiasz mu syna.

Puściłam wodze fantazji. Poczułam jak rysy mi miękną, a czoło się wygładza, lecz wciąż nie mogłam zdobyć się na niczym niezmacony uśmiech.

Opuściłam Leonarda pełna chęci, by pomóc Pierowi w powrocie do Florencji, lecz przez następne dni prowadzone przeze mnie co noc przeszukania okazywały się bezowocne: stary list zniknął z biurka Francesca, na jego miejscu nie pojawił się nowy.

Siódmej nocy znalazłam potrójnie złożony list ze złamaną czarną pieczęcią.

Otworzyłam go drżącymi rękami i przeczytałam:

*Piero pozostaje w ożywionych kontaktach z Virginesem Orsinim, swoim kuzynem, wojskowym z Neapolu. Wygląda na to, że zbiera wojska, rzekomo w odpowiedzi na apel papieża Aleksandra o armię, która obroniłaby Pizę przed powrotem Karola. Któż jednak zaręczy, że po mobilizacji siły te nie mogłyby ruszyć na Florencję w zupełnie innym celu?*

*Oczywiście kardynał Giovanni wstawia się za bratem. Ma posłuch u papieża... ale ja również. Przy okazji, Jego Świątobliwość napisał brewe, które wkrótce powinno dotrzeć do Signorii. Zagroził w nim królowi Karolowi ekskomuniką, jeśli razem ze swoją armią nie opuści Italii, Florencji zagroził tym samym, jeśli nie wycofa poparcia dla króla Francji.*

*Rozkazał też prorokowi, by zaprzestał kazań.*

*Możesz mi zaufać i zlekceważyć to ostatnie. Przeciwnie, nasz prorok powinien teraz ze zdwojoną żarliwością piętnować Medyceuszy. Zadbam o to, by Jego Świątobliwość złagodził*

*stanowisko. Co do Karola, byłoby dobrze, gdyby nasz mnich zaczął się od niego dystansować.*

*Napisałem do Ludovica. Nie możemy mu ufać, lecz może będziemy musieli polegać na pomocy jego wojsk, jeśli Piero w niedalekiej przyszłości postanowi odbić miasto.*

*Dziękuję za zaproszenie, ale mój przyjazd do Florencji byłby przedwczesny. Zobaczmy najpierw, co zamierza Piero.*

*Przekaż pozdrowienia moim kuzynom - jak miło wiedzieć, że są znowu w domu po tylu latach i że Messer Iacopo został pomszczony Pio-rencja zawsze była i na zawsze pozostanie naszym domem.*

„Moi kuzyni... Messer Iacopo pomszczony”.

Cofnęłam się pamięcią do dnia, gdy matka stała w Duomo i z płaczem opowiadała o śmierci ukochanego Giuliana. Do chwili, gdy patrzyłam w oczy siedzącemu w karocy astrologowi.

„W twoich gwiazdach widziałem akt przemocy, jeden w twojej przeszłości, drugi w przyszłości... Co inni zaczęli, ty musisz dokończyć”.



Autor tych listów... jest jednym z Pazzich - powiedziałam.

Leonardo był panem swoich uczuć. Gdy owego dżdżystego jesiennego dnia, dwa dni po znalezieniu listu, składałam mu swoją relację, widziałam, że jest jednak wyraźnie zaniepokojony.

Starannie upozowana siedziałam na zydlu, on pochylał się nad sztalugami. Nalegałam, by przedtem pozwolił mi obejrzeć, co do tej pory namalował. Moje rysy zostały pociągnięte czarną farbą, ostrość konturów łagodziły warstwy blotnistobrazowego *verdaccio*; ciemne cienie kładły się pod moją brodą z prawej strony, pod prawą kością policzkową i pod nosem.

Spoglądałam na widza niepokojąco pustymi białkami oczu. Moje włosy zostały namalowane jednorodną czernią. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że choć zawsze nosiłam je upięte i zwykle przykryte woalem, Leonardo dokładnie zapamiętał, jak wyglądały przed laty, gdy miałam je luźno rozpuszczone podczas wizyty w Palazzo Medici. Tak jak wtedy, na obrazie były lekko faliste i trochę zakręcone przy końcach.

Na stoliku przy sztalugach stało dzisiaj pięć cynowych naczyń: jedno z olejem na pędzle, drugie z *verdaccio* i trzy z różnymi odcieniami szarości, zwanej *terre verte*. Te ostatnie kolory Leonardo kładł delikatnymi, płynnymi pociągnięciami pędzla, aby stworzyć jak się wyraził, „cienie między cieniami a cieniami”. Ciemne barwy szły pod spód, po nich, warstwa po warstwie, coraz jaśniejsze odcienie.

Powtórzyłam z pamięci tekst listu od tajemniczego korespondenta Fran-cesca. Było mi zimno i drżałam; spódnice przemokły od deszczu mimo czarnej opończy, którą okrył mnie Salai. W pokoju panowała ciemność, choć był środek dnia, a lampka rzucała żółtawą poświatę, która odbijała się od nasączonego olejem papieru zakrywającego okno. W kominku palił się ogień, lecz nawet on nie był w stanie ogrzać ani oświetlić pomieszczenia. Pogoda zwiastowała nadchodzącą zimę.

Leonardo podniósł wzrok i pogładził się w zamyśleniu po podbródku, jakby wciąż nosił brodę.

- To niebezpieczne - rzekł wreszcie. - Nie powinnaś zastanawiać się nad tym, co czytasz, Madonna.

- Czy się mylę?

- Odpowiedź na twoje pytanie jest nieistotna. Istotne jest twoje bezpieczeństwo.

- Nie dbam o niebezpieczeństwo - odparłam. - Piero nadchodzi, zbiera wojska. Kiedy tu wróci, wszystko się zmieni.

- Może nadchodzi, może nie... Naprawdę myślisz, że dopuściłby, aby Pazzi dowiedzieli się o jego poczynaniach? - Opuścił rękę, w której trzymał pędzel, i popatrzył na mnie uważnie.

Zamierzał powiedzieć coś więcej, ale mu przerwałam.

- To wszystko zaczęło się dawno temu, prawda? Od Wawrzyńca? Zamrugął i w tym drobnym geście wyczulam jego powściągliwość, wręcz dezaprobatę.

- Wawrzyniec popełnił wielki błąd, dając niepohamowany upust nienawiści, gdy zamordowano mu brata. Później, pod koniec życia, zaczęło go to prześladować. Nawet po jego śmierci prześladowuje to jego synów. Problem polega na tym, czy uda się przerwać błędne koło przemocy.

- Wiesz, kim jestem - rzekłam. - Sam o tym powiedziałeś Wawrzyńcowi. Dałeś mi znak tamtego wieczoru w Palazzo Medici, kiedy pokazywałeś mi popiersie Giuliana.

Uniósł brwi.

- Jesteś zbyt spostrzegawcza, Madonna.

- Czy... czy mój Giuliano o tym wiedział?

- Wtedy, kiedy się z tobą żenił, nie, ale... - Zmiarkował się. - Musisz uważać, by nie ujawniać swoich uczuć innym. - Podniósł znowu pędzel i powiedział szeptem, jakby do siebie: - Czasami żałuję, że natknęłaś się na Salaia tamtej nocy.

- Nie dam się złapać.

- Może i nie. Właśnie zdałem sobie sprawę, że jesteś równie bystra jak twój ojciec.

Zbyt bystra. Jeszcze raz proszę, nie rozmyślaj zbyt długo nad swoimi odkryciami. Czyniąc to, możesz się narazić na śmiertelne niebezpieczeństwo. Rozumiesz?

- Potrafię trzymać język za zębami - odparłam ostro. - Jestem, jak mówisz, bystra. Nie dam się przyłapać. W końcu żyję z człowiekiem, którego nienawidzę, a on nie wie, co czuję.

- Aleja wiem. Widziałem to na twojej twarzy, w każdym twoim geście. Skąd przypuszczenie, że nie zauważył tego nikt inny?

Umilkłam.

Leonardo podjął łagodniejszym tonem:

- No proszę. Nie poprawię sytuacji ponurym gadaniem. A co gorsza, sprawiłem, że przestałaś się uśmiechać. Wiem, że jesteś rozsądna i umiesz zachować tajemnicę. Pomówmy o czymś pogodniejszym. Może o twoim synu? Na pewno jest do ciebie podobny.

Jego słowa odniosły zamierzony skutek, przypomniałam sobie Mattea i od razu się rozchmurzyłam.

- Rośnie jak na drożdżach. Raczkuje - powiedziałam z dumą. - Czasami tak szybko, że ledwo nadążam. I wygląda jak ja. Ma ciemne oczy, gęste, długie rzęsy i pełne wargi swojej babki... A kiedy na niego patrzę, widzę jego ojca, oczywiście... jego włosy są delikatniejsze i bardziej kręcone.

Podniósł wzrok znad sztalug, uśmiechając się lekko.

- A ty, panie? - zapytałam nagle.

- Co ja?

- Czy kiedy na mnie patrzysz, widzisz mojego ojca? Mojego prawdziwego ojca?

Jego twarz spocłimurniała, przybrała nieodgadniony wyraz. Wreszcie odparł:

- Owszem, widzę. Ale przede wszystkim widzę twoją matkę. Ten sam smutek, który zobaczyłem w niej, kiedy...

- Kiedy? Widziałeś ją kiedykolwiek poza murami pałacu Medyceuszy? Zamrugał i spuścił wzrok. Gdy odpowiadał, patrzył na portret, nie na mnie:

- Widziałem w jakiś czas po jego śmierci. W Santo Spirito. Pochyliłam się ku niemu, zaintrygowana.

- Co robiłeś na drugim brzegu Arno? Wzruszył ramionami.

- Miałem wówczas dużo zleceń, w wielu kościołach. Szedłem na rozmowę z przeorem dominikanów w sprawie ołtarza do jednej z kaplic...

- Modliła się? Była na nabożeństwie?

- Wracała z mszy. Nie było z nią męża, tylko służka...

- Zalumma.

- Ta ze wspaniałymi włosami? Bardzo chciałem je narysować... Tak, była z nią służka.

Ona była ciężarna.

- Jak wyglądała? - spytałam ciekawie.

- Pięknie. I smutno - rzekł cicho. - Smutno, choć tliła się w niej nadzieja. Myślę, że dzięki tobie odzyskała powód do życia.

Odwróciłam twarz, spoglądając na zakryte papierem okno i przebijające się szare światło.

- Wybacz - powiedział, znów podnosząc na mnie wzrok. - Nie miałem zamiaru cię zasmucać.

Wzruszyłam ramionami, wciąż patrząc na okno.

- Cały czas zastanawiam się, czy pozwolił jej pójść na pogrzeb Giuliana.

- Nie mógł jej powstrzymać - odparł z tak nagłą zaciekłością, że odwróciłam głowę.

- Widziałaś ją tam?

- Owszem - przyznał z rumieńcem na policzkach.

Pomyślałam o nich dwojgu - dwójce ludzi zakochanych w tym samym mężczyźnie - i zaczęłam się zastanawiać, czy matka wiedziała, czy kiedykolwiek o tym rozmawiali.

Chciałam już zadać kolejne pytanie, lecz Leonardo ostrożnie odłożył pędzel do naczynia z olejem.

- Minęła prawie godzina, nie powinnaś zostawać tu dłużej - rzekł stanowczo. -

Wkrótce wracam na jakiś czas do Mediolanu, Madonna. Mam zobowiązania wobec księcia i zamówienie na namalowanie Ostatniej Wieczery w refektarzu...

- Wyjeżdżasz, panie? - Nie mogłam ukryć zawodu w głosie. Wstałam. Wilgotny czarny płaszcz Salaia zsunął mi się z ramion na krzesło.

- Oczywiście wrócę, choć nie umiem powiedzieć kiedy. Salai zostanie tutaj. Zmieni się tylko to, że będzie pani relacjonować treść następnych listów jemu, a nie mnie. A on wszystko mi przekaże.

- Ale... Co jeśli przybędzie Piero? Co mam wtedy robić? Uśmiechnął się łagodnie.

- Jeśli przybędzie Piero, skończą się twoje zmartwienia. Zarówno ty, jak i dziecko będziecie bezpieczni. Tymczasem możesz się dowiedzieć wielu rzeczy, które cię zaniepokoją albo nawet rozgniewają. Zrozum, nie mówię ci o wielu sprawach dlatego, że naraziłoby to na większe niebezpieczeństwo ciebie i... tych, którzy są ci najdrożsi.

- Skoro wracasz do Mediolanu, panie - rzekłam - i może upłynąć dużo czasu, zanim się znowu spotkamy... muszę zapytać o odpowiedź na list, który napisałam dawno temu.

Wiedział, o co mi chodzi, ale ociągał się z odpowiedzią.

- O spiskowca z Santa Maria del Fiore - podsunęłam. - Człowieka, który zaatakował

Giuliana pierwszy, tego, który uniknął egzekucji. Mój Giuliano, mój mąż, opowiadał mi o nim i mówił, że to ty powiedziałaś o nim Wawrzyńcowi. Że byłeś w katedrze, kiedy zamordowano Giuliana Starszego.

- Nosił szaty pokutnika - odparł krótko Leonardo. - Z kapturem. Nie widziałem twarzy.

- Ale musiałaś widzieć jej część. Giuliano powiedział, że widziałaś i że jego stryj umarł w twoich ramionach.

- Widziałem.. Ale to się wydarzyło piętnaście lat temu i widziałem go tylko przez chwilę. Nie możesz oczekiwać, że go pamiętam.

- Ależ mogę - odparłam. - Zapamiętałaś moją twarz, choć widziałaś mnie tylko raz, w pałacu

Medyceuszy. Narysowałaś mój portret z pamięci. I opowiedziałaś mi, jak zapamiętywać twarze: na pewno wykorzystałaś tę technikę do zapamiętania tamtej. Wszędzie nosisz ze sobą notes. Niewierze, że nie naszkicowałaś jego twarzy, przynajmniej tej części, którą zobaczyłaś.

W korytarzu rozbrzmiały kroki. Odwróciłam się i zobaczyłam w drzwiach Salaia.

- *Mona Liza* nie może zostać dłużej. Chmury pociemniały. Nadciąga burza.

- Tak - rzekł Leonardo i kiwnął głową na znak, żeby chłopak się oddalił. Popatrzył

znowu na mnie i westchnął głęboko. - Muszę cię teraz opuścić.

- Kiedy pierwszy raz spotkaliśmy się tutaj, powiedziałaś mi, że Piero chce się ze mną widzieć. A ja tak bardzo pragnęłam ci wierzyć, że nie dostrzegłam kłamstwa. Ale teraz wyraźnie widzę, że nie mówisz mi prawdy. Narysowałaś pokutnika, mam rację? Musiałeś go szukać latami. Mam prawo zobaczyć twarz człowieka, który zabił mojego ojca. Czemu nie chcesz mi jej pokazać?

Przybrał kamienny wyraz twarzy. Poczekał, aż skończę, a potem, po długiej chwili, spytał:

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, pani, że byłoby lepiej, gdybyś pewnych rzeczy nie wiedziała?

Chciałam coś odpowiedzieć, ale się powstrzymałam.

- Giuliano został zamordowany dawno temu - rzekł. - Jego brat Wawrzyniec nie żyje.

Medyceusze zostali wygnani z Florencji. Zamachowiec, jeśli wciąż oddycha, na pewno nie pożyje już długo. Co dobrego wyniknie z tego, że zajmiemy się szukaniem jednego człowieka, skoro mamy ważniejsze sprawy na głowie? A co, twoim zdaniem, powinniśmy zrobić, kiedy go już znajdziemy?

Znów nie potrafiłam odpowiedzieć.

- Żadnego szlachetnego celu nie osiągnie się przez zemstę. Moglibyśmy tylko rozdrapać stare rany, podsycić dawną nienawiść. I tak wszyscy borykamy się teraz ze skutkami dawnych błędów. Musimy mieć nadzieję, że ich nie powtórzymy.

- Zasługuję na to, żeby poznać prawdę - odparłam stanowczo. - I nie chcę, żeby mnie okłamywano.

Obruszył się, słysząc to.

- Nigdy cię nie okłamię. Możesz mi wierzyć. Co nie znaczy, że nie ukryję prawdy, jeśli uznam, że tak będzie dla ciebie najlepiej. Nie czynię tego z lekkim sercem. Pamiętaj, pani, że jesteś matką Medyceusza. To ogromny ciężar. I ty, i chłopiec musicie być pod ochroną. Jestem zobowiązany do tego przysięgą, choć serce i tak mi to nakazuje.

Spojrzałam na niego. Byłam poirytowana i zła, a mimo to ufałam mu równie mocno, co człowiekowi, który wychował mnie jak córkę.

- Musisz iść - powiedział łagodnie. - Woźnica może nabrać podejrzeń. Poza tym będzie padać.

Wzięłam z krzesła wilgotny płaszcz i zarzuciłam go sobie na ramiona, a potem odwróciłam się do Leonarda.

- Nie chcę się z tobą żegnać w niezgodzie.

- Nie ma żadnej niezgody, jest tylko dobra wola. - Wskazał głową obraz. - Zabiorę go ze sobą i popracuję nad nim, jeśli mi się uda. Może nadarzy się jeszcze okazja, żebyś mi znowu pozowała.

- Jestem tego pewna. - Podeszłam i podałam mu dłoń, jego uścisk był ciepły i mocny.

- Powodzenia. I proszę dbaj o siebie, panie.

-\* - Nawzajem, Madonna Liza. Wiem, że teraz jest ci ciężko. Mogę tylko zapewnić, że na końcu drogi czeka cię wielkie szczęście.

Mówił z przekonaniem, lecz nie zdołał mnie pocieszyć. Mój Giuliano nie żył; moje szczęście, jak wcześniej szczęście mojej matki, było pogrzebane w przeszłości.

Po raz kolejny Salai przewiązał mi oczy ciemną opaską, po raz kolejny zatkał uszy watą. Prowadzona pod łokieć, powoli i chwiejnie przeszłam krótkim korytarzem, po czym przystanęłam i odczekałam, aż ciężki kawał drewna - drzwi, uznałam, albo solidna ścianka -

przesunął się przede mną ze zgrzytem.

Ruszyliśmy w dół po schodach - ja niepewnie, jedną ręką podtrzymując spódnicę i płaszcz. Jak zwykle zatrzymaliśmy się i Salai upewniał się, że droga jest bezpieczna. Kiedy otrzymał odpowiedni znak, przeszliśmy szybko po gładkiej posadzce.

Potem, po raz pierwszy, przystanęliśmy z wahaniem - jestem pewna, że przy wyjściu, bo ledwie kilka centymetrów od mojej twarzy siekł gwałtowny deszcz. Zbłąkane, niesione z wiatrem krople muskały mi policzki. Uderzył potężny grom, ziemia zadrżała mi pod stopami.

Mięśnie Salaia napięły się, chwycił mnie za ramię.

- Szybko! - rozkazał i pociągnął mnie za sobą.

Puściłam się pędem na oślep. Z wysiłkiem łapałam oddech, czując, jak wałą we mnie strugi lodowatej wody. Deszcz zaciął ukośnie, wdzierając się pod kaptur i smagając mi twarz. Wkrótce opaska zupełnie przemokła, woda drażniła mi oczy. Podniosłam do nich wolną rękę.

Gdy to uczyniłam, przydepnęłam rąbek płaszcza. Straciłam równowagę i wyrwawszy się z uścisku Salaia, runęłam ciężko na ziemię. Wylądowałam na kolanach i łokciu.

Usiłowałam się podnieść, dotknęłam dłonią zimnego i śliskiego bruku. Grzbietem drugiej dłoni potarłam piekące oczy.

Przemoknięta opaska zsunęła się z powiek. Zobaczyłam przed sobą przystojną, młodzieńczą twarz Salai, którą teraz wykrzywiała panika.

Niedaleko czekał koń i powóz. A przede mną wznosiły się masywne mury wielkiego klasztoru, które natychmiast rozpoznałam. Salai wyciągnął ręce, usiłując mnie powstrzymać, ale było już za późno: odwróciłam głowę i przez strugi deszczu spojrzałam na plac rozciągający się za moimi plecami.

Po drugiej stronie ulicy zobaczyłam pełne wdzięku arkady Ospedale de-gli Innocenti.

Daleko z lewej strony, tak daleko, że wydawał się nie większy niż mucha, mój woźnica, Claudio, schronił się w loggii przed ulewą.

Salai i ja staliśmy przy północnym murze kościoła; Claudio czekał na mnie przy ścianie zachodniej, na placu.

Za każdym razem, gdy spotykałam się z Leonardem, nie opuszczałam Santissima Annunziata.

Salai i ja nie odzywaliśmy się do siebie, siekająca ulewa uniemożliwiała rozmowę.

Pomógł mi wstać, naciągnął kaptur na głowę i pobiegliśmy z powrotem do klasztoru.

Schroniwszy się w sieni, która jak przypuszczałam, służyła jako dormitorium, odetchnęliśmy z ulgą. Stłukłam boleśnie kolana i lewy łokieć, ale nie wyrzodziłam sobie poważnej krzywdy.

Salai nie próbował już przewiązywać mi oczu, dał tylko znak, żebym wyciągnęła wełnę z uszu. Stał tak blisko, że stykaliśmy się ciałami. Z wargami tuż przy moim uchu powiedział:

- Teraz możesz nas wszystkich zdradzić. Zaczekaj tu. Nikt raczej nie przyjdzie. Ale gdybyś się na kogoś natknęła, proszę, milcz: wymyślę coś, kiedy wrócę.

Poczekalam. Wrócił po chwili z dużą płachtą sukna. Pomógł mi zdjąć przemoczony czarny płaszcz, a potem patrzył, jak się wycieram.

- Dobrze - powiedział, gdy podałam mu sukno z powrotem. - Martwiłem się, jak wytłumaczyłabyś swój stan woźnicy.

- Nie musisz mówić Leonardowi o tym, że wiem, gdzie jesteśmy. Prychnął.

- I tak nie udałoby nam się tego przed nim ukryć, *Monna*. Potrafi wykryć kłamstwo równie niezawodnie jak ogar świeży trop. Poza tym znudziło mi się wożenie cię przez miasto.

Chodź za mną.

Poprowadził mnie schodami na piętro, przez labirynt korytarzy i w dół, aż wreszcie dotarliśmy do narteksu głównej świątyni. Tam zostawił mnie i oddalił się bez słowa.

Wyszłam na zewnątrz, chroniąc się pod występem muru, i pomachałam do Claudia.

Tamtej nocy, kiedy Matteo zasnął w końcu w swoim pokoju, Zalumma zaczęła rozwiązywać mi rękawy. Byłam zaintrygowana, w nastroju do rozmowy.

- Znałaś Giuliana? - spytałam. - Brata Wawrzyńca?

Martwiła się o mnie; wróciłam do domu rozdygotana, z mokrymi włosami. Jak Leonardo zawsze zwęszyła oszustwo. A gdy zapytałam o Giuliana, jeszcze bardziej się nachmurzyła.

- Niezbyt dobrze - odparła. - Spotkałam go kilka razy. - Spojrzała w lewo, jakby w odległą przeszłość, i podjęła nieco łagodniejszym tonem: - Był niezwykle przystojnym mężczyzną, te podobizny, które widziałam, nie oddają tego w pełni. Radosny i zycliwy jak dziecko, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Miły dla ludzi, nawet kiedy nie musiał. Był

miły nawet dla mnie, niewolnicy.



- Lubiłaś go?

Pokiwiała głową z nostalgią, złożyła rękawy i wsunęła je do szafy, a potem odwróciła się i zaczęła rozsznurowywać suknię.

- Kochał twoją matkę. Byłaby z nim bardzo szczęśliwa.

- W dniu zabójstwa Giuliana w Duomo był pewien człowiek. Ktoś... Ktoś widział, jak to się stało. Baroncelli i Francesco de'Pazzi nie byli sami. Towarzyszył im inny człowiek, mężczyzna w kapturze osłaniającym twarz. To on zadał pierwszy cios.

- Inny zamachowiec?

- Udało mu się uciec. I nigdy go nie odnaleziono. Możliwe, że wciąż jest tu, we Florencji. - Suknia opadła na podłogę, a ja z niej wyszłam.

Zalumma wydała gniewny pomruk.

- Twoja matka kochała Giuliana ponad życie. Kiedy umarł, myślałam, że... - Pokręciła głową i podniosła suknię.

Powiedziałam szeptem:

- Myślę, że... ktoś, ktoś we Florencji... go zna. I nadejdzie czas, kiedy dowiem się, kto to taki. Wtedy wreszcie spotka go sprawiedliwość... z mojej ręki.

- I cóż dobrego by z tego wynikło? - spytała. - Jest za późno. Giuliano umarł, życie twojej matki zostało złamane. Zamierzała odejść do niego tamtej nocy. Wiedziałaś o tym?

Chciała zostawić twojego ojca i wyjechać z Giulia-nem do P^zumu... Na wieczór przed zamachem poszła mu to powiedzieć...

Podeszłam i usiadłam przed kominkiem, żeby się ogrzać. Nie powiedziałam do Zalummy już nic więcej owego popołudnia. Wpatrując się w płomień, myślałam o zrujnowanym życiu matki i obiecałam sobie w duchu, że znajdę sposób, by pomścić ją i obu naszych Giulianów.

Zima mijała powoli. Pod nieobecność Leonarda codziennie chodziłam się pomodlić do kapliczki w Santissima Annunziata. Tęskniłam za artystą: był jedynym ogniwem łączącym mnie z prawdziwym ojcem i moim ukochanym Giulianem. Wiedziałam, że tak jak ja opłakiwał ich stratę.

Prawie co wieczór, kiedy droga była wolna - to znaczy, gdy Francesco wyjeżdżał do burdelu - wkradałam się do gabinetu i przeszukiwałam biurko. Przez kilka tygodni niczego nie znalazłam. Mimo zawodu pocieszałam się myślą, że Piero wróci wkrótce do miasta.

Kiedy to się stanie, będę mogła porzucić Francesca i wraz z synkiem, ojcem i Zalummą znaleźć schronienie u Medyceuszy.

Ale Piero nie wracał.

Jako żona wysoko postawionego *piangone* musiałam chodzić na sobotnie kazania Savonaroli dla kobiet. Pojechałam z Zalummą do Sart Lorenzo i usiadłam blisko ołtarza i ambony, w miejscu zarezerwowanym dla osób związanych z prorokiem. Usiłowałam przetrwać kazanie, wyobrażając sobie, że spotykam się z Leonardem i zamawiam piękny grobowiec dla mojego Giuliana. Moją uwagę przykuł przenikliwy, pełen jadu głos Fra Girolama, gdy zwrócił się do zasłuchanego zgromadzenia wiernych:

- Ci miłośnicy Piera Medyceusza i jego braci, Giuliana i tak zwanego kardynała Giovanniego...

Zalumma i ja patrzyłyśmy wprost przed siebie, nie śmiałam na nią spojrzeć. Oślepiły mnie ból i złość. Słyszałam słowa proroka, lecz nie widziałam jego twarzy. Głupcze, pomyślałam. Nie wiesz, że Giuliano nie żyje..."

- Bóg wie, kim są! Bóg widzi ich serca! Zaprawdę, powiadam wam, ci, którzy wciąż miłują Medyceuszy, są tacy jak oni: to bogacze i bałwochwálcy, którzy czczą pogańskie ideały piękna, pogańską sztukę, pogańskie skarby. A gdy oni błyszczą i lśnią od swego złota i klejnotów, biedni głodują! Bóg do mnie przemówił, nie mówię we własnym imieniu: „Oto ci, co czczą fałszywe bożyszczą, zasługują, by poczuć ostrze katowskiego miecza na karkach.

Jeśli bezmyślnie, nie bacząc na prawo Boże, bez miłosierdzia gnębią ubogich, niech swe puste głowy utracą!"

Milczałam, lecz coś zawrzało we mnie, gdy przypominałam sobie fragment z ostatniego listu znalezionego w biurku Francesca: „Nasz prorok powinien teraz ze zdwojoną żarliwością piętnować Medyceuszy”.

Zawrzało we mnie i zadrżałam. Modliłam się do Piera o rychłe przybycie.

W tym czasie znalazłam tylko jeden list w gabinecie Francesca - znowu napisany tą samą niecierpliwą ręką.

*Twoje obawy o ekskomunikę są bezpodstawne. Powiedziałem Ci wcześniej: miej wiarę. Niechaj mnich naucza bez lęku! Nie powstrzymuj go. Papież Aleksander się ugnie.*

Rok upłynął i zaczął się następny. Pierwszego dnia 1496 roku Ludovico Sforza, książę Mediolanu, zdradził Florencję.

Jednym z klejnotów, które król Karol podczas marszu na południe wykradł Florencji, była twierdza w Pizie. Piza zawsze znajdowała się pod panowaniem Florencji, lecz od dawna pragnęła wolności. Od najazdu miasto przeszło we władanie Francuzów.

Ludovico przekupił kapitana pizańskiej fortecy, by oddał klucze do bram Pizańczykom. Tym jednym ruchem dał Pizie niepodległość - i od Karola, i od Florencji.

Przebiegły Ludovico postarał się, by jego rola pozostała w tajemnicy. Florentyńczycy uwierzyli, że to

król Karol dał Pizie suwerenność. Karol, przedstawiany przez Savonarolę jako namaszczonego przez Boga bohater, który przyniesie Florencji chwałę, okazał się w ich oczach zdrajcą.

Ludzie obwiniali o to Savonarolę. Po raz pierwszy ich uwielbienie zmieniło się w niezadowolenie.

Salai, nie mogąc ukryć entuzjazmu, wyjawiał mi prawdę, gdy pewnego dnia wychodziłam z rodzinnej kaplicy po modlitwie. Uśmiechnęłam się. Jeśli taki był skutek działań Leonarda, z większą pogodą ducha mogłam znieść jego nieobecność.

Zima ustąpiła wiosnie, która przyniosła nieprzerwane deszcze. Niżej położone tereny miasta zalała woda, uszkadzając liczne warsztaty, między innymi farbiarzy tkanin, co z kolei obniżyło zyski handlarzy jedwabiem i wełną, a więc także Francesca i ojca.

Na razie mieliśmy dość jadła na stołach - szczególnie dzięki koneksjom Francesca.

Mąż sprawiał w owych dniach wrażenie nadzwyczaj radosnego. Nie wiedziałam dlaczego, póki pewnego wieczoru podczas kolacji nie rozwiązał mu się język.

Ulewa za oknami zelżała do mżawki. Po tygodniach ciemności w zimnym pałacu hulał wiatr, wszyscy troje - ojciec, Francesco i ja - siedzieliśmy jak najbliżej ognia.

Francesco spędził popołudnie w Palazzo della Signoria, miał więc na sobie najlepsze *lucco*, długą bordową tunikę obszytą brązowym sobolim futrem na rękawach i kołnierzu.

Wrócił do domu uśmiechnięty i dobry humor dopisywał mu coraz bardziej. Kiedy usiedliśmy przy stole i podano wino, Francesco nie mógł się już dłużej powstrzymać.

- Dobre nowiny, ser Antonio! - rzekł, zwracając się do ojca, mojego słabowitego, wymizerowanego ojca, który był równolatką Francesca, lecz wyglądał znacznie starszej.

Oczy Francesca lśniły, policzki i czubek nosa wciąż miał zarumienione po jeździe w zimnie i ślocie. Drobne koraliki wilgoci zebrały się mu na srebrzystych włosach i migotały w świetle ognia. - Pamiętasz oczywiście zeszłoroczne brewe, w którym papież wzywał Fra Girolama do zamilknięcia?

- Owszem - odparł ojciec bez entuzjazmu. Wbrew rozkazowi Savonarola nadal głosił

kazania. Nie brakowało ludzi, którzy twierdzili, że ekskomunika jest bliska.

- Jego Świątobliwość po dokładniejszym rozpatrzeniu sprawy uświadomił sobie niesprawiedliwość owego żądania. Signoria otrzymała dziś od niego depezę, w której stwierdza, że Fra Girolamo może dalej nauczać, byleby nie atakował Rzymu, a w szczególności samego papieża. - Francesco rozpromienił się i pociągnął solidny łyk wina.

Słuchałam, lecz zachowałam uprzejmy, obojętny wyraz twarzy. W duchu zastanawiałam się, czy Francesco rzeczywiście dowiedział się tego od Signorii, czy też od swego tajemniczego korespondenta. Postanowiłam, że jeśli to możliwe, jeszcze tej nocy przeszukam jego biurko.

- Cóż - rzekł ojciec - to dobrze, że nie rozgniewał Rzymu. Ludzie zaczęli się już martwić.

- Takie zmartwienia są bezpodstawne - powiedział Francesco. - A ludzie zbyt szybko zapomnieli o tym, co Fra Girolamo zrobił dla Florencji. Karol mógł złupić miasto, gdyby nie interwencja przeora.

Ojciec pokiwał lekko głową i spojrzał w zamyśleniu w ogień.

- Ale co z plotką - zaczęłam, udając niewiniątko - o liście, który przechwycono dawno temu w drodze do Francji... Tym od Fra Girolama do króla Karola?

Mąż odwrócił się do mnie gwałtownie.

- Gdzie o tym słyszałaś?

- Agrippina słyszała o tym na targu. Mówi się, że przeor błagał Karola o przybycie do Italii, aby Florencja uwierzyła w jego prorocтва.

- Wiem, co się mówi. Jak możesz powtarzać takie kłamstwo?

- Wspominam o tym, bo wiem, że znasz prawdę - odrzekłam tak gładko, że sama się zaskoczyłam. - Słyszałam też, że Jego Świątobliwość rozważa możliwość wycofania się ze Świętej Ligi. - Papież Aleksander powołał Ligę, do której przystąpił Neapol, Mediolan i cesarz, aby wypędzić Karola z Włoch. Savonarola oczywiście sprzeciwił się temu, lecz Florencja przyłączyła się do Ligi pod silnym naciskiem Rzymu.

To uspokoiło Francesca.

- O tym nie słyszałem. To bardzo prawdopodobne. I z pewnością byłoby dla nas korzystne. - Umilkł na chwilę, upił kolejny łyk wina i posłał chytre spojrzenie ojcu. - Ser Antonio, myślę sobie, że już najwyższy czas, abyś zyskał drugiego wnuka. - Zerknął na mnie przelotnie i uśmiechnął się, zaglądając do kielicha. - Nie jestem już młodzieniaszkiem.

Potrzebuję synów, którzy będą mogli przejąć rodzinny interes. Co o tym sądzisz?

Z obrzydzeniem spuściłam oczy i popatrzyłam na wino we własnym pucharze.

Zapragnęłam się w nim utopić.

- Myślę - wycedził powoli ojciec - że sam miałem tylko jedno dziecko. I nigdy nie odczułem braku następnych. Jestem bardzo dumny ze swojej córki.

- Tak, wszyscy jesteśmy - odparł prędko Francesco, nic nie mogło zepsuć mu dzisiaj humoru. - I nie powinienem o tym mówić, nie poradziwszy się najpierw żony. - Wychylił

resztę wina i poprosił o dolanie, a potem nagle zaczął mówić o możliwych skutkach złej pogody.

- Idą wysokie ceny - powiedział ojciec. - Już raz tak się stało, kiedy byłem chłopcem.

Jeśli deszcze nie ustaną, przepadną nam plony. A gdy do tego dojdzie, zagrozi nam głód.

- Nie ma się czym martwić - rzekł z przekonaniem Francesco. - Bóg spogląda na Florencję łaskawym okiem. Ulewy ustaną.

Na ojcu nie wywarło to wrażenia.

- A jeśli nie? Jeśli nie zbierzemy plonów? Oby Savonarola wstawił się za nami, żeby jeszcze zaświeciło nam słońce.

Uśmiech Francesca przygasł nieco, popatrzył na ojca z uwagą.

- Zaświeci, ser Antonio. Zapewniam, że zaświeci.

- Powodzie przynoszą zarazę - rzekł ojciec. - Głód przynosi zarazę. Już to widziałem..

Pomyślałam o synku i zadrżałam. Ojciec zauważył to i wziął mnie, skruszony, za rękę.

- Nie chciałem cię przestraszyć. Zaraza nigdy nie dotrze do nas, Lizo.

- Słusznie - dodał Francesco. - Nie grożą nam powodzie ani głód. Nikt w moim domu nigdy nie będzie chodził z pustym brzuchem.

Ojciec pokiwał ulegle głową i opuścił wzrok.

Jedliśmy odtąd w zupełnym milczeniu. Tylko Francesco narzekał, że pospólstwo wciąż tkwi w niewiedzy i nie widzi, że to książę Mediolanu, Ludovico Sforza, a nie Fra Girolamo, dał Pizańczykom klucze do ich fortecy. Było to niefortunne nieporozumienie, gdyż sprawiło, że ludzie zaczęli otwarcie wypowiadać się przeciw temu, który kocha ich najbardziej i żarliwie modli się za nich do Boga. To, obstawał

Francesco, jedyny powód, że *Arrabbiati* urosli w siłę i są o krok od przekształcenia się w oficjalną partię polityczną przeciwną rządowi Savonaroli i *piangoni*.

Później Francesco dał niedwuznacznie do zrozumienia, że ja i on jesteśmy zmęczeni i udamy się wcześniej na spoczynek. Ojciec, który zwykle zostawał do późna i cieszył się towarzystwem wnuka, pożegnał się z rezygnacją.

Kiedy wstałam po wieczery od stołu, Francesco spojrział na mnie znacząco.

- Idź do swojej komnaty - powiedział niecierpliwie - i rozkaż Zalummie, żeby cię rozebrała. Niedługo do ciebie przyjdę.

Uczyniłam to z odrazą tak głęboką, że aż mnie zemdliło. Gdy Zalumma rozsznurowywała mi suknię, patrzyłyśmy na siebie z tym samym lękiem, jaki towarzyszył

nam w noc poślubną.

- Jeśli cię skrzywdzi... - mruknęła chmurnie Zalumma.

Potrząsnęłam głową, by ją uciszyć. Gdyby mnie skrzywdził, nic nie mogłyśmy na to poradzić. Patrzyłam, jak chowa suknię do garderoby, a potem stałam cierpliwie, gdy rozplatała i rozczesywała mi włosy. Wreszcie odesłałam ją. Odziana tylko w *camicia* usiadłam na łóżku i przeprosiłam Giuliana. Francesco tylko dotyka mego ciała, powiedziałam mu.

Nigdy nie tknie mojej miłości do ciebie.

Przeżyłam samotnie na łóżku pół godziny udręki. Kiedy otworzyły się drzwi, podniosłam wzrok i zobaczyłam Francesca. Miał przekrwione, rozpalone oczy i chwiał się na nogach. W dłoni trzymał kielich wina.

- Ukochana żono - wymamrotał. - Cóż powiesz o moim życzeniu, by mieć następnego syna?

Nie spojrzałam mu w oczy, może pomyślał, że ze skromności.

- Jesteś moim mężem. Nie mogę sprzeciwiać się twoim życzeniom. Usiadł koło mnie, zwaliwszy się całym ciężarem na łóżko, i odstawił puchar na stolik. Wino przelało się przez brzeg czaszy, jego zapach uniósł się w powietrzu.

- Nie masz własnych życzeń? Na pewno chcesz mieć więcej dzieci. Która matka tego nie pragnie?

Nie mogłam na niego patrzeć.

- Oczywiście, ze chęcią.

Wziął mnie za rękę. Pozwoliłam, by spoczywała bezwładnie w jego uścisku.

- Nie jestem gfiupcem, Lizo - jowiedział.

Słyszac to, poczułam, jak włosy stają mi na głowie. Czy wiedział? Czy odkrył, że przeszinkuję mu biurko? Czy Claudio coś zauważył?

- Wiem, że mnie nie kochasz' podjął Francesco - choć żywiłem nadzieję, że będzie inaczey. Jesteś pijkną i bystrą kobietą, a ja jestem dumny, że mogę nazywać cię żoną.

Liczkiem na to, że odpłacisz mi za łaskawość, dając mi wielu potomków.

- Oczywiście - powtórzyłam.

Wstał. W rzeczowym, zimnym pnie kryła się zawoalowana groźba.

- Połóż się zatem. Położyłam się.

Była to czynność bezosobowa. Pozostał całkiem ubrany i tylko opuścił rajtuzy na tyle, nai ile to było konieczne. Uważnie, lecz bez czułości, wgra-molił mi się między nogi, uniósł

*camicia* i wsunął się we mnie. Nie był wszak w pełni gotów - przeciwnie, moja bliskość zdławiła w nim żądzę i zwiotczał. Nie ruszał się przez chwilę, dysząc ciężko, po czym nagle podparł się rękami na materacu i uniósł tułów.

Myślałam, że zamierza wysunąć się ze mnie. Natychmiast poruszyłam się, w nadziei, że uzna swą klęskę i odejdzie.

- Leż, mówię! - Podniósł rękę i zamachnął się, jakby chciał zdzielić mnie na odlew.

Drgnęłam, odwracając odruchowo twarz.

To sprawiło mi przyjemność. Urósł we mnie. Po chwili zamknął oczy i zaczął szeptać do siebie:

- Ty kurwo. Ty bezczelna sukco-!

Nie myślałam o niczym. Moja głowa waliła o drewniany zagłówek, znosiłam to obojętnie. Słuchałam, jak za razem uderza w ścianę.

Mijały długie, bolesne minuty, było mu ciężko, ale dodawał sobie animuszu obelgami, aż wreszcie osiągnął cel.

Kiedy skończył, wstał ze mnie szybko poprawił ubranie i wyszedł bez słowa, zamykając za sobą drzwi.

Wezwałam Zallummę. Dobra »na leżałaby w łóżku i pozwoliła się zapłodnić, ale ja od razu wstałam, gdy zjawiała się Zalumma, powiedziałam roztrzęsionym głosem:

- Nie urodzę mu dziecka. Rozumiesz? Nie ma mowy! Zalumma pojęła mnie w lot.

Nazajutrz rano przyniosła dzban herbaty i wyjaśniła mi, co mam robić.

Przestroga ojca okazała się prorocza: deszcze nie ustąpiły. W połowie miesiąca wody rzeki Arno zalały pola, niszcząc wszelkie zboże. Na początku czerwca rzeka Rifrendi wystąpiła z brzegów, zatapiając resztki upraw.

Do lata, gdy niebo się rozjaśniło, w mieście wybuchła epidemia febry. Ze względu na zdrowie Mattea zabroniłam wszelkich odwiedzin w jego pokoju i nie pozwalałam wyprowadzać go poza mury pałacu. Właśnie zaczynał stawiać pierwsze nieporadne kroki, im dłużej przyglądałam się jego buzi, tym wyraźniej dostrzegałam w nim podobieństwo do ojca.

Rzadko opuszczałam dom. Gdy febra jęła się rozprzestrzeniać, zabroniłam Zalummie chodzić z Agrippiną na targ i tylko od czasu do czasu odwiedzałam kaplicę w Santissima Annunziata, gdyż w biurku Francesca od tygodni nie pojawił się żaden nowy list.

Pragnąc jednak uchodzić za dobrą żonę i uniknąć podejrzeń, nadal słuchałam sobotnich kazań Savonaroli. Wciąż zawzięcie piętnował w nich Medyceuszy i ich zwolenników, znalazł sobie również nową obsesję: współzycie Aleksandra z młodą kochanką Julią Farnese i papieski zwyczaj zapraszania na przyjęcia rzymskich ladacznic.

- Przywódco Kościoła! - pomstował. - Co noc idziesz do swej nałożnicy, co dzień rano przyjmujesz sakramenty. Ściągasz na siebie gniew Boży. Ladacznic, żałośni stręczyciele!

Zmieniliście kościoły w przybytki rozpusty! - A gdy kardynałowie jęli narzekać, że nie powinien tak mówić o papieżu, oświadczył: - To nie ja grozę Rzymowi, jeno Bóg! Niechaj Rzym czyni, co chce, ale nigdy nie zdoła ugasić tego płomienia!

Kilka dni później, kiedy mąż udał się nocą do swoich nałożnic, a służba poszła spać, zakradłam się do gabinetu.

List w biurku utrzymany był w błagalnym tonie.

*Niechaj pomstuje przeciw Medyceuszom, mówiłem. Nie zachęcałem go przecie do ataków na Aleksandra - wprost przeciwnie! W ten sposób niweczy całą moją robotę w Rzymie. Przekaż jak najwyraźniej wszystkim: jeśli nie zaprzestaną natychmiast tych bzdur, słono za to zapłacą!*

*Głód wśród ludu może doprowadzić do narzekań. Zmobilizuj ludzi, niech skupią uwagę nie na żołądkach, lecz na obietnicy rajy i Fra Gi-rolamie.*

Powtórzyłam po cichu słowa, uważnie, tak abym mogła przywołać je, gdy zechcę, w pamięci.

Nazajutrz rano zostawiłam na stoliku książkę. Następnego dnia pojawiłam się w Santissima Annunziata, właśnie gdy dzwony obwieściły sekstę.

Salai nie uciekał się tym razem do żadnych wybiegów. Służebnicy Najświętszej Marii Panny byli na nabożeństwie, wkrótce mieli się udać na obiad do refektarza: droga była wolna.



Opuściliśmy kaplicę i ruszyliśmy wąskim korytarzem, a potem kamiennymi spiralnymi schodkami na piętro. Tam natknęliśmy się na drewnianą ścianę. Salai zagwizdał cicho i po chwili rozsunęły się ukryte drzwi. Weszliśmy do środka.

Młody malarz, ubrany w długą, poplamioną farbą tunikę swego cechu, zamknął za nami drzwi. Przeszliśmy kolejnym korytarzem, który prowadził do trzech pomieszczeń: mniejszej celi z posłaniem, dużej komnaty, gdzie dwóch młodych mężczyzn z twarzami, rękami i długimi fartuchami umazanymi świeżym gipsem przygotowywało się do malowania fresku, i wreszcie do pokoju, gdzie spotykałam się z Leonardem.

Mój portret nadal stał na sztalugach, Salai wyjaśnił mi, że w pośpiechu Leonardo zapomniał go zabrać. Przyjrzałam mu się: z wyjątkiem konturów i cieniów moja skóra lśniła bielą gipsowego gruntu. Wyglądałam jak na wpół zmaterializowany duch.

Uśmiechnęłam się do obrazu, a potem do Salai, i wyrecytowałam zawartość listu.

Zapisywał kolejne słowa powoli, przerywając kilkakrotnie, by poprosić o powtórzenie.

Opuściłam kościół, czując się lekko na sercu. Starania Leonarda przynoszą owoce, pomyślałam. Papież musi teraz zamknąć Savonaroli usta. Wrogowie Medyceuszy tracili grunt pod nogami, triumfalny powrót Piera był tylko kwestią czasu.

Uśmiechałam się, gdyż tkwiłam w nieświadomości. Uśmiechałam się, gdyż nie pojęłam, że list zagrażał wszystkiemu, co było mi drogie.

Jesienią wybuchła zaraza. Savonarola wciąż głosił kazania, lecz Francesco pozwalał

mi zostać w domu. Z Rzymu nie docierały do niego żadne nowe listy, które wymagałyby ode mnie wizyt w rodzinnej kaplicy. Byłam pozbawiona wycieczek do Santissima Annunziata, a pogarszająca się pogoda uniemożliwiała mi zarówno przesiadywanie na balkonie, jak i spacer po ogrodzie. Zaczęłam się niecierpliwić.

Utrata wiosennych upraw okazała się dla Toskanii ciężkim ciosem. Właściciele ziemscy i chłopci opuszczali jałową rolę i ciągnęli do miasta w poszukiwaniu pożywienia.

Mężczyźni i kobiety koczowali na ulicach, żebrząc o najmarniejsze ochłapy i jałmużnę.

Sypiali na schodach kościołów, w bramach kamienic i pod progami *botteghe*. Pewnego ranka Francesco zastał przed sklepem kobietę z dwójką dzieci, wszyscy nie żyli. W miarę jak noce stawały się zimniejsze, niektórzy z nich zamierzali, większość jednak marła z głodu i chorób.

Każdego ranka przybywało tyle trupów, że nie sposób było wszystkie uprząć. Nad Florencją unosił się gnilny fetor.

Mimo bogactwa i rozległych kontaktów Francesca odczuwaliśmy braki. Agrippinie skończyły się najpierw zapasy pieczywa, potem mąka, musieliśmy obywać się bez rosołu z makaronem, do którego przywykliśmy; myśliwi przynosili nam ptactwo, które jedliśmy tak długo, aż zupełnie nam obrzydło.

Z nadejściem zimy nawet my, bogaci, zaczęliśmy popadać w rozpacz.

Minęły święta, potem Nowy Rok. Nadszedł karnawał - niegdyś okres świętowania, parad, hucznych biesiad i tańców, pod wpływem Savonaroli nowa Signoria zakazała jednak podobnych pogańskich obyczajów.

Wreszcie nadeszła wieść, że Signoria zarządziła wyprzedaż wszystkich państwowych zapasów zboża po rozsądnej cenie ludziom, którzy zbiorą się na Piazza del Grano we wtorkowy rano szóstego lutego, ostatniego dnia karnawału. Nazajutrz miał się zacząć post.

Nasza kucharka Agrippina zaledwie kilka dni wcześniej straciła bratanka, który padł

ofiara zarazy. Z obawy, że przywlecze *la mona* do domu, nie poszła na pogrzeb, lecz głośno wyraziła przekonanie, iż znajdzie ukojenie, jeśli będzie mogła pójść do pobliskiego Duomo zapalić świeczkę i pomodlić się za duszę chłopca.

Do jej obowiązków należało kupowanie dla nas zboża i chleba. Wydawało się sensowne, że uda się do Duomo na modlitwę, a następnie na pobliski plac del Grano, by dokonać zakupów.

Nie mogąc już usiedzieć w domu, zaczęłam przekonywać Francesca, że powinnam towarzyszyć Agrippinie w drodze do kościoła. Katedra była całkiem niedaleko, na pewno nie będzie ludzi, a ja chcę się pomodlić. Ku mojemu zachwytowi wyraził zgodę.

W wyznaczony wtorek wsiadłam z Agrippiną i Zalummą do powozu, a Claudio powiózł nas na wschód, w kierunku ceglastej kopuły.

Niebo było czyste i błękitne, pogoda bezwietrzna. Póki siedziałam bez ruchu w promieniach słońca, czułam jego słabe ciepło, w cieniu jednak niepodzielnie panował mróz.

Spoglądałam przez okno powozu na sklepy, kamienice, kościoły i ludzi idących powoli ulicami. Zanim Savona-rola przejął rząd dusz we Florencji, karnawał był pięknym, kolorowym świętem. Pamiętam, że jako dziecko jeździłam w karocy ulicami miasta i wpatrywałam się z zachwytem w fasady budynków - przedtem bladych i szarych, a teraz jak przemienionych biało-czerwonymi proporcami, przetykanymi złotem tkaninami, girlandami z wielobarwnych papierowych kwiatów. Mężczyźni i kobiety tańczyli na ulicach w maskach ozdobionych brylantami i złotem, lwy i wielbłądy z medycejskich menażerii paradowały po mieście ku uciesze gawiedzi.

Teraz ulice znowu były ciche i ponure, z powodu nienawiści proroka. Zalumma i kucharka milczały. Agrippiną, siwowłosa wieśniaczka, nieskłonna do rozmowy z tymi, których uważała za lepszych od siebie, była przysadzista, miała szeroką twarz i zaledwie kilka zębów. Jedno z jej brązowych oczu zasnuwało bielmo, lecz drugim ciekawie wyglądała przez okno, spragniona nowych widoków.

Uzgodniłyśmy, że najlepiej będzie pomodlić się później, najpierw kupimy jedzenie, zanim wyczerpią się zapasy. Minęłyśmy więc Duomo i pojechałyśmy na południe, w kierunku zwieńczonej blankami wieży Palazzo della Signoria. Niewielki Piazza del Grano znajdował się na tyłach pałacu, za jego wschodnią ścianą. Pod murem pałacu stały duże kosze pszenicy i owsa ogrodzone solidnym

drewnianym płótem, przed którym sklecono prowizoryczne budki z wagami, niezbędnymi do prowadzenia transakcji. Przed budkami postawiono bramę, którą zamknięto do chwili rozpoczęcia sprzedaży.

Claudio zatrzymał powóz na skraju placu, nie mogliśmy już jechać dalej.

Spodziewałam się dumów, lecz nie tego, co ujrzałam: plac był wypełniony ludźmi tak ściśle, że nie było widać ani piędzi ziemi. Były tam setki wieśniaków z odsłoniętymi głowami, umorusanymi twarzami i poczerniałymi od brudu rękami, którzy okutani w podarte wełniane płaszcze błagali głośno o miłosierdzie, o jałmużnę, o garść ziarna. Obok nich krzywiły się z obrzydzeniem zamożne mieszczyki w futrach i aksamitach, które nie zaufały niewolnikom, gdy przyszło do zdobycia cennego pożywienia, między zaś tymi wszystkimi przepychali się łokciami ponurzy służący, równie zdesperowani co biedota.

Wychyliłam się z okna powozu. Z tej wysokości dostrzegłam przy budkach kilku mężczyzn, którzy głowa przy głowie naradzali się przed wciąż zaryglowaną bramą. Wy czuli wzrastający niepokój, podobnie jak nasze konie, które zaczęły przestępować nerwowo w miejscu. Nikt z nas nie spodziewał się takich tłumów o tak wczesnej porze.

Claudio zeskoczył z kozła i złapał rękami drzwiczki powozu, lecz nie po to, by je otworzyć.

- Może ja powinienem pójść - powiedział z chmurną miną. - Agrippina jest za drobna, nie uda jej się przepchnąć do bramy.

Kucharka prychnęła i spojrzała na woźnicę z ukosa.

- Karmię tę rodzinę od czterdziestu lat. Żaden dum mnie nie powstrzyma.

- Idźcie oboje - odparłam. - Będziecie mieli większe szanse.

Claudio kiwnął głową i otworzył drzwiczki Agrippinie, która wygramoliła się z trudem. Choć dwa razy niższa od woźnicy, ruszyła przodem w stronę tłumy, Claudio szedł za nią z dłonią na rękojeści długiego sztyletu.

Patrzyłam, jak znikają w tłoku, gdy wtem w oknie powozu pojawiła się jakaś twarz.

Kobieta za oknem była młoda, nie starsza ode mnie, nieosłonięte włosy były skołtunione, niebieskie oczy wytrzeszczone i dzikie. W chuście przy jej piersi leżało ciche niemowlę.

- Litości, Madonna - powiedziała wyraźnie wiejską gwarą. - Zmiłuj się, na litość boską! Monetę, trochę jedzenia dla dziecka...!

Zalumma była nieubłagana.

- Idź stąd! Odejdź od karocy!

Zaczerwienione oczy żebraczki łzawiły, z nosa ciekło jej od mrozu.

- Madonna, Bóg zesłał cię tu dla mnie! Na litość boską...

Gdyby nie dziecko, byłabym może bardziej powściągliwa. Sięgnęłam jednak do sakiewki przy pasie i wyciągnęłam solda. Zamierzałam wcisnąć go w jej brudną dłoń, lecz pomyślawszy o synku i zarazie, rzuciłam go w jej kierunku.

Usiłowała złapać go zgrabiałymi, niezdarnymi palcami; upadł za oknem, a ona padła na kolana, by go znaleźć. Stojący w pobliżu wieśniak rzucił się na nią. Kobieta zaczęła krzyczeć i wkrótce do awantury przyłączyli się inni.

- Precz! - wołała Zalumma. - Zostawcie nas!

Napływali nowi mężczyźni i młodzi chłopcy. Jeden zaczął bić żebraczkę, aż pisnęła i runęła na ziemię, złowróżbnie cicha.

- Miała jedną monetę, ale jest ich więcej! - rzucił ktoś w tłumie. Nasze konie zarżały i jęły wyrywać się do przodu, karoca drgnęła i się zachybotowała.

- Na pohybel bogaczom! - krzyknął jakiś mężczyzna. - Zabierają nam strawę i zostawiają z niczym!

Brudne twarze pchały się do okna, Zalumma sięgnęła do stanika i wydobyła cienki obosieczny nóż. Zamierzyła się na wyciągnięte ramiona i zadała cios, jakiś mężczyzna zaskowytał i rzucił przekleństwo.

Nagle z tłumu dobiegły gromkie okrzyki, rozległ się suchy trzask pękającego drewna i pomruk, który zabrzmiał jak trzęsienie ziemi. Żebracy szturmujący powóz odwrócili się niczym kwiaty do słońca, i pobiegli w stronę hałasu, zostawiając nas w końcu w spokoju.

Przywarta do obramowania otwartych drzwiczek wyjrzałam na zewnątrz.

Tłum zdążył przebić się przez zaryglowaną bramę i rozlał się między budkami. Teraz obalił płot broniący dostępu do zboża. Dwaj mężczyźni - jeden z nich był ledwie młokosem -

wdrapali się rta kosze i zaczęli rzucać ziarno zdesperowanym ludziom.

Wezbrana fala wygłodzonych biedaków ruszyła do przodu, niezliczone pary szponiastych rąk wyciągały się po dobroczynny deszcz zboża. W szalonym kłębowisku odzywały się krzyki i jęki, gdy szybcy i silni tratowali powolnych i słabych.

Roześmiani mężczyźni na szczycie obsypywali wynędzniałe twarze na dole, a ja usłyszałam niskie, rytmiczne skandowanie, % początku ciche, lecz przybierające na sile z każdą sekundą, rozprzestrzeniające się w rozgorączkowanym dumie:

- *Palle! Palle! Palle...!*

Złapałam Zalummę za ramię i ścisnęłam je mocno; szlochałam na głos, lecz nie uroniłam żadnej łzy.

Tego dnia zginęły dziesiątki ludzi, zdeptanych albo zaduszonych w walce o pożywienie. Wszyscy żołnierze i strażnicy zostali wezwani do stłumienia zamieszek i porozsyłania ludzi do domów - jeśli w ogóle je mieli. Agrippi-nie zmiążdżono klatkę piersiową i nogi, Claudio, kuśtykając, przyniósł ją do powozu na rękach. O dziwo, udało mu się zebrać trochę skradzionego ziarna do torby. Spodziewałam się, że Francesco każe je zwrócić - pochodziło w końcu z rabunku - ale mąż nie zająknął się o tym słowem.

Wieści o tym, że tłum domaga się powrotu Medyceuszy, krążyły po całym mieście, mówiła o tym nasza służba. Gdy tamtego dnia Francesco wrócił po południu ze sklepu, był ponury i nadzwyczaj milczący. Dowiedziawszy się o obrażeniach Agrippiny, ruszył wprost do jej pokoju, wyszeptał kilka słów współczucia i posłał po swojego medyka.

Nigdy nie widziałam go w tak podłym nastroju. Kiedy Elena ośmieliła się zapytać, czy słyszał o okrzyku: *Palle*, odwrócił się do niej i warknął jadownicie:

- Wymów to słowo jeszcze raz w moim domu, a znajdziesz się na bruku! Wieczorem ojciec nie przyjechał na kolację, Francesco też postanowił z niej zrezygnować, zamiast tego udał się, jak twierdził, na spotkanie z Signorią.

Zalumma i ja prawie nie rozmawialiśmy. Gdy udałyśmy się na spoczynek do mojej sypialni - ona położyła się na pościeli, a ja do łóżka - powiedziałam cicho w ciemnościach:

- Miałaś sztylet. Też bym chciała taki mieć.

- Dam ci swój - odrzekła. A rano spełniła tę obietnicę.

Następnego dnia wypadła Środa Popielcowa. W południe Francesco, ojciec i ja wybraliśmy się do San Lorenzo, by wysłuchać kazania Fra Girolama.

Patrzyłam na proroka na ambonie, na jego wychudłą, brzydką twarz z haczykowatym nosem, i zastanawiałam się, czy rozumie, iż jego natchnienie nie pochodzi z boskiego źródła.

Nie powiedział nic o papieżu Aleksandrze, wyrzekał na „nikczemnych prałatów, którzy prawią o Bogu, a stroją się w klejnoty i futra”. Potępił niewiasty, które paradują w

„nieskromnych” szatach z tkanin tak wspaniałych, że za jedną suknię można by wyżywić wielu żebraków, którzy przymierają głodem na ulicach Florencji.

Zerknęłam z ukosa na męża. Francesco słuchał z uwagą, z czołem zmarszczonym współczująco i oczami lśniącymi udawaną niewinnością.

O zachodzie słońca Zalumma ubrała mnie w zgrzebną szarą szatę i upięła włosy w skromną fryzurę. Unikałam wszelkiej biżuterii, nie nosiłam jej od wielu miesięcy w obawie przed *fanciulli*. Byli to członkowie „armii” Savo-naroli: dziesięcioletni, czasem młodsi chłopcy. Ubrani w białe szaty patrolowali ulice Florencji, polując na kobiety, które łamały prawo, zakazujące nieskromnego stroju. Wszystkie staniki, podkreślające biust, złote świecidełka i klejnoty były wyklęte. Naszyjniki,

koleczki i broszki konfiskowano jako „datki” na biednych. W poprzednich miesiącach nieustępliwe cherubinki chodziły od drzwi do drzwi, zabierając obrazy, posążki i bibeloty - wszystko, co mogłoby posłużyć w Środę Popielcową za odstraszący przykład dla tych, którzy nieprzystojnie obnosili się ze swym bogactwem.

Do naszego pałacu chłopcy nie zawitali nigdy.

Ubrana i gotowa czekałam na wezwanie Francesca. Kiedy zesłam po schodach, obejrzał uważnie mój szary strój, skromnie upięte włosy pod czarnym welonem i rzekł z aprobatą: „Dobrze”.

Następnie podał mi obraz.

- Chciałbym, żebyś ofiarowała to wieczorem.

Spojrzałam na obraz. Widziałam go już wcześniej, na ścianie w korytarzu przy pokoju dzieciennym. Na desce namalowana była podobizna pierwszej żony Francesca, Nanniny, ubranej w strój Ateny. Jej biust był pokazany z profilu, na głowie miała nieduży srebrny hełm, spod którego spływały długie, starannie karbowane kruczoczarne loki. Styl artysty był

dość toporny, brakowało mu głębi. Nienaturalnie biała cera, pozbawione życia oczy, sztywna, dystygowana w zamierzeniu poza podkreślały to wrażenie.

Mieliśmy w domu wiele obrazów o tematyce pogańskiej - jeden, wiszący w gabinecie Francesca, przedstawiał nagą Wenus - mimo to mąż wybrał ów niepozorny portret, być może po to, by dać do zrozumienia współobywatelom, że to najbardziej nieprzyzwoite dzieło sztuki, jakie ma.

W dodatku wyjął obraz z posrebrzanej ramy.

Przyjęłam portret bez komentarza. W milczeniu - Francesco wciąż był nie w sosie -

pojechaliśmy na Piazza delia Signoria.

Na zasnutym chmurami niebie nie świecił księżyc ani gwiazdy, lecz gdy zbliżyliśmy się do zatłoczonego placu, zobaczyłam łunę. Powóz podjechał pod pałac Signorii, wszędzie ujrzałam pochodnie: przy trybunie, gdzie siedzieli prorok i armia biało ubranych, w rękach gapiów, pochodnie otaczały ze wszystkich stron wielkie Ognisko Próżności.

Wszystkie okna *palazzo* i przyległych kamienic jaśniały od blasku świec, mieszkańcy stali przy parapetach i oglądali widowisko na placu.

Francesco i ja wysiedliśmy z powozu i dołączyli do tłumu przed płonąącym stosem.

Mąż był ważną figurą, ci więc, którzy go rozpoznali, rozstępowali się przed nami, dzięki czemu dotarliśmy do pierwszego rzędu.

Ognisko było masywną drewnianą konstrukcją - prawie tak wysoką i szeroką jak jednopiętrowa kamienica - która składała się z ośmiu podestów zbitych gwoździami niczym wielkie otwarte schody,

tak że nawet dziecko z łatwością mogłoby wspiąć się na samą górę. U

podstawy budowli stała wypchana słomą kukła grubego Króla Karnawału z malowaną płócienną głową. Jego twarz nie przypominała twarzy dobrodusznego władcy, którego pamiętałam z poprzednich lat, lecz raczej straszliwego demona z wystającymi kłami i krwistoczerwonymi ślepiami.

Na świeżo wzniesionej konstrukcji z surowego drewna ułożono wszelkie przedmioty zbytku zebrane przez małych żołnierzy zakonnika w ciągu ubiegłych miesięcy: złote naszyjniki, stosy pereł, haftowanych aksamitów, atlasów i jedwabi, połączonych lusterek, srebrnych szczotek do włosów i grzebieni, złotych siateczek na włosy, arrasów, perskich dywanów, a prócz tego wazy i ceramikę, rzeźby i obrazy, posągi Zeusa, Marsa, Apolla, Erosa, Ateny, Hery, Artemidy, Wenus i Herkulesa, symbolu potęgi Florencji, obrazy na deskach, płótnach i kamiennych tablicach, szkice na papierze wykonane srebrnym rylcem, czerwoną kredą, ołówkiem i piórkiem. Ich zbrodnicość polegała zawsze na tym samym: na przedstawianiu pogańskiej tematyki i nagości. Poczułam się jak wtedy, gdy pierwszy raz weszłam do gabinetu Wawrzyńca: zdumiona nagromadzeniem tylu pięknych przedmiotów, tylu bogactw.

Ozwały się trąbki, zaczęły grać lutnie. Francesco szturchnął mnie i pokazał na obraz, który trzymałam w rękach.

Podeszłam do ogniska razem z innymi ważnymi obywatelami, którzy pragnęli publicznie okazać pobożność. Wszystkie poziomy rusztowania były zapełnione przedmiotami zbytku, surowe deski nasączone terpentyną. Odwróciłam twarz od oparów i wetknęłam portret Nanniny bokiem między parę wysokich, ciężkich świeczników, których odlane w brązie podstawy miały kształt nagich kobiet z uniesionymi ramionami.

Wracając do męża, otarłam się o kogoś. Podniosłam wzrok i zobaczyłam tęgiego starszego mężczyznę w czarnej szacie z wysokim kołnierzem. Był po pięćdziesiątce, miał

podkrążone oczy osadzone w bladej, nalanej twarzy, pod wydatnym podbródkiem wisiał fałd skóry.

„Sandro”, usłyszałam głos Leonarda i natychmiast przypomniałam sobie mężczyznę o kilka lat młodszego, podnoszącego do ust udko pieczonej przepiórki, jak uśmiecha się szeroko i żartuje: „Niestety, słodki ptaszku...”

Teraz się nie uśmiechał, błyszczące w blasku pochodni oczy wyrażały bezbrzeżną rozpacz.

Popatrzył na mnie bez cienia rozpoznania, jego uwagę pochłaniał obraz, który ścisnął

w ramionach. Przedstawiał kobietę - smukłą, z długimi nogami i ramionami i świetlistą perłową skórą. Była naga, osłaniał ją tylko pukiel bursztynowomiedzianych włosów, spływający na jedną pierś. Ramię unosiło się ku niedokończonemu niebu.

Malarz wpatrywał się w nią czule, z rozpaczą - a potem w bolesnym spazmie rzucił

obraz na najniższą platformę, gdzie wylądował na dużej urnie.

Patrzyłam, jak malarz znika w tłumie. Potem wróciłam do męża.

Gdy odezwał się dzwon na wieży *palazzo*, czterej przywódcy *fanciulli* zeszli z trybuny i wzięli pochodnie. W czterech miejscach w konstrukcji pozostawiono wolną przestrzeń, którą wypchano słomą i chrustem.

Roztrąbiły się trąbki, rozśpiewały lutnie, rozbrzmiały cymbały; gdy tłum umilkł, ubrani w biel chłopcy zebrali się wokół proroka i słodkimi dziecinnymi głosikami zaśpiewali hymn.

Słoma zajęła się szybko, czarny dym wzbił się kłębamii nad blaskiem płomieni. Deski paliły się wolniej, wydzielając mocny żywiczny zapach. Przedmioty zbytku kopciły cienkimi smużkami dymu.

Przez dwie godziny stałam przy boku Francesca i patrzyłam, jak płonie stos, patrzyłam, jak perłowa bogini Botticellego ciemnieje i znika. Z początku przestępowałam z nogi na nogę, żeby uchronić się przed zimnem, lecz gdy górne platformy zwęgliły się i zawaliły, ogień buchnął wysoko w górę. Rozpięłam pelerynę, policzki piekły mnie tak bardzo, że przykładałam do nich chłodne dłonie.

W końcu żar zmusił nas do cofnięcia. Francesco wziął mnie pod łokieć, lecz przez chwilę jeszcze stałam nieruchomo, wpatrując się w skłębione języki ognia, pomarańczowoczerwone na de różowiejącego nieba. Dzieła sztuki i zbytku leżały na ziemi, ciemne i drgające w rozgrzanym powietrzu.

Wróciliśmy do powozu, byłam spocona. Gdy jechaliśmy do domu, zerwał się wiatr; czerwone iskry tańczyły w powietrzu niczym chmary świedików.

- Dziś w nocy będzie sporo pożarów - zauważył Francesco.

Nie odpowiedziałam. Siedziałam z twarzą zwróconą do okna i patrzyłam na opadające powoli drobiny popiołu, jasne i ciche jak śnieg.



*Atak Piera jest bliski. Mam wieści, że zamierza nadejść od pomocy, Siena znowu wydaje się prawdopodobnym miejscem. Przygotuj się na to, lecz nie powinieneś się nadmiernie niepokoić. Piero ma tylko Orsi-nick i kondotierów, w sumie może tysiąc trzystu ludzi. To za mało.*

*Gdy poniesie już klęskę, wykorzystaj sposobność, by ujawnić skład nowej rady Arrabbiati stali się nazbyt hałaśliwi, podobnie jak Bernardo delNero i jego Bigi. Rada musi ich obalić.*

W pracowni malarskiej ukrytej w Santissima Annunziata dyktowałam Salaiowi treść listu. Zapisywał wszystko nieporadnie, irytująco powolnie, kilkakrotnie prosząc, abym jeszcze raz powtórzyła. Kiedy jednak podeszłam, żeby samodzielnie chwycić za pióro, odsunął się.

- Nie, *Monnal* Mogą rozpoznać twój charakter pisma.

Gdy wreszcie skończył notować i wstał, żeby mnie odprowadzić, zapytałam:

- Czy myślisz... czy istnieje szansa, że Pierowi się powiedzie? Że uda mu się odzyskać władzę we Florencji?

Salai zrobił chytrą minę, z udawaną irytacją przeczesał palcami krótkie czarne loki.

- Nie obchodzi mnie polityka, a o sztuce wojennej nie mam zielonego pojęcia. Ale wiem, że jeśli ktokolwiek zechce zdetronizować tego szalonego kaznodzieję i jego młodocianych podpalaczy, chwycę za broń i stanę po jego stronie.

- A umiesz posługiwać się nożem? - spytałam. Uśmiechnął się szeroko.

- Urodziłem się z nożem w garści.

Niezdarnie, uważając, żeby się nie skaleczyć, wydobyłam sztylet *Zalum-my* z pochwy ukrytej w staniku. Salai skrzywił się z niesmakiem.

- Robisz to jak dziewczyna. Jeśli nie potniesz się przedtem na pasy, twój przeciwnik będzie się tarzał ze śmiechu, kiedy wyciągniesz broń.

- Nie drwij sobie ze mnie. Pokaż mi, jak się tym walczy.

- Leonardo nigdy by tego nie zaaprobował. - Droczył się ze mną, oczy wciąż mu się śmiały. - Nigdy nie udało mi się go przekonać, żeby choć wziął broń do ręki. Jest w tych sprawach gorszy od baby.

- Leonarda tu nie ma.

- Słusznie. - Roześmiał się. - Po pierwsze, nie trzymaj sztyletu w staniku. To niewygodne, a przy tym tracisz na czasie, bo musisz sięgnąć do góry, żeby go dobyć.

Powinnaś nosić go w pasie, przy biodrze.

- Ale nie zawsze noszę pas.

- To zaczniesz, jeśli chcesz nosić nóż. Ładny, szeroki, przecież są teraz modne? Po prostu wetknij sztylet pod spód. I błagam, nie trzymaj go tak, jakbyś zamierzała nim jeść.

Spojrzałam na swoją dłoń.

- Za pozwoleniem - powiedział. Stał za moim prawym ramieniem i położył dłoń na mojej. Ścisnął rękę mocno i sztywno, Salai potrząsnął moim nadgarstkiem, aż trochę go rozluźniłam. - A teraz - rzekł - trzymasz go ostrzem do dołu, powinnaś je unieść do góry, ale nie za wysoko... o tak.

Obrócił moją rękę, ostrze się uniosło; czułam jego ciepły oddech na uchu. Pachniał

winem i olejem lnianym. Zerknęłam na niego i pierwszy raz zdałam sobie sprawę, że mimo niedojrzałości jest młodym mężczyzną w moim wieku, a do tego przystojnym; ciało miało

krzepkie i jędrne. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, uśmiechnął się zalotnie. Zarumieniłam się i zawstydzona tą iskrą pożądania odwróciłam wzrok. Teraz rozumiałam, co tak ujęło Isabelę.

- Właśnie tak - powiedział półgłosem. - Dobrze, że klinga jest obosieczna: nie będziesz musiała się przejmować, którą krawędzią ciąć. A teraz pokaż mi, jak atakujesz. No dalej, zabij kogoś.

Zrobiłam krok do przodu i wystawiłam nóż. Salai zachichotał.

- „Wszystko pięknie, jeśli przeciwnik stoi nieruchomo, a ty chcesz go tylko ukłuć i pozwolić mu uciec. Spójrz.

Odszedł na bok i w mgnieniu oka wyciągnął spod szaty długi, cienki nóż. Zanim zdążyłam drgnąć z zaskoczenia, zrobił krok w przód i pchnął nożem nisko przed sobą, po czym mocnym ruchem pociągnął go w górę.

- Widzisz? Dźgnij nisko, w brzuch, to najwrażliwsze miejsce. I łatwo go przebić słabej dziewczynie. Okolice serca, płuc są za bardzo kościste, cios kosztuje zbyt wiele wysiłku. Po prostu celuj w brzuch, nisko, nad samą pachwiną, a potem, żeby mieć pewność, że przeciwnik nie narobi ci już kłopotów, ciągnij mocno do góry. Do samej góry, aż zatrzymasz się na żebrach. Rozcinasz w ten sposób żywotne organy. To wystarczy, żeby zabić człowieka.

Wykrwawi się na śmierć prawie tak szybko, jakbyś poderżnęła mu gardło. - Uśmiechnął się i schował nóż. - A teraz spróbuj.

Nie skończył jeszcze wymawiać ostatnich słów, gdy natarłam do przodu tak szybko, że aż drgnął. Trzymałam ostrze lekko do góry. Pamiętałam, żeby dźgnąć nisko, a potem ciąć w górę mocno i brutalnie.

Salai cmoknął ze zdumieniem i aprobatą.

- No, no, jesteś rzekomo szlachetnie urodzona, z dobrej rodziny? Szybko się uczysz, *Mona Lizo*. Radzisz sobie równie dobrze, jakbyś wychowała się na ulicy.

Tego samego dnia po kolacji wyszłam samotnie na balkon. Chwyciłam sztylet, unosząc lekko ostrze, i zaczęłam ćwiczyć. Nacieralam, robiąc krok w przód, zadawałam cios, unosiłam klingę i słuchałam jej świstu w powietrzu.

Atakowałam raz za razem. Chwytałam za broń. Raniłam, zabijałam. Przebijałam raz za razem brzuchy Pazzich i trzeciego człowieka.

Piero nigdy nie przybył. Dwa tygodnie po przekazaniu wiadomości Sa-laiowi, Zalumma weszła do mojej komnaty z ponurym wyrazem twarzy.

W mieście gruchnęła nowina, że Piero i jego ludzie ruszyli ze Sieny na południe, do San Gaggio. Po drodze lunął rześisty deszcz, który zmusił wojska do schronienia się przed burzą, przez co straciły osłonę nocy. Opóźnienie wystarczyło, by wiadomość o natarciu dotarła do florenckich oddziałów stacjonujących w Pizie, na północy. Piero musiał się wycofać, aby uniknąć starcia z liczniejszą armią.

Zwolennicy Savonaroli twierdzili oczywiście, że to Bóg przemówił. Reszta była przygnębiona i obawiała się zabrać głos.

Ja zaś czułam gorycz. Gorycz, że przez mojego męża i Pazzich nigdy nie poznamy całej prawdy o tamtych wypadkach.

Ze względu na niepowodzenie Medyceuszy spodziewałam się, że Francesco będzie w dobrym nastroju - spodziewałam się nawet, że będzie się chełpił. On jednak następnego wieczoru był wyraźnie zatroskany i nie odezwał się ani słowem o niefortunnej próbie zdobycia miasta przez Piera.

- Słyszałem - powiedział obojętnie ojciec - że nowo wybrana Signoria to sami *Arrabbiati*. Fra Girolamo musi być srodze zawiedziony.

Francesco nie spojrzał mu w oczy, tylko mruknął:

- Wiesz to lepiej ode mnie. - Potem zaś dodał głośniejsz: - Nieważne. Signoria ciągle się zmienia. Przez dwa miesiące musimy ścierpieć *Arrabbiati*. Ale następna grupa może się składać z samych *piangoni*. Signoria nie będzie w stanie narobić dużo kłopotu. Właśnie niedawno udało nam się stworzyć Radę Ośmiu. Wszystko dzięki ostatniemu zagrożeniu.

Spuściłam wzrok na talerz. Wiedziałam, że miał na myśli Piera. Może nie wypowiedział imienia mojego szwagra na głos, aby mnie nie urazić.

- Ośmiu? - zapytał bez zainteresowania ojciec.

- Ośmiu ludzi wybranych do strzeżenia miasta przed zagrożeniem. Będą mieć szczególne baczenie na Bernarda del Nero i partię *Bigi*. I użyją surowych środków, by wypłenić wszelkie szpiegostwo.

Wszystkie listy przychodzące i wychodzące z Florencji będą przechwytywane i czytane. Zwolennicy Medyceuszy zobaczą, że utracili wiadome sobie drogi komunikacji.

Zajęłam się pieczonym zającem na talerzu. Zboża wciąż brakowało, a Agrippina -

niedołączna i utykająca po nieszczęsnym dniu na Piazza del Grano - zapełniała spiżarnię głównie zdobyciami okolicznych myśliwych.

- A co na to Fra Girolamo? - spytał ojciec. Zaskoczyło mnie, że zadał takie pytanie.

Codziennie chodził na kazania zakonnika, czasami rozmawiał z nim po nabożeństwie. Z pewnością sam powinien znać odpowiedź.

- On to doradził - odrzekł lakonicznie Francesco.

W nocy zostawiłam Zalummę w komnacie i zesłam do gabinetu męża. Cieszyłam się, że Francesco nie odwiedził ponownie mojej sypialni, porzuciwszy wysiłki, by mnie zapłodnić; najwyraźniej jego niechęć do uświęconego związku była zbyt wielka.

Była późna wiosna, a pogoda ładna i ciepła. Wszystkie okna zostawiono otwarte, powietrze pachniało różami. Nie mogłam jednak cieszyć się pięknem nocy, sen spędzała mi z oczu perspektywa, że Piero być może nigdy nie wróci do Florencji, a ja zestarzeję się i umrę u boku Francesca w mieście rządzonym przez szaleńca.

Weszłam do gabinetu. W pokoju panował mrok rozpraszany tylko przez płomień lampki palącej się w sąsiedniej komnacie. Szybko otworzyłam biurko, spodziewając się, że okaże się puste i wrócę spokojnie do łóżka.

W szufladzie leżał list, którego wcześniej nie widziałam, ze świeżo złamaną pieczęcią.

Zmarszczyłam brwi, wolałabym niczego nie znaleźć. Nie uśmiechała mi się rozmowa z Salaiem o niepowodzeniach Piera. W poczuciu obowiązku wzięłam jednak list, wślizgnęłam się do sypialni męża - w kominku w gabinecie nie palił się ogień - i przystawiłam go do lampki.

*Zdaje się, że nasz prorok wciąż zaciekle potępia Rzym z ambony. Jego Świątobliwość jest niezadowolony, a w obecnej sytuacji niewiele już mogę uczynić, by go udobruchać. Cały nasz plan obraca się w niwecz! Komu zawdzięczam tę potworną porażkę? Chciałem dać prorokowi wolną rękę, tylko jeśli chodzi o krytykę Medyceuszy - jak to się stało, że mnie nie pojąłeś? Przecież wiesz, że od lat pracowałem na zyskanie dostępu do papieża i jego zaufanie... A teraz pozwalasz na to, by to wszystko przekreślić? Czy może mam zwątpić w Twe wpływy i podziękować za to Antoniowi? Jeśli rzeczywiście ma posłuch u proroka, musi to wykorzystać. Nakaż mu, by użył wszelkich możliwych argumentów i przekonał go. Jeśli mu się nie uda - może prorok już mu nie ufa albo może stracił wiarę w naszą sprawę - musisz rozstrzygnąć, czy zrezygnować z jego usług, czy też wykorzystać córkę i wnuka. Pozostawiam Ci wybór w tej sprawie, gdyż sam jesteś w to zaangażowany. Jeśli Antonio będzie się wzbraniał, znów, jak wiele lat temu, skorzystaj z pomocy Domenica, który dowiódł już, że uczyni wszystko, gdy zajdzie konieczność.*

*Jeśli papież Aleksander wystąpi przeciw zakonnikowi, nie będziemy mieli innego wyjścia, jak tylko uciec się do ostateczności. Może Bernardo del Nero i Bigi powinni zostać przykładowo ukarani.*

- Antonio - szepnęłam. Oparłam się ręką o nocny stolik w obawie, że stracę równowagę. Wpatrywałam się w list, czytając go raz za razem.

Byłam przekonana, że Francesco ożenił się ze mną dlatego, że mu się podobałam.

„Jeśli Antonio będzie się wzbraniał, znów, jak wiele lat temu, skorzystaj z pomocy Domenica...”

Pomyślałam o ojcu, nieszczęśliwym i nękającym w oczach. Przypomniał mi się ów okropny moment w zakrystii San Marco, gdy Fra Domenico stał nad ciałem mojej matki. Jak spojrział ojcu w oczy, a potem znacząco łypnął na mnie.

To była groźba.

I mój ojciec ukląkł. Dławił się ze złości, lecz ukląkł.

Przypomniało mi się, jak później błagał, bym jeździła z nim na kazania Savonaroli.

Kiedy odmawiałam, wybuchał płaczem. Płakał też w dniu mojego ślubu z Giulianem, gdy rozgorączkowany powiedział mi, że nie będzie już mógł mnie ochronić.

Przypomniał mi się chłód w przyjaźni ojca i Pica po śmierci matki. Pomyślałam o śmierci Pica i o nieszczęsnej zażyłości ojca z moim mężem.

„Musisz rozstrzygnąć, czy wykorzystasz córkę i wnuka...”

Nie mogłam płakać. Byłam zbyt oszołomiona, zraniona, przerażona.

Wróciłam po cichu do swej komnaty, wzięłam sztylet i wsunęłam go pod pas. Tak uzbrojona ruszyłam do pokoju dziecinnego. Matteo spał w kołysce. Nie obudziłam go, lecz usiadłam na podłodze i nie wstałam, póki nie usłyszałam, że Francesco wrócił do domu, ułożył się do snu, póki w całym domu znów nie zapadła cisza, a wreszcie słońce nie zaświtało na niebie.

Nazajutrz wczesnym rankiem wysłałam Zalummę do sklepu ojca z wiadomością, że chcę się z nim zobaczyć sam na sam. Wróciła po niecałych dwóch godzinach i powiedziała, że ojciec źle się czuje i udał się wprost do domu, gdzie, jak ma nadzieję, odwiedzę go.

Oczywiście, że źle się czuł. W drodze do pałacu ojca Zalumma, z dzieckiem na kolanach, wpatrywała się we mnie uporczywie. W końcu powiedziałam:

- Mój ojciec jest w to zamieszany.

Ukrywanie prawdy było bezcelowe. Już wcześniej opowiedziałam jej o treści pierwszego listu, który odkryłam w gabinecie Francesca; wiedziała, że mój mąż jest związany z Savonarolą, że w jakiś sposób przyczynił się do śmierci Pica. Tego ranka znalazła mnie śpiącą przy kołysce Mattea, a nie była głupia. Odkąd wysłałam ją do ojca, czekała, abym wyjaśniła jej, co się stało.

Moje słowa nie były dla niej zaskoczeniem.

- Wraz z Franceskiem? Kiwnęłam głową.

Jej twarz stężała.

- To czemu do niego jedziesz? - Nieufność w jej głosie była oczywista. Wyrzałam przez okno i nic nie powiedziałam.

Ojciec czekał na mnie w głównej komnacie, gdzie kiedyś przyjął Giu-liana, gdy mój przyszły mąż przyjechał prosić o moją rękę, tej samej, gdzie matka spotkała się z astrologiem.

Minęło właśnie południe i przez odsunięte zasłony do sali wpadały promienie słońca. Ojciec siedział w smudze ostrego światła. Wstał, kiedy weszłam. Nie usługuwał mu żaden służący, odesłałam więc Zalummę do innego pokoju, aby zajęła się dzieckiem.

Twarz ojca trawił niepokój. Nie wiem, jak Zalumma przedstawiła mu moją prośbę ani czego oczekiwał. Z pewnością nie spodziewał się tego, co powiedziałam.

Zalumma zamknęła za sobą drzwi, a ja nie zadałam sobie nawet trudu, by się przywitać.

- Wiem, że ty i Francesco kierujecie Savonarolą - powiedziałam ze zdumiewającym spokojem. - Wiem o Picu.

Mina mu zrzedła, wargi rozchyliły się mimowolnie. Szedł właśnie, aby mnie objąć, teraz jednak cofnął się krok i osunął na fotel.

- Dobry Boże - wyszeptał. Otarł ręką twarz i patrzył na mnie, osłupiały.

- Kto ci to powiedział? Zalumma?

- Zalumma nic nie wie.

- Któryś ze służących Francesca? Pokręciłam głową.

- Wiem, że chodzisz do Savonaroli i masz mu mówić, żeby atakował Medyceuszy, ale nie papieża Aleksandra. Tylko niezbyt ci się to udaje.

- Kto ci to powiedział? - Gdy nie odpowiedziałam, na jego twarzy odmalowała się nagle panika. - Jesteś szpiegiem. Moja córka jest szpiegiem Medyceuszy... - Nie było to oskarżenie, ukrył twarz w dłoniach, przerażony tą myślą.

- Nie jestem niczym szpiegiem - odparłam. - Nie widziałam Piera od śmierci Giuliana.

Wiem tylko to, co właśnie powiedziałam. Odkryłam to przez przypadek.

Myślałam, że się rozplacze.

- Wiem... wiem, że zrobiłeś to tylko po to, by mnie chronić - rzekłam.

- Nie przyszedł tu, żeby cię oskarżać, chcę ci pomóc. Wyciągnął rękę i uścisnął mi dłoń.

- Tak mi przykro - powiedział. - Tak mi przykro, że musiałaś się o tym dowiedzieć.

Fra Girolamo jest uczciwym, dobrym człowiekiem. Pragnie czynić dzieło Boże. Naprawdę w niego wierzyłem. Miałem tyle nadziei... Ale otaczają go niegodziwcy, a on zbyt łatwo im ulega. Kiedyś cieszyłem się jego zaufaniem, lecz nie jestem pewien, czy teraz tak jest.

Trzymałam go mocno za rękę.

- Nieważne. Liczy się to, że naraziłeś się swoim panom. Grozi ci niebezpieczeństwo.

Musimy uciekać. Ty, Matteo i ja musimy opuścić Florencję. Nie ma powodu, by zostawać tu dłużej.

- Nie byłaś bezpieczna. - Podniósł wzrok i spojrzał na mnie zapadniętymi oczyma.

- Wiem. Ale teraz i ty nie jesteś bezpieczny. - Uklęłam przy nim, wciąż trzymając go za rękę.

- Myślisz, że nie zastanawiałem się nad wyjazdem? Wiele lat temu, po śmierci twojej matki postanowiłem wywieźć cię do mojego brata Gio-yanniego na wieś, żebyśmy oboje byli bezpieczni. Ale oni dowiedzieli się o tym. Wysłali do brata zbira, który zagroził mu nożem.

To samo zrobili ze mną. Obserwują nas. Nawet teraz, kiedy odprowadzę cię do powozu, Claudio będzie ci się przyglądał. Jeśli zauważy wzburzenie, doniesie Franciscowi o wszystkim, absolutnie o wszystkim. - Westchnął boleśnie. - Są rzeczy, o których nie mogę ci powiedzieć, rozumiesz? Rzeczy, o których nie możesz się dowiedzieć, bo Claudio i Francesco zobaczą to w twoich oczach. Bo zachowasz się pochopnie i narazisz nas wszystkich. Również Mattea. Zawahałam się.

- Nie sądzę, by Francesco pozwolił skrzywdzić komukolwiek Mattea.

- Mąż odnosił się do chłopca ze szczerym przywiązaniem; musiałam w to wierzyć, żeby nie oszaleć.

- Spójrz na niego - powiedział ojciec i z początku nie zorientowałam się, kogo ma na myśli. - Jest wciąż dzieckiem, ale nawet ja widzę, kto jest jego prawdziwym ojcem!

Stężałam.

- A gdy patrzysz na mnie, czyją twarz widzisz? Spojrzał na mnie z bólem i miłością.

- Widzę twarz znacznie urodziwszą od swojej... - Uniósł moją dłoń do warg i pocałował ją, potem wstał i podniósł mnie z klęczek. - Nie dbam o to, czy mi coś grozi, ale ty i dziecko... wymyślę jakiś sposób. Oni mają wszędzie szpiegów, w całej Florencji, w Mediolanie, w Rzymie... Ale znajdę nam schronienie. Nie możesz o tym mówić nikomu.

Porozmawiamy znowu, kiedy będzie bezpiecznie. - Zamyślił się na moment, po czym spytał:

- Czy ktoś widział, jak Zalumma do mnie szła?

Pokręciłam głową.

- Claudio był w domu. Powiedziałyśmy wszystkim, że idzie do apteki.

- Wydawało się to rozsądnym alibi: apteka znajdowała się na tej samej ulicy co sklep ojca.

Pokiwał głową, zastanawiając się nad tym.

- Dobrze. Powiedz, że Zalumma przechodziła obok, dowiedziała się, że źle się poczułem i wróciłem do domu, a ty przyjechałaś mnie odwiedzić. Dopilnuj, by Zalumma mówiła dokładnie to samo. Teraz jesteś szczęśliwa, ponieważ mnie zobaczyłaś i przekonałaś się, że to nic poważnego.

Nagle wziął mnie czule w objęcia. Przytuliłam się do niego mocno. Nie byłam z jego krwi, lecz to on był moim ojcem.

Potem odsunął się i z wysiłkiem przybrał radosny ton.

- A teraz uśmiechnij się. Uśmiechaj się ze względu na Mattea, ze względu na mnie.

Uśmiechaj się i bądź wesółą, kiedy Claudio będzie ci się przyglądał i gdy wrócisz do domu, bo nikomu nie możesz tam ufać.

Kiwnęłam głową, pocałowałam go w policzek i zawołałam Zalummę. Kiedy weszła, popędzając Mattea, powiedziałam jej, że musimy pozostać z Franceskiem tylko trochę dłużej, a w międzyczasie powinniśmy sprawiać wrażenie szczęśliwych.

I tak poszliśmy do powozu, Zalumma, ja i truchtający na niepewnych nóżkach Matteo. Uśmiechnęłam



się do Claudia z całego serca.

Tego dnia nie miałam wyboru: musiałam położyć książkę na stoliku, gdzie zobaczyłaby ją Isabella. Bez względu na to, jak obawiałam się spotkania z Salaiem, informacje, które uzyskałam, były zbyt istotne, by je zlekceważyć: nasi wrogowie tracili wpływ na papieża i Savonarolę i co ważniejsze, rozważali możliwość działania przeciw partii *Bigi*.

Nie zamierzałam wszak relacjonować całej prawdy. Tamtej nocy leżałam w łóżku bezsenne, po cichu powtarzając sobie treść listu z pominięciem wszelkich wzmianek o Antoniu, córce i wnuku. Nie wyrządzi to większej szkody, Leonardo i Piero i tak dowiedzą się wszystkiego, co najważniejsze.

A Salai, beztroski chłopak, nie zauważy różnicy.

Rano, otepiąta z niewyspania, powiadomiłam Zalummę, że chcę, aby Claudio zawiózł

mnie do Santissima Annunziata. O nic nie zapytała, lecz jej poważne, surowe zachowanie wskazywało, że podejrzewa, czemu się tam wybieram.

Był pierwszy tydzień maja. W karocy krzywiłam się, mrużąc oczy przed rażącym słońcem, i opierałam się ciężko o drzwiczki.

Salai pojawił się w drzwiach kaplicy, podążyłam za nim, zachowując bezpieczną odległość, korytarzem, a potem po krętych schodkach. Zapukał do drzwi ukrytych w drewnianej ścianie, a one odsunęły się przed nami po chwili.

Postanowiłam, że jak najszybciej przedyktuję wiadomość i nie tracąc czasu na rozmowę, wytłumaczę się zmęczeniem i wrócę do domu.

Tym razem jednak Salai wyłamał się i nie zasiadł do stolika Leonarda - gdzie zamiast malarskich przyborów spoczywały kartka papieru, pióro i kałamarz - by odegrać rolę skryby, piszącego list pod moje dyktando.

Zamiast tego wskazał mi zydel, uśmiechając się, podekscytowany.

- On zaraz tu przyjdzie. Madonna...

Zdumiona rozejrzałam się dokoła. Mój portret znów spoczywał na sztalugach, obok stał nieduży stolik, na którym znajdowały się teraz nowe pędzle, cynowe naczynka, rozkruszona kulka *cinabrese* do malowania twarzy, miseczka *terre verte* i miseczka z farbą w ciepłym odcieniu brązu.

Uniosłam rękę do szyi. Nic się nie zmieniło, powiedziałam sobie. Nic się nie zmieniło.

Leonardo tu jest i cieszysz się, że go spotykasz. I uśmiechniesz się, a potem powtórzysz dokładnie to, co zaplanowałaś. A potem będziesz mu pozować.

Po chwili stanął przede mną uśmiechnięty Leonardo. Wyglądał na wypoczętego, jego twarz ogorzała

od słońca. Włosy mu urosły, opadając teraz na ramiona i znów zapuścił brodę: była krótka, starannie przystrzyżona i prawie całkiem siwa.

Odwzajemniłam uśmiech. Przyszło mi to z pewnym trudem, lecz z pewnością łatwiej i bardziej szczerze niż w wypadku Claudia.

- Madonna Liza - powiedział, stając nade mną i biorąc mnie za rękę. - To wspaniale, że znów cię widzę! Mam nadzieję, że dobrze się miewasz?

- Owszem, bardzo. Sam też dobrze wyglądasz, panie; Mediolan musi ci służyć. Od dawna jesteś we Florencji?

- Od zupełnie niedawna. A jak rodzina? Matteo?

- Wszyscy czują się świetnie. Matteo rośnie i rośnie. Już biega. Wszystkich nas zamęcza. - Roześmiałam się lekko w nadziei, że Leonardo przypisze moje wyczerpanie obowiązkom macierzyńskim.

Puścił moje ręce i zrobił krok do tyłu, przyglądając mi się.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Salai mówi, że masz coś dzisiaj do zakomunikowania.

Uporajmy się z tym więc szybko, dobrze? - Skrzyżował ręce na piersi. W przeciwieństwie do Salaia, który wszystko zapisywał, Leonardo chciał po prostu wysłuchać mojej relacji.

Odchrząknęłam, poczułam falę gorąca na policzkach i ku swemu niezadowoleniu zdałam sobie sprawę, że się zarumieniłam.

- Przepraszam - powiedziałam z uśmiechem zakłopotania. - Nie mogłam w nocy zasnąć i jestem trochę zmęczona, ale... postaram się.

- Oczywiście - odparł. Wciąż mi się przyglądał.

Odetchnęłam głęboko i zaczęłam. Siedem pierwszych zdań listu poszło gładko; widziałam je w głowie, zapisane ciemną, grubą kreską, tak jak wyglądały na kartce. A potem bezmyślnie powtórzyłam: „A teraz dopuszczasz do tego, by to wszystko przekreślić? Czy może mam zwątpić w Twoe wpływy...”

Urwałam, przerażona. Wiedziałam, jak zdanie powinno się kończyć: „i podziękować za to Antoniowi”. Nie śmiałam jednak wymówić imienia ojca, a jednocześnie musiałam jakoś dokończyć myśl-

- Wybacz - powiedziałam, a potem podjęłam: - „i podziękować za to naszemu przyjacielowi”. - Od tego miejsca, tak aby list wydawał się kompletny, powtórzyłam wszystkie zdania odnoszące się do ojca, zamieniając jego imię na „nasz przyjaciel”. I skupiłam całą uwagę na tym, by nie potknąć się przy ominięciu fragmentu: „czy też wykorzystać córkę i wnuka”.

Kiedy skończyłam, popatrzyłam na Leonarda. Nie powiedział nic, po prostu stał, patrząc na mnie, z opanowanym, obojętnym wyrazem twarzy.

Długa cisza przyprawiła mnie o zawrót głowy, spuściłam wzrok i zemdlilo mnie, gdy stwierdziłam, że znowu czerwienieją rrii policzki.

Głosem łagodnym i wolnym od przygany powiedział wreszcie:

- Jesteś jeszcze gorszym szpiegiem, niż myślałem, Lizo. Nie potrafisz ukryć faktu, że kłamiesz.

- Wcale nie! - zaprotestowałam, ale nie mogłam na niego spojrzeć. Westchnął, w jego głos wkradł się smutek rezygnacji.

- Dobrze. Ujmę to inaczej: ukrywasz prawdę. Myślę, że wiesz, kim jest „nasz przyjaciel”. Może powinienem poprosić, żebyś powtórzyła ten fragment jeszcze raz, a potem znowu i znowu... aż wreszcie powiesz mi, co tam naprawdę było napisane.

Byłam wściekła na siebie i zawstydzona: Przez własną głupotę zdradziłam człowieka, który najbardziej mnie potrzebował.

- Powiedziałaś ci, panie, wszystko, co powinieneś wiedzieć o tym liście. Nie możesz... Myślisz, panie, że wszystko wiesz, ale to nieprawda.

Nadal był spokojny i smutny.

- Madonna... Nie powiesz mi niczego, czego już bym nie wiedział. Rozumiem, że chcesz go chronić, ale na to już za późno.

Zamknęłam oczy. Kiedy znowu je otwierałam, powiedziałam:

- Musisz obiecać, panie, że nikt go nie skrzywdzi. Że nie stanie mu się nic złego...

Gdybym uważała, że ty... i Piero... stanowicie dla niego zagrożenie...

- Lizo - przerwał mi ostrym tonem. - Usiłujesz chronić człowieka, który nie jest tego wart. - Odwrócił twarz do okna. - Miałem nadzieję, że do tego nigdy nie dojdzie, że los oszczędzi ci prawdy. Teraz widzę, że to tylko kwestia czasu.

- Jeśli go skrzywdzicie, nie pomogę wam - rzekłam drżącym głosem.

- Salai! - zawołał tak głośno, że drgnęłam, w pierwszej chwili sądząc, że krzyczy na mnie. - Salai!

Salai pojawił się w drzwiach uśmiechnięty; na nasz widok jego dobry humor natychmiast zniknął.

- Popilnuj jej - rozkazał Leonardo i wyszedł z pokoju. Usłyszałam, jak porusza się po sąsiedniej komnacie, szukając czegoś.

Wrócił z teczką. Oddalił Salaia. Położył teczkę na długim stole, otworzył ją i zaczął

przerzucać kartki z rysunkami - kilka było wykonanych węglem, niektóre piórkiem, większość delikatną czerwonobrazową kredą. Wreszcie znalazł to, czego szukał.

Stanowczym, oskarżycielskim gestem przytknął palec do kartki.

Podeszłam i spojrzałam na rysunek.

- Miałaś rację - powiedział. - Wykonałem szkic zaraz po tamtych wydarzeniach i przechowuję go od bardzo dawna. Ten akurat narysowałem niedawno, w Mediolanie. Po naszej rozmowie zdałem sobie sprawę, że może nadchodzi czas, żebyś go zobaczyła.

Był to dopracowany rysunek męskiej głowy, z zarysem szyi i barków. Mężczyzna odwracał się przez ramię, aby spojrzeć daleko za siebie. Kaptur zasłaniał mu włosy i uszy i skrywał w cieniu większość twarzy. Widać było tylko czubek nosa, podbródek i usta.

Wargi mężczyzny rozchyłały się, jeden kącik opadł niżej, gdy gwałtownie obrócił

głowę; w myślach mogłam usłyszeć, jak stęka. Chociaż oczy ginęły w mroku, jego przerażenie, nienawiść i rodzące się wyrzuty sumienia były doskonale uchwycone w zatrwożonym wygięciu dolnej wargi, w napiętych mięśniach szyi.

Spojrzałam na mężczyznę. Czułam, że go znam, lecz nigdy wcześniej go nie widziałam.

- To jest pokutnik - powiedziałam. - Człowiek, którego widziałeś w Duomo.

- Tak. Poznajesz go? Zawahałam się.

- Nie - odparłam wreszcie.

Zrobił na stole wolne miejsce, wyjął rysunek z teczki i położył go na blacie.

- To, co ci za chwilę pokażę, odkryłem dopiero niedawno.

Wziął kawałek kruszącej się czerwonej kredy i poprosił, bym stanęła tuż za nim.

Zaczął rysować z naturalną swobodą, z jaką inni chodzą albo oddychają. Lekkimi, drobnymi kreskami zamalował najpierw szczękę, a potem policzek; dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że dorysowuje włosy, brodę. Gdy to uczynił, szczeka pokutnika nabrała łagodniejszych kształtów, górna warga zniknęła pod gęstymi wąsami. Dorysował parę linii koło kącików ust i nagle twarz się postarzała.

Powoli pod jego ręką pojawił się człowiek, którego znałam, człowiek, którego widywałam codziennie przez całe życie.

Odwróciłam się. Zamknęłam oczy, bo nie chciałam widzieć więcej.

- Teraz go poznajesz. - Głos Leonarda był cichy i nieszczerliwy. Pokiwałam głową, wciąż ślepa.

- Jego udział w obecnym spisku nie wziął się z niczego, Lizo. Tkwił w tym od początku. Przyłączył się nie z pobożności, lecz z zazdrości, z nienawiści. Nie zasługuje na niczyją ochronę. Zniszczył Annie Lukrecji życie. Zniszczył je całkowicie.

Odwróciłam się plecami od rysunku.

- Poszłaś do niego, Lizo? Powiedziałaś mu coś? Rozmawiałaś z nim o mnie, o Pierze?

Podeszłam do krzesła i usiadłam. Splotłam dłonie i pochyliłam się do przodu, opierając łokcie na kolanach. Zrobiło mi się niedobrze. Tego dnia miałam przy sobie sztylet, licząc na to, że w końcu spotkam trzeciego człowieka.

Leonardo stał dalej przy stole.

- Odpowiedz, proszę. Mamy do czynienia z ludźmi, którzy nie cofają się przed morderstwem. Poszłaś do niego? Powiedziałaś mu coś, powiedziałaś komuś innemu?

- Nie - odparłam.

Powiedziałam Leonardowi pół prawdy: że nie mówiłam ojcu ani o nim, ani o listach Francesca. Może ta połówka prawdy była widoczna na mojej twarzy, w moich gestach, bo Leonardo nie zadawał więcej pytań.

Nawet jednak on, mimo całego uroku, nie potrafił przekonać mnie do pozwania tego dnia ani zainteresować rozmową o wszystkim, co wydarzyło się od naszego ostatniego spotkania. Wróciłam do domu wcześniej.

Francesco przybył ze sklepu później niż zwykle. Nie zajrzał do pokoju dziecinnego, by przywitać się ze mną i z synkiem. Poszedł do gabinetu i nie wychodził stamtąd, póki nie wezwano go na kolację.

Ojciec też przyjechał na wieczerzę z opóźnieniem i też nie wstąpił najpierw do wnuka, jak miał w zwyczaju. Przy stole zastałam Francesca z kamienną twarzą, pokonanego, ogarniętego zimną, bezsilną złością. Wymówił moje imię i przywitał się krótkim kiwnięciem głowy, lecz jego twarz nawet nie drgnęła.

Ojciec starał się uśmiechać, lecz po tym, czego dowiedziałam się od Leonarda, trudno mi było spojrzeć mu w oczy. Gdy podano jedzenie, zapytał o zdrowie Mattea, potem o moje, a ja odpowiadałam z niezręczną rezerwą. Po tych uprzejmościach zaczął mówić trochę o polityce, o której on i Francesco rozmawiali tak często, abym mogła się czegoś dowiedzieć i więcej z niej zrozumieć.

- Fra Girolamo pracuje nad swoją obroną pod tytułem *Triumf krzyża*. Są tacy, co twierdzą, że jest heretykiem, zbuntowanym przeciwko Kościołowi, ale ta praca wykaże, do jakiego stopnia jego przekonania są prawowierne. Pisze ją specjalnie dla Jego Świątobliwości, w odpowiedzi na zarzuty podnoszone przez jego krytyków.

Zerknęłam z ukosa na Francesca, który zajmował się jedzeniem i nie ujawnił ani śladu chęci, by wypowiedzieć się w tej sprawie.

- Cóż - powiedziałam niepewnie - z pewnością zażarcie występował przeciwko Rzymowi.

- Występował przeciwko grzechowi - poprawił mnie łagodnie ojciec.

- Nie przeciwko papieżowi. Jego pisma ukażą jego bezwzględny szacunek dla tego drugiego.

Miałam inne zdanie, lecz spuściłam wzrok na talerz i nie odpowiedziałam.

- Myślę, że to mądrze ze strony Fra Girolama, iż podnosi takie kwestie - zauważył, a gdy ani ja, ani Francesco nie odpowiedzieliśmy, dał za wygraną i zapadło milczenie.

Po kilku chwilach Francesco zaskoczył mnie, zabierając głos.

- Niech prorok pisze, co chce - rzekł nagle z chłodnym rozgoryczeniem. - Są tacy, którzy wierzą, iż niewielkie ma szanse na udobruchanie Jego Świątobliwości.

Ojciec podniósł gwałtownie wzrok znad talerza; widząc jednak lodowate spojrzenie Francesca szybko znowu spuścił oczy.

Resztę kolacji zjedliśmy w całkowitym milczeniu. Ojciec opuścił nas natychmiast po wieczerzy - fakt ten przyjął z ulgą, gdyż byłam o wiele za bardzo wstrząśnięta tym, czego się właśnie dowiedziałam, by czuć się w jego towarzystwie swobodnie. Francesco wrócił do swoich komnat, ja poszłam na górę do pokoju dziecinnego, by pobawić się z dzieckiem w nadziei, że to poprawi mi nastrój i pozwoli zapomnieć o ojcu wbijającym nóż w plecy Giuliana.

Dopiero gdy położyłam synka spać i wróciłam do swojej komnaty, zrozumiałam powód złości Francesca. Zanim zdążyłam uchylić drzwi, otworzyły się przede mną i Zalumma wciągnęła mnie do środka. Pośpiesznie zamknąwszy drzwi oparła się o nie plecami.

Była podekscytowana, ale starała się zachować ostrożność.

- Słyszałaś, Madonna? Isabella właśnie mi powiedziała... wiadomość obiega miasto lotem błyskawicy! Papież wreszcie to zrobił: nałożył na Sa-vonarolę ekskomunikę!

Lato przyniosło drugi, gwałtowniejszy wybuch zarazy. Florencja poważnie ucierpiała: wszędzie widziało się nosze, na których zabierano do szpitali obywatele, omdlałych w drodze do domów, sklepów, kościołów.

Moje wizyty w Santissima Annunziata ustały całkowicie. Nie miałam też powodu, by wyjść na ogarnięte zarazą ulice i żadnych wieści dla Leonarda, gdyż utraciłam dostęp do gabinetu męża. W obawie przed zarazą Francesco zaprzestał nocnych wycieczek i nocami przebywał w swoich komnatach, często przesiadując w gabinecie. Wychodził tylko do swego sklepu i coraz rzadziej, gdy wymagały tego najpilniejsze sprawy, do Palazzo della Signoria.

Jednak mimo *la moria* przyjmował więcej gości: członków Signorii, *Buonomi* i innych ludzi, których nigdy mi nie przedstawiono i o których nigdy nie pytałam. Savonarola znalazł się w politycznym niebezpieczeństwie, a Francesco desperacko próbował go obronić.

Aby uniknąć zagrożenia związanego z podróżami przez Arno, ojciec zamieszkał na jakiś czas z nami. Po odejściu gości Francesca mąż często wzywał go do gabinetu i we dwóch rozmawiali godzinami. Nie próbowałam podsłuchiwać ich dyskusji, lecz zdarzało się, że słyszałam ich niższe głosy, nastrój i ton rozmów. Francesco mówił apodyktycznie i władczo, głos ojca brzmiał zwykle żałośnie.

Po osobliwie wczesnej i długiej wizycie jednego z członków Signorii Francesco i ojciec zeszli do jadalni na śniadanie. Siedziałam przy stole, z synkiem wiercącym mi się na kolanach. Nigdy wcześniej nie sprowadzałam go na parter na posiłki, lecz że miał już prawie dwa lata, marzyłam o nauczeniu go jedzenia łyżką. Kiedy nadeszli mężczyźni, Matteo radośnie uderzał nią o powierzchnię pięknego, wypolerowanego stołu. Spodziewałam się, że mąż wpadnie z tego powodu w złość i ostro upomni dziecko, gdyż był ostatnio w złym humorze. Francesco jednak po raz pierwszy od wielu dni się uśmiechnął.

Ojciec stał przy nim, ponury i powściągliwy.

- Wspaniałe nowiny! - zawołał Francesco, unosząc głos, żeby przekrzyczeć bębnienie łyżki; był w zbyt dobrym nastroju, by przeszkadzał mu ten hałas. - Schwytaliśmy medycejskiego szpiega!

Zaparło mi dech. Wyprostowałam się i odwróciłam w porę głowę, by uniknąć uderzenia machającego ramienia Mattea.

- Szpiega?

Ojciec wyczuł mój nagły strach; odsunął krzesło i usiadł koło mnie.

- Lamberta delFAntello. Słyszałaś o nim: był jednym z przyjaciół Piera - powiedział

cicho, tuż przy moim uchu. - Pojechał nawet z Pierem do Rzymu. Złapano go, gdy próbował przedostać się do Florencji z listem...

Francesco stał przed nami uśmiechnięty; złapałam synka za rączkę i zignorowałam jego płacz.

- Tak, Lamberta delTAntello. Schwymano go wczoraj, teraz jest przesłuchiwany. To koniec partii *Bigi*. Lamberto wydaje współtowarzyszy. - Ruszył w stronę kuchni. - Gdzie Agrippina? Potrzebuję jedzenia i to szybko. Muszę pojechać dziś rano do Palazzo delia Signoria. Przetrzywiają go w Bargello.

- Myślisz, że bezpiecznie wychodzić do miasta? - spytałam w trosce o zachowanie pozorów, nie o Francesca.

- Nie dbam o to. Sprawa jest zbyt ważna! - Zniknął w kuchni. - Agrip-pino!

Ojciec spojrzał na mnie uważnie. Staralam się sprawiać wrażenie niezbyt zainteresowanej nowinami o Lambercie i rozproszonej zachowaniem dziecka. Podejrzywałam jednak, że ojciec dostrzegł mój strach.

W każdym razie ja widziałam jego lęk.

Francesco w pośpiechu zjadł śniadanie i wyjechał w karocy, ojciec i ja wyprowadziliśmy Mattea, żeby pobiegał w ogrodach. Ogród za pałacem był zielony i bujny, mgielka unosząca się nad fontanną łagodna i chłodna. Spacerowałam z ojcem przy boku, pozwoliwszy synkowi biec kilka kroków przed nami i upominając go od czasu do czasu, by nie tratował bukszpanów i nie dotykał ciernistych róż. Równie dobrze mogłabym się domagać, żeby nie był małym chłopcem.

Wciąż byłam zła na ojca. Wiedziałam, że nigdy by mnie nie skrzywdził, lecz za każdym razem, gdy na niego patrzyłam, widziałam pokutnika. Mimo to martwiłam się o niego.

- Boję się - powiedziałam. - Ta ekskomunika... Francesco uzna, że go zawiodłeś.

Wzruszył ramionami, próbując zbagatelizować sprawę.

- Nie przejmuj się mną. Rozmawiałem z Fra Girolamem, inni zresztą też. Wreszcie dał

się przekonać. Wie, że okazał się nierozsądny: nie zapanował nad językiem i mówił z ambony, jakby był opętany. Ale napisze swoją obronę i już wysłał prywatny list do Jego Świątobliwości, błagając o wybaczenie. Aleksander da się udobruchać.

- A jeśli nie?

Ojciec spoglądał na krzepkiego wnuka.

- Wtedy Florencja zostanie objęta papieskim interdyktem. Żadne chrześcijańskie miasto nie będzie prowadzić z nami interesów, chyba że ukarzymy Savonarolę. Ale do tego nie dojdzie. - Sięgnął po moją rękę w geście pocieszenia.

Nie zamierzałam się od niego odsuwać, lecz nie mogłam się powstrzymać.



Zobaczyłam ból w jego oczach.

- Jesteś na mnie zła. Nie winię cię, bo dopuściłem się... straszliwych zbrodni. Modłę się do Boga o zmiłowanie, choć dawno utraciłem wszelką nadzieję na zbawienie.

- Nie jestem zła - powiedziałam. - Pragnę tylko jednego: żebyśmy wyjechali z dzieckiem z Florencji. Nie mogę dłużej znieść pobytu w tym mieście. Robi się zbyt niebezpiecznie.

- To prawda - przyznał ze smutkiem. - Ale w tej chwili to niemożliwe. Po schwytaniu Lamberta delTAntello członkowie Signorii wpadli w szał. Wszyscy z nich to *piangone* i łakną krwi. Zamknęli wszystkie bramy miasta: nikt nie może wejść, nikt nie może wyjechać. Wszystkie listy są przechwytywane i czytane przez Radę Ośmiu. Przesłuchują wszystkich, szukając szpiegów Medyceuszy. Gdybym nie był przydatny Francescowi, nas też wzięliby na przesłuchanie. - Jego głos stał się ochryply. - Rozbiją stronnictwo *Bigi*, będą nękać każdego, kto kiedykolwiek patrzył życzliwym okiem na Wawrzyńca i jego synów. I poślą Bernarda del Nero na szafot.

- Nie - wyszeptałam. Bernardo del Nero był jednym z najbardziej szanowanych obywateli Florencji, który cieszył się szczerą przyjaźnią Wawrzyńca. Był czerstwym, trzeźwo myślącym siedemdziesięciopięcioletkiem, bezdzietnym i wdowcem, dlatego poświęcił życie sprawom państwa. Wyróżnił się w służbie jako *gonfaloniere* i był kryształowo uczciwy. Tak bardzo go lubiono i poważano, że nawet Signoria szanowała i tolerowała jego stanowisko polityczne jako przywódcy *Bigi*. - Nie ośmieliliby się go skrzywdzić! Żaden obywatel tego nie poprze.

Najbardziej jednak martwiłam się o Leonarda, który został uwięziony w murach miasta, bez możliwości kontaktu ze światem zewnętrznym. Ojciec pokręcił głową.

- Będą musieli. Pojawienie się Lamberta delFAntello napełniło serca wszystkich *piangone* strachem. Po zamieszkach przy sprzedaży zboża na Piazza del Grano Signoria za wszelką cenę pragnie zdławić zwolenników Medyceuszy.

- Przecież Piero został wygnany - powiedziałam. - Savonarola nawoływał o miłosierdzie dla wszystkich przyjaciół Medyceuszy. Upomniął się dla nich o wybaczenie i odstąpienie od kary.

Ojciec spojrział na wnuka, który na brukowanej ścieżce obsadzonej kwitnącymi różami i bukszpanami zabawiał się właśnie dręczeniem żuczka. Widok ten powinien go radować, tymczasem jego oczy wyrażały cierpienie.

- Teraz nie będzie zmiłowania - rzekł z przekonaniem człowieka, który ma swoje tajemnice. - I żadnej nadziei. Tylko krew.

Rozpaczliwie pragnęłam pojechać do Santissima Annunziata i ostrzec Leonarda przed niebezpieczeństwem grożącym Bernardowi del Nero i jego partii, lecz Francesco nie chciał

słyszeć o tym, bym opuszczała dom, zwłaszcza jeśli oznaczało to podróż do rodzinnej kaplicy, która stała naprzeciw Ospedale degli Innocentę, gdzie przyjmowano teraz zarażonych. Żadne argumenty nie mogły też przekonać Claudia, by sprzeciwił się rozkazom pana.

Tak wi c

ę pozosta a

ł m zamkni t

ę a w domu. Wszystkie listy do Francesca mówi y

ł o ł

%'jako o wrogach, których trzeba powstrzymać; teraz stało się jasne, że muszą zostać zgładzeni. Ufałam, że Leonardo więcej o tym wie niż ja.

W wolnych chwilach wymykałam się na balkon i dobywałam sztyletu. Moim przeciwnikiem nie był już trzeci człowiek, zabójca mojego prawdziwego ojca. Byli nimi Francesco i autor listów - mordercy mojego ukochanego Giuliana. Noc po nocy ćwiczyłam się we władaniu bronią. Noc po nocy zabijałam ich i czerpałam z tego pocieszenie.

Dokonano aresztowań, oskarżonych poddano torturom. Pięciu z nich stanęło przed sądem Signorii i Wielkiej Rady: dostojny Bernardo del Nero, Lorenzo Tornabuoni, młody kuzyn Piera, który choć nominalnie przewodził partii *Bigi*, był także cenionym obywatelem i pobożnym *pian-gone*, Niccolo Ridolfi, sędziwy mąż, którego syn poślubił córkę Wawrzyńca, Contessinę, Giannozzo Pucci, młody przyjaciel Piera, i Giovanni Cam-bi, który prowadził

wiele interesów z Medyceuszami.

„Miłosierdzia!” - wołali ich zwolennicy, przekonani, że wyroki będą łagodne, a Bernardo del Nero zostanie ulaskawiony. Wszyscy podsądni byli szanowanymi, uczciwymi obywatelami, ich zeznania - że zawiązali spisek na rzecz powrotu Piera Medyceusza do miasta jako jego samozwańczego władcy - zostały wymuszone brutalnymi torturami.

Ludzie z nadzieją oczekiwali na głos Savonaroli: z pewnością zakonnik znowu zaapeluje o przebaczenie i wyrozumiałość.

Fra Girolamo był jednak zbyt pochłonięty staraniami o udobruchanie rozsierdzonego papieża. Nie można już zawracać mu głowy polityką, powiedział publicznie. „Niech wszyscy stracą życie albo zostaną wygnani. Jest mi to obojętne”.

Słowa te tysiące razy powtarzali ściszym głosem jego wierni wyznawcy, a troska wyglądała im z oczu.

Na trzy godziny przed świtem dwudziestego siódmego sierpnia Zalumma i ja zostałyśmy wyrwane ze snu łomotaniem do drzwi komnaty. Zalumma zwlekła się z posłania i otworzyła. W wejściu stała rozczochrana Isabella, mrużąca oczy od blasku świecy, którą trzymała w ręku. Zaspana podeszłam do drzwi.

- Mąż cię wzywa, pani - powiedziała. - Mówi, abys ubrała się prędko na posępną okazję i zeszła na

dół.

Zmarszczyłam brwi i przetarłam oczy.

- A Zalumma? - Słyszałam za sobą, jak usiłowała zapalić lampkę.

- Tylko ty masz przyjść.

Zalumma ubrała mnie w skromną suknię z szarego jedwabiu haftowaną czarną nicią.

Zaczęłam się martwić. Jakaż to „posępna okazja” wymagała zbudzenia mnie w środku nocy?

Może ktoś umarł. Od razu pomyślałam o ojcu. Ekskomunika Savonaroli rozgniewała jego mocodawców. Czyżby postanowili ostatecznie się go pozbyć?

Powietrze było ciężkie, ciepłe i nieruchome; spałam niespokojnie z powodu gorąca.

Zanim się całkiem ubrałam, moje piersi i pachy były już wilgotne.

Zostawiłam Zalummę i zesłam po schodach, zatrzymując się piętro niżej, aby zajrzeć do komnat gościnnych, gdzie sypiał teraz ojciec. Widząc zamknięte drzwi, przystanąłam...

lecz rozpacz przeważała wszelkie względy etykiety. Otworzyłam drzwi tylko na tyle, by zobaczyć, że po drugiej stronie przedsionka, w sypialni śpi ojciec.

Z ulgą zamknęłam po cichu drzwi i ruszyłam na parter do Francesca.

Przechadzał się tam i z powrotem przed frontowym wejściem, czujny i niespokojny.

Nie wyglądał na szczęśliwego, lecz w jego twarzy i oczach zobaczyłam nerwowy triumf, mroczne zadowolenie. Zrozumiałam, że czekamy na Claudia i że dzieje się coś tak ważnego, iż Francesco skłonny jest narazić siebie i swoją żonę na zarazę, byle tego nie przegapić.

- Czy ktoś umarł? - spytałam z życzliwą troską dobrej małżonki.

- Nie będę z tobą rozmawiał o tym w tej chwili, wzburzysz się tylko, jak to kobieta.

Wkrótce zobaczysz, dokąd jedziemy Proszę cię tylko, abyś panowała nad sobą i okazała odwagę. Chcę być z ciebie dumny.

Patrzyłam na niego z coraz większym lękiem.

- Postaram się.

Uśmiechnął się ponuro i poprowadził mnie do powozu, gdzie czekał Claudio.

Powietrze było duszne, noc zupełnie pozbawiona rzeźkości. Nie rozmawialiśmy podczas jazdy - przerażona wyglądałam przez okno na ciemne ulice. Skierowaliśmy się na wschód do Duomo, a

potem skręciliśmy na południe.

Powóz wtoczył się na Piazza delia Signoria. W oknach pałacu rządowego paliła się każda lampka - lecz nie tam jechaliśmy. Zatrzymaliśmy się dopiero przed Bargello, więzieniem, gdzie zamknięto mnie podczas zamieszek i gdzie straż nocna wtrąciła niegdyś Leonarda. Była to nieprzystępna kwadratowa twierdza, zwieńczona blankami. Wielkie pochodnie płonęły po obu stronach masywnych drzwi wejściowych.

Claudio otworzył karocę, a moje serce struchlało. Schwytali Leonarda, pomyślałam.

Francesco wszystko wie. Sprowadził mnie tu na przesłuchanie... Nie dałam jednak po sobie poznać wewnętrznego wzburzenia. Z kamiennym wyrazem twarzy złapałam Claudia za rękę i lekko zeskoczyłam na bruk. Pomyślałam przelotnie o sztylcie Zalummy: został w domu pod materacem.

Francesco wysiadł z karocy i wziął mnie pod ramię. Kiedy poprowadził mnie w stronę drzwi, zobaczyłam nieopodal czekające wozy - było ich pięć, stały jeden przy drugim pod opieką grupki ponurych, ubranych na czarno mężczyzn. Usłyszałam łkanie i odwróciłam głowę, aby przyjrzeć się im bliżej: kobieta w czarnym woalu siedziała na wozie, łkając tak gwałtownie, że spadłaby, gdyby nie trzymał jej woźnica.

Weszliśmy do środka. Spodziewałam się, że zaprowadzą mnie do celi albo izby wypełnionej oskarżycielami spośród członków Signorii. Ubrojeni wartownicy przyglądali nam się bacznie, gdy przemierzyliśmy sień i wyszliśmy na przestronny dziedziniec. W

każdym z czterech narożników stał duży filar z tego samego brązowego kamienia co cała budowla, do każdego z nich przymocowane były czarne żelazne obręcze, w które wetknięto pochodnie rzucające pomarańczowe migotliwe światło.

Do muru naprzeciwko przylegały strome schody prowadzące na balkon, obok nich stała szeroka, niedawno zbudowana platforma posypana słomą. Przez zapach świeżego drewna i siana przebijał słaby odór ludzkich odchodów.

Francesco i ja nie byliśmy sami. Zjawili się też inni wysoko postawieni *pian-goni*: siedmiu spoconych członków Signorii w szkarłatnych tunikach, garstka *Buonomi* i członkowie Rady Ośmiu. Najbardziej rzucał się w oczy *gonfabniere* Francesco Valori, który zajmował to stanowisko po raz trzeci. Valori Hardooki, chudy mężczyzna o długich srebrzystych włosach, gwałtownie domagał się krwi oskarżonych *Bigi*. Przyprowadził swoją młodą żonę, ładną istotkę o złotych kędziorach. Przywitaliśmy się milczącymi skłonami głowy i dołączyliśmy do tłumu zgromadzonego przed niską platformą. Odetchnęłam z ulgą: byłam tu jako świadek, nie więzień - przynajmniej na razie.

Ludzie szeptali między sobą, lecz umilkli, gdy na szafot wszedł kat niosący ciężki topór. Za nim pojawił się inny mężczyzna, który postawił na słomie pokryty szramami pniak.

- Nie - szepnęłam do siebie. Pamiętałam, co ojciec powiedział mi o *Bigi*; nie chciałam mu wtedy wierzyć. Czy gdyby udało mi się spotkać z Leonardem, mogłam temu zapobiec?

Francesco pochylił ku mnie głowę, dając do zrozumienia, że nie usłyszał, co mówię i powinnam powtórzyć, lecz ja już się nie odezwałam. Podobnie jak pozostali patrzyłam na szafot, kata, słomę.

Rozległ się szczeł łańcuchów i po chwili oskarżeni ukazali się na balkonie, pilnowani przez strażników z długimi mieczami przypasanymi do bioder.

Bernardo del Nero szedł pierwszy. Zawsze pamiętałam go jako dystyngowanego siwowłosego mężczyznę o dużych poważnych oczach i prostym wydatnym nosie. Oczy miał

teraz tak zapuchnięte, że prawie całkiem się zamknęły, nos, powykrzywiany i pokryty strupami czarnej krwi, był straszliwie obrzękły. Del Nero nie mógł utrzymać się prosto, lecz opierał się na ramieniu strażnika, schodząc powoli po schodkach. Podobnie jak jego towarzysze został zmuszony do oddania butów i wybrania się w ostatnią podróż boso.

Nie rozpoznałam młodego Lorenza Tornabuoniego; grzbiet nosa miał zmiażdżony, a twarz tak posiniaczoną, poranioną i opuchniętą, że zupełnie nic nie widział i trzeba go było sprowadzić po schodach jak ślepcę. Za nim szli trzej kolejni więźniowie: Niccolo Ridolfi, Giannozzo Pucci, Giovanni Cambi, wszyscy załamani i zrezygnowani. Żaden z nich nie zdawał się świadomy obecności zgromadzonych widzów.

Kiedy wszyscy stanęli na szafocie, *gonfalóniere* przeczytał im zarzuty i wyrok: szpiegostwo i zdrada, śmierć przez ścięcie.

W akcie miłosierdzia Bernardowi del Nero pozwolono umrzeć pierwszemu. Kat poprosił go o przebaczenie. Starzec odpowiedział słabym, bełkotliwym głosem, że przebacza, po czym spod opuchniętych powiek spojrzął na zgromadzenie i rzekł:

- Niech Bóg i wam przebaczy.

Był zbyt słaby, by samodzielnie uklęknąć, jeden ze strażników pomógł mu ułożyć głowę na poplamionym ciemną krwią pieńku.

- Uderz celnie - poprosił skazaniec, gdy kat uniósł topór.

Nie obchodziło mnie, czy Francesco będzie ze mnie dumny; odwróciłam głowę i zamknęłam oczy. Lecz otworzyłam je natychmiast, czując, jak obryzguje mnie ciepła ciecz, i słysząc zbiorowe westchnienie tłumu. Kątem oka zobaczyłam, jak ciało Bernarda pada na bok, jak krew tryska szerokim strumieniem z bezgłowego karku, a strażnik podchodzi, by podnieść coś czerwonego i okrągłego ze słomy.

Wtedy nagle coś sobie przypomniałam. Przypomniał mi się dzień przed laty, w kościele San Marco, gdy matka ze straszliwym spojrzeniem utkwionym w Savonaroli na ambonie wykrzyknęła: „Pożrą go płomienie, aż jego członki jeden po drugim oderwą się i spadną do piekła! Pięciu bezgłowych mężów go obali!”

Pięciu bezgłowych mężów.

Cofnęłam się, przydeptując stopę jednego z członków Signorii. Francesco złapał mnie za ramię i przytrzymał.

- To nerwy - szepnął do urażonego dostojnika. - Proszę jej wybaczyć, to tylko nerwy.

Jest młoda i nieprzyzwyczajona do takich rzeczy, nic jej nie będzie.

Strażnicy wynieśli zwłoki. Do przodu wypchnięto Tornabuoniego, zmuszając go do słów przebaczenia, ukłęknięcia, podłożenia głowy pod topór. Po nim poszli dwaj następni.

Ostatni był Giovanni Cambi. Zemdlął ze strachu i trzeba go było dowlec na miejsce egzekucji, gdzie zginął z krzykiem.

Na koniec słoma zupełnie przemiękła. Aromat świeżego drewna zatracił się w żelazistym zapachu krwi.

Kiedy wracaliśmy z Franceskiem do domu, nie zaczynało jeszcze świtać. Siedzieliśmy w milczeniu, aż Francesco odezwał się nagle.

- Oto, co czeka zwolenników Medyceuszy. - Przyglądał mi się dziwnie. - Oto, co czeka szpiegów.

Może moja bladość wydała mu się podejrzana, a może powiedział to tylko z chęci pochwalenia się politycznym triumfem. Tak czy inaczej, nie odpowiedziałam. Myślałam o słowach matki. Myślałam o ojcu i o tym, co się z nim stanie, gdy prorok zostanie obalony.

Wraz z nastaniem chłodniejszej pogody, zaraza zaczęła ustępować. Ojciec wrócił do domu, Francesco znowu odwiedzał ladacznice, a ja jeździłam na targ i do kościoła tak często jak tylko mogłam. Pewnego ranka położyłam na stoliku umówioną książkę, mimo że nie znalazłam w biurku męża żadnego nowego listu. Nazajutrz udałam się do Santissima Annunziata.

Ku mojej uldze Leonardo miał się dobrze. Popracował nawet nad portretem.

Wyraziste kontury i cienie twarzy nabrały delikatności dzięki położeniu jasnego *cinabrese*, półprzezroczystej warstwy skóry. Zaczynałam wyglądać jak człowiek.

Gdy opowiedziałam mu o ostrzeżeniu ojca, że *Bigi* zapłacą krwią i o moich wyrzutach, że nie byłam w stanie go zawiadomić, odparł:

- Nie ponosisz tu żadnej winy. Wiedzieliśmy o niebezpieczeństwie na długo przed twoją rozmową z ojcem. Jeśli ktoś tu jest winny, to ja. Nie byłem w stanie... nie mogłem...

wywrzeć w porę odpowiedniego wpływu. A najstraszliwsze w tym wszystkim jest to, że nawet gdyby udało nam się przyjść im na ratunek... - Nie mógł mówić dalej.

- Nawet gdyby można ich było uratować, nie powinno się tego robić - dokończyłam.

- Tak - szepnął. - To jest najstraszliwsze. Lepiej, że zostali straceni. - Miał rację: egzekucje oburzyły wszystkich Florentyńczyków, nawet większość z *piangoni*, którzy czuli, że zakonnik powinien okazać to samo miłosierdzie, jakiemu dał dowód po wypędzeniu Piera.

Isabella, Elena, nawet pobożna Agrippina, która nigdy wcześniej nie ośmieliła się narazić na niezadowolenie mojego męża, wszystkie otwarcie krytykowały Fra Girolama.

- Moja matka powiedziała - zaczęłam i urwałam, nie wiedząc, jak się wyrazić, żeby nie wziął mnie za wariatkę. - Wiele lat temu matka powiedziała mi... że Savonarola zostanie obalony. Przez pięciu bezgłowych mężów.

- Twoja matka? Twoja matka mówiła ci o Savonaroli?

- Wiem, że to brzmi bardzo dziwnie. Ale... wierzę, że miała rację. Myślę, że egzekucja okaże się przyczyną jego klęski. Myślę, że może nawet umrzeć.

Leonardo znieruchomiał, zaintrygowany.

- Czy mówiła ci o Fra Girolamie coś jeszcze?

- Myślę, że mówiła właśnie o nim. Powiedziała: „Pożrą go płomienie, aż jego członki jeden po drugim oderwą się i spadną do piekła! Pięciu bezgłowych mężów go obali”.

To, co powiedział potem, przyjęłam ze zdumieniem.

- A więc zginie w płomieniach. Tak, te egzekucje doprowadzą go do zguby. Będziemy na to czekać, przygotujemy się.

- Wierzysz mi, panie - szepnęłam.

- Wierzę twojej matce.

Patrzyłam na niego tak długo, że spuścił wzrok i wyjaśnił z niespodziewaną czułością:

- Mówiłem ci, że widziałem twoją matkę, kiedy była ciężarna.

- Tak.

- Powiedziała mi, że urodzi córkę. I że namaluję twój portret. - Zawahał się. - Wtedy dałem jej medalion przedstawiający śmierć Giuliana. Poprosiłem, żeby podarowała ci go jako pamiątkę.

Nagle zachciało mi się płakać. Chwyciłam jego rękę.

Signoria rozpaczliwie starała się przekonać ludzi do Savonaroli. Zamówiła medal na cześć Fra Girolama z jego szpetnym profilem wybitym po jednej stronie, a ręką dzierzącą miecz i napisem: *Ecco gadius Domini super terram cito et vefociter* na rewersie. Gorzej nawet, zachęciła go do nieposłuszeństwa wobec papieskiego zakazu głoszenia kazań.

Pewnego dnia Francesco oświadczył, że wybierzemy się we dwoje wysłuchać słów proroka.

Ojciec źle się czuł i postanowił zostać w domu.

Członkowie Signorii uznali, że najbardziej odpowiednim miejscem powrotu Savonaroli na ambonę powinna być katedra, która zdoła pomieścić spodziewane tłumy. Gdy jednak Francesco i ja weszliśmy do świątyni, z zaskoczeniem stwierdziłam, że nie jest wypełniona nawet w połowie. Nie wszyscy pragnęli narazić się na ekskomunikę gniewnego papieża.

Decyzja Francesca, by udać się na kazanie, wzbudziła moją ciekawość. Po egzekucji pięciu *Bigi* stał się ostrożny i powściągliwy wobec Savonaroli. Nie rozwodził się już nad sukcesami *piangoni* i nie wyrażał z zachwytem o proroku, kiedy zaś Agrippina pozwoliła sobie na krytyczną uwagę o zakonniku, nie odezwał się słowem. Przybycie na to buntownicze kazanie było przecież wyrazem najżarliwszego poparcia. Albo, co bardziej prawdopodobne, dla Francesca wiązało się z chęcią sprawowania jak największej kontroli nad swoją marionetką i sprawdzenia, jak reaguje na nią opinia publiczna.

Tego dnia nie było w Duomo żadnych płaczów ani wzruszeń; obywatele zachowywali się trzeźwo i powściągliwie, a gdy Savonarola wstąpił na ambonę, ucichli wyczekująco.

Fra Girolamo wyglądał przerażająco. Podczas miesięcy milczenia pościł, przez co zmizerniał jeszcze bardziej, ciemne oczy przypominały lśniące otwory w bladej niczym poźółkła kość słoniowa twarzy. Uchwycił się poręczy ambony i utkwiał wzrok w tłumie; był



samym udęczeniem, rozpaczą tak głęboką i dojmującą, że musiał się nią podzielić, gdyż inaczej popadłby w obłęd. Jego oddech stał się ciężki i gwałtowny, widziałam jego falującą pierś z miejsca, gdzie siedziałam.

Gdy w końcu przemówił, drgnęłam zaskoczona: zapomniałam już, jak piskliwy i skrzeczący był jego głos.

Zaczął ściszym, pokornym tonem, od deklamacji: „Panie, jakże przybywa mych prześladowców. Iluż jest takich, co powstają przeciwko mnie”.

Skłonił głowę na całą minutę, zbyt wzruszony, by mówić. Wreszcie rzekł:

- Jestem jeno narzędziem Pana. Nie szukam sławy ni chwały; błagałem Boga, abym mógł wieść prosty żywot mnicha i złożyć ślubowanie milczenia, by nigdy więcej nie wchodzić na ambonę. Wy, którzy mnie krytykujecie, którzy mówicie, że powinienem wdać się we florencką politykę, czyż nie widzicie, że powstrzymałem się z pokory, nie z okrucieństwa? To nie ja chwyciłem za topór, nie ja... - Zacisnął mocno powieki. - O Panie, pozwól mi zamknąć oczy i spocząć! Pozwól mi cieszyć się ciszą! Lecz... Bóg mnie nie słucha.

Nie pozwoli mi spocząć!

Zakonnik zachłysnął się powietrzem, wydając urywane łkanie.

- Bóg nie pozwoli mi spocząć. To z Jego woli przemawiam: przemawiam przeciw możnym tego świata bez lęku przed zemstą.

Francesco stojący obok mnie zeszywniał.

- Czy obrażam papieżstwo? - pytał Fra Girolamo. - Nie! Przecież pochodzi z boskiego ustanowienia. Czyż nie powiedział Chrystus: „na tej skale wybuduję Kościół mój”? I w rzeczy samej, wszyscy dobrzy chrześcijanie muszą szanować papieża i przestrzegać praw kościelnych.

Lecz prorok albo papież jest jeno narzędziem Boga, nie bożkiem, którego powinniśmy czcić bałwochwalczo. A prorok, który pozwala się uciszyć, nie może być dłużej instrumentem Pana...

Tak samo papież, który lekceważy prawa boskie, jest zepsutym narzędziem, bezużytecznym instrumentem. Jeśli jego serce przepelnia nikczem-ność, a jego uszy są głuche, jakże Bóg może go poprowadzić? Nie może! A zatem dobrzy chrześcijanie muszą rozróżniać prawa boskie i ludzkie.

Aleksander jest zepsutym narzędziem, nałożona na mnie ekskomunika jest nieważna.

Wy, którzy stawiliście się tu dzisiaj, widzicie to w swych sercach. Ci, którzy nie przyszli z lęku przed papieżem, są tchórzami i Bóg się z nimi rozprawi.

Zerknęłam na męża. Oczy Francesca były zimne, wpatrzone prosto przed siebie. W

Duomo panowała nadzwyczajna cisza, słowa Savonaroli odbijały się echem od wysokiego

sklepienia kopuły.

Kaznodzieja westchnął i potrząsnął smutno głową.

- Staram się mówić dobrze o Jego Świątobliwości, lecz gdy przychodzę tutaj, do tego świętego miejsca, muszę mówić prawdę. Muszę wyznać, co Bóg we własnej osobie mi powiedział.

„Girolamo”, rzekł., Jeśli jesteś przeklęty na ziemi, po tysiackroć będziesz błogosławiony w niebiesiech”.

Prorok uniósł ramiona ku sklepieniu i uśmiechnął się, jakby słuchał słów Stwórcy, gdy zaś Bóg skończył mówić, zakonnik wykrzyknął w odpowiedzi:

- O Panie! Jeśli poproszę o cofnięcie ekskomuniki, strąć mnie wprost do piekielnych czeluści!

Słuchacze, nie wyłączając Francesca, wydali westchnienie oburzenia. Zakonnik pokornie schylił głowę. Kiedy ponownie podniósł wzrok na zgromadzonych, przemówił

rozsądnym, łagodnym głosem.

- Lecz jak mam się zwrócić do krytyków, którzy twierdzą, że nie przemawiam w imieniu Bożym? Powiadam wam teraz, Pan w swej nieskończonej mądrości wkrótce da znak, który na zawsze ich uciszy. Nie odczuwam chęci, by kusić Boga, lecz jeśli będzie trzeba, dokonam we Florencji cudu.

Kiedy wracaliśmy do powozu, Francesco był spięty, rozkojarzony i tak pochłonięty myślami, że gdy się odezwałam, spojrzął tak, jakby mnie w pierwszej chwili nie poznał.

- Fra Girolamo potrzebuje cudu - zauważyłam ze stosownym szacunkiem. - Miejmy nadzieję, że Bóg ześle mu go prędko.

Mąż popatrzył na mnie badawczo, lecz nie odpowiedział.

*Niech diabli porwą Ascania Sforzę i jego brata Ludovica! I niech porwą list proroka do władców Europy/ Zdobył go jeden z agentów Ludovica, a kardynał Ascanio dostarczył*

*wprost do rąk papieża. Nie możemy utrzymać kontroli nad Signorią. Nawet piangoni są teraz podzieleni. Jeśli zakonnik będzie dalej trwał przy tym, co jak piszesz, głosi, papieski interdykt okaże się nieunikniony*

*Próbowałem uporać się z Jego Świątobliwością tak jak z hrabią Giovan-nim, ale Aleksander jest zbyt przebiegły i zbyt dobrze strzeżony. Nie ma nadziei, że uda się go zastąpić kimś bardziej życzliwym naszej sprawie.*

*Czas proroka kończy się zbyt prędko, a mój własny jeszcze nie nadszedł. Nie mogę dłużej polegać na papieskich wojskach, nie mam dość przyjaciół w Signorii. Lecz nie porzucę swych nadziei! Jest jeszcze wyjście. Daj prorokowi jego cud.*

*Jeśli i tu spotka nas niepowodzenie, będziemy musieli szybko obmyślić plan, który byłby do przyjęcia dla Signorii i ludu. Jeśli Savonarola zostanie obsadzony w roli diabła, ja muszę się zaprezentować jako zbawiciel. Rozważ to i podziel się ze mną swymi opiniami.*

W pracowni w Santissima Annunziata wpatrywałam się w portret na sztalugach. Farba jeszcze nie wyschła - warstwa najjaśniejszego perłowego różu, który nadał świeży rumieniec moim policzkom i wargom - nie śmiałam go dotknąć, choć mój palec zawisł pożądliwie nad wgłębieniem między obojczykami.

- Tu jest odrobina błękitu - powiedziałam. I zieleni, ledwie cień żyły przebijający przez skórę. Podążyłam za linią palcem; miałam wrażenie, że gdybym mogła przytknąć go do deski, poczułabym własne tętno. - Wyglądam jak żywa.

Leonardo się uśmiechnął.

- Nie zauważyłaś jej przedtem? Czasami wydaje mi się, że widzę, jak pulsuje. Twoja skóra jest w tym miejscu niemal przezroczysta.

- Oczywiście, że nie. Nigdy nie wpatruję się w lustro aż tak długo.

- Szkoda - stwierdził bez drwiny. - Mam czasem wrażenie, że ci, którzy mają największą urodę, najmniej ją cenią.

Mówił z taką powagą, że się zawstydziłam. Zmieniłam temat:

- Będę teraz pozować.

Jak zawsze, zanim przystąpił do malowania, powtórzyłam mu treść listu. Słuchał, marszcząc lekko czoło, a gdy skończyłam, powiedział:

- Zaczynają popadać w rozpacz. Jeśli Savonarola nie dokona cudu, wydadzą go na pożarcie wrogom i chwycą się innej strategii. On się nigdy nie podda.

- A kimkolwiek jest, chce przejąć władzę nad Florencją. Właściwie kto to taki? Wiem już, że jest jednym z Pazzich, ale chcę zrozumieć, skąd w nim ta żądza władzy.

Leonardo nie odpowiedział.

- Cóż mi może zaszkodzić, że poznam te szczegóły? - nalegałam. - Jeżeli mnie schwytają, i tak prawdopodobnie zostanę zabita, bo wiem o listach. W końcu wiem, że ten człowiek chciał zamordować papieża i że są w to zaangażowani Ascanio Sforza i jego brat Ludovico.

Patrzył na mnie przez chwilę i westchnął. Oboje wiedzieliśmy, że mam rację.

- Ma na imię Salvatore. Jest nieprawym synem Francesca de'Pazziego - odrzekł. - Miał

może dziesięć lat, gdy zamordowano Giuliana, a Wawrzyniec zgładził wielu członków jego rodziny i

wypędził resztę. Stracili wszystko: majątek, ziemie... Salvatore i jego matka uciekli do Pwzymu. Większość Pazzich to dobrzy, szlachetni ludzie. Wawrzyniec niesłusznie ich skrzywdził, co zrodziło wielką gorycz. Chcieli po prostu wrócić do Florencji, do ojczyzny przodków.

Salvatore był jednak inny: matka wpajała mu nienawiść i poczucie krzywdy od dziecka. Chłopak był rozwinięty ponad wiek i bardzo ambitny. Już wcześniej postanowił, że z zemsty zagarnie władzę we Florencji.

- Wszystko się powtarza - powiedziałam. - Wawrzyniec się zemścił, a teraz tego samego pragną Pazzi.

- Nie wszyscy, tylko Salvatore. Wykorzystał pozycję rodziny jako bankierów papieskich, żeby wkraść się w łaski Jego Świątobliwości.

Pochyliłam się, zaintrygowana.

- Dlaczego wmieszał w to wszystko Savonarolę? Leonardo usiadł na krześle naprzeciwko mnie.

- To długa historia - powiedział. - Zaczęło się od Giovanniego Pica. Jako młody człowiek był kobieciarzem i niezłym filozofem. Papież chciał go ekskomunikować i rozważał

nawet możliwość spalenia go na stosie za jego dość niechrześcijański synkretyzm.

Wawrzyniec Medyceusz wstawił się wtedy za nim u Jego Świątobliwości. Było to w 1490 roku, na długo, zanim stosunki Medyceuszy z papieżem się popsuly. Pico miał jednak krótką pamięć. Związał się z kobietą z rodu Pazzich, która nastawiła go przeciw Wawrzyńcowi. Kiedy Giuliano zginął, a Wawrzyniec wziął straszliwą zemstę na Pazzich, Pico zaczął szukać sposobu, by zwrócić lud przeciwko Medyceuszom i dzięki temu sprowadzić Pazzich z powrotem.

Kiedy wybrał się na kazanie Savonaroli w Ferrarze, zobaczył charyzmatycznego człowieka, potępiającego bogactwo i zepsucie. W głowie zaświtał mu pomysł na to, jak wzbudzić w ludziach wrogość do Wawrzyńca. A Fra Girolamo to niezwykle łatwowierny, impulsywny człowiek. Pico słusznie odgadł, że uda mu się przekonać Savonarolę do nauczania przeciw Medyceuszom i sprawić, by zakonnik uznał to za własny pomysł.

- Czy Savonarola wie o Pazzich i o Salvatore? Leonardo pokręcił głową.

- Nic a nic. Savonarola słucha twojego ojca i Fra Domenica. Ale to zupełnie inna historia. Wracając do Pica... Od kochanki dowiedział się o synu Francesca de'Pazziego, Salvatore. I gdy rodzina została wygnana z Florencji, Pico zaczął z nim korespondować.

Podsyczał nienawiść chłopca opowieściami o zbytkownym życiu Medyceuszy, o tym, jak zagarniają publiczne fundusze. Kiedy młodzieniec podrośł, zapragnął wyrwać Florencję z rąk Medyceuszy i zaczął uzgadniać z hrabią swoje plany.

Pico podsunął mu, żeby wykorzystać Savonarolę do podburzenia ludności, i wpadł na pomysł powolnego otrucia Wawrzyńca. Znal rodzinę Medyceuszy na tyle, by wiedzieć, że Piero nie dba o

zachowanie politycznych koneksji ojca, a przez to jest słaby i łatwo się go będzie pozbyć. Pierwotny plan zakładał zabicie Wawrzyńca, wygnanie Piera i osadzenie Salvatore jako nowego władcy Florencji.

Niestety albo na szczęście, jak wolisz, Wawrzyniec zmarł, zanim Salvato-re zdołał zebrać wojska i uzyskać dostateczne poparcie w Signorii.

Salvatore udało się jednak znaleźć jednego niezłomnego zwolennika w rządzie: stronnika Pazzich, Francesca del Giocondo. Skontaktował

Francesca z Giovannim Pikiem. Wspólnie uknuli plan, jak zwrócić Florencję przeciw Medyceuszom. Jestem pewien, że udało im się to znacznie lepiej, niż kiedykolwiek marzyli.

Po jakimś czasie jednak Pica ogarnęły wyrzuty sumienia z powodu zabicia Wawrzyńca. Zaczął poważnie brać słowa Savonaroli do serca i żałować za grzechy, a przez to stał się niewygodny, zachodziło bowiem niebezpieczeństwo, że wyzna swoje winy. Dlatego został zabity.

- Przez mojego ojca - powiedziałam zgnębiona.

- Przez Antonia di Gherardini - poprawił delikatnie. - Antonio miał własne powody do popierania Pazzich. Nigdy nie chciał wplątać się w polityczny spisek.

Wbiłam wzrok w swoje dłonie. Z przyzwyczajenia trzymałam jedną na drugiej, tak samo jak Leonardo je namalował.

- A Francesco ożenił się ze mną, żeby kontrolować mojego ojca.

- Nie bądź dla siebie taka surowa, Lizo. Jesteś piękną kobietą. Twój mąż to wie.

Widziałem, jak zachowywał się w twojej obecności na chrzcinach.

Zbyłam pochlebstwo wzruszeniem ramion.

- A co z „listem proroka”? W jaki sposób im zaszkodził? Uśmiechnął się pod nosem.

- Savonarolę bardzo trudno utrzymać w korbach. W chwili szczególnego poczucia doniosłości swej misji napisał do władców Europy, między innymi do Karola Francuskiego, króla Hiszpanii Fryderyka i cesarza Maksymiliana, wzywając ich do obalenia papieża.

Napisał, że Aleksander<sup>^</sup> nie jest chrześcijaninem i nie wierzy w Boga.

- On oszalał - zdumiałam się.

- Najprawdopodobniej.

- A ty brałaś w tym udział - zauważyłam. - Ktoś dał list księciu Ludovicowi, który przekazał go bratu,

kardynałowi Sforzy, ten z kolei wręczył go papieżowi.

Nie odpowiedział. Po prostu popatrzył na mnie z zadowoleniem.

- Ale jeśli ten domniemany cud się nie uda...Jeśli ludzie staną po stronie Savonaroli...

Co się stanie?

- Zabiją go - odparł.

- Jeżeli go zamordują albo zaaranżują jego śmierć, nie będą już potrzebować mojego ojca. Antonia...

Popatrzył na mnie ze współczuciem, ale zauważyłam rezerwę.

- Co mogę zrobić? - Całym sercem wierzyłam w przepowiednię matki, wiedziałam, że proroka czeka śmierć. - Im dłużej zostanę, w tym większym niebezpieczeństwie będzie ojciec.

Musisz nam pomóc, panie. Proszę, zabierz nas z Florencji. Zabierz nas ze sobą do Mediolanu.

- Lizo... - Usłyszałam żal w jego głosie. - Gdybym mógł, uczyniłbym to już dawno.

Ale to nie takie proste. Chodzi o ciebie, twojego ojca, dziecko... i twoją niewolnicę, jak przypuszczam. To cztery osoby. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że jesteście ciągle obserwowani. Właśnie dlatego zatrzymałem się tutaj, w Santissima Annunziata, bo możesz tu regularnie przychodzić, nie budząc podejrzeń. Ale nie uda ci się wydostać poza bramy miasta tak długo, jak twój mąż zachowa jakiegokolwiek wpływy.

- A więc muszę zostać - spytałam z goryczą - aż będzie za późno, a ojciec umrze?

Te słowa sprawiły mu przykrość, lecz odpowiedział tym samym łagodnym tonem:

- Twój ojciec nie jest bezradnym człowiekiem. Przetrwał tak długo. A wkrótce nadejdzie czas, że będziecie mogli wyjechać. Obiecuję ci to.

- Ale nie nadejdzie dość prędko - odparłam. Żałuję teraz, że się nie myliłam.

Florencja zaczęła łaknąć zapowiedzianego przez Fra Girolama cudu i tak doszło do wydarzenia nazwanego „próbą ognia”.

Na ambonie w San Marco Fra Girolama zastąpił Fra Domenico. Nie cieszył się taką popularnością jak jego mistrz, był bowiem człowiekiem upartym i nieco tępym - lecz nadzwyczaj nieustępliwym i fanatycznie mu oddanym. Wytrwale twierdził, że każde słowo, które padło z ust Fra Girolama, pochodzi od Boga.

Inni także zaczęli głosić kazania, włącznie z elokwentnym franciszkaninem z Santa Croce, Fra Franceskiem da Puglia, który rzucił śmiało wyzwanie:

- Przejdę przez ogień z każdym, kto pragnie udowodnić, że Savonarola jest prorokiem, który głosi prawdę Bożą. Wierzę bowiem, że Fra Girolamo to kłamca i heretyk, a każdy, kto przejdzie przez ogień, wierząc w coś przeciwnego, zginie. Sam nie oczekuję, że przeżyję...

lecz z pewnością ktokolwiek zdrową stopą przejdzie przez płomienie, wierząc i ufając Fra Girolamowi, upewni się ponad wszelką wątpliwość, że ten mówi prawdę.

Domenico dowiedział się o wyzwaniu i w niedzielę oświadczył z ambony San Marco, że zamierza wejść w ogień. Jego żarliwa proklamacja tak poruszyła zgromadzenie, że wszyscy, mężczyźni i kobiety, w euforii zapewnili, że ruszą w ogień razem z nim.

Dziki entuzjizm ogarnął miasto. Po raz pierwszy *Arrabbiati* i *piangoni* byli zgodni: Savonarola powinien podjąć wyzwanie i dowieść bezapelacyjnie, czy jest, czy też nie jest namaszczony przez Boga.

Obie strony przedstawiły sprawę Signorii, która od razu zaaprobowwała pomysł i ogłosiła, że na Piazza della Signoria należy zbudować scenę, a widowisko odbędzie się w sobotę siódmego kwietnia, o godzinie pierwszej po południu. Wszyscy gorąco pragnęli zobaczyć niecodzienny spektakl. Jak wyraził się szanowany *Arrabbiato* Leonardo Strozzi:

„Potrzebujemy rychłego rozjaśnienia kwestii: czy natchnienie Savonaroli pochodzi od Boga, czy od diabła”.

Wszyscy zapalili się do pomysłu z wyjątkiem Savonaroli. Bolał nad faktem, rzekł, że jego zwolennicy pragną poddać się próbie, która może się skończyć śmiercią drugiej strony; z pewnością mają już dość dowodów jego natchnienia i nie powinni potrzebować następnego.

Publicznie zganił Domenica za postawienie go w sytuacji, „która może okazać się niebezpieczna dla innych”. Próbował - na próżno - przekonać *piangoni*, że próba byłaby bezużytecznym wyrazem pychy.

Ale nie mógł już powstrzymać wydarzeń.

- Jeśli mistrz mój nie wejdzie w płomienie - powiedział Domenico - sam wejdę w ogień i udowodnię, że jest wybranym Bożym.

Tak oto w sobotę siódmego kwietnia o dziesiątej rano mój mąż i ja pojechaliśmy karocą do Palazzo della Signoria. Podjęto nadzwyczajne środki ostrożności: obcokrajowcy zostali wydalen, a wszystkie bramy miasta zamknięto. Florencja była patrolowana przez małe sąsiedzkie oddziały, ulice wypełniły się *piangoni*, zmierzającymi pieszo na plac. Wszystkie oprócz trzech dróg na plac zablokowano, a owe trzy pozostałe były strzeżone przez żołnierzy samej Signorii.

Niewiastom nie pozwolono oglądać widowiska - przynajmniej tym bez odpowiednich małżonków i karocy. Mój mąż był teraz jednym z najbardziej wpływowych ludzi we Florencji: wreszcie wybrano go do Signorii na obecną kadencję. Wydaliśmy przyjęcie dla uczczenia tego wydarzenia - dosyć huczne i sute, lecz *piangoni*, którzy się zjawili, nie wydawali się wcale zgorszeni.

Francesco z wielką dumą nosił długą szkarłatną tunikę członka Signorii, nic dziwnego, że miał ją na sobie i tego poranka. Gdy tylko strażnicy zobaczyli tunikę, ukłonili się nisko.

Francesco powitał wartę wyniosłym, lekceważącym gestem i zostaliśmy przepuszczeni. Mąż już to uśmiechał się do mnie dobrodusznie i spokojnie, już to marszczył milcząco brwi.

Przypuszczam, że żywił nadzieję, iż jakimś sposobem sytuacja obróci się na korzyść Savonaroli.

Dotarliśmy do *palazzo*, gdzie Francesco przeprosił mnie, by dołączyć do innych członków Signorii, którzy siedzieli na *ringhiera*, ogrodzonym balustradą tarasie, skąd rozciągał się najlepszy widok na plac. Ja usiadłam dalej, w dyskretnej małej loggii, gdzie ustawiono wygodne fotele dla żon dostojników państwowych, z których zjawily się cztery.

Moją towarzyszką była Violetta, złotowłosa żona Francesca Valoriego, który niedawno tak bardzo domagał się głowy Bernarda del Nero. Poranek był chłodny, lecz Violetta przyniosła wachlarz i trzepotała nim nerwowo, gdy opowiadała o cudzie, który z pewnością się wydarzy.

Jak wspaniale, rzekła, że *Arrabbiati* wreszcie zostaną uciszeni.

Rozejrzałam się wokół. Członkowie Signorii, wśród nich *gonfaloniere* Valori i mój mąż, siedzieli przy masywnym kamiennym lwie, królewskim *Ma-rzocco* wyrzeźbionym przez Donatella. Obok lwa znajdował się jeden koniec długiej drewnianej platformy, uniesionej wysoko nad ziemię i prawie tak szerokiej, by mogli nią przejść dwaj ludzie ramię przy ramieniu. Pod nią wykopano rów wypełniony drewnem i chrustem, na których poukładano niewypalone cegły, aby zapobiec spaleni drewnianego rusztowania z platformą. Konstrukcja ta ciągnęła się prawie przez całą szerokość placu.

Atmosfera przypominała karnawał. Pogoda była słoneczna, bezchmurna i świeża. Ci, którzy przyszli na plac wcześniej, byli w odświętnych, radosnych nastrojach. *Piangoni* zaznaczali swoją lojalność, nosząc małe czerwone krzyżyki i śpiewając hymny, *Arrabbiati* i niezaangażowani śpiewali sprośne piosenki i przekrzykiwali się żartami. Choć Savonarola apelował do wiernych o post, z pałacu wyłonili się służący, oferując damom pieczywo, ser i wino, jakbyśmy były na turnieju rycerskim.



Wreszcie pojawili się dwaj mężczyźni z dzbanami i zaczęli szczerze polewać drewno i chrust olejem. Wkrótce nadeszli inni z pochodniami: podłożyli ogień. Tłum zaczął

wiwatować. Ciemny dym wzbił się ku niebu. Przez godzinę ludzie cieszyli się, podekscytowani, gdy ogień rozpalał się i rósł - później podniecenie zaczęło słabnąć, ustępując miejsca niepokoju.

Po kolejnej godzinie ze znużenia wyrwało nas pojawienie się franciszkanów: przybyli gromadnie, ubrani w szare habity i rozproszeni w luźnym szyku niczym stado gołębi.

Jeden z nich poszedł od razu do członków Signorii na *ringhiera* i wszyscy zebrali się, pochylając ku sobie głowy i dyskutując. Reszta franciszkańskiej braci zajęła miejsca w loggii przyległej do naszej.

Violetta zdumiała wszystkich. Odłożyła wachlarz, podeszła do kamiennej balustrady i szepnęła do franciszkanów:

- Czemu on z nimi rozmawia? Czy wasz brat nie wejdzie w ogień? Jej pytanie ściągnęło pogardliwe spojrzenie młodego mnicha, który wbrew zakazowi starszych zakonników odwrócił się i odpowiedział:

- Wejdzie. Nie lęka się. Ale mamy powody przypuszczać, że Fra Domenico, gdyż to on, a nie Savonarola, niezłomnie utrzymywał, że podda się próbie, nosi zakłete szaty.

- Kłamstwo! - odparła Violetta. Ja i żona jednego z *Buonomi* pociągnęłyśmy ją z powrotem na fotel.

Dominikanie spóźniali się z przybyciem, Signoria niechętnie wysłała uzbrojonego żołnierza, aby przyprowadził ich na plac. Wreszcie nadeszli w prawdziwie dramatycznej procesji: przodem kroczył Fra Domenico, niosąc na barkach krzyż prawie tak wysoki jak on.

Za nim podążał Savonarola z małym srebrnym naczyniem zawierającym świętą hostię, gdyż uznał, że Domenico nie będzie bezpieczny, jeśli wejdzie w płomień bez niej. Za nimi szli mężczyźni z parafii San Marco z pochodniami i czerwonymi krzyżami, a dalej reszta zakonników.

W tłumie odezwały się gwizdy i pohukiwania, okrzyki radości i szloch. Ludzie wykrzykiwali obelgi, błogosławieństwa, modlitwy i zniewagi. Mnisi, zarówno franciszkanie, jak i dominikanie, zaczęli śpiewać.

W końcu dominikanie i wierni z San Marco zajęli miejsca w bezpiecznej odległości od franciszkanów, a następnie *gonfaloniere* Francesco Valori wezwał Domenica i Savonarolę na *ringhiera*.

Raczej widziałam, niż słyszałam ich rozmowę: Valori przemówił do Savonaroli, a prorok zareagował gestem irytacji. Domenico, który do tej pory zdążył się pozbyć krzyża, położył dłoń na ramieniu mistrza, aby go uspokoić. Potem Valori i mój mąż zaprowadzili Domenica do Palazzo della Signoria.

Ludzie w tłumie zaczęli narzekać. Czekali już długo i nie rozumieli nagiego zniknięcia zakonnika. My, kobiety, rozumiałyśmy to i nie zaskoczyło mnie, gdy zakonnik wyłonił się wkrótce ubrany w habit

franciszkanina. Violetta trąciła mnie łokciem i powiedziała na tyle głośno, by usłyszeli ją franciszkanie:

- Widzisz? Gdyby szaty były zakłęte, nie pozbyłby się ich tak szybko i bez ceregieli.

On nie boi się ognia.

Fra Domenico i Savonarola ruszyli w stronę wejścia na platformę, gdzie czekali już dwaj żołnierze i Fra Giuliano, miody franciszkanin, który zgłosił się na ochotnika, by wejść w ogień z Domenikiem.

Nagle młody zakonnik wystąpił do przodu i powstrzymał ich. Domenico i Savonarola wrócili pośpiesznie na taras.

Tłum westchnął z irytacją.

Valori, mój mąż i dwaj inni *piangoni* podeszli do Domenica i jęli coś nerwowo tłumaczyć. Domenico potrząsnął głową z odrazą, lecz znowu pozwolił się poprowadzić do *palazzo*.

Violetta zamknęła z trzaskiem wachlarz, rzuciła go na fotel i podeszła do balustrady przy loggii.

- Co znowu? - zapytała wyzywająco. - Pewnie mi powiecie, że sam Domenico został

zakłęty, nie może więc wejść w ogień!

Starszy franciszkanin odwrócił się w jej stronę.

- Oczywiście, że nie, Madonna. Ale czy nie jest możliwe, że bielizna Fra Domenica mogła zostać zakłęta tak samo jak habit? Może trudno ci to, pani, zrozumieć, ale są wśród nas tacy, którzy szczerze wierzą, iż moc Fra Girolama nie pochodzi z boskiego, lecz z mroczniejszego źródła.

- To absurd! - Violetta przechyliła się przez balustradę. - Gracie na zwłokę, bo strach was obleciał!

- Oczywiście, że się boimy - odrzekł spokojnie mnich. - Wiemy, że Fra Giuliano zginie, gdy wejdzie w ogień. Nurtuje nas tylko jedno pytanie.

Violetta zmarszczyła brwi, czekając na odpowiedź.

- Jeśli Fra Girolamo się nie boi, a wie, że Bóg go oszczędzi jako swego proroka, czemu nie wszedł od razu w ogień i nie rozstrzygnął sprawy raz na zawsze?

Violetta się cofnęła. Zajęła ponownie miejsce i zaczęła się gorączkowo wachlować, wyrzekając pod nosem na niesprawiedliwość franciszkanów. Dojrzałam jednak błysk zwątpienia w jej oczach. Chłodny wiatr załopotał moim woalem. Spojrzałam w górę. Na czystym do niedawna niebie zbierały się deszczowe chmury.

Po raz kolejny Domenico wyłonił się z pałacu, przypuszczalnie pozbywszy się i bielizny. Raz jeszcze podźwignął wielki krzyż, który przyniósł na plac.

*Gonfaloniere Yaloń* poklepał go po ramieniu i dał ręką znak, żeby odłożył krzyż.

Domenico wykonał ze znużeniem polecenie.

Kilka osób w tłumie zahuczało z dezaprobatą.

Do tego czasu inny mnich dołączył do Fra Giuliana i we dwóch po raz trzeci poszli rozmówić się z dostojnikami na *ringhiera*. Savonarola czekał tam, stojąc przy srebrnej szkatułce z hostią, którą postawił z czcią na stole. Gdy dwaj franciszkanie zaczęli rozmawiać z urzędnikami, Savonarola wybuchnął krzykiem. Pokazał z oburzeniem na srebrne naczynie, na innych mnichów, na mojego męża i Francesca Valoriego. Potem zwrócił się do Domenica i gdy tamten potrząsnął głową, widać było, że doszło do impasu.

- O co chodzi? Co się dzieje? - zawołała Violetta.

Zakonnicy obok nas nie odpowiedzieli, ale ja, patrząc na gestykulację Savonaroli i srebrną puszkę, odparłam:

- Nie chcą, żeby Domenico niósł hostię.

Istotnie, o to chodziło. Savonarola miał wcześniej sen, że Domenico bezpiecznie przejdzie przez ogień, gdyż będzie niósł poświęconą hostię i nalegał, aby pozwolono mu to uczynić. Do tej pory franciszkanie nie zgłaszali żadnych obiekcji.

Rozwścieczony Domenico wyszedł na plac i stanął uparcie przy wejściu na platformę, wpatrując się w ogień; gniewna mina kontrastowała z podniosłymi hymnami śpiewanymi przez jego współbraci, habit łopotał na wietrze. Niebo coraz bardziej ciemniało.

Franciszkanin, który wcześniej rozmawiał z Violettą, odwrócił się do nas.

- Dlaczego - zapytał łagodnie - Fra Domenico obawia się wejść w ogień bez hostii?

Czyż jego wiara nie jest wystarczającą ochroną? I czemu Savonarola nie zakończy tych sporów? Skoro niecierpliwą go nasze wymagania, czemu po prostu sam nie wejdzie w płomienie?

Violetta nie odpowiedziała. Zmarszczyła brwi, patrząc na taras, gdzie jej mąż i franciszkanie dyskutowali z Fra Girolamem.

- Tchórz! - krzyknął ktoś z tłumy.

Zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. Siedząc bezpiecznie w loggii, patrzyłam, jak kapią na balustradę.

- Tchórz! - krzyknął ktoś inny. - Właż do ognia!

- Boi się! - zawołał następny. - Nie widzicie? Boi się! Niebezpiecznie blisko uderzył

piorun. Violetta drgnęła i złapała mnie za ramię. Domenico, masywny, nieruchomy i nieustępliwy, stał w coraz większym deszczu, a Savonarola nadal spierał się z członkami Signorii. Znowu rozległ się grom, a potem wrzask:

- Okłamał nas! Zawsze nas okłamywał!

Strugi wody lały się z chmur szarymi taflami. Oślepiająca błyskawica przecięła niebo.

Podobnie jak inne żony dostojników zerwałam się z fotela i schroniłam w głębi loggii.

Wyjrzałam na plac: Domenico nie ustępował. O dziwo, tłum także trwał na miejscu. Ludzie przyszli poznać prawdę o proroku i nie zamierzali odejść, nie poznając jej.

Ogień, który przed chwilą płonął w najlepsze, przygasł; drewno i chrust były teraz mokre od wody.

Entuzjazm tłumu zgasł równie szybko. Ludzie krzyczeli w szumiącym deszczu.

- Sam Bóg potępia tę próbę!

- Fra Girolamo przyzwał burzę, żeby nie wydały się jego kłamstwa! Mój mąż i Valori wysłali człowieka, by porozumiał się z dowódcami wojska. Namawiali zebranych do rozejścia się do domów. Ci jednak, którzy wyrzucili czerwone krzyże, nie chcieli się ruszyć.

- Dlaczego nie chcesz wejść w ogień!

- Sodomita!

- Heretyk!

- Oszust!

Przerażone kobiety pośpieszyły na taras, do mężów. Ja też dołączyłam do Francesca. W pobliżu stał Savonarola, był zupełnie suchy, lecz drżał, jakby przemókł na wskroś.

- Nie mogę odejść bez eskorty! Franciszkanie podburzyli lud przeciwko mnie!

- Załatwię eskortę - zapewnił go Valori i zniknął w drzwiach *palazzo*. Francesco posłał paza na plac, żeby wezwał Claudia.

Gdy jechaliśmy do domu, burza ustała równie szybko, jak się rozpętała. Francesco wyjrzał przez okno i wydał dziwne, stłumione westchnienie.

- To koniec.

Francesco nie wychodził już z pałacu przez resztę dnia. Kazał zamknąć i zaryglować bramę i postawił przy niej uzbrojonych w miecze stojących. Potem skrył się w gabinecie i nie wyszedł nawet na kolację.

Ojciec też nie przyjechał na kolację, co mnie zaniepokoiło. Nie widziałam go od kilku dni, ale Francesco zabronił opuszczać tego wieczoru pałac. Nasza ulica, na szczęście, była cicha, widziałam jednak blask pochodni na zachodzie, gdzie stał klasztor i kościół San Marco.

Isabella wraz z kobietami z San Marco w napięciu oczekiwała - z ciekawości, a nie wiary - na relację z próby ognia. Kiedy Savonarola wrócił, oznajmił niewiastom, że franciszkanie zwlekali tak długo, iż rozgniewali Boga, który zesłał burzę. Isabella doniosła, że parafianie zaczęli wręcz bić się z mnichami i ze strachu opuściła spotkanie.

W następnym dniu wypadła Niedziela Palmowa. Francesco nie wybrał się do kościoła, postanowił zostać w domu i nam też zakazał wychodzić. Tego dnia jednak przyjmował gości, każdego o innej porze. Przywódca *pian-goni*, Francesco Valori, zjawił się wcześniej rano i odbył rozmowę w cztery oczy z moim mężem w gabinecie; wyszedł z osłupiałą miną człowieka, który nagle odkrył, że całe złoto zmieniło się w piasek. Drugim gościem był młody posłaniec z listem, mąż odebrał korespondencję osobiście.

Trzeci przybył jeden z czołowych przedstawicieli *Arrabbiati*, niejaki Bene-detto de' Nerli. Zjawił się w nocy, po wieczerzy, i przeprosił za późną porę. Powiedział, że ma do omówienia z ser Franceskiem bardzo pilną sprawę.

Mąż przyjął go w głównym salonie. Usłyszawszy zamieszanie, zesłałam na parter i choć nie zaproszono mnie do środka, bym usiadła razem z mężczyznami, kręciłam się w pobliżu otwartych drzwi i słuchałam. Ser Bene-detto miał głęboki, dźwięczny głos i mówił

bardzo wyraźnie, za co byłam mu wdzięczna.

- Przybywam ze złymi nowinami - zaczął. Głos Francesca był cichszy, lekko sarkastyczny.

- Nie wyobrażam sobie, jak sytuacja mogłaby się jeszcze pogorszyć. Ser Benedetto zignorował ten komentarz i ciągnął niezrażony:

- *Piangoni* stracili przywódcę. Dziś wieczorem zabito Francesca Valoriego.

Zapadła cisza, mąż przyswajał tragiczną wiadomość.

- Jak to się stało?

- Był na niesporach w San Marco. Banda zbirów zakłóciła nabożeństwo i zagroziła spaleniem jego domu. Wzięli go siłą, ale zdołał uciec. Kiedy dotarł do domu, schował się w szafie. Hultaje wdarli się za nim do pałacu, zabili jego żonę strzałą z kuszy w czoło. Znaleźli Francesca i zaczęli wlec do

Signorii...

- Głupio, jeśli chcieli go skrzywdzić - wtrącił mój mąż. - Znalazłby tam schronienie.

Ton ser Benedetta stał się nagle chłodny.

- Niekoniecznie. - Zawiesił głos, pozwalając, by ta sugestia zapadła rozmówcy w pamięć. - W drodze do Signorii napotkali Vicenza Ridolfiego i Simone Tornabuoniego...

Znałam ich. Byli krewnymi dwóch świętych *Bigi*, Lorenza Tornabuoniego i Niccola Ridolfiego.

- Trudno ich winić, że pragnęli zemścić się na Valorim, który najgłośniej domagał się śmierci ich krewnych. Wyszli na ulicę podobnie jak wielu innych, którzy liczą na aresztowanie Savonaroli. Tornabuoni miał nóż do przycinania winorośli...

Zamknęłam oczy.

- I rozplątał Valoriemu czaszkę. Ridolfi krzychał: „Już nigdy nie będziesz rządził!” Sądzę, że trup Valoriego wciąż leży na ulicy.

- Czemu mi to mówisz? - spytał mąż. Nie mówił ironicznie, jak mogłam oczekiwać.

W jego głosie usłyszałam raczej nutę przystępności.

- Jak wiesz, panie, w obecnej kadencji Signoria dzieli się równo na partię twoją i moją. Jeśli podział pozostanie wyrównany, nie będzie prawnego sposobu na rozwiązanie kwestii Savonaroli. Wówczas wszystko rozstrzygnie się na ulicach, z przelewem krwi i cierpieniem obywateli. Ale jeśli...

Francesco wtrącił:

- Jeśli choć jeden *piangone* zmieni zdanie i stanie po stronie *Arrabbiati*...

- Szybko można by wymierzyć sprawiedliwość, a tym samym oszczędzić wielu ludziom życie.

- Ser Benedetto - rzekł mąż tym samym ciepłym i łaskawym tonem, jakim zwracał się do każdego szacownego gościa - zastanowię się nad tym, co mi powiedziałaś. Dam ci odpowiedź rano, gdy Signoria zbierze się na obrady.

- Byle nie później - odparł ser Benedetto głosem, w którym dosłyszałam groźbę.

Ucieszyłam się. Chciałam, żeby Fra Girolamo spłonął. A jeszcze bardziej, by wraz z nim spalono Domenica.

W poniedziałek rano mąż kazał mi polecić służbie przygotować dom na wizytę dostojnego gościa, który zamieszka z nami przez kilka tygodni. Potem udał się do Signorii.

Chociaż ulice były spokojniejsze dzięki niewielkim oddziałom samoobrony utrzymującym porządek,

nie pojechał sam: kazał się tam zawieźć Claudiowi, a w powozie towarzyszyło mu dwóch zbrojnych.

Pozbawiona woźnicy, byłam uwiązana w domu. Zalumma i ja mogłyśmy wprawdzie wyruszyć konno, gdybyśmy rozpaczliwie musiały opuścić pałac... ale nawet w normalnych okolicznościach bezpieczniej było mieć męskiego towarzysza, cóż dopiero w tak niepewnych czasach. Każdy służący, który mógłby odegrać rolę opiekuna, był zbyt zajęty wykonywaniem rozkazów Francesca i przygotowywaniem pałacu na przyjęcie gościa.

Bardzo chciałam zobaczyć się z ojcem. Postanowiłam, że gdy tylko Francesco wróci, zażadam, aby pozwolił mi odwiedzić ojca i upewnić się, czy nic mu nie jest. Wyobrażałam sobie możliwy przebieg rozmowy z Francesco: jego odmowę ze względu na niebezpieczeństwo i moją odpowiedź, że będę pod opieką Claudia i dwóch uzbrojonych ludzi.

Zalumma i ja wzięłyśmy Mattea z dzieciennego pokoju i wyprowadziłyśmy do ogrodu.

Bawiłyśmy się z nim w berka i śmiałyśmy się, a ja chwyciłam go za ręce i zakręciłam nim w koło, aż stopy oderwały mu się od ziemi.

Chciałam zmęczyć nas oboje. Nie znałam innego sposobu, by odepchnąć od siebie chmurne myśli. Po raz pierwszy Matteo zmęczył się wcześniej. Ze zwieszoną głową usnął w moich ramionach, choć był już dla mnie za ciężki, a ja spacerowałam z Zalummą między krzewami róż.

Zalumma odezwała się półgłosem.

- Jak myślisz, co się stanie z Savonarolą?

- Francesco przyłączy się do *Arrabbiati* - odparłam - a Savonarola umrze. Zostanie spalony na stosie, tak jak przepowiedziała matka. Miała rację z tymi pięcioma bezgłowymi mężami, nie pamiętasz?

- Pamiętam. - Zalumma popatrzyła na gaj oliwny na zboczu wzgórza w oddali, jakby coś sobie przypominała. - Miała rację w wielu sprawach. - I surowszym tonem dodała: - Będę szczęśliwa, kiedy umrze.

- Jego śmierć niczego nie zmieni - odparłam.

Odwróciła gwałtownie głowę i spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Co ty mówisz? Zmieni wszystko! Westchnęłam.

- Florencją będą rządzić ci sami ludzie. Nic się nie zmieni.

Później, gdy Matteo spał już w swoim pokoju, a służba jadła w kuchni posiłek, poszłam do gabinetu Francesca.

Zachowałam się niemądrze, bo był środek dnia, ale trawił mnie narastający niepokój.

Nie zastanawiałam się nawet na tym, jak skontaktuję się z Leonardem, jeśli znajdę nowy list.

*Pora przyłączyć się do Arrabbiati; poświęcić proroka. Wprowadziliśmy już w czyn Twoją sugestię, jak zwabić Piera do Florencji i przykładowo go ukarać. Ludzie wciąż są niezadowoleni, damy im drugiego kozła ofiarnego. W przeciwnym razie, bez Savonaroli, mogliby za bardzo zatęsknić za Medyceuszami. Przyjmujemy plan Messera Iacopa jako wzór: schwytam zdrajcę na gorącym uczynku, wywlokę go na plac, zrobię publiczne widowisko i wykorzystam najemników jako siły wspomagające. Tamci najemnicy sprzed lat zawiedli Messera Iacopa - ale nasi, zapewniam Cię, nie zawiodą. Popolo c liberta!*

*Szukaj wśród członków Signorii ludzi, którzy poprą nasz ruch. Wynagrodź ich szczerze. Zagwarantuj ważne stanowiska w nowym rządzie, lecz tylko Ty będziesz moim zastępcą.*

*Nie ograniczajmy naszego widowiska do Piera. Musimy się pozbyć wszystkich braci -*

*bo jeśli choć jeden przeżyje, nie będziemy wolni od zagrożenia. Kardynał Giovanni przedstawia najmniejsze niebezpieczeństwo i moi agenci spróbują poradzić sobie z nim w Rzymie, gdzie z pewnością zostanie.*

*Lecz najmłodszy - ten jest najgroźniejszy, gdyż ma inteligencję i polityczną bystrość, których zbywa najstarszemu. A w domu masz doskonałą przynętę, by przyciągnąć go do Florencji.*

Osunęłam się cicho na podłogę, jakby powalona ostrzem skrytobójcy, i usiadłam, z trudem łapiąc dech, z rozpostartymi spódnicami i listem na kolanach. Byłam zbyt wstrząśnięta, by objąć myślami jego treść. Nie śmiałam. Ojciec miał rację: gdybym znała całą prawdę, Francesco i Claudio wyczytaliby ją w mojej twarzy, w każdym moim geście.

Ze względu na ojca i dziecko wybrałam odrętwienie. Nie mogłam pozwolić sobie na myślenie ani odczuwanie. Nie mogłam pozwolić sobie na nadzieję ani gniew.

Drżąc, podźwignęłam się, a potem starannie złożyłam list i wsunęłam go z powrotem do koperty. Poszłam na górę do swojej komnaty. Powoli, z rozmysłem, wyciągnęłam z kufra książkę i położyłam ją na nocnym stoliku, gdzie z pewnością zauważy ją Isabella.

Pośpieszne kroki rozległy się na schodach, potem w korytarzu. Gdy podchodziłam, żeby otworzyć drzwi, Zalumma otworzyła je pierwsza.

Nie zauważyła, że jestem oszołomiona i blada. Jej brwi i wargi były niczym szerokie, wyraziste kreski żalu.

- Loretta - powiedziała. - Z domu twojego ojca. Jest tutaj. Chodź szybko.

Umiera, powiedziała Loretta. Trzy dni temu trzewia zaczęły mu krwawić i odtąd nie mógł jeść ani pić. Gorączkował i majaczył. To nie zaraza, stwierdziła z przekonaniem. Zaraza nie wywołałaby wewnętrznego krwotoku. Od dwóch dni prosi, żebym go odwiedziła.

I za każdym razem gdy Loretta przychodziła, Claudio, Francesco albo strażnicy odsyłali ją z powrotem.



Przyjechała sama furmanką. Nie zatrzymałam się, nie pomyślałam ani nie zadawałam pytań; nikomu niczego nie powiedziałam. Szybko wdrapałam się na furmankę. Zalumma wsiadła ze mną. Loretta wskoczyła na kozioł i we trzy odjechałyśmy.

Jazda przez Arno, mostem Santa Trinita, nad ciemnymi wodami, gdzie rzekomo utonął Giuliano, była okropna. Usiłowałam powstrzymać myśli, kołaczące się w mojej głowie, lecz bez powodzenia.

„Lecz najmłodszy - ten jest najgroźniejszy...”

„A w domu masz doskonałą przynętę”.

- Nie mogę - powiedziałam głośno. Zalumma popatrzyła na mnie zmartwiona, ale nie odezwała się nawet słowem. List mógł być pułapką; Francesco musiał odkryć, że przetrzasam jego biurko, albo Isabella przestraszyła się i wszystko wygadała. To niemożliwe. Niemożliwe, żeby wszyscy wiedzieli, że Giuliano żyje, i nikt mi o tym nie powiedział.

Przypomniałam sobie, że umiera mój ojciec. Grunt usunął mi się spod nóg i straciłam oparcie.

Po raz pierwszy w życiu weszłam do sypialni ojca. Był środek dnia, na zewnątrz wiała chłodna bryza. W pokoju ojca było ciemno i gorąco od rozpalonego kominka, powietrze cuchnęło niewypowiedzianymi rzeczami.

Antonio leżał nagi pod starym, zniszczonym kocem w wilgotnym łóżku. Miał

zamknięte oczy, w świede sączącym się przez przymknięte okiennice wyglądał jak szarawobiały. Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy, jak wychudł, pod nagą piersią wystawały żebra, mogłam je wszystkie policzyć. Twarz wyglądała, jakby skóra rozpuszczała się na czaszce niczym wosk.

Kiedy podeszłam do łóżka, otworzył oczy. Były zagubione i lśniące, o pożółkłych białkach.

- Lizo - wyszeptał. Oddech pachniał ohydą słodczą.

- Ojciec - odparłam. Loretta przyniosła krzesło. Podziękowałam jej i odprawiłam z pokoju, poprosiłam tylko Zalummę, żeby została. Potem usiadłam i wzięłam ojca za rękę. Był

zbyt słaby, by odwzajemnić uścisk.

Jego oddech stał się krótki i płytki.

- Jakże jesteś podobna do matki... ale jeszcze piękniejsza. - Otworzyłam usta, żeby zaprzeczyć, lecz zmarszczył brwi. - Tak, piękniejsza... - Potoczył wzrokiem po pokoju. - Jest tu Matteo?

Przeszło mnie poczucie winy; jak mogłam odmówić mu jego jedynej radości, jego wnuka?

- Przykro mi - powiedziałam. - Śpi w domu.

- Dobrze. To nieodpowiednie miejsce dla dziecka. Nie spojrzałam na Zalummę.

- A więc otruli cię - powiedziałam.

- Tak. Zrobili to szybciej, niż się spodziewałem... - Zamrugał oczami. - Ledwo cię widzę. Cienie... - Skrzywił się w spazmie bólu. - Chciałem, żebyśmy wyjechali z Florencji.

Myślałem, że nawiązałem kontakt z człowiekiem, który nam pomoże... Zapłacili mu więcej niż ja. Tak mi przykro. Nawet tego nie mogę ci dać... - Mówienie wyraźnie go wyczerpało.

Łapiąc ciężko powietrze, zamknął oczy.

- Jest jedna rzecz, którą możesz mi dać - powiedziałam. - Prawda. Spojrzał na mnie z ukosa, spod zmrużonych powiek.

- Wiem, że zabiłeś Giuliana Starszego - powiedziałam. Stojąca za mną Zalumma wydała odgłos zdumienia i gniewu. Ojciec otworzył usta. - Proszę, nie denerwuj się, nie żądam od ciebie wyjaśnień. Wiem też, że zabiłeś Pica. Wiem, że robiłeś wszystko, co kazał

Francesco, żeby mnie ochronić. Ale to nie koniec tajemnic. Masz ich więcej. O moim pierwszym mężu.

O moim jedynym mężu.

Twarz skrzywiła mu się, wydał niski, okropny dźwięk podobny do łkania.

- Och, córeczko - powiedział. - Serce krwawiło mi, że tak okrutnie kłamię.

- Więc to prawda. - Zamknęłam oczy, pragnąc krzyczeć, dać upust gniewowi, radości i żalowi, lecz nie mogłam wydobyć żadnego dźwięku. Kiedy znowu uniosłam powieki, wszystko w pokoju wyglądało inaczej.

- Gdybym ci powiedział - wymamrotał - próbowałabyś do niego uciec.

I zabiliby cię. Zabiliby dziecko. A gdyby on próbował wrócić po ciebie, zabiliby jego.

- Giuliano - wyszeptała Zalumma. Spojrzałam na nią ostro. - Nie wiedziałam -

wyjaśniła. - Nie miałam pewności. Ktoś na targu powiedział raz coś, pomyślałam, że może...

Ale uznałam, że to szaleństwo. A mało kto we Florencji w ogóle śmiał wymówić nazwisko Medyceuszy, chyba że chodziło o krytykę. Nikt inny nie ważył się nigdy nic powiedzieć w mojej i twojej obecności, ponieważ wyszłaś za Francesca. A Francesco nakazał reszcie służby nigdy nie wspominać o Giulianie, żeby cię nie denerwować.

Moje życie z Franceskiem, uświadomiłam sobie, było ograniczone: widywałam służących, gości i współpracowników męża, ludzi w kościele. I nikt nigdy nie rozmawiał ze mną o Giulianie. Nikt z wyjątkiem Francesca nigdy nie mówił o Medyceuszach.

Zwróciłam się do ojca, nie mogąc ukryć cierpienia w głosie.

- Dlaczego po mnie nie przyjechał?

- Przyjechał. Wysłał człowieka. Francesco go zabił. Wysłał list, Francesco kazał mi odpisać, że umarłam. Nie sądzę, by uwierzył. Francesco powiedział, że ktoś odwiedził

baptysterium i znalazł wpis w rejestrze ślubów.

Salai. Leonardo. Może Giuliano usłyszał, że wyszłam za mąż, i polecił to sprawdzić.

Może uznał, że chcę, aby myślał, że umarłam.

„Wyobraź sobie, że jesteś znowu z Giulianem”, powiedział kiedyś Leonardo. „Że przedstawiasz mu syna”.

- Chcesz poznać prawdę - wyszeptał Antonio. - Jest jeszcze jedna rzecz. Powód, dla którego tak bardzo rozżłościłem się na twoją matkę...

Głos coraz bardziej mu słabł. Pochyliłam się, żeby lepiej słyszeć.

- Spójrz na swoją twarz, dziecko. Nie zobaczysz w niej mojej twarzy. A ja patrzyłem na ciebie tysiące razy i nigdy nie zobaczyłem podobieństwa do Giuliana Medyceusza. Był

inny mężczyzna...

Zbyłam tę uwagę jako gorączkowe bredzenie. Nie zastanawiałam się nad nią długo, gdyż ojciec zaczął kasłać, wydając niskie, bulgoczące rżenie. Krew zapieniła mu się na wargach.

Zalumma była już przy moim boku.

- Posadź go!

Chwyciłam go pod ramiona i dźwignęłam do góry. Ruch sprawił, że z ust trysnęła mu fontanna ciemnej krwi. Zalumma poszła zawołać Loret-tę, ja jedną ręką podpierałam ojcu plecy, a drugą podtrzymywałam głowę. Zakrztusił się i wypłuł drugi, jaśniejszy strumień krwi. Zdawało się, że to przyniosło mu ulgę, i siedział, dysząc ciężko. Chciałam zapytać, czyją twarz widzi, kiedy na mnie patrzy, lecz wiedziałam, że nie ma już czasu.

- Kocham cię - powiedziałam mu do ucha. - I wiem, że też mnie kochasz. Bóg wybaczy ci twoje grzechy.

Usłyszał. Stęknął i spróbował podnieść rękę, by pogłaskać mnie po dłoni, lecz nie miał dość sił.

- Wkrótce wyjadę stąd z dzieckiem - szepnęłam. - Znajdę sposób, żeby wyjechać do Giuliana, bo nie jestem już użyteczna dla Francesca. Nie martw się o nas. Będziemy bezpieczni i zawsze będziemy cię kochać.

Potrząsnął głową, pobudzony. Spróbował coś powiedzieć, lecz się rozkaszał.

Loretta przybiegła ze świeżymi ręcznikami. Wytarliśmy go dokładnie, a potem położyliśmy z powrotem. Nie przemówił już składnie. Oczy zmętniały mu i nie reagował na mój głos. Wkrótce potem zamknął oczy i zdawało się, że zasnął.

Siedziałam przy nim przez całe popołudnie. Siedziałam o zmierzchu i gdy zapadł

wieczór. Kiedy zjawił się Francesco, pokrywając oburzenie na moją ucieczkę z pałacu maską fałszywego współczucia, nie wpuściłam go do komnaty.

Zostałam przy ojcu aż do północy, kiedy zdałam sobie sprawę, że od dłuższego czasu nie oddycha. Zawołałam Lorette i Załummę, a potem zesłam na dół, do jadalni, gdzie siedział Francesco, pijąc wino.

- Nie żyje? - zapytał życzliwie. Pokiwałam głową. Nie uroniłam ani jednej łzy.

- Będę się modlił o jego duszę. Na co umarł?

- Od gorączki - odrzekłam. - Wywołanej chorobą trzewi. Francesco przyjrzał mi się uważnie i zdawał się usatysfakcjonowany tym, co zobaczył. Może nie byłam jednak aż tak kiepskim szpiegiem.

- Przykro mi. Zostaniesz z nim?

- Tak. Aż do pogrzebu. Muszę porozmawiać ze służącymi, znaleźć im miejsce u nas albo przy innych rodzinach. Poza tym będzie wiele spraw do załatwienia...

- Muszę wracać do domu. Czekam na wiadomość o przyjeździe naszego gościa i muszę zająć się sprawami w Signorii.

- Rozumiem. - Wiedziałałam, że Savonarola został aresztowany dzięki dokonaniu w samą porę przejściu Francesca na stronę *Arrabbiati*. Przynajmniej nie będę musiała dłużej udawać, że jesteśmy z mężem pobożną rodziną.

- Czy zobaczę cię na pogrzebie?

- Oczywiście. Niech Bóg da nam wszystkim siłę.

- Tak - odparłam. Pragnęłam siły. Potrzebowałam jej do zabicia Fran-cesca.

Tamtej nocy zostałam w domu ojca i spałam w łóżku matki. Zalumma wróciła do pałacu Francesca i przywiozła mi rzeczy osobiste oraz suknię i welon na pogrzeb. Zabrała też, na moje życzenie, duży szmaragd, który Francesco dał mi pierwszej nocy, kiedy mnie posiadał, oraz kolczyki z brylantów i opali. Matteo pozostał z piastunką w domu, nie miałam serca sprowadzać go w tak nieszczęśliwe miejsce.

Nie przyglądałam się, gdy Loretta myła ciało ojca. Zamiast tego poszłam do jego gabinetu, wzięłam pergamin, pióro i atrament.

*Giuliano Medyceusz*

*Rzym*

*Najukochańszy mój.*

*Oklamano mnie, powiedziano, że umarłeś. Ale nigdy nie przestałam Cię kochać.*

*Uważaj, Sahatore de'Pazzi i Francesco del Giocondo planują sprowadzić tu Ciebie i Piera, aby Was zabić. Zbierają we Florencji wojsko. Chcą powtórzyć - tym razem skutecznie -*

*plan Messera Iacopa de 'Pazziego i skrzyknąć obywateli na Piazza delia Signoria przeciwko Medyceuszom.*

*Nie wolno Ci przyjeżdżać.*

Zamyśliłam się. Po tak długim czasie nie mógł być pewien mojego charakteru pisma.

Co napisać, żeby potwierdzić autentyczność listu?

*Proszę Cię tylko o to, co kiedyś: wyznacz miejsce, w innym mieście, i porę. Tak czy inaczej, przybędę do Ciebie wkrótce. Nie waż się komunikować ze mną - Twój list zostałby skonfiskowany i przeczytany, a ja i nasze dziecko - Twój syn - znaleźlibyśmy się w niebezpieczeństwie.*

*Oddzielono mnie od Ciebie za sprawą potwornego kłamstwa. Teraz, gdy znam prawdę, nie mogę znieść rozłąki z Tobą ani chwili dłużej niż to konieczne.*

*Twoja kochająca żona Liza di Antonio Gherardini*

Kiedy wróciła Zalumma, wręczyłam jej złożony pergamin.

- Nie mogę tego po prostu wysłać jako zwyczajnego listu - powiedziałam. - Rada Ośmiu przechwyciłaby go i zapłaciłabym za to głową. Będę musiała przekupić kogoś, kto będzie skłonny ukryć go przy sobie, pojechać aż do Rzymu i doręczyć osobiście. - Dałam jej szmaragd i kolczyki. - Jesteś jedyną osobą, której mogę ufać - powiedziałam. Myślałam, że mogłam ufać Leonardowi, lecz teraz nie byłabym w stanie wymówić jego imienia bez złości.

Świadomie ukrył przede mną jedyną prawdę, która uleczyłaby moje złamane serce.

„Giuliano... umarł. Mało kto o tym słyszał. Większość wierzy, że wciąż żyje”.

„Wciąż go kochasz?”

Podczas pierwszego spotkania był powściągliwy, myślał, że wyszłam za innego mężczyznę, choć mój pierwszy mąż wciąż żył. Uznał mnie za zdolną do całkowitej zdrady -

bo sam był do niej zdolny.

Zalumma wzięła klejnoty i włożyła je ostrożnie do kieszeni ukrytej w fałdach sukni.

- Jeśli to możliwe - zapewniła - znajdę kogoś takiego. Ustaliśmy, że wcześniej rano ruszy na poszukiwania kuriera. Powie, że byłam tak wstrząśnięta i zrozpaczona, iż poszła do apteki po coś na ukojenie nerwów. Było wcześniej, a ja tak cierpiąca, że nie chciałam czekać, aż Claudio się obudzi i przygotuje powóz i wysłałam ją pieszo.

Bałam się wypuszczać ją na tak niebezpieczną wyprawę, martwiło mnie szczególnie jedno.

- Nie wzięłam ze sobą sztyletu - powiedziałam. W przeciwnym wypadku dałabym go jej.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

- A ja tak.

Tamtej nocy nie opłakiwałam ojca. Leżałam z Zalumma w łóżku matki na pościeli, na którego wyniesienie ojciec nigdy się nie zdobył, i nie spałam. Teraz, po śmierci Antonia, byłam dla Francesca mało przydatna - chyba że jako przynęta, czyli w roli, której nie zamierzałam odegrać. Nadszedł czas ucieczki; moim ostatecznym celem był Rzym.

Rozważałam tuzin rozmaitych sposobów wydostania się za bramy miasta, żaden jednak nie wydawał mi się bezpieczny lub wykonalny, gdy w grę wchodził ruchliwy dwuletni chłopiec.

Podjęłam tylko jedną decyzję: że we troje - Zalumma, Matteo i ja - uciekniemy parę godzin przed świtem, po powrocie Francesca z nocnych uciech, tak abym wcześniej mogła zabić go, gdy będzie leżał pijany w łóżku.

W ciszy poranka, gdy wszyscy nadal spali, Zalumma ruszyła w drogę. Wzięłam ją za rękę i pocałowałam w policzek.

- Zobaczymy się - obiecała - nie później niż na pogrzebie twojego ojca. Jeśli się spóźnię, znajdę cię w kościele. - Cichym krokiem ruszyła do drzwi, po chwili jednak zatrzymała się, zamyślona, i spojrzała na mnie przez ramię. - Wybaczylesz ojcu wiele rzeczy -

powiedziała. - Zbyt wiele. Ale może też postaram się mu wybaczyć.

Kiedy zostałam sama, poszłam do sypialni ojca. Wyglądał ponuro i nieszczęśliwie w białej lnianej koszuli, z rękami złożonymi na małym czerwonym krzyżu. Wyjęłam mu go z dłoni i schowałam w szafie, pod stosem tunik, gdzie Loretta nie mogłaby go znaleźć, a gdy to robiłam, natknęłam się na sztylet ze złotą rękojeścią - piękny i zabójczy - i schowałam go pod pasem.

Pogrzeb odbył się tuż po nonie, wczesnym popołudniem, w Santo Spi-rito. Loretta poszła tam wcześniej, żeby wszystko ustalić. Zaraza przestała się rozprzestrzeniać i wynajęcie grabarzy okazało się łatwiejsze, niż się spodziewała.

Msza odprawiona za duszę ojca była krótka i smutna. Francesco przybył i przesiedział

niecierpliwie całe nabożeństwo, po czym opuścił nas nagle, tłumacząc, że ma pilną sprawę w Signorii. Ulżyło mi, gdyż ukrywanie bezkresnej nienawiści do niego stało się dla mnie wprost niemożliwe.

Ledwie garstka osób stała nad mogiłą, tylko wuj Laurojego żona i dzieci, Loretta, stajenny oraz kucharka ojca i ja. Matteo został w domu z piastunką.

Gdy rzucałam pierwszą garść ziemi na trumnę - złożoną obok słodkich marmurowych cherubinów matki - nie uрониłam ani jednej łzy.

Może strach odebrał mi zdolność płaczu, bo Zalumma nie wracała. Popęłniłam błąd, karciałam się w duchu, że wysłałam ją samą z kosztownymi klejnotami, zwłaszcza o tak wczesnej porze, gdy ulice były wyludnione. Gdyby napadli ją rabusie, kto usłyszałby wołanie o pomoc?

Nadszedł czas, by wrócić do domu ojca na stypę. Wuj Lauro i pozostali próbowali mnie nakłonić, żebym poszła wraz z nimi, ale odmówiłam. Chciałam spędzić choć chwilę z ojcem i matką, chciałam zostać dłużej na wypadek, gdyby Zalumma wreszcie wróciła.

Kiedy odeszli, tylko krótką chwilę byłam sama. Zbliżył się do mnie jeden z augustianów z Santo Spirito, ubrany w tradycyjny habit swego zakonu z postawionym kapturem i krótką peleryną.

Nie miałam ochoty na rozmowę. Mimo to stanął tuż przy moim boku i szepnął:

- Madonna Liza, tak mi przykro.

Dźwięk tego głosu wzbudził we mnie odrazę. Odwróciłam twarz w drugą stronę.

- Dałaś sygnał, że znalazłaś list - powiedział - ale nie przyszłaś, zaniepokoiłem się.

Przykro mi, że przyczyną była śmierć Antonia.

- Odejdź. - Głos mi się załamywał. - Odejdź i nigdy nie wracaj. Kątem oka zauważyłam, jak Leonardo pochyla głowę.

- Masz prawo być zła: nie mogłem go ocalić, mimo że o to błagałaś. Ale nie znalazłem żadnego sposobu. Żadnego sposobu, który nie naraziłby ciebie i Mattea. Może, gdy żal osłabnie, zrozumiesz...

- Rozumiem, że jesteś kłamcą, że byłeś nim, panie, od samego początku. Wiedziałaś...

- słowa uwięzły mi w gardle. - Giuliano żyje. A przez ciebie cały ten czas żyłam w żałobie i cierpieniu. Jak dobry szpieg wykorzystałaś mnie bez serca!

Uniósł głowę i się wyprostował.

- Już dawno temu mówiłem ci, że nie mogę powiedzieć wszystkiego, ponieważ naraziłoby cię to na niebezpieczeństwo. Nie wykorzystałem cię. Zależy mi na tobie bardziej, niż myślisz.

- O tak! Patrzysz na mnie, żeby wspominać swego drogiego utraconego Giuliana.

Zarumienił się i upłynęła chwila, zanim nad sobą zapanował.

- Jak dowiedziałaś się o tym, że żyje? Z listu?

- I od ojca, zanim umarł.

Niestosownym, bezceremonialnym gestem męża albo brata chwycił mnie za łokieć.

Opierałam się, ale nie chciał puścić.

- Powiedz, z kim o tym rozmawiałaś? Czy Francesco ma pojęcie, że wiesz, że Giuliano żyje?

Spróbowałam mu się wyszarpnąć, ale jego dłoń zacisnęła mi się na ramieniu jeszcze mocniej.

- Nie - odparłam. - Nie jestem aż tak głupia. Dlaczego mi nie powiedziałaś?! Dlaczego dałaś mi cierpieć przez cały ten czas?

- Spójrz na siebie - powiedział ostro. Jeszcze nigdy nie słyszałam u niego takiego tonu. - Sama sobie odpowiedz. Ludzie zabijają i giną, ponieważ nie potrafią zapanować nad uczuciami. Nie znałaś mnie dobrze, kiedy pierwszy raz spotkaliśmy się w Santissima Annunziata. Nie miałaś powodu, by mi ufać. Gdybym powiedział ci, że Giuliano żyje, natychmiast byś do niego napisała. Albo spróbowałaś pojechać do Rzymu, aby go odnaleźć. Nic, co mogłem powiedzieć, by cię nie powstrzymało. I ty albo on, albo oboje stracilibyście życie. Gdybym kiedykolwiek powiedział mu, że wyszłaś za Francesca del Giocondo, ponieważ myślałaś, że nie żyje, Giuliano...

- Przyjechałby po mnie, prawda? Więc jego też okłamałaś. Czemu teraz miałabym ci zaufać? - Łzy, które tak długo powstrzymywałam, spłynęły po policzkach. - Czemu miałabym teraz opowiadać ci o treści listu? Sama ostrzegę go przed niebezpieczeństwem...

- Boże - wyszeptał z miną tak zatrwożoną, że umilkłam. - Lizo, przysięgnij mi, że nie próbowałaś się z nim skontaktować!

- Niczego nie przysięgnę - odparłam ostro. - Zamierzają go tu zwabić, jego i Piera, a potem zamordować. Chcą, żeby wszystko się powtórzyło, chcą skrzyknąć lud przeciw Medyceuszom, tak jak bezskutecznie próbował to zrobić Messer Iacopo. Myślisz, że pozwoliłabym Giulianowi narazić się



na niebezpieczeństwo? Napisałam mu, żeby nie przyjeżdżał i żeby został w Rzymie. - Szarpnęłam ramieniem. - Puść mnie!

Znowu wyciągnął do mnie rękę, ale się cofnęłam.

- Lizo... Oni to odkryją. Zabiją cię.

- Nie dowiedzą się. Zadbłam o to

W oddali ktoś zawołał mnie po imieniu. Odwróciłam się i zobaczyłam Loretę biegnącą w naszą stronę.

- Lizo, proszę. - Nigdy nie słyszałam takiej rozpacz w jego głosie. - Nie możesz z nią wrócić: zwabia cię w pułapkę, zabiją albo wykorzystają przeciw Giulianowi. Jak mam cię przekonać...? Wszystko, co kiedykolwiek zrobiłem, uczyniłem z myślą o bezpieczeństwie twoim i dziecka. - Z zaskoczeniem stwierdziłam, że oczy zachodzą mu łzami.

Wspaniale to odegrał, powiedziałam sobie w duchu. Loretta była wciąż zbyt daleko, by nas usłyszeć, lecz na tyle blisko, abym dostrzegła panikę w jej twarzy. Leonardo puścił

moje ramię, żeby nie zobaczyła mnicha zachowującego się tak podejrzanie.

- Będziesz musiał przekonać mnie bardzo szybko, bo idę do domu. - To rzekłszy, odwróciłam się od niego i ruszyłam w stronę Loretty.

- Lizo, kocham cię - powiedział prędko. Obejrzałam się.

- Nie tak bardzo, jak kochałeś Giuliana - sarknęłam.

- Bardziej - odrzekł. - Bardziej nawet niż kochałem twoją matkę. Zatrzymałam się.

- Giuliano Medyceusz nie był twoim ojcem - powiedział. - Ja nim jestem.

- Madonna Liza! - zawołała Loretta. Czerwona na twarzy, dyszała ciężko, przystanawszy w bramie cmentarza. - Matteo jest chory! Myślą, że to *la moria* Claudio tu jest, czeka, żeby zawieźć cię do domu!

- Matteo jest chory - powiedziałam do Leonarda. Otworzył usta i znowu wyciągnął rękę, lecz zanim zdążył mnie dotknąć albo się odezwać, chwyciłam spódnicę i pobiegłam do Loretty.

Wpadłam pędem do pałacu i wbiegłabym na schody, gdyby mąż nie zawołał mnie z jadalni.

- Lizo! Chodź i poznaj naszego gościa!

Francesco wyłonił się z drzwi z dobrodusznym uśmiechem na ustach i wziął mnie za ramię.

- Chodź - powiedział i pociągnął mnie za sobą, zanim zdążyłam zaprotestować.

Przy długim stole siedział mężczyzna. Na mój widok podniósł się i uklonił. Był o dobrą głowę niższy niż Francesco i o dwadzieścia lat młodszy. Jego krótka tunika, spiczasta bródka i akcent mówiły, że pochodzi z Rzymu.

- Madonna Liza?

- Proszę - powiedziałam - musisz mi wybaczyć, panie. Mój syn jest bardzo chory.

Muszę do niego iść.

Francesco wciąż się uśmiechał.

- Nie ma pośpiechu. Chodź i usiądź z nami.

Jego łagodny wyraz twarzy był zupełnie nie na miejscu. Wpadłam w panikę. Czy dziecko umarło, a Francesco zamierza mnie teraz uspokajać? Czy nieznajomy jest lekarzem, który został, aby mnie pocieszyć?

- Gdzie jest Matteo? - zapytałam.

- Pod czujnym okiem - powiedział ze złośliwą dwuznacznością.

Nie próbował mnie zatrzymać, gdy pobiegłam na górę, potykając się o spódnicę, rozgorączkowana. Kiedy otworzyłam drzwi dziecinnego pokoju, zobaczyłam, że komnata jest pusta: dokładnie wysprzątana z rzeczy Mattea. Izba piastunki także okazała się pusta. Na łóżku i w kołysce nie było pościeli.

Jak oszalała pobiegłam z powrotem na dół. Francesco zatrzymał mnie na pierwszym piętrze, przed swoimi komnatami.

- Gdzie on jest? - krzyczałam, drżąc i kipiąc ze złości. - Dokąd go zabrałeś?

- Wszyscy jesteśmy w gabinecie - odrzekł spokojnie i wziął mnie za ramię, zanim zdołałam sięgnąć po sztylet.

Rozejrzałam się po gabinecie: mojego dziecka tu nie było. Za to nasz gość siedział

przy małym okrągłym stoliku pośrodku pokoju, przed kominkiem. Po jego bokach stali dwaj mężczyźni: Claudio i jeden z żołnierzy, którzy strzegli pałacu tuż po próbie ognia Savonaroli.

Żołnierz trzymał nóż przy gardle Zalummy.

- Jak możesz to robić? - syknęłam do Francesca. - Jak możesz to robić naszemu synowi?

Prychnął z obrzydzeniem.

- Mam oczy. Jest taki jak jego matka: wątpliwego pochodzenia. Poprowadził mnie do krzesła naprzeciw gościa; osunęłam się na nie ze wzrokiem utkwionym w Zalummę. Stała z kamienną twarzą, prężąc się hardo. Na stole przede mną leżał list do Giuliana, rozłożony i otwarty, tak że można go było z łatwością przeczytać. Obok zobaczyłam pióro, kałamarz i świeży kawałek pergaminu. Francesco stanął obok mnie i położył mi dłoń na ramieniu.

- Mamy kłopot z tym listem. Trzeba napisać go od nowa.

Nie odpowiedziałam. Spojrzałam Zalummie w oczy: były jak nieprzeniknione czarne lustra. Nasz gość skinął na żołnierza, a ten przycisnął ostrze noża do gardła, aż stęknęła.

Ciemna strużka wyciekła z ciała i spłynęła po szyi, gromadząc się w zagłębieniu nad obojczykiem. Odwróciła wzrok. Nie chciała, żebym zobaczyła na jej twarzy strach przed zbliżającą się śmiercią.

- Dobrze - powiedziałam. - Napiszę, co tylko chcecie. - Zmierzyłam wzrokiem żołnierza, Claudia i mężczyznę z bródką, wszyscy znajdowali się po przeciwnej stronie stołu.

Zerknęłam na Francesca u mego boku. Gdybym chwyciła za sztylet ukryty pod pasem, powstrzymałoby mnie, zanim zdążyłabym okrążyć stół, a Zalumma zapłaciłaby za to życiem.

Francesco skinął łaskawie na brodatego mężczyznę.

- Ser Salvatore - rzekł. - Proszę bardzo. Salvatore oparł łokcie o stół i pochylił się ku mnie.

- Przepisz dwie pierwsze linijki - powiedział. - List musi brzmieć tak, jakbyś napisała go sama.

Zamoczyłam pióro w kałamarzu i naskrobałam na pergaminie: *Najukochańszy mój.*

*Oklamano mnie, powiedziano, że umarłeś. Ale nigdy nie przestałam Cię kochać.*

- Bardzo dobrze - pochwalił Salvatore, po czym podyktował resztę listu: *Twój syn i ja jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie; zostaliśmy schwytani przez Twoich wrogów. Jeśli Ty i Twój brat Piero nie pojawicie się w Santa Maria del Fiore na sumie dwudziestego czwartego maja, zabiją nas. Jeśli wyślecie wojska albo kogokolwiek na swoje miejsce, zabiją nas.*

*Twoja kochająca żona Liza di Antonio Gherardini „Giocondo”,* powiedział, lecz krnąbrnie nie dostawiłam ostatniego słowa. Francesco złożył list i podał Claudiowi, który schował go do kieszeni.

- A teraz - powiedział mój rzekomy mąż, zwracając się do mnie - porozmawiajmy o tym, jak myszkowałeś w moim biurku.

- Ja nie chciałam - odparłam. - Byłam ciekawa, przeczytałam tylko ten jeden list...

- Ciekawe. Isabella mówi co innego. Twierdzi, że zostawiasz książkę na nocnym stoliku jako sygnał, żeby powiedziała niejakiemu Giancarlovi, że nazajutrz wybierzesz się do kościoła.

- Z kim spotykasz się w Santissima Annunziata, Lizo? - zapytał Salvato-re niemal przyjaznym tonem.

- Tylko z Giancarlem - odrzekłam prędko. - Mówię mu, co przeczytałam w listach.

- Kłamie. - Ton Francesca był brutalny; używał go wcześniej, gdy mnie lżył jako

„ladacznicę”.

Salvatore siedział nieruchomo.

- Myślę, że twój mąż ma rację, Lizo. I myślę, że ma rację, gdy mówi, że jesteś bardzo zżyta ze swoją niewolnicą. Należała do twojej matki, tak?

Spuściłam wzrok na stół.

- Spotykam się ze szpiegiem - powiedziałam. - Ze starszym mężczyzną o siwych włosach. Nie wiem, jak się nazywa. Pewnej nocy nakryłam Giancarla w gabinecie z listem w ręku. Byłam ciekawa. Przeczytałam go.

- Jak dawno temu to było? - spytał Salvatore.

- Nie wiem, rok, może dwa lata temu. Powiedział, że pracuje dla Me-dyceuszy.

Postanowiłam zrobić, o co poprosił: chodzić do Santissima Annunziata i opowiadać starszemu mężczyźnie o listach.

Salvatore zerknął na żołnierza, który trzymał Zalummę. Po prostu zerknął i uniósł

palec.

Podążyłam za jego spojrzeniem. Żołnierz wykonał szybki, nieznaczny ruch nożem pod szczęką Zalumy. Szybki, nieznaczny i łatwy; usłyszałam odgłos rozlewającego się płynu. Zalumma upadłaby wprost na podłogę, lecz żołnierz złapał ją i opuścił. Osunęła się powoli, z gracją łabędzia.

- Wezwij służącego - rozkazał Salvatore żołnierzowi. - Weź coś, żeby to posprzątać.

Krzyknęłam i poderwałam się z krzesła; Francesco usadził mnie z powrotem.

- Kłamiesz, Lizo - powiedział Salvatore. - Wiesz, że ten młodzieniec nie ma na imię Giancarlo, tylko Gian Giacomo. I wiesz, jak nazywa się ten starszy.

Szlochałam histerycznie, nie mogąc mówić. Zalumma nie żyła i chciałam umrzeć.

Francesco musiał mówić bardzo głośno, żeby przebić się przez mój płacz.

- No co, Lizo, czy mam teraz posłać po małego Mattea? Jego też możemy tu sprowadzić. A może zdradzisz nam, jak się nazywa ów starszy mężczyzna?

- Sprowadź go - wyłkałam. - Sprowadź go i pokaż mi, że żyje. Jeśli nie, będziecie musieli mnie

zabić.

Francesco westchnął z irytacją, ale Salvatore dał znak, żeby wyszedł z pokoju. Wrócił

kilka chwil później, a za nim wystraszona piastunka, prowadząc za rączkę Mattea.

Chłopiec roześmiał się i chciał do mnie podejść, wyciągnął do mnie ramiona. Lecz gdy zobaczył Zalummę na podłodze i szlochającą matkę, sam też się rozplakał. Rzuciłam się ku niemu, ale w tej samej chwili Francesco podniósł go i oddał piastunce; moje palce musnęły grzbiet pulchnej rączki.

- Idźcie - mruknął Francesco i zamknął za nimi drzwi. Obaj z Salvatore odwrócili się do mnie.

- Nazwisko, Lizo - powiedział Francesco.

Nie widziałam Zalummy, bo upadła za stół, lecz wyczuwałam obecność jej ciała, tak jak wyczuwa się ciepło ognia. Spuściłam głowę, a potem bardzo cicho wyszeptałam:

- Leonardo da Vinci.

69

Nie patrzyłam na Zalummę, gdy mnie wyprowadzano; nie chciałam zapamiętać jej tak, jak pamiętałam matkę, z mętnymi oczami, obryzganą krwią. Francesco i Salvatore rozmawiali. Salvatore mówił z ożywieniem:

- Czy to znaczy, że teraz musimy zmienić plan? Jeśli powiedziała o liście temu Leonardowi... Francesco był spokojny.

- Isabella mówi, że nie miała czasu wybrać się do Santissima Annunziata. Odkryła list, zanim pojechała do ojca, a od tamtej pory nigdzie nie była, jeśli nie liczyć tego domu i cmentarza.

Były to słowa, które wtedy nic dla mnie nie znaczyły. Później miały się okazać ważne.

Przez kilka następnych tygodni siedziałam zamknięta w swojej komnacie. Jacyś ludzie stali na straży w korytarzu za moimi drzwiami. Francesco powiedział służbie, że przyłapano mnie na szpiegostwie na rzecz Medyceuszy i że Signoria nie zdecydowała jeszcze, czy wnieść oskarżenie; z życzliwości pozwolono mu przetrzymywać mnie pod ścisłym dozorem w pałacu.

Pierwszego dnia, gdy zamknęli mnie w pokoju, przez godzinę byłam sama i mimo obezwładniającej rozpaczki zdałam sobie sprawę, że powinnam ukryć sztylet ojca, zanim zostaną przeszukana albo rozebrana. Wsunęłam go głęboko w puchową warstwę materaca, przy samej ścianie. Gdy wieczorem Elena weszła z tacą jedzenia i zamiarem rozsznurowania mi sukni, przyjęłam ją bez lęku.

Wiecznie pogodne spojrzenie i uśmiech Eleny zniknęły, w mojej obecności była przygnębiona i nie mogła spojrzeć mi w oczy.

Starałam się mówić składnie, bez płaczu.

- Chcę ją umyć - powiedziałam.

Elena postawiła tacę na stole przy kominku i spojrzała na mnie, po czym szybko spuściła wzrok na podłogę.

- Słucham, Madonna?

- Chciałabym umyć ciało Zalummy. Była mi bardzo droga. I... - Głos zaczął mi się załamywać. - I chcę być przy jej pochówku. Gdybyś mogła poprosić Francesca... może wysłać ze mną strażnika. Była przy moich narodzinach. Proszę... zapytaj go...

Zasmucona, spuściła głowę.

- Zapytam, Madonna. Jest bez serca i odmówi, ale zapytam.

Usiadłam na fotelu przed zimnym kominkiem, zamknęłam oczy i przycisnęłam złożone dłonie do warg. Byłam zbyt zdruzgotana, by się modlić. Elena podeszła i łagodnie pogładziła mnie po ręce.

- Postaram się go przekonać, Madonna. - Zawahała się. - To okropne, co zrobili Zalummie... Mówią, że była szpiegiem, że była niebezpieczna, ale ja wiem lepiej. Nie służę w domu ser Francesca od początku. Przyszłam tu ze swoją panią, Madonną Nanniną. Bardzo ją kochałam, a kiedy umarła... - Potrząsnęła głową. - Chciałam się przenieść do innego domu.

Teraz żałuję, że tego nie zrobiłam. Boję się go.

- A Matteo? - powiedziałam, zgnębiona. - Gdybym wiedziała, czy... Jej twarz się rozjaśniła. Dopiero teraz spojrzała mi w oczy.

- Twoje dziecko, Madonna, czuje się dobrze. Nie skrzywdzili go... przypuszczam, że nawet ser Francesco by się na to nie zdobył, to zbyt okrutne. Przetrzywiają chłopca na dole, w pokojach służby.

Ból w mojej piersi zelżał. Ośmielona, zapytałam:

- A Isabella?

- Zniknęła. Uciekła...-Elena urwała i nie powiedziała nic więcej, uświadomiwszy sobie, że może się narażać. Rozsznurowała mi suknię i odłożyła ją do szafy, potem zostałam znowu sama. Na korytarzu za drzwiami usłyszałam szuranie krzesła o posadzkę, a potem sadowiące się na nim ciężkie ciało. Claudio, zgadłam, albo jakiś żołnierz.

Pierwszej nocy byłam oszołomiona, przytłoczona. Tylu bliskich już straciłam: matkę, Giuliana, ojca... Zalumma była przy mnie zawsze i zawsze się mną opiekowała. Tylko ona wiedziałaby, jak mnie pocieszyć, gdy odebrano mi Mattea. Powtarzałam sobie w duchu, że Salvatore może chcieć skrzywdzić mojego syna, ale Francesco nigdy na to nie pozwoli.

Nadzieja, że dziecku nic się nie stanie, była jednak cienką nicią; gdybym uchwyciła się jej zbyt mocno, mogłaby pęknąć.

Nie chciałam kłaść się w swoim ogromnym i miękkim łożu ze sztyletem w materacu.

Zamiast tego rzuciłam się na posłanie Zalummy i płakałam tak długo, aż usnęłam.

Oczywiście Francesco nie chciał nawet słyszeć o tym, żebym pomogła przy pochówku Zalummy albo żebym poszła na pogrzeb. To, jak pozbył się ciała, pozostało dla mnie tajemnicą.

Aż do śmierci ojca i Zalummy, aż do momentu, gdy odebrano mi Mattea, nie zdawałam sobie sprawy jak bardzo nienawiść może zawładnąć ludzkim sercem. Podobnie jak mój ojciec Antonio, na myśl o tym, że żona odejdzie do innego, byłam pochłonięta tylko jednym: marzyłam ó morderstwie. Wiedziałam, że nie mogłabym spocząć, póki nie zobaczę sztyletu ojca zatopionego w piersi Francesca aż po rękojeść.

„Twój temperament po czterokroć skojarzony jest z ogniem - powiedział mi kiedyś astrolog. - To gorący piec, w którym musi się wykuć miecz sprawiedliwości”.

Nie obchodziła mnie sprawiedliwość. Pragnęłam zemsty!

Podczas długich, samotnych godzin wyciągałam sztylet i ważyłam go w dłoni: był

ciężki i zimny. Wmówiłam sobie, że właśnie nim zamordowano Giuliana Starszego, że ojciec zachował go, żeby przypominał mu o winie. „Wszystko się powtarza”, wyszeptała kiedyś moja matka i wreszcie ją pojęłam. Nie chodziło jej o to, że obie pokochamy mężczyzn o imieniu Giuliano ani że urodzimy dzieci, których nie spłodzili ich domniemani ojcowie, ani że zostaniemy uwięzione przez naszych mężów.

„Jesteś więźniem w błędnym kole przemocy, krwi i oszustwa. Co inni zaczęli, ty musisz dokończyć”.

Przyłożyłam palec do ostrza sztyletu, zabójczo ostrego i lśniącego, i nakłułam opuszek. Wypłynęła krew, ciemna perła, i przytknęłam do niej usta, zanim poplamiła mi suknię. Smakowała jak metal, jak ostrze.

Co miało się powtórzyć? Jak miałam to dokończyć?

Przypomniałam sobie, co matka mówiła mi o śmierci Giuliana; rozważałam każdy krok.

W Duomo ksiądz uniósł kielich z winem, które przeistoczyło się w krew Chrystusa; to był dla skrytobójców sygnał do ataku.

W pobliskiej dzwonnicy zaczął bić dzwon, był to sygnał dla Messera Iacopa do wjechania na Piazza delia Signoria, gdzie miał ogłosić koniec panowania Medyceuszy i spotkać się z najemnikami, którzy pomogliby mu zdobyć Palazzo delia Signoria, a w efekcie władzę.

Plan Messera Iacopa zakończył się klęską, ponieważ opłaceni żołnierze nie przybyli z pomocą, a obywatele pozostali lojalni wobec Medyceuszy.

W Duomo jednak plan częściowo się powiódł.

Na chwilę przed sygnałem w postaci uniesionego kielicha mój ojciec Antonio dźgnął

Giuliana w plecy. Następnie na ofiarę spadły ciosy Baroncellego, aż wreszcie rozgorączkowany, brutalny atak Francesca de'Pazzięgo. Ale Wawrzyniec - po drugiej stronie kościoła - okazał się zbyt szybki dla niedoszłych zabójców. Odnosił tylko powierzchowną ranę i bronił się przed napastnikami, póki nie udało mu się uciec do północnej zakrystii.

Gdyby Piero i Giuliano zjawili się teraz we Florencji, odegraliby role obu braci. Nie miałam wątpliwości, że Francesco i ser Salvatore dopilnują, by w katedrze czekali na nich liczni skrytobójcy. Salvatore wyraźnie marzył o roli Messera Iacopa i wjechaniu, tym razem zwycięsko, na Piazza della Signoria, aby obwieścić tłumowi, że właśnie ocalił Florencję przed Medyceuszami.

Ale jaka rola miała przypaść mnie? Nie zamierzałam siedzieć beczynn timer czekać na śmierć; wiedziałam, że zginę, bez względu na to, czy plan się powiedzie, czy nie. I to samo spotka mojego syna, chyba że postaram się temu zapobiec.

I wtedy zrozumiałam: to ja będę pokutnikiem, tym, który pała osobistym, a nie politycznym gniewem. Tym, który zada pierwszy cios.

Często rozmyślałam o Leonardzie. W tamtych dniach moje łzy tryskały z wielu źródeł; poczucie winy, że go zdradziłam, było jednym z nich. Isa-bella zniknęła z pałacu, Elena nie chciała mi powiedzieć o niej nic więcej; miałam nadzieję, że uciekła i ostrzegła Salaja i jego mistrza. Mogłam mieć tylko nadzieję, że opuścili Santissima Annunziata na długo, zanim przybyli ludzie Salvatore.

Myślałam o jego ostatnich słowach: „Giuliano Medyceusz nie był twoim ojcem. Ja nim jestem”.

„Lizo, kocham cię”, powiedział. Jego ton przypomniął mi o kimś innym, o kimś, kto przemówił dawno temu, lecz dopiero po długim namyśle przypomniłam sobie, kto to był.

Wawrzyniec Medyceusz leżał umierający, a ja zapytałam, dlaczego jest dla mnie taki dobry.

„Kocham cię, dziecko”, odpowiedział.

Czy wierzył, że jest moim stryjcem? Czy Leonardo powiedział mu prawdę?

Wzięłam lusterko i spojrzałam w nie. Okłamałam Leonarda, mówiąc, że rzadko patrzę w swoje odbicie. Kiedy dowiedziałam się o romansie matki z Giulianem, gorliwie szukałam w sobie podobieństw do uśmiechniętego młodzieńca z terakotowego popiersia Leonarda. I nigdy żadnego nie znalazłam.

Teraz, gdy spojrzałam w zwierciadło, popatrzył na mnie Leonardo, mizerny i osowiały.

Dwudzięstego trzeciego maja, dzień przed spotkaniem z Giulianem w Duomo, obudziłam się późno. W nocy źle spałam, obudzona płaczem Mattea na dole, potem płakałam aż do świtu i dłużej, aż zapadłam w ciężki sen.

Wstałam, wyszłam na balkon i zmrużyłam oczy od słońca, zdumiona, że stoi wysoko nad moją głową



i chyli się lekko ku zachodowi; było już popołudnie. Niebo było wyjątkowo błękitne i bezchmurne, z wyjątkiem cienkich smug ciemnego dymu wzbijającego się na wschodzie.

Wpatrywałam się w nie zahipnotyzowana. Weszła Elena. Wróciłam do pokoju w chwili, gdy kładła na stole tacę z chlebem i owocami. Prostując się, spojrzała na mnie z posępną miną.

- Widziałaś dym, pani.

- Tak - odparłam, wciąż niedobudzona. - Czy to...?

- Savonarola.

- Więc go spalili. - Nie słyszałam żadnych nowin od kilku tygodni, odkąd Savonarola został aresztowany. Ale zorientowałam się od razu, gdy zobaczyłam dym.

- Najpierw go powiesili - powiedziała ze smutkiem. - Na placu, tam, gdzie palono Ognisko Próżności i zorganizowano próbę ognia. Poszłam tam dziś rano. Ser Francesco zachęcał nas wszystkich, żebyśmy się wybrali.

- Powiedział coś?

- Fra Girolamo? Nie, ani słowa. Był ubrany tylko w wełnianą koszulę. Wyglądało to wstrętne. Wnieśli okrągłe rusztowanie, wypełnili je podpałką i postawili pośrodku drewniany słup tak wysoki, że zbudowali specjalną drabinę. Kat zaniósł Savonarolę na górę i nałożył mu pętlę na szyję. Męczył się, nie umarł od razu.

Potem podpalili stos. Jakiś głupiec ukrył w chruście fajerwerki i z początku wszyscy się wystraszyli. Obwiązali mnichów łańcuchami, żeby po spaleniu stryczków ciała nie wpadły do ognia, tylko przypiekały się powoli. Signoria chciała mieć widowisko. - Wzdrygnęła się. -

Zakonnicy poczernieli, a potem jakiś *giopano* trafił w jednego kamieniem i wnętrzości wylały się krwawym strumieniem... Wreszcie płomienie zrobiły się tak gorące i podniosły się tak wysoko, że ciała zupełnie się upiekły i zaczęły im odpadać ramiona i nogi...

Zamknęłam na chwilę oczy.

- Tak - powiedziałam. - Oczywiście. Mówisz: „zakonnicy”... Więc stracono nie tylko jego?

- Nie. Gruby mnich, ten, który podjął się próby ognia...Jakżeż miał na imię?

Domenico. Fra Domenico umarł razem z nim.

- Dziękuję - odparłam. - Zjem teraz śniadanie. Wezwę cię, kiedy będę się chciała ubrać.

Wyszła. Nie tknęłam jedzenia, zamiast tego wyszłam znowu na balkon, usiadłam w słońcu i patrzyłam, jak dym wznosi się do nieba. Przypuszczałam, że po usunięciu Savonaroli Fra Domenico stał się dla Salvatore i Francesca zagrożeniem.

Zalumma byłaby zadowolona.

Nazajutrz rano Elena przyszła mnie ubrać i przyniosła małą aksamitną sakiewkę. Otworzyła ją i wysypała szafirowy naszyjnik i ozdobioną brylantami siateczkę na włosy, które nosiłam w dniu ślubu z Franceskiem.

Nie było ich w moim kufrze. Otworzyłam go drugiego dnia uwięzienia i odkryłam, że wszystkie klejnoty zabrano. Szukałam ich z zamiarem przekupienia Eleny, żeby uciec z synkiem.

Francesco znał mnie dobrze, ale nie wiedział wszystkiego.

Elena poszła do garderoby i wyciągnęła suknię ślubną z niebieskiego aksamitu i moją najlepszą halkę.

- Ser Francesco polecił, żeby wyglądała pani dziś wyjątkowo pięknie. A więc miałam być ponętą przynętą.

Nie odzywałam się, gdy zasznurowała na mnie suknię; tym razem włożyłam brokatowy pas nisko, tak abym mogła dosięgnąć go szybkim ruchem ręki.

Milczałam też, gdy Elena czesała mi włosy. Gdy zaczęła układać je z wielką starannością w mieniającej się blaskiem siateczce, zapytałam:

- Nie pomożesz mi odzyskać dziecka?

Widziałam w lusterku jej minę. Była zboląta jak jej głos.

- Nie odważyłabym się. Pamiętasz, pani, co się stało z Zalummą...

- Tak - powiedziałam twardo. - Pamiętam, co się stało z Zalummą. Nie sądzisz, że to samo spotka mnie i mojego syna?

Spuściła głowę, zawstydzona, i potem nie spojrzała już na mnie ani się nie odezwała.

Kiedy skończyła, ruszyła, żeby otworzyć drzwi.

- Poczekaj - powiedziałam, a ona się zawahała. - Jest pewna rzecz, którą mogłabyś dla mnie zrobić. Potrzebuję chwili, tylko chwili, w samotności, żeby wziąć się w garść.

Odwróciła się do mnie niepewnie.

- Mam nie zostawiać cię pani samej, Madonna. Ser Francesco powiedział wyraźnie...

- Nie zostawiaj mnie samej - odrzekłam szybko. - Zapomniałam szala na balkonie.

Czy mogłabyś go wziąć?

Zrozumiała. Westchnęła lekko i kiwnęła głową, po czym powoli wyszła na balkon, odwrócona do mnie plecami.

Poruszałam się szybko i cicho. Wyciągnęłam sztylet z materaca i wsunęłam go pod pas.

Elena wróciła wolnym krokiem z balkonu.

- Nie ma tam szala - oznajmiła.

- Dziękuję, że sprawdziłaś - odparłam.

Żołnierz, który zabił Zalummę - wrogo usposobiony młodzieniec o ospowatych policzkach - zaprowadził mnie do powozu, gdzie siedzieli już Francesco i Salvatore de'Pazzi.

Francesco, ubrany w swą najlepszą szatę członka Signorii, po raz pierwszy, odkąd go poznałam, nosił przy pasie długą szpadę. Salvatore miał na sobie *lucco* w kolorze stłumionej ciemnej zieleni - ten sam rodzaj eleganckiej, lecz surowej tuniki, który wybrałby Wawrzyniec Medyceusz. On też uzbroił się w szpadę.

- Piękna, piękna - wymamrotał Salvatore na mój widok. Pochylił się i wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wsiąść; odmówiłam, wrywając się z objęcia żołnierza za plecami. Uczepiłam się krawędzi drzwiczek i podciągnęłam ciężką suknię i długi tren, do środka.

- Wygląda jak malowanie, prawda? - zauważył Francesco z dumą, jakby sam mnie stworzył.

- Istotnie. - Salvatore zaszczyił nas wyniosłym uśmiechem.

Usiadłam obok żołnierza. Claudio popędził konie, za nami podążał drugi powóz.

Wychyliłam się za okno, usiłując zobaczyć, kto jest w środku. Widziałam tylko cienie sylwetek.

- Usiądź, Lizo - upomniął mnie ostro Francesco, żebym odwróciła się i spojrzała na niego, gdy wyjeżdżaliśmy ze stukotem na ulicę. - Nie powinnaś być tak ciekawa. Już wkrótce dowiesz się więcej, niżbyś chciała. - Oczy lśniły mu z upojenia i nerwów. Popatrzyłam na niego twardo, czując ciężar sztyletu pod pasem.

Było ciepło - za ciepło na ciężką aksamitną suknię, a mimo to czułam się zmarznięta i odrętwiała - w powietrzu wciąż unosił się leciutki zapach wczorajszego ognia. Światło było zbyt ostre, barwy zbyt jaskrawe. Granat rękawa kłuł mnie w oczy, tak że mrużyłam powieki.

Na Piazza del Duomo nie było wiele osób, podejrzewałam, że jeszcze mniej było ich tego ranka w San Marco. Z Franceskiem i Salvatore po bokach i żołnierzem za plecami przeszłam koło baptysterium San Giovan-ni, gdzie brałam ślub, a mój syn został ochrzczony.

Francesco złapał mnie za ramię i pociągnął prosto przed siebie, żebym nie mogła zobaczyć, kto wysiadł z powozu za nami.

We wnętrzu Duomo panował półmrok i chłód. Kiedy mijałam próg świątyni, zarysy teraźniejszości zamgliły się i zlały z przeszłością. Nie potrafiłam rozstrzygnąć, gdzie kończy się jedna, a zaczyna druga.

Ruszyliśmy wszyscy boczną nawą: Salvatore najdalej z lewej, Francesco też po lewej, lecz bliżej mnie. Po prawej szedł młody żołnierz. Szliśmy szybkim krokiem, rozpaczliwie szukałam ukochanej twarzy - modląc się raz o to, by ją ujrzeć, to znowu, by jej tu nie było.

Niewiele dostrzegłam, gdyż posuwaliśmy się w kierunku ołtarza. Przed oczami migały mi tylko pojedyncze obrazy: mniej niż w jednej trzeciej zapełniona świątynia, żebracy, zakonnice w czarnych barbetach, kupcy, dwóch mnichów uciszających grupkę niespokojnych dzieci w różnym wieku. Gdy przechodziliśmy między innymi patrycjuszami, żeby dotrzeć na nasze miejsca - drugi rząd od ołtarza, przy drewnianym chórze - Francesco uśmiechał się i kiwał głową, witając znajomych. Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam sześciu członków Signorii stojących w różnych miejscach wokół nas.

Zastanawiałam się, którzy są współnikami, a którzy ofiarami.

Wreszcie zatrzymaliśmy się pod masywną kopułą. Stałam między mężem a nieszczęsnym żołnierzem i na widok ludzi zbliżających się do nas odwróciłam głowę w prawo.

Matteo szedł na silnych nóżkach, uczepiony ręki piastunki. Uparty chłopak, nie pozwolił jej wziąć się na ręce. Kiedy się zbliżył, wydałam stłumiony okrzyk. Francesco chwycił mnie za jedną rękę, ale drugą wyciągnęłam do synka. Zobaczył mnie i z rozbajającym uśmiechem zawołał do mnie, a ja do niego.

Piastunka poderwała go z ziemi i postawiła obok żołnierza, dzielącej nas bariery.

Matteo wiercił się i kręcił, próbując przepchnąć się do mnie, ale trzymała go mocno, a żołnierz wystąpił krok do przodu, tak że nie mogłam dotknąć dziecka. Odwróciłam się, udręczona.

- Uznaliśmy, że będzie najlepiej - powiedział do mnie cicho Francesco - jeśli matka będzie widziała syna. Żeby wiedziała, gdzie jest w każdej chwili, i pamiętała, aby działać w jego najlepiej pojętym interesie.

Spojrzałam na żołnierza. Myślałam, że ma nas pilnować, a potem zabić tylko mnie.

Teraz zobaczyłam, jak czuwa z wielkim mieczem przy moim synku; ogarnęła mnie nienawiść tak straszna, że ledwo mogłam ustać.

Przybyłam do Duomo z jednym postanowieniem: zabić Francesca, zanim dadzą sygnał. Teraz się zawahałam. Jak mogłam ocalić dziecko i na dodatek ujrzeć śmierć prześladowcy? Miałam tylko jeden cios. Gdybym dźgnęła żołnierza, Francesco z pewnością by mnie zaatakował, Salvatore de'Pazzi mógł zabić dziecko Giuliana.

Twoje dziecko jest już martwe, powiedziałam sobie, podobnie jak ty. Nie mogliśmy liczyć na wybawienie, a ja miałam tylko jedną szansę - nie ratunku, lecz zemsty.

Położyłam rękę - tę, którą wyciągnęłam do Mattea - na talii, gdzie pod pasem skrywał

się sztylet. Zdumiało mnie, że jestem skłonna poświęcić syna w imię nienawiści; jakże upodobiłam się do swego ojca Antonia. On jednak stał w obliczu jednej straty, rozumowałam. Ja wycierpiałam ich wiele.

Obmacywałam palcami pas i nie wiedziałam, co zrobić.

Zaczęła się msza. Kapłan i ministranci podeszli do ciemnego ołtarza zdobionego złoceniami i zwieńczonego rzeźbą Chrystusa umierającego na krzyżu. Rozhuśtana kadzielnica krwawiła pachnącym dymem w cienisty półmrok, jeszcze bardziej rozmazując kształty i krawędzie czasu.

Chór zaśpiewał *Innoit* i *Kyrie*. Za naszymi plecami grupa rozłazących się na wszystkie strony, rozchichotanych sierot zaczęła się przepychać w kierunku ołtarza, mieszając się z urażonym patrycjatem. Za nimi podążał mnich, karcąc dzieci półgłosem. Rozniósł się kwaśny zapach brudnych dzieciaków, Francesco z niesmakiem uniósł chusteczkę do nosa.

- *Dominus w bismum*, Bóg z wami - powiedział ksiądz.

- *Et cum spiritu tuo* - odpowiedział Francesco.

Kiedy ministrant odczytywał lekcję, na skraju pola widzenia dostrzegłam poruszenie.

Ktoś w ciemnej szacie z naciągniętym kapturem przeciskał się przez zgromadzenie, aby stanąć za mną. Wyobraziłam sobie, że słyszę jego oddech, czuję jego ciepło na ramieniu.

Wiedziałam, że po mnie przyszedł.

Nie zaatakuj jeszcze, powiedziałam sobie w duchu, choć kusiło mnie, by sięgnąć po broń. Nie zabije mnie przed sygnałem.

Francesco zerknął przez ramię na zakapturzonego skrytobójcę, oczy zabłyśły mu z zadowoleniem. To była część jego planu. Gdy się odwracał, spostrzegł, że mu się przyglądam, i z satysfakcją stwierdził, że się boję. Posłał mi zimny, fałszywie dobrodiwy uśmiech.

Chór śpiewał graduał: „Powstań, o Panie, w Twym gniewie, podnieś się przeciw zaciekłości mych ciemiężców”.

W oddali po lewej stronie fala pomruków przetoczyła się przez rząd dostojników i patrycjatu, docierając aż do Salvatore Pazziego. Odwrócił się do mojego męża i zaczął mu szeptać na ucho. Wyteżyłam słuch.

- ...zauważyłem Piera. Ale nie...

Francesco drgnął i też wpatrzył się w tłum po lewej.

- Gdzie jest Giuliano?

Zesztywniałam, boleśnie świadoma zabójcy za plecami i żołnierza stojącego przy moim dziecku. Gdyby Giuliano się nie pojawił, mogą nas zabić natychmiast. Para podrostków za nami zachichotała z jakiegoś dowcipu, mnich kazał im się uciszyć.

Nie słyszałam słów Ewangelii, nie potrafiłam zrozumieć księdza podczas kazania.

Place prawej dłoni unosiły się nad krawędzią pasa. Gdyby żołnierz albo skrytobójca się poruszyli, zaatakowałabym na oślep.

Salvatore mruknął do Francesca.

- Jest tu...

Jest tutaj.

Gdzieś blisko mnie, poza zasięgiem wzroku i głosu, poza zasięgiem dotyku na chwilę przed moją śmiercią. Ta świadomość nie doprowadziła mnie do płaczu, lecz zachwiałam się pod jej ciężarem. Spojrzałam w dół na marmur pod stopami i zaczęłam się modlić: Bądź

bezpieczny i żyj. Bądź bezpieczny...

Kapłan zaintonował *Oremus*, ujął hostię i unióś ją ku ukrzyżowanemu Chrystusowi.

*Offerimus tibi Domine...*

Salvatore położył dłoń na rękojeści miecza i pochylił się do Francesca. Jego wargi uformowały słowo: „Niedługo”.

Gdy to mówił, skrytobójca zbliżył się, przydeptując mój tren, żebym nie mogła uciec, i przysunął wargi do mojego ucha.

- *Mona Lizo* - szepnął. Gdyby nie wymówił tych dwóch słów, wyciągnęłabym sztylet.

- Na mój znak padnij.

Nie mogłam oddychać. Rozchyliłam wargi i zaczerpnęłam powietrza, patrząc, jak ministrant podchodzi do ołtarza, a potem napełnia kielich winem. Ręka Francesca spoczęła na biodrze.

Drugi ministrant wystąpił do przodu z ampułką wody.

- Teraz - szepnął Salai i przycisnął coś twardego i tępego do moich pleców, pod żebrami, żeby wydawało się, że zadaje zabójczy cios.

Bez słowa osunęłam się na chłodny marmur.

Obok mnie Francesco krzyknął i padł na kolana, w chwili gdy wyciągał broń, która zadzwoniła o posadzkę. Podźwignęłam się. Armia małych uliczników Salai'a ruszyła do przodu, otaczając

żołnierza. Jeden z wyrostków dźgnął go w plecy i pociągnął w dół, aby inny mógł poderznąć mu gardło.

Świat rozbrzmiał chóralnym krzykiem. Poderwałam się na nogi, wołając Mattea i przeklinając splecione suknie. Sieroty obiegały jego i piastunkę. Wydobyłam sztylet ojca i rzuciłam się w ich stronę. Mój synek znalazł się w ramionach jednego z mnichów z Ospedale degli Innocenti.

- Lizo! - wykrzyknął zakonnik. - Lizo, chodź z nami.

Z dzwonnicy zabiły dzwony. Jakiś rozgorączkowany szlachcic z żoną przebiegli obok, o mało mnie nie przewróciwszy. Utrzymałam się na nogach, choć popchnęła mnie fala następnych przerażonych wiernych.

- Leonardo, zabierz go stąd! - zawołałam. - Pójdę za wami, tylko go zabierz!

Odwrócił się i pobiegł. Nie ruszyłam się z miejsca mimo uciekających tłumów, szukałam Francesca.

Upadł na bok, Salai zranił go i kopnął miecz, tak by znalazł się poza jego zasięgiem.

Francesco był bezbronny.

- Lizo - powiedział. Miał dzikie, przerażone oczy. - Czemu to może służyć? Czemu?

Czemu? Przykucnęłam przy nim, dzierząc sztylet z ostrzem zwróconym do dołu - w złym kierunku. Salai nie byłby zadowolony. Ale chciałam zadać cios, tak jak Francesco de'Pazzi zaatakował brata Wawrzyńca: dziko, z wściekłością, aż krew rozbryzgnie się od tysiąca dźgnięć za każdą wyrządzoną krzywdę. Nie zamierzałam go oszczędzać.

Usidliłeś mojego ojca.

Zamordowałeś tych, których kochałam.

Ukradłeś mi życie i dziecko.

- Nie jesteś moim mężem - powiedziałam z goryczą. - Nigdy nim nie byłeś. W imię prawdziwego męża zabiję cię. - Pochyliłam się.

A on pierwszy zadał cios, krótkim ostrzem, ukrytym w dłoni. Trafił mnie tuż pod lewym uchem i werznąłby się głębiej cięciem w prawo, lecz cofnęłam się, zdumiona, i usiadłam.

- Suko - syknął. - Myślisz, że pozwolę ci wszystko zniszczyć? - Opadł na posadzkę, wciąż żywy, i wbił we mnie nienawistne spojrzenie.

Przyłożyłam rękę do gardła i popatrzyłam na nią. Była barwy granatów - jak w naszyjniku, ostatnim prezencie od Francesca.

Wykrwawię się tu na śmierć, pomyślałam. Dopełnię zemsty, zabiję Francesca teraz i wykrwawię się



na śmierć. Znajdą mnie tu później, martwą, na jego zwłokach.

Postanowiłam go nie zabijać.

Słyszę szum w uszach, odgłos fali. Jak Giuliano w kłamstwie Francesca tonę równie niezawodnie, jakbym wpadła do rzeki z Ponte Santa Trinita. Wpadłam i zanurzyłam się głęboko. I dotarłam do głębi, gdzie wreszcie znajduję spokój.

Nie martwię się o Mattea. Wiem, że jest bezpieczny w ramionach dziadka. Nie martwię się o siebie, nie staram się uciec napastnikom, wiem, że nie jestem już ich celem. Nie przejmuję się Franceskiem i nienawiścią do niego. Pozwolę, by Bóg i władze się nim zajęli, to nie moje miejsce. Teraz znam swoje miejsce.

Dobry Boże, modlę się. Pozwól mi ocalić Giuliana.

Za sprawą cudu wstaję.

Moje ciało jest ciężkie jak ołów, porusza się jak zatopione w wodzie, ale siłą woli zmuszam je do niemożliwego: posuwam się w kierunku, w którym pobiegł Salvatore de'Pazzi, szukać mojego ukochanego. Sztylet jest ciężki, ręka drży mi z wysiłku, aby go utrzymać.

Słyszę jego głos.

„Lizo! Lizo, gdzie jesteś?”

„Idę, mój mężu”. Otwieram usta, żeby krzyknąć, lecz głos mój jest tylko świszczącym rżeniem, zatraca się w huczącej powodzi.

Wody wewnątrz katedry są mętne, ledwie widzę falujące postacie walczących na tle uciekających tłumów. Są tam sieroty - brudni chłopcy z krótkimi lśniącymi ostrzami - i mężczyźni z dobytymi szpadami, pospólstwo, duchowni i szlachta, ale nie potrafię się w tym połapać. Słuch stępa się, gorączkowe bicie dzwonów tonie w nicości. Woda durni wszystkie dźwięki.

Promienie słońca wlewają się przez otwarte drzwi prowadzące na via de' Servi, w ich świetle widzę Giuliana. Ma na sobie habit. Odrzucił kaptur do tyłu, odsłaniając ciemne kręcone włosy i brodę, której nigdy nie widziałam. W dłoni trzyma długi miecz z ostrzem pochylonym do ziemi. Jest mężczyzną, wydorósł przez ten czas. Jego przystojne, nieregularne rysy są ściągnięte i naznaczone goryczą.

Jest cudowny i piękny, serce wzbiera mi miłością.

Ale nie po to tu jestem, by poddawać się uczuciom: muszę odkupić winy innych.

Jestem tu, aby zrobić to, co powinno się zrobić prawie dwadzieścia lat temu: powstrzymać mordowanie niewinnych.

Widzę jak syn Francesca de'Pazzi, Salvatore, przedziera się przez zalew uciekających wiernych,

trzymając broń przy boku. Podąża w kierunku Giuliana.

Giuliano go nie widzi, patrzy tylko na mnie. Jego oczy są jak światła z odległego brzegu. Wargi wymawiają bezgłośnie moje imię.

Pragnę do niego iść, nie mogę jednak popełnić błędów Anny Lukrecji, Leonarda i Giuliana Starszego. Nie mogę poddać się namiętności. Odwracam wzrok od Giuliana i spoglądam na Salvatore. Nie mogę iść, lecz idę za nim. Utrzymuję się na nogach mimo naporu uciekających tłumów. Bóg zsyła cud: nie upadam. Nie mdleję i nie umieram. Biegnę.

Zbliżam się do obu mężczyzn, radość na twarzy Giuliana blednie, zmienia się w niepokój i trwogę. Widzi krew spływającą mi z gardła, płamiącą stanik. Nie widzi Salvatore, który zachodzi go z boku. Nie widzi go na wyciągnięcie ramienia, jak unosi miecz, gotowy zadać cios, by zabić ukochanego syna Wawrzyńca.

Lecz ja go widzę. I gdybym miała siłę, rzuciłabym się między nich. Przyjąłabym cios przeznaczony dla ukochanego. Ale nie dotrę tam w porę, nie mogę wkroczyć między nich.

Mogę tylko ostatkiem sił dobiec do Salvatore.

I w chwili gdy Salvatore unosi miecz, na chwilę, zanim go opuści z impetem na Giuliana, sięgam dalej niż to możliwe. Ostrzem sztyletu odnajduję miękkie miejsce pod żebrami Salvatore i zagłębiam w nim klingę.

Przypomina mi się fresk na murze Bargello. Przypomina mi się rysunek tuszem, na którym Bernardo Baroncelli dynda na stryczku ze skruchą widoczną na martwej twarzy. I szepczę:

- A masz, zdrajco!

Wzdycham z ulgą. Giuliano żyje, stoi w świetle słońca na brzegu Arno, czekając z otwartymi ramionami. Padam w nie i tonę. Tonę w najczarniejszej głębinie.

Epilog: *Liza* lipiec 1498 roku

Nie umarłam wtedy i nie umarł też Francesco. Pchnięcie, które zadałam Salvatore, powaliło go. Gdy leżał, krwawiąc, dobił go ktoś inny. Jego najemnicy, którzy słysząc bicie dzwonów, wjechali na Piazza della Signoria, napotkali potężny opór. Zobaczywszy kondotierów Piera i dowiedziawszy się, że Salvatore nie przybędzie, by podburzyć tłum przeciw Medyceuszom, poprowadzić szturm na *palazzo* i obalić rząd Signorii - rozpięzchli się i uciekli. Messer Iacopo nie został pomszczony.

Nie nadszedł jeszcze czas, wyjaśnił mi mąż, by Medyceusze wrócili we Florencji do władzy; poparcie w Signorii było zbyt małe. Piero nauczył się cnoty cierpliwości. Ale ten czas nadejdzie. Jeszcze nadejdzie.

Ku swemu rozbawieniu dowiedziałam się, że Francesco opowiada wszystkim we Florencji, iż wciąż jestem jego żoną i wyjechałam z dzieckiem na wieś, by ukoić nerwy po strasznych wypadkach w Duomo. Wykorzystując spryt i kontakty, zdołał uniknąć stryczka, ale jest skompromitowany. Nigdy więcej nie zasiądzie w Signorii.

W końcu znalazłam się w Rzymie z Giulianem i synkiem. Klimat jest tu bardziej upalny, mniej jest chmur i deszczu. Mgły są rzadsze niż we Florencji, słońce nadaje wszystkiemu ostre krawędzie i wyraźne kształty.

Teraz, gdy odzyskałam trochę sił, Leonardo przyjechał do nas z wizytą. Znowu dla niego pozuję - mimo opatrunku na szyi - i zaczynam podejrzewać, że nigdy nie będzie usatysfakcjonowany obrazem. Bezustannie go zmienia, mówiąc, że odzyskanie Giuliana będzie widoczne w wyrazie mojej twarzy. Obiecuje, że nie pozostanie w Mediolanie na zawsze; kiedy wypełni swoje zobowiązania wobec księcia, przybędzie do Rzymu, a Giuliano stanie się jego mecenasem.

Wkrótce po przyjeździe Leonarda, kiedy pierwszy raz pozowałam dla niego w rzymskim *palazzo* Giuliana, zapytałam go o matkę. Gdy mi powiedział, że jestem jego dzieckiem, od razu wiedziałam, że to prawda. Nie zauważałam tego wcześniej, gdyż szukałam w swym odbiciu podobieństwa do innego mężczyzny, ale patrzę na jego twarz za każdym razem, gdy uśmiecham się do obrazu na gruntowanej gipsiem desce.

Rzeczywiście kochał Giuliana - aż do momentu, gdy dzięki Wawrzyńcowi poznał

Annę Lukrecję. Nigdy nie zdradził jej swoich uczuć, ponieważ przysiągł sobie, że nigdy się nie ożeni, chciał całkowicie poświęcić się sztuce i nauce. Namiętność stała się jednak trudna do przewyciężenia i gdy zdał sobie sprawę, że matka i Giuliano są kochankami - owego wieczoru na via de' Gori, gdy pierwszy raz zapragnął ją namalować - ogarnęła go zazdrość.

Od tamtej chwili, wyznał, sam mógłby zabić Giuliana.

Nazajutrz rano w Duomo ta właśnie zazdrość przytępiła mu zmysły i nie pozwoliła dostrzec nadchodzącej tragedii.

Dlatego nigdy nie powiedział nikomu o swoim odkryciu - wkrótce po przybyciu do Santissima

Annunziata jako agent Medyceuszy - że to mój ojciec był pokutnikiem. Jak mógłby aresztować człowieka za to, że uległ zazdrości, skoro samego tak bardzo go prześladowała? Nie miało to dla niego sensu, podobnie jak przysparzanie mi niepotrzebnie cierpienia takimi wiadomościami.

Po tragedii w Duomo Leonardo był zdruzgotany. W dniu pogrzebu Giuliana w San Lorenzo, przytłoczony żalem, wyniknął się ze świątyni do przykościelnego ogrodu, by w ciszy rozpaczać. Tam zastał moją zapłakaną matkę i wyznał jej swą winę i miłość. Wspólny żal zbliżył ich i sprawił, że się zatracili.

- Widzisz, jakich cierpień przysporzyła twojej matce i tobie moja namiętność -

powiedział. - Nie mogłem pozwolić, żebyś popełniła ten sam błąd. Nie chciałem ci mówić, że Giuliano żyje, w obawie, że spróbujesz się z nim skontaktować i narazisz jego i siebie.

Wyjrzałam przez okno, na dworze nieustępliwie prażyło słońce.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego od razu? - spytałam. - Dlaczego pozwoliłeś mi myśleć, że jestem dzieckiem Giuliana?

- Ponieważ chciałem, żebyś zyskała pełne prawa jako członek rodziny Medyceuszy, którzy mogliby zaopiekować się tobą o wiele lepiej niż biedny artysta. Nikogo tym nie skrzywdziłem, a sprawiłem Wawrzyńcowi radość na łożu śmierci. - Jego twarz przybrała wyraz tkliwego smutku.

- Przede wszystkim nie chciałem brukać pamięci twojej matki. Była kobietą wielkiej cnoty. Wyznała mi, że przez cały czas, gdy była z Giulianem, nigdy nie została jego kochanką, choć wszyscy wierzyli, że tak było. Bardzo się starała pozostać wierna mężowi i tym większy był jej wstyd, że uległa mnie. Czemu miałbym wyznawać, że ona i ja, sodomita, byliśmy kochankami i ryzykować, że straciłabyś dla niej szacunek.

- Szanuję ją nie mniej niż przedtem - powiedziałam. - Kocham was oboje.

Uśmiechnął się promiennie.

Pozwolę Leonardowi zabrać portret do Mediolanu. A gdy go ukończy - jeśli kiedykolwiek to zrobi - ani ja, ani Giuliano go nie przyjmujemy. Chcę, żeby go zatrzymał.

Bo ma tylko Salaia. Lecz jeśli weźmie obraz, moja matka i ja będziemy zawsze z nim.

Ja zaś mam Giuliana i Mattea. A za każdym razem, gdy spojrzę w lustro, widzę matkę i ojca.

I się uśmiecham.

Podziękowania

*Nadzwyczaj dużo zawdzięczam następującym osobom:*

*Mężowi, który w minionym roku przetrwał nie tylko raka, chemioterapię i komplikacje, lecz - co*

*jeszcze bardziej imponujące - pisanie tej powieści bez narzekań i w dobrym nastroju.*

*Moim błyskotliwym agentom Russellowi Galenowi i Danny'emu BarorouH, którzy wytrzymali ze mną jako klientką przez ponad dwadzieścia lat.*

*Przyjaciółkom Kathleen O'Malley i Anne Moroz, które dzielnie przedarły się przez zniechęcający maszynopis tej książki i życzliwie podzieliły ze mną swoimi uwagami.*

*Przede wszystkim zaś moim redaktorom Charlesowi Spicerowi z St. Martin's Press i Emmie Coode z HarperCollins, wytrawnym zawodowcom z nieprzebranymi pokładami cierpliwości. Chanie i Emma, każde ze swojej strony, zrobili, co tylko mogli, żebym mogła spędzać czas z mężem i opiekować się nim podczas choroby. W efekcie ukończenie książki potwornie się odwlekło. Szczególnie Emma odczuła te niedogodności i chociaż była bardzo zapracowana, ani na chwilę nie straciła pogody ducha. Chciałabym znać słowa, które wyraziłyby całą głębię mojej wdzięczności za ich życzliwość i współczucie, że musieli z takim pośpiechem przygotować tekst do druku. Ale znam tylko te słowa: dziękuję, Chanie, dziękuję, Emmo.*

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)